

Petra Hammesfahr

Matka

tłumaczył

Krzysztof Żak

Abenka

Redakcja Literacka Bellony

Warszawa

Bywają chwile, w których jesteśmy ze wszystkiego za-dowoleni i uważamy się za dziecko szczęścia. W moim przy-padku zdarzyło się tak pewnego niedzielnego popołudnia w końcu maja. Był to jeden z tych dni na pograniczu wiosny i lata, które są już niemal zbyt piękne, aby były prawdziwe. Gdybym chciała go opisać, wyszedłby mi tylko kiczowaty obrazek.

Łagodny blask słońca, umyte do czysta przez krótką ulewę w nocy płytki na tarasie, świeża zieleń w ogrodzie warzyw-nym, pyszny trawnik. A nad tym wszystkim delikatne niebo, nie na tyle błękitne, aby wydawało się nieprawdziwe. Wyglą-dało, jakby ktoś porozlewał na nim resztki mleka pozostałe w garnku; lekkie białe pasemka pozbawiały je wyglądu wido-kówki, dodając mu prawdy - tak jak i nam samym.

Siedzieliśmy na tarasie; talerze po cieście były już opróż-nione, a w filiżankach stygły ostatnie łyki kawy. Jiirgen roz-parł się w fotelu i z zamkniętymi oczami rozkoszował się słoń-cem. Ojciec podniósł się i zszedł do ogrodu, żeby, jak powie-dział, rozprostować nogi. Tak naprawdę chciał tylko popa-trzeć na swoje młode roślinki. Kalarepę, sałatę i dobrze zapo-wiadające się kalafiory. Mój ojciec wypełniał tym sobie czas, który mu jeszcze pozostał z jego życia.

Matka wyniosła resztkę tortu do kuchni, wróciła i wyraziła radość, że udało nam się przetrwać podwieczorek bez ataku os. Zapatrywała się dość sceptycznie na pomysł nakrycia sto-łu na świeżym powietrzu, mimo że Anna kilkakrotnie ją za-pewniała, że osy stają się agresywne dopiero w znacznie póź-niejszej porze roku.

Anna i jej chłopak Patrick Urban dyskutowali z ożywieniem, czy warto już teraz

pojechać do Kolonii obejrzeć jakiś film,

choć na pewno za trzy czy cztery tygodnie będzie wyświetlany w „naszym” kinie. W bramie rozległ się stukot kopyt. Jurgen otworzył oczy, wykrzywił się uśmiechem i powiedział:

- Zbliża się najazd Hunów.

Matka pośpiesznie chwyciła cukiernicę, a żeby zatuszować swój gest, wyniosła do kuchni także dzbanuszek ze śmietanką do kawy. Zdażyła akurat zniknąć w drzwiach, kiedy Rena wyjechała konno zza narożnika domu.

- Tak też pomyślałam, że pewnie siedzicie na dworze. Zostaw

stał wam jeszcze jakiś kawałek tortu?

Jej wzrok prześliznął się po stole; zsiadła z konia i dwoma skokami była już przy nas.

- Czy nie powinnaś uwiązać tego stworzenia? - spytała

matka przez otwarte drzwi kuchni. Koń stał po prostu pozostawiony

samemu sobie.

Była to kasztanka, ładny koń, na ile mogę to ocenić. Nie znam się na koniach, dla mnie są to tylko wielkie zwierzęta. Rena obejrzała się przez ramię na kobyłę.

- Stój spokojnie i nie obgryzaj trawnika. Jak będziesz

grzeczna, dostaniesz coś dobrego.

Wpadła do kuchni. Słyszałam jak matka protestuje:

- Tylko nie palcami!

Jurgen wciąż jeszcze szerzył się w uśmiechem. Ojciec wrócił z ogrodu i klepał kobyłę po szyi.

- Grzeczny konik, dobra Tanita. Tak, grzeczny z ciebie konik.

nik.

Rena pojawiła się znów na tarasie ze śmietaną na brodzie, trzymając w jednej ręce nadgryziony, kruszący się kawałek tortu, a w drugiej cukier. Wyciągnęła dłoń z kostkami cukru do konia, a resztę tortu wsunęła sobie do ust. Wytarła ręce w spodnie, po czym przeżuując kęs wskoczyła na siodło i zniknęła tak samo jak się pojawiła.

- To na razie, ludziska!

Bywają chwile, które dają człowiekowi złudne poczucie, jakby był odporny na zranienia. Jedną z takich chwil było to niedzielne popołudnie w maju. Kiedy o tym myślę, napływa-

ją mi łzy do oczu. Nic nie mogę na to poradzić. Czuliśmy się po prostu zbyt pewnie i byliśmy przekonani, że już nigdy nie będzie inaczej.

Dobrze nam się wiodło, byliśmy szczęśliwą rodziną. Rodzice cieszyli się jeszcze najlepszym zdrowiem, mieliśmy dwie udane córki, harmonijne małżeństwo, a kiedy kupiliśmy stare gospodarstwo, spełniły się także marzenia o domu na wsi.

Widzieliśmy i słyszeliśmy, jak innym życie nagle wali się w gruzy. A to wypadek, a to śmiertelna choroba, coś spadało na nich przeważnie bez żadnego ostrzeżenia. Tak było ze śmiercią Susi Rembach. To się zdarzyło tej niedzieli, kiedy siedzieliśmy na tarasie. Dowiedzieliśmy się we wtorek. Pięcioletnia dziewczynka utopiła się podczas wakacji nad morzem na oczach swojej matki.

To przerażające, powiedzieliśmy, jak to zniesie ta biedna pani Rembach? Dobrze ją znaliśmy. Była pacjentką Jiirgena. Opiekował nią się także w czasie ciąży i wiedział, jak bardzo chciała mieć to dziecko, jak długo na próżno go oczekiwała i jaka była szczęśliwa, kiedy wreszcie mógł jej powiedzieć, że jest w ciąży. Po śmierci Susi już nie pojawiła się w gabinecie Jurgena. Obwiniła się o to nieszczęście, ponieważ na chwilę spuściła dziecko z oka. Zaledwie dwa tygodnie po pogrzebie odebrała sobie życie. To okropne, powiedzieliśmy, święcie przekonani, że takie katastrofy spotykają zawsze tylko innych.

Nam coś takiego przecież się nie zdarzy!

Wprawdzie gdzieś w tyle głowy tykał zegar: rodzice nie są nieśmiertelni. Mój ojciec miał siedemdziesiąt pięć lat, a matka była tylko o dwa lata młodsza. Wiedziałam, że kiedyś, może całkiem nagle, będę musiała stracić jedno z nich obojga. Tyłko wolałam o tym nie myśleć. A troski o dzieci? Nie było powodu.

Nie należało się obawiać, że utoną w momencie nieuwagi. Już wyrosły z tego wieku. Anna miała prawie osiemnaście lat, a Rena miała wkrótce obchodzić szesnaste urodziny. Naturalnie, to także niebezpieczny wiek. Ale nasze córki nie włóczyły się po podejrzanych lokalach. Dla nich nawet papierosy ich

dziadka były czystą trucizną. Po co mieliśmy martwić się o nar-kotyki czy AIDS?

Anna miała tak zwanego stałego chłopaka, odkąd skończyła 15 lat: był to Patrick Urban, miły, dobrze wychowany młody człowiek z dobrego domu. A Rena jeszcze nic sobie nie robiła z chłopców. Rena kochała Tanitę, kasztankę, którą tamtej majowej niedzieli nagradzała kostkami cukru za to, że nie zaczęła się paść na naszym trawniku. Kochała Bery'ego, jabłkowitego siwka, dla którego często podkradała z ogrodu parę marchewek. Nadal kochała Blacky, czarną piękność ze wscho-du, chociaż Blacky była już w końskim niebie. W styczniu trzeba było ją uśpić. A pierwsze miejsce w sercu Reny należało się Mattho, gniademu ogierowi. Był to wspaniały okaz konia, cudowne zwierzę, jeśli wierzyć słowom Reny.

W lipcu pojechaliśmy na dwutygodniowy wypoczynek do przytulnego rodzinnego pensjonatu w Harcu. Był tam tylko Jurgen, dziewczynki i ja. Moi rodzice nie chcieli już wyjeżdżać, a Jurgen czuł się zbyt wyczerpany na długi lot. Uważał też, że nie jest wskazane wystawianie się na żar południowego słońca. Robiliśmy wspaniałe spacery po cienistych leśnych dróżkach. Cieszyliśmy się spokojem i słuchaliśmy dwadzieścia razy dziennie westchnień Reny: „Wracajmy już do domu”.

Domu? Dla Reny domem nie było gospodarstwo, które kupiliśmy dwa lata temu, ale ujeżdżalnia. Już się z tym pogodziliśmy. Trudno jej się było przyzwyczaić do nowego miejsca po przenosinach z miasta na wieś. Na początku upierała się, że będzie wracać do domu dopiero wieczorem: „Inaczej już nie będę widywać moich przyjaciół”.

Akurat to było całkiem po mojej myśli. Jej przyjaciele z tamtego okresu wcale mi się nie podobali. Przez pierwsze tygodnie po naszej przeprowadzce odbierałam Renę w południe ze szkoły i zawoziłam ją do domu. Kiedy siedziała obok mnie w samochodzie, nie narzekała, ale jej mina była wystarczająco wymowna.

- Chodzi jak z krzyża zdjęta - często powtarzał Jurgen.

Anna za to od razu zakochała się w naszej nowej siedzibie. Tyle miejsca! Pokój, z którego można było z powodzeniem

zrobić dwa, własna łazienka i chłopak z samochodem! Rena natomiast czuła się jak wygnana na koniec świata. Nudziła się popołudniami. Aż pewnej niedzieli na spacerze przechodziliśmy obok zagrody i tam właśnie ujrzała ten kłębek energii.

Mattho był wtedy jeszcze źrebakiem i miał cztery miesiące. Niemowlę, powiedziała

Rena. To niemowlę sprawiło, że przyjaciele, którzy pozostali w mieście, stali się mało ważni. A szkolny autobus, który po drodze przejeżdżał jeszcze przez dwie inne wsie, okazał się zbyt powolny. Renie potrzebny był szybki rower. Rena biła rekordy na trasie, wpadała do domu już kwadrans po szkole i skarżyła się, że obiad jeszcze nie stoi na stole. Potem połykała w wielkim pośpiechu jedzenie, za-mykała się na pół godziny w swoim pokoju, żeby odbębnić prace domowe, i zniknęła. Pojawiała się w domu dopiero wieczorem, opowiadała nam z błyszczącymi oczami o Mattho i jego wyrośniętych towarzyszach.

Błagała o lekcje jazdy konnej. Jiirgen znał właściciela ujeżdżalni i umówił się z nim na jedną godzinę tygodniowo. Tylko pro forma, bo Rena i tak codziennie była w stajni.

- Ale on też chce żyć - powiedział Jiirgen.

Od tej pory dla Reny wszystko obracało się już tylko wokół koni. A Mattho, który tymczasem przeobraził się w okazałego dwulatka z typowymi narowami wyrostka, był dla niej ważniejszy niż każde umówione spotkanie z rówieśnikami. Od czasu do czasu pozwalano jej na nim jeździć i odbierała to jako szczególne wyróżnienie. Mattho miał być wytrenowany na konia wyścigowego, kiedy osiągnie odpowiedni wiek. To znaczyło, że wkrótce zostanie sprzedany.

Kiedy wróciliśmy z urlopu, Rena musiała się od razu upewnić, czy jeszcze stoi w stajni. Dopiero potem wzięła się za rozpakowanie swojej walizki. Widzę ją jeszcze przed sobą, jak odkłada na bok część ubrań, a kilka innych chce powiesić od razu z powrotem do szafy.

- Tego nie nosiłam.

- Nie szkodzi, odłóż to do prania.

- Ale te rzeczy są jeszcze całkiem czyste, mamo.

10

- Mają nieświeży zapach.

Przycisnęła do nosa białą koszulkę i obwąchiwała materiał.

- Ja tam nic nie czuję.

Ona sama pachniała stajnią, końmi. Miała ten typowy zapach, na który matka często kręciła nosem, zrzędząc: „Ile razy ci mówiono, że masz brać prysznic, zanim

usiądziesz do stołu!?"

- Idź pod prysznic - powiedziałam - Ja zrobię to za ciebie.

Spojrzała na mnie z tym błaganiem w spojrzeniu.

- Miło z twojej strony. Ale skoro ty to zrobisz, to czy mogę jeszcze raz...? Proszę, mamó! Nie masz pojęcia, jak Mattho się ucieszył, gdy mnie zobaczył. Tylko na pół godziny. Mamó, proszę, proszę, proszę...

Klaskała w ręce jak małe dziecko, błagając mnie o zgodę. Miała wydęte usta i wesołe oczy, a długie blond włosy były na karku spięte klamrą. Była taką ładną dziewczyną.

Przeszło cztery tygodnie później, pierwszej niedzieli we wrześniu, w rodzinnym gronie obchodziliśmy jej urodziny. Burzliwe przyjęcie dla przyjaciół ze względu na moich rodziców przesunęliśmy o jeden dzień, a przygotowania osłodziliśmy matce dwoma biletami na koncert. Chociaż w gruncie rzeczy nie było takie znowu burzliwe.

Jurgen i ja byliśmy kilkakrotnie na dole i przez chwilę się-dzieliśmy z młodymi. Nie przez cały czas, bo chcieliśmy uniknąć wrażenia, że ich kontrolujemy. Nie było też takiej potrzeby. Było miło i wesoło. Pamiętam jeszcze, jak pomyślałam, iż mogliśmy oszczędzić na tych biletach na koncert. Byłaby to dobra okazja, aby przekonać matkę, że nie zawsze we wszystkim ma rację.

Zdaniem matki młodzi ludzie przede wszystkim hałasują i brudzą, wprowadzają zamęt, nie szanują niczego i nie przyjmują do wiadomości żadnych dobrych rad. A kiedy jeszcze była ich cała gromada, to już matka zegnała się ze zgrozą.

Nie można było nic złego powiedzieć o chłopaku Anny, który siedział z nami w tamto niedzielne popołudnie przy podwieczorku. Patrick Urban wiedział, co wypada. Dziękował za

11

kawałek tortu agrestowego, a następnie recytował hymn pochwalny na cześć talentów kulinarnych matki.

Ale całe przyjęcie, na pół tuzina takich łobuzów! A żaden nie doceni trudu włożonego w przygotowanie sałatek! Nikt nie zwróci uwagi na kunsztowne przybranie. Będą z non-szalancją napychać sobie usta, a mózgi zamroczą dziką mu-

zyką.

Matka żywiła takie przekonania od dawna; nie nabrała ich dopiero wtedy, kiedy zamieszkała pod jednym dachem ze swoimi wnuczkami. Kiedy ja byłam w wieku Reny, prywatka z przyjaciółmi była nie do pomyślenia. Beatlesi albo Stonsi? Wykluczone! Nigdy nie nauczyłam się nawet tańczyć rock'n'rolla ani twista. Znam walca, fokstrota i parę innych tańców towarzyskich.

Mało ważne drobiazgi. Wszystko nieważne. Ale z drugiej strony wszystko nabrało wagi. W każdej błahostce, każdym najdrobniejszym szczególe mogłaby kryć się odpowiedź na dręczące pytania.

Pozwoliliśmy Renie zaprosić, kogo tylko chciała. Kontakty z jej dawniejszymi przyjaciółmi były zerwane. Nie całkiem, wiedziałam o tym. Było ich siedmioro, trzech chłopców i cztery dziewczyny. Wszyscy byli o rok, o dwa, a nawet o trzy lata starsi od Reny. Kontakty z tą hałastrą nawiązała za pośrednictwem Nity Kolter.

Podobnie jak Anna i Rena, również Nita Kolter chodziła do gimnazjum Humboldta. Raz nie otrzymała promocji do następnej klasy i na pewien czas pojawiła się w klasie Reny. Miała wtedy trzynaście lat i dla Reny nie była nikim więcej jak tylko nową koleżanką, którą znała już przelotnie z widzenia. Zapewne Nita w tym czasie nie zwracała specjalnie na siebie uwagi. Ale wkrótce się zaczęło. I nie minęło wiele czasu, by wychowawczynie zaczęły się domagać przeniesienia Nity do równoległej klasy.

Była nadzwyczaj trudną dziewczyną, wychowywaną bez ojca. Jej matka ogłaszała się w różnych gazetach w rubryce „Towarzystwo”.

12

Ktoś z naszych znajomych natknął się raz na takie właśnie ogłoszenie. Podano w nim nawet adres. Na twarzach mężczyzn pojawiły się obleśne uśmiešky. Jiirgen powiedział:

- Patrzcie państwo, prywatny burdel w naszym małym czy-stym miasteczku. Czy nam w ogóle jest potrzebne coś takiego?

Pewnie tak. Regina Kolter raczej nie wychodziła źle na swojej działalności „towarzystwiej”. Kupiła jedno z tych piekielnie drogich własnościowych mieszkań zbudowanych na gruntach po dawnej stacji towarowej. Jeździła mercedesem coupe 350 SL, a od początku jesieni do początku wiosny otulała się w przeróżne futra. Krótko mówiąc, nie zaniedbywała niczego, aby dokładnie odpowiadać stereotypowi

luksusowej prostytutki.

NaNite styl życia jej matki miał katastrofalny wpływ. Włóczyła się, szukała akceptacji i kontaktów wśród najbardziej podejrzanych indywiduów. Swoim wyszczeraniem i hałaśliwym sposobem bycia na pewien czas zaimponowała Renie. To minęło od czasu przeprowadzki. Wprawdzie nie dało się zapobiec temu, aby się na przerwach nadal spotykały na boisku, ale Rena, jak się zdawało, już nawet do tego nie przykładała wagi. Czasami słyszałam od Anny, że Nita znowu próbowała namówić Renę na spędzenie popołudnia w mieście. Ale słyszałam o tym tylko od Anny, i zawsze wyglądało to tak, jakby dla Reny odpieranie inicjatyw Nity choćby tylko przez kilka minut było czymś uciążliwym i niemiłym.

W ujeżdżalni Rena zawarła nowe znajomości. Udo, Armin, Horst, Katrin, Ilona, Tania - dla mnie przez długi czas były to tylko imiona. Nie znałam ich twarzy, nie wiedziałam, w jakim są wieku. Słyszałam tylko, że Udo jest synem gospodarza ze wsi, a Ilona córką adwokata z miasta, że Katrin ma własnego konia. Że Horst okropnie cierpiał, kiedy Blacky musiała umrzeć, że odtąd wołał zostać weterynarzem niż doradcą podatkowym. Że Tania ostatnio musiała nosić aparat na zęby, a Armin okulary. Tego sobotniego wieczoru miałam ich wreszcie poznać.

Dziewczyny były młodsze niż Rena, a mężczyźni — chłopcami już nie byli - starsi. Udo dochodził już do trzydziestki,

13

był prawdziwym siłaczem, o wzroście ponad metr dziewięćdziesiąt i muskularnej budowie. Było po nim widać, że na wykił do mocnego chwytu. Był typem miejscowego mieszkańca, nieco oszczędnym w słowach i zamkniętym w sobie, ale sympatycznym.

Horst okazał się mizernym faceciem o bladej, okrągłej dziecięcej twarzy i rzadkich rudych włosach. Wydawało mi się, że jest w wieku Reny i byłam zdziwiona, słysząc, że i on przekroczył już dwudziestkę. Później dowiedziałam się jeszcze, że mając czternaście lat zachorował na białaczkę. Pokonał chorobę, ale mocno opóźniła ona jego rozwój. Zwróciłam uwagę, że we wzruszający sposób był zajęty Reną. W jego zachowaniu była jakaś naiwna egzaltacja, jakby ubóstwiał idola, o którym wiedział, że jest dla niego nieosiągalny. Horst był miły, doświadczony i mądry jak stary mężczyzna.

Także osiemnastoletni Armin nie miał w sobie niczego ze sposobu bycia wielu jego rówieśników. Łatwiej mi było wyobrazić go sobie z opasłym tomiszczem przy

biurku niż na końskim grzbiecie. Inteligentny młody człowiek z zamiłowaniem do paleontologii. Jiirgen bardzo go lubił. Długo rozmawiali. Od Jiirgena dowiedziałam się, że moja wizja młodzieńca pochłoniętego lekturą opasłych tomów jest bardzo bliska prawdy. Ojciec zaordynował mu lekcje jazdy konnej przymusowo, żeby syna przynajmniej na parę godzin odciągnąć od biurka.

Byłam zdziwiona, kiedy na krótko przed dziewiątą jeszcze raz zadźwięczał dzwonek. Nie byłam też zachwycona, kiedy zobaczyłam, kto stoi u drzwi: Nita Kolter z całą swoją gromadą. Tak samo hałaśliwa i natrętna, jak ją zapamiętałam, i tak samo jak dawniej lubiąca szokować.

Przypominam sobie pewne zdarzenie. Mieszkaliśmy jeszcze w mieście. Pewnego popołudnia kilka osób z tej grupy przyszło po Renę, dwóch chłopców i Nita. Rena była w swoim pokoju. Musiała jeszcze odrobić lekcje. Chciałam, aby to zrobiła w spokoju i poprosiłam tych troje, żeby parę minut poczekali w dużym pokoju. Siedziała w nim Anna z książką

14

i filiżanką kawy, a na stole stała tubka z tabletkami słodziku, którego używała. Jeden z chłopców wziął tę tubkę i wycisnął z niej tabletki. Po prostu wycisnął je jedną po drugiej, wysypał na podłogę i rozdeptał.

Kiedy ich wpuściłam, wróciłam do sypialni zatelefonować do ojca i usłyszałam jak Anna pyta:

- A poza tym dobrze się czujesz, co?

Nie otrzymała odpowiedzi. Słyszałam tylko chichotanie -Nita dobrze się bawiła - a po kilku sekundach znowu głos Anny:

- Dostyc tego! Postaw to z powrotem na stole, ty idioto!

Poszłam tam zobaczyć, co się stało, ale nie miałam okazji

niczego zrobić. Dokładnie w chwili, kiedy weszłam do nich i chciałam coś powiedzieć, Rena wyszła ze swojego pokoju. Skończyła odrabiać lekcje i w parę chwil wszyscy się wynieśli. Zostały po nich podeptane okruchy na podłodze. Było to bezsensowne i niepotrzebne. Znak odrzucenia, demonstracja inności.

Ani przez chwilę nie sądziłam, że to Rena mogła zaprosić swoje dawne grono na urodziny. Kiedy matka chciała się dowiedzieć, czy ma zrobić dwie czy trzy sałatki,

powiedziała przecież:

- Nie rób za dużo, babciu. Jedna sałatka wystarczy dla tych paru osób. Mamy już przecież chipsy, orzeszki i wszystko co trzeba. Będzie półmisek z mięsem, ryby i ser.

Nita musiała się dowiedzieć o przyjęciu Reny w szkole i po-wiadomić resztę.

Jiirgen i ja siedzieliśmy w dużym pokoju. Kiedy ktoś za-dzwonił, poszłam do drzwi, otworzyłam i zobaczyłam przed sobą pudrowaną białą twarz Nity z oczami w czerwonych obwódkach. Miała czarny kapelusz z miękkim rondem i długą czarną pelerynę. Wyglądała jak wampir, brakowało jej tylko plastikowej sztucznej szczęki z wielkimi kłami.

Obok niej stał ten, którego Anna nazwała kiedyś idiotą. Obejmował Nitę w pasie, a w uszach, nosie i brwiach miał cienkie złote kolczyki. Pozostała piątka stała półkolem za

15

swoim prowodyrem; jedni mieli miny pełne znudzenia, a drudzy napięcia.

Wydawało mi się, że Nita jest podchmielona. Chwiała się na nogach, a jej słowa brzmiały niewyraźnie.

- Niespodzianka, niespodzianka - mamrotała pod nosem. -

Cieszcie się, co? Teraz dopiero będzie ubaw na całego!

Jej głos zwabił Jurgena do sieni.

- Na pewno zabłądziliście - powiedział. - A więc posłuchajcie, teraz trzeba pojechać na dół do szosy i skręcić w prawo. Tak dojedzie się najszybciej z powrotem do miasta. Tam na pewno znajdziecie więcej możliwości odbicia sobie kosztów, niż tutaj.

Nita uśmiechnęła się złośliwie.

- Chcieliśmy tylko złożyć życzenia!

- Nie ma tu nikogo, komu by na tym zależało - powiedział

Jiirgen.

Jeszcze nie dokończył mówić, kiedy jeden z chłopców za Nitą odwrócił się na pięcie i odszedł do jednego z dwóch samochodów, którymi przyjechali. Otworzył drzwiczki kierowcy i zawołał:

- Dajcie już spokój i chodźcie!

Sądząc z jego słów i miny, wygłupy Nity wzbudzały w nim niesmak. Dystansował się od reszty, a jego wygląd był tylko w połowie tak krzykliwy, jak innych. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Nita szczyrzyła dalej zęby w krzywym uśmiechu, wspięła się na palce i zajrzała przez ramię Jurgena do sieni.

- Hej, Koniku - zawołała. - Zapomniałaś powiedzieć swojemu odźwiernemu, że jeszcze przyjdą honorowi goście.

- Dostyc tego - powiedział Jurgen spokojnie. - Spływajcie.

Tamten chłopiec wsiadł do samochodu i odjechał. Nita

i reszta jej kompanii nie zważali ani na jego odjazd, ani na Jurgena.

- Hej, Koniku - zawołała jeszcze raz. - Co tam porabiasz?

A może już cię tam zaczęli ujeżdżać?

16

Paru wyrostków wykrzywiło się w uśmiechu. Na twarzy Jiirgena nie drgnął ani jeden mięsień. Bez słowa zamknął drzwi domu i wrócił do pokoju. Ja poszłam do kuchni. Przez okno widziałam, że jeszcze przez chwilę niezdecydowanie stali w gromadzie. Nita wydała nowe dyspozycje, po czym ruszyła z miejsca. Zataczała się. Ten ze złotymi kolczykami chwycił ją znowu w pasie.

Po tamtym chłopcu i jego samochodzie nie było już śladu. Pozostali wtłoczyli się w szóstkę do drugiego samochodu i znikli. Zdziwiłam się, bo nie spodziewałam się, że opuszczą pole bez walki. To nie było w stylu Nity, żeby dać sobie zatrzasać drzwi przed nosem. Ja również wróciłam do dużego pokoju.

- Chyba była pijana - powiedziałam.

Jiirgen pokręcił głową.

- Wątpię, nie czuć było od niej alkoholu. Już raczej była naćpana.

Rena musiała usłyszeć głos Nity, ale nie przyjęła do wiadomości tego niemiłego przerywnika. Siedziała w kącie z Udo, Horstem, Arminem, Katrin, Tanią i Iloną i zastanawiała się nad swoim prezentem urodzinowym. Nie puściliśmy na ten temat ani pary z ust, ale dobrze wiedziała, że następnego ranka miało się spełnić jej największe marzenie: własny koń.

Nie był to jej ulubieniec Mattho. W naszej ocenie byłoby to zbyt ryzykowne. Młody ogier w najbardziej narowistym wieku, nieobliczalny, kiedy go rozpiera owies, jak się wyrażał Hennessen, właściciel ujeżdżalni. Hennessen przyznał się nam, że nawet on czasami zielenieje ze strachu, kiedy Rena wskazuje na siodło Mattho.

- On ma swoje narowy. Z nim nie każdego dnia da się dojść do ładu. Kiedy zacznie przewracać oczami, to już wiem, co się święci.

Hennessen polecił nam klacz takiej samej maści jak Mattho, dwa razy starszą niż on, ale w przeciwieństwie do niego łagodną jak baranek. Umówiliśmy się z Hennessenem, że przyprowadzi zwierzę do nas wcześniej rano w niedzielę. Miał je uwiązać w stodole, tylko na parę godzin.

17

Nie mogliśmy jeszcze umieścić kobyły na stałe w gospodarstwie. Obora była w opłakanym stanie. Pierwotnie mieliśmy zamiar ją wyburzyć. Dlatego nie została wyremontowana razem z domem mieszkalnym i stodołą, kiedy kupiliśmy to siedlisko. Teraz zdecydowaliśmy się naprawić także i ten budynek. Wtedy Rena miałaby blisko pod bokiem swojego ulubieńca i mogłaby, gdyby tylko nasza ją ochota, pognać w teren już o szarym świcie.

Wyobrażałam sobie jak z zarumienionymi policzkami siedzi przy śniadaniu, z długimi włosami jeszcze wilgotnymi po prysznicu, jak w południe wraca ze szkoły. Jak pierwsze swoje kroki kieruje do stajni. Jak manipuluje siodłem, uprzężą, czyści gniadą sierść, dźwiga beły siana i jest cała szczęśliwa. Taka właśnie ona była!

Przy śniadaniu w niedzielę rano była niespokojna i ledwo miała czas rozpakować prezent od Anny. Była to para nowych długich butów. Anna się martwiła, czy będą na nią pasowały. Rena wcisnęła nogi do środka i wszystko było w najlepszym porządku. Od moich rodziców dostała siodło. Tak więc nie było już wątpliwości, jaki miał być nasz główny prezent. W końcu dostatecznie często objaśniała nam, że nasza wiedza czerpana ze starych westernów nie odpowiada rzeczywistości. W stajni Hennesena siodło należało do konia, nie do jeźdźca. Rena od razu chciała wybiec z domu.

- Gdzie on jest, gdzie go schowaliście?
- Nie tak szybko - powiedział Jiirgen. - Chyba możemy najpierw w spokoju zjeść śniadanie. Obawiam się, że później już nam to nie będzie w głowie. Na pewno wytrzymasz jeszcze, dopóki wszyscy nie wypiją kawy. Potem pójdziemy razem i wszyscy będziemy się cieszyli.

Z wielkim trudem zmusiła się do cierpliwości. Ale już czekanie, aż jej dziadek wypali swojego obowiązkowego papierosa po śniadaniu, było ponad jej siły. Wypadła na podwórko, zamrugała oczami w jaskrawym świetle, przymknąwszy je popatrzyła w kierunku stodoły. Potem pobiegła w tamtą stronę,

18

szarpnięciem otworzyła wrota i znikła w półmroku. Słyszę jeszcze dziś, jak woła:

-Mattho! Mój Mattho!

Jiirgen był tuż za nią.

- Ona nazywa się Izabella - powiedział. - Ale jest przyzwyczajona, żeby wołać na nią Bella.

Zaśmiał się cicho.

- Zresztą, komu ja to mówię. Przecież ty lepiej je znasz niż ja.

Rena stanęła w miejscu, kiedy zaczął mówić. Odwróciła się do niego.

- Ale Hennesen powiedział, że Mattho jest sprzedany. Nie

chciał mi powiedzieć, kto go kupił. Więc myślałam... - urwała.

Jiirgen dokończył zdanie:

- ...myślałaś, że my kupiliśmy tego gniadego diabła dla ciebie. Ponieważ nie marzymy o niczym innym, jak tylko o tym, żeby móc się podpisać na gipsie, w którym znajdzie się twoja noga. O ile tylko na tym by się skończyło.

- On jeszcze nigdy mnie nie zrzucił.

- Kiedyś zawsze jest ten pierwszy raz - powiedział Jiirgen i podszedł do kobyłki. - A dotąd Hennessen był w pobliżu. Tutaj nie ma nikogo, kto mógłby interweniować, gdyby ta bestia cię poniosła.

Poklepał pieszczotliwie kobyłkę po szyi i powiedział:

- No chodź i przywitaj się z nią. Nie jest ładna?

Rena zrobiła kilka kroków.

- Tak - powiedziała. W jej głosie nie było słychać wielkiego entuzjazmu.

- A co się mówi, dostając ładny prezent? - spytał Jiirgen.

- Dziękuję - powiedziała Rena.

Było kilka minut po dziesiątej, kiedy osiodłała kobyłkę i pojechała na niej w teren. Staliśmy na podwórku i patrzyliśmy, jak się oddala. Matka powiedziała:

- Dostaję gęziej skórki, kiedy to widzę. Takie wielkie zwierzę.

Ojciec spytał Jiirgena:

- Ile za nią dałeś?

- Jeszcze nic - odrzekł Jiirgen. - Najpierw przekonajmy się, czy to zda egzamin i czy ona rzeczywiście wybije sobie Mattho z głowy. Hennessen powiedział, że z Bellajeszcze nigdy nie miała do czynienia. Dotąd zawsze jeździła na kasztance. Ale tamtej nie chciał sprzedać. Ona jest żrebna. Ojciec pokiwał głową ze zrozumieniem.

- To spytam inaczej. Ile Bella będzie kosztować?
- Piątkę - powiedział Jurgen. - To jeszcze da się jakoś przełknąć.

W południe Rena nie wróciła do domu i nie spodziewaliśmy się tego.

- Przed podwieczorkiem już jej nie zobaczymy - powiedział Jurgen.

O czwartej wróciła, pieszo. Poszła do swojego pokoju, umyła się, przebrała i zeszła na dół. Matka zadała sobie wiele trudu, przygotowując podwieczorek. Dwa świeżo upieczone torty i ciasto urodzinowe z płonącymi świeczkami. Rena zdmuchnęła świeczki, wzięła kawałek ciasta na talerz i złapała za widelec.

Zanim wsadziła pierwszy kęs w usta, powiedziała:

- Bella nie jest taka szybka jak Mattho, ale dobrze skacze.

On czasami płoszy się przed przeszkodą. Hennessen uważa, że to zależy od wieku, i że on z czasem się uspokoi i nabierze rozsądku. Chciałabym wiedzieć, kto go kupił. Hennessen chciał za niego osiemnaście tysięcy marek, wiedzieliście o tym?

- Nie - powiedział Jurgen.

Kęs na widelcu szybował jeszcze w połowie drogi między talerzem i ustami Reny.

- A ile daliście za Bellę? Chyba nie tyle, co?

Jurgen zaśmiał się.

- A czyja cię pytałem, ile kosztowała ta pianka po goleniu,

którą mi dałaś na urodziny?

- Przepraszam - mruknęła Rena i nareszcie włożyła widelec do ust. Jeśli rano czuła się zawiedziona, to po południu już jej przeszło. Jestem o tym przekonana, a potwierdziło to jej zachowanie.

20

Po podwieczorku wyciągnęła ze stodoły swój rower i znowu znikła. Na kolację spóźniła się o dziesięć minut. Po zjedzeniu chciała jeszcze raz się wypuścić, aby powiedzieć Belli „dobranoc”. Jurgen powiedział, że jak na pierwszy dzień to wystarczy. O dziesiątej poszła na górę do swojego pokoju.

W poniedziałek rano o siódmej siedzieliśmy wszyscy przy śniadaniu. Śniadanie jadalіśmy zawsze razem, choć Jurgen i ja musieliśmy w tym celu wstawać wcześniej. Ale Jurgen i tak miał w sobie wewnętrzny zegar, który go budził punktualnie

o szóstej. A dla mnie te pół godziny wspólnie spędzone na początku dnia było bardzo ważne. Dzieci potrzebują ciepła

i poczucia bezpieczeństwa, nawet jeśli mają już szesnaście lat.

O wpół do ósmej dziewczyny wsiadły na swoje rowery. Przeważnie jeździły rowerami do szkoły, także w zimie. Do przystanku autobusowego we wsi jest więcej niż kilometr. Zanim by tam doszły, rowerem mogły już prawie być u celu. Szosa jest siedem kilometrów, ale polami tylko cztery. Jeździły zawsze połą drogą, która jest bezpieczniejsza niż szosa z niebezpiecznymi zakrętami i drzewami.

Jurgen i ja wychodziliśmy z domu o wpół do dziewiątej. Po przeprowadzce na wieś zaczęłam pracować z nim w jego gabinecie. Studiowałam przedtem medycynę, co prawda tylko do pierwszego egzaminu państwowego. Wkrótce potem zaszłam w ciążę z Anną i przerwałam studia. Niecałe dwa lata później urodziła się Rena. Ważniejsze dla mnie było zajęcie się dziećmi, niż dokończenie studiów. Tyle że dzieci tymczasem wyrosły już z tego wieku, w którym potrzebowały stałej opieki. A gospodarstwem w domu zajęła się matka. Ona nigdy nie robiła nic innego, poza prowadzeniem domu. Miała w tej dziedzinie czterdzieści pięć lat doświadczenia i z tym żadna córka nie byłaby w stanie konkurować.

Ja przez pierwsze tygodnie pobytu na wsi czułam się zbęd-na. I właśnie w tym momencie Jurgen stracił długoletnią pra-cownicę. Przez wiele lat był jedynym ginekologiem w mie-ście. Teraz osiedliła się tu młoda lekarka, i nasza dobra pani Sehl postanowiła przejść do konkurencji. Dla Jiirgena było to

21

dużym ciosem. Potrzebował pilnie kogoś na zastępstwo. Oj-ciec zaproponował, żebym to ja zajęła miejsce pani Sehl, za-miast bez pożytku spierać się z matką, czy okna trzeba myć co tydzień, czy tylko raz na dwa tygodnie.

Nie było to złym pomysłem i wymagania nie były znów takie wielkie. Asystowałam Jiirgenowi przy badaniach i po-magałam Sandrze Erken, naszej laborantce, która przychodziła tylko na pół etatu. Większość analiz w tej specjalności wysyła się wprawdzie do wykonania w innych laboratoriach, ale za-wsze trochę pracy zostaje. Próby ciążowe, badania mikrosko-łpowe na grzybicę i temu podobne przeprowadza się na miej-scu.

Tego ranka w poniedziałek pojechaliśmy bmw Jiirgena. Rano jeździliśmy zawsze razem, a po południu osobno. Jurgen często wieczorami miał jeszcze papierkową robotę. Uważał, że przynajmniej ja powinnam kończyć pracę punktualnie.

Na przerwę obiadową pojechaliśmy do domu, i o drugiej zasiedliśmy razem do stołu. Rena połknęła jedzenie szybciej niż zwykle. Miała jeszcze zrobić coś ważnego do szkoły. Anna obiecała jej w tym pomóc. Potem Rena musiała pilnie udać się do koni, żeby ujeżdżać Bellę. Jurgen uśmiechnął się słysz-ąc te słowa:

- Ujeżdżona to ona chyba już jest.

Rena była już na schodach na piętro i rzuciła tylko przez ramię:

- No tak, ale jednak musimy się do siebie przyzwyczać.

- To co innego - powiedział Jurgen.

Punktualnie o trzeciej byliśmy znowu w gabinecie. W tym momencie Rena pewno siedziała już w siodle. Tego popołu-dnia nie było wiele do roboty. Krótko po piątej wróciłam do domu. Rano świeciło jeszcze słońce, za to późne popołudnie zamieniło ogród w teatrzyk cieni. Zrobiło się chłodno i wietrz-nie.

Anna siedziała z książkami w ogrodzie zimowym i na chwili-łę usiadłam przy niej. Niewiele później wrócił też Jurgen. Po raz kolejny przeprowadził inspekcję obejścia i

rachował w pa-

22

mięci, ile może kosztować remont. Ojciec był zajęty w ogrodzie, a matka w kuchni.

Wtorek i środa nie różniły się od poniedziałku, tylko pogoda się popsuła. Niż atlantycki, mówili w telewizji. Na czwartek zapowiadali burze z dalszymi gwałtownymi opadami deszczu.

Rena większość czasu spędzała w ujeżdżalni. Nieczęsto mieliśmy okazję ją oglądać, wiem. Ale szesnastolatki już się nie prowadzi za rączkę jak małego dziecka. I w przeciwieństwie do wielu innych rodziców, my wiedzieliśmy w każdej chwili, co robią nasze dzieci i gdzie przebywają. Anna była w domu albo u Patricka, a Rena przy koniach.

Ujeżdżalnia Hennessena leży w kierunku zachodnim, jakieś trzysta metrów za ostatnimi domami na końcu wsi. Jak się idzie przez wieś, to są cztery kilometry. Ulica zatacza wielki półkolisty łuk. Natomiast cięciwą tego łuku jest droga polna przy starym nasypie kolejowym, która prowadzi od naszego siedliska prosto do Hennessena. Ta droga jest zamknięta dla normalnego ruchu. Nie jest też mądrze jeździć po niej samochodem.

Droga nie jest utwardzona, jeżdżą po niej traktory i jej stan jest opłakany. Koleiny mają głębokość co najmniej trzydziestu centymetrów. Są to dwie szerokie rynny, w których po obfitych opadach deszczu woda stoi jeszcze całymi dniami. Rowerem można przejechać bez problemu, jeśli trzymać się tej strony, do której dochodzą pola.

Rena zawsze jeździła rowerem. Tylko kiedy mocno padało, pozwalała zawozić się samochodem do ujeżdżalni mnie albo ojcu. Albo też telefonowała wieczorem, żeby po nią przyjechać. We wtorek i środę tak zrobiła. Raz pojechałam ja, raz ojciec.

W czwartek rano wiatr się uspokoił, a deszcz zmienił w mżawkę. Mimo to Anna wolała jechać szkolnym autobusem. Tłumaczyła się zapowiadaną burzą.

- Nie mam ochoty w taką pogodę tłuć się rowerem.

Rena zrzędziła:

23

- To będziemy w domu dopiero kwadrans po drugiej. A za-
nim doczłapiemy się tu od przystanku, przemokniemy do su-
chej nitki.

Anna nie dała się zmiękczyć, a Rena nie chciała sama je-chać rowerem. Pojechała w końcu razem z Anną.

Przed południem prognoza pogody potwierdziła się w ca-łej pełni. Już o dziesiątej niebo wyglądało jak smoła, a wiatr kręcił jak oszalały. Jurgen o wpół do dwunastej był umówio-ny w banku. Wychodząc powiedział:

- Ale będzie burza!

Spytał o parasol. Miała go Jaśmin, rejestratorka, która od-bierała telefony, zapisywała pacjentów i tak dalej. Jurgen chciał go od niej pożyczyć, żeby nie zmoknąć na krótkim odcinku do samochodu. Ale parasola nie dało się rozłożyć.

Kiedy Jurgen wychodził z gabinetu, w poczekalni siedzia-ły jeszcze dwie pacjentki. Starsza kobieta, która chciała się dowiedzieć tylko o wynik swojej mammografii, i ciężarna za-pisana na USG. Obiema mogłam zająć sieja.

W ten czwartek nie pojechaliśmy w zwykłym czasie do domu. Jiirgenowi dłużej zeszło w banku, niż przewidywał. Wrócił do gabinetu dopiero na krótko przed pierwszą i wtedy moglibyśmy wyjechać. Ale tymczasem lało już jak z cebra, a wycie wichru zagłuszało wszystko.

Kiedy Jurgen wszedł, stałam przy oknie w pokoju przyjęć. Po drugiej stronie ulicy wyszła z supermarketu duża, silna kobieta i skierowała się do swojego samochodu. Ciągnęła za sobą wózek z zakupami. Był wyładowany po brzegi. Gdy tyl-ko go puściła, żeby otworzyć drzwi samochodu, porwał go wicher. Wózek odjechał, podskoczył na kamieniu i przewró-cił się. Konserwy i inne artykuły potoczyły się po ziemi i roz-leciały na wszystkie strony.

- Popatrz tylko - powiedziałam.

- Nie muszę oglądać. Właśnie stamtąd wracam.

Jednak zbliżył się do okna. Przyglądaliśmy się, jak kobieta z mozołem zbiera swoje towary i ładuje do samochodu.

- To Annegret Kuhlmann - powiedział Jurgen. - Lepiej by zrobiła, gdyby odłożyła zakupy do jutra. Przy takiej pogodzie psa z domu żal wygonić. A ta jeszcze ma ze sobą dzieci.

Z dezaprobatą pokręcił głową. Na moment za szybą samochodu zobaczyłam twarz jednego z maluchów. Jurgen powiedział:

- Poczekamy aż się uspokoi.

Ale nie chciało się uspokoić. Krótco po drugiej mimo to wyruszyliśmy w drogę. W mieście było jeszcze jako tako. Ale gdy tylko znaleźliśmy się na szosie, Jiirgenowi z trudem przy-chodziło zapanować nad samochodem.

Na odkrytym odcinku drogi doszło do ciężkiego wypadku. Na polu leżał wywrócony na dach jakiś samochód. Musiał kilka razy przeokożkować, był tak zgnieciony i zabłocony, że nie mogłam rozpoznać marki ani koloru.

Na miejscu była policja i straż pożarna; wydobyli już dwójkę pasażerów. Przy drodze leżały ciała w plastikowych płachtach. Płachty trzepotały na wietrze. Kiedy przejeżdżaliśmy obok, jedna z nich się rozdarła do połowy, odsłaniając całkiem zdeformowaną, krwawą masę.

Z uczuciem ulgi zajechaliśmy wreszcie na podwórko. Mat-ka była w złym humorze, że wracamy tak późno.

- Teraz muszę podgrzewać obiad.

- Daj spokój - powiedziałam.

Straciliśmy apetyt. Opowiedziałam matce o wypadku. Za-stanawiała się, czy to ktoś ze wsi. Potem zajęła się roślinami w zimowym ogrodzie. Ojciec po obiedzie poszedł się poło-żyć. Robił to regularnie. W nocy nie spał już dobrze i w ciągu dnia lubił pospać godzinkę.

Anna była w swoim pokoju. Od niej dowiedziałam się, że Rena ledwie zdążyła połknąć jedzenie i jakieś dziesięć minut przed naszym przyjazdem wyruszyła do ujeżdżalni. Rowerem!

- Czy ona zwariowała? - spytałam. - Przecież przy takiej pogodzie rowerem nie ujedzie daleko. Dlaczego nie czekała albo nie poprosiła dziadka, żeby ją podwiózł?

- Babcia odradzała jej wyjazd - oświadczyła Anna. - A ty wiesz, jaka ona jest. Złapała swój płaszcz przeciwdeszczowy i wzięła ze sobą suche rzeczy na zmianę.

25

Rena nie powiedziała, kiedy wróci, ani czy chce, żeby po nią przyjechać. Za to zwierzyła się Annie w autobusie, że jutro będzie chora.

- Oni piszą jutro klasówkę - powiedziała Anna. - Z matematyki. Wobec tego porządny katar będzie jej na rękę.

Matematyka była słabym punktem Reny. Na ostatnim świątecznym egzaminie uzyskała ledwo mizerną trójkę. I nie było pewności, czy uda się jej choćby przy tym pozostać.

Wymagania wzrosły. Anna przygotowywała się do matury i nie zawsze miała czas jej pomagać. Myślałam już o korepetycjach, ale Jiirgen powiedział, że nie każdy może być geniuszem i że pozostanie na drugi rok w tej samej klasie to jeszcze nie powód, żeby rwać włosy z głowy. Nawet Einsteinowi się to raz zdarzyło.

Powiedziałam do Anny:

- Niech dziadek pojedzie po nią o piątej. W ten sposób oszczędzimy jej kataru, a ona będzie mogła porobić jeszcze trochę zadań.

Anna kiwnęła głową.

- Powiem mu, kiedy wstanie.

Ja nie mogłam mu powiedzieć. Musieliśmy wracać do gabinetu. Jiirgen upierał się, żebyśmy wyjechali wcześniej niż zwykle i żebym zostawiła mój samochód. Ojciec jeszcze spał, kiedy wyjechaliśmy z domu.

W czwartek po południu gabinet był otwarty od siedemnastej do dziewiętnastej. Było dziewięć zgłoszeń, a dwie kobiety przyszły nie zapisane. O wpół do siódmej Jaśmin poszła do domu, a kwadrans później przy rejestracji zjawiała się Eva Kettler. Miała na sobie obcisłe czarne spodnie i biały sweter. Dziergany w jodełkę! Jej piersi rzucały się w oczy jak dwie góry na dziecięcym rysunku.

Wciąż jeszcze myśl o tym doprowadza mnie do pasji! Po-nieważ pamiętam to tak

dokładnie, a nie pamiętam, czy Rena przy śniadaniu miała na włosach białą klamrę, czy przepaskę. Może to normalne. Człowiek żyje zwykłym trybem, nie zwraca uwagi na fryzurę córki, a zapamiętuje jakiś rajcujący ciuch na babie, którą wszyscy wolą oglądać od tyłu.

26

Eva Kettler miała trzydzieści dwa lata i od kilku lat leczyła się na różne przypadłości. Jiirgen powtarzał mi stale, że to ma u niej podłoże psychiczne. Miałam wrażenie, że ona przycho-dzi z nudów. Była jedną z tych kobiet, które nie wiedzą, co począć z sobą i swoim czasem. Mąż, kierowca na dalekich tra-sach, często wyjeżdżał; dzieci nie mieli. Ona nie pracowała, a na drodze rozrywki pieniędzy nie wystarczało.

Nigdy nie lubiłam Ewy Kettler. Wobec mnie zachowywała się okropnie! Odstawiała zawsze ten sam teatr. Ja nigdy nie chciałam, żeby pacjentki tytułowały mnie panią doktor. To nie jest mój tytuł, dla mnie wystarczyłoby: pani Zardiss. Ale dla Ewy Kettler byłam tylko paniusią; mało znaczącą osobą, któ-rej istnienia się nie zauważa.

Na szczęście rzadko miałam okazję ją widywać. Jiirgen wie-dział, że nie mogę jej znieść i przykazał Jaśmin, żeby zapisy-wała ją, jeśli tylko może, na późne terminy. Ona i tak prze-ważnie chciała tylko pogadać, a przy tym nie musiałam być obecna.

Zdziwiła się, że jestem jeszcze w gabinecie.

- Cóż to, czy paniusia dzisiaj odwała nadgodziny?

Potem wypowiedziała swoje zwykłe zdanie:

- Chcę mówić z doktorem osobiście, ale to już!

Jiirgen był jeszcze zajęty. Eva Kettler usiadła w poczekal-ni. Kiedy po paru minutach chciałam ją zawołać, znikła bez wyjaśnienia.

Na krótko przed ósmą wyruszyliśmy do domu. Przyjecha-liśmy tam dobre pół godziny później. Zwykle nie zajmuje to nam nawet dziesięciu minut. Pokonując dwadzieścia metrów od stodoły do domu oboje przemokliśmy do cna. Jiirgen przez chwilę zatrzymał się w drzwiach i kręcąc głową popatrzył na oborę. Na podwórku walały się kawałki połamanych dachó-wek. Dach obory był uszkodzony już wtedy, kiedy się wpro-wadzaliśmy. Dotąd nie troszczyliśmy się o to. Teraz burza zry-wała pozostałe jeszcze dachówki ciskając nimi dookoła.

Musieliśmy najpierw pójść na górę, żeby się przebrać i wy-suszyć włosy. Drzwi do

pokoju Reny były zamknięte. Pomy-

27

siałam, że od piątej zajmuje się swoimi lekcjami i jest na mnie wściekła. W końcu to przeze mnie musiała spędzać czas ze zniechęconą matematyką zamiast przy koniach. Wolałam więc jej nie przeszkadzać. Równie dobrze mogłabym powiedzieć, że nie miałam ochoty napotkać jej udręczonego spojrzenia.

Moi rodzice siedzieli w dużym pokoju przed telewizorem. Matka powiedziała krótko, że o wpół do piątej po Annę przyjechał Patrick. Nie umiała powiedzieć, kiedy wróci. Nic więcej matka nie powiedziała. Była jeszcze trochę obrażona, że w południe pogardziliśmy jej warzywnym daniem z wędzonymi wieprzowymi żeberkami.

Garnek z zupą stał w lodówce. Był jeszcze do połowy pełny. Na wierzchu zebrała się gruba warstwa tłuszczu, a pod nią pływało parę kawałków mięsa, mnóstwo porów, fasoli, kartofli, selerów i marchewek. Nie lubię gotowanych marchewek, a seler przyprawia mnie o mdłości. Nabrałam z garnka porcję dla Jiirgena, mniejszą dla siebie, szybko podgrzałam zupę w mikrofalówce, bardziej, żeby zrobić uprzejmość matce, niż z apetytu. Zostaliśmy z naszymi talerzami w kuchni. Jiirgen chciał jeszcze napić się kawy, filiżanki zabraliśmy ze sobą do dużego pokoju.

Telewizor był za głośno nastawiony. Jiirgen wziął ze stołu pilota i ściszył dźwięk. Potem rozparł się w fotelu. Na dworze była już ciemna noc.

- Ale psia pogoda - powiedział. - Po całym podwórku walają się skorupy. W najbliższym czasie ze stajni nici. Teraz tam na pewno pełno wody.

Ojciec nie zareagował, jak urzeczony wpatrywał się w ekran. Matka kiwnęła lekko głową i spytała, jak smakowało nam odgrzewane danie.

- Wyśmienicie - powiedziałam. - Dobry Eintopf po podgrzaniu smakuje prawie lepiej niż świeżo przyrządzony.

- Także w południe był znakomity - broniła się matka.

- Przecież w to nie wątpiłam.

- Tylko Rena znowu kręciła nosem. Żeberka były jej za

tluste. Mięsa nawet nie tknęła.

28

Poza tym nie powiedziała ani słowa o Renie. Zamiast tego zapytała, czy tymczasem dowiedzieliśmy się, kto wczesnym popołudniem zginął w wypadku. Gdzie mieliśmy się tego do-wiadywać?

Ojciec chwycił za pilota, znowu nastawił głośniej telewizor i zwrócił Jiirgenowi uwagę, że nadają program specjalny. Cho-dziło o wybryki skrajnej prawicy. Na ekranie było widać paru krótko ostrzyżonych chuliganów, którzy maszerowali, wyli i krzyczeli. Widziałam koktajle Mołotowa, grube kije i pełną napięcia minę ojca.

Kiedy Jiirgen podniósł się z fotela, żeby przyciszyć telewi-zor guzikiem na odbiorniku, ja również wstałam i podeszłam do drzwi.

- Zobaczą, co porabia Rena.

I dopiero wtedy matka powiedziała:

- Jeszcze jej nie ma.

W pierwszej chwili pomyślałam, że Rena po kolacji jesz-cze raz pognęła do stajni. Matka oznajmiła, że nie przyszła na kolację.

- Miała być w domu o piątej. Dlaczego ojciec po nią nie pojechał? Powiedziałam Annie, żeby go o to poprosiła.

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedziała matka.

Pomyślałam, że Anna zapomniała. Spojrzałam na ojca, ale

on miał oczy wlepione w wydarzenia na ekranie. Tam właśnie umundurowany policjant dociskał do ziemi młodocianego awanturnika o agresywnym wyglądzie. Jiirgen uśmiechnął się krzywo i powiedział:

- Powinno się tym idiotom kazać szorować kwatery dla azylantów. Każdemu kubek wody w łapę i ścierkę, a nad każ-dym postawić rosłego wojownika Bantu z pepczem. To była-by dobra metoda.

Ojciec nie zwracał na niego uwagi. Siedział pochylony do przodu na tapczanie i ze

zmarszczonym czołem słuchał słów komentatora. Nie miało sensu mówić do niego teraz. Nie było też powodów do troski, nie w tej chwili.

29

- No to już najwyższy czas, żeby wróciła do domu - powiedziałam, podeszłam do telefonu i wykreciłam numer do Hennessena. Sygnał był, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Jiirgen powiedział:

- Pewnie są w stajni.

A w stajni nie było telefonu.

Z powrotem usiadłam w fotelu. Ojciec wstał i nastawił głośniej telewizor. O wpół do dziesiątej spróbowałam po raz drugi. Znowu bez skutku, tym razem telefon był zajęty. A Jiirgen powiedział:

- Już ona się odezwie, kiedy będzie chciała, żeby po nią przyjechać. Na pewno nie będzie wracać rowerem, nie ujechałaby nawet dziesięciu metrów.

Minęło jeszcze piętnaście minut. Za kwadrans dziesiąta na ekranie zamigotały plansze kończące program specjalny. Dała część programu nie ciekawiła ojca. Poszedł na górę posłuchać muzyki. Po raz trzeci podeszłam do telefonu. Tym razem natychmiast ktoś się odezwał. Przy aparacie była siostra Hennessena. Hennessen miał pięćdziesiąt cztery lata i był kawalerem. Dom prowadziła mu siostra. Znałam ją przelotnie, ale nie wiedziałam, jak ma na imię. Spytałam o Renę i usłyszałam w odpowiedzi:

- Ach, ona odchodzi od zmysłów z rozpaczy. Ten gniady diabeł kopnął młodą klacz. Jest z nią marnie. Mój brat musiał wezwać lekarza.

Gniady diabeł to był Mattho, nie potrzebowałam pytać. Pomyślałam sobie, że młoda klacz to pewnie Bella. Wtedy nie byłoby rzeczywiście potrzeby tłumaczenia długiej nieobecności Reny. Podziękowałam za wiadomość. Nie powiedziałam wyraźnie, że ma przekazać Renie, że zaraz po nią przyjedziemy. Myślałam, że to będzie dla

niej oczywiste wobec obejrzenia chmury i huraganu.

W paru słowach objaśniłam Jiirgenowi sytuację i byłam przekonana, że od razu wyruszy w drogę. Ale on powiedział:

- Teraz i tak już za późno, żeby wiele zrobić z matematyki.

Zaczekajmy jeszcze pięć minut.

30

Czekać! Nienawidzę tego słowa. Nienawidziłam go już w dzieciństwie. Kiedy je słyszę, serce zaczyna mi walić, a ręce wilgotnieją. „Nie możesz poczekać, Vero?" To zdanie słyszałam kiedyś zbyt często. Kiedy byłam głodna, a ojca jeszcze nie było w domu:

-Nie możesz poczekać, Vero? Byłoby nieuprzejmie wobec ojca, zaczynać bez niego.

Kiedy miałam jakieś pytanie, a matka nie miała czasu albo chęci mi odpowiedzieć:

- Nie możesz poczekać, Vero? Przecież widzisz, że jestem zajęta.

- Nie możesz poczekać, Vero?!

Nie, nie mogłam. Jako dziecko byłam do tego zmuszana, a teraz nie byłam już dzieckiem. Miałam czterdzieści dwa lata i kiedy ktoś do mnie mówił: „Nie możesz poczekać?" albo „Zaczekajmy na razie" bądź „Zaczekajmy jeszcze pięć minut", to wpadałam w furję, jak nakręcona kluczykiem.

Kiedyś rozmawialiśmy o tym. Nie wiem już przy jakiej okazji. Ale nie zapomniałam, jak rozbawiło to Jurgena. Po-wiedział, że teraz zna czarodziejskie zaklęcie, żeby mnie do-prowadzić do szału. Ale nawet czarodziejskiego zaklęcia nie zawsze używa się świadomie. Nie wiem, czy powiedział to tylko dlatego, że nie miał ochoty przy takiej pogodzie jeszcze raz wychodzić z domu, czy też chodziło o skrót wiadomości, który akurat oglądał w telewizji.

Kiedy wyszłam do sieni, wydawał się poirytowany:

- Zaczekaj, Vero. Co ci się tak nagle zaczęło spieszyć? Przecież te pięć minut nikogo nie zbawi.

Nie odpowiedziałam. Kiedy zakładałam płaszcz, zawołał:

- Weź mój samochód. W twoim wylecisz z drogi. Tylko niech ci nie wpadnie do głowy wkładać jej rower do bagażnika. Przy tym wietrze nie dasz rady. Po prostu jutro będzie musiała iść pieszo.

Kiedy otworzyłam drzwi domu, deszcz uderzył mnie w twarz jak mokra ścierka. Poryw wichru wyrwał mi drzwi z ręki, uderzając nimi o ścianę sieni. Jurgen zawołał:

31

- Tylko trzymaj mocno drzwiczki samochodu, kiedy będziesz wysiadać!

O rozkładaniu parasola nie było co marzyć. Poszłam jeszcze raz do garderoby i zawiązałam sobie chustkę na głowie. Potem pobiegłam do stodoły. Na drogę do wsi i przez wieś potrzebowałam prawie trzy razy tyle czasu, co zwykle. Mogłam jechać tylko w żółtym tempie. Na szosie z powodu wiatru i połamanych konarów drzew, a we wsi z powodu wody.

Główna ulica zmieniła się w rwący strumień. Ze studzienek ściekowych woda wybijała do góry, zamiast w nie spływać. Przy kasie oszczędnościowo-pożyczkowej zobaczyłam straż pożarną w akcji. Przy tak gwałtownych opadach deszczu często były problemy z kanalizacją. Kiedy kupiliśmy gospodarstwo, rada gminy debatowała nad zbiornikiem retencyjnym, który był pilnie potrzebny. Do tej pory jeszcze go nie wybudowali.

Dokładnie o wpół do jedenastej dotarłam do Hennessena. Wiem na pewno, ponieważ patrzyłam na zegarek. Wiem także, iż po drodze napotkałam tylko dwa inne pojazdy: ciężarówkę z przyczepą i prastary model czerwonego kadeta kombi. Szarego mikrobusu nie widziałam! Wiem dokładnie, dla tego że jechałam środkiem drogi i musiałam zjeżdżać na prawo, aby przepuszczać jadących z przeciwka. Na przechodniów nie zwracałam uwagi. Jeśli był tam ktoś, kto się przemykał pod ścianami domów, żeby znaleźć trochę ochrony... Ja nie widziałam nikogo. Nie spodziewałam się także, żeby ktoś mógł iść pieszo.

U Hennessena wszystko wydawało się wymarłe. Dom mieszkalny, ujeżdżalnia i wielki wewnętrzny dziedziniec tończyły w ciemnościach. Przy bramie stała latarnia, ale nie sięgała powyżej muru. W świetle reflektorów zobaczyłam, że na podwórku nie ma żadnego samochodu. A więc weterynarz i siostra Hennessena już stąd wyjechali.

W tylnej części stajni żółty blask wpadał przez dwa wyso-ko umieszczone i prawie nieprzezroczyste z brudu okna. Wrota były otwarte, co przy takiej pogodzie było czymś niezwykłym.

32

Podjechałam bmw tak blisko, jak tylko się dało, wysiadłam, zatrzasnęłam za sobą drzwiczki samochodu i jednym susem znalazłam się pod dachem. Nikogo nie było widać, tylko z bok-sów wystawało kilka końskich łbów.

Hennesen miał w swojej stajni dwanaście boksów, po sześć z każdej strony, a między nimi było przejście. Przy wejściu do stajni była jeszcze wolna przestrzeń, gdzie przechowywa-no sprzęt. Tam się zatrzymałam. Nie chciałam przechodzić między końmi. One zawsze wystawiały swoje głowy nad drzwiami, kiedy ktoś przyszedł. Korytarz był wprawdzie sze-roki, ale... Po prostu nie chciałam. Nie byłam wielką miło-śniczką zwierząt.

W przedniej części było wilgotno, zimno i ciemno. Wyda-wało się, że większość koni już śpi. Bella stała jeszcze w dru-gim boksie po lewej stronie. Poczulałam ulgę, kiedy ją zoba-czyłam. Trudno sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby zo-stała poważnie ranna. Jeszcze dobrze pamiętałam dramat ze stycznia. Kiedy trzeba było uśpić Blacky, Rena omal nie umarła razem z nią, chociaż niewiele miała do czynienia z tą arabską klaczą.

Zawołałam Renę i dalej z tyłu, gdzie widać było światło, podniósł się Hennesen. Klęczał w ostatnim boksie na ziemi, podniósł rękę w geście pozdrowienia i zawołał:

- Dobry wieczór pani Zardiss. Zaraz do pani przyjdę.

Wiedział, że nie dzieliłam miłości Reny do koni. Wyszedł

z boksu i powoli zbliżył się do mnie, wytarł ręce w spodnie i wyciągnął do mnie prawą. Nie po to, żeby mi podać rękę, tego nigdy nie robił. Nie wiem, czy może źle zrozumiał moje wołanie. Zdawało mi się, że sądzi, iż przyszłam zapłacić za Belle.

- To był dobry wybór - powiedział, kiedy był dostatecznie blisko. - Z Mattho nie mielibyśmy tyle szczęścia. Ta bestia kopnęła kasztankę w brzuch. Ona wcale nie chce wstać. Mam nadzieję, że nie straci żrebaka.

Zatrzymał się tuż przede mną. Na jego spodniach były plamy. W ciemności nie widziałam, czy to krew, czy tylko wilgoć.

33

- Ja tylko przyszłam po Renę - powiedziałam.

Spojrzał na mnie zdumiony.

-A co, jeszcze nie ma jej w domu? Ja jej radziłem iść przez wieś. Ale wtedy musiałyby wpaść prosto na panią.

Nie widziałam jej. Hennesen podrapał się w głowę i powiedział z powątpiewaniem:

- A może poszła polami? Ale nie mogę sobie tego wyobrazić. - Potem wpadło mu do głowy: - Na pewno zatrzymała się u Udo.

Nie chciałam się dowiadywać o adres Udo, uważałam to zresztą za zbyt bezpieczne. Udo był rozsądnym młodym człowiekiem, miał samochód i na pewno ją odwiezie. Spytałam tylko:

- Od jak dawna jej nie ma?

Hennesen wzruszył ramionami.

- Jakies pół godziny. Dokładnie nie potrafię powiedzieć.

Moja siostra tu przyszła i powiedziała, że pani dzwoniła. Wtedy ona poszła. Jeszcze jej powiedziałem: „Zaczekaj tu lepiej, bo na pewno ktoś po ciebie przyjedzie”. Ale ona pozbierała swoje manatki i czmychnęła jak łasica.

Pożegnałam się.

- Ukłony dla doktora - zawołał za mną Hennesen. -1 niech pani jedzie ostrożnie. Słyszała pani? Dzisiaj w południe An-negret Kuhlmann zmiotło z drogi. Miała dzieci w samochodzie. Wszyscy troje nie żyją. Kuhlmann musieli zaraz za-

brać. Chciał się wieszać, kiedy przyszła policja. Moja siostra właśnie mi to opowiedziała.

Annegret Kuhlmann! Ta duża, silna kobieta koło supermar-ketu. Widziałam ją jeszcze przed sobą, jak schyla się po ucie-kające po ziemi puszkę z konserwami. I twarz dziecka za szy-bą samochodu. A potem kłębowisko blachy na polu i krwawy tłumok pod plastikową plandeką. Na chwilę wszystko pode-
szło mi do gardła.

- Przejeżdżaliśmy koło miejsca tego wypadku. Ale nie wie-
działam, kto to jest.

Hennesen pokiwał ciężko głową.

34

- Okropne, coś takiego - powiedział i wrócił do ostatniego
boksu.

W drodze powrotnej jechałam jeszcze wolniej, mając wra-żenie, że samochód mi gdzieś odpływa. Bałam się, że koło mi wpadnie do jakiejś otwartej studzienki kanalizacyjnej. Zda-rzało się już nieraz, że przy takich silnych deszczach woda wypychała do góry pokrywy. Jechałam znowu środkiem uli-
cy. Dlatego wiem na pewno, że w drodze powrotnej nie napo-
tktałam żadnego pojazdu.

Zostawiłam za sobą niekę, w której leży wieś, podjecha-
łam nieco szybciej na wzniesienie, licząc na to, że spotkam się z samochodem Udo. Skręciłam w prawo, przejechałam ostatnie czterysta metrów do naszej bramy. Nic!

Nie miałam ochoty jeszcze raz przechodzić przez podwó-
rze w strugach deszczu, toteż postawiłam bmw przed drzwia-
mi wejściowymi. Dwoma ogromnymi susami wskoczyłam pod daszek i dalej do sieni. Z pierwszego piętra usłyszałam grzmot ulubionej muzyki ojca, Pierścienia Nibelunga Wagnera.

Jurgen siedział w dużym pokoju z kieliszkiem Remy Mar-
tin. Matka poszła do łóżka, a Anny jeszcze nie było. Jurgen zdumiał się, że wróciłam sama. Powiedziałam mu o przypusz-
czeniu Hennesena, że Rena poszła do Udo. Jurgen powie-
dział:

- To niech jąUdo tutaj przywiezie. Zaczyna robić się późno.

Zatelefonował. Stałam obok niego i zorientowałam się po

jego minie, że rozmówca nie udzielił zbyt uprzejmej odpowiedzi. Jurgen odłożył słuchawkę i skrzywił się.

- Do diaska, ależ był opryskliwy. U Udo jej nie ma. Nikt jej też nie widział.

Z początku nie martwiłam się o Renę. Wprost przeciwnie, byłam zirytowana. Słowa Anny o chorobie następnego dnia, i określenie Hennessena, że Rena czmychnęła zwinnie jak ła-sica, pozwalały tylko na jeden wniosek: Rena wybrała drogę przez pola. Wiedziała, że nie mogliśmy tam za nią pojechać samochodem. Będzie miała potężny katar, dobre usprawiedliwienie, żeby następnego ranka pozostać w łóżku.

35

Jurgen był rozbawiony moim zirytowaniem.

- Nie denerwuj się Vero. Wiesz przecież, jaka ona jest, kiedy chodzi o matematykę.

- Ale my nie możemy tego puścić płazem.

Jurgen wzruszył ramionami i uśmiechnął się z przekąsem. Zdjęłam chustkę i płaszcz, buty i pończochy. W przeciwieństwie do Reny, która chodziła wyłącznie w grubych dzinsach, ja nosiłam spódnicę. Była z przodu przemoczona. Jurgen domagał się, żebym ją zdjęła. Dał mi też coś do picia. Nazywał to naszym napojem nasennym. Każdego wieczora ta sama ceremonia. Kiedy kieliszki były puste, szliśmy do łóżka.

Potem siedzieliśmy, mając uszy pełne Wagnera, jakby pu-zony ogłaszały koniec świata. Że też matka może spać przy takim hałasie! Rozmawialiśmy o Hennessenie, który chyba nie myślał poważnie, że o wpół do jedenastej w nocy tłukę się do niego w taką psią pogodę tylko po to, żeby zapłacić za Bellę, i któremu w najbliższych dniach musimy wręczyć czek. O kazaniu dla Reny, które mocno sobie postanowiłam wygłosić, a które Jurgen uważał za zbędne. O Evie Kettler i jej impertynencji. Jurgen obiecał znowu, że z nią pomówi.

Rozmawialiśmy także o tragedii rodziny Kuhlmannów i o reakcji Kuhlmana na wiadomość o śmierci żony i dzieci. Jurgen znał go, wyrósł tu na wsi i znał prawie wszystkich.

- On znowu spróbuje - powiedział. - Kiedy tylko nadarzy

mu się okazja. Zawsze miał skłonność do depresji i już dawno powinien udać się do terapeuty. Ale jak ktoś tutaj idzie do psychologa, to inni mają go za wariata. Więc żaden się dobrowolnie na to nie zdecyduje. Kuhlmann miał oparcie w Annegret.

Jurgen pokręcił głową i mruknął:

- Biedaczysko. Oni obaj są biedni, ściśle biorąc. Dla Udo to może być jeszcze gorsze.

Annegret była z domu von Wirth, wyjaśnił Jurgen, była siostrą bliźniaczką Udo.

- To Rena z całą pewnością poszła do niego! Dowiedziała się od siostry Hennessena, co się stało.

36

A Rena miała dobre serce. Nie znosiła, kiedy jakiś człowiek cierpiał albo się smucił i ze wszystkich sił starała się go pocieszyć. Jiirgen na nowo pokręcił głową.

— Vero, u żadnego z von Wirthów nikt jej nie widział. Ona siedzi gdzieś na polu i nie spieszy się. Wie dobrze, że kiedy jest na tamtej drodze, nie możemy wyjść jej naprzeciw.

Wyjść możemy, pomyślałam, tylko nie możemy pojechać. Od czasu do czasu spoglądałam na zegar i myślałam, że ona wkrótce musi tu być. Ale Rena się nie zjawiała.

2.

O

wpół do dwunastej na piętrze zaległa cisza. Ojciec dopełnił swego wieczornego wagnerowskiego rytuału. Hałas muzyki zagłuszał dotąd łomot na dworze i pozwalał mi mieć wrażenie, że wszystko jest tak, jak zawsze. Cisza, która nagle zaległa w całym domu, wprawiała mnie w zdenerwowanie.

- Ona jest już w drodze od półtorej godziny - powiedzia-
łam. - Od dawna powinna tu być. To przecież tylko dwa kilo-
metry.

Jurgen uśmiechnął się pod nosem.

- Dwa kilometry w taką burzę. A jeśli słuszne są twoje przy-
puszczenia, to ani metra nie przejdzie szybciej, niż to koniecz-
ne. O ile w ogóle idzie. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby przy-
cupnęła pod pierwszym przejściem w nasypie. Tam nie zmok-
nie i będzie trochę osłonięta przed wiatrem. Najlepiej napisz
już teraz usprawiedliwienie do szkoły. A potem pójdziemy
spać. Nie mam zamiaru przesiedzieć pół nocy w fotelu, cze-
kając, aż nasza szanowna córka raczy się zwlec. Muszę się
wyspać.

W nasypie kolejowym są dwa przejścia, żeby rolnicy ze swoimi traktorami i
maszynami nie potrzebowali robić dalekich objazdów przez wieś. Tylko nie mogłam
sobie wyobrazić, żeby Rena schowała się w jednym z nich. To nie była pierwsza
klasówka z matematyki, której wolałaby nie pisać. A jeszcze nigdy nie wróciła tak
późno do domu. Musiała wie-dzieć, że się o nią martwimy, kiedy jej tak długo nie
ma.

Za kwadrans dwunasta powiedziałam:

- Nie mogę położyć się do łóżka, kiedy nie ma jej w domu.

Musimy jej poszukać. Coś jest nie tak. Ona by tego nie zrobi-
ła. Może jej się coś stało.

Jurgen niechętnie zmarszczył czoło.

38

- Co by jej się miało stać?

Nie wiem, dlaczego przyszło mi raptem na myśl: Susi Rem-bach, wiek pięć lat, utonęła w morzu. Nie, nie w morzu, na plaży, na płytkiej wodzie! Może to tylko dlatego, że tak szczer-gółowo rozmawialiśmy o Annegret Kuhlmann i o dwojgu jej dzieci. Przed oczami stanęły mi nagle okropne obrazy. Jeśli Rena musiała prowadzić swój rower, to nie miała światła. Mogła się pośliznąć i upaść na ciemnej, wyboistej drodze. Upaść twarzą w jedną z kolein wypełnionych wodą...

- Nie wygaduj głupstw - zbeształ mnie Jurgen. - Ona zna tę drogę jak własną kieszeń.

Naturalnie, ale były też inne jeszcze możliwości. A gdyby ktoś jeszcze jechał traktorem i nie zauważył Reny!

- Nie wpadaj w histerię, Vero! - Jurgen był poirytowany. - Jak ci się zdaje, kto o dziesiątej albo wpół do jedenastej w noc cy tłucze się jeszcze traktorem po drodze? W dodatku przy takiej psiej pogodzie! Przy najlepszych chęciach nie potrafię sobie wyobrazić, żeby oprócz Reny ktoś jeszcze włączył się po polu.

O dwunastej poszedł na górę.

- Jestem zmęczony, do diabła. Idziesz, czy nie?

Pokręciłam głową, poszłam do kuchni i stanęłam przy oknie.

Tam mogłam wyglądać na podwórze i obserwować bramę. Niewiele można było zobaczyć, a kiedy w kuchni paliło się światło, to nie było widać nic.

Zgasiłam światło wewnątrz, a zamiast tego zapaliłam lam-pę nad drzwiami domu i obie lampy na podwórzu. Nawałnice deszczu przechodziły przez kręgi żółtego światła. Wyglądało to jak tumany mgły. Kilkakrotnie słyszałam łomotanie. Wiatr uderzał drzwiami stajni o mur, zrywał ostatnie dachówki z jej dachu i ciskał o ziemię, jak krnąbrne dziecko swoje zabawki.

Na cyfrowym wskaźniku radia z budzikiem, którego słu-chała dla rozrywki matka w kuchni, było siedem po dwuna-stej, kiedy w bramie pojawiła się para reflektorów. Na chwilę głowę i piersi przepełniła mi ulga, ale potem rozpoznałam sa-mochód Patricka Urbana. Anna siedziała jeszcze przez chwi-

łę w samochodzie, a po pożegnalnym pocałunku jednym su-sem wpadła pod daszek nad wejściem i do sieni.

Znowu poryw wichru uderzył drzwiami stajni i zakołysał jedną z lamp na podwórzu. Wielki kawał papy przeleciał jak żagiel przez podwórze. Bóg jeden wie, skąd się wziął.

Anna podeszła do kuchennych drzwi. Otrząsnęła się jak mokry pies, włączyła światło. Chciała się jeszcze napić soku, zobaczyła mnie i zdziwiła się.

- Co ty tu robisz? Pilnujesz samochodu taty? Wprowadź go lepiej do stodoły, bo inaczej jutro będzie poobijany.

Kiedy jej wyjaśniłam, dlaczego stoję przy oknie, wytrzeszczyła na mnie oczy pełne zaskoczenia i niedowierzania.

-1 myślisz, że samym patrzeniem sprowadzisz ją do domu? Wy to macie nerwy!

Spojrzała po sobie, potem na moje gołe nogi.

- Załóż coś na siebie, pójdziemy jej poszukać.

Pół godziny temu! Jeszcze dzisiaj słyszę głos Hennessena. O pół godziny za późno! Gdybym wyruszyła po pierwszej próbie telefonowania albo przynajmniej po drugiej. Gdybym poprosiła siostrę Hennessena: „Proszę jej przekazać, żeby na mnie czekała”. Gdyby matka od razu po naszym powrocie do domu puściła parę z ust. Gdyby ojciec nie zignorował mojej prośby. Gdyby Anna nie zapomniała mu jej przekazać. Anna uważała, że nie miał odwagi, bo matka opowiedziała mu o wypadku. Gdyby... Tylko pół godziny! A tymczasem wystarczy już parę minut, żeby wyrąbać nacięcie w pniu, który wydawał się trwać niewzruszony. Przez dwie i pół godziny zetnie się najgrubsze drzewo.

Kiedy wyszliśmy z domu, było wpół do pierwszej. Propozycja Anny sprowadziła Jiirgena jeszcze raz na dół. Nie był w najlepszym humorze, ale uznał, że Anna powinna znaleźć się w łóżku. Nie był zaniepokojony. Trzymał się swojej wersji: Rena siedzi pod nasypem.

- Już ja jej powiem do słuchu - groził. - Nie potrzeba, żebyśmy wszyscy dostali kataru.

To było moje najmniejsze zmartwienie. Zakładając spodnie myślałam już o gorącej kąpieli i herbacie. Mój płaszcz był zbyt przemoczony, żeby go jeszcze raz zakładać. Wzięłam kurtkę Anny i jej gumowce. Jiirgen, z chrząknięciem, które mogłoby być też przekleństwem, zdjął z wieszaka w garderobie swoją kurtkę z lodenu.

Nigdy dotąd nie nosił jeszcze tej kurtki. Kupił ją, bo prawdziwemu wieśniakowi wypada mieć coś takiego. Potem sam uznał, że śmiesznie w niej wygląda. Jiirgen ma tylko 1,65 m wzrostu i nigdy nie był szczupły. Nie wiem, ile ważył. Nigdy nie mówiliśmy o jego tuszy. Nie jestem nawet pewna, czy kiedykolwiek stanął na wadze. Nigdy go nie krytykowałam ani nie wyśmiewałam się z jego postury. Ale kiedy po raz pierwszy pokazał się w tym zielonym wdzianku i paradował w nim tam i z powrotem po pokoju dumny jak paw, nie mogłam powstrzymać śmiechu. Odtąd kurtka wisiała na wieszaku w garderobie, jako dekoracja za pięćset marek. Czasami był dziecinny.

- Weźmiemy twój samochód - powiedział, wkładając gumowce.

- Nie, tym nie ujedziemy nawet stu metrów.

- Jakoś to będzie. Ja poprowadzę. W każdym razie na piechotę nie pójdę, a bmw nie wpakuję w to błoto. - Pokiwał głową ze złością i dodał: - Na resztę tygodnia będzie szlaban na ujeżdżalnię.

To były tylko dwa dni, ale zawsze coś. Musiał być bardzo rozeźlony, jeśli posunął się do nałożenia kary. Przy ostatnich słowach ruszył do drzwi. Zanim je otworzył, przyglądał sobie ręką włosy, jakby mógł je w ten sposób ochronić.

Ponieważ i tak musieliśmy pójść do stodoły, żeby wyprzewadzić mój samochód, Jiirgen przestawił bmw w bezpieczne miejsce. Potem wcisnął się za kierownicę mojej fiesty. Za bramą ostro skręcił w lewo. Jechaliśmy więc nie po drodze, ale obok niej, po roli. Właściwie to nie jechaliśmy, tylko brnęliśmy z mozołem na pierwszym biegu.

Po jakichś siedmiuset metrach w świetle reflektorów pojawił się przed nami po prawej stronie tuż koło nasypu jakiś

nieforemny żółty pakunek. Do pierwszego przejścia w nasypie mogło być jeszcze sto czy sto pięćdziesiąt metrów.

Jiirgen zatrzymał samochód. Słyszałam, jak z sykiem nabiera powietrza. Wydawało mi się także, że pobladł. Moje serce stanęło. Przez chwilę miałam wrażenie jakiejś pustki duszącej mnie w środku. Potem załomotało coś we mnie, jakby serce i płuca wpadły mi do jamy brzusznej.

Przeciwdeszczowa peleryna Reny była żółta. Nie był to jeden z tych gumopodobnych płaszczy w jaskrawych kolorach. Była to peleryna z kapturem przypominająca poncho, tylko dużo dłuższa. Zrobiona z cienkiego, prześwitującego tworzywa, dawała się złożyć w mały pakiecik i wygodnie schować do kieszeni.

Jiirgen wysiadł, nie wyłączając silnika. Obszedł z przodu fiestę, przeskoczył pierwszą wypełnioną wodą koleinę, potem drugą. Pośliznął się przy tym, upadł na ręce i kolana obok pakunku i badał go gorączkowymi ruchami. Po dwóch sekundach wstał z klęczek i pokręcił głową.

Okazało się, że to, co uznałam za Renę w przeciwdeszczowej pelerynie, to był tylko jeden z tych żółtych worków, które urząd gminy rozdał wszystkim mieszkańcom do gromadzenia surowców wtórnych. Worek był wypchany jakimiś odpadami.

Jiirgen wrócił do samochodu, wszedł, wytarł brudne ręce w spodnie, przejechał ręką po czole i oczach. Woda kapiała z czubka jego nosa, a rzadkie blond włosy były przyklejone do głowy. Ale jego gniew wyparował. Ten tobolek w błocie napędził mu porządnie strachu.

-Jedźmy dalej.

Dalej się nie dało, samochód ugrzązł. Ten krótki czas postoju wystarczył, żeby koła pograżyły się w błocie. Z każdą próbą uwolnienia się wwierały się coraz głębiej w grunt. Jiirgen spróbował popchnąć samochód do przodu, ale pośliznął się raz jeszcze i runął jak długi w błoto.

A więc jednak pieszo. Jeszcze sto czy sto pięćdziesiąt metrów do pierwszego przejścia w nasypie, pięćset czy sześćset do dru-

giego, tysiąc trzysta do Hennessena. Miałam w samochodzie małą latarkę, wzięliśmy ją ze sobą. Snop światła był maleńki, a bateria słaba. Po krótkim czasie odmówiła całkiem posłuszeństwa. Nie przebyliśmy jeszcze nawet połowy dystansu. Jiirgen człapał ze spuszczoną głową po lewej stronie drogi. Ja trzymałam się blisko nasypu. On co dwa, trzy kroki krzychał „Rena!” w ciemność. Za każdym razem wydawało mi się, jakby wiatr wyrywał mu jej imię z ust. Odpowiedzi nie było żadnej.

W pierwszym przejściu w nasypie nie było nikogo. Jiirgen uczepił się myśli o drugim, które było bliżej Hennessena. Tam Rena miała pierwszą możliwość szukania schronienia.

Z każdym krokiem rosło we mnie poczucie, jakby jakaś pięść ścisnęła mi żołądek i gardło. Z trudem utrzymywałam się na nogach. A zarazem wszystko wydawało się tak nierzeczywiste, jakby w moim mózgu ktoś przestawił jakąś dźwignię i wyłączył poczucie rzeczywistości.

Nam coś takiego się nie przytrafi! To zawsze innym siwieją włosy, to inni muszą w środku nocy udawać się na poszukiwania i zdzierać sobie płuca, wołając swoje dzieci.

Naturalnie, z biegiem lat i nas nie omijały różne kłopoty. Nie wszystko było jak na obrazku. Anna miała siedem lat, kiedy trzeba jej było usunąć migdałki. Przy tej operacji ułamali jej kawałek zęba trzonowego. Kiedy tylko Anna znowu znalazła się w domu, w nocy zaczęła się skarżyć na potworne bóle zębów. Wprawdzie u Anny każdy ból był potworny i nie do zniesienia, ale tym razem sytuacja była naprawdę poważna.

Przy korzeniu zęba wytworzył się ropień. I to jeszcze w czasie weekendu! Nasz dentysta był nieuchwytny. Zawieźliśmy Annę do kliniki do Kolonii. Tam płaczące dziecko otoczyło pół tuzina początkujących dentystów, naradzając się, co zrobić.

Trzeba było otworzyć ropień. Naturalnie, ale w takim razie co zrobić ze świeżymi ranami po operacji na gardle? Jeśli zetkną się ze spływającą ropą... A kto dotknie wiertłem płaczącego, wijącego się dziecka? Jeden fałszywy ruch i narzędzie się omsknie.

43

Jurgen położył kres tej dyskusji. Skoro nikt nie może się na to zdobyć, on musi wziąć to na siebie. To jest brak odpowiedzialności, żeby pozwolić dłużej cierpieć biednemu dziecku. On byłby zdolny chwycić za wiertło, znam go. Było to też po nim

widać. Wtedy jednak pewna młoda kobieta zdecydowała się na działanie. Mogła mieć trochę ponad dwadzieścia lat i była jedyną kobietą wśród pięciu mężczyzn.

Jeszcze dziś wydaje mi się to znamienne. Kiedy mężczyźni tracą odwagę albo cierpliwość, kiedy boją się zawieść albo sprawa po prostu staje się uciążliwa, wtedy dają za wygraną. Znajdują tysiąc wyjaśnień swojego postępowania i każde z nich brzmi logicznie i rozsądnie. A potem mówią, że kobiecie brak logiki i rozsądku, tylko dlatego, że tak nie potrafi -dać za wygraną, kiedy chodzi o dziecko. Tamtej młodej kobiecie trzęsły się ręce, a jej twarz stała się trochę bledsza. Ale zrobiła to i udało się jej.

Po twarzy Anny widziałam, że ból zelżał prawie od razu. Mimo to płakała jeszcze wtedy, gdy już od dawna wracaliśmy do domu. Dopiero kiedy Jurgen jej powiedział, że już wcale nie może jej boleć, uspokoiła się.

Rena była całkiem inna. Mając dziewięć lat złamała nogę w kostce. Setki razy jej zabraniałam wkładania moich szpilek. Ale jak to dzieci, Rena zrobiła to mimo zakazu i nawet wyszła w nich z domu. Na ulicy straciła równowagę i wykręciła lewą stopę. Potem, zaciskając zęby, wróciła kuśtykając do domu, nie powiedziała ani słowa i skryła się w pokoju dziecięcym. Musiało ją piekielnie boleć, a twierdziła, że się tylko uderzyła.

Było to skomplikowane złamanie i przez całe miesiące groziło jej, że do końca życia będzie kuleć. Pamiętam jeszcze, jak robiłam jej wyrzuty, że nie powiedziała od razu, co jej jest. Leżała w szpitalnym łóżku, pozwoliła mi mówić, patrzyła na mnie.

- Rozumiesz - powiedziałam - że tylko dlatego tak ci się pogorszyło, że sama przyszedłaś do domu? Trzeba było mnie zawołać.

Milczała. Niemal miała na czole wypisane, co myśli: Nie usłyszałaśbyś mnie.

44

- Mogłaś też zwrócić się do kogoś - powiedziałam. - Na ulicy zawsze są ludzie. I każdego można poprosić o pomoc, kiedy coś się nam stanie.

Żadnej reakcji, tylko to spojrzenie jak głęboka dziura.

- Nie jestem na ciebie zła - powiedziałam. - Robię ci wy-

mówki tylko dlatego, że się martwię. Może już nigdy nie będziesz mogła dobrze chodzić na tej chorej stopie.

- To przecież moja stopa - powiedziała i odwróciła głowę do ściany.

Moja stopa, moje życie, to cała Rena. Nie chciała pomocy, zanim nie spróbowała swoich sposobów. A jak już ich spróbowała, to przeważnie jakoś dawała sobie radę. Nie perfekcyjnie, ale Renie to wystarczało.

Anna, której wszystko w życiu praktycznie przychodziło samo, wpadała w panikę przy najmniejszej trudności, przy najmniejszej komplikacji, i koniecznie chciała, żeby ktoś usuwał kamienie z jej drogi. Choćby było jasne, że musi zmienić tylko swoje własne zachowanie albo swoje przyzwyczajenia, to najpierw wołała o pomoc.

Kiedy Anna weszła w okres dojrzewania, zaokrągliła się jak drożdżowa klucha. Kilka razy wracała z płaczem ze szkoły, bo dokuczali jej w klasie. Miała zawsze same najlepsze oceny, więc byli tacy, co jej zazdrościli. Pytali ją, czy rozdzieliła swój mózg na całe ciało. Niepoważne było z takiego powodu wypłakiwać sobie oczy. Mnie to irytowało, upominałam ją codziennie, żeby się trzymała zwykłych porcji posiłków i nie napychała się wszystkim, co popadnie, między nimi.

- A jak ja jestem głodna! A tato mówi, że już taką mam skłonność.

Co powiedział tato, było dla Anny święte. Tato mówił jej wieczorem:

- Grubi ludzie są jowialni, popatrz tylko na mnie.

A ja potem mogłam przez cały dzień wysłuchiwać narzekania. W końcu mi się sprzykrzyło, skreśliłam z jadłospisu Anny chipsy, orzeszki ziemne i wielkie puchary lodów ze śmietaną. Kiedy protestowała, Jurgen nazwał tę akcję wyważoną dietą i Anna przemieniła się w ładną nastolatkę.

45

Rena miała inne problemy, kiedy weszła w wiek krytyczny. Miała okropny trądzik: twarz, plecy, piersi, wszystko było usiane zapalnymi, ropiejącymi krostami. Wysłałam ją do dermatologa. Przepisał jej kilka preparatów, które nie przyniosły poprawy. A sugestia, żeby zrezygnować ze słodyczy, była w jej przypadku zbędna.

Rena nie jadała słodyczy. Po-myślałam, że moglibyśmy spróbować dawać jej pigułki anty-koncepcyjne. Jiirgen nie zgodził się, bo była jeszcze taka mło-da, akurat skończyła trzynaście lat.

- Oszczędź sobie trudu - powiedziała Rena, kiedy chcia-łam wymóc na Jiirgenie receptę. - Ja wcale nie chcę tego świń-stwa.

Zabrała się do problemu na swój sposób, zaczęła naślado-wać Nitę Kolter. Zwracając uwagę fryzura, polakierowane na czarno paznokcie, oczy w czarnej obwódce. Wszystko na niej nagle było czarne. Czarne luźne spodnie, czarne worko-wate koszulki. Jasna puchowa kurtka na zimę wisiała niezau-ważanaw szafie. Ponieważ nie chciałam jej kupić czarnej kurt-ki, Rena wołała marznąć. Jiirgen nazywał to fazą buntu.

- Ona z tego wyrośnie, Vero - mówił często.

Tak też się stało, szybciej, niż się spodziewałam. Nasza prze-prowadzka z miasta na wieś na nowo przemieniła Renę w mi-łą i naturalną młodą dziewczynę. Trądzik znikł, pozostawia-jąc tylko parę maleńkich blizn na czole. Odtąd nie było już powodu martwić się o Renę. To sprawiało, że nasz nocny marsz był czymś tak nierzeczywistym i groźnym.

Rena musiałaby iść pod wiatr, a my mieliśmy go za sobą. I każdy poryw był jak pięść, która nas uderzała z tyłu. Ziemia pod nogami była śliska i wyboista. Nasyp porastały po pas trawy i zielsko, a podkładów ani torów od dawna już na nim nie było. Tylko osty, pokrzywy i wszystko, co tylko się krze-wi, kiedy się zostawi przyrodzie wolną rękę. Chaszcze cią-gnęły się do samej prawej koleiny.

Od strony wsi zarośla były trzymane w szachu; biegła tam wąska droga, przy której po jednej stronie stały domy. W re-

46

gularnych odstępach przy tej drodze stały latarnie. Nie były dostatecznie wysokie. Ich światło nie sięgało ponad nasyp na drugą stronę. Ale dzięki nim zorientowaliśmy się przynajmniej, kiedy mineliśmy ostatnie domy. Kawałek dalej było drugie przejście w nasypie. Nic! I reszta drogi w całkowitej ciemno-ści aż do Hennessena. Jurgen od dawna przestał ją wołać.

Kiedy doszliśmy do niskiego ogrodzenia z belek, które się ciągnie wzdłuż tylnej granicy działki Hennessena, musiał być kwadrans po pierwszej. Szybko posuwaliśmy się naprzód wzdłuż ogrodzenia, za którym znajdowały się tory przeszkód. Kiedyś stałam przy tym ogrodzeniu i przyglądałam się, jak Rena skacze na kasztance. Ze strachu mocno biło mi serce i byłam pełna podziwu dla niej. Mnie nikt by nie posadził na takim zwierzęciu. A ona siedziała w siodle tak, jakby była z nim zrosnięta.

Ogrodzenie łączyło się z murem wysokości człowieka, a za nim na wewnętrznym dziedzińcu była ujeżdżalnia, w której początkujący pobierali pierwsze lekcje jazdy konnej. Mur ciągnął się piętnaście czy szesnaście metrów do narożnika. I jeszcze raz tyle było do bramy. Jurgen wyrywał do przodu przede mną, z głową w ramionach, rękami w kieszeniach.

W bramie wyjął jedną rękę z kieszeni i w blasku latarni spojrzął na zegarek. Potem schylił się i podniósł coś z ziemi. Był to kawałek plastiku, pomarańczowożółty, po jednej stronie gładki, po drugiej wytłaczany. Myślałam, że to część szkiełka odblaskowego z roweru Reny. Jurgen powiedział, że to od samochodu, kawałek kierunkowskazu. Odrzucił go w stronę słupa latarni, gdzie znikł w mokrej trawie.

Tak samo jak o wpół do jedenastej dom, obejście i ujeżdżalnię kryły ciemności. W stajni oświetlone były jeszcze dwa ostatnie okna. Ale wrota były zamknięte. Nie na klucz, jak szybko stwierdziliśmy. Jurgen odsunął je, wśliznęliśmy się do stajni jak para złodziei.

- Hennes - zawołał Jurgen półgłosem. - Hennessen?

Przypuszczaliśmy, że Hennessen był przy rannej klaczy. Rena opowiadała kiedyś, że sypiał w stajni, jeśli z którymś

47

z koni były kłopoty. W niektórych boksach coś się ruszało. Słyszałam parskanie zwierząt, nic poza tym. Jurgen powoli szedł wzdłuż boksów, zaglądał do każdego nad drzwiami, mruzczał coś dla uspokojenia do koni. Ja zostałam przy wrotach. Kiedy doszedł do ostatnich boksów, odwrócił się i uniósł ramiona. Wrócił, chwycił mnie za ramię i wyciągnął na zewnątrz. Dopiero kiedy zamknął wrota za sobą, powiedział:

- Musimy go po prostu wywlec z łóżka. Nic z tego nie rozumie! Dlaczego jej nie odwiózł do domu? Z tą kobyłą nie

może być tak źle, leży sobie spokojnie.

Podeszliśmy pod dom. Dzwonka u drzwi nie było. Jurgen walił pięścią w drewno, krzyczał: „Hennes!”. W środku nic się nie poruszyło.

Staliśmy tam parę minut, popatrzyliśmy po sobie i nie wiedzieliśmy, co dalej robić. Jurgen poszedł do ujeżdżalni. Wrota były zamknięte. Wrócił.

- Nic z tego - powiedział.

Chyba oboje pomyśleliśmy to samo. Ale nie jestem pewna, czy w ogóle mogliśmy myśleć. Miałam wrażenie, jakbym miała watę w głowie. Dopóki byliśmy jeszcze na polnej drodze, miałam nadzieję. Teraz już nic nie zostało.

- Gdzie on się podziewa o tej porze? - Jurgen jeszcze raz

zabębnił do drzwi, tym razem obu pięściami, wołając Hen-

nessena. Potem powiedział:

- On lubi sobie wypić. Ale knajpy muszą już dawno być

zamknięte. Może warto jednak spróbować, może nam się po-

szczęści.

Nie rozumiałam, czego on właściwie chce od Hennessena. Ten nie mógł nam teraz powiedzieć więcej, niż powiedział mi o wpół do jedenastej. Ja wołałabym jeszcze raz przejść po tamtej polnej drodze. Może coś przeoczyliśmy. Może ją minęliśmy. Musieliśmy ją minąć w ciemnościach.

- Nonsens - powiedział Jurgen, znowu chwycił mnie za

ramię, odciągnął od drzwi i powlókł trzysta metrów przez

wydłużony zakręt do pierwszych domów. Mojego ramienia

nie puścił także na głównej ulicy.

48

- Patrz, gdzie stawiasz nogi - powiedział. - Jeszcze tego by

tylko brakowało, żebyś wpadła do kanału.

To nie był żart. Kilka lat wcześniej w ten sposób zginął pewien młody strażak. Nie

zauważył wypchniętej przez wodę pokrywy studzienki, wpadł do środka i utonął, zanim koledzy zdążyli mu przyjść z pomocą.

Brodziliśmy kawałek po głównej ulicy. Tuż za pierwszą przecznicą była knajpa. Światło nad wejściem jeszcze się paliło i oświetlało szyld „U Friedla”. Jiirgen poszedł przodem, otworzył drzwi i przepuścił mnie. Buchnęło na mnie ciepłe, zadymione powietrze. Musiałam zakasłać.

Przy szynkwasiu stało dwóch mężczyzn, jednym z nich był Hennessen. Tego drugiego nie znałam. Także oberżysty jeszcze nigdy nie widziałam. Nieczęsto bywałam we wsi, a do knajp nie chodziliśmy. Wszyscy jednocześnie odwrócili się ku drzwiom. Mina Hennessena zdradzała zaskoczenie i przerażenie.

Musieliśmy okropnie wyglądać, ubłoceni, przemoczeni i z troską na twarzy. Jiirgen mówił z Hennessenem, a wszyscy wpatrywali się we mnie.

Hennessen powiedział:

- No, coś podobnego. Gdzie ona mogła się podziać? Nic z tego nie rozumiem. Jeśli nie było jej na drodze, to musiała pójść do Udo. Była przecież przy tym, jak moja siostra opowiadała o Annegret. A Udo był do niej taki przywiązany.

Informacja, którą Jurgen uzyskał przez telefon od ojca Udo, nie zrobiła na Hennessenie wrażenia.

- Ach, Boże, przy takim zamieszaniu. Tam musiało być istne urwanie głowy. Nikt już nie patrzył, kto przychodzi. Poza tym nie potrzebowała wchodzić do domu. Udo urządził sobie w przybudówce mieszkanie. Próbował pan u niego?

Jurgen pokręcił głową. Hennessen oświadczył:

- On ma własny telefon, sprawił sobie taki mały na radio, który zawsze ma przy sobie. - Przyłożył palec do ust i zastanawiał się. - Ale numeru teraz nie pamiętam. Niech pan jeszcze raz do nich zatelefonuje i poprosi, żeby ktoś poszedł do niego i sprawdził.

Jiirgen nie chciał w tej sytuacji jeszcze raz naprzykrzać się rodzinie von Wirthów, i najpierw zadzwonił do domu. Słowa Hennessena brzmiały logicznie i niosły pociechę. Widziałam to oczami wyobraźni. Rena wchodzi w bramę von Wirthów, niezauważona przechodzi przez podwórze do przybudówki. Przez jakiś czas siedzi u Udo. Wreszcie on mówi: „Już późno, odwiezę cię do domu. Twoi rodzice na pewno się martwią”.

Nadzieja to coś wspaniałego. Myśl, że dziewczyna może już spokojnie leżeć we własnym łóżku, nie spostrzegłszy na-wet, że rodzice szukają jej, odchodząc od zmysłów, podzielała na mnie przez krótki czas jak mocna kawa z kilku kroplami waleriany - orzeźwiająco i uspokajająco zarazem.

Trwało nieskończenie długo, zanim wreszcie odezwała się Anna. Spała już i nie słyszała, czy po naszym odjeździe ktoś przyszedł do domu. Sprawdziła w pokoju Reny. Reny nie było. Choć Jiirgenowi nie było to w smak, musiał, chcąc nie chcąc, jeszcze raz zatelefonować do Wirthów. Tam także nie od razu ktoś podniósł słuchawkę. Za to na informację nie trzeba było czekać. Nie ma sensu sprawdzać, czy ktoś jest w mieszkaniu Udo. Nie ma go w domu, bo inaczej jego samochód musiałby stać na podwórzu. Od popołudnia jest u swojego szwagra w szpitalu. Poza tym ojciec Udo oświadczył, że wcześniej wieczorem zamknęli bramę na klucz, żeby im nie przeszkadzali sąsiedzi i przyjaciele. Nie otwierali nikomu.

Miałam w głowie ołów, którym wszystko było zalane, bez pozostawienia choćby jednej szparki na jakąś myśl.

Hennessen spytał:

- A próbował pan u swojej matki?
- Ona do niej nie chodzi - powiedział Jiirgen.

Hennessen wzruszył ramionami.

- No, kto wie, przy takiej pogodzie.
- Nie umiem sobie tego wyobrazić - powiedział Jurgen. -

A poza tym, w takim razie by zadzwoniła.

Mężczyzna obok Hennessena pokręcił głową.

- Nieee - oświadczył przeciągle. - Gretchen ma na pieńku z pocztą. Dostała rachunek na parę tysięcy; jasne, że nie zapłaciła. Wtedy jej odcięli telefon, tydzień temu.

50

Gretchen! Grete Zardiss, matka Jiirgena, sześćdziesiąt cztery lata, niezamężna. Nie wiem, co by się stało, gdybym o niej wiedziała już wtedy, gdy poznałam Jiirgena. Odbywałam wtedy praktyki, a on był już lekarzem asystentem na oddziale. Spodobał mi się jego sposób obchodzenia się z pacjentami.

Imponowało mi to, że nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi. Że umiał stroić sobie żarty przy łóżku umierającej i sprawił, iż się uśmiechnęła. Może to idiotyzm, ale wtedy pomyślałam, że z uśmiechem łatwiej jest umierać. A Jurgen miał tę szczególną lekkość, której nie było u moich rodziców.

Jurgen nigdy nie był Adonisem; był za niski jak na mężczyźnę i już za młodu miał nadwagę, a włosy za rzadkie albo mocno przerzedzone, wszystko jedno, jak to nazwać. Ale Jurgen miał wdzięk i humor i nie uznawał przymusu. Gdzie jest napisane, że nie wolno kłaść nóg na biurku? Kiedy nogi są ciężkie, bo jest się na dyżurze od dwudziestu czterech godzin, nie mając prawie ani jednej spokojnej chwili?

W tej pozie ujrzałam go po raz pierwszy. Nogi założone jedna na drugą między telefonem, popielniczką i papierami na biurku w pokoju lekarzy. W prawej ręce trzymał chleb posmarowany twarogiem, jeszcze na pół zawinięty w papier, w lewej wyniki z laboratorium. Przeżuwał jedzenie i jednocześnie próbował się do mnie uśmiechnąć.

- Śmiało, proszę - powiedział. - Ja gryzę tylko kanapki.

Niech pani sobie weźmie kawy, jeśli znajdzie pani gdzieś filiżankę. Powinna jeszcze być gorąca.

Dopiero potem zapytał:

-No, co tam? Czy mamy znowu jakiegoś wichrzyciela, który nam nie da przez pół godziny posiedzieć spokojnie na tyłku? A może jest jakiś poważny problem? Nie słyszałem, żeby ktoś dzwonił.

Nie mieliśmy ani wicherzyciela, ani poważnego problemu, tylko pacjenta uskarżającego się na bezsenność.

- Proszę go zapytać, czy też chce kawy - powiedział Jurgen.
- Jak go należycie obudzimy, to może zagramy partyjkę skata.

51

Najpierw uznał, że jestem nieśmiała, potem, że sztywna, potem pruderyjna, a wreszcie milutka.

- Vera - powiedział - to imię do ciebie nie pasuje. Ono brzmi zdecydowanie zbyt surowo.

Na początku nazywał mnie Różyczką, bo łatwo się rumie-niłam; ile razy słyszałam wtedy od niego: „Znowu kwitnie”.

We wtorek wieczorem zaprosił mnie na kolację, a potem rzekomo zabrakło mu pieniędzy. Ze zmarszczonym czołem studiował rachunek i powiedział:

- Różyczko, lepiej było zdecydować się na piwo. Butelka wina kosztuje u nich majątek.

Nie krępował się tym, że kelner stał przy naszym stoliku. Uśmiechnął się do mnie.

- Mam nadzieję, że znajdziesz pięćdziesiątkę, żeby mnie poratować.

Naturalnie, mogłam to zrobić, tylko krępowałam się w obecności czekającego kelnera. Spróbowałam podać mu pieniądze pod stołem. Po takich scenach nieuchronnie padało zdanie: „O, znowu kwitnie”. Przy tym Jiirgen mrugnął do kelnera.

Kiedy staliśmy potem na ulicy, oddał mi banknot, śmiejąc się do mnie.

- To był tylko test. Kiedyś się tego nauczysz.

Powiadają, że przeciwieństwa przyciągają się. A trudno było

sobie wyobrazić dwoje ludzi bardziej różniących się od siebie niż my. Podziwiałam go jako lekarza, ale w życiu prywatnym na początku było mi trudno dojść z nim do ładu.

- To efekt twojego wychowania, Różyczko - powiedział. -
Nauczono cię dobrych manier, a tolerancja jest dla ciebie ob-
cym słowem. Ale bez niej się nie obejdzie. Co do jednego mogę
cię zapewnić: nie pozyskuje się ludzi tylko przez to, że przy
jedzeniu nie plami się obrusa sosem od pieczeni. Od tego jest
pranie. A najpierw trzeba mieć tolerancję dla samego siebie.
Tolerancja! Czasami nazywał to także spontanicznością.

- Dlaczego akurat sobie miałyby się odmawiać wszystkie-
go? Kiedy coś widzę, i to mi się podoba, od razu staram się to
zdobyć.

52

Dla Jiirgena nigdy nie było kwestii: czy mnie na to stać? Wyśmienite jedzenie w
drogiej restauracji, do tego butelka wina. A przez resztę miesiąca kanapki z
twarogiem. Trzeba być elastycznym.

Ja nie byłam elastyczna. Zadawałam za wiele pytań, za dłu-go się zastanawiałam,
zbyt gruntownie kalkulowałam wszyst-ko przed podjęciem decyzji. Dla Jiirgena nie
istniały pytania, namysł, kalkulacje. Nie wyjaśnił, kto go nauczył tak żyć. W
pierwszych miesiącach nie usłyszałam od niego nawet słów „moja matka”.

Moi rodzice chcieli koniecznie go poznać. Przychodził chę-tnie, delektował się
niedzielnymi popołudniami z wypiekanym przez matkę tortem na śnieżnobiałym
obrusie.

- Styl też jest nie do pogardzenia - mówił.

Na pytania ojca o jego rodziców odpowiadał wymijająco. Grete Zardiss!
Niezameężna. Matka syna i córki, która umarła w niemowlęctwie.

Kiedy dawaliśmy na zapowiedzi i Jiirgen miał podać ojca, odpowiedział zwięźle:
„Nieznany”. Ale on domyślał się, kto był jego ojcem. Dowiedziałam się tego po
piętnastu latach małżeństwa, kiedy mimochodem oświadczył mi:

- Gospodarstwo Reutherów jest na sprzedaż. Słyszałem dziś

przez przypadek. Pojedźmy w niedzielę je obejrzeć.

Z początku nie podobał mi się jego pomysł. Gospodarstwo, życie na wsi, wieś z krowami, jak to czasem nazywał. Uprzejmie dziękuję! Mnie podobało się życie w mieście; obszerne mieszkanie, jasne i nowoczesne; oglądanie wystaw sklepowych na popołudniowym spacerze. Kiedy miałam chęć, mogłam pójść pieszo do gabinetu i wziąć samochód na wyprawę do Kolonii z wizytą do moich rodziców. Nie chciałam z tego rezygnować dla jakiejś starej, podupadłej wiejskiej zagrody.

Nie chciałam ugrzęznąć wśród krów i buraków cukrowych. Nie miałam też ochoty łamać sobie głowy nad odsetkami od długu hipotecznego. Spadkobiercy żądali za nieruchomość istnej fortuny. Za takie pieniądze moglibyśmy sobie pozwolić na ładny domek na skraju miasta i mały samochód dla mnie

53

na dodatek. A samo kupno gospodarstwa Reutherów to jeszcze nie wszystko, bo remont też musiał pochłonąć krocie.

Dyskutowaliśmy całymi nocami. Jiirgen wysunął parę argumentów w stylu „spokojne życie” i „czyste powietrze”. Kiedy to nie poskutkowało, zarzucił przynętę. Oczywiście mały samochód dla mnie, w końcu nie musiał przecież być nowy. Ładny, zadbane samochód używany. I może by zapytać moich rodziców, czy nie mieliby chęci...

Ojciec już od dłuższego czasu nosił się z zamiarem rzucenia wielkiego miasta i kupna małego domu w wiejskiej okolicy, może gdzieś w Eifel. Ja jednak pozostałam przy mojej odmowie. I wtedy Jiirgen wreszcie mi wyznał, dlaczego ta posiadłość była dla niego taka ważna.

Gretchen za młodu pracowała w tym gospodarstwie jako służąca, i tam urodziła oboje swoich dzieci. Ojciec za każdym razem nieznany, przypuszczalnie w obu przypadkach ten sam: stary Reuther. Jiirgen wyrastał tu między stodołą i oborą, między nasypem kolejowym i otwartym polem.

O tym już wiedziałam. Ale swobodne dzieciństwo, o którym

mi dotąd często opowiadał z rozrzewnieniem - jaskinie

wykopywane w nasypie kolejowym, skakanie na siano ze

stryszku w stodole albo jazda traktorem po polach w pogodę

i niepogodę - stanęło mi nagle przed oczami jako obraz poważnego zaniedbania.

1 zawsze się zastanawiałam, czy on tylko ze względu na mnie udawał, że nie wie o istnieniu jego matki. Myślałam, że on ją na swój sposób kochał i tylko wstydził się jej późniejszego prowadzenia. Że przez ten wstyd u moich rodziców stwarzał wrażenie, jakby przyszedł na świat już jako student. Uniwersytet, studencka kwatery u miłej, uprzejmej pani Liedke, która uznała za swoją misję opiekę nad przyszłymi lekarzami, prawnikami czy naukowcami w ich latach swawoli - na pytania ojca nie przedstawił nigdy nic więcej niż parę stereotypowych obrazków.

Na dwa tygodnie przed naszymi zaręczynami moja matka poprosiła go o adres jego matki. Żeby wysłać jej zaproszenie.

54

- Ona nie może przyjść - powiedział Jiirgen. - Zdrowie jej nie dopisuje.

Wątpię, aby Gretchen kiedykolwiek w życiu była poważnie chora. We wsi opowiadają, że już dwie godziny po urodzeniu Jiirgena wróciła do dojenia krów.

Gdyby to zależało od Jiirgena, to nie byłoby jej także na naszym ślubie. Ale matka upierała się, żeby ją zaprosić. I przyszła. W jadownicy zielonej satynowej sukience z przyszytą różą z materiału na lewym ramieniu. Prawe ramię było odsłonięte, pewnie nie starczyło tam materiału. Gdzie indziej też była przyciasna i wydekoltowana.

Myślałam, że matka dostanie apopleksji. Nie tylko z powodu sukni Gretchen. Przyszła w towarzystwie starszego mężczyzny, którego przedstawiła po prostu jako Kurta. Kurt mógł być po siedemdziesiątce, był bogaty i robił wrażenie całkiem czerstwego. Gretchen twierdziła, że wymaga opieki. I ona podjęła się ją nad nim sprawować.

Jiirgen wybrał sobie akurat naszą noc poślubną, żeby mi delikatnymi aluzjami dać do zrozumienia, że Kurt nie był pierwszym podopiecznym jego matki. Po swoim rozwlekłym i kwiecistym wyjaśnieniu Jiirgen był bardzo opryskliwy.

- Rozumiesz teraz, Vero?

Musiałabym mieć zakuty łeb, żeby tego nie pojąć. W pierwszej chwili byłabym rada, gdybym była też zakuta w pas cnoćty. Poczułam się jak... ach, nie wiem; nabita w butelkę, bez-wstydnie okłamana. Oszukana! Podobnie bym się czuła, gdy-bym po kupnie samochodu dowiedziała się, że nadaje się tyl-ko na złom. Tylko że w takim przypadku mogłabym pognać do sprzedawcy, zaprotestować i zażądać wymiany towaru.

Miałam niemałą chęć rano po naszej nocy poślubnej udać się pędem do adwokata. Ojciec temu zapobiegł. Przez pół dnia przemawiał mi do rozsądku.

- Bądź rozsądna, Vero. Nie działaj pochopnie. Jesteś w ciąży i nie wyszłaś przecież za jego matkę. Przecież to jego kochasz! Aon ciebie, Vero. Zastanów się, dlaczego on ci dotąd nie powiedział, kim jest jego matka.

55

Zastanawiałam się, całymi miesiącami. Jurgen pomagał mi ze wszystkich sił, dostarczając dalszych informacji. Każdym zdaniem dawał do zrozumienia, jak bardzo się dystansuje. Nikt sobie nie wybiera rodziców, Vero. Albo ma się szczęście, albo pecha. Ty miałaś szczęście, Vero, a ja miałem Gretchen.

Ona nie była ani żoną, ani matką, była karykaturą. Tańszą i bardziej przasną wersją Reginy Kolter. Kiedy Gretchen była między trzydziestką a czterdziestką i Jurgen skończył szkołę, rzuciła pracę w gospodarstwie Reutherów. Odtąd zarabiała na życie przyjmując do siebie starych mężczyzn. Był to zyskowy interes. Dzięki niemu dochrapała się małego domku na skraju wsi i kawałka ziemi, którą wydzierżawiała. Ponieważ pielęgnowała tych mężczyzn do śmierci, przeważnie umieszczali ją w swoich testamentach. A kiedy tylko jeden rozstawał się z życiem, wkrótce znajdował się inny, który płacił za opiekę większą częścią swojej renty.

Gretchen mówiła:

- Zawsze to taniej niż w domu starców. I lepsza zabawa.

Za to ręczę.

Przed tą nocą we wrześniu widziałam ją trzy razy z bliska. Pierwszy raz na naszym ślubie. Drugi raz, kiedy na świat przy-szła Anna. Przeczytała ogłoszenie w gazecie i nie mogła so-bie odmówić złożenia mi wizyty w połogu. Zamiast obowiąz-kowych śpioszków dla niemowlaka położyła mi na nocnym stoliku banknot stumarkowy.

- Kup za to coś dla dziecka, sama będziesz najlepiej wie-
działa, czego mu potrzeba. A jeśli ma już wszystko, to wpłać
pieniądze na książeczkę.

Potem powiedziała jeszcze:

- Na chrzciny nie będę mogła przyjść. Kurt jest na wymarcu.

Nie mogę go teraz zostawiać samego, nawet na parę godzin.

Kurt zmarł - pięć lat później. Kiedy urodziła się Rena, Gret-chen przysłała banknot stumarkowy pocztą, razem z kartką z powinszowaniami.

Po raz trzeci widziałam ją, kiedy już kupiliśmy gospodar-stwo. Zaczął się remont. Regularnie jeździłam doglądać ro-

56

botników. Pewnego popołudnia wysiadając z samochodu usły-szałam słowa:

- Może ci przynieść łyżeczkę do herbaty, żeby było szyb-
ciej? Nie bawisz się tu w piaskownicy, chłopcze, tylko masz
tynkować ścianę. Daj to, ja ci pokażę, jak to się robi.

Weszłam do domu. Ona stała w sieni, w długich spodniach, kraciastej koszuli i z podwiniętymi rękawami wygładzając ścianę drewnianą pacą. Obok stał murarz, złośliwie uśmiech-nięty, z papierosem w kąciку ust. Pierwszy mnie zauważył i uśmieszek znikł z jego twarzy. Gretchen odwróciła się, spoj-rzała na mnie i wcisnęła murarzowi pacę do ręki.

- Mam nadzieję, że doktor umówił się z nimi na zapłatę za
całość. Bo jeśli ten tu - pokazała kciukiem na murarza - pra-
cuje na dniówkę, to daliście się zrobić w konia.

Zawsze nazywała Jurgena doktorem, nie wiem, czy z dumy - w końcu zmianą zawodu sfinansowała jego studia - czy drwiąco. Nie miałam też pojęcia, jak się umówił Jurgen z mu-rarzem. Mówił tylko, że cena jest do przyjęcia.

- Za całość - powiedziałam.

Kiwnęła głową.

- Mimo to trzeba mu patrzeć na ręce. Jak będzie się dalej guzdrał w tym tempie, to do zimy się tu nie sprowadzicie.

Z tymi słowami znikła. Potem widziałam ją jeszcze kilka razy we wsi, kiedy zawoziłam Renę do ujeżdżalni i Gretchen przypadkiem stała w drzwiach domu albo szła po ulicy. I raz w niedzielę. Stała wtedy w naszej bramie z jakimś mężczyzną. Matka widziała ją przez kuchenne okno i drżała, że złożą nam wizytę. Ale oni tylko tam stali. Gretchen pokazała wyciągniętą ręką na dom, stodołę i obejście, wzięła tamtego pod ramię i poszli.

Anna i Rena wiedziały, że ich druga babcia mieszka we wsi. Ale nigdy nie miały z nią kontaktu. Uważałam więc za stratę czasu, żeby akurat u Gretchen dopytywać się o Renę. A czasu już nie mamy - myślałam.

Dochodziła druga w nocy. Kiedy wyszliśmy z knajpy Frie-dla, deszcz padał mniejszy, także wiatr osłabł. Ale do gospo-

57

darstwa były cztery kilometry. Nie czułam się na siłach przejść choćby jednego i chciałam, żeby Jiirgen poprosił kogoś o podwiezienie. Hennessen miał starego forda kombi, oberżysta też na pewno miał samochód. Tylko Jiirgen nie chciał ich prosić, a sami z siebie się nie zaoferowali.

Miałam wrażenie, że nie biorą nas na serio. Szesnastoletnia dziewczyna nie wraca do domu! Jakie to ma znaczenie wobec żony Kuhlmana i dwójki małych dzieci?! Ta głupia gąska sama się znajdzie. Wydawało mi się, że z ich twarzy mogę wyczytać myśli.

Mężczyzna, który stał z Hennessenem, wyszedł z nami na zewnątrz. Przed drzwiami zwrócił głowę w kierunku wiatru i ze sceptycyzmem popatrzył w niebo. W górze jeszcze po-tężnie się kotłowało. Nie było widać ani jednej gwiazdy, ani rożka księżyca, tylko różne odcienie szarości i czerni.

A ja widziałam przed sobą Renę w czarnych opadających spodniach. Blond włosy na jednej połowie głowy były tak krótko przystrzyżone, że sterczały jak szczotka, na drugiej połowie były długie i wysoko utapirowane, usztywnione mnóstwem żelu, z kruczoczarnymi pasemkami. Pewnie wolałaby je zrobić całkiem na czarno, tylko nigdy jej się nie udawało. Wyglądała jak zebra.

- Nie sądzę — powiedział tamten człowiek do Jurgena - żeby jeszcze tej nocy ktoś z policji wyszedł w teren. Oni i tak nie zjawiają się wcześniej, aż się samemu nie obleci wszystkich zwykłych miejsc. Ale jeśli i Gretchen nie ma pojęcia, gdzie się ta mała mogła podziać, to ja na pana miejscu bym do nich zatelefonował. Żeby zaczęli szukać od razu jutro rano, jak tylko się rozwidni.

Zszedł z nami kawałek w dół główną ulicą. Na moje oko mógł mieć trochę ponad pięćdziesiąt lat. Nazywał się Scherer i był ze wsi. Człapał obok Jurgena, kanciasty i krępy, z postawionym wysoko kołnierzem kurtki, rękami głęboko w kieszeniach i spuszczoną głową. Dwie przecznice dalej stanął i zrobił ruch, jakby chciał uścisnąć nam ręce na pożegnanie. Znowu popatrzył w niebo.

58

- Spokoju człowiekowi to nie daje - powiedział do Jiirgena. - A pan jest pewien, że na polnej drodze jej nie było?

- Nie widzieliśmy jej.

Scherer pokiwał ociężale głową, popatrzył na wodę, która wciąż jeszcze spływała po naszych butach.

- Jutro na polu nic nie będę mógł robić. Na pewno chcą też państwo wyciągnąć samochód. Nie możecie go tam zostawiać.

Jeszcze ktoś na niego wjedzie i rozwali w drobiazgi. Przyjadę o jakiejś szóstej moim lanzem. Będzie już na tyle jasno, żeby można było coś zobaczyć. Przejedziemy się po tej drodze i przy okazji zabierzemy samochód.

- A nie można by teraz? - spytałam.

Scherer zawahał się. Było po nim widać, że niechętnie odmawia mojej prośbie.

- To nic nie da - powiedział po chwili. - Potrzeba więcej światła, same reflektory od lampa nie wystarczą. Niechby leżała tylko trzy czy cztery metry od drogi, a już jej nie zobaczymy.

Jego sformułowanie nasuwało myśl o śmierci. Uśmiechnął się do mnie z wyrazem otuchy.

- Niech sobie państwo teraz nie łamią głowy niepotrzebnie. Proszę iść do Gretchen. Ona na pewno tam się schowała. Może myślała, że Otto ją odwiedzi. Ale ten jest dziwny, jak sobie golnie, to nie lubi prowadzić. Ja w każdym razie przyjadę, jutro rano o szóstej. Już choćby po to, żeby wyciągnąć samochód.

Skręcił w boczną ulicę i zniknął nam z oczu.

Poszliśmy dalej w dół główną ulicą, obok kasy oszczędnościowo-pożyczkowej. Straż pożarna skończyła tam akcję. Stali teraz ze swoim samochodem dwieście metrów dalej koło rzeźnika przy kościele. Kilku ludzi pracowało przy murze oddzielającym cmentarz od ulicy. Wydawało się, że mur został podmyty.

Jiirgen zamienił kilka słów z jednym z mężczyzn, który z kolei zawołał do pozostałych, czy widzieli dziewczynę z rowerem. Wszyscy pokręcili głowami. Poszliśmy dalej, mijając zakręt przy gospodzie Schwingera.

| 59

Dwa razy napotkaliśmy samochód jadący z przeciwka; sądząc po numerach rejestracyjnych byli to obcy, którzy chcieli sobie skrócić drogę jadąc przez wieś i pewnie musieli teraz przeklinać, bo przejazd zalaną ulicą kosztował ich więcej czasu. Raz minął nas samochód nadjeżdżający z tyłu. Siedziała w nim trójka młodych ludzi. Jechali za szybko, ochlapali nas do pasa. Niewiele to już zmieniało. Przy każdym kroku chlu-pało mi w butach. Stopy zeszywniały mi z zimna, a twarz piekła na wietrze. Głowę i brzuch wypełniała wata.

Nam coś takiego się nie zdarzy! U nas wszystko toczy się według planu. Kariera

zawodowa: studia medyczne, specjalizacja, trzy lata pracy lekarza na kontrakcie w miejskim szpitalu z gabinetem obok izby przyjęć, potem własny gabinet. Życie prywatne: pierwsza córka, druga, obszerne mieszkanie w mieście i spełnienie marzenia o dawnym gospodarstwie Reutherów. I triumf: syn Gretchen, usmarkany bękart, którego łzy ocierały krowy chwostami ogonów, bo nikt inny o niego nie dbał, wraca na wieś jako ważna figura. Pan doktor z żoną, wytwornymi teściami i dwiema udanymi córkami.

Oboje nic nie mówiliśmy. Także kiedy w końcu doszliśmy do domu Gretchen, Jurgen nie powiedział ani słowa. Spojrzał na mnie, niemile poruszony albo zakłopotany, a przy tym gniewnie zapamiętały w swoim zdecydowaniu.

Na całej drodze nie było już widać ani jednego światełka w oknie. Także u von Wirthów wszystko było ciemne; Jurgen zwrócił mi uwagę na ich duże gospodarstwo przy ostatniej przecznicy przed kasą oszczędnościowo-pożyczkową. Było wpół do trzeciej w nocy! Ale u Gretchen paliło się światło. Przedostawało się przez kilka szpar w spuszczonej roletach. Jurgen zapukał do drzwi, nie spuszczać ze mnie wzroku, i zawołał:

- Otwórz, matko, to ja.

Chwilę później stanęła w otwartych drzwiach. Miała na sobie wełnianą koszulę. Tylko wełnianą koszulę, którą w pośpiechu zdążyła zapiąć na dwa środkowe guziki. Pod szyją i nad udami rozchyłała się na boki. Trudno było nie dostrzec,

60

że nie miała bielizny. Nogi miała gołe, stopy też. Jurgen ode-rwał wzrok ode mnie i spojrzał na nią. Otworzył usta, chciał o coś spytać. Ona odezwała się pierwsza.

- Nie, no coś podobnego! Sam doktor z małżonką. Jak dwie zmokłe kury! Chyba nie najlepsza dziś pogoda na spacer przy księżycu. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Jurgen zapytał zwięźle:

- Czy Rena jest u ciebie?

Uśmiechnęła się z przekąsem, sięgnęła do kołnierza koszuli, zapięła górny guzik, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden.

- Rena? - spytała przy tym, jakby nigdy dotąd nie słyszała tego imienia. Po chwili jej złośliwy uśmiech stał się jeszcze szerszy, przy tym stuknęła się palcem w czoło. - Ach tak, teraz przypominam sobie. Masz przecież dwie sztuki tego towaru. Rena to ta z gniadym ogierem między nogami?

- Matko! - Jurgen opanował się z trudem. - Nie przyszliśmy tu dla żartu. Ona nie wróciła do domu. Czy jest u ciebie? Jej uśmieszek znikł, ustępując miejsca neutralnej minie.

- Nie. - Zabrzmiało to ostro jak wystrzał. Wydało mi się, jakby zatrzasnęła nam drzwi przed nosem. Ale ona cofnęła się o krok do tyłu i kiwnęła głową, żebyśmy weszli do środka.

Jurgen postąpił o krok do przodu.

- Ja zaczekam tutaj - powiedziałam.

Chwycił mnie za ramię.

- Nie bądź taka, Vero.

Pociągnął mnie do wąskiej sieni i zamknął drzwi za sobą. Gretchen poszła przed nami w kierunku otwartych drzwi. Idąc zadała pierwsze pytanie:

- Kiedy powinna była wrócić?

- O dziesiątej - powiedział Jurgen.

Odwróciła się do niego.

- A gdzie była do dziesiątej?

- U Hennesa.

- Ach tak. Przypuszczam, że u niego już byliście.

- Naturalnie.

- A u von Wirthów?
- Telefonowałem do nich.
- Byliście też u Kuhlmana? Może Udo musiał obrządzić

bydło i zabrał ją ze sobą?

Jiirgen powiedział, że od ojca Udo wie, iż jego syn jest u swojego szwagra w szpitalu.

Gretchen zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Na mnie nie zwracała uwagi.

- Wyglądasz tak, że po polu pewnie też się już czołgaliście.

Na odpowiedź nie czekała. Weszła przez drzwi do małego pokoju.

Telewizor był włączony, a na tapczanie leżał mężczyzna. Mógł być pod siedemdziesiątkę, miał zaokrągloną różową twarz i łysinę. Był to ten sam, z którym ją matka widziała kie-dyś pod naszą bramą. Nakrył się po szyję wełnianą kołdrą. Na podłodze przed tapczanem leżało porzrzucone ubranie, na fotelu też, a na wierzchu biustonosz i majtki.

Sytuacja była przykra, po prostu tylko przykra. Na ekranie kołysała się para nagich, olbrzymich piersi, obejmowanych przez dwoje rąk, czemu towarzyszyły jednoznaczne odgłosy. Na stole stały dwie butelki piwa. Nie wiedziałam, gdzie podziać oczy, patrzyłam na butelki i do połowy wypełnioną po-pielniczkę.

- Wyłącz to pudło, Otto - zażądała Gretchen. - Wdziej por-
- tki na dupę i podgrzej trochę rosołu.

Do mnie powiedziała:

- Siadaj - wskazując drugi wolny fotel. - Wyglądasz, jak-
- byś miała zaraz wywinąć orła.

Otto podniósł się, wstając owinał się kołdrą i szczerzył się w pełnym zakłopotania uśmiechu. Wyszedł. Gretchen wzięła majtki z fotela i założyła je, nie kępując się obecnością Jurgena ani moją. Chwyła spodnie i szybko je wciągnęła na nogi, upchnęła koszulę za pasem i rzuciła z niechęcią:

- No gadaj wreszcie. Czy coś się stało? Była jakaś draka?

Zrobiliście coś dzieciakowi?

Jiirgen się rozzłościł.

62

- Jasne, że nie! Co mielibyśmy jej zrobić?

- A ja tam wiem - wzruszyła ramionami. - Dać w japę, albo co. Zdarza się, że się komuś ręka sama zamachnie, nawet jak mu się zdaje, że jest z lepszego państwa.

- Pierwsze lanie dopiero czeka nasze dzieci - powiedział

Jiirgen.

Skrzywiła się w pogardliwym uśmiechu.

- Czasem mniej boli dostać ręką, niż językiem.

- Co znowu? - prychnął Jiirgen. - U nas werbalnej przemocy też nie było.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Ładnie powiedziane. Tylko sobie nie wyobrażaj, że cię zapytam, co to znaczy.

Wejście Ottona z dwiema parującymi filiżankami zakończyło słowną utarczkę. Otto zamienił kołdrę na koszulę i spodnie. Tylko skarpetek jeszcze mu brakowało. Kiedy Jurgenowi i mnie wcisnął filiżanki w ręce, podniósł je z podłogi, usiadł na tapczanie i wciągnął na stopy. W filiżankach był czysty rosół z kluseczkami. Naczynia były gorące, rosół pachniał smakiem, a ja nagle miałam dziurę w żołądku i wypiałam łyk.

- Przynieś no dwie łyżki - zakomenderowała Gretchen - i maggi.

Kiedy Otto bez sprzeciwu się podniósł i wyszedł po raz drugi, zapytała Jiirgena:

- Dzwoniłeś do gliniarzy?

-Nie.

- Dlaczego?

- Bo jeszcze nie miałem kiedy! - krzyknął Jiirgen. - Do licha! Chodziliśmy jej szukać.

- Nie musisz ryczeć, nie jestem głucha.

Otto wrócił z dwiema łyżkami i flakonem przyprawy do zup. Gretchen spojrzała na niego z wątpliwością w oku, zanim oświadczyła:

- Wyobraź sobie, Otto, ta mała kowbojka nie wróciła do domu.

Zaokrąglona twarz Ottona wydłużyła się ze zdziwienia. Mruknął:

63

- Co ty powiesz.

Czułam, że lada chwila stracę rozum. Wszystko przesuwano się jak w zwolnionym tempie, długo i ociężale. Stara kobieta i stary mężczyzna. Było tak oczywiste, że im przeszko-dziliśmy w seksie, że mnie to omal nie zadławiło. Seks! Zwię-dła, pomarszczona skóra i film porno z telewizora. Odbiera-łam to jako wstrętne i odrażające. A Rena była gdzieś tam na zewnątrz. „Mała kowbojka” - tak powiedziała.

- Chcę stąd wyjść! Chcę natychmiast stąd wyjść! - Że to naprawdę wykrzyczałam, dotarło do mnie dopiero wtedy, kiedy Jiirgen wrzasnął na mnie:

- Bądź łaskawa wziąć się w garść, Vero!

Gretchen akurat coś mu klarowała i ja jej przerwałam.

- Nie krzycz na nią - powiedziała do Jiirgena, a Ottonowi rozkazała:

- Przynieś swoje krople na krążenie. Ona jeszcze nam tu

ficznie.

Potem podjęła w tym miejscu, w którym jej przerwałam.

- Od czasu do czasu, nie regularnie, więc się nie czepiaj.

I tylko nie rób dziecku awantur z tego powodu. Nikt się ni-

czego nie dowiedział, oprócz Hennesa, ten wie, naturalnie.

Ona zawsze przychodziła od tyłu przez ogród. W poniedzia-

łek wpadła na krótko, wczoraj też. Wtedy jej to wcisnęłam

w rękę. Dziś się jej nie spodziewałam, bo wczoraj powiedzia-

ła, że dzisiaj zabierają ogiera.

Zabierają ogiera! To usłyszałam i zrozumiałam. Jurgen po-wiedział jeszcze coś w rodzaju:

- ...lepiej byś zapłaciła tym za telefon.

Gretchen roześmiała się, a jej odpowiedź dotarła do mojej świadomości tylko fragmentarycznie.

- ...niech Otto się tym zajmie. To on wydzwaniał do różo-

wych landrynek, nie ja.

Nie interesowało mnie, co mówiła. Myślałam tylko: ogier! Mattho zabrany! Biedna Rena! Dlaczego nic mi nie powie-działa? W wyobraźni widziałam ją, jak jedzie na rowerze za transporterem uwożącym konia. Tego obrazu się uczepiłam, a wszystko inne mi się rozmazało.

3.

ie wiem, jak długo siedzieliśmy u Gretchen. Nie wiem także, o czym Jiirgen z nią jeszcze rozmawiał. Widziałam klu-seczki w rosole, na stole flaszki od piwa, zakłopotany i głup-kowaty uśmiech Ottona, kiedy z flakonika coś wkropił na łyżkę pełną cukru i przystawił mi tę łyżkę do ust. Poczułam na języku słodki i gorzki smak i szum w głowie, jakby wiatr mi wpadł tam do środka.

Potem nagle w małym pokoju zaroilo się od ludzi. Męż-czyzn i kobiet. Było ich tak wiele, jakby pół wsi zgromadziło się u Gretchen. Jiirgen chwycił mnie za ramię,

podniósł mnie z fotela i przepchnął przez tłum w kierunku drzwi. Palił pa-pierosa. Od niepamiętnych czasów nie widziałam już, żeby palił. Poszliśmy do drzwi. Na ulicy Jiirgen wyrzucił papierosa.

Dziwnie było patrzeć, jak wpadł do wody i zgasnął. To było ukłucie w sercu. Usłyszałam jak jakaś kobieta krzyczy:

- Ona nie jest martwa! Powiedzcie mi, że ona nie jest martwa!

To był tylko strzęp wspomnienia! Kiedyś to już widziałam: papieros wpadający do wody. Krzycząca kobieta na ulicy klęka i bije czołem o krawężnik, dopóki ktoś jej nie podniósł. To było dawno temu.

Jakaś starsza kobieta podeszła do mnie, objęła mnie i za-prowadziła do mercedesa. To był prastary model. Kobieta otworzyła drzwiczki po stronie pasażera i kazała mi wsiadać. Kiedy obchodziła samochód z przodu, aby również wsiąść, zobaczyłam jak Jiirgen idzie do traktora i rozmawia z jego kie-rowcą. To był Scherer ze swoim lanzem. Cała ulica była za-pełniona traktorami stojącymi jeden za drugim. Dziesięć, dwa-naście, nie mogłam ich zliczyć. Wciąż jeszcze padał deszcz, ale już tylko drobny. Wiatr czułam tylko we własnej głowie. Niebo pojaśniało. Zobaczyłam księżyc.

65

Kobieta odwiozła mnie z powrotem do naszego gospodar-stwa. Prowadziła i mówiła do mnie. Że nie powinnam się martwić. Że mężczyźni znajdą Renę, że zrobią łańcuch ze swoich traktorów i będą sprawdzać jedno pole po drugim. Kobieta wydawała mi się skądś znajoma. Ale dopiero kiedy przejeżdżaliśmy przez bramę, poznałam ją. To była moja matka.

- Nie miałam pojęcia, że umiesz prowadzić samochód -
powiedziałam.

Matka zaśmiała się.

- Wielu rzeczy nie wiesz. Dawniej prowadziłam nawet cię-
żarówkę. Krótco po wojnie, mężczyzn przecież nie było. Wte-
dy my, kobiety, musiałyśmy się tym zajmować. A ja przecież
nie zostawię mojej dziewczynki w potrzebie. Teraz wejdzie-

my do środka i zrobimy sobie mocnej kawy. A potem podgrzejemy rosół dla mężczyzn. Coś gorącego dobrze im zrobi, jak wrócą. Na pewno nie zajmie im to wiele czasu.

Matka wprowadziła starego mercedesa do stodoły i pomogła mi przy wysiadaniu. Byłam wdzięczna, że jest przy mnie. Poszliśmy do kuchni, zaparzyła kawy, postawiła na stole dwa nakrycia. Ale potem uznała, że powinnam się położyć.

- Jesteś taka blada i przemarznięta, moje dziecko.

Poszła ze mną na górę, pomogła mi zdjąć mokre rzeczy i zawięła mnie w koc.

- Przyniosę ci filiżankę kawy do łóżka - powiedziała. - Przecież nie będziesz mogła zasnąć. Ale musisz się dobrze rozgrzać i wypocząć.

Niewiele później przysłała na górę z tacą. Dołożyła też parę herbatników i usiadła przy mnie na łóżku.

- Gdzie jest ojciec i Anna? - spytałam.

- Anna śpi - powiedziała matka. - Powiedziałam jej, żeby się położyła. Nie ma potrzeby, żeby i ona jeszcze biegała po dworze, musi przecież jutro iść do szkoły. Ojciec przeszukuje stodołę i oborę, żebyśmy nie pominęli niczego. Przecież mogło się zdarzyć, że martwiąc się o ogiera gdzieś się zaszyła, nieprawdaż?

66

Matka została ze mną, aż usłyszałyśmy jak na podwórko zajeżdżają ciężkie traktory. Wtedy podbiegła do okna.

- Wiedziałam - zawołała. - Wiedziałam, że mężczyźni ją znajdą.

Krótko potem Rena brała gorącą kąpiel. Jiirgen powiedział:

- Ta mała bestia. Nie masz pojęcia, gdzie ona się schowała.

Opowiadałem ci kiedyś, że jako chłopcy kopaliśmy jaskinie w nasypie kolejowym. Były z tego zawsze awantury, bo to było surowo wzbronione. Kolejarze bali się, że kiedyś ziemia się osunie i będzie nieszczęście. Ale nigdy nic się nie stało. Nasze jaskinie były mocne, wytrzymały przez wszystkie te lata. I tam ją znaleźliśmy. Zsiniałą z zimna i śpiącą z wyczerpania, ale poza tym całą i zdrową.

Czuła się rzeczywiście dobrze. Nie była nawet zadrapana. Cała i zdrowa, tylko smutna, bezgranicznie smutna.

- Mattho zabrali - powiedziała. - Ja tak go kochałam, mamo.

Wszystko, co kocham, umiera albo odchodzi. Nigdy go więcej nie zobaczę.

- Zobaczysz - obiecałam. - Zobaczysz. Będziemy go odwiedzać. Tylko my dwie.

Otworzyła szeroko oczy, bez tchu z radości.

- Naprawdę, mamo? Obiecujesz?

- Tak - powiedziałam. - I dotrzymam słowa. Odwiedzimy go w czasie najbliższych ferii szkolnych, na Boże Narodzenie.

Chciała koniecznie spać ze mną. Jiirgen uważał, że tego już za wiele. Dzieci w małżeńskim łóżu - to zawsze było dla niego czymś okropnym. Nie tolerował tego nawet wtedy, gdy były jeszcze małe.

- Jak się raz przyzwyczają, to się już ich nigdy więcej nie pozbędziemy - powiedział, kiedy Rena miała zapalenie ucha środkowego i wysoką gorączkę. - Możesz przecież od czasu

do czasu do niej zajrzeć. Ale niech zostanie w swoim łóżku.

Lepiej wcale nie zaczynać.

Zaprowadziłam Renę do jej pokoju i posiedziałam u niej jeszcze przez chwilę. Dopóki nie zasnęła, opowiadałam jej o

67

feriach na Boże Narodzenie i naszej wizycie u Mattheo. Potem zeszłam na dół. Wszyscy byli w jadalni, pełni zadowolenia.

Matka częstowała mężczyzn gorącym rosołem. Ojciec wrócił ze stodoły i zaproponował im wódkę. Scherer uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Człowiek nie miałby przecież spokoju. A co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj.

Potem jeden po drugim żegnali się. Staliśmy w drzwiach domu, zanim ostatni traktor nie odjechał z podwórka. Jiirgen objął mnie ramieniem. Wyglądał na zmęczonego, ale widać było, że mu bardzo ulżyło.

- Taka diabliska - powiedział, kiedy szliśmy na górę, i zabrzmiało to jak wielka pochwała. - O klasówce z matematyki możemy zapomnieć. Znowu postawiła na swoim. Ale w przyszłości już nie będziemy jej wszystkiego puszczać płazem.

Zabawne, pomyślałam, on nie rozumie, o co naprawdę chodzi. Albo nie chce tego zrozumieć. Bo gdyby tak było, to musiałby się zastanawiać, dlaczego nie kupiliśmy jej tego cholernego zwierzaka.

Dyskutowaliśmy o tym. Osiemnaście tysięcy marek. I on powiedział:

- Proszę cię, Vero, nie wszystkie ceny są tak wyśrubowane.

Anna też nie dostanie przecież porsche po zdaniu matury.

- Czy napisałaś jej usprawiedliwienie do szkoły? - zapytał.

Nie zrobiłam tego. Kiedy chciałam jeszcze raz zejść na dół, machnął ręką:

- Zrób to jutro. Na pewno wystarczy, jeśli Anna powie w szkole, co zaszło.

Poszliśmy do łóżka. Była czwarta rano.

- Teraz musimy spać trochę szybciej niż zwykle - powiedział Jiirgen, kiedy się wyciągnął obok mnie. - Z nocy nie wiele już zostało.

Nie wiem, kiedy zasnęłam. W ogóle nic nie wiem. Nie wiedziałam również, że Rena od czasu do czasu chodziła do Gret-chen. Kiedy obudził mnie szum silnika, leżałam w łóżku i czułam, że byłam naga. Całkiem naga, bez nocnej koszuli, bez

68

bielizny. Normalnie nigdy nie sypiałam bez koszuli nocnej i bielizny i nie umiałam tego sobie wyjaśnić.

Jurgen stał przy oknie, kompletnie ubrany. Jeszcze się całkiem nie rozwidniło i on wyglądał szaro. I staro. Odwrócił się do mnie.

- To Scherer.

Najpierw zaczęłam się zastanawiać, czego Scherer jeszcze tu chce. Potem przyszło mi na myśl, że obiecał ściągnąć mojego forda fiestę. W nocy pewnie o tym nie pomyśleli.

- Zejdę na dół - powiedział Jurgen.

Był ubrany w grube spodnie kordowe, starą skórzaną kurtkę i gumki. Brudne gumki na jasnej wykładzinie w sypialni!

- Żeby tylko matka tego nie zobaczyła - powiedziałam.

Podszedł do drzwi.

- Gwiżdżę teraz na to. Chcesz jeszcze poleżeć w łóżku?

Spojrzałam na zegar, było krótko po szóstej.

- Jeszcze troszkę - powiedziałam. - Tylko kwadransik.

Spałam dwie godziny. Jeśli tobie to wystarczy, to mnie nie.

Jego ręka spoczywała na klamce. Kiwnął głową. Potem wyszedł z sypialni. Zamknął drzwi za sobą. Słyszałam jak w sieni rozmawia z Anną.

- Pamiętaj o siódmej zadzwonić do Jaśmin. Niech odwoła wszystkich pacjentów na dzisiaj. Zadzwon też do Sandry. Nie wiem, czy dziś rano było coś do laboratorium. Jeśli coś jest do zrobienia, to niech zrobi. Potem może iść do domu.

- Dobrze. A co z mamą?

- Daj jej poleżeć - powiedział. - Ona nie umie sobie z tym wszystkim poradzić.

Z dołu słyszałam, jak woła mój ojciec:

- Jurgen! Ile ten człowiek ma jeszcze czekać?

Jurgen krzyknął w odpowiedzi:

- Już idę!

I na podwórku zawarczał ciężki silnik. Nie wiedziałam dlaczego. Nie wiedziałam także, dlaczego byłam naga. Pamiętałam, że matka pomagała mi zdjąć mokre

69

ubranie. Że zdjęła mi też stanik i majtki i powiedziała przy tym:

- Mój Boże, jesteś cała mokra.

Że później tak jak stałam położyłam się do łóżka. Ale prze-cież jeszcze raz wstawałam! Siedziałam przy Renie na brzegu wanny i na jej łóżku. Byłam z mężczyznami w pokoju jadal-nym. Ale przecież nie naga!

Słyszałam jak Jiirgen z hałasem schodzi po schodach i pyta:

- Jak myślisz, kiedy uda ci się złapać Steinschneidera?

- Spróbuję zaraz-powiedział ojciec. -Pewnie jeszcze jest w łóżku. Ale dzięki temu będzie przynajmniej w domu.

I słyszałam jak moja matka mówi:

- Przecież nie zostawię mojej dziewczynki w potrzebie.

Miałam sześć lat, kiedy ojciec jeździł tym mercedesem, do

którego wsiadłam w nocy. Sześć lat, kiedy Ursula Bost została przejechana w czasie zabawy piłką na ulicy i jej matka biła czołem o krawężnik. Sześć lat! Teraz miałam czterdzieści dwa i zostawiłam moją dziewczynkę w potrzebie.

Kiedy wyszłam z sypialni, ojciec stał przy telefonie w sieni. Na zewnątrz odjeżdżał samochód, jeszcze przez chwilę słyszałam ciężki warkot. Anna zamknęła drzwi wejściowe, zacierała ręce, jakby jej zmarzły, i poszła do kuchni. Ojciec spojrzał w górę, zobaczył mnie na galerii i zawołał:

- Leno, chodź szybko. Musisz się zająć Verą.

Potem powiedział do telefonu:

- Heinz? Tu Dolf. Przepraszam, że cię budzę tak wcześnie.

Chodzi o nagły przypadek. Nasza Rena wczoraj wieczorem nie wróciła do domu.

- Nie - powiedziałam.

Ojciec spojrzał znowu ku mnie do góry i zawołał:

- Wracaj do łóżka, Vero. - A do telefonu: - Przepraszam, Heinz, tutaj panuje rozgardiasz, sam rozumiesz. Moja córka jest wykończona nerwowo.

- Nie - powiedziałam.

Matka wyszła z kuchni i zawołała:

70

- Na litość boską, Vero, przecież nie możesz nago chodzić po domu. Załóż coś na siebie.

- Nie - powiedziałam.

Anna zawołała:

- Daj jej dwie z tych tabletek, babciu. Opakowanie leży na stole w jadalni.

A ojciec powiedział do telefonu:

- Całą noc jej szukaliśmy, Heinz. Co mogliśmy zrobić, to zrobiliśmy. Mój zięć jeszcze teraz pojechał znowu z pewnym człowiekiem ze wsi. Jeszcze raz sprawdzają traktorem drogę, którą nasza Rena zwykle jeździła. Tak, oczywiście, Heinz. On już pół godziny temu dzwonił do kryminalnej.

Ale sam wiesz, jacy oni są, kiedy nie chodzi o małe dziecko.

Nasza Rena ma szesnaście lat. Nie, Heinz, nie ma takich przyjaciół, u których mogłaby być. Nie było też żadnej kłótni w rodzinie.

Doktor Heinz Steinschneider! Prokurator w sądzie krajowym w Kolonii, przyjaciel ojca i wiernie oddany sługa, za pan brat z radcami kryminalnymi, dyrektorami wydziałów kryminalnych i innymi wysoko postawionymi figurami, które jednym pstryknięciem palca mogły uruchomić całą maszynę i popędzić kota paru gnuśnym albo przepracowanym podwładnym. Człowiek musi mieć znajomości! Wtedy łatwiej zatuszować własną nieudolność i zaniedbania.

Matka znikła w kuchni. Słyszałam jak rozmawia z Anną.

- Ona nie może zażywać tych tabletek z kawą. Daj mi szklanek wody.

Ojciec powiedział:

- Heinz, my już wyczerpaliśmy nasze możliwości i obawiamy się najgorszego.

Matka przysłała schodami na górę ze szklanką wody w jednej i dwoma pigułkami w drugiej ręce. Stałam wciąż jeszcze przy poręczu. Twarz matki była jak gipsowa maska. Nie chciałam połykać pigułek, chciałam odsunąć jej rękę, ale musiałam się obiema rękami trzymać poręczu. Kręciło mi się w głowie, ponieważ zaczynałam wszystko pojmować.

Moja matka nigdy do mnie nie powiedziała: „Przecież nie zostawię mojej dziewczynki w potrzebie”. Kiedy matka Urszuli trzydzieści sześć lat temu załamała się na ulicy, moja matka powiedziała: „Czy nie można by się trochę opanować? To przecież nic nie pomoże, jeżeli ktoś będzie krzyczał i płakał”.

Wsunęła mi pigułkę między zęby. Przy drugiej udało mi się pokręcić głową. Podsunęła mi szklanę. Ojciec odłożył słuchawkę telefonu i ze spuszczoną głową poszedł do kuchni. Anna przeszła do sieni i spojrzała ku mnie do góry. Zobaczyła, że się wzbraniam i zawołała:

- Weź przynajmniej jedną, mamó. Tata powiedział, że one nie działają otepiająco, lecz uspokajają. Policja zaraz przyjedzie. Będiesz na pewno z nimi mówić.

- Nie - powiedziałam, wyjęłam matce szklanę z ręki i połknęłam także drugą pigułkę.

Policja zaraz przyjedzie! Naturalnie, że zaraz przyjadą, jeżeli emerytowany sędzia zgłasza zaginięcie własnej wnuczki. Dziewczyna z dobrego domu, takiej sprawy nie wrzuca się z innymi do jednego wora, zwłaszcza gdy sędzia w stanie spoczynku zatroszczy się o wywarcie odgórnego nacisku.

I wyobrażamy sobie zaraz, że wpływ starego człowieka wystarczy, aby postawić na nogi cały duży oddział. Że po-dwórze zaroi się od mundurów. Że będą mieli ze sobą psy, że wysoki, silny mężczyzna o wyglądzie profesjonalisty obejmie dowództwo i roześle ich we wszystkie strony. Że się rozejdą po terenie... Człowiek spodziewa się wielu rzeczy. I nigdy nie jest tak, jak to sobie wyobrażamy.

Czekaliśmy ponad godzinę. Może Heinz Steinschneider potrzebował trochę czasu, żeby zasięgnąć informacji od właściwych służb. Może prośba ojca wędrując przez sieć telefoniczną straciła na pilności, albo nie było jeszcze nikogo w biurze, kogo mogliby wysłać. A może pomyśleli sobie tylko: „Niech ten stary się tu nie nadyma. Szesnastoletnia dziewczyna, też coś, nie ma dnia, żeby nie zdarzył się taki przypadek. Znamy to, znamy. Wiemy też, dlaczego to się dzieje. Po co zaraz stawać na uszach?”.

Zanim przyszli, matka chwyciła mnie za ramię i popchnęła do sypialni. I jeśli sobie tylko uroiłam, albo mi się przyśniło, że pomagała mi przy rozbieraniu, to przy ubieraniu pomogła mi naprawdę. Moje ręce tak się trzęsły, że nie mogłam niczego w nich utrzymać, ani zapiąć żadnej haftki ani guzika.

Matka wyjęła z mojej szafy bieliznę, spódnice i bluzkę. Bieliznę i bluzkę pozwoliłam sobie założyć, ale spódnicy nie chciałam. Przyszła Anna i przyniosła mi swoje dzinsy i parę grubych wełnianych skarpet. Kiedy je zakładałam, zobaczyłam pęcherze na moich stopach. Anna zobaczyła je także i powiedziała, że trzeba je najpierw opatrzyć.

- To kiepsko wygląda, mamó. Nie możesz tak chodzić.
- Ja nie jestem tobą- powiedziałam.

Wzruszyła ramionami i powiedziała nieufnie:

- Chcesz może wyjść?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, oświadczyła zdecydowanie:

- To nie byłby dobry pomysł, mamó. Jak przyjedzie policja, musisz z nimi porozmawiać. Byłaś u Hennessena. Nikt z nas nie wie, co on ci powiedział. A ty nie jesteś w takim stanie, żebyś mogła sobie wędrować po dworze.

Nie wiedziałam zresztą, dokąd miałabym pójść. Zeszliśmy na dół do kuchni. Ojciec siedział przy stole nad filiżanką kawy. Palił papierosa. Zwykle nie palił tak wcześnie rano.

- Dlaczego po nią nie pojechałeś?

Nie odpowiedział mi, patrzył w okno. Anna dała mi znak głową, żebym go zostawiła w spokoju. Nie miałam siły powtórzyć mojego pytania. Matka naląła kawy dla mnie i Anny i usiadła. Na jej twarzy pojawiały się drgania, jakby lada chwila miała wybuchnąć płaczem. Jej głos brzmiał chropawo i wydobywał się z trudem, kiedy oświadczyła:

- Ja jej powiedziałam, że przy takiej pogodzie ma zostać w domu. Ale ona po prostu sobie poszła. Vero, ile razy ci mó-

wiłam, żebyś nauczyła to dziecko jakiegoś respektu. Co miałam zrobić, kiedy ona mnie nie słucha?

Anna położyła jej rękę na ramieniu.

- Już dobrze, babciu. Wszyscy wiemy, że próbowałaś.

73

Wiemy? Może Anna wie, ja nic nie wiedziałam. Ja miałam przed oczami kobietę, która tłukła czołem w krawężnik na ulicy. W naszej kuchni nie było krawężnika, a moje czoło było już zakrwawione, nie na zewnątrz. Ale za nim widziałam An-negret Kuhlman jako zmiażdżony tobołek z ciałem na brzegu drogi. Widziałam traktor ze zbyt słabymi reflektorami, jak je-dzie po polu - w porze, kiedy nikt już nie powinien się tam włóczyć. Widziałam worek pełen odpadów pod nasypem ko-lejowym. Puste przejścia, pusty boks Mattho. A Udo von Wirth siedział u swojego szwagra w szpitalu.

Gardło mnie paliło przy każdym łyku kawy. Bolały mnie plecy i stopy. A moja głowa była wypchana wilgotną, nasy-coną krwią watą, z której wicher odrywał małe strzępki i gnał przed sobą jak tamten kawałek papy na podwórku.

Anna opowiadała, że po telefonie Jiirgena już nie położyła się do łóżka. Że zbudziła moich rodziców. Że ojciec od razu wybiegł sprawdzić stodołę i oborę, ogród, każdy kąt. Że był jeszcze poza domem i jak opętany świecił wielką latarką w ko-rony drzew i za kępy rabarbaru, zdzierając gardło okrzykami: Rena! Rena! Rena!, kiedy wjechaliśmy na podwórko. Pogię-tym volvo. Jiirgen i ja na tylnym siedzeniu, Gretchen przy kie-rownicy, a obok niej stary człowiek z zaokrągloną twarzą; są-dząc z opisu, musiał to być Otto. Nic z tego nie pamiętałam. Anna powiedziała, że oni zaraz odjechali. Jurgen zaprowadził mnie na górę do sypialni. I nic więcej się nie zdarzyło.

Byłam jak sparaliżowana, wyjałowiona, mózg jak zabity deskami. Nie mogłam się poruszyć, kiedy krótko po siódmej w sieni zadzwieczał telefon.

Anna odebrała, powiedziała „Halo”, a potem:

- Nie, tu Anna.

Potem powiedziała nerwowo:

- Rena? - z napięciem: - Rena? Czy to ty? - tonem błagal-

nym: - Przestań płakać, Reno, i powiedz coś! Dlaczego nie mówisz? - pytająco: - Kto mówi? - gorączkowo: - Proszę wreszcie coś powiedzieć! - i z niechęcią: - Do wszystkich diabłów, co to znowu ma znaczyć!

74

Anna odłożyła słuchawkę i wróciła do kuchni. Kręcąc głową starała się zademonstrować opanowanie, a jednak nie mogła ukryć wzburzenia. Dało się to wyczuć także w jej głosie.

- Co za idiota, mówi tylko „Rena” i wydaje głupie odgłosy.

- Jakie odgłosy? - spytał ojciec.

Anna wzruszyła ramionami i bezradnie skrzywiła usta.

- To przypominało płacz. A w tle było słycać takie dziwne szczekanie, jakby jakiejś maszyny.

- Czy to była Rena? - dopytywał się ojciec.

Anna jeszcze raz wzruszyła ramionami i wydawała się nie-pewna.

- Ja nie wiem. Tak pomyślałam w pierwszej chwili. Ale ona by przecież powiedziała: „Tu Rena”. Albo: „To ja”. Nie powiedziałyby tylko „Rena”, i porozmawiałyby ze mną.

- Jak jeszcze raz telefon się odezwie, ja odbiorę - powiedział ojciec.

Anna wypila kawę i chwyciła się za czoło.

- Miałam przecież zadzwonić do Jaśmin i Sandry Erken.

Wyszła jeszcze raz. Czułam się jak widz w kinie, beczynie i w nerwowym napięciu śledzący akcję, która nie dotyczy go osobiście.

Czekać! Nienawidzę tego słowa. Zawsze go nienawidziłam. Ono mnie doprowadza do pasji. Nie wiedzieliśmy co mamy robić, siedzieliśmy tylko w milczeniu. Anna

wpatrywała się w swoją filiżankę. Ręce matki były w stałym ruchu. Zastanawiałam się, co może się dzieć w głowie ojca.

Kiedy na niego spojrzałam, odwrócił wzrok. Bał się, że mogłabym go jeszcze raz zapytać. W jego minie widać było na zmianę to twardość - ten typowy wyraz, którym nam pokazywał, że także w późnym wieku jeszcze był silny i nie-ustępliwy, jak przystało na głowę rodziny, patriarchę, który swoim doświadczeniem życiowym wspiera młodszą genera-cję, który nie zna słabości - to znowu rozpacz, wstyd, poczucie, że zawiodł.

Widziałam jego twarz wyraźnie przed sobą za każdym ra-zem tylko przez chwilę. Potem się rozplywała i widziałam

75

Jiirgena schylającego się po odłamek potłuczonego kierun-kowskazu, widziałam jak idziemy przez ostatni kawałek po-lnej drogi, jak Jurgen pada na kolana obok worka z odpadami, jak stoję w oknie kuchennym, jadę przez wieś, wchodzę do stajni Hennessena. Słyszałam siebie, jak jęwołam, widziałam ją, jak wstaje w ostatnim boksie i wychodzi do mnie.

Widziałam jeszcze raz, jak razem z Jiirgenem wchodzę do domu, słyszałam głośny dźwięk telewizora i szłam do scho-dów. Wchodziłam do jej pokoju, żeby z nią pomówić. Słowa miałam już na końcu języka: „Jesteś wściekła na mnie, że musisz tu siedzieć? Reno, szkoła jest ważna. To jest twoja przyszłość. Nie ja wynalazłam szkolne oceny. Wiem tylko, że od dobrych ocen dużo zależy”.

Potem widziałam puste biurko, schodziłam na dół i pyta-łam matki. Potem od razu wyruszałam w drogę. I wchodzi-łam do stajni. I zabierałam ją ze sobą do domu.

W mojej głowie cofał się zegar. Co by było gdyby! Igraszki wyobraźni, które rozrastały się w całą górę, nie mniej potężną niż ta, która ciążyła na barkach ojca. Zawiodłam. W decydu-jącym momencie nie było mnie tam, gdzie powinnam być. A dlaczego? Ponieważ chciałam uniknąć niemiłej sytuacji, nie chciałam patrzeć na cierpiącą minę młodej dziewczyny. Z ta-kiego śmiesznego powodu!

Radio matki z budzikiem pokazywało cztery minuty po ósmej, kiedy na podwórko zajechał samochód. Wysiadł z nie-go jakiś mężczyzna. Tylko jeden mężczyzna! Mógł być w mo-im wieku, miał bujne, ciemne włosy i najwyraźniej brakowa-ło mu czasu na regularne wizyty u fryzjera. Ubrany był w dzin-sy i gruby sweter.

Nie tak wyobrażamy sobie policjanta. Podeszedł do domu -powoli, ostrożnie i z takim

spojrzeniem, jakby zamierzał się tu osiedlić i tylko sprawdzał, czy dach nie przecieka. Anna poszła do sieni mu otworzyć.

Usłyszałam męski głos:

- Klinkhammer.

76

Anna powiedziała:

- Proszę.

Weszli do kuchni. Jeszcze raz wymienił swoje nazwisko, oświadczył, że jego kolega na zewnątrz coś zobaczył. Zobaczył traktor Scherera i wyszedł mu naprzeciw. Kilka minut później przyszedł do domu z Jurgenem i Schererem. Sprawdzili całą drogę do Hennessena i nie znaleźli Reny, ani żadnego śladu po niej, ani roweru, ani torby z ubraniami, którą również musiała mieć przy sobie.

Drugi policjant nazywał się Olgert. Był także po cywilnemu, ale miał szare ubranie, jasnoniebieską koszulę i delikatnie wzorzysty krawat. Był nieco młodszy od Klinkhammera i różnił się od kolegi nie tylko wypielegnowanym wyglądem. Był też zdecydowanie bardziej energiczny. Robił wrażenie kogoś, kto bierze sprawy w swoje ręce i posuwa je naprzód.

Chciał się dowiedzieć od Scherera, czy dałoby się zmobilizować jeszcze kilku ludzi z traktorami do większej akcji poszukiwań. Do Klinkhammera powiedział:

- Na polu nie ujdzie się nawet dziesięciu kroków, bo buty zostają w błocie. Psów nie ma co sprowadzać. Najlepszy wędch nie zda się na nic po takim deszczu.

Psy! Ja też o tym myślałam. Ale kiedy Olgert wymówił te słowa, wydało mi się, jakby psy zawisły mi u gardła. Klinkhammer wykonał gest, żeby się nie spieszyć. Zaczął zadawać pytania i dał odczuć, że on tu rządzi i że nikt nie będzie mu nic sugerował. Sprawdził najpierw wszystkie powody, które mogły skłonić młodą dziewczynę, aby z własnej woli nie wrócić do domu. Ale wszystkie jego pytania nie miały do nas odniesienia. Nie było narkotyków, lania, źle widzianego przyjaciela, którego byśmy jej zabraniali. Żadnej kłótni, żadnej presji. Żadnego powodu!

No cóż, nie wszystko było tak idealnie, jak na obrazku. Parę drobnych sprzeczek

dałoby się znaleźć. Ale tylko w pierw-szych tygodniach po przeprowadzce. Czy wszystko może od razu pójść jak z płatka, kiedy trzy pokolenia sprowadzają się pod jeden dach? Ja też miałam zastrzeżenia, kiedy Jiirgen za-

77

proponował, żeby moi rodzice przenieśli się do nas, bo go-spodarstwo jest tak duże i leży na takim odludziu, o kilometr od wsi.

Ojciec podchwycił pomysł z entuzjazmem i podobnie jak Jurgen uznał, że to idealne rozwiązanie. Ale kiedy sześcioro ludzi mieszka razem, to nie wszyscy myślą tak samo. Każdy ma swoje przyzwyczajenia, swoje upodobania, swoje poglą-dy.

Na początku matka nie pomijała żadnej okazji, żeby kryty-kować nasz sposób wychowywania dzieci. Nie w odniesieniu do Anny, tylko do Reny.

- No nie, tak nie można! To dziecko ma za dużo swobody.

Kiedy Rena pojawiała się w niedzielę na obiedzie w sta-rych dżinsach i poplamionej koszulce, matka czuła się osobi-ście urażona. Narzekała na gusty muzyczne Reny i jej manie-ry przy jedzeniu. Rano krzywiła się z powodu słuchawek walk-mana, które Rena często zakładała także przy śniadaniu. W po-łudnie denerwowała się, kiedy Rena dłubała w pieczeni i po-łowę mięsa odkładała na brzeg talerza, mówiąc, że jest tłuste.

Z kolei Rena uskarżała się, kiedy ojciec jeszcze późnym wieczorem słuchał Wagnera.

- Jak ja mam spać w takim łośkocie?

- Zatkaj sobie uszy, Anna też tak robi.

- To jutro rano nie będę słyszała budzika.

- Babcia cię przecież obudzi.

- Ona budzi Annę. Do mnie tylko puka, a z zatyczkami

w uszach pukania też nie usłyszę.

Rena uważała za bezgraniczną lekkomyślność, że ojciec w jego wieku jeszcze siada za kierownicą i wyjeżdża na auto-stradę. I nigdy by się nie przyznała, że krytykuje to tylko dla-tego, bo obawia się, iż dziadkowi mogłoby się coś stać.

- Możesz mi wierzyć albo nie, mamu, aleja uważam, że on

już tak dobrze nie widzi. Nikt przecież nic nie mówi, kiedy jeździ sobie po wsi albo na zakupy do miasta. Ale na autostradę, gdzie wszyscy gnają na złamanie karku! Powinien lepiej dać sobie spokój. Jeszcze coś się stanie.

78

Biały fartuszek, który matka zakładała na sukienkę do pracy w kuchni, działał na Renę jak płachta na byka. Podobny skutek miało staranne nakrywanie stołu przez matkę.

- Ja się czuję wtedy jak jakiś lump, który powinien siedzieć pod stołem. Czy ona zawsze nam musi pokazywać, że jest kimś lepszym? Pewnego dnia przyjdę do domu, a ona będzie miała na szyi tabliczkę: „Helena Merten z domu von Alsberg”, a to „von” będzie wyszyte grubą nitką. Wtedy to już na pewno będzie mi wolno mówić do niej tylko „łaskawa pani”, i będę musiała spać w stodole.

Wysokie urodzenie matki nie było znowu aż tak znaczne. Już moim dziadkom z dawnej świetności zostało tylko małe „von” przed nazwiskiem. Rena wiedziała o tym dobrze, ale to było coś, czego mogła się uczeplić, żeby odpłacić matce za krytykę. W pierwszych tygodniach!

Kiedy Rena odkryła żrebaka na pastwisku, nie tylko przyjaciele w mieście stali się nieważni. Także obstawanie matki przy stylu i dobrych manierach stało się sprawą małej wagi.

Po dziesiątym czy jedenastym „nie” wypowiedzianym przez Jiirgena, Klinkhammer poprosił Annę, żeby opisała czwartek. Anna spędziła z Reną więcej czasu niż ktokolwiek z nas. Trzymała się prawdy i nie przemilczała również, że Rena chciała uniknąć klasówki z matematyki, że spieszyła się przy jedzeniu, że ja prosiłam, aby ojciec po nią przyjechał o piątej. Klinkhammer obrócił się do ojca.

Na moje pytanie ojciec odmówił odpowiedzi, wlepiając oczy w okno. Nie zdążył także odpowiedzieć Klinkhammerowi. Zanim otworzył usta, matka powiedziała:

- On chciał po nią pojechać. Nie o piątej. O wpół do szóstej powiedział: „Najlepiej będzie, jak się tam wybiorę. Nie zanoszę się na to, żeby burza miała zelżeć jeszcze dzisiaj”. Nie chciałam, żeby jechał przy takiej pogodzie. On ma siedemdziesiąt pięć lat. Były już przecież ofiary śmiertelne.

Matka zaczęła płakać, wyciągnęła chusteczkę z fartucha, wytarła nos. Zwróciwszy na mnie oczy mówiła dalej:

- Gdybym przeczuwała, dlaczego ona koniecznie chce iść do stajni, zawołałabym jej taksówkę i dopilnowała, żeby

79

taksówką też wróciła. Ale nie pisnęła ani słowem, że zabierają to zwierzę.

Jej następne zdanie było skierowane do mnie:

- Dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Z tobą też o tym nie mówiła. Ty nic nie wiedziałaś, mam rację?

Potem jej spojrzenie prześliznęło się na Jurgena.

- Ja dowiedziałam się dopiero w nocy od mojego zięcia.

Nieprawdaż, Jiirgenie? Twojej matce opowiedziała. Dlaczego twojej matce, a nie nam? Co ona sobie myślała?

Matka łkała, kręcąc głową.

- Czy taka miała być jej wdzięczność za wszystko, że bieżnie do tej osoby i jej się zwierza zamiast nam? My nic nie wiedzieliśmy. My naprawdę nie wiedzieliśmy.

Klinkhammer kiwał głową w zamyśleniu. Dla niego była to decydująca wskazówka. Razem z tym, co opowiedziała Anna, słowa matki dały mu jasny obraz. Jego podejrzenia potwierdzał fakt, że Rena wzięła ze sobą ubranie na zmianę. Ani Anna, ani matka nie zwróciły uwagi na to, co było w tor-bie, którą Rena wyniosła z domu.

Anna powiedziała, że to była duża torba. Jedna z tych, jakie się dostaje w supermarkecie.

Potem przyszła kolej na mnie. Nie rozwodziłam się nad tym, że matka nie poinformowała mnie o nieobecności Reny od razu po moim powrocie do domu. Nikomu nie pomogą rozważania, co by było gdyby. Za to słowa Hennessena wzbudziły zainteresowanie Klinkhammera, podobnie jak to, że nie zająknął się nawet o zabraniu Mattho. Dlaczego prosto z ujeżdżalni nie poszłam do von Wirthów?

Jurgen jednym spojrzeniem zamknął mi usta.

- Moja żona próbowała, ale brama była zamknięta. Rodzina von Wirthów nie chciała przyjmować kondolencji, co zrozumiałe. Ja natomiast, kiedy moja żona wróciła, zatelefonowałam do nich. Potem zaraz wyjechaliśmy.

Anna w zakłopotaniu spuściła oczy. Matka płakała w chusteczkę, wycierała sobie oczy i kręciła głową. Czułam potrzebę walić pięściami w stół i krzyczeć: „Róbcie coś! Róbcie wreszcie coś!”.

80

Jedynym, który coś robił, był Scherer: obracał w rękach zielony filcowy kapelusz. Klinkhammer dowiadywał się od niego o ludzi z traktorami. Scherer spojrzał na Jurgena.

- Gdybym mógł zatelefonować, na pewno paru zbiorę. Przecież dzisiaj nikt na polu nic nie robi.

Jurgen poszedł z nim do sieni.

Podczas gdy Scherer telefonował, Klinkhammer kazał mi wyliczyć przyjaciół Reny. Ponieważ Udo von Wirth został już wymieniony, wspomniałam jeszcze o Horście, Arminie, Ka-trin, Tani i Ilonie. Wszyscy mieszkali w mieście. Śmieszne byłoby przypuszczenie, że Rena o dziesiątej wieczorem wybrała się tam rowerem. Klinkhammer też był tego zdania, jednak nie wykluczał, że Rena któremuś z nich mogła opowiedzieć o swoich planach. To, że miała plany, uznał za fakt. Za dowód posłużyła mu plastikowa torba i uwaga Hennessena, że po moim telefonie czmychnęła zwinnie jak łasica.

Klinkhammer chciał osobiście mówić z Udo von Wirthem, a do pozostałej piątki zatelefonować, i pytał, dlaczego my tego jeszcze nie zrobiliśmy. Ponieważ nie wiedzieliśmy, jak się nazywają. Nikt z nas nie znał ich nazwisk, tylko imiona. Klinkhammer popatrzył na nas jak na rzadkie okazy.

Anna łamała sobie głowę, czy Armin nazywa się Meurer, czy Heuser, a może Leuthen. Armin chodził do gimnazjum Humboldta, był nawet z rocznika Anny, ale nie z jej klasy. Nigdy jeszcze bliżej się z nim nie zetknęła, znała go tylko przełotnie przez Renę.

Nie miało to znaczenia, bo Hennesen musiał wiedzieć, jak się nazywają. Jurgen wskazał telefon, ale Klinkhammer odmówił, także z Hennesenem chciał rozmawiać osobiście. I z Gretchen! Wyszedł. Olgert został. Tak wolałam.

Olgert już samym swoim wyglądem robił wrażenie bardziej kompetentnego. I wydawało się, że nie wierzy, iż Rena znikła z własnej woli. Poprosił mnie o pokazanie jej pokoju. Poszliśmy na górę i obejrzał sobie wszystko.

Zdjęcie w dużym formacie przy jej łóżku. U Anny stał śmiejący się Patrick, a u Reny była to końska głowa. Mattho, ten

81

gniady diabeł. Na biurku leżała otwarta książka do matematyki, obok niej blok, na którym było nabazgrane parę liczb i linii. A więc chciała jeszcze się uczyć!

Na oparciu krzesła przed biurkiem wisiały dzinsy, które nosiła w szkole. Na łóżku leżał jej sweter. Leżał tak, jak go zdjęła z siebie, zmięty kłębek materiału, szorstką stroną odwrócony na zewnątrz.

Pod swetrem leżała jej portmonetka - zawierała tylko parę drobniaków - i album pełen zdjęć, które ktoś jej zrobił. Rena na grzbiecie Mattho, poklepuje brązową szyję i śmieje się do obiektywu. Rena czyści konia w stajni, lewą ręką puka się w czoło. Rena z siodłem na ramieniu obok kasztanki. Rena prowadzi siwka przez podwórze Hennesena do stajni. Rena z twarzą przyciśniętą do szyi klaczy arabskiej. Rena siedzi na ogrodzeniu obok rowu i rozciera sobie nogę w kostce, a za nią nerwowo tańczący Mattho. Gdzie tam, on mnie jeszcze nigdy nie zrzucił. Rena i konie, konie, konie.

- Jej chyba chłopcy jeszcze nie byli w głowie? - stwierdził

Olgert.

Pokręciłam głową. Chciał wiedzieć, gdzie Rena przecho-wuje swój paszport. W portmonetce! Tam go nie było. Się-gnęłam pośpiesznie do jej torby szkolnej, także nic.

Olgert pokazał zdjęcie.

- Czy to ten koleś, z którym koniecznie chciała się pożegnać?

Kiwnęłam głową.

- Piękne zwierzę - powiedział.

Do tego momentu nie wypowiedziałam nawet trzech zdań, wreszcie język zaczął mnie słuchać.

- Ona dostała własnego konia na urodziny w niedzielę.

Młodą klacz, także bardzo piękne zwierzę.

Kiwnął głową z uznaniem.

- Jeździectwo to drogie hobby, co?

- Nie takie znowu drogie.

Uśmiechnął się krzywo.

- Wszystko jest względne. Własny koń. Ile godzin jazdy miała w tygodniu?

82

- Tylko jedną, ale codziennie była w stajni. Nie bała się tam żadnej pracy. I żadna nie była dla niej za brudna. Hennesen powiedział raz, że właściwie powinien jej płacić.

- No to mógłby ją raz odwiedzić do domu, nie sądzi pani?

- Jeszcze nigdy tego nie robił. Pewnie nie mógł zostawić rannej klaczy.

- Ale tak właśnie postąpił - powiedział bardzo poważnie

Olgert i podszedł do szafy z ubraniami.

Po jednej stronie dzinsy, dzinsy, dzinsy, na górnej półce dwa stopy swetrów i dwa koszulek, kupka skarpetek w koszu, obok tego bielizna Reny. Po drugiej stronie zimowa kurtka i lekka bluza na okres przejściowy. Na wieszaku sukienka, którą jej kupiłam w zeszłym roku, w nadziei, że może założyć ją na Boże Narodzenie. Przymierzyła ją.

- Jak ja wyglądam w czymś takim! Założę to, mamó, ale tylko pod warunkiem, że babcia ubierze się w dzinsy.

Olgert zapytał, jakie rzeczy Rena miała przy sobie, oprócz tych, w które była ubrana. Nie potrafiłam mu powiedzieć. Nie wiedziałam, czy Rena ma osiem czy dziesięć par dzinsów, dziesięć czy dwanaście ciepłych koszulek.

Z zewnątrz usłyszałam słaby hałas kilku ciężkich silników. Pokoje dziewcząt wychodzą na ogród, tam odgłosów z po-dwórka nie słychać tak wyraźnie. Olgert wszedł jeszcze szyb-ko do małej kabiny prysznicowej, która należała do pokoju Reny. Jednym spojrzeniem ogarnął zwykle utensylia na półce nad umywalką. Szczotka do zębów, szczotka do włosów, szampon, płyn do kąpieli. Niczego nie brakowało. Zeszliśmy znowu na dół.

Scherer zebrał do poszukiwań siedmiu mężczyzn. Jiirgen był już z nimi. Gestykulował i tłumaczył coś, znowu wspinał się na lanka do Scherera. Jeden po drugim wyjeżdżali z po-dwórka.

Olgert nie zdążył udzielić im instrukcji. Wydawało się też, że uważa to za zbędne. Jeśli ktoś w ogóle znał ten teren, to miejscowi rolnicy. Wyglądało na to, że Scherer objął dowództwo.

83

Matka się uspokoiła i postawiła na stole obfite śniadanie. Stała z Anną przy oknie, patrzyła za odjeżdżającymi traktorami i mięła w rękach wilgotną chusteczkę. Ojciec siedział przed swoim nakryciem i spoglądał ku mnie z nieodgadnioną miną. Nagle zrobiło mi się go żal. Stary człowiek, który nie miał odwagi wyprowadzić swojego auta przy niepogodzie ze sto-doły. niesprawiedliwością było mu to zarzucać.

Anna odwróciła się w moją stronę.

- Tato nie zjadł ani kęsa.

Ja także nie miałam apetytu, ale usiadłam, wzięłam kawę i kawałek chleba z koszyka.

Olgert obejrzał stół. Matka chciała mu nalać kawy. Podniósł swoją filiżankę do góry. Ale zamiast ją podsunąć matce, spojrzął na markę manufaktury.

- Przypuszczam - powiedział z namysłem - że wiele osób wie, gdzie pani córka spędza najwięcej czasu.

Nie mogłam odpowiedzieć, zastanawiałam się cały czas, gdzie Rena mogła wsadzić swój paszport. Ojciec powiedział:

- Każdy to wie, kto zna Renę.

- I normalnie wracała sama do domu - ciągnął Olgert. -

A przy tym zawsze tą samą drogą.

Ojciec kiwnął głową. Olgert wyglądał tak, jakby nie wiedział, czy ma mówić dalej. Matka nalała mu wreszcie kawy do filiżanki. Olgert przyglądał się jej przy tym i poważnym tonem zadał następne pytanie.

- Czy to był wyjątek, że ona wczoraj tak długo została w stajni, czy zdarzało się to częściej?

- Normalnie przychodziła na kolację - powiedział ojciec. -

Ale potem często jeszcze raz wyjeżdżała. Trzy, cztery razy w tygodniu. A wtedy zostawała do dziewiątej albo dziesiątej.

Teraz Olgert pokiwał głową i mruknął:

- Ciekawe.

Co on w tym widział ciekawego, było dla mnie zagadką. W sieni zadzwieczał telefon. Anna chciała wyjść, ojciec ją powstrzymał.

- Przecież powiedziałem, że następnym razem ja podniosę słuchawkę. Jeśli to Rena, ze mną będzie mówić. A jeśli to zno-

84

wu ten wariat, to już ja mu nagadam do słuchu. To niesłychane, żeby naprzykrzać się ludziom w takiej sytuacji głupimi żartami.

Olgert od razu chciał wiedzieć, o czym mowa. Anna szybko mu to wyjaśniła. A

telefon dźwięczał i dźwięczał. Czubek nosa matki stał się biały, a jej usta były już tylko jak kreska bez koloru. Chciałam wstać. Olgert chwycił mnie za przegub.

- Jeszcze chwileczkę.

Dopiero kiedy Anna skończyła, pozwolił mi podejść. Po-szedł za mną. Podniosłam słuchawkę, on najpierw przycisnął ucho z drugiej strony. Potem odkrył klawisz głośnego mówienia i trochę się ode mnie odsunął.

To była tylko Jaśmin, która chciała przekazać informację, że odwołała pacjentki na piątek. Wszystkie z wyjątkiem jednej.

- Pani Weslowski nie udało mi się uchwycić. Ona jest pierw-

sza w kolejce, na dziewiątą. Może już była w drodze. Ale ja tutaj przecież będę, kiedy przyjdzie. Sandra poszła do domu.

Dla niej nic nie było do roboty. Ach, i Kettlerowa dwa razy już telefonowała, chciała mówić z doktorem. Wczoraj jej się przecież nie udało. Spławiłam ją na poniedziałek. Pyskowała.

A jak wygląda sprawa z poniedziałkiem?

Poniedziałek! Jeszcze trzy dni. Piątek przecież dopiero się zaczął. Była za kwadrans dziewiątą. W wyobraźni widziałam, jak traktory jadą po polu szeroko rozciągniętym szeregiem lanzów, deutzów i hanomagów. I żaden z traktorzystów nie dbał o swoje buraki cukrowe albo jęczmień ozimy.

Poniedziałek! Widziałam, jak Rena wsiada na rower, mając torbę szkolną w koszyku przy kierownicy. Widziałam, jak przed Anną zjeżdża po asfalcie na polną drogę. Trzyma stopy mocno na pedałach, a jej nogi pracują jak tłoki. Rower przechyla się na bok, kiedy skręca w prawo, aby nie zmniejszając tempa pojechać dalej po nieutwardzonej drodze w kierunku miasta.

Poniedziałek! Za dwie albo za trzy godziny mężczyźni muszą ją znaleźć. Za dwie albo za trzy godziny będziemy wie-

dzieli, że nic złego jej się nie przytrafiło. Że tylko zabłądziła w ciemnościach i w pewnym momencie była tak wyczerpana, że nie mogła iść dalej.

Te myśli były szalone. Królowa Śnieżka szła i szła aż nogi nie chciały jej już dalej nieść. Wtedy położyła się między ko-rzeniami drzewa. A zwierzęta leśne strzegły jej snu. W pobliżu nie było lasu. Aleja nie potrafiłam myśleć inaczej.

- W poniedziałek będzie wszystko jak zwykle - powiedzia-
łam.

Wróciliśmy do kuchni i usiedliśmy znowu przy stole. Olgert wziął Annę w krzyżowy ogień pytań.

- Porozmawiajmy jeszcze spokojnie o tym pierwszym tele-
fonie. Jak to było dokładnie? To „Rena” brzmiało jak pyta-
nie, czy tylko tak?

- Tylko tak.

- Dobrze! A jakie były te odgłosy? Jaki dźwięk wydawała
ta maszyna w tle?

- Jakieś klekotanie, jakby kawałków drewna rytmicznie
uderzających jeden o drugi.

- Czy to mógł być silnik?

Anna podniosła głos.

- A skąd ja mogę wiedzieć? Niech pan nie robi z tego dra-
matu. Ktoś sobie tylko pozwolił na głupi kawał.

Olgert zachował całkowity spokój, uśmiechnął się łagodząco i dociekał dalej.

- A jak brzmiał ten głos? Był męski czy kobiecy?

Anna nie potrafiła tego powiedzieć na pewno.

- To przecież było tylko jedno słowo. Potem były inne
dźwięki i płacz, łkanie. To było tak, jakby ktoś chciał jeszcze
coś powiedzieć i nie mógł.

- Wysokie dźwięki czy niskie? Jest przecież różnica, czy
płacze mężczyzna, czy dziewczyna.

Anna wpatrywała się w niego osłupiała, a po paru sekundach oświadczyła:

- Jeszcze nigdy nie słyszałam płaczącego mężczyzny. Ale

Rena płacze inaczej, nie tak... - urwała, wzruszyła bezradnie

86

ramionami. - Nie tak urywanie. To brzmiało tak, jakby ktoś całkiem nie panował nad sobą. Rena płacze bardziej równomiernie i głośniej - Anna uśmiechnęła się zakłopotana. - Mama kiedyś powiedziała, że Rena wyje jak syrena alarmowa.

- Kiedyś - mruknął Olgert. Trochę głośniej spytał: - A kiedy

dy słyszała pani ostatni raz siostrę płaczącą? Naprawdę płaczącą z rozpacz?

czącą z rozpacz?

- Nie wiem - powiedziała Anna. - Dawno temu. Nie miał

łyśmy powodu do płaczu.

Olgert wypił łyk kawy, trzymając nadal w ręku filiżankę wpatrywał się ze skupieniem w jej wnętrze. Zapytał, czy zdarzało się częściej, że ktoś dzwonił do nas, by robić nam głupie kawały.

- Nie - powiedział ojciec. - Wśród naszych znajomych nikt

nie ma skłonności do takich żartów. A obcy tutaj nie dzwonią.

Olgert kiwnął głową.

- A więc przypuszczam, że jedno wiąże się z drugim. Po-

wiedziano nam, że obawia się pan najgorszego. Co pan miał

na myśli mówiąc o najgorszym?

Nikt nie odpowiadał, ciągnął więc dalej.

- Możemy wykluczyć ewentualność, że dziewczyna przy

takiej pogodzie wczoraj przypadkiem kogoś spotkała. Natu-

ralnie, jest całe mnóstwo uprzejmych kierowców. Ale w stru-

gach deszczu u większości ta uprzejmość się kończy, jeśli jesz-

cze trzeba załadować rower.

Odstawił filiżankę i pokazał gestem, ogarniającym wszystko, kuchnię i całą resztę.

- To tutaj wygląda na bardzo kosztowne.

Ojciec zaśmiał się chrapliwie.

- Nie tylko tak wygląda.

Po chwili owijania w bawełnę Olgert wymówił wreszcie to słowo: uprowadzenie!

- Każdego innego dnia - powiedział ojciec — ale nie wczoraj.

Jeśli ktoś planuje coś takiego, to poznaje zwyczaje ludzi. Wie-
działby przecież, że po Renę przy złej pogodzie ktoś przyjeżdża.

- Jeśli ktoś planuje coś takiego - sprzeciwił się łagodnie

Olgert - i poznaje zwyczaje ludzi, to jest w pobliżu. A wtedy,

87

gdy nadarza mu się tak sprzyjająca sposobność, korzysta z niej. A następnego ranka telefonuje.

- I stawia żądania - powiedział ojciec. — Nie płacze prze-
cież do słuchawki.

Olgert skrzywił się w niechętnym uśmiechu.

- Płacz mógł pozostawić pańskiej wnuczce, panie Merten.

- Zrobił przerwę, jakby czekał na reakcję. Kiedy nic nie na-
stąpiło, mówił dalej: - Dziś rano o siódmej, oprócz bezpo-
średnio zaangażowanych, tylko trzech mężczyźni wiedzieli, że
Rena wczoraj wieczorem nie wróciła do domu: właściciel
ujeżdżalni, oberżysta i Scherer. Scherer od szóstej rano jeździ
po polach i nie mógł telefonować. Oberżystę możemy teore-
tycznie także wykluczyć, w tej chwili nie widzę jego związku

ze sprawą. Pozostaje Hennessen, który Renę zna od dwóch lat. Na jego miejscu już dawno zapytałbym rodziców, czy ich poszukiwania w nocy skończyły się sukcesem.

- Niech pan o nim zapomni - oświadczył ojciec zdecydowanym tonem. - Ten człowiek jest w porządku.

Olgert kiwał głową z namysłem.

- No to mamy wielką niewiadomą. Albo weźmy niegroźną możliwość. Dziewczyna spędza noc poza domem, a nazajutrz rano boi się konsekwencji.

Wreszcie ja także mogłam coś powiedzieć.

- To bzdura.

- Nie, pani Zardiss - nagle ton jego głosu uległ zmianie i zwrócił się do mnie. - Pomówmy teraz otwarcie. Ma pani dobre stosunki ze swoimi córkami. Stara się pani spełniać ich drobne i większe życzenia. Własny koń na urodziny. Ale to nie był ten koń, do którego pani córka jest serdecznie przywiązana. Ten koń zniknął wczoraj ze stajni. A tutaj nikt o tym nie wiedział. Uważam to za rzecz niezwykłą przy dobrych stosunkach między rodzicami a dziećmi.

Jego spojrzenie przesunęło się na Annę.

- A co tym bardziej mnie dziwi, to to, że i pani nic o tym nie wspomniała. O klasówce z matematyki pani opowiadała. A przecież tu nie było powodu do zmartwień. Takiego powo-

du nie byłoby, jeśli wierzyć temu, co tu słyszę, nawet wtedy, gdyby już tę klasówkę napisała i dostała najgorszą ocenę. A więc przypuszczam, że to „jutro będę chora” nie odnosiło się do problemów w szkole, tylko do rozłąki z koniem.

Swojej teorii o porwaniu wydawał się nie traktować poważnie. Teraz brał pod uwagę już tylko dwie możliwości: albo Rena chciała być razem ze stworzeniem, które było najbliższe jej sercu, albo chciała nas ukarać. Mieliśmy na własnej skórze przekonać się, jak to jest stracić coś, co się kocha.

Jak mogłam go przedtem uważać za osobę kompetentną? Piekielnie działał mi na nerwy tym swoim bajdurzeniem.

- To bzdura - powtórzyłam; chciałabym wymyślić jakieś inne zdanie. Takie, które by nie brzmiało bezradnie, ale miało moc przekonywania. — Może bym się nad tym zastanawiała, gdyby była to łagodna noc.

Ale właśnie wicher i deszcz mogły być dla Reny dopinaczem, zdaniem Olgerta. Pogoda musiała w naturalny sposób wzmóc nasze obawy o nią. A żeby się przekonać, jak bardzo się boimy, zatelefonowała i trochę płakała do słuchawki.

- Nie - powiedziałam. - Rena zabrałaby pieniądze, gdyby miała zamiar spędzić noc poza domem.

Jego uśmiech działał na mnie tak, jakby deptał mi nerwy podkutymi butami.

- Mając pięćdziesiąt trzy fenigi daleko się nie zajędzie. Swoją paszport w każdym razie ma przy sobie. Może powinna pani sprawdzić, czy nie brakuje pani pieniędzy.

- Moja wnuczka nie kradnie - wybuchł ojciec.

Nie wiedziałam, co jeszcze mam powiedzieć.

Czekać! Matka sprzątnęła ze stołu, chciała się potem zająć dywanem w naszej sypialni i oknami. Ojciec wyszedł zaprowadzić porządek na podwórku. Anna wdziała swoje gumowce i kurtkę.

- Rozejrzę się na dworze.

Olgert chciał jeszcze raz udać się do pokoju Reny i poszukując jej paszportu

przeglądał szuflady biurka, kartkował sta-re zeszyty szkolne i notatniki, które pierwotnie miały służyć do zapisywania pracy domowej. Rena wypełniała jerysunecz-

89

karni. W nocnym stoliku znalazł jej dzienniki. Dwa grube sto-sy, musiało ich być ze dwadzieścia sztuk.

Rena wcześniej zaczęła prowadzić dziennik. Jeszcze pamię-tam jej pierwszy zapis. Miała siedem lat i bardziej malowała litery niż pisała. Jej pisownia pozostawiała wiele do życzenia, a z prawidłowej interpunkcji nic sobie nie robiła.

Moja kohana ksionrzeczko, dzisiaj są moje órodziny i do-stałam cie w prezencie. Teraz jesteś muj najlepszy pszyjaciel i powiem ci wszystko co sobie zyce i co się dzieje jak jestem smutna i jak sie cieszę.

Chodziłam po całym domu, z jednego pokoju do drugiego, do góry i na dół. Nie chciałam deptać Olgertowi jak pies po piętach ani wysłuchiwać jego teorii. Ale po pewnym czasie już nie mogłam dłużej wytrzymać i poszłam sprawdzić, co on wyczynia w pokoju Reny. Znalazłam go siedzącego na łóżku z jednym z dzienników na kolanach, zagłębionego w jej ostat-nie notatki. Podniósł oczy.

- Czy pani już tu zaglądała?

Pokręciłam głową. Nigdy nie szperaliśmy w rzeczach Reny. Swój pierwszy zapis sama mi pokazała, a potem już żadnego więcej, ponieważ zwróciłam jej uwagę na błędy ortograficzne i brak przecinków. A mnie nigdy nie przyszłoby do głowy kontrolować, co ona zapisuje.

Dla mnie dziennik był czymś osobistym i intymnym. Gdy-bym go czytała, czułabym się tak, jakbym nadużyła jej zaufa-nia. Ja sama przez wiele lat prowadziłam dziennik. Myśl, że jakieś obce oczy mogłyby go czytać, pożerać moje myśli, ży-czenia i obawy, napawała mnie wstrętem.

Olgert wydawał się domyślać, co o tym sędzę.

- Przykro mi, ale dla nas jest to bardzo pouczające.

Potem przeczytał na głos tylko dwa zdania: „Dzisiaj zabierają

Mattho. Chciałabym pojechać razem z nim". Podniósł głowę.

- Atrament w niektórych miejscach się rozpląnął. Wygląda to na łyżę.

Rena musiała to napisać wcześniej rano albo w południe. I było tam napisane: „chciałabym”, a nie „pojadę”. Mimo to Olgert spytał:

90

- Nie wie pani przypadkiem, dokąd oni go sprzedali?

Pokręciłam znowu głową.

W sieni ponownie rozległ się dzwonek telefonu. Ojciec był jeszcze na zewnątrz, nie słyszał. Matka jak opętana wycierała w dużym pokoju szyby w oknach. Pisk irchowej ścierki ścięgał mnie po całym domu. Dzwonek to zagłuszył i przyniósł mi ulgę. Aż zwróciłam uwagę na spojrzenie Olgerta i matka zawołała:

- Vero, zróbże coś wreszcie! To szarpie człowiekowi nerwy do ostatka.

Zbiegłam po schodach. Olgert poszedł za mną. Poderwałam słuchawkę do góry, wymieniłam swoje nazwisko, a on nacisnął klawisz głośnego mówienia.

To był Udo von Wirth. Jego głos brzmiał ochryple. Musiał kilkakrotnie odchrząknąć, zanim go zrozumiałam. Był u niego Klinkhammer. Udo powiedział:

- Tak mi przykro, pani Zardiss. Czy mógłbym w czymś pomóc?

Nie wiedziałam, w czym mógłby pomóc. Powiedział:

- Co za cholerny dzień, najpierw Annegret i dzieci, a potem jeszcze Rena.

- Ona żyje - zawołałam. - Mężczyźni ją znajdą. Przeszukają wszystkie pola.

Olgert wyjął mi słuchawkę z ręki, zamienił kilka słów z Udo i odłożył ją. Na zewnątrz zajechał samochód. Wrócił Klinkhammer. Poszliśmy do pokoju.

Matka z wiadrem i irchową ścierką rzuciła się na wielkie szyby w ogrodzie zimowym. Ojciec grabił liście i połamane gałęzie z trawnika. Wydawali mi się dwojgiem dzieci, które coś zbroiły i boją się awantury. Które starają się nie zwracać

na siebie uwagi, aż sprawa przycichnie.

Udo von Wirth nie zdołał powiedzieć nic ważnego Klinkhammerowi. Nie chciał wierzyć, żeby Rena miała jakieś plany. Ale Annegret miała plany na sobotę, chciała urządzić wielką uroczystość rodzinną, urodziny jej męża. Klinkhammer rozwodził się przez parę minut nad stanem psychiki Udo i bezsensownie zadawał mu pytania w obecnej chwili, potem przeszedł do Hennesena.

91

Od niego dowiedział się nazwisk i adresów pozostałej piątki, rozmawiał już z rodzicami i pięć razy otrzymał tę samą informację. Rena nigdzie się nie pokazała, a w ostatnich dniach i tygodniach także nie telefonowała do nikogo. Wierzył w to, jednak chciał osobiście mówić z młodymi ludźmi tak szybko, jak to tylko możliwe. Ale oni się porozchodzili po kilku szkołach i do biura doradztwa podatkowego, w którym pracował Horst.

Klinkhammer wydawał się niezadowolony, jak ktoś, kto trwonił swój czas na błahostki i musiał zaniedbywać ważną pracę. Jego włosy wyglądały tak, jakby przez ostatnią godzinę bez przerwy je czochrał. Zachował milczenie na temat tego, czego dowiedział się od Gretchen. Opisał za to rozmowę z Hennesenem.

Przed moimi oczami przewinęło się popołudnie Reny. Od trzeciej do czwartej była w boksie Mattho, obejmowała ramionami jego szyję, wtulała twarz w jego sierść, mamrocząc:

- Pewnego dnia przyjadę po ciebie. Wtedy zdobędziemy nagrody.

O czwartej na dziedziniec zajechał transporter. Hennesen zajmował się w przedniej części stajni czyszczeniem kopyt kasztanki. Nowy właściciel Mattho przyjechał po konia osobiście. Wyprowadził Mattho z boksu, chociaż Hennesen mu radził pozostawić to Renie. Przy wrotach Mattho przestraszył się burzy. Nerwowo dreptał, zapierał się, kiedy chciano go pociągnąć do przodu, wierzgał, i w pewnej chwili kopnął kasztankę w brzuch.

Rena odzyskała spokój dzięki poświęceniu uwagi rannemu zwierzęciu, z którym spędziła zdecydowanie więcej czasu, niż z gniadym diabłem. Nie troszczyła się już o Mattho. Hennesen powiedział, że nawet mu wymyślała:

- Fe, ty łobuzie, idź sobie. Nie chcę cię więcej widzieć.

Popatrz, co zrobiłeś Tanicie!

Mattho został załadowany, transporter wyjechał z dziedzińca. Rena zajęła się w ostatnim boksie kasztanką, która, sądząc po jej zachowaniu, miała silne bóle. Obejmowała teraz ją za szyję, wtulając twarz w jej sierść:

92

- Wszystko będzie dobrze. Spokojnie Tanito, wszystko będzie dobrze.

Hennessen pobiegł do domu, żeby wezwać weterynarza. Lekarz przyszedł dopiero po szóstej i został prawie do dzie-siątej, ponieważ należało się obawiać, że kobyła straci źrebię albo że ma jakieś wewnętrzne obrażenia. Rena siedziała przez cały czas przy niej. Dopiero, kiedy do stajni weszła siostra Hennessena po moim telefonie... i tak dalej.

Jakiś element w tej wersji wydawał się przeszkadzać Klin-khammerowi. Chciał się dowiedzieć, czy Hennessen pytał wcześniej rano o wynik poszukiwań Reny. Olgert pokręcił głową i opowiedział o tajemniczym telefonie. Klinkhammer wydał wargi i kiwał głową w zamyśleniu. Potem kazał mi jeszcze raz, tym razem szczegółowiej, opowiedzieć, jak dotarłam do stajni. Przede wszystkim pytał, jakie wrażenie zrobił na mnie Hennessen i w jakim stanie była kasztanka.

- Nie widziałam zwierzęcia. Hennessen wydawał się przygnębiony, martwił się.

Pewnie miał powody. Hennessen musiał zastrzelić tę kobyłę o piątej rano. Klinkhammer zastanawiał się teraz, czy kopnięcie mogło mieć aż tak groźne następstwa. A jeśli tak, to jak Hennessen mógł z całym spokojem o wpół do pierwszej w nocy wybrać się do najbliższej knajpy. Ktoś, dla kogo zwierzęta były wszystkim, kto żył z nimi i z nich. A w jakim stanie była klacz, kiedy po raz drugi byliśmy w stajni?

Nie rozumiałam, dlaczego ten koń był dla niego taki ważny i zdenerwowałam się:

- Nie wiem. Mój mąż tam zaglądał. Niech pan jego spyta.

Klinkhammer znowu oburącz przejechał po włosach i spojrział na Olgerta.

- On był dość zmieszany, a w boksie była ogromna kałuża krwi. Jeszcze raz się nim zajmę. Ale najpierw muszę pomóc więc z weterynarzem. Posłuchajmy, co się stało zwierzęciu.

Na twarzy Olgerta pojawił się cień przez dwie, trzy sekundy. Potem powiedział:

- Tak, ale powinniśmy też się zainteresować, dokąd sprę dali ogiera.

m

93

- Anglia - powiedział Klinkhammer zwięźle i po raz trzeci w ciągu paru minut, znowu na próżno, przyczesał palcami do tyłu opadające mu z boków na twarz kosmyków włosów. Ten widok doprowadzał mnie do szału, zwłaszcza kiedy dodał:

- Ja też najpierw o tym pomyślałem. Hennessen powiedział, że chcieli go jeszcze wczoraj zawieźć do Hamburga i promem przez kanał. Mogło zabraknąć im czasu. Może na noc gdzieś się zatrzymali.

Dla odmiany przejechał jedną ręką po twarzy, nagle wydał się zmęczony i stary.

- Ale ona powiedziała: pewnego dnia - mruknął. - Pewnego dnia to nie zaraz! A jeśli zaraz, to o czwartej, a nie dopiero o dziesiątej. To sześć godzin różnicy.

Spojrzenie Olgerta zamknęło mu usta. Olgert uśmiechnął się do mnie i powiedział do Klinkham-mera:

- Poślijmy jednak radiowóz na wjazd na autostradę, a dru-

gi na dworzec.

Potem chciał, żebym dokładnie opisała rower Reny. Markę, kolor, numer seryjny i numer ramy, znaki szczególne, jak nalepki albo proporczyki.

- Po co? - spytałam.

Olgert wyjaśnił to, kiedy Klinkhammer już znowu wyszedł. Do Hamburga można się dostać pociągiem albo autostopem.

- Nie słyszał pan, co powiedział kolega? - Nie wiem, czy krzyczałam, czy płakałam. Pamiętam tylko, że mój własny głos grzmiał mi w uszach. - Hennesen ją zabił!

Olgert przyciągnął mnie do siebie, poczułam jego rękę na plecach i jego oddech przy uchu.

- No, no, no... Nie będziemy od razu myśleć o najgorszym.

Potem opowiadał mi coś o zranionym sercu, które nie dba o szybkość transportera do przewozu koni ani o sześć godzin przewagi.

4.

JL olicjanci! Całymi latami wierzyłam w nich jak dziecko w świętego Mikołaja i polegałam na słowach ojca: nie mogą wprawdzie dokonywać cudów, ale wykonują swoją pracę najlepiej jak mogą, starają się ze wszystkich sił. Tylko co należy rozumieć przez „wszystkie siły”?

Nie chcę się skarżyć. Naturalnie, zrobili, co do nich należało. Pewnie powinnam się cieszyć i być wdzięczna, że nadkomisarz i komisarz policji kryminalnej pojawili się, zanim jeszcze oficjalnie wpłynęło zgłoszenie o zaginięciu. Ale cóż wielkiego działali?

Miotali się między budzącymi grozę aluzjami, dzikimi spekulacjami i bezsensownymi próbami uspokajania. Kałuża krwi w stajni? Ależ nie będziemy się przecież denerwować z takiego powodu, droga pani Zardiss. Najpierw zatroszczymy się o rower pani córki. Oczywiście, rozejrzemy się i w stajni jeszcze raz, tak dla porządku. Ale ta kałuża krwi ma proste wyjaśnienie. Tam został zastrzelony koń.

Z czego? Z armaty? Klinkhammer mówił o ogromnej kałuży. A Olgert poklepywał mnie po plecach i z uśmiechem mającym natchnąć otuchą plótł coś o młodej dziewczynie, która z przekory, rozczarowania albo zmartwienia w burzliwą noc wyruszyła na swoim rowerze niczym jeździec na białym koniu. To było śmieszne, włos jeżył się na głowie.

Próbowałam sobie samej wmawiać, że to dobre rozwiązanie. Bezbolesne dla wszystkich zaangażowanych. Teraz potrzebne jest już tylko aktualne zdjęcie. Potem wykonamy kilka telefonów. Koledzy w Hamburgu rozejrzą się w porcie, sprawdzą listy pasażerów na promie do Anglii. A potem odeślą nam dziewczynę z powrotem. Ale takie proste to nie było.

95

Znałam Renę. Ona by tak nie zrobiła. Ona była rozsądna. Wiedziała, że wiele rzeczy można sobie wyobrazić, ale że się ich nie realizuje. Nie miała też żyłki awanturniczej ani pieniędzy, żeby zapłacić za bilet na prom. Czasy pasażerów na gapę chyba już przecież minęły.

Olgert spędził pół godziny w sieni, skąd wezwał do nas radiowóz po kilka zdjęć Reny dla prasy i kolegów. Następnie jeszcze raz rzucił się na jej torbę szkolną i już po krótkim kartkowaniu zeszytów orzekł z dużą pewnością siebie, że była dość dobra z angielskiego. Był to ostateczny dowód na poparcie jego tezy. Tylko nie mógł mi spojrzeć w oczy, kiedy go przedstawiał.

Potem zadzwonił do informacji, a uzyskawszy tam numery telefonów połączył się z biurem linii promowej. Kiedy i to było załatwione, rozsiadł się z dziennikami Reny w dużym pokoju, żeby być bliżej telefonu, gdyby ktoś oddzwonił.

Matka przeniosła się ze swoim wiadrem i ścierką na pierwsze piętro. Czyste okna były dla matki zawsze sprawą najważniejszą. Wizytówką pani domu; każdy kto przechodzi obok domu, rzuca okiem na okna. Czyste szyby i białe firanki! A jak wygląda w izbie, to już nikogo nie obchodzi. A może chciała tylko czymś się zająć, żeby nie rozmyślać i nie musieć robić sobie wyrzutów. Tak samo ojciec; kiedy już posprzątał z naszego podwórka i trawnika wszystko, co nie powinno się tam znajdować, poszedł sprawdzić, jakie szkody wyrządził huragan w ogrodzie.

Dawniej marzeniem ojca było posiadanie ogrodu warzywnego. Siewy i zbieranie uważał za uczciwą robotę. Chciał pa-trzeć, jak przy odrobinie słońca, deszczu i Bożej pomocy roślinki wychodzą z ziemi. Dopóki pracował zawodowo, brakowało mu czasu. A po przejściu na emeryturę musiał się przekonać, że nikt nie umie docenić

jego uczciwej roboty.

Matka nie czuła się na siłach dać radę skrzynkom pełnym główek sałaty, kalafiorów i strączków grochu. Na początku próbował pozbyć się większej części swoich płodów rolnych u mnie. Tylko że ja nie mogłam jakoś nabrać entuzjazmu do

96

świeżych warzyw, które trzeba było gruntownie badać pod kątem obecności w nich gąsienic i innych robaków, zanim można się było zabrać za ich przyrządzanie. Ponieważ samo tylko słońce, deszcz i Boża pomoc pozwalają wspaniale się rozwijać także i szkodnikom.

Na krótko przed dwunastą wróciła Anna. Stałam przy oknie kuchennym, widziałam jak wchodzi przez bramę ze zwieszonymi ramionami. Moja własna beczynność i zachowanie się policjantów doprowadzały mnie do szaleństwa, może i tabletki przestawały działać. Anna weszła do sieni, zdjęła brudne buty i przeszła do kuchni. Wyglądała na zapłakaną, ale twierdziła, że ma oczy zaczerwienione i spuchnięte od wiatru.

- Zimno jest na dworze jak w listopadzie.

Przeszła około połowy tamtej drogi, przyglądała się traktorom i napotkała Udo von Wirtha.

- Ten biedak jest wykończony. Biega tam i z powrotem po polu i zbiera śmieci. Chyba sam nie wie, co ma robić. Chciał mi opowiadać o swojej siostrze i jej dzieciakach. Nie wytrzymałam tego. Po prostu go zostawiłam i odeszłam. Chociaż tak mi go było żal.

Byłam całkiem pusta w środku. Każdy oddech wpadał w ogromną kałużę krwi. Człowiek szybko dochodzi do kresu, szybko osiąga granicę własnych możliwości. Nie chciałam, żeby się okazało, że to Jurgen ma rację. On zawsze twierdził, iż brakuje mi odporności.

- Vero, ty umiesz funkcjonować tylko wtedy, kiedy wszystko idzie jak z płatka. Ale jak się pojawia jakiś problem, tracisz

głowę.

Nie chciałam tracić głowy. Chciałam tylko odzyskać moje dziecko. Żywe! I zdrowe! Taka ładna dziewczyna, wrażliwa, współczująca, silna i odważna. Nie bała się wielkich zwieǳrząt. Nie czuła respektu przed przestarzałymi poglądami na temat stylu i dobrych manier przy stole. Rena była taka, jaka ja chciałabym być.

Anna wskazała brodą na duży pokój i mówiła jak pies, kła-piący zębami na muchy.

97

- Dlaczego właściwie ten jegomość nic nie robi? Czy ty widziałaś, co on czyta?

-Tak.

-I uważasz, że to w porządku?

- Jeśli to im w czymś pomoże.

Anna podeszła do lodówki, wzięła butelkę soku, szklankę i roześmiała się zjadliwie.

- Nie bądź głupia, mamó. Nie ma tam niczego takiego, co miałoby znaczenie dla policji.

- A ty skąd możesz to wiedzieć?

Skrzywiła się przybierając minę pełną wyższości i przekonania.

- Właśnie, że wiem. Ona mi opowiadała, może nie wszystko, ale jednak wiele. O koniach, niczego innego nie miała w głowie. U koni jej nie ma, więc niech łaskawie wezmą się za poszukiwania i nie tracą czasu na wysiadywanie tutaj.

Mówiła dostatecznie głośno, żeby Olgert mógł ją zrozumieć. Było mi wszystko jedno. Nie, nie było! Powinnam mu była sama to powiedzieć. Niech się wynosi! Ona nie pojechała do Hamburga. Ona jest gdzieś tam, na polu, więc niech się pan wynosi! Ale on przecież bał się o swoje buty i pozostawił to miejscowym rolnikom, przyzwyczajonym do błota.

Opowiedziałam Annie o jego teorii. Przygryzała dolną warǳę, nagle szepnęła:

- Cholera! Mamo, on chyba ma rację. Rena wczoraj rano miała przy sobie woreczek na szyję. Był nowy, skórzany, jasnobrązowy, wyplatany. Widziałam go, kiedy płaciła za autobus. Próbowała go od razu z powrotem schować. Chyba nie chciała, żebym go zobaczyła. Spytałam, skąd go ma. Powiedziała, że dostała na urodziny.

- Od kogo?

- Nie powiedziała. To zresztą nie takie ważne. Miała w nim swój paszport, mamo. I pieniądze. Dużo pieniędzy! Było tam kilka banknotów po sto marek.

- Co? -ja też mogłam już tylko szeptać.

Anna z ponurą miną kiwnęła głową, i mówiła cicho dalej:

98

- Powiedziała, że to też jest prezent urodzinowy. - Potem spytała głośno — Czy zrobić kawy?

Pokręciłam głową. Olgert zawołał z dużego pokoju:

- Byłoby miło.

Wzięłam jeszcze jedną tabletkę i poszłam do sieni. Mój płaszcz był wciąż jeszcze mokry, tak samo jak kurtka Anny, którą nosiłam w nocy. Wzięłam kurtkę z szafy w sypialni i wyszłam z domu. Sama nie wiedziałam, dokąd iść. Chciałam tylko coś zrobić, cokolwiek, żeby nie stać beczynnym i nie czekać.

Za bramą zobaczyłam z daleka traktory, punkciki jadące swoimi drogami. Wyszłam, omijając lewy murowany słupek. Prosto w samo błoto. Wsysało podeszwy butów, a tymczasem zachęcająco wyglądały chwasty na nasypie kolejowym. Nie sterczały już do pasa jak zwykle, tylko leżały połamane płasko na ziemi i po nich lepiej mi się szło.

Moja fiesta stała jeszcze tak, jak zostawiliśmy ją wczoraj w nocy. Nie była

zamknięta, kluczyk tkwił w stacyjce. Przez chwilę chciałam wsiąść i pojechać. Na autostradę, pełnym gazem w kierunku Hamburga. Choćby tylko po to, żeby do-wieść, że oni się mylą. Był to zwariowany pomysł, bo koła do połowy tkwiły w błocie.

Zauważyłam, że nie ma już na drodze worka ze śmieciami, z powodu którego się zatrzymaliśmy. Myślałam, że wiatr go gdzieś przesunął, dopóki nie przypomniałam sobie, co Anna powiedziała o Udo. Czułam potrzebę pytać każdego, czy wi-dział, jak Udo wziął ten worek i co z nim zrobił. Byłoby o ty-le łatwiejsze szukać worka ze śmieciami.

Kilkaset marek i paszport w nowym woreczku na szyję. Anna musiała się mylić, wszyscy się mylili. Wszystko było nie tak. Policjant siedział w naszym pokoju i zapoznawał się z tym, co się działo w głowie i sercu mojej młodszej córki, zamiast jej szukać. Drugi policjant wypytywał weterynarza o zabitą klacz, zamiast o zaginioną dziewczynę. Jiirgen włó-czył się z Schererem, zamiast zagonić policję do roboty. Oj-ciec zrywał zwiędłe liście z główek sałaty, zamiast jeszcze raz

99

zatelefonować do swojego przyjaciela Steinschneidera. Anna gotowała kawę, matka polerowała szyby. Ja snułam się bez celu i bez planu po polnej drodze. A Reny nie było już z nami.

Powinniśmy być razem. Wspólnie przemyśleć wszystkie możliwości. Wspólnie jej szukać. Byliśmy jedną rodziną, która zawsze tyle wagi przywiązywała do wspólnoty.

Zostawiłam samochód za sobą, przeszukiwałam ziemię, zarośla chwastów, wypełnione wodą koleiny, oba przejścia w nasypie. Szukałam strzępków odzieży, zgubionego buta, po-tłuczonego szkiełka odblaskowego z roweru, woreczka na szyję z jasnej plecionej skóry. Szukałam czegoś, o czym wie-działam tylko tyle, że nie chciałam tego znaleźć.

W pewnym momencie dotarłam do końca drogi. Widzia-łam brudny asfalt pod podeszwami butów i zagrodę przed sobą. Ogrodzenie z belek i mur. Bramę i podwórze. Dom mieszkal-ny, ujeżdżalnię i stajnię. I wtedy już wiedziałam, dokąd chcę pójść. Brama była otwarta. Tym razem przeszłam do ostatnie-go boksu.

Ziemia była ciemna od wilgoci. Nie było na niej widać ani źdźbła słomy, ani kropli krwi. Na korytarzu stało puste wia-dro w kałuży wody. Hennessen szorował twardą szczotką be-ton, jakby go chciał rozkruszyć. Nie słyszał moich kroków; kiedy się do niego odezwałam, wzdrygnął się, odwrócił ku mnie i złapał za serce.

- Ależ mnie pani wystraszyła, pani Zardiss.

Miał na czole krople potu, wytarł je grzbietem dłoni.

- Wciąż jeszcze nic?

Pokręciłam głową. Położył rękę na ustach. Kiedy ją znowu odjął, powiedział:

- Nie rozumiem. A co robi policja?

- Czy pan dał Renie pieniądze na urodziny?

Zacisnął wargi. Dopiero po chwili powiedział:

- Nie, tylko taką małą torebeczkę, jaką może sobie powie-
sić na szyi. Moja siostra robi takie rzeczy ręcznie. Rena chcia-
ła jedną kupić. Powiedziała, że to byłoby praktyczne, można

100

by zawsze mieć przy sobie wszystkie ważne rzeczy i nie byłoby tak łatwo coś zgubić. Nie zwróciłem wtedy uwagi na jej słowa.

Zaczął się gorączkować.

-1 trzymałem język za zębami, pani Zardiss. Nie pisałem ani słówkiem, kiedy przyjadą po Mattho. W jakiś sposób jednak się dowiedziała, pewnie od Udo. Mogłem się spodzie-
wać, że przyjdzie tu po południu. Dlatego powiedziałem An-
glikowi, że musi przyjechać przed południem. Ale nie dał rady - uśmiechnął się zakłopotany.

- Kiedy rozpełtała się ta burza i zaczęło lać, to pomyślałem,
że przy takiej pogodzie może nie przyjedzie. Powinienem był
przewidzieć - westchnął ciężko.

- Ale te przypuszczenia policji to głupoty. Powiedziałem to
temu Klinkhammerowi. Dopiero co był tu jeszcze raz. Ona
przecież nie miała pojęcia, dokąd tamten odjeżdża. Nie było
jej na zewnątrz, nie widziała transportera na oczy. Nie słysza-

ła też, o czym mowa. Była tutaj - pokazał ręką na mokry beton, potem wyciągnął ją wskazując na wrota. - A my staliśmy tam, z przodu.

Oparł szczotkę o ścianę boksu i wyszedł do mnie na korytarz.

- A to ich łażenie po polach, to też strata czasu. Ona nie poszła polami. Ręczę za to, że chciała iść do Udo. Kiedy tam stanęła przed zamkniętą bramą... - Jeszcze raz westchnął i bezradnie pokręcił głową. - Oni powinni dokładnie się rozpytać we wsi.

- Po co? - spytałam. - Gdyby szła przez wieś, strażacy musieliby ją widzieć. Ona wcale stąd nie wyszła! Głowę dam, że tak było! Tutaj można strzelać i krzyczeć i nikt nie usłyszy.

Pan ją zabił!

Hennesen wytrzeszczył na mnie oczy, obronnie pokręcił głową, gwałtownie przełknął ślinę i mruknął:

- Pani Zardiss, co też pani mówi? Przecież nie ja! Ja nie mógłbym nic zrobić takiej dziewczynie!

Przez minutę, może dłużej staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. Patrzyłam mu w oczy, aż opuścił głowę. Chociaż

101

w stajni nie było zbyt widno, widziałam, że pobladł. Normalnie jego twarz była czerwona, szeroka, spalona słońcem i wiatrem, robiąca poczciwe wrażenie. A teraz wyglądała, jakby mu krew odpłynęła z głowy.

Wyobrażałam sobie, jak to mogło być. Słoma na ziemi, ranne zwierzę, weterynarz, Rena i on. Lekarz odchodzi. Jego siostra przychodzi do stajni. Rena zbiera swoje rzeczy. Mokre ubranie rozwieszona do wysuszenia na drewnianych belkach. Rena upycha wszystko do torby. On mówi jej, żeby na mnie zaczęła, próbuje ją

zatrzymać...

Chwycił moje ramię, zaraz cofnął rękę i powiedział:

- Niech pani pójdzie ze mną. Zawiozę panią do domu. Jest pani całkiem rozkojarzona. Nie powinna pani iść pieszo w takim stanie.

- Dlaczego nie odwiózł pan Reny do domu?

Przekrzywił głowę, spojrzał na mnie, jakby chciał przeprosić. Potem wzruszył ramionami i westchnął.

- Siedzieliśmy tutaj przez cały ten czas. Nie zdawałem sobie sprawy, że na zewnątrz jeszcze jest tak okropnie. I nie chciałem zostawiać Tanity samej.

- Ale zostawił pan klacz samą.

Ciężko kiwnął głową, obejrzał się ze smutkiem przez ramię na mokrą podłogę.

- Tak, i stajnię otwartą. I za to sam sobie pluję w brodę.

Ale stajnia jest zawsze otwarta. Kto się spodziewa czegoś takiego? Klinkhammer mi mówił, że pani tu była jeszcze raz w nocy. Kiedy? - zabrzmiało to podejrzliwie.

- Przecież pan wie. Zanim przyszliśmy do knajpy.

- Potem już nie? - w jego głosie wciąż jeszcze słychać było podejrzliwość. - Bo kiedy wróciłem od Friedla, jeszcze raz zajrzałem do Tanity. Wtedy jeszcze była w porządku. Doktor też powiedział, że chyba nie jest tak źle, jak z początku myśleliśmy. A dzisiaj rano...

Głos mu się załamał, a jabłko Adama wędrowało w górę i w dół.

- Kiedy tu wszedłem, wszędzie było pełno krwi. Wnętrze

ności z niej wisały. Biedne stworzenie. To musiało się stać

102

między trzecią a czwartą. Niech mi pani teraz lepiej powie, kiedy tu pani była jeszcze raz. W tej chwili może nawet bym i zrozumiał.

Potworna treść zawarta w jego słowach przemknęła obok mnie, zanim zdołałam ją uchwycić.

- Mieliśmy co innego do roboty - powiedziałam.

Wytrzeszczył na mnie oczy, jakby chciał się wwiercić w mój mózg. Po paru sekundach kiwnął ciężko głową i powiedział:

- Tak, pewnie. Aleja tego nie rozumiem. Takie świństwo, niech ja tylko dopadnę tego cholernego bydlaka! Jak ktoś może coś takiego zrobić bezbronnemu zwierzęciu? I dlaczego, do diabła? Nie rozumiem, dlaczego nic nie słyszałem.

Jego barki się napięły. Znowu chwycił mnie za ramię i tym razem nie wypuszczał. Było mi zimno. Jego ręka była jak że-lazna klamra. W moim mózgu znowu powstał obraz: On chwycił ramię Reny. Mówi: „Zostań, twoja matka na pewno jest już w drodze”.

Było mi tak zimno, że dzwoniłam zębami. Miał pół godziny czasu. I dobrze wiedział, że nie przyjdę do ostatniego bokosu. Że nie postawię nogi w korytarzu. Nie przejdę koło końskich głów. Vera boi się wielkich zwierząt.

Nie mogłam stracić jego ręki, widziałam w duchu jeszcze raz, jak wycierają w spodnie, kiedy w nocy doszedł do mnie. Kolana mi zeszywniały. Wszystko we mnie było napięte i przykurczone. Proszę nie to! Nie Hennessen. Ona go znała od dwóch lat, była z nim razem dzień w dzień. Dla niej był dobrodusznym mężczyzną, któremu ufała. Proszę, nie to! To zbyt wiele złego.

Ale widziałam to przed sobą. Nie było motywu, co to, to nie. Kto tam zna motywy? Często nawet ci, którzy coś zrobili, nie wiedzą, jak mogło do tego dojść. Ale jednak się dzieje. Potem ona leżała, obok rannej klaczy. Na ziemi była krew. Dlatego zwierzę musiało umrzeć.

A Klinkhammer nabrał podejrzeń, myślał tak jak ja: Hen-nessen zabija swoją klacz zarodową, żeby zatuszować to, co zrobił z Reną. Hennessen usuwa zakrwawioną słomę. Potem

103

szoruje podłogę jak opętany, żeby nikt już nie mógł stwierdzić, czy to była krew ludzka, czy zwierzęca...

Brakowało mi powietrza. Wypchnął mnie przed sobą na zewnątrz. Jego samochód stał przed garażem. Kluczyki miał w kieszeni. Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, powiedział:

- Miejmy nadzieję, że ten stary gruchot zapali. Kiedy po-
stoi przez parę dni, to ma swoje kaprysy.

Jego samochód nie mógł stać od paru dni, bo w takim razie wtedy w nocy musiałby być na podwórku. Widziałabym go. Hennessen musiał nim jeździć od wczoraj. A skoro próbował zatuszować nawet coś tak niewinnego, jak jazdę samocho-dem...

Stary samochód zapalił. I Hennessen odwiózł mnie do domu. W czasie jazdy nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie mogłam mó-wić, nie mogłam też myśleć. Skręcił w naszą bramę, zatrzy-
mał się, jakby nie miał odwagi dowieźć mnie pod same drzwi. Nachylając się przede mną chwycił za klamkę i otworzył drzwiczki.

- Mam jeszcze mnóstwo roboty, pani Zardiss.

Chwilę się zawahał, zanim dodał:

- Może nie powinienem tego mówić, bo pani się tylko nie-
potrzebnie zdenerwuje. Ale Klinkhammerowi też powiedział-

łem. Zanim Rena spakowała swoje manatki, była u Belli. Co
wieczór tam chodziła. W niedzielę nie, wtedy była jeszcze
trozkę rozczarowana, tak myślę. Ale w poniedziałek, wto-
rek, środę i wczoraj także. „Do jutra, moja piękna” - powie-
działa i poklepała Bellę po szyi. „Śpij teraz grzecznie. A jak
jutro będzie sucho, będziesz mogła znowu poskakać”. Tak

właśnie powiedziała. A ja tak sobie myślę, że nie mówi się czegoś takiego, kiedy się planuje ucieczkę.

Jego twarz nie odzyskała jeszcze koloru, ale uśmiechnął się, dobrodusznie, ufnie i poczciwie. I jakby nie miał świadomości, co właśnie powiedział, dodał:

- Niech pani się teraz tak nie martwi. Wszystko się wyjaśni.

Potem Hennesen odjechał, a ja wśliznęłam się do domu.

104

W sieni wyszedł mi na spotkanie Jiirgen. Był wściekły, wzburzony, zdenerwowany. W domu panował szum jakby od linii wysokiego napięcia. W dużym pokoju stali Klinkham-mer z Olgertem i dyskutowali nad jakimś problemem. Rozmawiali po cichu, nie rozumiałam ani słowa. Anna siedziała blada w fotelu. A Jiirgen wyglądał tak szaro jak rano. Tylko wokół oczu miał czerwone obwódki.

Szukałam rodziców. Nie było ich. Musiało być grubo po południu. Pomyślałam, że ojciec jak zwykle się położył, a matka dotrzymuje mu towarzystwa. Musieli oboje być wyczerpani po bezsennej nocy, pełnej strachu o Renę.

Chciałam od razu rozmawiać z Klinkhammerem o Hennesenie. Ale zanim zdołałam powiedzieć pierwsze słowo, Jiirgen ofuknął mnie:

- Do jasnej cholery, Vero, nie możesz usiedzieć na tyłku w domu, żeby ktoś tutaj był, jak potrzeba?

Klinkhammer wykonał uspokajający gest. Potem wyjaśnił mi powód zamieszania. Ktoś telefonował, pięć razy, w krótkich odstępach czasu.

Ponieważ Olgert czekał na telefon, przy pierwszym dzwonku podszedł do aparatu. Odezwał się, podając swoje nazwisko. Wtedy po drugiej stronie ktoś odłożył słuchawkę. Po kilku minutach telefon zadzwonił znowu. Olgert pomyślał o telefonie z wczesnego ranka, przypuszczał, że Rena usiłuje skontaktować się z rodziną i chciał ją skłonić do mówienia. Kiedy i za trzecim razem mu się to nie udało, udzielił Annie dokładnych instrukcji, aby następnym razem to ona podeszła do aparatu.

Anna też niczego nie wskórała, choć przez dłuższy czas nagabywała rozmówcę:

- Reno, powiedz coś, proszę. Tak się o ciebie martwimy.

Nie masz pojęcia, co się tu dzieje. Gdzie ty jesteś? Mam nadzieję, że nic ci się nie stało? Powiedz coś, Reno, proszę. Powiedz mi, gdzie jesteś, zaraz ktoś po ciebie przyjedzie.

I wreszcie odezwał się głos kobiety. Olgert słuchał przez głośnik i zapisał słowa. Klinkhammer chciał, żebyśmy obejrza-

105

ła notatki Olgerta. Czytane z kartki wydawały się mniej dramatyczne.

Kobieta: - Muszę cię rozczarować, kochana. Tu nie Rena. Sprowadź mi teraz doktora do aparatu.

Anna: - A kto mówi?

Kobieta: - Nieważne. Po prostu zrób, co ci mówię.

Anna: - Chcę najpierw wiedzieć, kim pani jest i czego pani chce.

Kobieta: - Chcę rozmawiać z doktorem osobiście, ale to już.

Anna: - Mojego ojca chwilowo nie ma.

Kobieta: - Nie rób ze mnie balona, on na pewno jest. Przyprowadź go do aparatu i przypilnuj, żeby Olga nie podsłuchiwała. Kto to właściwie jest? Rzy jak jakaś szkapa.

Anna: - Nie wiem, co to może panią obchodzić. Pani mi też nie mówi, kim pani jest.

Kobieta śmieje się: - Na pewno wolałabyś tego nie wiedzieć. Teraz uważaj, dziewczuszko. Dowiedziałam się już, że u was panuje rejwach jak diabli; wiem też, że wolałabyś rozmawiać z Reną, niż ze mną. Może i oddam ci tę przysługę, ale najpierw ty mi ją wyświadczy. Masz teraz przyprowadzić doktora do aparatu. A potem zobaczymy. Za dziesięć minut znówu się odezwę.

I dopisek Olgerta: koniec.

Anna wybiegła. Ale nie zdążyła na czas wrócić z Jiirgenem. Zanim doszli do domu, telefon odezwał się po raz piąty. Olgert był zmuszony jeszcze raz podnieść słuchawkę. Spróbował wybiegu i podał jako swoje nazwisko Zardiss. Tylko nie

zdołał powiedzieć nic więcej. Kobieta zorientowała się w oszustwie i wściekła się:

- Tak nie będziemy się bawili. Mam już tego wszystkiego dosyć. Nie będziecie mnie tu rolować. Zadzwoń jeszcze raz za pół godziny. Dokładnie za pół godziny. Dotarło? A jeśli i wtedy doktor nie będzie miał dla mnie czasu, to już ja mu pokażę. Bo ja mogę też inaczej. Mogłabym na przykład za-mienić słówko z diabłem.

106

I nagle stanęli przed górą. Wersja Olgerta, którą ten przed-stawił kilka godzin temu tylko po to, żeby dowieść nam cze-goś przeciwnego, wydawała się potwierdzać. Urowadzenie!

Klinkhammer dowiedział się od weterynarza czegoś na po-parcie tej tezy. Kiedy lekarz wyjeżdżał od Hennessena, zaha-czył swoim samochodem o szary mikrobus, który był zapar-kowany tak blisko bramy, że nie zauważył go w porę. Wy-siadł z niego jakiś mężczyzna, obejrzał uszkodzenia mikro-busu, machnął ręką i okazał wielkoduszność. Małe wgniece-nie i dwa zadrapania na lakierze, z takiego powodu nie ma co wzywać policji ani zgłaszać szkody do zakładu ubezpieczeń. Lekarz nie umiał powiedzieć, czy ktoś jeszcze był w mikro-busie. Szyby były zaparowane.

Klinkhammer początkowo nie przywiązywał wagi do tego zeznania. Wtedy jeszcze ważniejsze wydawały mu się inne informacje. Przedtem rozmawiał bowiem z Arminem i Iloną. Oboje brali lekcje jazdy w czwartki. I do obojga krótko po południu dzwonił Hennessen, żeby odwołać lekcję. Że niby przy takiej pogodzie nie można wyprowadzić konia. A w staj-ni chciał mieć spokój ze względu na Mattho. Lichy wykręt wobec tego, że była tam przecież wielka hala, w której można było jeździć konno przy każdej pogodzie.

A dlaczego Hennessen nie zatelefonował do nas, żeby Renę zatrzymać w domu, zamiast ją wypuszczać na burzę i deszcz? Kiedy przecież dobrze wiedział, że nikt i nic nie zdoła jej po-wstrzymać! A dlaczego nie wezwał do swojej kobyły tego samego weterynarza, co zwykle? Dlaczego sprowadził tego młodego, niedoświadczonego lekarza z przychodni dla ma-łych zwierząt w mieście? Człowieka, który znał się na kot-kach, pieskach, świnkach morskich i chomikach, a o koniach miał tyle pojęcia, co Jiirgen o transplantacji serca?

Te pytania musiały zaprzętać Klinkhammera tak samo jak mnie. Po rozmowie z Arminem i Iloną to Hennessen był jego faworytem. Pięć telefonów nadało inną wagę szaremu mikro-busowi i odciągnęło Klinkhammera od tamtego tropu. Chciał zarządzić, żeby od razu do naszego telefonu zostało przyłą-czone jakieś urządzenie.

Powiedział, że czekanie na decyzję sędziego trwa za długo. Także wystąpienie o identyfikację numerów przychodzących w tej chwili zajęłoby za dużo czasu i przez cały weekend nic więcej byśmy nie działali. Natomiast to urządzenie może sprowadzić szybko. Mam tylko wyrazić zgodę.

- I zanim nie zostanie dołączone - powiedział, zwracając się wyłącznie do mnie - niech pani już nie odbiera żadnych więcej rozmów.

Przemilczał przede mną, że Jiirgen już odrzucił jego prośbę. Także teraz znowu zaprotestował.

- Jak pan to sobie wyobraża? I jak zamierza pan przeszkodzić mi w odbieraniu rozmów? Ani mi się śni przyjmować jakieś ograniczenia w moim własnym domu. Także od policji. Swoje urządzenie niech pan sobie wybije z głowy.

Nie mogłam myślał nadążyć za ich słowami. Nie udało mi się tak szybko przestawić z Hennessena na szary mikrobus. Jurgen nie panował nad sobą:

- To jest zastrzeżony numer i rozmowy, które są z nim łączone, są wyłącznie prywatne. Żaden obcy nie może tu dzwonić. Nasz numer nie jest umieszczony w książce telefonicznej i nie można się go dowiedzieć w informacji. Jestem lekarzem, jeśli pan o tym zapomniał. Nie miałbym w domu ani chwili spokoju, gdybym w każdym momencie był osiągalny przez telefon.

Klinkhammer kiwnął głową ze zrozumieniem, ale nie uśmiechnął się. Znowu miał kłopot ze swoimi włosami. Przy-cesał je do tyłu i zostawił prawą rękę na głowie. Ten gest nadawał mu wygląd zamyślnego, kogoś z wiedzą i doświadczeniem. Spoglądając na Annę powiedział, że nasz numer z pewnością jest szerzej znany, niż możemy to sobie wyobrazić. Także dla kogoś obcego, kto jeszcze nigdy nie miał do

czynienia z naszą rodziną, nie jest żadnym problemem dowiedzieć się go, jeżeli miał w swoich rękach członka rodziny.

Nareszcie jakieś jasne zdanie, możliwe do zrozumienia od razu. Zdanie jak nóż. Przemoc! Szary mikrobus! Dość miej-sca, żeby zawlec tam dziewczynę, wsadzić też rower, dodać

108

gazu i zniknąć bez śladu. Słyszałam siebie, jak krzyczę, dokładnie tak samo jak w nocy, jakbym przy tym widziała biedną panią Bost.

- Chcę odzyskać moje dziecko! Oddajcie mi moje dziecko!

Jurgen prychnął:

- Weź się w garść, Vero!

Potem zamachnął się i uderzył mnie w twarz. Krzyk się urwał. Tylko Anna jeszcze raz zapłakała. Spojrzałam na Klinkhammera.

- Tam stoi telefon. Niech pan zatelefonuje, żeby ktoś przy-szedł i podłączył to urządzenie.

- To w ogóle nie wchodzi w rachubę! - wrzasnął Jurgen. -

Te telefony nie mają nic wspólnego ze zniknięciem naszej córki. Absolutnie nic.

- No to z czym? - spytał spokojnie Klinkhammer.

Jurgen spojrzał na mnie, jakby chciał mi spojrzeniem za- kleić mózg.

- To sprawa prywatna - rzucił ze złością. - Nic, co mogło-by zainteresować policję.

Klinhammer podniósł jedną brew do góry.

- Jak pan uważa, panie doktorze. Ale zwracam panu uwa- gę, że każdy rodzaj szantażu podlega karze.

- Nie jestem szantażowany - powiedział Jurgen.

Wydawało się, jakby w poprzek sieni stanął mur. Po jednej

stronie stałam ja, po drugiej Jurgen. On mnie uderzył, po raz pierwszy! Teraz stał sam. Ja nie. Nie pozostałam sama po mojej stronie. Anna objęła mnie ramieniem i poprowadziła do dużego pokoju. Poszli za mną Klinkhammer i Olgert. Jurgen został, oparł się demonstracyjnie o futrynę drzwi kuchennych, założył ręce na piersiach i wbił wzrok w telefon. Klinkhammer i Olgert wbili oczy we mnie.

Sprawa prywatna! Nie jestem szantażowany! Te słowa kręciły się po moim mózgu. Pewnie, że nie! Nie było nas stać na to, żeby być szantażowanym. Sześćset tysięcy kosztowało to gospodarstwo, a remont pochłonął jeszcze połowę tego. W gabinecie nie było już tyle pacjentek, odkąd osiedliła się w mie-

109

ście młoda pani ginekolog. Szary mikrobus? Może tylko ktoś zgubił drogę i na chwilę zatrzymał się przy bramie Hennesse-na, żeby zobaczyć na mapie, jak jechać dalej. Tuż przed bramą stała tabliczka z nazwą miejscowości.

Anna wcisnęła mnie w fotel, poszła do kuchni, wzięła szklankę wody i jedną z tabletek. Wypiłam łyk, a tabletkę za-trzymałam w rękę. Anna chciała mi zrobić coś do jedzenia. Tylko parę kanapek. Spojrzała na obu mężczyzn.

- Może i panowie chcieliby coś zjeść?

Klinkhammer kiwnął głową. Olgert powiedział:

- Tylko kawy.

Anna wróciła do kuchni. Nikt nic nie mówił. Patrzyli tylko na mnie. Oni na mnie, a Jiirgen na telefon. Czekać! Na dzwo-nek! Na telefon od szantażysty? No, telefonuj wreszcie, babo! Gadaj, czego od nas chcesz. Nie od nas! Tylko od Jurgena! „Chcę mówić z doktorem osobiście, ale to już!” Miałam za wiele w głowie, inaczej prędzej bym to wszystko pojęła.

Anna kroїła chleb w kuchni, brzękała naczyniami i sztukami. Ekspres do kawy syczał, poza tym było cicho. Pytajcie mnie o coś! Pytajcie mnie wreszcie, czy jestem tego samego zdania, co Jiirgen. Te telefony nie mają nic wspólnego ze zniknięciem Reny! Tak, jestem tego samego zdania. Hennesen zabił moją córkę. On musiał to zrobić. Przecież nikogo innego tam nie było. Akurat Hennesen! I on miał czelność

łgać mi prosto w oczy! Ufaliśmy mu. Byliśmy mu wdzięczni, że jego szkapy zakończyły fazę buntu u Reny.

To był przykry okres. Nie jest miło, kiedy człowiekowi dziecko wymyka się z rąk. Często nie wiedziałam już, jak mam rozmawiać z Reną, jak mam z nią postępować. Nie chcę tego pamiętać. Ile nocy nie przespałam? Ile godzin spędziłam na przekonywaniu Jurgena, że może byłoby lepiej oddać ją do internatu. On mówił: nonsens! A moja matka dostawała ata-ków, kiedy do niej przychodziliśmy z Reną.

Miała akurat trzynaście lat, kiedy to się zaczęło. I trwało prawie cały rok, zanim się tu nie sprowadziliśmy. Czarne luźne spodnie, czarno lakierowane paznokcie i ta okropna fryzu-

110

ra w stylu zebry. Doszło do tego, że nie mogliśmy już jej za-bierać do moich rodziców. Szczęście, że nie ma zdjęć z tego okresu. Nikt nie kiwnąłby palcem dla Reny, gdyby takie zdję-cie wpadło mu w ręce.

A przy tym nie oszpeciła się tak z własnej inicjatywy. To była sprawka Nity Kolter, tej zepsutej wywłoki. Podejrzewa-łam, że Nita bierze narkotyki. I obawiałam się, że namówi Renę, żeby również spróbowała tego cholerstwa. Niejeden raz wracała do domu w dosyć dziwnym stanie, albo zbyt cicha, albo zbyt wesoła, rozgorączkowana i szalona.

A Hennessen położył temu kres. Rena była nim zachwycona:

- On jest taki miły. Powiedział, że mogę wpadać do niego o każdej porze, jeśli tak lubię zajmować się końmi. On za-wsze lubi mieć młodych dookoła.

W mojej ręce zaczęło się coś kleić. Pot rozpuścił pigułkę. Na zegarku był kwadrans po drugiej. Wczoraj o tej porze, myślałam, Rena pochłaniała w pośpiechu eintopf, wybierając z garnka tylko warzywa i nie tykając wędzonych żeberek, pa-kowała parę rzeczy na zmianę do plastikowej torby.

Wczoraj o tej porze Annegret Kuhlmann i dwójka jej ma-łych dzieci już nie żyli. Policjanci i strażacy trudzili się przy wydobywaniu ich ciał z pogiętych blach. Czy ta katastrofa to było zbyt mało, jak na jeden dzień?

Wczoraj o tej porze byliśmy jeszcze w gabinecie. Byliśmy sami. Sandra Erken

pracowała tylko przed południem przez cztery godziny. Wychodziła punktualnie o dwunastej, w miarę możliwości nawet parę minut wcześniej, żeby odebrać swojego synka z przedszkola. Jaśmin poszła do domu mimo burzy i deszczu. Mieszkała niedaleko od gabinetu.

O pierwszej staliśmy przy oknie i przyglądaliśmy się, jak Annegret Kuhlmann zbiera z ziemi swoje zakupy. Kiedy odjechała, Jiirgen objął mnie ramieniem i powiedział:

- Znam przyjemniejsze zajęcie niż gapienie się przez okno przy takiej pogodzie. Chodźmy obok i rozgoścmy się.

Nie chodziło o rozgoszczenie się, tylko o naszą sekretną zabawę. Jak dzieci się w to bawia, dostają po łapach. Mówi

111

się „fu, nie wypada”. My nie byliśmy już dziećmi, byliśmy dorosłymi. Tolerancyjnymi. Żyliśmy w zgodzie z dewizą: robić to, co bawi. Mnie przede wszystkim ekscytowała myśl, co matka by na to powiedziała.

Przed Klinkhammerem i Olgertem chciałam zapaść się pod ziemię. Wczoraj o tej porze! Kiedy nasza córka wybierała się w drogę do swojego mordercy, my robiliśmy to na fote-lu do badań. I ani przez chwilę nie myśleliśmy o Renie. Czuliśmy się całkiem pewnie przez ostatnie dwa lata. Tak pewnie, że mogliśmy sobie pozwolić na swawole.

Syk w kuchni umilkł. Anna weszła z półmiskiem kanapek. Trzy razy chodziła tam i z powrotem, nosiła naczynia i sztuczce, kawę, śmietankę i cukier. Przy ostatniej wędrownicy spytała Jurgena:

- Mam ci coś przynieść, tato? A może usiądziesz z nami?

Wszedł, usiadł na tapczanie. Musiałam się dowiedzieć, kto

telefonował. Nie wytrzymałam tego wahania się między stajnią i mikrobusem. Jak on na mnie spojrzał. „Weź się w garść, Vero!” Nie musiał tego jeszcze raz wypowiadać, miał to wypisane na czole.

- Przykro mi, że straciłem panowanie nad sobą - powiedział.

Nie było jasne, czy przeprosza Klinkhammera, czy mnie. Uśmiechnął się z

zakłopotaniem.

- Moje nerwy nie są dzisiaj w najlepszym stanie. Ale te telefony... - urwał, wzruszył ramionami. - Jedna z moich pacjentek ma zaburzenia psychiczne. To nic poważnego. Tylko czasami robi się uciążliwa. Czy to wyjaśnia sprawę?

- Nie - powiedział Klinkhammer i założył długie kosmyki włosów za uszy. Teraz sprawa robi się poważna, pomyślałam.

On przestaje bawić się włosami. Teraz go przygwoździ.

Jiirgen westchnął, spojrział w sufit. Zdawał się nie zwracać uwagi na to, że swoim tłumaczeniem zaprzecza sam sobie.

- Tam, do licha! Chce pan wiedzieć całkiem dokładnie, co?

No dobrze, ta pacjentka cztery lata temu miała poronienie

112

i mnie obarcza winą. Zaniedbałem uprzedzić ją o tym, że uprawianie określonych dyscyplin sportowych nie jest wskazane w czasie ciąży. Nie zawsze człowiek pamięta o wszystkim. Można też oczekiwać, że kobieta, która chce mieć dziecko, nie będzie dalej uprawiać sportów siłowych. Wszystko to jest śmieszne, ale u niej powstała z tego cała psychoza. Bez przerw mi nie nachodzi i zarzuca wymówkami. Przeważnie udaje mi się ją uspokoić. Wczoraj wieczorem też była. Tylko nie miałem czasu zająć się nią natychmiast.

Wtedy nareszcie pojęłam i odczułam ulgę. Eva Kettler! Jurgen wspomniał kiedyś o jej poronieniu. Nigdy mi nie mówił, że to jego obarcza winą. Lecz jeśli sądził, że uspokoi Klinkhammera swoim wyjaśnieniem, musiał się rozczarować.

Było wprost przeciwnie. Klinkhammer rzucił się na ten wątek, wspomniał o zasadzie „oko za oko”. Ja straciłam dziecko z twojej winy, to teraz zabiorę twoje dziecko. Jurgen zamachał rękami. Nonsens. To tylko takie gadanie bez sensu i celu, bez myśli o ewentualnych konsekwencjach.

Ja też nie mogłam słuchać, jak Klinkhammer się tego ucępił.

- To był Hennessen - powiedziałam. - Najpierw zabił René

i wywiózł ją swoim kombi, ją i jej rower. Jego samochód od razu dał się uruchomić. Potem był w knajpie Friedla, a potem zabił konia.

Jurgen zmarszczył niechętnie czoło.

- Nie pleć bzdur, Vero!

Potem wziął sobie kanapkę z półmiska i zatopił w niej zęby.

- On zaszlachtował kobyłę - oświadczyłam - żeby jej krwią zatuszować to, co zrobił z Reną.

Jurgen niechętnie potrząsnął głową.

- Vero, przestań bredzić. Zaszlachtował! - spojrzał na Klinkhammera. - Zdaje się, że on zastrzelił to zwierzę?

Klinkhammer pokiwał głową z namysłem i pełnym pożądania wzrokiem omiół kanapki.

- Dobił ją strzałem miłosierdzia, jak to się ładnie mówi.

Rozmawiałem z rakarzem. On to nazwał działaniem w ślepej

113

furii. Ktoś musiał być bardzo wściekły na Hennessena. Ale żeby wyładowywać swoją wściekłość na bezbronnym zwierzęciu...

Resztę zdania pozostawił niedopowiedzianą, pochylił się do przodu, chwycił kanapkę i nie spuszczać oczu z Jiirgena ugryzł ją. Jurgen nalał sobie kawy.

- Czemu pan tak na mnie patrzy? Chyba pan nie sądzi, że mam...

Także Jiirgen nie dopowiedział zdania do końca, a zamiast tego rzekł:

- Kiedy byliśmy w stajni, z kłaczą było wszystko w porządku. Spała.

Klinkhammer uśmiechnął się uśmiechem bez wyrazu.

- Weterynarz zaaplikował jej zastrzyk znieczulający. Pewnie dlatego Hennesen nic nie słyszał. Ale dziwi mnie, że inne zwierzęta również się nie odezwały. Normalnie takie intermezzo nie przebiegałoby tak bezszmerowo. Ktoś obcy nie mógł być wtedy w stajni. Bywał pan często w stajni, panie doktorze?

Rozparł się, ugryzł znowu kanapkę i żuł z zadowoleniem. Jurgen skrzywił się w niechętnym uśmiechu.

- Trzy razy. Pierwszy raz dwa lata temu, kiedy rozmawiałem z Hennesenem na temat nauki jazdy. Drugi raz trzy tygodnie temu, kiedy wybierałem prezent na urodziny dla Reny. I ostatniej nocy. Wtedy miałem na sobie kurtkę z lodenu, która wisi w garderobie. Jeśli pan chce, może pan zabrać tę kurtkę i dać do zbadania.

W sieni zadzwieczał telefon. Jurgen wstał. Wyszedł z kanapką ręką i podniósł słuchawkę. Słyszałam tylko jego głos.

- Zardiss. - krótka przerwa. Potem powiedział: - Tak, wiem. To było bardzo głupie z pani strony. Nie, dzisiaj to całkiem wykluczone. Muszę panią prosić o cierpliwość do poniedziałku. - Jeszcze chwila przerwy. Był nerwowy, podrażniony i słysząc to było po tonie jego głosu. - Nie wiem, jak wygląda terminarz. Dlaczego nie zatelefonuje pani jeszcze raz do gabinetu i nie zapisze się na jakiś termin? Albo nie, zrobimy ina-

Poniedziałek! Jeszcze trzy dni. Jeszcze się nie skończył nawet pierwszy. I myślałam, że dwóch kolejnych takich dni nie zdołam znieść.

Jiirgen odłożył słuchawkę, wrócił i powiedział:

- Tak jak sądziłem. Może pan odfajkować te telefony i uznać sprawę za załatwioną. - Potem spytał: - Jak długo możemy czekać na wiadomość z Hamburga?

Klinkhammer wzruszył ramionami, włożył resztę kanapki do ust, żuł, przełknął, a wreszcie powiedział:

- Trudno powiedzieć. Parę dni, może tygodni. Nie chcę panu robić próżnych nadziei. Niech się pan lepiej przygotuje na dłuższe oczekiwanie.

Na krótko przed czwartą Klinkhammer posilony czterema czy pięcioma kanapkami - nie liczyłam - wyruszył na nowo porozmawiać z Horstem, Katrin i Tanią i uzyskać od nich po-twierdzenie własnych domysłów. Od Armina i Ilony słyszał, że Rena na swoim przyjęciu w sobotę wieczorem powiedziała: „Jutro będę najszczęśliwszym z ludzi”. Zniweczyliśmy jej szczęście niewłaściwym prezentem.

- A co z Hennessenem?

- Nic, pani Zardiss - powiedział Klinkhammer i zapytał, czy ktoś z przyjaciół Reny jeździ szarym mikrobusem. Miałam wrażenie jakbym stała przed ścianą.

Jiirgen powiedział:

-Weź jeszcze jedną pigułkę, Vero, i odpocznij troszeczkę.

Traktowali mnie jak małe dziecko. Prawdopodobnie Klinkhammer opowiadał swojej żonie wieczorem: „Zwykła historia, dziewczyna nawiała z domu. Tylko matka nie chce tego zrozumieć. Ona jest nerwowo wykończona”.

Olgert został w domu. Jiirgen znowu wyszedł na zewnątrz. Anna skryła się w swoim pokoju. Siedziałam sama z Olger-tem w dużym pokoju. On czytał dzienniki Reny. Zdając się na przypadek, bez planu, tu kawałek, tam kawałek. Nie mogłam znieść obserwowania jego mimiki. Jak przy jednym akapicie

marszczył czoło, przy innym krzywił usta, jakby chciał się uśmiechnąć. Jak od czasu do czasu podnosił wzrok, żeby na mnie spojrzeć.

Czułam na ramieniu wciąż jeszcze rękę Hennessena. Czułam ją także na moim gardle. Z zewnątrz dobiegł szum silnika. Myślałam, że Klinkhammer wrócił, żeby jeszcze raz w spokoju i bez wtrącania się Jurgena porozmawiać ze mną. Ale to byli moi rodzice; myślałam, że są w sypialni i śpią wyczerpani troskami i wyrzutami.

Matka weszła do domu obciążona dwiema torbami i zawołała mnie, żebym jej pomogła rozładować samochód. Piątek! Wielkie zakupy na weekend. W moim mózgu wirowała czerwona mgła. Myśli matki krążyły wokół kiełbasy krojonej na plasterki i świeżego chleba. Uśmiechnęła się do mnie.

- Ci policjanci mają wilczy apetyt. Ten młody człowiek dzisiaj w południe sam wsunął pół półmiska. Czy oni zostaną na kolację, Vero?

Co się dzieje w takiej głowie? Co to może być, wypieranie niemiłych informacji? Nie zakłócaj mojego porządku, Vero! Jak zgubiłaś swoją lalkę, to jej szukaj, ale nie zwracaj mi tym głowy i nie zrzucaj wszystkich poduszek z tapczanu.

Wysłałam wprawdzie, ale nie do samochodu ojca. Poszłam do stodoły, wzięłam łopatę i udałam się do mojego samochodu. Dwa razy zgubiłam po drodze w błocie but, najpierw lewy, potem prawy, wyciągałam je rękami z ziemi, potem wkładałam mokre i brudne stopy do środka i maszerowałam dalej.

Ziemia była twarda i ciężka. I cały trud na darmo. Kopaniem nie udało mi się uwolnić kół. Wróciłam i przyniosłam deski. Leżał ich jeszcze cały stos w stodole. Murarze używali ich jako rusztowania, kiedy odnawiali fasadę domu. Były to ciężkie deski, mogłam nieść tylko jedną na raz i nie byłam w stanie wydobywać butów, gdy na nowo ugrzęzły w ziemi. Zresztą nie potrzebowałam butów.

Siedemset metrów do samochodu. Siedemset metrów z powrotem. Siedemset metrów z drugą deską. W dziurach wykopanych dookoła opon zebrała się woda. Moje stopy w prze-

moczonych skarpetkach Anny stały się zimne, nieczułe jak kamienie. Dlaczego nie

mogłam uwierzyć w to, w co wierzyli wszyscy?

Woreczek na szyję na paszport i pieniądze! Kilka banknotów stumarkowych! Rena wsiadła na swój rower i pojechała za transporterem. W torbie nie miała ubrania na zmianę. Miała żagiel przy sobie. Z wiatrem z tyłu pędziła po autostradzie.

Rozum stopniowo się rozsypuje. Przychodzi taki moment, kiedy z myślenia pozostają już tylko skorupy. U jednego przychodzi to trochę wcześniej, u innego trochę później. U mnie bardzo wcześnie. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Kopałam dziury, dźwigałam deski, stałam w skarpetkach w błocie, ocierałam pot z czoła i łzy z czubka nosa i uważałam się za normalną. Za jedyne przytomnego człowieka wśród samych obłąkanych.

Rozmawiałam z moim samochodem: „Dobry, stary gruchocie, teraz postawimy cię znowu na koła, a potem zaprowadzimy jakiś ład w tej całej sprawie”. Cztery koła, trochę blachy dookoła, benzyna w zbiorniku. I już człowiek się czuje jak ktoś, kto może coś zrobić, znaleźć to, co zgubił.

Chciałam wiele zrobić, pojechać jeszcze raz do Hennesse-na, wziąć jego widły i przyszpilić go do ściany. Co z nią zrobiłeś? Gdzie ona jest? Gadaj albo cię zakłuję!

Tylko nie udawało mi się wydobyć samochodu z błota, tak-że po podłożeniu desek pod koła. Przyjechał traktor. Jeden z mężczyzn zobaczył mnie z daleka i pomógł. Miałam w samochodzie linkę holowniczą, toteż poszło szybko. Tego odgłosu nigdy nie zapomnę, tego mlaskania, ssania i siorbania, kiedy błoto uwolniło opony.

Wsiadłam, człowiek z traktorem dociągnął fiestę do naszej bramy. Podziękowałam, chciałam pojechać w dół do szosy, skręcić w lewo do wsi. Ale kiedy zobaczyłam, że traktor pojechał w tym właśnie kierunku, że nie zawrócił, że także inni wybrali się w drogę do domu, ta chęć mnie opuściła.

Moje stopy odtajały i bolały piekielnie. Wprowadziłam samochód do stodoły i weszłam do domu. Ojciec siedział w du-

117

żym pokoju, telewizor był włączony, a dźwięk jak zwykle nastawiony za głośno. Matka uwijała się między kuchnią i jadalnią. Jurgen był na górze i brał prysznic. Anna rozmawiała w swoim pokoju przez telefon z Patrickiem. Dzienniki Reny znikły, a z nimi Olgert.

Matka kazała mi umyć ręce. Nie spojrzała na moje stopy, bo inaczej na pewno i o

nich by nie zapomniała.

- Jedzenie gotowe. - Parę minut później zawołała w kierunku dużego pokoju: - Chodź do stołu, Dolf.

Jurgen i Anna zeszli po schodach na dół. Rozmawiali ze sobą tak jak setki razy wcześniej. Jakby lada chwila drzwi wejściowe miały się otworzyć i Rena miała wpaść do sieni. „Wskoczę tylko pod prysznic. Nie denerwujcie się, ludzie, za dwie minuty będę gotowa”.

Na obiad były gotowane kartofle, parówki i zielona sałata, ponieważ w południe jedliśmy tylko kanapki z kiełbasą. Sześć par parówek! To było jak ręka wyciągnięta na pojednanie. „Widzisz, Vero, miałam nadzieję, że na obiedzie ona znowu będzie z nami”. Tylko ojciec nie mógł mi spojrzeć w twarz. Z pedantyczną starannością rozgniatał kartofle na swoim talerzu i mieszał je z masłem. Jurgen łypał okiem w kierunku ostatniej pary parówek. Potem sięgnął po nie.

- Zostaw - powiedziałam. Pokręcił głową.

- Vero!

Jak nienawidziłam tego tonu, protekcyjnego, pełnego braku zrozumienia i łagodnej przygany. I ten jego spokój, jego wyższość. Oto ktoś, kogo nic nie wyprowadzi z równowagi. Kto przy łóżku umierającej potrafi jeszcze się silić na marne żarty. No, pani taka tam a taka, czy nie przyjemniej się umiera z uśmiechem na ustach? Czułam jak coś mi podchodzi do gardła, tylko nie czułam, czy jest zimne czy gorące, mokre czy suche.

Kiedy zaczęłam płakać, Jurgen zostawił w spokoju parówki.

- Już dobrze - mruknął i odsunął krzesło. Chwycił mnie pod pachy, podciągnął do góry, wziął w ramiona, powtórzył:

- Już wszystko dobrze.

118

Nic nie było dobrze.

- Chcę mieć znowu moje dziecko.

- Potrzebujesz troszkę spokoju - powiedział Jiirgen.

- Nie chcę spokoju, chcę moje dziecko.
- Ona wróci - powiedział Jiirgen. - Za parę dni będzie z po-
wrotem.
- Nie będzie. Hennesen ją zabił.
- Nie, Vero - powiedział. - Nikt jej nie zabił. Znaleźli jej
rower przy dworcu. Chciałem ci to powiedzieć już w połu-
dnie. Zapomniałem w tym zdenerwowaniu. Prawdopodobnie
pojechała ostatnim pociągiem do Kolonii. O wpół do jedena-
stej odjeżdżał jeszcze jeden. Mogła zdążyć, jeśli wyszła od
Hennesena o dziesiątej.

Teoretycznie może i tak - mając wiatr w plecy. Ale praktycznie... Na ulicy była woda i tuzin strażaków, których musiałaby mijać. Tylko wyjaśnienie mu tego było zbyt żmudne. Miałoby zresztą tylko ten skutek, że nastąpiłyby dalsze pouczenia i uspokajające zapewnienia. Chwył mnie pod brodę.

- Teraz będziesz rozsądna, tak? Musisz spać. Chodź, za-
prowadzę cię na górę.

Nie chciałam iść do łóżka, ale zaprowadził mnie na górę, napuścił mi wody do wanny. W kuchni jeszcze myślałam, że muszę ich nienawidzić - wszystkich, jak tam siedzieli przy stole i nadziewali parówki na widelce. Smacznego, nam coś takiego się nie przytrafi. Muszę ich nienawidzić za ich ślepotę i ignorancję. Nienawidzić, ponieważ dali się otumanić frazesom leniwego policjanta. To przecież była drobnostka, załadować rower do kombi i zawieźć na dworzec. Ale kiedy we-
szłam do wanny, nienawidziłam już tylko siebie. Za tę watę w mózgu, za krwawiące, piekące stopy, słabość koło serca, za niezdolność walnięcia pięścią w stół.

Jurgen siedział na brzegu wanny i zwitkiem chusteczek higienicznych wycierał mi pot z czoła i łzy z oczu.

- Spokojnie - powiedział. - Słuchasz mnie?

Opowiedział mi o pieniądzech w woreczku na szyję. Pięćset marek! Prezent urodzinowy od Gretchen dla wnuczki. Rena prosiła o gotówkę. Przy policjantach Jurgen o tym nie wspomniał. Również Anna nie puściła pary z ust. Jurgen prosił Gretchen, żeby milczała. Ponieważ obawiał się, że kiedy policja się o tym dowie, to już nic więcej nie zrobi. Ponieważ my sami nie mieliśmy możliwości odnaleźć Reny w takim wielkim mieście, jak Hamburg, czy nawet w Anglii.

- Musimy czekać, Vero.

A ja myślałam, że on chce mnie skłonić do energicznego działania. Chce, żebym wyskoczyła z wanny, wytarła się, ubrała, wypadła z domu, wskoczyła do samochodu. A potem dokąd?

Na zewnątrz! Nowe słowo, które mnie pozbawiało rozumu. Na zewnątrz jest duże. Na zewnątrz, to wszystko dookoła śladu ukłucia igłą. Gdzieś tam na zewnątrz.

- Musimy czekać, Vero. Ona się odezwie w końcu, najpóźniej wtedy, kiedy skończą się jej pieniądze.

Tego się trzymał. Sobota! Siedzieliśmy dookoła. Nikt nie miał odwagi wyjść na dwór z obawy, że przegapi decydujący telefon. Ja miałam chęć wyjść poszukać krawężnika. Ale dwa pęcherze na mojej prawej stopie zaogniły się. A Jurgen dał mi tabletkę na śniadanie, ponieważ nie mogłam przestać mówić o Hennessie. Inną tabletkę niż w piątek, jedną z tych bomb, które eksplodują w mózgu i zamieniają wszystko w szarą jednolitą papkę.

Dzień przemijał obok mnie. Starania matki o podtrzymanie zwykłego rytmu dnia powszedniego. Śniadanie, sprzątanie ze stołu, sianie łóżek, ścieranie kurzu. Nieśmiałe próby ojca po-rozmawiania ze mną. Wstyd i strapienie w jego oczach. Z troskaniem Anny: „Jak się czujesz, mamó?”.

Jak badacz owadów z lupą przed mrowiskiem. Możecie pilnie się krzątać, ile tylko chcecie, ale cokolwiek byście robiły, wszystko na próżno. Kiedy podniosę nogę, zaraz was nie będzie. Ja jestem śmiercią. Nie mogłam podnieść nogi. Eksplozja w mózgu wypełniła go ruinami.

Żaden z policjantów się nie pokazał. O jedenastej po raz pierwszy zadzwonił telefon. Jurgen pognął do sieni, poderwał

słuchawkę z widełek. Ręka matki ze ścierką do kurzu zatrzymała się w połowie ruchu, a jej mina wyrażała napięcie. Wydawało mi się, jakby ojciec wstrzymał oddech.

Potem na twarzy Jiirgena odmalowało się rozczarowanie.

- To Patrick, Anno - zawołał w kierunku schodów na górę. - Przełączę do twego pokoju. Tylko nie gadaj za długo.

O drugiej był następny telefon. Wiernie oddany sługa ojca Steinschneider dowiadywał się, jak mają się sprawy, i zapewniał, że jego ludzie robią wszystko, co tylko w ich mocy. Jego ludzie! Jeden z nich zatelefonował krótko potem. Musiał to być Olgert; jemu przypadło zadanie, aby ogromną kałużę krwi przerobić na tęczę.

Jiirgen rozmawiał z nim parę minut. Potem usiadł naprzeciwko mnie i opowiadał mi o torze wyścigowym, gdzie policja w Hamburgu prowadzi teraz czynności. Transporter miał rejestrację z Hamburga. A więc Rena musiała domyślać się, że Mattho został sprzedany do Hamburga. Chcieli przepytac też personel pociągu. Ktoś musiał ją widzieć na trasie Kolo-nia-Hamburg. To była trasa zabierająca cztery i pół godziny.

Chciałam mu się sprzeciwić, ale poruszanie językiem sprawiało mi zbyt wiele trudu. Był jak gąbka nasączona lękiem, unieruchomiony przez najcięższe działo z arsenału Jiirgena. W mojej stopie tuzin karzełeków młoteczkami obrabiał surowe mięso. W głowie pojawiały mi się różne dziwne myśli.

Nie miałam pojęcia, że Eva Kettler uprawiała sporty siłowe. Nie umiałam sobie tego wyobrazić, ona nie była wcale muskularna. Wprost przeciwnie, Jiirgen raz jej powiedział, że powinna coś zrobić ze swoim brzuchem, trochę gimnastyki na pewno by jej nie zaszkodziło. Ale jeśli było tak jak mówił, jeśli obarczała go winą za swoje poronienie, to może Klin-khammer miał rację.

Oko za oko, dziecko za dziecko. Teraz ty zapłacisz, doktor-ku. I tę paniusię też nauczę, co to znaczy stracić dziecko. A Jiirgen wodził nas wszystkich za nos, nie chciał, żeby policja się do tego mieszała, nie chciał ryzykować życiem Reny. Wyobrażał sobie, że moglibyśmy zgromadzić pieniądze na okup. On zawsze sobie wyobrażał, że możemy zapłacić.

Szary mikrobus był w centralnym punkcie, a wokół niego wirowała czerwona mgła. Wgniecenie i dwa zadrapania na lakierze, nie ma o czym mówić. Trzeba zapytać

weterynarza, czy kierowca był długowłosa. Dla mężczyzn o krótkich włosach wgniecenia i zarysowania na lakierze samochodowym są katastrofą. Tylko hippis nie podnieca się z takiego powodu. Ale hippisi wyszli z mody. Kwiatki na drzwiczkach samochodu, gitara na tylnym siedzeniu, długie włosy i pokręcony rozum, to były moje czasy.

If you're going to San Francisco, be sure to wear some flowers in your hair* . I Rollingstoni z ich zakazaną piosenką.

Kupiłam sobie tę płytę. Miałam szesnaście lat, tyle co Rena. Na urodziny dostałam gramofon, nie konia; zresztą wcale nie chciałam konia. Lubiłam muzykę. Nie Wagnera, ten był dla mnie za głośny. Pop, beat, łagodne melodie, to lubiłam, i od czasu do czasu odrobinę rocka. Mick Jagger!

Matka nie знаła angielskiego. Dla niej ta muzyka była zbyt dzika i pytała mnie, o czym śpiewa Mick Jagger. Przetłuma-czyłam jej tekst. Nie było tam nic takiego. Taka sobie piosenka. Matka uznała, że jest obrzydliwa.

-I mnie takie świństwa przynosić do domu! Niech to tylko usłyszy twój ojciec! Nie masz wstydu, Vero?

Mam! Ja zawsze się wstydziłam. W szkole. Kiedy mnie pytali, jak nazywa się mój ojciec. Dolf Merten. Faktycznie jego imię było troszkę dłuższe. Ale pierwszej litery nie wolno było wymawiać. Ona była tylko we wszystkich dokumentach.

A! To była lekcja historii w klasie szóstej. To było sześć milionów. To był synonim wielkiej rzezi. Nie mogłam uwierzyć w to, co mówił nauczyciel. Nauczyciel był starym człowiekiem i twierdził, że widział na własne oczy, jak ludzi spędzono do kościoła i kościół podpalono. Miałam jeszcze krzyki w uszach. Potem pokazywał nam zdjęcia - szkielety w błocie z odrobiną skóry zwiędłej i pomarszczonej jak skóra na

* „Jeśli jedziesz do San Francisco, wpleć sobie kwiaty we włosy” — pierwsze słowa przeboju Scotta McKenzie z 1967 r. (przyp. tłum.).

122

udach Gretchen. Wyniszczone, porzucone na stosie, upychane w grobie jak śmieci w worku.

Wróciłam ze szkoły do domu z płaczem. Matka chciała wiedzieć, co się stało. Opowiedziałam jej. I matka pokiwała głową.

- Tak - powiedziała - naszych sąsiadów też wtedy zabrali.

To byli mili ludzie, nikomu nic nie zrobili. Nigdy ich więcej nie zobaczyliśmy. Pewnie wszyscy zginęli.

- Jak ludzie mogą robić coś takiego?

Matka uśmiechnęła się.

- Nie mnie o to pytaj, Vero. Pytaj swojego ojca. On przy tym był. W Warszawie, kiedy opróżniali getto. Twój ojciec jest jednym z tych morderców. On był nazistą.

Nigdy nie pojęłam, jak ona mogła o tym mówić i uśmiechać się przy tym. Mój ojciec! Mordercą?

Nie, on był tylko tchórzem. Starczyło mu odwagi, żeby pędzić starych mężczyzn, kobiety i dzieci na wywózkę. Rozkaz z góry. Nie można się było sprzeciwić, powiedział kiedyś. Kto otworzył gębę, trafiał przed sąd wojenny albo był po prostu stawiany pod ścianą i rozwalany na miejscu.

Miałam osiemnaście lat, kiedy powiedział do mnie:

- Byłem w tym samym wieku, co ty teraz, Vero, kiedy założyłem mundur. I na początku wierzyłem w to, co mówili, że chcą dla nas dobrze. Nie pojmowaliśmy, do czego to wszystko zmierza. Jak zresztą ma to pojąć młodzik, który w nocy nie może zasnąć z głodu! Nie masz pojęcia, Vero, jak to było.

A właśnie, że miałam. Nie miałam pojęcia o wojnie, ale o czwartku tak. Rozkaz z góry. Pani generał komenderuje:

- Nie pojedziesz do ujeżdżalni, Dolf! Nie widzę takiej potrzeby. Jeśli im się zdaje, że ich córeczka koniecznie musi jeździć konno, to niech sami się martwią, jak ma pojechać do stajni i z niej wrócić.

Matka nigdy nie lubiła Reny. Anna była w jej guście. Anna z dobrymi stopniami w szkole i czysto umytą buzią. Anna z jej „Tak, babciu. Naturalnie, babciu. Masz

całkowitą rację, babciu". Anna z jej czyściutkim przyjacielem i świetnymi planami na przyszłość. Medycyna jak tato, cóż by innego? Konkurs świadectw to dla mnie żaden problem. Zdam maturę na

123

najlepszy stopień. Anna z porządną fryzurą i nie lakierowanymi paznokciami. Anna z podpatrzonym u babci fanatycznym zamiłowaniem do porządku. Rena zdejmowała sweter i ciskała go na łóżko.

- Jej pokój znowu wygląda jak chlew. Czy nie możesz przyuczyć tego dziecka do jakiegoś porządku, Vero?

- Co ty sobie myślałaś!? - zawołałam. - Ty masz ją na sumieniu, ty!

Ojciec skurczył się w sobie. Jiirgen dwoma krokami znalazł się przy moim fotelu, położył mi rękę na ramieniu. Zawołał o szklankę wody, sięgnął do kieszeni po nowy pocisk. Kiedy chciał mi wsunąć pigułkę w usta, odtrąciłam jego rękę na bok.

- Sam sobie zeżryj to swoje gówno!

Matka przyszła do pokoju ze szklanką wody, nagana była jednocześnie w jej oczach i głósie: -Vero! A ja krzyczałam dalej.

- To twoja wina!

To bolało, nie był to uchwytany ból, aleja się w tym spalałam.

- Dla ciebie ona zawsze była solą w oku, ponieważ miała odwagę ci się przeciwstawić. Ponieważ miała kręgosłup i nie dała ci się złamać. Chciałabym mieć tyle odwagi, co ona. Chcę odzyskać moje dziecko.

Jiirgen zaprowadził mnie na górę. Posiedział jeszcze chwilę na krawędzi łóżka, opowiadał wciąż te same dyrdymały.

- Nic się jej nie stało. Ona się odezwie, jak tylko skończą się jej pieniądze.

Tego się trzymał. Niedziela! Nie mam pojęcia, co było w niedzielę. Leżałam w łóżku. Anna przyniosła mi rano herbatę, a w południe talerz zupy. A w nocy z niedzieli na poniedziałek zadzwonił telefon.

Wyrwał mnie z dużego pokoju, gdzie pertraktowałam z ojcem na temat żądania okupu.

- Masz przecież jeszcze obligacje na okaziciela.
- Ani mi się śni ich sprzedawać! Vero, bądź rozsądna, coś takiego trzeba zostawić policji. Byłoby wielkim błędem jeszcze płacić tym zbrodniarzom.

124

- Ojczy, tu chodzi o życie Reny.

Zaśmiał się.

- U was zawsze chodzi o życie i śmierć. Gdyby twój mąż nie był taki skory do wydawania...

- Oddam ci, ojczy.

- Kiedy? I z czego? Po mojej śmierci? Z twojego spadku? Muszę cię rozczarować. To, co mógłbym ci zostawić w spadku, wsadziłem w ten dom. A parę groszy na czarną godzinę wolę zachować. Nie chciałbym pewnego dnia leżeć w kartonowym pudełku tylko dlatego, że nie ma pieniędzy na porządną trumnę.

I wtedy rozległ się ten dźwięk. We śnie czekałam na niego, może tylko dlatego od razu wróciłam do jawy. Ale nie byłam dostatecznie szybka. Jurgen miał już słuchawkę przy uchu, zanim zdążyłam się podnieść.

- Rena? Do jasnej cholery, Reno, co ty wyprawiasz?
- Dawaj - powiedziałam. - Daj mi pomówić.

Gwałtownie zamachał rękami.

- Bądź cicho, Vero.

A do słuchawki:

- Wystarczy, Reno, przestań się mazgaić. W tej chwili masz mi powiedzieć, gdzie jesteś. Przyjedziemy po ciebie.

Potem odjął słuchawkę od ucha i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Odłożyła - mruknął. - Ona po prostu odłożyła słuchawkę.

- Jesteś pewny, że to ona?

- A kto inny mógł to być?

Czy potem jeszcze spaliśmy? Ja nie! Ja przespałam dwa dni otumaniona pigułkami, czułam jeszcze mgłę w kościach i w mózgu. Myślenie przychodziło mi z trudem, ale nie było już niemożliwe, tylko w myślach panował zamęt. Strach, to zimne uczucie drętwoty w środku, jakby pełzanie naprzód w błocie. Jeszcze raz po polnej drodze. Przepływanie przez wodę na głównej ulicy. Wypchnięte włazy do kanałów, ziejące otwory, w których wirując znikająca woda. I młodzi strażacy. I Rena. Jeśli poszła przez wieś, to teraz może płynie gdzieś rurami.

5.

ajgorsze są pierwsze dni. Nagle w życiu pojawia się dziura. W mgnieniu oka wszystko się rozsypuje. Nie wystarczy ręk, żeby utrzymać wszystko razem. A jeśli się człowiek nie nauczył rozbijać czoła o krawężnik, to rozdrapuje sobie tylko duszę do krwi i dławi się krwawymi skorupami we-wnątrz. Są i później chwile, w których rozum odmawia posłuszeństwa, w których po prostu już nie dajemy rady. Ale na początku... Człowiek nie jest przygotowany. Ugodzony staje jak rażony gromem.

Ostatnie godziny nocy były kłębowiskiem obrazów, chaotycznych i niejasnych. Mógł to być wytwór fantazji pobudzanej lekkiem albo skutek działania tabletek. Nie wiedziałam, ile tych ciężkich pocisków władował we mnie Jurgen. Ale wiedziałam, że kiedy ta noc minie, będzie poniedziałek. Dzień, na który się nastawiłam, wyobrażając sobie, że tego dnia rano zobaczę ją jadącą na rowerze do szkoły. A jej nie było. To był szok - jak porażenie prądem - który mnie przebudził i pomógł mi wypocić to świństwo i wygnać czerwoną mgłę z mózgu.

Na krótko przed szóstą wstałam i zeszłam na dół. W domu było cicho, wszyscy jeszcze spali. Cuchnęłam potem, a włosy miałam przyklejone do głowy jak margarynę. W takich chwilach tęskni się za orzeźwiającym prysznicem. Ale nie miałam jeszcze tyle energii. Nie chciałam też budzić Jiirgena szumem wody, odłożyłam prysznic na później i skorzystałam z klozetu dla gości na parterze.

Gazeta tkwiła już w skrzynce zawieszanej na drzwiach domu. Normalnie przynosili ją później. Pewnie doręczyciel zaczął tego ranka swój obchód od nas, ponieważ w dziale lokalnym gazety był piękny, duży artykuł na nasz temat. Sięgnęłam nad gazetą i patrzyłam na zdjęcie Reny, po raz trzeci

126

czytając nagłówek wydrukowany tłustym drukiem „Zaginęła córka lekarza”, kiedy do kuchni wszedł Jiirgen.

Artykuł nie był zbyt treściwy. Kolor włosów, oczu, wiek, wzrost i opis ubrania. Małe zdjęcie obejścia Hennessena, a obok notatka: „Była ostatnio widziana, kiedy wychodziła ze stajni”. A ja przysięgłabym, że ona z niej nie wyszła! Nie żywa!

Zrobiłam kawy i przy pierwszej filiżance zastanawiałam się, jak mogłabym to udowodnić, gdyby policja dała się wywieść w pole. Przy drugiej filiżance spróbowałam się postawić w sytuacji Hennessena. Zwłoki, rower i plastikowa torba są załadowane do kombi, dokąd teraz? Gdzie pozbyć się tego wszystkiego? Gdzie nie znajdą zwłok tak szybko? Jak naprowadzić policję na fałszywy trop?

Jiirgen zabrał mi gazetę. Mieliśmy kwadrans dla siebie. Chciał go wykorzystać na uświadomienie mnie, że muszę przeprosić matkę za moją napaść.

- Ani mi się śni.

- Vero, nie bądź niesprawiedliwa. Nie możesz jej obwiniać.

To jest bez sensu. Tu nikt nie jest winien. Wiesz, jaka jest

Rena, kiedy coś sobie wbije do głowy. I słyszałaś, co powie-

działa twoja matka. Gdyby miała pojęcie, że Mattho będzie zabrany w czwartek...

- Nie zawracaj mi głowy tą szkapą - wpadłam mu w słowo.

- Nie mogę już tego dłużej słuchać. Jeśli jesteś zbyt tchórz-

liwy, żeby stawić czoła faktom, to chowaj sobie dalej głowę w piasek. Ale nie żądaj ode mnie, żeby mi robiła to samo.

On chciał sobie nalać kawy, miał już w jednej ręce dzbanek a w drugiej filiżankę. Odstawił dzbanek, nie napelniwszy filiżanki, spojrzał na mnie jak profesor na egzaminie.

- A jakim faktem ty stawiasz czoła, Vero? Że Hennessen ją zamordował? Bądź poważna.

Nie odpowiedziałam. On na nowo podniósł dzbanek, napelnił filiżankę, przyszedł do stołu, usiadł naprzeciw mnie i wydał z siebie udęczone westchnienie. Tak krnąbrnemu dziecku daje się w łagodny sposób do zrozumienia, że swoim uporem tylko szarpie nerwy otoczeniu. Jego ton jeszcze dołączył oliwy do ognia.

•> 127

- Vero! Proszę cię! Bądź rozsądna. Ona telefonowała tu kilka godzin temu.

Żył niezachwiane przeświadczenie, że to Rena była przy telefonie, przyznał tylko:

- No dobrze, nie odezwała się do mnie. Może źle się do tego zabrałem. Nie wolno mi było na nią krzyczeć. Ale ten płacz wytrącił mnie do reszty z równowagi. Następnym razem ty podejdziesz do telefonu. Z tobą na pewno będzie mówić.

- Ona już nie może ze mną mówić.

Nadał głosowi należyty nacisk.

- Vero, dosyć tego! Dlaczego nie chcesz zrozumieć, że Rena uciekła z własnej woli?

- Bo nie miała powodu.

- Ach, daj spokój - wyrócił oczy. - Nie widzisz powodu,

bo nie umiesz sobie wyobrazić, że można uciec za jakąś ska-
pą. To zastanów się, co ty byś zrobiła, gdybym ja zniknął z two-
jego życia.

- Pomachała ręką na pożegnanie - powiedziałam.

Zamarł w zaskoczeniu, cicho gwizdnął przez zęby.

- Bardzo dziękuję za szczerość. Masz jeszcze dużo takich
wyznań w zanadru?

Jeszcze jakiś tuzin, ale nie chciałam posuwać się do podło-
ści. On na to nie zasłużył po tej walce w błocie w piątek i póź-
niejszej orgii pigulek. Starał się, nie można było
zaprzeczyć. Nie było jego winą, że jego wysiłki nie były wystarczające.

Każdy człowiek dysponuje pewnym potencjałem. Ale ma zawsze tylko to, co dostał
na drogę. Co on mógł dostać od Gretchen? Swobodę kopania dziur w nasypie
kolejowym. A po Gretchen przyszli profesorowie z ich patentowanymi recepta-
mi. Jeśli Jiirgen czegoś się od nich nauczył, to tego, że każdy prywatny problem ma
jakieś rozwiązanie. Trzeba tylko uważ-
nie przeczytać załączoną ulotkę.

On był dobrym lekarzem. Był nim naprawdę. Dla swoich pacjentek miał czas,
nieskończoną cierpliwość i zawsze wła-
ściwe słowa. A jedyne recepty, jakie
wypisywał bez wahania,

128

były na środki antykoncepcyjne. Ale w domu... Kto przez cały dzień liczy śruby, ten
wieczorem nie chce już oglądać śrub. Takie to proste. Kto od rana do wieczora
słyszy: „Od paru dni tak źle się czuję” albo „Od tygodni nie mam żadnej energii”,
albo: „Te bóle głowy doprowadzają mnie do szału”, ten po faj-
rancie mówi: „Masz bóle głowy, Vero? Nie męcz się, weź pi-
gułkę”.

Tylko Renie nie chciał ich dać, kiedy cierpiała na ten okropny trądzik. Kiedy nie
mogła już patrzeć w lustro. Kiedy sobie wyciskała wągry do krwi, żeby im jakoś
zaradzić. Kiedyś aku-
rat weszłam, a ona obrabiała sobie czoło. Jej paznokcie
pozo-
stawiły już nabiegnięte krwią ślady na skórze. Po jej twarzy spływały łzy.

- To cholerstwo nie chce zejść.

- Nie powinnaś tego wyciskać. To tylko pogarsza stan za-

palny. Zostają bliźny. Dzisiaj wieczorem jeszcze raz porozmawiam z tatą. Jeśli diabeł mi nie przeszkodzi, uda mi się go przekonać.

Diabeł przeszkodził. Jiirgen powiedział „nie”.

- Vero, już raz ci powiedziałem, że to w ogóle nie wchodzi w rachubę.

- Dlaczego nie? Annie dałeś receptę.

- To co innego. Anna ma piętnaście lat, regularną miesięczkę i przyjaciela. Chciałabyś zostać babcią w wieku czterdziestu lat? Czy Anna ma zrujnować sobie przyszłość ciążą?

Nie rozumiał, że trądzik rujnuje terażniejszość Reny.

- Te parę pryszczki! Też miałem w jej wieku. To jej przejdzie.

- Czy dzisiaj wcześniej pojedziesz do gabinetu? - spytałam.

Kiwnął głową.

- Najpierw pojedę na policję. Musimy złożyć oficjalne doniesienie o zaginięciu, tak powiedział Klmkhammer. Potem zawiozę Annę do szkoły, zamienię kilka słów z jej dyrektorem. Potem jeszcze zdążę przyjąć tę wariatkę Kettlerową. Potem wiem jej, że przez swoją głupotę omal nie ściągnęła sobie na

129

głowę policji kryminalnej. To będzie dla niej nauczka na przyszłość.

- Skąd miała nasz prywatny numer?

- Przypuszczam, że od Jaśmin. Tej też się dostanie. Nie może tak być, żeby za każdym razem, kiedy któraś tam maru-
dzi, ona rozdawała nasz numer.

- Nigdy mi nie mówiłeś, że Kettlerowa ciebie wini za swo-
je poronienie.

Westchnął.

- A po co miałem cię obarczać jej głupią gadaniną? Zapo-
mnij o tym. Co z tobą, chcesz jechać ze mną, czy zostajesz?

- Czy Eva Kettler jeździ szarym mikrobusem?

Głęboko nabrał powietrza.

- Vero, proszę! Ona nie ma samochodu. Chcesz jechać ze
mną, czy zostajesz tutaj?

- Wolałabym tu zostać, jeśli dasz sobie radę sam.

- Nie martw się, Sandra może mi pomóc. Spytam, czy nie
zostawiłaby dziś po południu swojego małego na parę godzin
u sąsiadów. A jak nie, to jest jeszcze Jaśmin. Ja też wolę, że-
byś została tu, przy telefonie. A kiedy Rena znowu zatelefo-
nuje, zachowaj zimną krew. Nie rób jej wymówek. Powiedz
jej, że się martwimy, że nie jesteśmy na nią źli, że ją kochamy.
Sama wiesz.

Chwycił mnie za rękę.

- I obiecaj mi coś, Vero. Nie chodź znowu po okolicy jak
w piątek. Zostaw samochód w stodole i Hennessena w spo-
koju. Jeśli będziesz zdenerwowana i uznasz, że koniecznie
musisz coś zrobić, weź tabletkę. Opakowanie leży w jadalni.

Nie miałam takiego zamiaru, ale powiedziałam:

- Dobrze.

Kilka minut później weszła matka, a tuż za nią Anna. Matka z miną pozbawioną wyrazu zabrała się za nakrywanie stołu. Śniadanie w czwórkę! Ojciec się nie pokazał. Matka twierdziła, że on nie czuje się dobrze, ma bóle głowy i ucisk w pierśsiach, poza tym uskarża się na zawroty głowy i dziwne mrowienie w prawym ramieniu. Celowo ominęła mnie wzrokiem,

130

poprosiła Jiirgena, żeby zajrzał do ojca, zanim wybierze się do miasta.

- Czy Vera pojedzie z tobą do gabinetu?

Jiirgen pokręcił głową i poszedł na górę zmierzyć ojcu ciśnienie. Nie zaaplikował mu tabletki, zamiast tego zalecił leżenie w łóżku i kazał mi od czasu do czasu do niego zaglądać. Gdyby mrowienie w ramieniu nie ustąpiło w czasie najbliższej godziny, byłoby lepiej, gdybym go zawiozła do szpitala na gruntowne badania.

- Może tylko spał w niewłaściwej pozycji. Sam nie wiem.

Uważaj na niego, dobrze?

O wpół do ósmej Jiirgen i Anna wyszli z domu. Matka sprzątnęła ze stołu. Nie spiesząc się, w zwolnionym tempie sortowała naczynia do zmywarki. Odwróciła się przy tym do mnie plecami.

1 nagle spytała:

- Taka ma być twoja wdzięczność? Twój ojciec leży tam na gorze bliski zawału serca, a ty nie uważasz nawet za wskazane go przeprosić.

- Za co mam go przeproszać? Że zapytałam, dlaczego po nią nie pojechał? To już wiem. Matko, ja nie jego atakowałam, tylko ciebie.

Odwróciła się do mnie, skierowała palec na piersi.

- Mnie? Dlaczego mnie? Czy to ja miałam jechać do stajni?
- Dlaczego nie? Dawniej prowadziłaś ciężarówkę.

Pokręciła głową.

- Straciłaś rozum.
- Nie - powiedziałam. - Tylko dziecko. Czy ty masz pojęcie, co to za uczucie? Czy ty w ogóle masz jakieś uczucia?

Nie miała, wiedziałam o tym. Był taki czas, kiedy nie mogłam oglądać filmów, w których starsze kobiety brały swoje dorosłe córki w objęcia. Wybuchalam płaczem, kiedy to widziałam; chciałabym mieć matkę, która umiałaby pocieszyć, poradzić i pomóc. Która dałaby mi poczucie, że mam nad sobą kogoś jeszcze, kto wie, jak postąpić w trudnych sytuacjach.

131

Zacisnęła wargi. Wyszłam z kuchni i nie wiedziałam, co z sobą począć. Iść na górę do ojca? Jednak go przeprosić? Nie byłam w stanie, a i tak najpierw musiałam wziąć prysznic. Potem stanęłam przed lustrem w naszej łazience. A Rena mnie błagała.

- Tylko pół godziny, mamó, proszę, proszę, proszę.

O pół godziny za późno.

Proszę, wróć.

Proszę, nie bądź martwa.

Proszę, nie rób mi tego. Jak mam z tym żyć?

Widziałam siebie, jak leżę w sali porodowej. Jiirgen położył mi rękę na brzuchu. Była taka mała i wyczerpana przez trudy porodu. Nie krzyczała, jak Anna, tylko trochę kwękała i sapała, stękała, jęczała i wzdychała, jakby oddychanie i życie było udręką.

Pierwsze tygodnie z nią doprowadziły mnie na skraj załamania nerwowego. Piła za mało mleka, dużo wypluwała, nie przybierała na wadze i miała zapalenie spojówek. Z jej stopami było coś nie w porządku. Ma skłonność do stóp koślawych, powiedział pediatra, i zalecił mi masowanie jej małych nóżek. Nie lubiła tego, pewnie ją bolało.

Kiedy krzyczała, jej piersi zapadały się do środka. Jiirgen nazywał to skłonnością do piersi lejkowatej.

Mając trzy miesiące nie reagowała jeszcze na światło, ignorowała wszystkie kolorowe zabawki, które się jej podsuwało. Zaczęłam myśleć, że jest upośledzona umysłowo. I bałam się. Tak szaleńczo się bałam, że nie mogłam sobie z tym poradzić. Z Anną nie było problemów. Anna była niemowlęciem jak z obrazka, okrągłym i różowym. Ale Rena...

Dopiero po kilku minutach jej twarz znikła z lustra i zobaczyłam w nim znowu swoją własną. A potem zobaczyłam, jak błędnie Hennessen. Chciałam jeszcze raz z nim pomówić. Nie! Chciałam go przygwoździć widłami do ściany stajni, wśliznęłam się do kabiny prysznicowej i nawet nie zdążyłam nastawić temperatury wody. Kiedy wreszcie stałam na galerii, zawołał mnie ojciec. I nie udało mi się go też zignorować.

132

Był taki mały i stary, kiedy tak leżał w łóżku. Jedno spojrzenie na niego przywiodło mi słowa na język. A on wyjął mi je wszystkie z ust.

- Jak się czujesz, Vero? Nic nie mów, wiem, okropnie. Przykro mi. Tak nieskończenie mi przykro, Vero.

Nigdy nie widziałam, jak płacze. Mój silny ojciec, nasz patriarcha; wielbiciel Wagnera, który swoim nocnym muzycznym terrorem szykanował całą rodzinę, wycierał oczy, przycisnął chustkę pod nosem. Kiedy po chwili ją odjął i spojrzał na nią badawczo, zobaczyłam czerwoną plamę.

- Krew ci leci z nosa.

- To nic takiego.

- A jak tam z ramieniem?

- Tylko trochę zdrętwiałe. Nie myśl teraz o tym. Jiirgen znowu przesadza.

Z powrotem przycisnął chustkę pod nosem, sięgnął wolną ręką pod poduszkę, wyciągnął stamtąd czek i wcisnął mi w rękę.

- Wypisałem go już tydzień temu. Pomyślałem sobie, że

prędzej czy później i tak Jiirgen mnie zapyta, czy mogę go poratować. W banku przecież nic nie dostał, prawda?

Nie wiedziałam dokładnie. W czwartek Jiirgen nic nie powiedział, jaki obrót przyjęła jego rozmowa w banku. Poszedł tam zaciągnąć kredyt na remont budynków gospodarczych. Przedtem powiedział do mnie:

- Zaokrąglę sumę w górę, to będzie można za jednym zamachem załatwić sprawę z Bellą.

Potem nic już nie mówił. To był pewny znak, że dostał odmowę.

Ojciec uśmiechnął się blado.

- Tak też myślałem. A Hennessen nie jest z tych, co lubią długo czekać na zapłatę.

Czek był na pięć tysięcy marek.

- Ale teraz myślę - powiedział ojciec - że możesz te pieniądze wydać rozsądniej, niż na jakąś kobyłę. Zatrudnij kogoś, może policjanta na emeryturze. Nie jakiegoś pędziwiara,

133

tra, Vero, tylko kogoś godnego zaufania, kto nie musi prowadzić kilku spraw naraz. Ostatnie zdanie wyszeptał:

- Tylko nie mów nic matce. Niech ona dalej wierzy w to, co mówi policja.

On w to nie wierzył. Ale nie wierzył również w to, że Hennessen ma coś wspólnego ze zniknięciem Reny.

- Wprawdzie nikomu nie da się zajrzeć do głowy - powiedział - ale chyba mi przyznasz, że odrobinę znam się na ludziach. Często z nim rozmawiałem i widziałem, jak postępuje z młodymi. On jest dla nich jak kumpel, Vero. Dobry kolega.

On by im nie zrobił najmniejszej krzywdy.

- Ale ta sprawa z kasztanką jest dziwna - sprzeciwiłam się.

- Kto miałby interes w tym, żeby zarznąć to zwierzę? I dla-
czego przemilczał to przed Klinkhamnerem przy pierwszej
wizycie?

- Nie nazwałbym tego przemilczeniem. Hennessen mógł
być w szoku - powiedział ojciec. - Konie są dla niego jak
dzieci, a żrebna klacz jak kobieta w ciąży. Nie jestem psycho-
logiem, ale myślę, że on sam nie mógł jeszcze w to uwierzyć.
A więc nie mógł także o tym mówić. Zrób, jak ci mówię, Vero,
zatrudnij kogoś. I zostaw Hennessena w spokoju. On ma dość
problemów.

Siedziałam u niego ponad godzinę. Zastanawialiśmy się, jak mogło być. Rena
wychodzi ze stajni. Hennessen poradził jej iść drogą przez wieś. Taki ma zamiar.
Chce pójść do Udo. Ale przy bramie stoi szary mikrobus!

Ojciec nie wierzył także, aby mikrobus miał coś wspólnego z tym wszystkim.

- Porywacz dawno by się zgłosił po okup.

A więc Rena stoi przed zamkniętą bramą von Wirthów. Prze-
dziera się dalej pod
górną główną ulicą. Że nie widzieli jej strażacy, to nie musi mieć wielkiego
znaczenia, powiedział ojciec. Byli bez reszty zajęci wypompowywaniem wody z
piwnic kasy oszczędnościowo-pożyczkowej i nie mieli czasu na rozgląda-
nie się po
ulicy. A wiatr i deszcz zagłuszyły odgłos kroków.

134

Rena chce dostać się do domu, najszybciej, jak to możliwe. A w połowie drogi przez
wieś stoi gospoda Schwingera. W knajpach jest telefon. Ona wchodzi do środka,
pyta:

- Czy mogę zatelefonować do rodziców, żeby po mnie przy-

jechali?

A ktoś, kto stoi przy szynkwasio, interesuje się:

- A dokąd chcesz się dostać? Ja cię podwiozę.

Kiedy wyszłam z sypialni rodziców, matka stała w sieni. Wyglądała na zadowoloną. Poszłam jeszcze raz do łazienki, obmyłam ślady łez z twarzy i zastanawiałam się, gdzie znać godnego zaufania człowieka. Czek schowałam w moim nocnym stoliku, potem poszłam do pokoju Reny. To znaczy, chciałam tak zrobić, ale doszłam tylko do drzwi. Nie zdołałam wejść do pokoju, zeszłam na dół. Potem tam siedziałam.

Czekać! Mieć przed sobą dzień jak ocean. Przepływać go wpływ równa się utonięciu. W jadalni znajdowała się łódź wiosłowa. Nie chciałam wiosłować. Nie chciałam także dryfować. Zachować jasny umysł, dziurę w środku zapchać myślami. Ale nie myśleć wciąż o Renie.

Dwadzieścia po dziewiątej zadzwonił telefon. Jurgen - tylko sprawdzał, czy grzecznie przestrzegam reguł gry, i krótko spytał o samopoczucie ojca. Kwadrans później drugi telefon. Anna ze zwałającą z nóg nowiną: Klinkhammer lata po gimnazjum.

Matka chciała wiedzieć, czy odpowiada mi brukselka na obiad. Tyle jeszcze zostało z pieczeni niedzielnej, wczoraj przecież nikt tak naprawdę nie miał apetytu. Wystarczy tylko dać trochę świeżych warzyw. Wyszła do ogrodu, żeby je pozbiierać.

Kilka razy byłam bliska wskoczenia do wiosłowej łodzi. Fale za często zamykały się nad moją głową, a piątkowe pi-gułki nie były takie złe.

Czekać! Siedzenia w fotelu długo się nie zniesie. Ono podkreśla bezczynność, a wciąż ma się poczucie, że trzeba coś zrobić. A więc chodzi się po mieszkaniu. Od okna do okna. Do drzwi i z powrotem. Po schodach do góry i na dół. Jeszcze raz do sypialni rodziców, uchylić drzwi, z sercem na języku. Pode-

135

przyj mnie odrobinę, tato. Pofantazjujmy jeszcze trochę razem

0 kimś, kto stał przy szynkwasio w gospodzie Schwingera.

Ojciec spał. Zamknęłam drzwi i zeszłam na dół do sieni. Matka w kuchni obrywała zewnętrzne liście z pączków brukselki. Hipnotyzowałam telefon. Jego cienki czarny

przewód zmienił się w pepowinę. Zadzwońże wreszcie, cholerny gra-cie! Jeśli Jiirgen miał rację, jeśli to była Rena w piątek rano

1 w nocy... Niech usłyszę jej głos. Niechby to nawet był głos

Jiirgena. Albo Anny. Tylko jakiś głos. Głos człowieka, z któ-

rym mogę rozmawiać. Z matką nigdy nie umiałam rozmawiać.

Stale mówiłyśmy do siebie, ale nie rozmawiałyśmy ze sobą. Mówiłyśmy o jadłospisie na następny tydzień, o środkach czyszczących do wykładzin, o tym, że rzeźnik we wsi żąda horrendalnych cen. Że tańsze i całkiem nieszkodliwe dla zdro-wia jest kupowanie większych ilości mięsa w supermarkecie i zamrażanie ich na zapas, ponieważ supermarket wywiesił nad stoiskiem mięsnym ogromny plakat z napisem: „Nasza woł-wina jest niemieckiego pochodzenia - gwarantujemy!”. Od-kąd mi powiedziała, że mój ojciec był nazistą, bałam się mó-wić z nią o czymkolwiek sięgającym głębiej. Odtąd porusza-łyśmy się już tylko na powierzchni.

Czekać! Do jedenastej! I oto przybył Klinkhammer, sam, poważny, z niezmiennie za długimi włosami, które musiał stale odgarniać z czoła.

W pierwszych minutach czułam ulgę, że go widzę. To było prawie tak, jak dawniej, kiedy miałam sześć czy siedem lat. Kiedy miałam jeszcze bohatera, który był nieskazitelny, duży i silny, surowy i sprawiedliwy. Kiedy ojciec późnym popołu-dniem wracał z sądu; troszkę bicia serca przed pierwszymi pytaniami. Czy praca domowa porządnie odrobiona? Pokaż mi swoje zeszyty. Pełne uznania kiwanie głową, potem mo-głam iść z nim do dużego pokoju.

- Chcesz posłuchać ze mną muzyki?

Nie lubiłam jego muzyki, ale jego ubóstwiałam. Przy nim czułam się bezpieczna i dorosła. Ojciec był poważnym czło-

136

wiekiem i brał mnie na serio. Najpierw Klinkhammer wzbu-dził we mnie poczucie, że traktuje mnie tak samo poważnie, jak ojciec wtedy.

Zadał kilka pytań, pokiwał z namysłem głową nad odpo-wiedziami, przejeżdżał wciąż od nowa obu rękami przez swo-ją grzywę, i zakomunikował mi, że mogę odebrać rower Reny i gdzie się zgłosić. Potem nagle założył długie kosmyki za uszy i powiedział tym samym tonem:

- Ustaliliśmy, kto jest właścicielem mikrobusu. Nazywa się Walter Menke. Czy to nazwisko coś pani mówi?

Pokręciłam głową. Uśmiechnął się.

- A Andre Menke?

To też nic mi nie mówiło. Ale moje serce zaczęło walić jak młotem, mój mózg pulsował również. A więc jednak mikro-bus! Dwóch mężczyzn! Nie mogli sobie pozwolić na robienie zamieszania z powodu paru zadrapań na lakierze. Musieli się jak najszybciej pozbyć weterynarza. On był dla nich niewygodnym świadkiem.

Klinkhammer uśmiechnął się szerzej. Wydawało mi się, że w jego uśmiechu jest jakby uwaga i współczucie. Ale to było coś całkiem innego.

- A może Henrik Emmersen, Uwe Lengries, Janet Abel, Stefanie Burk i Wiltrud Heister?

Ten gnój! Nie miałam głowy do ostrych jak nóż wniosków i on się tym delectował. Kiedy znowu pokręciłam głową, chciał się pożegnać.

- Na razie to wszystko.

- Chwileczkę - powiedziałam. - A co z tym mikrobusem?

Kim są Walter i Andre Menke? I co mają z tym wspólnego tamci pozostali?

Wzruszył ramionami.

- W tej chwili sam jeszcze niewiele mogę powiedzieć. Mikrobus jest zarejestrowany na Waltera Menke, a jego syn czasami z niego korzysta. Teraz wiemy tylko tyle, że Andre Menke wyjechał tym mikrobusem. Nie ma go od czwartku.

137

- Z Reną?

- Na to wygląda.

Gdybym już tego nie przeczuwała, to najpóźniej w tej chwili rzuciłoby mi się to w oczy. Odsłonięte uszy Klinkhammera były sygnałem ostrzegawczym. One demaskowały tego poli-cjanta. Jego uśmiech był wyniosły i zimny, jego głos także.

- W końcu czekał na nią przy ujeżdżalni. Ale nie potrzebuje się pani martwić, pani Zardiss. Andre Menke jest dobrym przyjacielem pani córki. Jeśli nawet to nazwisko nic pani nie mówi, pani go zna. Co prawda, to nie znaczy, że pani go lubi. Bo on jest także dobrym przyjacielem Nity Kolter. A ona przecież nie jest pani w smak.

Potem poszedł i zostawił mnie jak głupie dziecko. Tak się też czułam. Andre Menke, jeden z bandy Nity Kolter. Ledwo drzwi zamknęły się za Klinkhammerem, a już biegłam przez sień.

Matka wołała za mną:

- Vero, dokąd? Jiirgen powiedział, że masz zostać przy telefonie. A jak ktoś zadzwoni?

- To po prostu podnieś słuchawkę! - zawołałam, biegnąc przez podwórko. Klinkhammer wyjeżdżał z bramy i przyspieszał. Nie wiem, czy matka jeszcze słyszała, jak wołam. To zresztą nieważne. Niech nie podnosi, jak nie chce.

Matka bała się telefonu. Nigdy nie podchodziła odebrać. Odebrała tylko jeden jedyny raz. Trzydzieści siedem lat temu. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Miałam pięć lat i założyli nam telefon. W tamtych czasach to było jeszcze coś szczególnego. Niewielu ludzi stać było na taki luksus. Kto miał telefon, zaliczał się do uprzywilejowanych. Ale było się też narażonym na naruszanie prywatności. Ojciec długo się wzbierał, a matka go błagała. Wreszcie ojciec ustąpił.

Tygodniami nie mówiono o niczym innym. Matka rozsyłała pocztówki z naszym numerem, podając termin, od którego można było do nas dzwonić. Wreszcie podłączono niezgrabny czarny aparat. Bawiłam się w sąsiednim domu u koleżanki, matka zabrała mnie do domu, żebym niczego nie przegapi-

ła. Kiedy weszliśmy, technik jeszcze klęczał w przedpokoju. Sprawdzał połączenie. Wszystko było w porządku, pożegnał się. Matka na próbę podniosła słuchawkę, posłuchała sygnału, i z radością czekała na pierwszy dzwonek. Była pewna, że ojciec będzie pierwszym, który zatelefonuje. I kiedy o czwar-tej nareszcie rozległ się dzwonek, rzuciła się do aparatu, poderwała słuchawkę do ucha i wyrzuciła z siebie:

- Dolf, to cudowne, on działa.

Potem ucichła i zbladła.

Telefonowała znajoma jej matki. Kobieta była zaproszona na kawę po południu i zastała zamknięte drzwi. Nikt nie otwo-rzył na jej pukanie. W oknach zasunięte były ciężkie zasłony. Ale okno sypialni na pierwszym piętrze nie było zamknięte. Kobieta pożyczyla od sąsiadów drabinę i weszła do środka.

Znalazła moich dziadków w łóżku. Dziadek umarł poprzed-niego dnia na zawał serca, kiedy dokładnie, nie można już było ustalić. Z moją babcią było inaczej. Zanotowała godzi-nę. „Jest teraz ósma wieczorem. Muszę odejść”. Ostatnie zda-nie z pożegnalnego listu.

Droga Leno,

po wszystkich tych latach, które przeżyłam z twoim ojcem, nie mogę go zostawić samego w jego ostatniej drodze.

Otworzyła sobie żyły. Wiem o tym od ojca. Matka nigdy o tym nie mówiła. Potem także nigdy więcej nie opowiadała o swoim dzieciństwie. I nigdy nie dotknęła słuchawki telefo-nu. Kiedy zakładaliśmy gniazdka w domu, główne w sieni, a dodatkowe w sypialniach, broniła się przed tym desperacko.

- Coś takiego nie stanie przy moim łóżku. Nie potrzebuję telefonu.

Daleko na polu ujrzałam kilka traktorów. Zajmowały się tylko swoją zwykłą robotą. Wsiadłam do mojego samochodu, kluczyk tkwił w stacyjce. Ruszyłam. Do szosy. A potem na lewo.

Klinkhamrner popełnił błąd w rozumowaniu. Gdyby Rena umówiła się z jednym z chłopców z bandy Nity Kolter, żeby przyjechał po nią do Hennessena, to na szóstą albo siódmą.

Nikt nie mógł przewidzieć, że Mattho kopnie żrebną kasztankę w brzuch.

A gdyby Rena wiedziała, że o szóstej albo siódmej będzie czekał szary mikrobus, to raczej nie siedziałaby tak długo z ranną kobyłą. Albo nie: to żaden z tych żuli nie czekałby trzech czy czterech godzin pod bramą. A gdyby, to spytałby weterynarza, czy Rena niedługo wyjdzie.

W wyobraźni widziałam ich, jak stoją pod drzwiami, a jeden odchodzi do swojego samochodu. I chodziły mi po głowie słowa ojca. Gospoda Schwingera! Do tej pory wiadomość o zniknięciu Reny musiała się roznieść po wsi, także wśród tych, którzy nie dostawali codziennej gazety. Na takim zadupiu wieści się rozchodzą jak przez tam-tamy w dżungli. A gospoda Schwingera jest centralnym tam-tamem. Kiedy gdzieś zakaszle pchła, w gospodzie Schwingera już o tym wiedzą. Kiedy ktoś kopnie psa sąsiada, to w gospodzie Schwingera będą o tym gadać całymi tygodniami.

To tam Jiirgen dowiedział się przed laty, że tylko stary Reu-ther mógł być jego ojcem. Tam jedni drugim szeptali też na ucho, że stary Reuther trochę dopomógł umrzeć siostrze Jiirge-na. Tak długo wkładał kota do dzieciennego wózka, aż wreszcie kot zrozumiał, w czym rzecz, i położył się na twarzy niemowlęcia.

Nie chciałam rozpuszczać plotek ani podnosić niestworzonych zarzutów przeciw Hennessenowi, tylko zadać kilka pytań. Ktoś przy szynkwasio! To musiał być ktoś nie ze wsi. Obok drzwi wejściowych do gospody wisiała tabliczka „Po-koje gościnne”. Od Jurgena wiedziałam, że oberżysta stał za szynkwasem od południa. Mówiono, że jest mrukliwy i mało-mówny, od niego pewnie niewiele bym się dowiedziała. Przed południem przy piwnym zdroju urzędowała jego żona. Także matka!

Nigdy nie byłam gościem w jej domu. Ale kiedy weszłam, od razu wiedziała, kim jestem. Lokalny dodatek gazety leżał rozłożony przed nią na szynkwasio. Nie spytała, czy się czegoś napiję. Bez słowa postawiła przede mną filiżankę i naląła

kawy z wielkiego termosu. Potem podsunęła mi talerz z kostkami cukru i pojemnikami ze śmietanką. I kiedy wrzuciłam dwa kawałki cukru do filiżanki, naląła mi koniaku. Przy tym spytała:

- Jeszcze nic?

Po chwili wiedziałam już, że Rena w czwartek wieczorem nie pojawiła się w szynku. Nie mogła się tam pojawić, bo lokal w czwartki był zamknięty. Dzień wolny! Nie było potrzeby niczego wyjaśniać ani zadawać pytań. Wypiłam kawę i ko-niak. Nie miałam przy sobie torebki, dokumentów, ani gro-sza. Nie wiedziałam, jak ta kobieta się nazywa. Schwinger to była nazwa lokalu. Nie chciałam pytać o jej nazwisko.

Po co potrzebne są nazwiska, kiedy człowiek jest sam? Ja byłam sama, mimo słów ojca i czeku. Ojca nie było w stajni w czwartek wieczorem o wpół do jedenastej. Gdyby był ze mną albo na moim miejscu, poszedłby do ostatniego boksu. Natychmiast! Nie dopiero następnego dnia.

Nigdy przedtem tak się nie czułam: uwięziona z okropnym podejrzeniem, że ona leżała tam w głębi, kiedy ja ją wołałam od wrót; odcięta od nadziei na Hamburg albo jakąś inną miej-scowość. Jej rower stał przy dworcu. Jak się tam znalazł, jeśli Andre Menke ją zabrał?

Widziałam kiedyś film science fiction, to było dawno temu. Wynalazek wehikułu czasu! Nie można było nim podróżo-wać, tylko patrzeć - i to tylko w przeszłość. To urządzenie, nic więcej niż czarna skrzynka, w filmie zostało przeniesione w miejsce, w którym dokonało się jakieś niewyjaśnione zda-rzenie albo zbrodnia. Wynalazca włączył je, skierował obiek-tyw na niebo. I z gwiazd ściągał obrazy przeszłości. Coś ta-kiego byłoby mi właśnie teraz potrzebne.

— Gretchen była tu wczoraj - powiedziała kobieta. - Ale my w ostatnim tygodniu nie mieliśmy gości. Czternaście dni temu było tu dwóch takich, przez jedną noc. Ale oni nie cho-dzili po wsi, tylko chcieli duży pokój. Coś takiego się zdarza. Dałam im. Czemu by nie?

141

Kiwnęłam głową. Czemu by nie?!

- Ten Anglik też raz tu nocował - powiedziała. - Ale w ostat-nim tygodniu nie było nikogo. - Pokręciła głową. - Trudno też, żeby jakiś obcy złapał dziewczynę, która przypadkiem akurat przechodziła. W takie głupoty nigdy nie uwierzę. Gret-

chen powiedziała, że ona właściwie też w to nie wierzy, ale co szkodzi zapytać. Gretchen myśli, że to był ktoś, kogo ona знаła. Trzeba by rozpytać, kto przy takiej pogodzie i o tak późnej porze był jeszcze na drodze.

Tylko jedna ciężarówka, czerwony kadet, weterynarz, szary mikrobus, straż pożarna i ja!

Kobieta kiwała w zamyśleniu głową.

- No, chyba nie tylko. Tej nocy musiało dziać się mnóstwo rzeczy. Powinna pani porozmawiać z Fredem Konigów. Zna go pani przecież.

Pokręciłam głową.

- Naturalnie, że pani go zna - pouczyła mnie. - To nasz komendant straży pożarnej. On powiedział, że jeśli dziewczyna wyszła od Hennessena, to jeszcze przed kasą oszczędnościowo-pożyczkową musiała wsiąść do jakiegoś samochodu. Inaczej tego wyjaśnić się nie da. A kręciło się dość idiotów, powiedział Fred. Jego ludzie przez całą noc prowadzili akcję. Jakby nie mieli dość roboty z wodą, musieli jeszcze wycinać z samochodu dwóch takich młodych chłopaków. Nawinęli się na drzewo. Mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie skończyła Annegret.

Pokiwała ciężko głową.

- To niebezpieczny zakręt, tam na górze. Słyszałam, że Udo podobno też miał ciężki wypadek. Ale nie tutaj. On miał szczęście. Nic mu się nie stało. Nie do pomyślenia, co by było, gdyby i on skreślił kark. Von Wirthowie pewnie obawiali się

czegoś takiego. Fred dwa razy widział starego w samochodzie, musiał szukać Udo, raz o dwunastej i potem znowu o czwartej.

Z długim westchnieniem dodała: t

- To był czarny dzień dla Wirthów.

142

Tak to powiedziała, jakby dla nas był to różowy dzień. Ale potem uśmiechnęła się zakłopotana.

- No, dla pani przecież także.

Podniosła butelkę z koniakiem i chciała jeszcze raz napełnić mój kieliszek. Zrobiłam odmowny gest.

- Raczej jeszcze kawy? - spytała. Kiwnęłam głową i miałam w niej tylko jedno słowo: Jeśli!

- A jeśli nie wyszła od Hennessena? - spytałam. - Czy to do niego podobne?

Czułam się zimna, jakbym tylko stała obok i przyglądała się wszystkiemu. „Gretchen myśli”, powiedziała! W takim razie Rena także u Gretchen nie mogła mówić o planach ucieczki. Widziałam ją, jak gdzieś leży, widziałam jasno i wyraźnie. Tam, gdzie leżała, było ciemno i ciasno, zimno i wilgotno. Zakopana w błocie. A gdziekolwiek on kopał w nocy, deszcz zatarł wszystkie ślady.

Kobieta wytrzeszczyła na mnie oczy. Myślałam, że mi nie odpowie. Hennessen był jednym z tutejszych, urodził się i wychował na wsi. Przy nim ja byłam nikim. Przez chwilę miała minę, jakby zasnęła. Potem pokręciła głową.

- Nikt go tam przecież nie posądza, ale zrobiło mi się trochę nieswojo, kiedy Fred powiedział: „Jeśli wyszła stamtąd”.

A Scherer mówił do Freda, że Hennes był jakiś dziwny tej nocy, kiedy przyszedł do Friedla. Był nerwowy, dużo gadał,

jak ktoś, kto koniecznie musi coś wyrzucić z siebie, chlał też więcej niż zwykle. Scherer miał też powiedzieć: „Ja na twoim miejscu poszedłbym od razu z tymi ludźmi. Dziewczyna jest przecież ważniejsza od konia. Prawie można by pomyśleć, że on wiedział, że nie opłaca się szukać”. Może porozmawia pani z Schererem albo Fredem.

Krew pulsowała mi w gardle i czubkach palców.

- Czy może pani zapisać na mój rachunek kawę i brandy?

Machnęła odmownie ręką.

Pojeździłam jeszcze trochę po wsi. W dół do knajpy Frie-dla. Była zamknięta i na moje pukanie nikt nie otworzył. Nie wiedziałam, gdzie mieszka Fred Kónig. Domu Scherera mu-

143

siałam szukać, także tam nie zastałam nikogo. A na podwórzu Hennessena stał samochód Klinkhammera.

Trzy razy mijałam dom Gretchen. I trzy razy nie byłam w stanie nacisnąć hamulca. Nie chodziło o to, że nie lubiłam Gretchen i czułam odrazę do jej trybu życia. Tylko, że... Nie ignoruje się kogoś przez dwadzieścia lat, żeby nagle stanąć przed jego drzwiami i prosić: „Pomóż mi!”.

Pomóż mi! Ty znasz każdy kamień w tej dziurze i każdą głupią myśl. Ty wiesz dokładnie, kto tu się z kim migdali, kto pijany siada za kierownicą, kto truje koty, a kto roznosi plotki. Powiedz mi, co z Hennessenem. Dlaczego Jurgen jest przekonany, że to nie mógł być on? Dlaczego i mój ojciec nie wie-rzy, żeby mógł zrobić coś złego? On ma pięćdziesiąt cztery lata, a do jego gospodarstwa należy mnóstwo ziemi. Ale go-spodarstwo prowadzi mu siostra. Dlaczego nie jest żonaty? Co z nim jest nie tak? Pomóż mi!

Umie się tak zrobić dopiero wtedy, kiedy się dotrze do sa-mego końca.

Kiedy wróciłam do domu, było wpół do drugiej. Anna stała przy kuchni i smażyła jajka. Odwróciła się do mnie plecami. Jurgen siedział przy stole nad talerzem z

kromkami chleba. Napadł na mnie:

- Wielkie nieba, Vero, gdzie ty się włóczysz?! Czy ci nie powiedziałem, że masz siedzieć na tyłku w domu?

Na płycie zlewozmywaka stała miska z brukselką, przy niej leżał stos łupin od kartofli i nóż do obierania, a z boku stał do połowy wypełniony kartoflami garnek.

- Gdzie matka?

- W szpitalu - prychnął Jurgen.

Ojciec dostał udaru mózgu. Jak oceniał Jurgen, nie był to pierwszy udar. Pierwszy mógł nastąpić już w nocy; był lekki, bez katastrofalnych skutków, spowodował tylko bóle i zawroty głowy i pozostawił po sobie uczucie zdrętwienia w ramieniu. Ale potem przyszedł drugi.

Gdyby nie to, że Anna wróciła wcześniej do domu - wyszła ze szkoły po trzeciej lekcji i przyjechała zwykłym auto-

1.44

busem - ojciec mógł już nie żyć. Matka nie podeszła do tele-fonu, nawet żeby wezwać pogotowie. Jak się zdaje, ojciec sam próbował to zrobić, zanim upadł.

Kiedy Anna weszła do sieni, leżał na podłodze. Matka klęczała obok niego i lamentowała:

- Dolf, powiedz coś. Co mam zrobić, Dolf? Powiedz mi, co mam robić.

A słuchawka telefonu bujała się na sznurze.

Anna zajęła się wszystkim, dała też znać Jiirgenowi. Nie zdążył dojechać na czas do domu. Kiedy wjechał na podwórze, karetki pogotowia już nie było.

Anna wyglądała na zapłakaną, a Jiirgen... Jak on siedział przy tym stole, emanując słusznym gniewem; chyba go nie-nawidziałam. Bo nagle musiałam pomyśleć: Ty i te twoje idio-tyczne pomysły! Gospodarstwo i życie na wsi. Spokój, radość, omlet. Śmiechu warte. A chodziło tylko o jedno! Chciałeś być panem tam, gdzie dawniej nie byłeś nawet sługą. Tylko ba-chorem Gretchen, solą w oku starego Reuthera.

Gdybyśmy zostali w mieście, nie doszłoby do tego wszystkiego. Może Rena jeszcze

przez jakiś czas włóczyłaby się z Ni-tą Kolter i jej szajką. Fryzura zebry i lakierowane na czarno paznokcie. To by jej przeszło, jestem pewna. Już ja bym nad tym jakoś zapanowała. Albo sama z siebie poznałaby się na tym, że za niewyparzoną gębą Nity kryje się tylko zagubienie. Kiedyś by to pojęła, także i bez koni.

Nie chciałam tu się przenosić. Obawiałam się, że twoja matka będzie się nam naprzykrzać. Że w niedzielę bez uprzedzenia przyjdzie na kawę, z aktualnym podopiecznym na holu. Bałam się też zamieszkiwania pod jednym dachem z moją matką. Wiedziałam, że nic z tego nie wyjdzie, że nie wolno mi powierzyć moich dzieci kamieniowi. Wyśmiewałeś mnie.

- Oto właśnie, gdzie jest pies pogrzebany, Vero. Twoje dzieci! Nie czarujmy się. Anna jest w porządku i świetnie się dogaduje z twoją matką, jest pilna i ambitna, znajdzie swoją drogę. Ale jaką drogą pójdzie Rena, to jedna wielka niewia-

145

doma. Od miesiący nie słyszę od ciebie niczego innego, jak tylko, że nie wiesz już, jak z nią postępować. Mam dość tego biadolonia i myślę sobie, że może twoja matka wie. W każdym razie nie zaszkodzi, jeśli Rena przekona się, że może być inaczej traktowana. Założę się o wszystko, że po czternastu dniach nasza młodsza znowu będzie naturalną blondynką.

Anna przyszła z patelnią do stołu, wyłowiła trzy jajka z jezióra masła i położyła je Jiirgenowi na chlebie, rozpryskując przy tym tłuszcz na obrusie i grzbiecie jego dłoni.

- Au - powiedział, mimo woli podniósł rękę do ust, z oczami zwróconymi do mnie. - Czy zechciałabyś mi łaskawie wyjaśnić, co tu się działo! Dlaczego snujesz się po okolicy i co tak zdenerwowało ojca!

- Tobie też zrobić kilka jajek? - spytała Anna. Pokręciłam głową.

- Czekam, Vero. Czy Klinkhammer tu był? Anna powiedziała, że dzisiaj rano był w szkole.

- Nity nie było w szkole - powiedziała Anna. - W piątek też nie, wiem od Armina.

Jurgen niechętnym gestem kazał jej zamilknąć.

- Vero, dlaczego nie odpowiadasz? Co się stało, do diabła? Czego chciał Klinkhammer?

- On długo rozmawiał z Arminem - powiedziała Anna. - Pytałam Armina, czego Klinkhammer jeszcze chciał od niego. Armin powiedział...

- Do jasnej cholery, Anno! - ryknął Jurgen. - Nie interesuje mnie, co powiedział Armin. Chcę się dowiedzieć od twojej matki, co powiedział Klinkhammer i gdzie się włóczyła! - Spojrzał na mnie. - Byłaś znowu u Hennesena?

-Nie.

- No to gdzie?

Nie byłam przyzwyczajona do wrzasków i odpowiedziałam automatycznie:

- W gospodzie Schwingera.

Jurgen aż do przesady akcentował każde słowo:

- Gdzie byłaś? - Potem znowu zaczął wrzeszczeć: - Czyś ty postradała rozum? Skąd ci przyszło do głowy, żeby iść aku-

146

rat do Zieglerowej? Czy rozmawiałaś z nią o Hennesenie? No pewnie, że tak! To już się stało u ciebie jakąś obsesją! Nie panował nad sobą. Jego głos się załamywał.

- Czy ty go chcesz wykończyć? To uważaj, żeby ci nie odpłacił pięknym za nadobne. Rób tak dalej, a możesz się dobrać do oskarżenia o porwarz albo dręczenie zwierząt.

Złapał się za głowę.

- Akurat do Zieglerowej! Dla niej to istna gratka. Ona była zaręczona z Hennessenem, a on jej dał kopniaka. To było trzydzieści lat temu, ale do tej pory mu tego nie darowała. Coś ty jej naopowiadała?

-Nic! Powiedziała, że komendant straży mówił, że Scherer powiedział... - Zdałam sobie sprawę, jak to musiało brzmieć, i urwałam.

Anna stała jak słup soli. Odstawiła patelnię z powrotem na gorącą płytkę grzejną. Roztopione masło zaczęło dymić. Jiirgen wyrznął pięścią w stół.

- Ciebie to by trzeba uwiązać! Ale tego się właśnie spodziewałem, niczego innego. Odrobina stresu, a tobie już odbija. Gdybyś tu była, to ojciec...

Co komu po bezsilności? Wzięłam zamach i walnęłam Jurgena w twarz.

- To za tę odrobinę stresu - powiedziałam i poprawiłam z drugiej strony. - A to za piątek.

Jiirgen wytrzeszczył na mnie oczy. Anna tupnęła nogą i zapiszcziała:

- Przestańcie! Czy wyście wszyscy powariowali? Czy ktoś wreszcie mnie posłucha? Nity też nie ma, znikła razem z Andre Menkem. To był mikrobus Menkego.

Jurgen zacisnął oczy.

- Powtórz to - zażądał.

Anna pokręciła głową i wypadła do sieni, wbiegła po schodach na górę. Na piętrze trzasnęły drzwi. Jurgen prychnął:

- Nita! Mogłem się tego spodziewać, kiedy oni tu się pojawili, że to przeklęte ścierwo nie zostawi nas w spokoju.

Potem zabrał się za jajka.

Zdjęłam patelnię z gorącej kuchenki, otworzyłam okno, żeby wypuścić dym, i poszłam za Anną. Kiedy weszłam, leżała na łóżku. Z ramionami podłożonymi pod głowę wpatrywała się w sufit.

- Myślisz, że powinnam jej więcej pomagać? - nie spojrzała na mnie, miała oczy zwrócone ku górze.

- Przecież zawsze jej pomagałaś.

- To nieprawda, mamó, i ty o tym wiesz. Zawsze się wykręcałam maturą. A w czwartek - byłam umówiona z Patrickiem i nie miałam ochoty znowu godzinami słuchać o tych jej szkapach. Działała mi na nerwy z tym swoim Mattho. A teraz jej nie ma.

Jej głos był jak cienkie szkło. Uniosła się i oparła na łokciu.

- Ona była taka smutna w autobusie. Myślałam, że to z powodu tej głupiej klasówki z matmy. Mogłabym to jej wytłumaczyć w paru słowach, na pewno by zrozumiała, to było łatwe. Ale ja jej powiedziałam, że gdyby o połowę mniej czasu traciła na te swoje szkapy, to nie miałyby tych problemów.

- Nie potrzebujesz akurat ty robić sobie wyrzutów.

Szkło pękło.

- Ale robię. Ona mnie spytała, czyjej pomogę. Kiedy powiedziałam, że Patrick po mnie przyjedzie, odrzekła, że mogłabym jej to przecież szybko wyjaśnić na przerwie. Obiecałam jej. Ale potem przyszedł doktor Langfelder z fachowym czasopismem. Był w nim ciekawy artykuł o ewolucji. Chciałam go sobie odbić. Byłam w bibliotece. Wcale nie wyszłam

na zewnątrz. Nie widziałam, że ona jest z Nitą. I Menkem.

Armin powiedział, że Menke zaparkował mikrobus na ulicy.

Nita i Rena przez całą przerwę z nim stały.

- To nie takie ważne.

Anna gwałtownie pokręciła głową.

- Ważne, mamó, nie rozumiesz? Ta wykolejona kanalia ją namówiła, żeby pojechała z nimi. Nita od tygodni trąbiła, że ma wszystkiego dość i że chce dać drapaką. Wyobraź sobie, jak czuła się Rena. Ona była całkiem sama. Myją zostawili-

148

śmy w potrzebie. Ona wiedziała, że ja jej nie słucham, kiedy mi opowiadała, że zabierają Mattho. Gdybym z nią się uczyła tego popołudnia, to może by wcale nie pojechała do stajni. Albo Patrick i ja byśmy ją tam zawieźli i odebrali z powrotem. Wtedy dziadek nie musiałby robić sobie takich wyrzutów. To wszystko wcale by się nie stało. Jeśli dziadek umrze, to ja tego nie zniosę.

Anna przekręciła się na brzuch, odwróciła do mnie plecami, wtuliła twarz w poduszkę i płakała.

- On nie umrze.

Gwałtownie kiwnęła głową, jej głos był przytłumiony.

- Umrze. Ty go nie widziałaś, mamó. Krew mu ciekła z nosa i uszu. Twarz miał siną. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałam. Chciał mi coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć słowa. A babcia była całkiem nieprzytomna. To wszystko tylko moja wina.

Chciałam ją pocieszyć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. A usiąść na jej łóżku, bez słów wziąć ją w ramiona... Jej dezodorant kręcił mnie w nosie, ten miły, kwiatowy zapach, który rozsiewała od rana do wieczora, zawsze czysta i świeża. A

Rena cuchnęła końmi, stajnią. Kiedy ostatni raz brałam Renę w ramiona?

- Który z nich to Menke? - spytałam.
- Ten wysoki - powiedziała Anna z twarzą przyciśniętą do poduszki. - Pamiętasz jeszcze tamtego, co wysypał mój słodzik? To właśnie Menke. On jest hersztem w bandzie Nity.

Kiedy znowu zesłam na dół, Jiirgen telefonował do szpitala. Z ojcem nie było dobrze. Aktualnie jeszcze nikt nie umiał niczego powiedzieć. Jurgen wychodził z siebie.

- Zdajesz sobie sprawę, co się stanie, jeśli on umrze?

Oczywiście, że zdawałam sobie sprawę. Będziemy musieli zrezygnować z gospodarstwa.

- Przecież ci mówiłem, że masz mieć na niego oko i w razie potrzeby zawieźć go do szpitala. Obudził się z bólem głowy, i miał o wiele za wysokie ciśnienie.

- O ciśnieniu nie powiedziałeś ani słowa.

149

Machnął ręką i wyliczył:

- Zawroty głowy, brak czucia w prawym ramieniu i krwotok z nosa. Czego jeszcze było ci potrzeba? Przecież rozum musiał ci podpowiedzieć, na co wskazują takie objawy. Co ty właściwie studiowałaś?

Zostawiłam go, poszłam do kuchni, spłukałam patelnię, wytarłam rozpryskany tłuszcz z kuchenki, usłyszałam silnik samochodu i zobaczyłam, jak na podwórze wjeżdża Klinkhammer.

Tym razem przyjechali we dwóch. Olgert miał przy sobie plastikową torbę, dzienniki Reny. Poszliśmy do pokoju, on położył torbę na stole i usiadł. Klinkhammer stał.

O ile jeszcze przed południem zadawał sobie trud, żeby udawać uprzejmość i współczucie albo przynajmniej nadać swemu głosowi brzmienie neutralne, to teraz nie krył już swojej wściekłości. Z jego punktu widzenia mogła być i uzasadniona.

Czuł się oszukany. Okłamaliśmy go, żeby nazwać rzecz po imieniu. Czy nie pytał nas o przyjaciół Reny? I jakich wymieniliśmy? Kilkoro miłych, dobrze wychowanych dzieciaków! Ani słówka, że byli nie tylko tacy. Jeśli nawet znaliśmy tylko Nitę Kolter, to powinniśmy byli wspomnieć o tamtej żulii. Rena wybrała się w podróż z Andrem Menke i Nitą Kolter. Dla Klinkhammera było to pewne.

Mówił kilka minut o Józefinie Bartel, zanim pojęłam, o kim mowa: to była siostra Hennessena. Ta w czwartek wieczorem zauważyła dziwną istotę. Wyglądała jak jeden z tych wampi-rów, które lubiła oglądać w telewizji. Biała jak śnieg twarz, czerwone oczy, długa czarna peleryna i polakierowane na czarno paznokcie o takiej długości, jakich Józefina Bartel jeszcze nigdy nie widziała u człowieka.

Po raz pierwszy spostrzegła to dziwne stworzenie, kiedy Hennessen na krótko przed szóstą przyszedł do domu, żeby przez telefon zapytać, gdzie podziewa się weterynarz. Przez ten czas Rena była sama w stajni. Właśnie stamtąd przyszła ta istota. Ale znikła tak szybko w głębi drogi, że Józefina Bartel

150

z kuchennego okna niewiele więcej zobaczyła, niż powiewającą pelerynę i pomyślała, że ma halucynacje.

Krótko po dziewiątej istota pojawiła się na nowo i okazała się nadzwyczaj rzeczywista i bezczelna. Józefina Bartel chciała sprawdzić, czy w stajni wszystko w porządku, i kiedy właśnie wychodziła z domu, tamta wpadła przez bramę i zawołała: „Koniku!”. To Józefina Bartel zrozumiała dokładnie.

Potem stworzenie w czarnej pelerynie zauważyło ją, zdziwiło się i spytało szczerząc zęby w szerokim zjadliwym uśmiechu:

- Ile czasu potrzebuje takie bydlę, żeby zdechnąć?

Pani Bartel zawołała głośno swojego brata, czego jednak przypuszczalnie nie było słyhać w wicherze i deszczu, i każała tamtej natychmiast się wynosić, bo inaczej pomoże jej widłami. Wtedy mały wampir oddalił się, mówiąc na odchodnym:

- A obszczyjcie się, wy gnoje.

Nita Kolter, któżby inny?

Matka Nity Kolter mogła udzielić na temat przyjaciół takich samych informacji, jak my. Czyli żadnych! Regina Kolter była na urlopie i dopiero przed południem

dowiedziała się od Klinkhammera, że córka skorzystała z jej nieobecności, żeby także zniknąć.

I on nas wrzucał do jednego worka z taką! Pieniądze! Nic się nie liczy oprócz pieniędzy! Gównu nas obchodzi, jak się czują nasze dzieci. Kiedy czegoś potrzebują, wciskamy im do ręki kilka banknotów. Mogą sobie wtedy po plasterku kupować tanią namiastkę tego, czego my im nie dajemy.

Dowiedział się o urodzinowym prezencie od Gretchen. Otto nie zdołał utrzymać języka za zębami. W najlepszych intencjach opowiedział, jak Rena się ucieszyła i ogłosiła:

- To kamień węgielny pod moją ujeżdżalnię. Teraz będę oszczędzać. A jak już zbieram dosyć, sprowadzę Mattho z powrotem.

Regina Kolter nie umiała albo nie chciała powiedzieć, z jaką sumą jej córka wybrała się w podróż. Nita miała własne

151

konto, na które pani mama regularnie wpłacała kieszonkowe. Klinkhammer powiedział, że je wyczyściła do cna, ale nie zdradził, ile tam było. Rodzicom Andre Menkego zginała księżeczka oszczędnościowa z wkładem sześciu tysięcy marek. I Klinkhammer uważał to za znamienne, że zatailiśmy przed nim te pięć banknotów od Gretchen.

Ból był przerażający. Widziałam, jak siedzimy przy śniadaniu, słyszałam, jak Jiirgen pyta, czy on nie minął się z powołaniem. Powinien zostać fryzjerem, to mógłby ludziom zmywać głowę, ilekroć przyszlaby mu na to ochota. Nic nam nie wiadomo, żeby Rena jeszcze utrzymywała bliskie kontakty z tymi punkami.

Ton Klinkhammera pozostał rzeczowy.

- To nie są punki. To młodzi ludzie, którzy stracili wiarę w świat. Domyślam się, że nic państwu o tym nie wiadomo.

O czym państwu w ogóle coś wiadomo?

Nawiązał do dzienników Reny.

- Założę się - powiedział i wskazał na Olgerta - że mój kolega w ostatnich dniach więcej się dowiedział na temat stanu ducha państwa córki, niż pan przez ostatnie szesnaście lat, panie doktorze.

Dwa ostatnie słowa brzmiały zjadliwie.

Potem poszli. Jiirgen był wściekły, że udostępniłam im dzienniki Reny. Nie wolno mi było dopuścić, żeby jakiś przy-ziemny gryzipiórek używał sobie na naszym życiu prywatnym. Tak długo się awanturował, aż Anna zeszła z góry z płaczem.

- Jak będziecie jeszcze dłużej się tak kłócić, to ja także zwieję!

Jiirgen wziął ją w ramiona, przeprosił. Ją, nie mnie. O wpół do trzeciej wyszedł z domu, musiał wracać do gabinetu. Wciąż jeszcze gotował się z wściekłości.

Zabrałam dzienniki ze stolika przy tapczanie i zaniiosłam je na górę, odłożyłam z powrotem do nocnego stolika, siedziałam przez parę minut na łóżku, patrzyłam na zdjęcie Mattho

1 słyszałam jej głos:

152

- Osiemnaście tysięcy marek, wiedzieliście o tym?

Naturalnie. Dowiadawaliśmy się. Tylko że nie mogliśmy

wysupłać osiemnastu tysięcy marek. Powiedziałam do Jiirge-na, kiedy udaliśmy się do łóżka po jej przyjęciu urodzinowym:

- Mam niedobre przeczucia w tej sprawie. Ona jest pewna, że jutro rano na podwórzu będzie stał Mattho. Powinniśmy z nią otwarcie pomówić. Jest dość duża, żeby to zrozumieć.

On mnie wyśmiał.

- Jeszcze tego by brakowało, żebym się miał tłumaczyć przed własnymi córkami. Co ty sobie wyobrażasz? Myślisz,

że to zrobi na niej wrażenie?

- A ty myślisz, że twoje szyte grubymi nićmi wykrety robią na kimś wrażenie? Że niby od słońca dostaje się raka. Pojeździemy w Góry Harcu, bo tam jest więcej cienia. Powinieneś im powiedzieć prawdę. Takie głupie to one nie są. Od dawna wiedzą, że jesteśmy bankrutami.

- Nie jesteśmy bankrutami, moja droga. Mamy przejść owo trudności. Teraz zgaś światło. Chcę spać.

Akurat mi się chciało. Pieniądze! Wciskają tacy dzieciom po parę banknotów w ręce! To nie u nas. A wpłacanie kieszonkowego na konto nie miałyby sensu dla czterdziestu marek w miesiącu. Anna dostawała pięćdziesiąt. Ojciec często im coś wtykałam do kieszeni, wiedziałam o tym.

Dwa pokoje dalej Anna wypłakiwała z duszy swoją rzekomą winę. Nie mogłam się zebrać, żeby pójść do niej i wziąć ją w ramiona. Gdyby ojciec umarł albo zaczął wymagać stałej opieki...

Nie zostawia się starego, chorego człowieka samego, jeśli się wie, że jego żona boi się telefonu. Jeśli on umrze, myślałam, to ona pójdzie za nim. Zrobi dokładnie tak samo, jak jej matka. Nie dlatego, że on jej potrzebuje. Ale że ona potrzebuje jego.

Znowu zeszłam na dół. Była trzecia po południu. W moim żołądku przelewało się parę filiżanek kawy i koniak. Powinam coś zjeść, ale nie mogłam. Kilka minut stałam w kuchni,

153

kwadrans siedziałam w dużym pokoju, zrobiłam trzy rundy po jadalni. I wciąż od nowa do sieni. Zaczęłam się czuć jak matka. Telefon! Kiedy następnym razem zadzwoni, może z przewodu wyjdzie śmierć.

Nie umieraj, tato, proszę, nie umieraj! Byłeś zawsze taki silny, dasz radę. Musisz dać radę. Nie daj się paru pękniętym żyłkom w mózgu. Ja cię potrzebuję. Na kim mam się oprzeć, jeśli ciebie zabraknie? Na Jiirgenie? Tato, znasz go przecież. Zostań ze mną, proszę. Muszę ci jeszcze powiedzieć coś ważnego: kocham cię. Czyja ci to kiedyś powiedziałam? Nie przypominam sobie. Nigdy nie szafowaliśmy wielkimi

słowami, prawda? Ale od czasu do czasu potrzebne są wielkie słowa, bo małe nie wystarczają. Myślę, że Renie też nigdy tego nie powiedziałam. Ale o nią nie potrzebujemy się martwić, ona jest w drodze z przyjaciółmi.

Wpół do czwartej! Szum w rurach wodociagowych, przez dwie minuty. Anna myła twarz. Potem zeszła na dół.

- Masz ochotę na partię kanasty?

-Co?

Uśmiechnęła się zakłopotana, machnęła ręką.

- Nic, zapomnij. Myślałam tylko, że to by nas trochę rozewrwało. Od wieków już nie grałyśmy. Ale jeśli nie masz ochoty... Rozumiem. Może zatelefonujemy do szpitala?

- Weź karty.

Usiadłyśmy w kuchni. Anna grała z taką gorliwością, jak-by jej życie zależało od punktacji. Ja myślałam o ojcu. Czy jest przytomny i czeka na mój telefon z pytaniem, jak on się czuje? Czy ma nadzieję mnie zobaczyć, kiedy otworzy oczy? Nie mogłam przyjechać. Musiałam zostać przy telefonie. A następnego dnia będę sama, zanim Anna wróci ze szkoły. Wie-działam, że nie dam rady. Młodzi ludzie, którzy stracili wiarę w świat? Chyba bardziej stracili wiarę w swoich rodziców!

Anna z przesadnym triumfem wyłożyła karty na stół, trzy jokery, dwie dwójki.

- Kanasta z jokerami - oznajmiła, zmarszczyła czoło i powiedziała: - O, cholera.

154

Patrzyła przez okno. Spojrzałam i ja w tamtą stronę. Ktoś szedł przez podwórze, pieszo, ubrany na czarno. Anna zerwała się i skrzywiła niechętnie twarz.

- Nie bądź na mnie zła, mamo, ale ja zmykam na górę. Nie mam teraz nerwów do niego. Już w piątek myślałam, że stracił rozum. Włóczył ze sobą worek śmieci, opowiadałam ci?

A dzisiaj mieli pogrzeb.

Udo von Wirth. Wpuściłam go do domu, zaprowadziłam do dużego pokoju, wskazałam mu miejsce, spytałam, czy chce kawy.

- Właśnie idę stamtąd - powiedział. - Nie wytrzymałem, i pomyślałem sobie... - Mówił powoli, robiąc długie przerwy między częściami zdania. - Że zajrzę do państwa i zapytam, co słyhać. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem pani w czymś ważnym.

Pokręciłam głową.

- Jest pani sama?

Kiwnęłam głową, przemilczałam obecność Anny i wyliczyłam nieobecnych. Mąż w gabinecie, ojciec z wylewem krwi do mózgu w szpitalu. Matka u ojca.

- To wszystko jest takie okropne! - wybełkotał Udo. Wpa-
trywał się w swoje ręce, siedział pochylony do przodu na fo-
telu, trzymał ręce między kolanami złożone jak do modlitwy.

- Annegret nie powinna była zginąć. Mój szwagier tego nie przetrzyma. Ja też nie. Nie wiem, co mam bez niej robić. Mój ojciec nie rozmawia ze mną, bo to moja wina. Ja powinienem był pojechać po zakupy. Aleja nie miałem czasu, i...

Wzruszył ramionami.

- Jeździłem w kółko, przez pół nocy. A potem miałem wy-
padek. Ale tylko samochód został skasowany. Wszyscy mó-
wią, że miałem szczęście. Nie chciałem mieć szczęścia. Chcia-
łem zginąć tak samo, jak Annegret. Rozumie to pani?

Kiwnęłam tylko głową, nie wiedziałam, co mu odpowie-dzieć. Odetchnął głęboko i wstał.

- Nie będę pani dłużej przeszkadzał. Chciałem tylko się dowiedzieć, jak się pani miewa. Proszę życzyć swojemu ojcu

poprawy zdrowia. Mam nadzieję, że prędko przyjdzie do sie-bie. To miły gość. Zawsze mi się świetnie z nim gadało, kiedy zachodził do Hennesa.

Wyciągnął prawą rękę, ale od razu ją cofnął z powrotem. Odprowadziłam go do drzwi, patrzyłam za nim, jak idzie do bramy. Jeszcze raz się odwrócił i skinął mi głową. Potem po-wlókł się dalej. To już nie był ten sam młody człowiek, które-go widziałam na przyjęciu u Reny.

Pogrzeb, myślałam. Trumna, grób, pewność. Dla nas tego nie było. Tylko zarządzane przez policję domniemanie, że Rena jedzie po kraju z przyjaciółmi szarym mikrobusem. Że od czasu do czasu telefonuje, żeby usłyszeć, jak nam się wiedzie. Że nie wydobywa ani słowa z ust, kiedy się odzywamy, że płacze do słuchawki, bo tęskni za nami.

6

B

'yliśmy szczęśliwą rodziną!? Tak, w pewien sposób by-liśmy - patrząc powierzchownie. A ja dobrze się nauczyłam poruszać tylko po powierzchni. Wszystko, co mogło odbić się kwasem albo goryczą, znikало za gładką fasadą. Po chwili szło w niepamięć, a po jakimś czasie nie było już prawdą.

Każdy zna nierówności pod własnym dywanem, wtedy ła-two mu je omijać. Ale przychodzi taki dzień, że potyka się o nie policjant, któremu stale spadają na twarz za długie włosy.

Kiedy Udo skręcił w lewo za bramą i rozplynał się w pust-ce na polnej drodze, poszłam na górę. Chciałam porozmawiać z Anną, spokojnie i rzeczowo. O Nicie, o Renie, o ojcu, o rze-komej i faktycznej winie. Anna leżała zwinięta w kłębek na łóżku i spała. Jej poduszka była wilgotna. Stałam przez kilka minut przy drzwiach. A kilka kroków dalej były drzwi do po-koju Reny.

Widziałam siebie, jak je omijam - wieczorem w tamten czwartek - i zastanawiałam się, ile razy jeszcze będę musiała się tak oglądać. Ile razy przy wspomnieniu o tym jednym -tym ostatnim - momencie niedbałości i niechęci przyjdzie mi oddychać z trudem. Jak długo będę musiała nosić kamień na sercu? Ciężki kamień, cały ciężar prostego stwierdzenia Anny: „Zostawiliśmy ją samą w potrzebie”.

Nie, nie my. Ja! Jeśli pod naszym dachem istniała wina, to ja ją ponosiłam. Ja skapitulowałam przed workowatymi spodniami i fryzurą zebry. To ja, kiedy nie umiałam sobie inaczej poradzić, uchwyciłam się słomki, którą podsunął mi Jiirgen; spokojne życie na wsi i kobieta w domu, która umie zaprowadzić porządek.

- Bądź rozsądna, Vero i nie czepiaj się bez przerwy swojej matki - powiedział Jurgen.
- Ciesz się, że jest taka, a nie inna.

157

A jak ci się nie podobają jej poglądy na wychowanie, to przecież i ty też tu jesteś. Możesz jej zawsze powiedzieć swoje zdanie.

Mnie tu nie było. Skryłam się u niego w gabinecie, ponieważ nie mogłam ścierać się z moją matką. Wypędziłam Renę do zagrody dla koni, a źrebak ją tam zatrzymał przez dwa lata.

Jakoś dałam radę. Otworzyć drzwi, podejść do łóżka, usiąść i patrzeć na klapę nocnego stolika. Minęło jeszcze kilka minut, zanim palce zaczęły mi być posłuszne. Wzięłam do ręki pierwszy zeszyt, otworzyłam na końcu. Ostatnia strona była zapisana. Zapis pochodził sprzed osiemnastu miesięcy.

U góry w rogu była data 18 marca, a pod spodem:

Dzisiaj była znowu przy zagrodzie. Jeździłam na Tanie. Przyglądała mi się przez chwilę. To było dziwne uczucie, prawie jakby mama albo tato mi się przyglądali. Skoczyłam na Tanie dwa razy, a ona bila mi brawo. Nic nie powiedziała. Ja też nie miałam odwagi. Teraz żałuję. To przecież głupie! W końcu ona jest moją babcią. Przecież z Lenką też rozmawiam.

Hennes rozmawiał z nią przez chwilę. Już tydzień temu powiedział mi, kim ona jest, więc i jej na pewno powiedział, kim ja jestem. Czy ona uważa mnie za zarozumiałą, bo udawałam, że nie wiem? Chętnie bym z nią porozmawiała. Hennes powiedział: „Możesz z nią mówić jak z pastorem. Ona ma złote serce. Paru ludziom pewno nie pasuje, jak ona żyje, że zawsze ma jakiegoś faceta w domu. Ale tym facetom dobrze się u niej wiedzie. A z czegoś w końcu musi żyć. Z charakterem to nie ma nic wspólnego”. Uważałam, że to idiotyczne, że powiedział „paru ludziom”, kiedy przecież to nas miał na myśli.

Gretchen - pomyślałam i cofnęłam się o kilka stron, do lu-tego minionego roku.

Ale okropny dzień. Oddali klasówkę z matmy. Liczyłam, że dostanę chociaż troję, ale

nawet i to nie. Z biologią też nie najlepiej wygląda. Anna chciała mi dać swoje stare zeszyty, ale zapomniała. Nie będę jej jeszcze raz prosić. Nie mam ochoty wciąż jej się podlizywać. Armin zaoferował się, że mi pomoże

6.

B

Pyliśmy szczęśliwą rodziną!? Tak, w pewien sposób by-liśmy - patrząc powierzchownie. A ja dobrze się nauczyłam poruszać tylko po powierzchni. Wszystko, co mogło odbić się kwasem albo goryczą, znikало za gładką fasadą. Po chwili szło w niepamięć, a po jakimś czasie nie było już prawdą.

Każdy zna nierówności pod własnym dywanem, wtedy ła-two mu je omijać. Ale przychodzi taki dzień, że potyka się o nie policjant, któremu stale spadają na twarz za długie włosy.

Kiedy Udo skręcił w lewo za bramą i rozplynał się w pust-ce na polnej drodze, poszłam na górę. Chciałam porozmawiać z Anną, spokojnie i rzeczowo. O Nicie, o Renie, o ojcu, o rze-komej i faktycznej winie. Anna leżała zwinięta w kłębek na łóżku i spała. Jej poduszka była wilgotna. Stałam przez kilka minut przy drzwiach. A kilka kroków dalej były drzwi do po-koju Reny.

Widziałam siebie, jak je omijam - wieczorem w tamten czwartek - i zastanawiałam się, ile razy jeszcze będę musiała się tak oglądać. Ile razy przy wspomnieniu o tym jednym -tym ostatnim - momencie niedbałości i niechęci przyjdzie mi oddychać z trudem. Jak długo będę musiała nosić kamień na sercu? Ciężki kamień, cały ciężar prostego stwierdzenia Anny: „Zostawiliśmy ją samą w potrzebie”.

Nie, nie my. Ja! Jeśli pod naszym dachem istniała wina, to ja ją ponosiłam. Ja skapitulowałam przed workowatymi spodniami i fryzurą zebry. To ja, kiedy nie umiałam sobie ina-czej poradzić, uchwyciłam się słomki, którą podsunał mi Jiirgen; spokojne życie na wsi i kobieta w domu, która umie zaprowadzić porządek.

- Bądź rozsądna, Vero i nie czepiaj się bez przerwy swojej matki - powiedział Jiirgen.
- Ciesz się, że jest taka, a nie inna.

157

A jak ci się nie podobajajej poglądy na wychowanie, to prze-cież i ty też tu jesteś.

Możesz jej zawsze powiedzieć swoje zdanie.

Mnie tu nie było. Skryłam się u niego w gabinecie, ponieważ nie mogłam ścierać się z moją matką. Wypędziłam Renę do zagrody dla koni, a źrebak ją tam zatrzymał przez dwa lata.

Jakoś dałam radę. Otworzyć drzwi, podejść do łóżka, usiąść i patrzeć na klapę nocnego stolika. Minęło jeszcze kilka minut, zanim palce zaczęły mi być posłuszne. Wzięłam do ręki pierwszy zeszyt, otworzyłam na końcu. Ostatnia strona była zapisana. Zapis pochodził sprzed osiemnastu miesięcy.

U góry w rogu była data 18 marca, a pod spodem:

Dzisiaj była znowu przy zagrodzie. Jeździłam na Tancie. Przyglądała mi się przez chwilę. To było dziwne uczucie, prawie jakby mama albo tato mi się przyglądali. Skoczyłam na Tancie dwa razy, a ona biła mi brawo. Nic nie powiedziała. Ja też nie miałam odwagi. Teraz żałuję. To przecież głupie! W końcu ona jest moją babcią. Przecież z Lenką też rozmawiam.

Hennes rozmawiał z nią przez chwilę. Już tydzień temu powiedział mi, kim ona jest, więc i jej na pewno powiedział, kim ja jestem. Czy ona uważa mnie za zarozumiałą, bo udawałam, że nie wiem? Chętnie bym z nią porozmawiała. Hennes powiedział: „Możesz z nią mówić jak z pastorem. Ona ma złote serce. Paru ludziom pewno nie pasuje, jak ona żyje, że zawsze ma jakiegoś faceta w domu. Ale tym facetom dobrze się u niej wiedzie. A z czegoś w końcu musi żyć. Z charakterem to nie ma nic wspólnego”. Uważałam, że to idiotyczne, że powiedział „paru ludziom”, kiedy przecież to nas miał na myśli.

Gretchen - pomyślałam i cofnęłam się o kilka stron, do lu-tego minionego roku.

Ale okropny dzień. Oddali klasówkę z matmy. Liczyłam, że dostanę chociaż troję, ale nawet i to nie. Z biologią też nie najlepiej wygląda. Anna chciała mi dać swoje stare zeszyty, ale zapomniała. Nie będę jej jeszcze raz prosić. Nie mam ochoty wciąż jej się podlizywać. Armin zaoferował się, że mi pomoże

158

za darmo. On jest asem w matmie, a z biologii może mieć czwórkę. Ale Hennes powiedział, że u niego jeździ się konno, a nie zajmuje rachunkami. Jak ojciec Armina się dowie, będzie piekło.

Może powinnam jeszcze raz porozmawiać z mamą o tej studentce, którą polecała mi

pani Burmester. Ona bierze tylko piętnaście marek za godzinę. Jak bym raz w tygodniu brała korepetycje, a tylko co dwa tygodnie godzinę jazdy konnej, to jakoś by to było. Ale już słyszę, co Lenka na to powie. W końcu jeszcze w ogóle nie dadzą mi jeździć konno. Wszystko do dupy.

Szukałam czegoś, co by się wiązało z Nitą, i z początku nic nie znajdowałam. Dopiero kiedy przyjrzałam się dokładniej i rzeczywiście czytałam zdanie po zdaniu, napotkałam tu i tam różne linijki. ...zapytała mnie na przerwie, czy dziś po południu przyjadę do miasta. ...zdaje się, że jest na mnie zła, że już się nie pokazuję.

Wzięłam następny zeszyt i na każdej stronie potykałam się o to imię. Nie kończąca się lista rzekomych bohaterskich wy-czynów, które każdą matkę musiałyby przyprawić o zawrót głowy.

Byłyśmy w tym nowym butik w ratuszu. Janet i Wiltrud odwróciły uwagę sprzedawczyni. Wtedy Nita zwędziła jedną bluzkę. Takie tam superdrogie paskudztwo. Mama by się obli-zywała na sam widok. Nita i Stefania czyściły nią buty. Potem wyrzuciłyśmy ją.

Nita miała przy sobie speed. Ja też spróbowałam. Niezłe uczucie, jakby się miało dwa mózgi, oba pełne wzorów z mat-my. Cholera, ile się po tym może. Niestety nie trwało to długo. Potem czułam się dosyć marnie. Ale teraz już dobrze. Cieszę się tylko, że mama nic nie zauważyła.

Znowu byłyśmy w Kolonii. Nita koniecznie chciała iść na Neumarkt, żeby zagadać do jednego z tych typków, co sprze-dają H. Faktycznie tak zrobiła. Tamten wyglądał jak szczur,

159

taki był brudny. Przygotował dla Nity zastrzyk. Nita wbiła to sobie w ramię. Uwe wrzasnął na nią: „, Czyś ty oszalała? Z ta-kim gównem to ja wysiadam! Nie mam nic przeciw speedowi, ale z H nie chcę mieć nic do czynienia ". Nita go wyśmiała. Nie wkłuła się w żyłę, tylko w mięsień. Powiedziała, że od tego się nie uzależnia.

Nie mogłam dalej czytać, tylko kartkowałam. Wszystkie zapisy były zrobione przed naszą przeprowadzką, a zeszyty nie uporządkowane chronologicznie. Szukałam ostatniego, nie czytając już zapisów orientowałam się tylko po dacie. Otwó-rzyłam trzeci, czwarty, piąty. Uderzyło mnie w oczy znajome pismo. I naraz Nita Kolter i jej grzechy z przeszłości stały się sprawą drugorzędną.

Wpadłam przez tego cholernego gnoja! Przez całe tygo-dnie mydlił mi oczy

zaburzeniami hormonalnymi. Że nie po-winnam wpadać w panikę, bo nic nie powinno się zdarzyć. A on wiedział, że się zdarzyło. Chciał tylko zapobiec, żebym zawnazasu czegoś nie przedsięwzięła. Teraz jest za późno! Co ja teraz zrobię? Nie chcę.

Kiedy Jiirgen wrócił do domu, siedziałam jeszcze na łóźku Reny. Zeszyty leżały z powrotem w nocnym stoliku, z wyjąt-kiem tego jednego. Trzymałam go na kolanach. Jiirgen nie wszedł na górę, tylko mnie zawołał. Kiedy mu odpowiedzia-łam, poszedł do kuchni.

Miałam czas zanieść ten zeszyt do naszej sypialni i umie-ścić w moim nocnym stoliku. Zanim zeszałam na dół, zajrza-łam do Anny. Jeszcze spała. Zbudziłam ją. Była oszołomiona, myślała, że jest rano, spojrziała na zegarek i zerwała się na równe nogi.

- Cholera, zasnłam!

Minęła ósma. Nie zauważyłam, jak mijały godziny. Twarz Anny była spuchnięta od snu i łez. Zorientowała się w pomył-ce, odgarnęła ręką włosy do tyłu. Tym gestem przypomniała mi Klinkhammera.

- Śniło mi się coś głupiego - mruknęła Anna. - Byłyśmy na basenie. Rena jeździła na siwku po wodzie. Nie tonęli. Pa-

160

trick powiedział: „W tym jest jakaś sztuczka”. Wyciągnął z ką-pielówek strzałkę i rzucił. Wtedy z konia uciekło powietrze, bo był tylko nadmuchany. Rena znikła pod wodą i już się nie wynurzyła. To było niesamowite. Anna otrząsnęła się i wstała.

- Umyję tylko twarz i zejde na dół.

Kiedy weszałam do kuchni, Jurgen manipulował przy eks-presie do kawy. Na zlewozmywaku wciąż jeszcze stał do po-łowy napełniony garnek i miska z brukselką.

- Chyba nie pomyślałaś o gotowaniu - stwierdził. Był znacz-nie spokojniejszy.

- Nie, przykro mi, ja...

- Dobrze, Vero - przerwał mi. - Nie potrzebujesz przepa-

szac. Zjemy parę kanapek, zostało jeszcze dosyć wędliny.

Podszedł do lodówki.

- Dużo było roboty w gabinecie, czy z innego powodu wracasz tak późno?

- Byłem jeszcze w szpitalu.

Ojciec na krótko odzyskał świadomość. Koniecznie chciał powiedzieć coś Jurgenowi, ale wydał z siebie tylko parę gul-goczących dźwięków. Chciał też coś zapisać - jego prawa ręka była sparaliżowana, także lewą nie władał. Matka wyjaśniła, co się stało.

Telefon o wpół do dwunastej! Wrzeszczała dopóty, aż ojciec wyszedł do sieni i podniósł słuchawkę. Posłuchał, zawołał: „Nie!”, a potem zwałił się z nóg.

Jurgen mnie przeprosił. Do tego telefonu ojciec był w porządku, tak powiedziała matka. Dwa razy do niego zaglądała, kiedy wyszłam z domu. Za pierwszym razem spał. Za drugim razem zażądał śniadania. Krwotok z nosa ustał, mrowienie w rękę również, a na pytanie: „Jak tam głowa?”, odpowiedział: „Lepiej”. Matka poszła do kuchni, żeby mu zrobić śniadanie. I wtedy zadzwieczał telefon.

Anna weszła i zaczęła nakrywać do stołu.

- Przykro mi, tato. Zasnęłam, inaczej coś bym ugotowała.

161

- Teraz jeszcze ta zaczyna przeproszać - powiedział Jurgen.

— To ja muszę przeprosić za te ryki dzisiaj w południe. — Spojrzył na mnie. - Dowiem się jutro, jakie są możliwości, żeby założyć urządzenie nagrywające. I co trzeba zrobić, żeby telefon był pod nadzorem.

- Myślę, że to musi nakazać policja - powiedziała Anna.

- Ale oni nic już nie zrobią, możesz być pewna. Dla nich sprawa jest zakończona. Rena ma szesnaście lat. Gdyby miała sześć, sprawa wyglądałaby inaczej. Ale tak? Z przyjaciółmi

w świat! - Pokręcił głową i usiadł przy stole.

Kolacja we troje. Prawie nic nie chciało mi przejść przez gardło. Jurgen zastanawiał się nad telefonem, który stał się przyczyną nieszczęścia ojca. W swoich rozważaniach uwzględniał też dwa poprzednie, które odebrali Anna i on. W przypadku tego, który odebrał on sam, był wciąż jeszcze pewien, że to Rena w nocy coś do niego bełkotała z płaczem. Ale w przypadku ojca musiał mówić ktoś inny. Słyszając trochę płaczu, powiedział Jurgen, ojciec nie nakryłby się zaraz nogami. A cokolwiek Rena mogłaby powiedzieć, to ani jedno jej słowo nie skłoniłoby ojca do tego przenikliwego „Nie”. Matka mówiła, że z kołyszącej się słuchawki dobiegał gwar głosów.

Jurgen wpatrywał się w Annę.

- Pomyśl, co jeszcze słyszałaś w piątek oprócz płaczu?

Anna wzruszyła ramionami.

- Tylko jej imię i tę maszynę. Jakby ktoś uderzał dwoma kawałkami drewna. I oczywiście płacz.

Jurgen w zamyśleniu kiwał głową.

- Ja nie słyszałem żadnych odgłosów w tle. Ale to mogło być z innego miejsca. Jeśli oni podróżują... - Nabrał głęboko powietrza, spojrzał na mnie. - Ktokolwiek dzisiaj w południe był przy aparacie, musiał się dowiedzieć, że ojciec stracił przytomność. Twoja matka na pewno dostatecznie głośno wrzeszczała. A Rena jakoś by zareagowała na coś takiego. Nie jest przecież aż tak nieczuła. Ale Menke albo ta Kolterówna... - urwał i zacisnął usta.

162

- Czy mogę iść na górę? - spytała Anna.

- Dobrze, idź.

- A mogę zadzwonić do Patricka? Nie będę mówić długo.

- Nie - powiedział Jiirgen. - Linia musi być wolna.

Anna przełknęła to bez sprzeciwu. Poszła do swojego po-koju. Jiirgen sprzątnął ze stołu, posortował naczynia do zmy-warki.

- Ta banda świń - mruknął. - Co, do diabła, mogli mu takiego powiedzieć, że się tak zdenerwował? Był wciąż jeszcze całkiem wytrącony z równowagi. Trzeba ci było go widzieć.

Zawołałem lekarza, bo myślałem, że dostanie jeszcze raz apopleksji, jak tak dalej pójdzie. - Pokręcił głową.

- Nic z tego nie rozumiem. Jaki powód miała Rena, żeby się przyłączyć do tych świń?! Jaki miała powód, żeby całą rodzinę wprawiać w przerażenie?

Ja też chciałam coś zrobić, ale nie mogłam wstać z krzesła. Przed moimi oczami tańczyły litery ze starego dziennika: Nie chcą.

Fakt, że Olgert to przeczytał i z całą pewnością rozmawiał na ten temat z Klinkhammerem, był całkiem niefortunny. Ale że Rena to przeczytała, było o wiele gorsze.

Czy dziecko rozumie, co czuje kobieta, gdy wbrew swojej woli zachodzi w ciążę? Anna była jeszcze taka mała wtedy, miała właśnie roczek. Ale już chodziła i nic nie było bezpieczne przed jej rączkami. To, co ja chowałam do szafek, ona wyciągała na zewnątrz. Dla bezpieczeństwa gotowałam tylko na tylnych płytkach kuchenki, a ona włączała przednie. Zostałam moją torebkę w sieni. Ona wszystko wysypała. Myślałam, że jest jeszcze za mała, by otworzyć flakonik lakieru do paznokci albo perfum. Ale ona dała sobie radę, polakierowała tapety w dużym pokoju i wylała perfumy na chiński jedwabny dywan, który dostałam od moich rodziców na urodziny.

Niezwykle inteligentne dziecko, mówili wszyscy. Niezwykle inteligentnym dzieciom szybko się nudzi, chcą mieć zajęcie. O spokojnych popołudniach można było zapomnieć. Nie dało się posiedzieć nawet pół godziny na tapczanie i poczytać

gazety. Codziennie wychodziłam z nią na spacer, co oznaczało, że ja biegałam za nią, ciągnąc za sobą pusty wózek dziecięcy.

Dom leżał odłogiem, z miesiąca na miesiąc Jiirgen obiecywał mi pomoc, na którą nie było nas stać. On się przeliczył w swoich rachubach, dając się namówić jakiemuś naciągaczowi na znakomitą lokatę kapitału. Jiirgen chciał się szybko wzbogacić, a skutek był taki, że szybko zbiednieliśmy.

Młody lekarz w szpitalu nie zarabia fortuny, mimo tych wszystkich godzin przyjęć, dyżurów nocnych i weekendowych. A jeśli jeszcze sądzi, że jak jest lekarzem, to nie wypada mu nie jeździć odpowiednim do jego pozycji samochodem albo jak niektórzy koledzy zabawiać się w inwestora, to już mu nie starczy na inne rzeczy.

Regularne wizyty u moich rodziców zastępowały zakupy u rzeźnika i wiele innych pilnych i koniecznych sprawunków. Kiedy matka z nieprzeniknioną miną kładła mi paczki mięsa na stół, kiedy mi zwracała uwagę: „Buty Anny są za małe, Vero. Nie widzisz tego?”. Kiedy ojciec wtedy wydobywał swój portfel, to było zawstydzające. Myśli ojca! Nie musiał ich wypożyczać, znałam je. „Za jakiegoś ty nieudacznika wyszła, Vero!”

To nie był nieudacznik, tylko człowiek spontaniczny. „Co będę się martwił przyszłym tygodniem? Żyjemy dziś, Vero!”

I jak żyliśmy? Przeważnie byłam sama. Nie tak wyobrażałam sobie moje życie i moje małżeństwo. Nadzwyczaj inteligentne niemowlę jako partner do rozmowy, brudne pieluchy w łazience, zabawki porzucane na dywan w przedpokoju. Płamy z marchewki i okruchy keksa na narzucie na tapczan. Od czasu do czasu jakieś wezwanie do zapłaty w skrzynce na listy. Na obiad zupa z kostki, a dla rozrywki wieczorem w telewizji Peter Alexander albo godzinka z Rudim Carrellem.

Jiirgen brał dyżury, dyżury i dyżury, tu jeszcze jakiś mały zabieg, tam pomoc przy porodzie. Zbierał punkty do specjalizacji. A kiedy już miał trochę wolnego czasu, co rzadko się zdarzało, wtedy musiał akurat rozruszać samochód, żeby mu się cylindry nie zakurzyły.

164

- Jedziesz ze mną, Vero?
- Nie mogę zostawić małej bez opieki.
- Mój Boże, ona śpi. A skoro w ciągu dnia jest taka ruchli-

wa, to na pewno się nie obudzi. Co ma się znowu wielkiego stać? Tylko godzinke, Vero. Musisz przecież wyjść z domu.

Ale nie na ulicę, do cholery! Przez wychodzenie z domu wyobrażałam sobie coś innego niż odbywanie bezsensownych przejażdżek nowym bmw, przy czym padały stwierdzenia:

- Ach, muszę przecież zatankować. Masz jakiegoś zaskórniaka, Vero?

Kiedy wyjątkowo akurat był w domu, to zasypiał na siedząco. Budził się w nocy, wpełzał do mnie do łóżka i przypominał sobie, że młoda żona ma pewne potrzeby, a on jest fachowcem w tej dziedzinie.

Wtedy jeszcze nie przewyciężyłam do końca szoku, w który wprawiło mnie prowadzenie się jego matki i rozmyślałam nad tym, żeby od niego odejść. Tym razem naprawdę, nie tak bez przekonania, jak rankiem po naszym ślubie. Wtedy ojciec po wielogodzinnej debacie zdołał mnie powstrzymać jednym jedynym zdaniem:

- Naturalnie, rozumiem, że czujesz się oszukana, i jeśli wolisz dalej studiować...

Nie wolałam. To było nie dla mnie. Medycyna! Ładnie brzmi, kiedy się mówi o chęci pomocy chorym ludziom. Ale nie jest tak ładnie, kiedy trzeba kroić na części jakiś nasycony formaliną fragment ciała. A już badanie rozmaitych wydzielin, na diabli wiedzą jaką okoliczność, to obrzydlistwo.

Zresztą tymczasem kwestia studiów sama się zdezaktualizowała. Musiałam się zająć nadzwyczaj żywym dzieckiem. Chciałam postawić moich rodziców przed faktami dokonany-mi. Pójść do adwokata i potem powiedzieć: „Wniosłam sprawę o rozwód”.

I wtedy to się stało!

To było celowe, wciąż jeszcze jestem tego pewna. On musiał wyczuć, jakie myśli chodzą mi po głowie. To był jego sposób, żeby mi założyć kajdanki na ręce i łańcuchy na nogi.

pilnie konieczną przerwę w stosowaniu pi-gulek antykoncepcyjnych.

Miałam używać pessarium, choć nie umiałam się tym po-sługiwać. Ale to przecież nie był żaden problem z fachowcem w łóżku. Sprawiało mu przyjemność umieszczanie tego przed-miotu tam, gdzie należy, jakby to była jakaś pikantna odmiana gry wstępnej. To się stało już w pierwszym miesiącu. Tygo-dniami baj durzył o zaburzeniach hormonalnych, o przestawie-niu organizmu. Potem była pewność.

- Jesteś w ciąży, Vero.

Myślałam, że stracę rozum. Wtedy zapisałam to zdanie w moim dzienniku. Co mogłam zrobić, to zrobiłam. Gorące kąpiele, tak gorące, że skóra bolała mnie jeszcze po paru go-dzinach. Skakanie, bieganie, dźwiganie ciężarów, wreszcie na-wet różne medykamenty, które mogłam sobie sprawić bez pomocy Jurgena. To nie wystarczyło. A byłam zbyt tchórzli-wa, żeby samej spróbować ostatecznego sposobu. Z miesiąca na miesiąc zanurzałam się coraz głębiej w moim nieszczęściu, czułam się zdradzona, oszukana, pozbawiona wolności i moż-liwości stanowienia o sobie. Czy dziecko to zrozumie?

Gdybym tylko wiedziała, ile ona miała lat, kiedy moje dzien-niki wpadły w jej ręce. Dziesięć? Wtedy popołudniami często spotykałam się z pewną znajomą w kawiarni. Anna szła do przyjaciółki, a Rena zostawała sama ze swoimi zeszytami szkolnymi. Albo jedenaście? Wtedy nie chciała już ze mną chodzić na zakupy i wolała siedzieć przed telewizorem. Albo czternaście? Brała udział w pakowaniu rzeczy przed przepro-wadzką.

Jurgen poszedł do dużego pokoju. Poszłam za nim. Nalał sobie Remy Martin, mnie także wcisnął kieliszek do ręki. Chciał rozmawiać. O ojcu, że może potrwać całe tygodnie, zanim będzie go można przenieść ze szpitala do kliniki reha-bilitacyjnej. O tym, co powie Renie, Nicie Kolter iAndre Menkemu, kiedy zatelefonują następnym razem. Co będzie,

166

jeśli ojciec zacznie wymagać stałej opieki: będziemy musieli albo przyjąć kogoś do pomocy matce, albo nową pracownicę do gabinetu. Wtedy ja mogłabym zostać w domu i zatrosz-czyć się o ojca.

Nie wytrzymałam, zostawiłam go, poszłam do naszej ła-zienki, napuściłam wody do wanny, rozebrałam się. Ciepło rozluźniło pętlę. Chciało mi się płakać. Nie

wiedziała tylko, z czyjego powodu. Z powodu Reny? Tego małego, słabego, sapiącego stworzonka, które Jurgen położył mi wtedy na brzuchu? Które w pierwszych miesiącach życia kazało mi myśleć, że próbując go się pozbyć pozbawiłam je szansy na normalne życie. Które wbrew oczekiwaniom wyrosło na normalne, zdrowe dziecko. Które teraz, jak się zdaje, próbowało wszystkiego, żeby jednak w końcu zrujnować swoje życie.

Albo z powodu ojca? Który wtedy do mnie powiedział:

- Vero, kiedy po raz pierwszy chciałaś odejść od męża, było tylko jedno dziecko. Teraz jest ich dwoje. Nie myśl, że łatwo jest wychowywać dwoje dzieci samotnie. Dobrze się zastanów, co chcesz zrobić. I pomyśl też troszkę o nas. Nie wiem, jak twoja matka zapatruje się na rozwód. Gdyby Jurgen cię zdradził, to by zrozumiała, ale tak? Jeśli z nim zostaniesz, Vero, pomogę ci, ile będę mógł.

Woda była za gorąca. Nie wolno się było poruszać, wtedy dało się wytrzymać. Nie ruszałam się, nie wycierałam też łez, chociaż swędziały mnie od nich policzki. Przez kilka minut było całkiem cicho. Potem usłyszałam kroki Jurgena na schodach.

Wszedł do łazienki, zatrzymał się przy drzwiach, jakby nie wiedział, czy wolno mu podejść bliżej. Kiedy ani na niego nie wrzasnęłam, ani nie pokazałam mu palcem drzwi, zbliżył się powoli do wanny. Stał jeszcze przez kilka sekund obok i przyśiadł na brzegu.

- Przykro mi - powiedział.

-Co?

- Że nie jestem tym człowiekiem, którego teraz potrzebujesz.

167

- Skąd możesz wiedzieć, czego teraz potrzebują?

Uśmiechnął się zakłopotany.

- Wiem, Vero. Po dwudziestu latach wie się niejedno. Nie martw się za bardzo o swojego ojca. On jest wytrzymały i ma żelazną wolę. Będzie tak długo pracował rękami, aż przynajmniej lewą będzie mógł znowu poruszać. A jego głos? Może to tylko przejściowe.

Podobnie jak w piątek, wyskubał kilka chusteczek kosmetycznych z pudełka nad umywalką, wytarł mi pot i łzy.

- Nie powinnaś się kąpać w takiej gorącej wodzie. To niezdrowe.

- Przecież nie jestem w ciąży.

Zdziwił się. Pokręcił w zamyśleniu głową.

- Nie, Vero! Co też ci przychodzi do głowy? Daj spokój dawnym historiom. Nie byłaś pierwszą i nie jesteś jedyną kobietą, którą ciąża wprowadziła w stan szoku. A teraz wyjdź stąd, zanim zrobi ci się słabo. Potrzebujesz parę godzin snu.

Kręciło mi się w głowie od gorącej wody. Pomógł mi wyjść z wanny, zaprowadził obok. Położyłam się do łóżka, słyszałam jeszcze przez chwilę jak hałasuje w łazience. Potem przyszedł do sypialni.

- Śpisz?

-Nie.

- Chcesz tabletkę?

-Nie.

- Muszę jeszcze raz zejść. Zapomniałem przełączyć telefon.

Nie wrócił, a ja nie mogłam zasnąć. Było mi gorąco, w głowie mi dudniło, zaczęłam się pocić. Po półgodzinie zesłam na dół. Siedział po ciemku w dużym pokoju na tapczanie i obracał w ręku pustą szklankę.

- Dla mnie jest jeszcze za wcześnie - powiedział, klepnął ręką tapczan. - Chodź tutaj.

Usiadłam obok niego. Objął mnie ramieniem.

- Przecież możesz jutro rano pojechać do szpitala.

- Muszę zostać przy telefonie.

168

- A tam, olać to - powiedział. - Może nabierze rozsądku, kiedy nikt nie będzie podnosił słuchawki, i będzie się musiała zastanowić, co tu się dzieje.

Przez chwilę milczał i ciągnął dalej głosem drżącym z gniewu.

- Zrobimy teraz tak, jak Klinkhammer proponował w piątek. Tu nikt nie będzie podnosił słuchawki, zanim nie zostanie podłączony sprzęt nagrywający. A kiedy tak już będzie, to najpierw posłuchamy, kto chce z nami mówić, nim odbierzemy telefon.

Potem już wiele nie rozmawialiśmy. Było zbyt cicho w domu na rozmowę. Z pierwszego piętra nie dobiegały dźwięki Wagnera, które by nas zmuszały do ich przekrzykiwania. Po jedenastej poszliśmy na górę. Jurgen nie przełączył telefonu. Nikt też nie dzwonił. Gdyby w sieni rozległ się dzwonek, usłyszałabym.

Nie spałam dobrze, na parę minut zanurzyłam się w sen, nagle znowu byłam na jawie, miałam w głowie jakieś zdanie albo obraz przed oczami. Nitę Kolter i Andre Menkego przed drzwiami naszego domu, w naszym pokoju, gdzie na podłodze walały się podeptane okruchy słodzika. Nitę i Menkego w budce telefonicznej. Przed budką parkuje szary mikrobus. Rena stoi obok i przygląda się, jak Nita łąka i jęczy do słuchawki, a przy tym skręca się ze śmiechu. Ręka Nity z paru pigułkami, wyciągnięta do Reny.

- Weź trochę speedu. To lepsze niż korepetycje z matmy.

Powinniśmy załatwić jej te lekcje. Cierpiała wskutek złych

stopni. Cierpiała, mając świadomość, że nie dotrzymuje kroku Annie, że jest zawsze tylko tą małą, głupią. Tą, po której nikt się niczego nie spodziewa, która była niechciana. Wysiłała się, żeby nam zaimponować.

- Dostałam szóstkę z religii.

- Masz zamiar zostać biskupem? - spytał Jurgen. I roześmiał się. - To będziesz musiała się przechrzczyć. Jesteśmy w niewłaściwym Kościele. Dla papieża kobiety to tylko drugi gatunek.

169

Rano miałam wrażenie, jakbym w ogóle nie spała. Anna wyszła z domu o zwykłej porze. Zdałam sobie sprawę, że pa-trzę za nią i zapamiętuję ubranie, jakie ma na sobie. Czarne džinsy, bluzka w kwiatki - szare róże na jasnym tle. Beżowa kurtka i sportowe buty.

Krótko po ósmej także Jurgen udał się do stodoły. Po kilku minutach z podwórka wyjechało jego bmw. Musiał wcześniej być w gabinecie. Sandra Erken poprzedniego po-południa była do jego dyspozycji, ale za to zażądała wolnego przed południem. Musiała iść z synkiem do pediatry na ruty-nowe badanie. A były do analizy dwie próbki krwi, praca na-leżąca do mnie, którą teraz musiał się zająć Jurgen.

Poszłam do łazienki, zrobiłam potem porządek w naszej sypialni i kuchni. O dziewiątej mogłabym wyjechać, ale na myśl, że siedzę przy łóżku ojca i przegapiam ważny telefon...

Snułam się po domu. Duży dom. Siedem pomieszczeń na pierwszym piętrze. Cztery sypialnie, trzy łazienki. Pokój Reny nie miał łazienki, tylko mały prysznic. Narożnik został od-dzielony od pokoju, ponieważ Anna nie chciała dzielić z nią łazienki.

- Nie rób mi tego, mamó! Wiesz dobrze, że ona ma w nosie, czy bierze moją czy swoją szczotkę do zębów. I mój grzebień! I mój ręcznik! Jak ona ma fantazję włączyć się z Nitą, to jej sprawa. Ale ja nie mam ochoty nabawić się wysypki czy

innego syfa tylko dlatego, że ona nie potrafi odróżnić, co moje,
a co twoje.

Widziałam twarz Reny przed sobą, słyszałam jej głos, go-rycz, którą próbowała zatuszować chłodną obojętnością.

- Tylko się nie podniecaj. Na te parę lat, które j jeszcze u was
będę, nie potrzebuję łazienki. Jak będę miała osiemnastkę,
zwiewam. Nita i ja założymy komunę. Janet i Wiltrud też się
przyłączą.

Jacy byliśmy, według niej, w ostatnich tygodniach przed przeprowadzką? Musiałam
to wiedzieć, siedziałam do wpół do jedenastej najej łóżku i czytałam o ukradzionych
bluzkach, o speedzie i igłach, które Nita wkłuwała sobie nie w żyły, tyl-

170

ko w mięśnie. Wciąż to samo. Od czasu do czasu jakieś zdan-ko o nas, rzucone
mimochodem i nic nie mówiące. Jakbyśmy byli dla niej obcy. Ludźmi, z którymi
musi, chcąc nie chcąc, mieszkać w tym samym mieszkaniu, do których zwyczajów
musi się przystosować i przed których dyktatem musi się ugiąć.

Tata znowu ma nowy wózek. Nita chciała go wypróbować gwoździem. Wybiłam jej
to z głowy. Papa dostałby zawału serca, gdyby mu ktoś zadrapał lakier.
Powiedziałam do Nity: Zrób to lepiej swojej matce. Na takim specjalnym lakierze
będzie przynajmniej jakiś efekt. Takie byle bmw to żadna atrakcja, wystarczy
popsikać sprayem i już nic nie widać. Uwe od razu podchwycił: „ Świetny pomysł.
Zrobimy to twojej matce ". Nita tylko się śmiała.

Hurra! Wolna chata. Zdobyłam parę flaszek, tylko piwo. Andre chce przynieść skrety.
Mam nadzieję, że uda mi się po-zbyć smrodu, zanim rodzinka wróci. Składają
obowiązkową wizytę u Adolfa i Heleny von und zu. Ja nie potrzebowałam iść z nimi.
Nawet nie musiałam pytać, czy mogę zostać w do-mu. Mama powiedziała, że widać
to po mnie, że nie mam ochoty, a zmuszać mnie nie chce. Właściwie powinnam ją
podzi-wiać za to, jak jej się zawsze udaje odwrócić kota ogonem. Kiedy jestem z
nimi, Helena robi tylko awantury. Teraz nasza szlachcianka może się cieszyć Anną.

Rzygać mi się chce. Mama znowu suszyła mi głowę przez pół godziny tylko dlatego,
że lakier do włosów w praniu nie chciał zejść z poduszki. Po co ona w ogóle jeszcze

pierze moje rzeczy? Mnie tam nie przeszkadza, jeśli troszkę jedzie. Jedzie przynajmniej mną. Nita powiedziała: „Nasikaj swojej mamu-ście do perfum, to ona też będzie jechać tobą”.

Bunt. A ja słyszałam jak Jiirgen mówi:

- To taki wiek. Z tego się wyrasta, Vero.

To nigdy nie miało nic wspólnego z wiekiem. To była wie-dza: Oni mnie nie chcieli!

W sieni nadal było cicho. Doszłam do przekonania, że nikt nie zatelefonuje, nie tego dnia. Że Nita i Menke przestraszyli

171

się, kiedy ojciec zaniemógł i matka zaczęła krzyczeć. Krótco po jedenastej poszłam do stodoły.

Pół godziny później stałam przy łóżku ojca. Matka siedziała obok. Nie patrzyła na mnie. Ojciec spał, ona trzymała go za rękę, od czasu do czasu gładziła po czole, szeptała coś do niego. Po kwadransie wybrałam się na poszukiwanie prowadzącego lekarza i krótko z nim porozmawiałam. Ale co on mógł mi powiedzieć? Że zrobili wszystko, co było w ich mocy. Że cała reszta zależy od samego ojca, od jego siły, jego woli.

I znowu tam stałam. Znowu myślałam: wczoraj o tej porze. Po całej wieczności matka odwróciła się do mnie.

- Dzisiaj rano był przytomny. Czekał na ciebie.

- Dlaczego nie podeszłaś do telefonu?

Jej twarz zeszywniała, a oczy zwęziły się.

- Jeśli on umrze - powiedziałam - ty będziesz winna. Przez

twoje dziwactwa musiał się męczyć schodząc w dół po scho-

dach. Przez ten twój idiotyczny strach musiał się nasłuchać

jakichś kretynizmów.

- Wynoś się! - syknęła.

- Mam takie samo prawo być tutaj, jak ty. Kocham go. Wiesz

co to jest miłość? To takie uczucie, jakby serce się zatrzymało, kiedy nam odbierają coś, czego potrzebujemy do życia. Właściwie powinnaś to wiedzieć, przecież i ty to przeżyłaś. Ale do cholery, ty miałaś męża i dziecko, kiedy tobie to się przytrafiło. Byłaś dorosłą kobietą. Ja miałam dopiero dwanaście lat, kiedy mi powiedziałaś: „Twój ojciec jest mordercą”. Dlaczego to zrobiłaś? Nie mogłaś znieść, że go kocham? A może musiałaś tylko zabrać mi ziemię spod stóp, bo i ty jej nie miałaś?

- Wynoś się! - pokazała wyciągniętą ręką na drzwi.

Wzięłam sobie krzesło i usiadłam po drugiej stronie przy łóżku ojca. Niewiele później przyszedł Jiirgen. Nie zostaliśmy już długo. Kiedy szliśmy na parking, Jiirgen spytał, dlaczego u ojca była taka ciężka atmosfera.

- Nie bardziej niż zwykle - powiedziałam.

172

Pojechaliśmy do domu. Anna wróciła ze szkoły. Usmażyłam na obiad trzy mrożone kotlety, ugotowałam kartofle i brukselkę. O wpół do trzeciej Jiirgen wrócił do gabinetu, a Anna udała się do swojego pokoju, żeby odrobić pracę domową. Ja chodziłam z kuchni do sieni, z sieni do kuchni i znowu z powrotem, i zastanawiałam się, czy ktoś może dzwonił pod moją nieobecność.

Popołudnie pełzło jak ślimak po grządce sałaty i zostawiało śluzowy ślad wyrzutów. Nienawidziłam siebie za tę nową napaść na matkę. Wiedziałam, że to moja wina, nie jej. Bałam się, że ojciec mógłby umrzeć i szaleńczo się bałam igieł, które Nita wbijała nie tylko w swoje własne ciało, ale które przekazywała Renie. Tylko po to, żeby pomyśleć o czymś innym, usiadłam przy stole w jadalni i zaczęłam wszystko zapisywać. To harmonijne popołudnie niedzielne w maju, urlop, urodziny, poniedziałek, wtorek, środa, czwartek.

O czwartej Anna spytała, czy może zadzwonić do Patricka.

- Proszę, mamó. Muszę go szybko o coś zapytać.
- Tylko nie gadaj długo - powiedziałam i zadrżałam na myśl, że Rena dokładnie w tej chwili stoi w budce telefonicznej. Że Nita Kolter i Andre Menke dopiero teraz jej powiedzieli, iż wczoraj słychać było jakieś wrzaski. Że Rena chciała teraz z lękiem i troską zapytać, co stało się w domu. A tymczasem linia zajęta.

Była zajęta najwyżej przez dwie minuty. Potem Anna spytała, czy mam coś przeciwko temu, żeby pojechała do Patricka.

- On zaraz po mnie przyjedzie, mamó. Ale jeśli chcesz, to możemy zostać też i tu.
- Nie, jedź.

Patrick pojawił się wkrótce potem. Anna upewniła się jeszcze raz, że nie mam nic przeciw jej wyjazdowi. Przy drzwiach wyjściowych powiedziała:

- Zajrzymy do dziadka, a dziś wieczorem może pójdziemy do kina. Nie martw się, jeśli wrócę trochę później.

Martwić się? O Annę nigdy nie musiałam poważnie się martwić. O Renę także już nie, w ostatnich dwóch latach. Sil-

173

na i odważna, często myślałam, umiejąca się wczuć, o dobrym sercu, niezależna. Młoda dziewczyna, która ignorowała zręczną babcię. Która pomagała sobie, czyniąc z dumnej Heleńny niepozorną Lenkę. Która nie biegła z każdym drobiazgiem zaraz do mamy, jak Anna.

- Popatrz tutaj, mamó. Uderzyłam się w rękę. Bardzo boli.

Myślisz, że będzie siniec?

Reny musiałam pytać:

- Co ci jest w rękę? Kiepsko to wygląda.

Rena machnęła ręką:

- Nic takiego. Hennessen dał Mattho klapsa, bo był nieznośny. Wtedy się przestraszył i mnie złapał.

- Ugryzł cię?

- To nie było prawdziwe ugryzienie. Mattho nie gryzie.

Była młodym człowiekiem pełnym planów. A jej plany nie miały nic wspólnego z bólem istnienia.

- Wiesz, co wymyśliłam, mamó? Mogłabym zostać pielęgniarzem zwierząt. To bym lubiła robić. Do tego niepotrzebna by mi była matura. Mogłabym sobie darować dwie ostatnie klasy i prędzej zarobiłabym też trochę grosza. Spróbuję w czasie ferii dostać gdzieś miejsce praktykanta. W zoo! Możesz sobie wyobrazić, jak karmię foki?

Kiedy ona mnie o to pytała? Już nie pamiętałam. Widziałam to tylko przed sobą. Siedziała przy swoim biurku, rysowała foki w jednym z małych zeszytów, w których miała notować prace domowe.

- Udo mówi, że zna tam jednego gościa. Nie muszę składać podania na piśmie. Lepiej przedstawić się osobiście. Moglibyśmy tam pojechać w najbliższych dniach.

- Nie ma z tym przecież pośpiechu.

Narysowała małą małpę pod fokami.

- Ale ja wolałabym z tym nie zwlekać, mamó. Tak wielu praktykantów to oni na pewno nie przyjmują. Nie potrzebujesz wcale tym się zajmować. Udo mnie zawiezie. Zapropo-

nował mi to.

Podniosła ku mnie uśmiechniętą twarz, mówiąc:

- Pewnie własnej ujeżdżalni nigdy nie będę miała. A pielęgniarz zwierząt to nie byłoby takie złe.

Jiirgen wrócił do domu o siódmej. Kupił automatyczną se-kretarkę, która nie wyłączała się po podniesieniu słuchawki. Działała jak magnetofon, nagrywając całą rozmowę. Jiirgen spędził kwadrans studiując instrukcję obsługi w jadalni, nagrał kilka słów na taśmę, tylko nasz numer telefonu.

- Nie chcesz podać nazwiska? Albo przynajmniej numeru kierunkowego? Dlaczego nie powiesz: „Proszę zostawić nam swój numer, oddzwonimy najszybciej jak tylko będzie to możliwe”?

Skrzywił się w złym uśmiechu.

- Ponieważ budki telefoniczne mające własne numery są wielką rzadkością. Ten, kto tu zadzwoni, może się upewnić, czy wybrał właściwy numer. To wystarczy.

Nikt nie zadzwonił. Nie tego wieczora. Nie w nocy. Nie w środę i nie w czwartek. Minał pierwszy tydzień i nie straciłam rozumu.

Spędziłam tylko wiele czasu z jej myślami, uczuciami, jej gniewem, jej bólem, jej smutkiem. Olgert nie odwiózł ostatniego dziennika, który mógłby mi dać ostateczną pewność. Brakowało jeszcze co najmniej dwóch innych. Musiały pochodzić z ostatniego półrocza, i ten okres pozostał dla mnie niedostępny. Ale i tak wystarczyło.

Pierwsze tygodnie po naszej przeprowadzce były dla niej katastrofą. Czuła się tu odcięta od reszty świata, oderwana od ludzi, dla których coś znaczyła. Nie było tak, żeby to ona koniecznie potrzebowała Nity i tamtych, tylko raczej na odwrót.

Przy lekturze czasami miałam wrażenie, że ona żałuje Nity, że się stara jej dać coś, czego Nita nie znajdowała u nikogo innego. Potem przyszedł przełom, żreback na pastwisku i po-glądy Hennessena na życie w ogóle, a życie młodych ludzi w szczególności.

Dzięki Hennessenowi nauczyła się patrzeć na Nitę z większego dystansu. Ale nigdy

nie stało się tak, jak sobie wyobra-

175

załam, że Nita stała się nieważna. Wydawało mi się, że odczytuję między wierszami poczucie winy. Rena czuła się czasami jak zdrajczyni, ponieważ wołała konia.

Czasami zaskakiwała mnie swymi rozważaniami. Niczym jakiś psycholog analizowała swoje uczucia i motywy i wysunęła przypuszczenie, że Mattho tylko dlatego tak wiele dla niej znaczy, ponieważ to zwierzę nie żąda od niej niczego, czego nie mogłaby mu dać. Ponieważ przerastały ją oczekiwania Nity. Ponieważ Hennessen powiedział: „Trzeba też czasem pomyśleć o sobie. Nie można się stale troszczyć tylko o innych”.

Od tego nie było już daleko do myśli: A kiedy ten koń zniknął z jej życia... Ale nauczyłam się współistnieć z myślą o szarym mikrobusie. Kiedy ostrożnie żonglowałam myślami, dochodziłam do pewności, że kilka tysięcy marek nie wystarczy na wieki, ponieważ igły są droższe niż frytki i benzyna.

Być z Nitą nie oznaczało dla Reny od razu, że Nita wciąga ją w nałóg. Ale nawet, gdyby do tego doszło, to kilka dni, może nawet tygodni nie mogło tak zatruć i zrujnować jej organizmu, żeby szkody były nie do usunięcia. Lekarski budżet będzie musiał jakoś sobie poradzić z kuracją odwykową. A powrót ojca do zdrowia musiał w tej chwili mieć pierwszeństwo. Jedno po drugim. Kto chce iść za szybko, ten potknie się tylko o własne nogi.

Przed południem pojechałam do szpitala, zawiozłam świeżą bieliznę, zabrałam używaną i odpierałam hardo zjadliwe spojrzenia matki. W czasie jazdy co chwila postanawiałam sobie, że ją przeproszę. Ale kiedy ją zobaczyłam... Nie jest łatwo brać wszystko na własne barki i wszystkich innych uwalniać od wszelkiej winy. Wołałam już raczej modlić się jak dziecko o życie ojca.

Po południu sterczałam przed pralką, mogłam godzinami wpatrywać się w wirujący bęben. Albo krążyłam po całym domu, tu wyczyściłam pół szyby, tam podniosłam parę paprochów z dywanu albo kuchennym ręcznikiem wytarłam taką czy inną plamę z podłogi. Przyzwyczaiałam się przechodzić

176

przez sień w największej możliwej odległości od telefonu i au-tomatycznej sekretarki. Tylko nie patrzeć na zero.

Wieczorem w czwartek nie było już chleba. Jiirgen nawet nie mrugnął. Pojechał do miasta i kupił w supermarkecie trochę świeżej wędliny w plasterkach i kilka opakowań wiejskie-go krojonego chleba.

W piątek padał deszcz, kiedy siedziałam przy łóżku ojca. Matka wyszła z pokoju, gdy przyszłam. Ojciec był przytomny i męczył się, próbując mi coś powiedzieć. Ale jakkolwiek się starałam, słyszałam tylko niezrozumiały bełkot. To było okropne, jego wykrzywiona twarz, wargi, które nie były mu posłuszne, język wyczyniający dzikie łamańce.

- Nie wysilaj się - powiedziałam. - Proszę, nie wysilaj się tak bardzo.

Jego głowa poruszała się szarpnięciami, jakby chciał mi zasygnalizować, że jest to ważne i warte wszelkiego wysiłku. Jego lewa ręka rysowała zygzaki na prześcieradle, a kciuk i palec wskazujący zbliżały się do siebie. Wreszcie zrozumiałam. Chciał coś napisać.

Miałam w torebce notatnik i cienki długopis, prezent od Jiirgena, niewiele grubszy niż źdźbło słomy. Wyglądał elegancko i był nadzwyczaj niepraktyczny. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek coś nim pisała. Tusz był zaschnięty. Jedna kartka z notatnika została zużyta na bazgroły, żeby go rozpisać. Wreszcie narysował pierwszą linię. Wcisnęłam ten długopis w palce ojca.

Nie mógł go utrzymać. Minęło jeszcze kilka minut, w których z nieporadną gestykulacją i wśród dalszych nieartykułowanych dźwięków trudził się, żeby mi wyjaśnić, jak możemy uzyskać na papierze jakieś zrozumiałe zdanie.

Zastosowaliśmy prosty i czasochłonny system. Powoli mówiłam alfabet. Ojciec słuchał w skupieniu i od czasu do czasu dawał znak lewą ręką. Stop! Z pierwszymi słowami niewiele dało się zrobić. POLICJA WAŻNE ZEGAR. Potem akcja zaczęła nabierać jakiegoś sensu. Napisałam M, Ł, O, D i jeszcze Y. MŁODY! Ojciec kiwnął głową zadowolony. Następne słowo: PŁACZE.

177

Menke, pomyślałam. Ojciec podniósł dwa palce złożone w znak litery V. Ale kiedy wymieniłam tę literę, gwałtownym gestem zaprzeczył i ręką z rozczapierzonymi palcami wiosłował po prześcieradle. Pojęłam, co ma na myśli, dopiero, kiedy cofnął palec środkowy i zamiast tego wystawił do góry kciuk.

- Dwa? - spytałam.

Z wahaniem skinął głową.

- Dwóch ludzi?

Gwałtowne przeczenie. Dał mi do zrozumienia, że dalej chce robić tak, jak przedtem. Napisałam M. Powiedziałam:

- To już mam, ojcze. Młody człowiek płacze.

Niechętnym gestem nakazał mi recytować po kolei litery

i nie zabierać głosu. Wreszcie pojęłam, o co mu chodzi. DWA RAZY! A następne słowa: MÓWI ŻE JEST!

Matka wróciła do pokoju, wzdrygnęła się przy drzwiach, widząc, że jeszcze tam siedzę. Właśnie napisałam U po M i wiedziałam, jaka litera będzie następna. P! Znałam już na-wet następne słowo: PRZYKRO!

Chciałam przyspieszyć całą sprawę i powiedziałam ojcu kompletne zdanie: „Jest mu przykro”. Nie ruszył głową, ręką dał znak, że się zgadza.

- Czas najwyższy - powiedziała matka.

- Zamknij się. A więc młody człowiek dwa razy powie-
dział, że mu przykro. Czy powiedział coś więcej, ojcze?

- On nie może mówić - powiedziała matka. - Wiesz, że nie
może, więc nie męcz go.

Ręka ojca sygnalizowała: TAK. I jeszcze raz od początku. Byłam przekonana, że ten młody człowiek to Andre Menke. Ale nie miałam zielonego pojęcia, dlaczego Menkemu jest przykro i co jeszcze mógłby powiedzieć. Dużo czasu nam ze-szło, zanim na papierze pojawiło się kompletne zdanie:

NIE CHCIAŁEM JEJ ZABIJAĆ!

Serce mi się zatrzymało. Nie widziałam ani potu na czole ojca, ani rozpaczony w jego oczach. Widziałam tylko rękę Andre Menkego. Trzymał w niej dozownik z tabletkami słodziku

i wyciskał je na ziemię. Schowałam notatnik i długopis z po-wrotem do torebki, wzięłam ręce ojca w moje i ścisnęłam. Matka stała przy oknie i uważnie obserwowała krople deszczu na szybie.

- Zupełnie niepotrzebnie się zdenerwowałeś - rzekłam i opowiedziałam mu o Andre Menkem, Nicie Kolter i ich okrutnych żartach. Pożerał oczami wypowiedziane przeze mnie słowa. W pewnym momencie usta zaczęły mu drgać, oczy wypełniły łzy, które zaczęły spływać. Przekręcił głowę na bok, podniósł lewą rękę i położył sobie na twarzy.

Matka powiedziała chłodno:

-Lepiej idź już.

Miała rację, był już czas. Nie mogłam patrzeć jak on płacze, choćby to było tylko z ulgi. Pojechałam do domu. A gdy-by przez drogę przechodził Andre Menke albo Nita Kolter, to dodałabym gazu i rozjechała ich. Potem zatelefonowałabym do Klinkhammera i powiedziała: „Właśnie rozgniotłam dwie pluskwy”.

Zrobiłabym tak. Nie mówię tego tylko tak sobie. Młodzi ludzie, którzy stracili wiarę w świat? Dobrze sobie. Ale to im nie dawało jeszcze prawa niszczyć innych.

Kiedy przyjechałam, Anna była już w domu. Pomogła mi szybko nakryć stół i przygotować jedzenie, opowiedziała przy tym, że przypadkiem spotkała w mieście Udo von Wirtha, który się zaoferował zabrać ją razem z jej rowerem.

- Najpierw nie chciałam. Ale potem pomyślałam, że skoro tak pada, to przecież nic takiego.

Potem dowiadywała się ostrożnie, czy w następnych dniach znalazłabym czas wyprać też parę jej rzeczy. Zanim jeszcze zdążyłam odpowiedzieć, powiedziała:

- Ach, nieważne, zaraz to sama włożę do pralki. Pójdzie szybko.

Kiedy Jiirgen przyszedł, stół był nakryty, a w pralce w piwnicy wirowało kilka bluzek Anny i koszul Jiirgena. Były pa-luszki rybne, chleb wiejski z masłem i zieloną sałatą z ogorkami. Sałatą zajęła się Anna.

- Może mogłabyś dziś po południu zrobić jeszcze parę sprawunków - powiedział do mnie Jiirgen i machnął ręką. - Ach, mniejsza z tym. Mogę to też zrobić jutro rano.

Po obiedzie chciał kawy. Ale nie spytał, czy mogę jej zrobić, wstał i sam zrobił. Anna postawiła filiżanki na stole, wyjęła mleczko i cukier.

Ach, mniejsza z tym - pomyślałam. Verę trzeba oszczędzać, ona tak łatwo traci głowę. I wreszcie mogłam powiedzieć, co zapisałam w swoim notatniku.

- Te świnię! - rzucił Jiirgen przez zaciśnięte zęby i wrzasnął: - Co siedzi w tych łbach? Przeklęta, gówniana banda!

Na twarzy Anny odmalował się szok.

- Sama nie wiem - zaczęła z wahaniem - ale myślę, że Menke by tego tak nie powiedział. On by powiedział „kropnąć” albo „posłać do piachu”, ale nie „zabijać”. To brzmi tak staromodnie.

- Kiedy się z tego robi makabryczny dowcip staremu człowiekowi - powiedział Jiirgen - to brzmi akurat tak, jak trzeba.

A ile razy ty rozmawiałaś z Menkem, że tak dokładnie wiesz, jak on wyraża to czy tamto?

Anna wzruszyła ramionami, spojrzała na mnie.

- Powinnaś z tym iść na policję, mamo.

- Po co? — Jiirgen zaśmiał się pogardliwie. — Oni nie interweniują z powodu głupich wybryków.

- A jednak trzeba - powiedziała Anna. - Dziadek też przecież tak myśli. Ale o co mu chodziło z tym zegarem?

- Nie mam pojęcia - powiedziałam. - Może powinnam przy-
najmniej zatelefonować do Klinkhammera?

Jiirgen rozłożył ręce w wielkopańskim geście.

- Proszę, nie krępuj się. Jeśli tak ci zależy na kolejnym
umoralniającym kazaniu.

Nie poszłam na policję ani nie zatelefonowałam. Nie mogłam tego zrobić po
ostatnim przedstawieniu, jakie urządził Klinkhammer. Jiirgen miał jednak rację.
Minał weekend. Anna spędzała większość czasu u Patricka, dwie godziny przy stole
do prasowania i pół godziny przy łóżku ojca. Potem była pełna otuchy.

180

- Wydaje mi się, że dziadek już troszkę przyszedł do siebie.

Nie sądzisz, papo?

Jurgen kiwnął głową. Stan ojca był wciąż krytyczny. Trwał w otepieniu; albo był za
słaby, aby dodać coś jeszcze do tego, co mi podyktował w piątek, albo uspokoiło go
moje wyjaśnienie.

Tymczasem prowadzący lekarz bardziej się martwił o matkę. Postawiono jej łóżko w
pokoju ojca, ale nie spała. Podaowano jej regularnie posiłki szpitalne, ale nie jadła.

- Ona się wykończy - powiedział lekarz. - Siedzi przy nim
godzina po godzinie, dzień i noc. Rozmawia z nim, myje go,
karmi go. Wyřęcza siostry w wielu sprawach, z czego one
zresztą są zadowolone. Ale tak dalej być nie może.

Zasugerował, że powinnam z matką poważnie porozmawiać. Właśnie ja! Czy on jest
ślepy? Albo tylko za bardzo zajęty, żeby zauważyć, iż matka wychodzi z pokoju,
kiedy ja wcho-dzę?

Jurgen wziął na siebie tę poważną rozmowę. On umiał z nią postępować.

- Matko, bądź rozsądna. Musisz wypocząć. Nie przyspa-
rzaj mu jeszcze więcej trosk, niż ma i bez tego. Myślisz, że to

pomoże w jego wyzdrowieniu, kiedy ty padniesz z wyczerpania?

I znowu poniedziałek. Anna o wpół do ósmej poszła do stodoły, a Jurgen pół godziny później. Wyszedłam z domu na krótko przed dziewiątą. U mnie zbiornik samochodu był prawie pusty, a moja portmonetka również; Najpierw do banku, potem na stację benzynową, potem do szpitala, tak sobie wyobrażałam moją trasę. Ale nie wyjechałam nawet za bramę.

Kiedy wyjeżdżałam ze stodoły, na podwórze skręcał właśnie Klinkhammer. Wsiadł, podszedł do mojego samochodu, odrzucił włosy z twarzy i wyszczerzył się w koleżeńskim uśmiechu.

- No to mam szczęście.

Sądził, że wybieram się do gabinetu i że się spieszę. Ale chciał mi zająć tylko kilka minut; nie warto nawet wchodzić

181

do domu, powiedział. Co prawda, w środku pewno jest przytulniej. Na zewnątrz panował chłód i wilgoć. Weszliśmy do środka. W sieni zdziwił się spostrzegając automatyczną sekretarkę i zero na jej liczniku.

- A to kiedy sobie państwo sprawili?

- We wtorek.

Poszedł za mną do kuchni, spytał, czy może zapalić, i od razu zaczął ćmić papierosa.

- Przykro mi - zaczął, zaciągając się - jeśli przy naszej ostatniej wizycie za ostro się z panią obszedłem i dlatego miała pani opory przed regularnym zgłaszaniem się do nas. A może były inne powody?

-Nie.

Skrzywił twarz, jakby chciał się uśmiechnąć i nie wiedział, jakich mięśni musi do tego użyć.

- Jesteśmy przyzwyczajeni, że rodzice w takich przypad-

kach telefonują albo pojawiają się osobiście trzy razy dziennie. A skoro pani tego nie robi, skoro nie słyszymy nic o pani przez cały tydzień i nie odbiera pani nawet roweru swojej córki, to trochę dziwne. Wtedy szybko przychodzą człowiekowi głupie myśli do głowy.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole. Na śmierć zapomniałam o rowerze Reny. Patrzyłam przez okno na otwarte wrota stodoły i w ciemność za nimi. Widziałam tam stojącą Bellę, do której podchodzi Rena. Co się mówi na ładny prezent? Dziękuję. A co się mówi na niewłaściwy prezent? Chciałabym go zabrać i pójść sobie!

- Co pan rozumie przez głupie myśli?

Kątem oka zobaczyłam, jak wzrusza ramionami.

- To nie takie ważne.

Krótką przerwę, jeszcze jedno zaciągnięcie się papierosem. Ktoś kiedyś powiedział, że papieros to najchętniej wykorzystywany środek pomocniczy ludzi pozbawionych pewności siebie. Jeśli ktoś nie wie, co albo jak ma powiedzieć, to może wciągnąć dym i odwlec sprawę o kilka sekund. Tak właśnie robił Klinkhammer.

182

Jego głos brzmiał neutralnie, kiedy zapytał:

- Czy pani córka przez ten czas się odezwała?

- Przecież widział pan zero!

Jeszcze jedno wzruszenie ramion.

- Coś takiego można cofnąć.

Na następne pytanie nie potrzebował czasu.

- Poinformowałyby nas pani, gdyby się pani czegoś dowodziła?

Kiwnęłam głową. Milczał, głęboko się zaciągnął i powoli wypuścił dym z powrotem. Przyglądanie mu się było fascynujące. I wzmagало napięcie! Mijały sekundy.

Czekałam na łomotanie w piersi, na ucisk za żebrami, ale miałam tylko węzeł w mózgu.

- Znaleźliście Renę?

Powiedziałam to na głos, ale zdałam sobie z tego sprawę dopiero, kiedy mi odpowiedział.

- Wtedy bym nie pytał, czy się do pani odezwała. - Maleń-

ka przerwa i dodał: - Ale już wiemy, gdzie jest Menke.

Węzeł w moim mózgu rozluźnił się, zaczęło mi szumieć w głowie, moje kolana zrobiły się miękkie. Uznałam to za falę ulgi, która przelewa mi się przez głowę i kończyny. Klinkham-mer spojrzał na swój środek pomocniczy, strząsnął trochę popiołu i mówił dalej, powoli i z namysłem, starannie dobierając każde słowo - o Frankfurcie.

Nie znałam się na reakcjach alergicznych na wspomnienie wielkiego miasta. My mieszkaliśmy na wsi, w której prostytucja była określana jako pielęgnacja chorych. A przedtem mieszkaliśmy w małym mieście, tam nazywała się działalnością towarzyską. Dla mnie Frankfurt był ostoją bankierów. Widziałam przed sobą biurowe pałace, szerokie ulice, wąskie ulice i duży ruch. A gdzie jest duży ruch, tam też jest dużo wypadków. Andre Menke miał wypadek, teraz leży w szpitalu. Tyle zrozumiałam od razu.

Być może niektóre rzeczy źle zrozumiałam. Ale jestem pewna na sto procent, że Klinkhammer użył słów „wypadek drogowy”.

183

- Czy Menke był sam w samochodzie, kiedy to się stało?

Jeszcze raz długo się zaciągnął. Czekałam na potwierdzenie.

On powiedział:

- Zdaje się, że nie.

- Czy to znaczy, że dziewczyny były z nim? I gdzie one są

teraz?

Długie westchnienie. Papieros już mu nie pomagał. Trzymał w palcach już tylko

filtr ze stożkiem popiołu.

- Nie znamy jeszcze szczegółów.
- Dlaczego nie spytacie o szczegóły Menkego?

Uśmiechnął się blado.

- Mój kolega już tam jedzie.

W tej chwili w duchu zobaczyłam, jak na podwórko wjeżdża samochód. Po jednej stronie wysiada z niego Rena ze spuszczoną głową i zwieszonymi ramionami, po drugiej Olgert rozpromieniony w uśmiechu. Bierze ją pod ramię i prowadzi w kierunku domu. Mówi: „Nie bój się, nie urwą ci głowy. Będą szczęśliwi, że jesteś znowu w domu”.

Wciąż jeszcze czekałam na łomot w piersiach i nie pojmo- wałam, dlaczego serce zostawia mnie w potrzebie. Przy tym sprawa była prosta. Olgert nie musiałby koniecznie udawać się w podróż osobiście, gdyby chodziło tylko o zapytanie Andre Menkego o miejsce pobytu dziewczyn. To mogłaby zrobić policja we Frankfurcie.

I oni go zapytali, na pewno. Tylko im nie odpowiedział. Menke to uparty sukinsyn, który lubi wprawiać innych w stan paniki. Nie odpowiedziałby też Olgertowi. Wyśmiałby go. A szukaj sobie sam, jak masz czas, gliniarzu. Widziałam go przed sobą, jak stał obok Nity pod drzwiami naszego domu, wysoki na metr osiemdziesiąt z okładem, szczupły, z pociągłą twarzą, znudzoną miną i wyniosłością w oczach. Krótkie włosy ufarbował na żółto. Żółto - nie na blond! Kilka kolczyków w uszach, w nosie i brwiach. Miałam gorzki posmak na języku.

- Czy mogę pomówić z Menkem?
- W tej chwili to by było trudne.

184

Klinkhammer ostrożnie odłożył nadpalony filtr do popiel- niczki i w skupieniu wpatrywał się w okno.

- Ma złamaną szczękę.
- To niech napisze, gdzie są dziewczyny!

Spojrzał mi z powrotem w twarz, a ręce podniósł znowu do uszu. Jak łatwo jest przejrzeć niektórych ludzi. Teraz był poli- cjanem. Kimś, kto jest zmuszony

przekazywać niemiłe wiadomości.

- Pani Zardiss, Menke nie może też niczego napisać. Jest z nim dosyć krucho. - Wyliczał: - Połamane obie ręce, oba ramiona, oba podudzia, strzaskane rzepki kolanowe, złamania żeber, pęknięcie czaszki, stłuczenie mózgu i pęknięcie śledziony.

Pomyślałam sobie: ciężki wypadek. Dziewczyny musiały mieć niesamowite szczęście, jeżeli nie są równie ciężko rannne. Nie współczułam Andre Menkemu. Zbyt żywo stało mi jeszcze przed oczyma, jak ojciec się męczy, żeby mi litera po literze przekazać wiadomość.

- Opracowaliśmy świetny system - powiedziałam, objaśniłam mu naszą metodę i także to, co odjęło mowę ojcu.

Zerwał się z krzesła, jakby go jakiś giez ukąsił w tyłek.

- Kiedy ten telefon miał miejsce?!

- W zeszły poniedziałek, w południe o wpół do dwunastej. Przedtem był jeszcze jeden, w nocy. Mój mąż go odebrał. Ale wtedy nikt nic nie powiedział.

Klinkhammer wyrznął pięścią w stół.

- A dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? Do diabła, pani Zardiss! Byliśmy tu w poniedziałek po południu, wtedy pani ojciec leżał już w szpitalu, a pani uznała za zbędne, żeby pisać o tym choćby jednym słowem.

- W tym momencie sami jeszcze nie wiedzieliśmy, dlaczego to się z nim stało. A mówieniem zajął się pan sam.

Uspokoił się znowu, kilka razy głęboko odetchnął i podniósł się.

- Czy ma pani coś przeciw temu, żeby pojechać ze mną do miasta? Możemy porozmawiać dalej w czasie jazdy.

Wyszliśmy, wsiadłam do jego samochodu, uruchomił silnik i zapytał:

- W poniedziałek po południu był ostatni telefon?

-Tak.

Pokiwał głową, jakby się nie spodziewał innej informacji, i dość szybko zjechał do szosy.

- A o co chodzi z tym zegarem?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- I pani ojciec jest całkiem pewien, że jakiś młody człowiek był przy telefonie?

- Tak przypuszczam, inaczej by tego tak nie podkreślał.

- Czy mogę z nim mówić? Czy on jest przytomny?

- Nie zawsze.

- Może się myli. Był dość wzburzony, a kiedy ktoś płacze, może to silnie zmienić jego głos. Przypuśćmy, że przy telefonie nie była dziewczyna.

Po co mielibyśmy tak przypuszczać? Nie chciałam snuć spekulacji, tylko wiedzieć, co się stało. Skręcił w prawo na szosę, nie włączając kierunkowskazu, i dusił gaz tak, że pedał prawie zniknął pod podłogą. Żołądek podchodził mi do gardła już na pierwszym zakręcie, kiedy powiedział:

- Koledzy we Frankfurcie przypuszczają, że Menke oberwał w poniedziałek przed południem, między dziesiątą a jedenastą. Czy pani córka umie prowadzić samochód?

Zaprzeciłam i próbowałam poskładać kawałki w całość w głowie. Jeździć samochodem! W poniedziałek przed południem! To było tydzień temu!

- Kiedy pan się dowiedział, że Menke leży w szpitalu?

Był skupiony na drodze. Jeden zakręt po drugim. Nie chciał

odwracać swej uwagi, prosił o kilka minut cierpliwości. On też jeszcze nie wie zbyt wiele. A na temat tych niewielu informacji możemy spokojnie pomówić, gdy będzie przy tym mój mąż.

Rzeczywiście nie potrzebował wiele więcej niż kilka minut. Przed gabinetem nie było wolnego miejsca do zaparkowania. Zostawił samochód na środku ulicy, wysiedliśmy, chwy-

186

cił mnie za ramię. Było mi przerażająco niedobrze. Zachowanie Klinkhammera, jego uniki, to dopuszczało tylko jeden wniosek. Coś zbierało się nad naszymi głowami... Nieprawda! Już coś się wydarzyło. I było to coś tak złego, że wołał

o tym mówić z Jurgenem, niż ze mną.

W takiej chwili nie można myśleć. W głowie szumi i trzeszczy, chwyta się strzępy słów i części zdań, myśli jakby z transmisji radiowej zakłóconej przez wyładowania atmosferyczne.

W poczekalni siedziały dwie kobiety. Kiedy weszliśmy do środka, Jaśmin telefonowała. Jiirgen i Sandra Erken byli z ja-kąś pacjentką w pokoju zabiegowym. Klinkhammer posłał mnie po niego.

Nie chciałam pójść.

- Nie mogę tak po prostu tam wpadać.

Bębnił czubkami palców w kontuar rejestracji, aż pojawił się Jiirgen. Sandra poszła z wymazem do laboratorium. Jaśmin poprosiła obie kobiety o trochę cierpliwości. Weszliśmy do gabinetu przyjąć. Twarz Jiirgena była jak wykuta z lodu, zimna i obca. Nic się w niej nie poruszyło, kiedy Klinkhammer mówił. Najpierw suche fakty.

Przeszło godzinę temu telefonował do niego ojciec Menkego. Było to na krótko po tym, jak Walter Menke został poinformowany przez frankfurcką policję o miejscu pobytu

1 krytycznym stanie jego syna. Ale nie świadczyło to o nie-
dbalstwie albo braku zainteresowania policji we Frankfurcie

młodocianymi włóczęgami. Fakt, że cały tydzień im zajęło poinformowanie rodziców ciężko rannego, wynikał stąd, że Andre Menke nie miał przy sobie żadnych dokumentów, kiedy go znaleziono - po anonimowym telefonie do policji.

Głos w telefonie był trudny do zrozumienia, ale bez wątpliwości należał do bardzo młodej kobiety albo dziewczyny. Powiadomiła ona frankfurcką policję o godzinie jedenastej dwadzieścia dwie, na kilka minut przedtem, zanim ojciec dostał wylewu przy telefonie. A Menke nie miał wypadku w mikrobusie, jak do tej chwili Klinkhammer pozwalał mi sądzić.

187

Mikrobus znaleziono dopiero w czwartek, porzucony gdzieś obok drogi, opuszczony. W samochodzie policja frankfurcka znalazła krew. I ślady spermy. I strzykawki narkomana! I trochę heroiny na starym wełnianym kocu, jakby ktoś trzęsącymi się rękami trochę rozsypał. Na podstawie numeru rejestracyjnego ustalili właściciela samochodu i w piątek po raz pierwszy zatelefonowali do Waltera Menkego. Dopiero słysząc jego pytania o syna i na podstawie fotografii ustalili związek z tamtym ciężko rannym.

Krew w mikrobusie, tyle już wiedzieli, pochodziła od trzech osób, przeważnie od Andre Menkego. Druga osoba używała strzykawek. Trzecia prawdopodobnie spowodowała „wypadek drogowy”.

Klinkhammer zapytał, jaką grupę krwi miała Rena. Jiirgen powiedział mu. Tak więc było pewne, że Rena nie straciła krwi w mikrobusie. Klinkhammer podkreślił, że teraz snuje dzikie spekulacje. Wyglądało to prawie tak, jakbyśmy mogli sami sobie wybrać wersję.

Jeśli założyć, że to Nita Kolter korzystała ze strzykawek zażywając narkotyki, to Rena mogła ranić mężczyznę, który się zabawiał z Nitą, albo Rena zmasakrowała Andre Menke-go po tym, jak tamten obcy się z nią... Jedno było pewne, że sperma nie zgadza się z grupą krwi Andre Menkego.

Poczułam nagle kwaśną zgagę w gardle. Pół śniadania po-deszło mi do góry. Z wysiłkiem przełknęłam je z powrotem. Może to była dzika spekulacja, a może i nie. Klinkhammer mówił, że narzędziem zbrodni mógł być podnośnik samochodowy.

W jego niewinnej wersji Rena przy jego użyciu najpierw zmusiła do ucieczki frajera, który się zabawiał z Nitą. Następnie Rena zaczęła młócić Menkego. Przypuszczając, że zabiła Andre, Rena wyrzuciła go z mikrobusu, zasiadła za kierownicą i odjechała z Nitą, która w stanie upojenia heroiną nie była zdolna do niczego.

W okrutnej wersji Klinkhammera Andre Menke został zmasakrowany przez nieznanego mężczyznę. Nita została zgwał-

188

cona. Co potem stało się z tą dziewczyną albo dziewczynami, można było tylko zgadywać. Ale jedna z nich zdołała doczołgać się do telefonu.

Jedna z nich, powiedział. Rena! To musiała być Rena. Krótki odstęp między obydwoma rozmowami telefonicznymi sprawiał, że było to dla mnie tak prawdopodobne. Najpierw telefon do policji we Frankfurcie, osiem minut rozmowy, odwieśnienie słuchawki, natychmiast nowy numer, drugi telefon do domu. A ojciec w zdenerwowaniu nie rozpoznał jej głosu i źle ją zrozumiał.

„Przykro mi. Przykro mi. Nie chciałam go zabijać!”

Tak to musiało być.

7.

dedy Klinkhammer wyszedł, chciałam od razu udać się do ojca. Jiirgen nie dał mi kluczyków do swojego samochodu.

- Nie możesz w takim stanie siadać za kierownicą, Vero.

Nie szalej. Nie zrozumiałaś, co mówił?

Jiirgen uważał, że on zrozumiał. I grzmiał:

- Co za idioci! Jeśli Klinkhammerowi się wydaje, że ja so-

bie na to pozwolę, to grubo się myli. Ja przecież od razu po-

myślałem, że coś tu jest nie tak. Ale wygodnie było nam

wmawiać, że ona podróżuje z Menkem i tą Kolterówną. Do-

brze wiedzieli, że będziemy trzymać gęby na kłódkę, dopóki

w to wierzymy.

- Dlaczego nagle przestałeś w to wierzyć? Bo to, co się dzieje z nią we Frankfurcie, nie pasuje do twojej koncepcji?

Moja córka ma własnego konia. Ale moja córka nie jest...

„Koniku!” - wołała Nita na podwórzu Hennessena. Koni-ku! A pod drzwiami naszego domu pytała, czy Renę zaczęli ujeżdżać. Jak mogłam choćby przez sekundę przypuszczać, że to nic więcej niż tylko złośliwa aluzja, bo Rena nie wyszła do sieni?

Jiirgen zgromił mnie wzrokiem.

- Weź się w garść, Vero. - Wskazując oczami na poczekal-

nię i mówiąc przytłumionym głosem dodał: - A może chcesz,

żeby jutro wiedziało całe miasto? Nita Kolter poszła w ślady

swojej matki. A nasza córka do niej przystała. Podaj mi jakiś

rozsądny powód, dla którego Rena miałaby się zdecydować

zostać prostytutką! To śmieszne.

Mogłabym mu podać kilka powodów, nie dla prostytucji, tylko żeby się przyłączyć do Nity. Nie chciał o nich słuchać. W jego mniemaniu Reny nie było w tym szarym mikrobusie.

190

Dla niego trzy grupy krwi to trzy osoby. W razie walki czwar-ta osoba - Rena - musiałaby nieuchronnie również ulec zra-nieniu, jak Nita i Menke.

Przytoczył jako argument rower Reny, który policja chciała schować pod korcem. A my, idioci, całkiem straciliśmy go z pola widzenia, ponieważ pozwoliliśmy, żeby nam popędzili kota. Rena pojechała rowerem na dworzec, pociągiem o wpół do jedenastej do Kolonii, a stamtąd dalej do Hamburga. I na tym koniec! Vero, później porozmawiamy spokojnie. Nie mam teraz czasu. Jaśmin, wyślij panią Sólde do kabiny numer je-den. Vero, usiądź w poczekalni. Sandro, daj mojej żonie va-lium i szklankę wody.

Nie mogłam usiedzieć w poczekalni, musiałam wyjść, do szpitala, do Kolonii, do Hamburga, do Frankfurtu, pomówić z Andre Menkem. Sandra przyszła z pigułką i

wodą. Pani Sólde znikła w kabinie numer jeden, Jiirgen w pokoju badań, a San-dra poszła za nim. Pożyczyłam od Jaśmin dwadzieścia marek na taksówkę.

- Mam ją wezwać? - spytała.

Jeszcze nie. Ten kawałek do szpitala musiałam przejść. Kiedy się biegnie, ma się poczucie, że się coś robi. Kiedy wpa-dłam do pokoju, ojciec spał. Był już u niego Klinkhammer, którego spławił prowadzący lekarz, jak raczyła objaśnić mi matka.

Matka czuła ulgę i dlatego była skora do rozmowy. Wcze-śnie rano ojciec zdołał powiedzieć kilka słów. Niewiele wię-cej nad to, że dobrze spał. Matka twierdziła, że dobrze go zro-зуміiała. Chciałam obudzić ojca. Matka odradzała.

- On potrzebuje snu, Vero, dużo snu i dużo wypoczynku.

Lekarz powiedział tak też do pana Klinkhammera.

Matka nie rozumiała wzburzenia, nie chciała nic słyszeć

0 Frankfurcie ani o Koniku, o prostytutce nieletnich, heroinie

1 przemocy. To nie był jej świat. To był świat, który przywo-

dził młodych ludzi do zwątpienia i zguby. Ale nam nic takie-

go się nie przytrafi. Czyja sama nie wyjaśniłam ojcu, że Andre

Menke pozwolił sobie wobec nas na kiepski żart? Jeśli to nie

191

mógł być Menke, to właśnie Nita albo Rena. To nie zmieniało faktu, że był to kiepski żart. I co to znaczy, że Rena rozbiła Menkemu czaszkę? Proszę cię, Vero, co to za wyrażenia? Znowu przesadzasz. Jeśli nawet młodzi ludzie się pokłócili, to jeszcze nie powód, żeby zaraz szafować na prawo i lewo takimi mocnymi wyrażeniami!

Dla mnie świat runął w gruzy. Matka czepiała się swojego świętego porządku. I dziwnym trafem było mi jej żal. Mo-głam sobie wyobrazić, co czuje. Kobieta pozbawiona gruntu pod nogami, zostawiona przez matkę sama w świecie, który styl i dobre maniery miał gdzieś, tak samo jak starannie na-kryte stoły i pięknie przybrane torty. Komu brakuje wewnętrz-nego oparcia, ten czepia się ramy zewnętrznej. Czyste paznok-cie i świeżo umyta twarz, dobre stopnie w szkole i przyzwo-ici przyjaciele. Wnuki powinny być pociechą na starość, a nie wpędzać człowieka do grobu. W pewnym momencie stałam przy okienku w banku i nie pamiętałam, kiedy wyszłam

ze szpitala. Ale pamiętałam, że położyłam matce rękę na ramieniu i powiedziałam:

- Pewnie masz rację. Kiedy się ojciec obudzi, powiedz mu, że tu byłam. Że się ucieszyłam dobrą wiadomością. Że mam nadzieję mieć was wkrótce znowu u siebie. Najwyższy czas, abyście wrócili do domu. Nie daję sobie rady sama z tym dużym domem i ogrodem.

A po krótkiej przerwie zapytałam:

- Czy odpowiesz mi na jedno pytanie? Ty przecież też coś słyszałaś, kiedy ojciec wypuścił słuchawkę z ręki. Jiirgenowi powiedziałaś, że tam było słychać gwar głosów. Co ci to przypominało? Czy było jak na dworcu? Może słyszałaś komunikat przez megafon czy coś w tym rodzaju?

Przeczący ruch głową, zamyślona mina, po pewnym wahaniu informacja:

- Tak dokładnie nie zwróciłam uwagi. Ale dworzec... nie wiem. Ja już nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz byłam na dworcu. Ale to nie tak brzmiało. Raczej jak jakieś większe towarzystwo, które się razem dokądś wybiera i czeka jeszcze

192

na gości, którzy się spóźniają. Wiesz, co mam na myśli. Sytuację, gdzie parę osób się niecierpliwi, a inne je mitygują. Wtedy słychać ten pomruk. Coś też dzwoniło. A potem ktoś za-wołał: „Gdzie ty się podziewasz?” albo „Co ty tam robisz?”. To „ty” słyszałam wyraźnie. A potem zrobiło się cicho, jakby ktoś zamknął drzwi.

Albo odłożył słuchawkę, pomyślałam, i poczułam coś w rodzaju podziwu dla gorliwości matki i jej interpretacji. Nie wiedziałam, iż ma tyle fantazji, żeby z paru niewyraźnych szumów w tle skonstruować historię rodem z przyzwoitego świata. Podpisałam czek, widziałam pełen rezerwy uśmiech kasjera. Sprawdził najpierw stan konta, zanim wręczył mi pieniądze. Czek miał pokrycie. To było konto handlowe,

święty Graal, na którym bezpiecznie przechowywane były pieniądze na podatki, składki ubezpieczeniowe, czynsz za gabinet oraz pensję Jaśmin i Sandry Erken. Na czeku wypisałam sumę dziesięć tysięcy.

Albo czwarte zero spłynęło mi z pióra przez pomyłkę, albo już w tym momencie zdawałam sobie sprawę, że czek od ojca nie wystarczy, żeby wysłać godnego zaufania człowieka do takiego miasta jak Frankfurt. Żeby odszukać dziewczynę, która się ukryła, bo myśli, że zabiła człowieka. Tydzień temu! Że odtąd się już nie zgłosiła... Jak mogła się czuć?

Tobie nic się nie może stać, mój skarbie. Jesteś niepełnoletnia. Nikt cię nie oskarży tylko dlatego, że broniłaś własnej skóry. Przecież tak było?

Wiedziałam, co się wydarzyło, jakbym przy tym była. Wsiadła do mikrobusu powodowana rozczarowaniem i bólem po stracie Mattheo. Nie mogła przewidzieć, dokąd zaprowadzi ją droga. Potem musiała się przyglądać, co działo się z Nitą. Menke zdobywał heroinę i frajerów dla Nity. I Rena pojęła, że będzie następna. To, co zrobiła, to była obrona konieczna.

Gdyby tak dało się pleść z myśli sznurki i przywiązywać w dobrze widocznym miejscu do chmur. Przeczytaj, co ci napisałam na niebie. Przeczytaj, Reno, i wróć do domu. Nikt ci nic nie zrobi, nikt nie będzie ci robił wyrzutów.

193

Siedziałam w taksówce, nie wiedząc, że do niej wsiadłam. Kobieta prowadząca samochód spytała:

- Czy to tam z przodu?

- Tak - powiedziałam. Taksówka stanęła i zdziwiłam się, bo nie byłam w domu. Zapłaciłam, wysiadłam, podeszłam do budynku i modliłam się, żeby ona była w domu. Ponieważ nie mogłam zrobić tego jeszcze raz: zapukać do jej drzwi i powiedzieć: Pomóż mi! Poza tobą nie ma nikogo, kto by mi pomógł. Mój ojciec potrzebuje wypoczynku i snu. Jurgen podsuwa mi valium. Anny nie chcę tym obarczać, a moja matka

nie chce o niczym słyszeć. Pomóż mi. Powiedz mi, że Jurgen ma rację. Że moja córka nie pojechała z Andre Menkem i Nitą Kolter do Frankfurtu. Powiedz mi, że opowiadała ci o Mat-tho, torach wyścigowych i ujeżdżalniach, o których marzyła.

Powiedz mi to, proszę, proszę, proszę!

Gretchen była w domu i nawet się nie zdziwiła moim wi-dokiem. Spojrzała na taksówkę i zmarszczyła czoło.

- Czy rozbiłaś swój samochód?

Pokręciłam głową. Cofnęła się od drzwi i wskazała duży pokój.

- Usiądź tam. Zrobię ci kawy. A może nie chcesz?

- Chcę.

- Chcesz też golnąć? Wyglądasz, jakby ci to było potrzebne.

-Tak.

Nie wiem, jak długo siedziałam sama w dużym pokoju i wpa-trywałam się w ciemny ekran telewizora. Jak długo widziałam na nim skaczące nagie piersi i męskie ręce na nich. I twarz Reny wykrzywioną wstrętem i paniką. I spojrzenie matki w pokoju chorego, jak zerknęła ku mnie w górę. Maleńki przebłysk wdzięczności w jej oczach. Wiedziałam, że przyjdiesz do ro-zumu, Vero. Nie oczekuję przeprosin za twoje ataki.

Naprawdę już nie wiem, jak długo walczyłam z chęcią ucieczki. Czego tu chcesz, Vero? Chcesz usłyszeć od tej oso-by, że to nie takie tragiczne, zarabiać pieniądze w taki spo-sób? Zapomniałaś, co Rena zapisała w swoim dzienniku? Po-

194

glądy Hennessena na ten sposób zarobkowania: „Z czegoś musi przecież żyć”. Chcesz usłyszeć zdania w rodzaju: „To musi mieć po mnie!”. Nie rób tego sobie, Vero.

Siedziałam tam pięć minut albo całą wieczność. Gretchen nie spieszyła się. A może to mnie dała czas? Pokój był po-sprzątany, na stole stała wytarta do czysta popielniczka i wa-zon z paru astrami. Na tapczanie leżały dwie poduszki wgniecione dokładnie

pośrodku. W otwartej gablotce stała pożółkła fotografia za szkłem w srebrnej ramce. Jurgen w wieku czterech lat, z niepewnym uśmiechem trzymający niemowlę na kolanach.

Wreszcie przyszła, z tacą w rękach. Dzbaneq do kawy, porcelana, mleko i cukier i mały kieliszek z przezroczystą cieczą. Był oszroniony.

- „Człowiek na nic więcej sobie nie pozwala” - zażartowała, przytaczając slogan reklamowy. - Łyknij, dobrze ci zrobi, pomoże na żołądek i serce i ulży językowi.

Opróżniłam kieliszek jednym haustem. Napełniła obie filiżanki, usiadła na tapczanie i wsypywała cukier do swojej kawy.

- Kiepska sprawa, co? - stwierdziła i rzuciła okiem na fotografię w gablotce po drugiej stronie.

- Gdy je tracimy, kiedy są małe - powiedziała cicho - jest źle. Wtedy człowiekowi zostaje tylko wyobrazenie, że siedzą na chmurce jak pyzate aniołki. A w takie bzdury to ja nigdy nie wierzyłam. Ale kiedy sieje wychowywało przez szesnaście lat, to już nie trzeba ich stale prowadzić za rączkę. Niedługo już miałyby sieje przy sobie. Czy nie można sobie w takim razie powiedzieć, że kiedyś wszystkie i tak odchodzą? I że tam, gdzie odchodzą, jest im dobrze?

- Tam, gdzie ona odeszła, nie może być jej dobrze.

Słuchała mnie, mieszała starannie swoją kawę, nie dając nic po sobie poznać. Kiedy skończyłam opowiadać, powiedziała:

- Wygląda to marnie, ale nie musi tak być. Niewykluczone, że to doktor ma rację, iż zabrała się z nimi tylko na dworzec.

Naturalnie, mogli tylko wyrzucić rower przy dworcu. W mi-

krobusie nie ma za dużo miejsca, jeśli chcieli w nim jeszcze mieszkać.

Nabrała głęboko powietrza, nie dając mi czasu na odpowiedź.

- Jeśli przyszedłeś tylko po to, żeby mnie zapytać, czy mi coś powiedziała, to możemy nie przedłużać sprawy. Nie, nic nie mówiła, że chce prysnąć. Powiedziałabym ci, gdyby tak zrobiła. Ale mnie nie opowiadała nawet tego, że ma jeszcze przyjaciół w mieście.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Może sobie myślała, że ja nie wiem, na jakim świecie żyję, i przelęknę się, kiedy mi opowie o wampirach. Józefina się przecież przelękła. Ona nie może przestać opowiadać we wsi, jak wyglądała ta mała, co wpadła na podwórko Hennesena. Józefina powiedziała Zieglerowej, że nie spodziewała się po Renie, że się zadaje z taką hołotą. Rena robiła zawsze takie miłe wrażenie, ciche i skromne. No i proszę, jeszcze raz się człowiek przekonuje, jak można się pomylić co do tych młodych.

Nie chciałam rozmawiać o siostrze Hennesena ani o jej wrażeniach. Ale najwyraźniej Gretchen nie miała o Renie nic więcej do powiedzenia. Wyglądało, jakby czekała aż wstanę i wyjdę. Kiedy się nie ruszyłam, mówiła dalej.

- Dlaczego nie poczekasz, aż wróci ten policjant? Nie będzie przecież siedział we Frankfurcie do końca świata. Dziś wieczorem na pewno wróci. Oni tam nie mają tyle forsy na wydatki, żeby ich było stać na hotel.

- Nie mogę czekać.

Uśmiechnęła się znowu, tym razem trochę żałośnie.

- Ja też nigdy nie mogłam. Zawsze myślałam, że jutro mogę już nie żyć, a wtedy wszystko na nic. Ale czasami inaczej się nie da. Wtedy trzeba czekać, nawet jeśli jest trudno. Tobie nie pozostanie nic innego. A do dzisiejszego wieczora nie jest tak długo.

- Może Menke nie wie, gdzie są dziewczyny. A jeśli wie, może nie powie.

196

Z namysłem kręciła głową.

- Tak, trzeba się z tym liczyć. I co wtedy zrobisz, pojedziesz sama do Frankfurtu? Będziesz tam się włóczyć i grzebać w brudach? Zrób tak, jeśli uważasz, że tak trzeba. Daję ci dwa dni, dłużej nie wytrzymasz. Nie masz pojęcia, jak jest w rynszto-
ku. Chcesz jeszcze sznapsa?

Kiwnęłam głową, ona poszła do kuchni, wróciła z butelką, wlała mi do kieliszka. Wypiłam, a ona naląła mi jeszcze raz.

- Nie żałuj sobie, czasami to pomaga. W końcu nie prowadziś samochodu. Otto może cię odwieźć, jak wróci od Hennessa. On rzadko gdzieś siedzi dłużej niż dwie godziny.

Na moje pytania uzyskałam już odpowiedzi. Nie było sensu zostawać tam dłużej. Nie było też powodu pytać o Ottona. Ale nie chciałam być nieuprzejma i zrobiłam to.

- A co on robi u Hennessa?

Znowu się uśmiechnęła.

- Rozpędza chmury. Możesz mu podziękować, kiedy wró-

ci. Ja nie dałam rady przemówić Hennesowi do rozumu. Trzy razy tu był i grzmiał, że musicie mu zapłacić za kobyłę, bo inaczej złożę na was doniesienie. Chciał co najmniej piętnaście.

- Nie, pięć - powiedziałam. - Umówiliśmy się na pięć tysięcy.

W jej uśmiechu pojawiło się coś w rodzaju litości. Po raz czwarty naląła mi do kieliszka.

- Nie mówię o Belli. Tę możecie spisać na straty. Wprawdzie jest jeszcze za młoda do hodowli, ale teraz Hennes chce ją zatrzymać. Potrzebuje czegoś w zamian za kasztankę, tak powiedział Ottonowi. Otto jeździ tam codziennie i pomaga mu w stajni. Na jednego Hennesa to trochę za dużo obowiązków.

Naląła mi piątego sznapsa, mówiąc:

- Swoją drogą, Hennes to cwaniak. On zawsze udaje, jakby z czystej życzliwości wpuszczał młodych ludzi o każdej porze do stajni. A tymczasem jest zdany na ich pomoc. Rena odwalą za niego mnóstwo roboty. Teraz jej już nie ma, a i Udo się nie pokazuje. No, ten teraz ma dość innych zmar-

197

twień na głowie. Ktoś musi przecież zająć się bydłem i bura-kami Kuhlmannów. Hennes kiedyś przed laty powiedział, że właściwie powinien kogoś przyjąć. Wtedy nikogo nie znalazł, teraz też nie znajdzie. Przecież dzisiaj nikt już nie idzie na parobka. I to jeszcze do kogoś takiego.

Z pięcioma kieliszkami we krwi było łatwo to pojąć. Istniało proste wytłumaczenie, dlaczego Jurgen był przeświadczony o niewinności Hennesena.

- To pedał - powiedziała Gretchen. - Nie wiedziałaś?

Skąd miałam wiedzieć? Jurgen nigdy nic mi nie mówił.

A ojciec, który także wydawał się wiedzieć albo domyślać, nie puścił pary z ust.

- Tak - westchnęła Gretchen. - Jak ktoś jest doktorem bądź

sędzią, to niejedno do niego dochodzi. Ale nie strzępi jęzora

na byle łachmytę. Nikt przecież nie może poradzić na to, że

ma takie a nie inne skłonności. Dawniej Hennes często jeździł

do Kolonii. Gadali nawet, że ma tam kogoś na stałe. Ja mu

powiedziałam: Hennes, jeśli masz przyjaciela, to dlaczego go

nie sprowadzisz do siebie? Masz przecież dosyć miejsca. Tak,

powiedział, u mnie jest miejsce, ale we wsi nie ma. Musiałam

mu przyznać rację.

Roześmiała się cicho.

- Ciekawa jestem, kiedy zaczną gadać, że on kręci z Otto-

nem. Ale ja mam to gdzieś. Otto też. Otto powiedział, że to

bez różnicy, czy przesiaduje tutaj, czy pomaga Hennesowi.

W ten sposób może oszczędzimy doktorowi i Verze masy kło-

potów.

Tak mówiła, jakby Hennesen naprawdę był pewien, że to my zabiliśmy jego klacz zarodową. A, ściśle biorąc, ja!

- Czy to cię dziwi? - spytała. - On zachodzi w głowę, kto

byłby zdolny do takiego szaleństwa. Miała dostać ponad dwa-

dzieścia ciosów, kilka w szyję, a najwięcej w brzuch. Ja też

sobie myślę, że ten, kto to zrobił, nie mógł mieć piątej klepki.

Powiedziałam mu: Hennes, doktor nigdy by nie skrzywdził

niewinnego zwierzęcia, raczej już tobie by poderżnął gardło.

A Vera każdą godzinę omija z daleka, sam przecież wiesz. Tak,

198

powiedział, wiem. Ale Vera była w takim stanie, że już nie wiedziała, co to strach. Inaczej nie przyszłyby do mnie i nie powiedziałyby mi tego prosto w twarz. Swoją drogą, nie za-szkodziłoby, gdybyś z nim pomówiła. Nielicho go walnęłaś po łbie.

- Nie ja jedna tak pomyślałam - odparłam i opowiedziałam jej o wrażeniach Scherera w knajpie Friedla. Zmrużyła oczy.

- Na twoim miejscu byłabym ostrożniejsza z mówieniem tego głośno. Może Scherer miał co innego na myśli. A jeśli to teraz roztrąbisz, będzie to tylko woda na młyn dla tych, którzy myślą tak jak Hennes. Nie on jeden uważa, że to wy macie tę kobyłę na sumieniu. Już od różnych słyszałam, że coś w tym musi być. Inaczej za dużo by tego było jak na jeden raz. Każdy rozumie, że matka czy ojciec z wściekłości i bólu chcą się mścić, bo ich dziecko zginęło. Więc jak znika dziewczyna, a parę godzin później zaszlachtowany zostaje koń, z którym najczęściej była, to nie tak łatwo uwierzyć, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Pochyliła się do przodu, a jej ton stał się natarczywy.

- A teraz się dobrze zastanów. Jak ci się zdaje, ile czasu minie, nim rozniesie się po wsi, co mi właśnie powiedziałaś? W tej chwili jeszcze wszyscy są po waszej stronie. To może się szybko zmienić. Zrób to dla samej siebie i rozmów się z Hennesem, bo potem będzie za późno. Otto robi co może.

Ale ty go nazwałaś mordercą, to można zatrzeć tylko w cztery
oczy.

Pokręciłam głową.

Bez słowa wzruszyła ramionami.

- To była tylko propozycja. Sama musisz wiedzieć, co ro-
bisz. Może się jeszcze namyślisz. Jak Hennes złoży na ciebie
doniesienie, będzie za późno. Choćbyś wtedy mogła setki razy
dowieść, że leżałaś we własnym łóżku, to ludzie i tak ciebie
będą winić.

Czułam, że ona tylko próbuje mnie odciągnąć od myśli o Frankfurcie. Ale jakoś było
mi z tym dobrze. Może to przez

199

alkohol. Mózg był łagodnie spowity w parę promili, tak że spekulacje Klinkhammera
już nie docierały do niego z taką ostrością, były tylko słowa o zabitym koniu i
związku jedne-go z drugim.

Kiedy chciałam pomówić o tym z Jurgenem, powiedział, że jestem pijana. Nie
przeszkadzało mu, iż się upiłam wódką u Gretchen. Był wściekły tylko dlatego, że -
kiedy wreszcie porzuciłam bzdurną teorię o Hennesenie - ona mi zabiła no-wego
ćwieka. Mamy i bez tego dość zmartwień, powiedział, żeby jeszcze zaprzętać sobie
głowę wiejskimi plotkami i ko-byłami, które nas nic nie obchodzą. On chciał mówić
o Renie i o niczym więcej.

Tak samo, jak wcześniej w gabinecie, tłumaczył mi jeszcze raz rozwlekle, że ona
musi być w Hamburgu, podbudowując swoje wywody trzema grupami krwi. Był
bardzo przekonują-cy. Wreszcie mu uwierzyłam, bo tak było łatwiej. Na koniec
powiedział, że powinnam się położyć do łóżka i wytrzeźwieć. Tak też zrobiłam.

W tym czasie Olgert we Frankfurcie odbierał plastikową torbę. I kiedy mnie się śniły
tory wyścigowe i ujeżdżalnie w Hamburgu, Olgert przeglądał ubrania, które
znajdowały się w torbie. Jasnoszary sweter, para ciemnoszarych frotowych skarpet w
niebieskie prążki i dzinsy ze zwracającymi uwagę ozdobnymi szwami.

Były to rzeczy, które Rena miała na sobie 8 września w drodze do Hennessena. Wczesnym popołudniem, w strugach deszczu, pchając rower przez burzę i błoto. Nie było tabliczki z nazwiskiem na swetrze ani dzinsach, nie czuć ich też było stajnią. Mimo to Olgert musiał od razu wiedzieć, do kogo należały. Dzinsy były do kolan zachlapane błotem.

Nie wiem dokładnie, kiedy Olgert wrócił z Frankfurtu z wypchaną torbą i kopią nagrania rozmowy telefonicznej. To jest właśnie najgorsze, że nigdy nic nie wiadomo dokładnie. Nawet wtedy, kiedy człowiekowi kładą dowody na stół. Czego właściwie dowodzi torba z ubraniami? Czego dowodzą ka-

200

wałki słomy na starym dywanie, którym był wysłany z tyłu mikrobus? Tylko tego, że było nim przewożone ubranie Reny i jej rower. W bieżniku rowerowych kół też były kawałki słomy.

Postanowiłam wszystko zapisywać. Nie zawsze mi się udawało. We wtorek - to był 20 września - zrobiłam przed południem to, czego nie miałam okazji zrobić w poniedziałek. Wyszłam z domu o jedenastej, wcześniej czekałam na Klin-kammera i Olgerta. Cztery razy dzwoniłam do nich do biura i cztery razy otrzymałam informację, że są w terenie. Cztery razy pytałam, co dała wizyta Olgerta we Frankfurcie, i cztery razy usłyszałam odpowiedź, że nikt nic nie wie.

Pojechałam na stację benzynową, a potem do ojca do szpitala. Nic jeszcze nie wiedziałam o plastikowej torbie, wahałam się między przekonaniem, które Jurgen zaszczerpił mojemu otumanionemu mózgowi, a mniej groźną wersją Klin-kammera, która i tak była dostatecznie zła, ale która przynajmniej nadawała jakiś sens telefonowi. Próbowałam skłonić ojca do przyznania, że pomylił się co do głosu w telefonie, że mogła to być też z powodzeniem dziewczyna, że mogła to być Rena.

Matka położyła kres moim wysiłkom, ponieważ za bardzo denerwowałam ojca. Wywołała mnie z pokoju.

- Jeśli nie będziesz cicho, Vero, będę musiała wezwać lekarza. On sądzi, że stan twojego ojca, który był już ustabilizowany, pogorszył się, bo urządziłaś z nim ten cyrk z literami. A teraz zaczynasz znowu. Jeśli chcesz jeszcze raz wejść do środka, masz mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Powiedz mu, że policja wie, gdzie jest Rena i jej przyjaciele, i są pewni, że przy telefonie była przyjaciółka Reny. Pan Klin-kammer powiedział, że to mogłaby być przyjaciółka Reny. Ale... Nie, już wiem, co mu powiesz. Sama Rena telefonowała, ponieważ ten młody człowiek miał

wypadek samochodowy. Tak mu to powiesz, to go uspokoi.

Powiedziałam mu to. Nie zareagował, odwrócił tylko głowę do ściany i zamknął oczy. Rozmawiałam więc z matką, zgodziłam się z nią, że wobec zapasów mięsa w zamrażarce

201

i braku czasu wskazane jest gotowanie jedzenia na dwa dni. I że nie powinnam zadawać sobie trudu mycia wszystkich okien. Że zupełnie wystarczy, jeśli wytrę kurz na sucho od zewnątrz.

Na krótko przed pierwszą byłam z powrotem w domu, usiadłam w pokoju jadalnym i opisałam cały poniedziałek. Doszłam do punktu, kiedy Anna mnie obudziła - około szóstej wieczorem - mówiąc mi, że zrobiła zupę. Kiedy odpowiedziałam:

- Wątpię, żebym zdołała cokolwiek przełknąć. Mam okropne bóle głowy, jest mi niedobrze.

Kiedy twarz Anny przybrała wyraz dezaprobaty.

- Mamo, nie wolno ci się tak poddawać. Nie widzisz, że tato ma rację? Gdyby Rena była razem z Nitą i Menkem, to Klinkhammer dawno by zatelefonował. Olgert pojechał dziś rano do Frankfurtu. Jeśli nawet jeszcze nie wrócił, to na pewno tymczasem zgłosił się do Klinkhammera. Założę się o wszystko, mam, że oni od dawna wiedzą, jak było, i teraz jest im łyso. Zobaczysz, że jutro rano będą stali ze stropionymi minami przed drzwiami i będą żałować, że cię niepotrzebnie zdenerwowali. A może okażą się zbyt tchórzliwi i tylko zatelefonują.

Doszłam do tego miejsca. Oni ani nie telefonowali, ani nie pojawili się osobiście ze stropionymi minami. Napisałam jeszcze kilka zdań o tchórzostwie, o policjantach, którzy człowieka pozbawiają gruntu pod nogami, a potem nie mają odwagi przyznać się do pomyłki. I parę słów o nadziei, że Jurgen ma rację, i że wkrótce będę

mogła rozmawiać z ojcem jak za dawnych czasów.

Przerwała mi Anna wracająca ze szkoły. Kilka minut później na podwórko wjechał Jurgen. Zrobiliśmy sobie szybko coś na obiad. Potem Anna poszła na górę, a ja sprzątnęłam kuchnię. Jurgen wrócił do gabinetu.

Chciałam dalej pisać o jego wściekłości, która tymczasem przekroczyła punkt wrzenia. O konsekwencjach, jakie dla Klinkhammera i Olgerta mogło mieć ich niedbalstwo. Przy

202

jajkach i chlebie Jiirgen z przyjemnością rozwodził się nad tym, kogo na nich napuścił. Dobrego doktora Steinschneidera i naturalnie prasę; ponieważ ślad prowadzący do Hamburga tymczasem zdążył już ostygnąć.

Potem chciałam się wybrać do Hennessena. Przeprasić go za moje bezpodstawne podejrzenia, pomówić z nim o kasztance, o związku między tymi sprawami, którego istnienia domyślano się na wsi. I o wrażeniach Scherera z pobytu w knajpie Friedla. Jeśli Jiirgen miał rację, wróciłam przeciw znowu do punktu wyjścia. Aż nagle znalazłam się w punkcie końcowym.

Klinkhammer i Olgert przywieźli torbę. Czekali z tym do wczesnego popołudnia, nie z tchórzostwa, tylko dla pewności, że Anna będzie w domu. Może mieli nadzieję zastać ją samą. Anna miała obejrzeć ubrania i powiedzieć: „Tak, te rzeczy miała na sobie moja siostra, kiedy widziałam ją po raz ostatni”.

Tak właśnie powiedziała Anna. Stałam obok i miałam nóż w głowie. Kroił mi mózg na plasterki. Moja córka, moja ładna, wrażliwa, odważna, współczująca Rena jako uliczna prostytutka, w jakiejś mordowni, w jakiejś gównianej dziurze we Frankfurcie. Biciem i narkotykami przez jakąś świnię zmuszana do prostytucji.

Klinkhammer nie spuszczał mnie z oka, choć mówił wyłącznie do Anny. Miała posłuchać anonimowego telefonu, który policja we Frankfurcie rutynowo nagrała. Miała powiedzieć, czy zna ten głos i czy ten płacz był identyczny z tym, który słyszała przy pierwszym telefonie rano po zniknięciu Reny.

Olgert nie chciał stać tylko beczynnym i zwrócił uwagę, że ten głos jest nadzwyczaj trudny do zrozumienia. Prosił Annę o wzmożoną uwagę.

Jej napiętą twarz widzę przed sobą jeszcze dzisiaj, zmarszczone w skupieniu czoło, lekko przymrużone oczy, które uniękały mojego wzroku.

Był to chaos odgłosów. Brzęki, dzwonki, łomot, nieznośnie irytująca melodia, gwar głosów, głośny śmiech i niezrozumiałe

203

krzyki w tle. I nad tym wszystkim łkanie, sapanie i bełkot, prawie ani jednej zrozumiałej sylaby.

Anna poprosiła, żeby jeszcze raz dali jej posłuchać. Ja tak-że przy drugim przesłuchaniu rozumiałam tylko fragmenty. Mimo woli musiałam się roześmiać, kiedy mi się przypomniało, jak matka interpretowała dźwięki, które dobiegały z wi-szącej słuchawki. Liczne towarzystwo!

Matka widziała w wyobraźni przypuszczalnie zgromadzenie dam i panów w wieczorowych strojach z kieliszkami szam-pana w rękach, niecierpliwie czekających na szofera, który miał ich zawieźć na koncert. Ja słuchając dźwięków z taśmy wi-działam urzniętych, zapoconych facetów, tłoczących się przed szynkasem taniej knajpy; na ścianie wisiał automat do gry, który próbował zagłuszyć ich ryk kaskadą dzwonek, gwiz-dów i dudnienia. Obok automatu do gry wisiał telefon. A przy telefonie stała...

- Nita - powiedziała Anna po trzecim przesłuchaniu. -

Myślę, że to Nita. Nie jestem całkiem pewna, tak często nie miałam z nią do czynienia, i naprawdę trudno ją zrozumieć.

Ale to wyrażenie - Yellowman - tak ostatnio nazywała Menkego, bo ufarbował sobie włosy na żółto. Mówiła o tym moja siostra.

Ja nic nie słyszałam o żadnym Yellowmanie. Ja z tego gąsz-czu wyraźnie wyłowiałam tylko jedno słowo: Konik. A potem kilka sylab posiekanych przez łkanie, które w moich uszach brzmiały jak „...nie chciałam tego zrobić...”.

Olgert kiwnął głową, jakby sprawa z włosami Menkego była mu doskonale znana.

- Czy jest pani pewna, że to nie pani siostra?

Anna energicznie zaprzeczyła ruchem głowy.

Olgert spytał:

- A płacz, czy pani go poznaje?

Anna wydeła usta, uniosła ramiona i opuściła je znowu.

- Brzmi podobnie jak tamten w piątek rano. To znaczy, te-
raz, kiedy już go nie słyszę, wydaje mi się podobny. Właśnie
przed chwilą myślałam, że j est całkiem inny. Ale - tak sądzę -

204

kiedy ktoś jest taki wykończony i kiedy raz coś mówi, a raz nie, to nie można...

Jeszcze jedno bezradne wzruszenie ramionami i ledwo do-strzegalne pokręcenie
głową.

- Przykro mi, nie umiem powiedzieć na pewno.

Klinkhammer podziękował Annie i zwrócił się do mnie. Przybrał poważny wyraz
twarzy, a ton jego głosu stał się bla-galny. Jego ręce nie nadażały z odgarnianiem
opadających na twarz włosów. Mówił na zmianę z Olgertem, prześcigali się w
staraniach o uspokojenie mnie.

Droga pani Zardiss, to ubranie nie dowodzi w ogóle nicze-go! Krew trzech osób, to
pewne. Dwóch mężczyzn i jednej dziewczyny! Narkomanki. Nita Kolter ćpała, to
wiemy na pew-no. Znaleźliśmy w jej pokoju różne poszlaki. A teraz mamy świadka,
pani Zardiss! Młody człowiek, który kilka minut po dziesiątej w czwartek wieczorem
przejeżdżał obok obejścia Hennessena.

Nasz świadek widział szary mikrobus przy bramie, a przy nim mężczyznę i
dziewczynę. Dziewczyna miała żółtą pele-rynę z kapturem. Mężczyzna wstawił
rower do mikrobusu i za-mknął tylną klapę. Potem podszedł do drzwi kierowcy.
Dziew-czyna wprawdzie poszła za nim, ale nasz świadek nie zaob-serwował, żeby
wsiadła.

Bo i jak? Tam był długi zakręt, a jezdnia zalana wodą. Tam kierowca miał coś
ważniejszego do roboty niż przyglądanie się mężczyźnie i dziewczynie w strugach
deszczu.

Nie, mylę się. Świadek uważnie obserwował tę scenę we wstecznym lusterku, bo
wydało mu się, że dziewczyna potrzebu-je pomocy. Przyciskała bowiem obiema
rękami do piersi jakieś zawiniątko, przypuszczalnie plastikową torbę. A mężczyzna

próbował zabrać jej to zawiniątko. Wyrwali je sobie, mężczyzna wygrał, wsiadł ze swoją zdobyczą i zamknął drzwi. Dziewczyna waliła w nie obiema rękami, stała tam ze spuszczoneymi ramionami. A potem... kierowca minął długi zakręt i pierwsze domy zasłoniły mu widok do tyłu. Nie przyszło mu do głowy badać dokładnie sprawy w strugach ulewnego deszczu.

205

Mamy więc dwie możliwości, pani Zardiss. Pani córka mogła obejść samochód z drugiej strony i tam wsiąść. Albo nie. Jeśli wsiadła, to mogła pojechać z nimi tylko krótki kawalek. Przymuszczałnie chciała pojechać do obejścia von Wirthów i mogła prosić Andre Menkego, żeby ją tam zawiózł. Więcej w tej chwili niestety nie umiemy powiedzieć.

Ani słowa więcej o tym, że Rena mogła zmasakrować Menkego. To była przecież tylko dzika spekulacja. We Frankfurcie nikt nigdy w to nie wierzył. Kiedy młoda dziewczyna czuje się zagrożona i wpada w panikę, to uderza na oślep - w jedno i to samo miejsce, albo w każde, w które może trafić. Nie gruchocze przecież tak systematycznie ręk, ramion, żeber, podudzi i rzepek kolanowych. Takie metody były przyjęte w pewnych kręgach, żeby pokazać ówokowi ze wsi, że są granice konkurencji.

W moich uszach dźwięczało wciąż jeszcze łkanie Nity: „Konik nie chciał tego zrobić”. Klinkhammer po raz ostatni odgarnął swoją grzywę do tyłu i powiedział:

- Musimy czekać, pani Zardiss, aż będziemy mogli mówić z Menkem.

Ta chwila już nie nadeszła.

Andre Menke umarł następnego dnia - nie odzyskując przytomności i nie mogąc udzielić policji żadnych wskazówek co do napastnika, ani tego, co się stało z dziewczyną albo dziewczynami.

Kiedy Klinkhammer wypowiadał tamte słowa, wiedzieli już, że nikt więcej nie będzie mógł mówić z Andre Menkem. A mimo to wypowiedział je. Anna pamiętała dokładnie, kiedy w piątek wróciła ze szkoły. W piątek w gazecie był nekrolog. Rozłożyłam gazetę dopiero wtedy, kiedy Anna i Jiirgen wyszli z domu. Ale siedziałam jeszcze nad nią przy kuchennym stole, kiedy Anna wróciła do domu. Zajrzała mi przez ramię i przez dobrą chwilę oburzała się zakłamaniami naszego społeczeństwa. Miała na myśli nie tylko policję.

„Pogrążeni w głębokim żalu po stracie naszego ukochanego syna Andre, którego okrutna zbrodnia wydarła z naszego grona”.

- To dupki - powiedziała Anna. Pierwszy raz słyszałam u niej takie wyrażenie. - Jeszcze kilka tygodni temu ojciec Menkego powiedział do ojca Patricka, że jak tak dalej pójdzie z Andre, to niedługo sam mu rozwali makówkę. On przecież się cieszy, że ktoś go w tym wyręczył.

Pod piątkiem mam tylko ten zapis dotyczący jakiejś ważniejszej sprawy. Jeszcze kilka zdań o wściekłości, jeszcze kilka słów o bezsilności. I tuzin pustych linijek, które oddawały to, co czułam. Niech tam policja zadaje sobie trud, żeby nas trzymać w niepewności. Mnie za dowód wystarczyły brudne dżinsy i sweter. Rena była z nimi. A śmierć Menkego zgasiła we mnie ostatnią iskierkę nadziei.

To było tak, jakby pokazując tę plastikową torbę pokazali mi nagrobek. A ten nekrolog uzupełnił napis na nim. Nie ma już szansy, żeby ją w porę znaleźć! Moja Rena, ta ładna dziewczyna o blond włosach i sercu pełnym koni, zniszczona przez dzikie zwierzęta.

Weekend. Trzeci!

Grobowa cisza w domu i w duszy. Żadnych pień Nibelungów, żadnych jędrnych powiedzonek, żadnego zwinnego znikania-pod-prysznicem, żeby babcia nie dostała ataku. Czy tam, gdzie była teraz, mogła wziąć prysznic? Musiała przecież istnieć jakaś możliwość zmycia tego brudu.

Jiirgen pojechał w sobotę do miasta załatwić różne sprawy. Ale ważniejsza od chleba, krojonej wędliny i paru gotowych dań była dla niego wizyta u naszych przyjaciół i po-mocników. Klinkhammer telefonował do niego w piątek do gabinetu i prosił, żeby przyszedł sam. Jiirgen miał przesłuchać nagranie z Frankfurtu. A jemu zaprezentowali wersję oczyszczoną. Powiedział o tym dopiero, kiedy wrócił. Nie wspomniał, co jeszcze mu zaprezentowali.

Spytałam go, dlaczego nie powiedział o tym wcześniej. Chętnie pojechałabym z nim, bo ze słów Nity zrozumiałam

na pewno tylko jedno zdanie. Jurgen powiedział, że powinien się cieszyć, bo wszystko inne to tylko głupoty. Jego mina była jak drut kolczasty, za którym

piętrzyły się góry lodowe.

Technik od nagrań zadał sobie wiele trudu, żeby odfiltrować głos z tego chaosu. Dla Jurgena nie było najmniejszych wątpliwości, ani co do głosu, ani płaczu w nocy z niedzieli na poniedziałek. Jeśli Anna przy pierwszym telefonie nie była w stu procentach pewna, to Jurgen był - i na tym koniec!

Nita telefonowała do nas trzy razy! Ostatnim razem prawie wyprawiła na cmentarz naszego biednego ojca, teścia i dziadka. I jeśli Jurgen tę przeklętą wywłokę dostanie kiedykolwiek w swoje ręce, to wyłupie jej ten wykoślawiony mózg z czaszki. Koniec i kropka.

Anna trochę popłakała, i spekulowała, co mogło Nitę skłonić do telefonowania do nas. Musiał istnieć jakiś szczególny powód, inaczej przecież nigdy by do nas nie zadzwoniła. Może ten obcy w mikrobusie miał na sumieniu nie tylko Menkego, może zabił także Renę, bo się broniła. A Nita widziała, jak Rena umierała. Teraz żałowała, że wzięła Renę ze sobą, i chciała nas przeprosić. To według Anny tłumaczyło ostatni telefon, ale nie dwa wcześniejsze. Wtedy przecież jeszcze nic się nie stało!

Jurgen kazał Annie milczeć. Jeśli ktoś jeszcze w jego obecności wymówi imię Nity, to pożegna się z zębami.

Nie widziałam Reny martwej. Widziałam tylko martwe obrazy. Rena na brudnym materacu, a na niej śmierzące, pocące się, tłuste cielsko męskie. A Nita powiedziała: „Konik nie chciał tego robić”.

Widziałam jawnego szpitalu z tym skomplikowanym złamaniem, jak odwraca twarz ode mnie.

- To przecież moja stopa.

Moja stopa, moje życie! Przez własną głupotę znalazłam się w tej sytuacji, mamo, i sama poniosę konsekwencje. Przejdę przez to aż do gorzkiego końca. Po co mam cię prosić o pomoc, mamo? Ty mnie przecież nie usłyszysz, kiedy zawołam. Przecież wcale mnie nie chciałaś.

208

To było najgorsze. A może i nie. Nie wiem, co było najgorsze. Dzisiaj to, jutro tamto, a pojutrze jeszcze co innego. I każdego dnia czekać!

Ojciec czuł się lepiej. Kiedy odwiedziliśmy go w niedzielę, siedział na łóżku.

Uśmiechnął się do nas, a uśmiech nie był już tak zdeformowany. Jego prawa ręka leżała na prześcierańdle jak jakieś martwe zwierzę. Opanowanie lewej wydawało się kosztować go wiele trudu. Nie mógł utrzymać filiżanki. Matka dawała mu pić. Dwa, trzy słowa - łyk herbaty.

Faktycznie, mógł mówić. Jego mowa brzmiała niewyraźnie, jak kogoś w sztok pijanego. Nie udało mi się skupić na tyle, żeby wyłowić jakiś sens z tych paru słów między łykami herbaty. Ale i tak miałam za dużo innych spraw na głowie.

Siedziałam tam, patrzyłam na niego, uśmiechałam się, kiedy padało na mnie jego zatroskane spojrzenie. I czasami wy-dawało mi się, że szary mikrobus mocą mojego uśmiechu musi się przełamać i spaść mu na kolana. A razem z mikrobusem martwy Andre Menke, niezdolna do niczego w narkotykowym upojeniu Nita i Rena, ładna, młoda, niewinna dziewczyna, istna gratka dla każdego frajera.

Ojciec mówił o Klinkhammerze, tyle zrozumiałam. Klin-khammer był w piątek w szpitalu, z trzema taśmami. Na jed-nej było kompletne nagranie z Frankfurtu, na drugiej tylko sam głos, a na trzeciej tło dźwiękowe.

Ojciec był poirytowany i matka się martwiła, że znowu się denerwuje. Nagle zaczęli oboje mówić naraz, prawie kłócąc się o to, co w poniedziałek słyszeli przez telefon. Matka upie-rała się przy wykwinnym towarzystwie, dyskretnym gwarze i wołaniu w tle. Ojciec obstawał przy zupełnej ciszy i charak-terystycznym biciu zegara.

- Westminster - powiedział energicznie, rozlewając krople herbaty po prześcierańdle i swojej nieprzydatnej ręce. Lewa ręka podkreślała jego słowa gwałtownymi ruchami. Matka zbliżyła filiżankę do jego ust, odmówił niechętnym ruchem i powiedział:

- Trzy minuty przed czasem!

209

- Wiem - powiedział Jurgen. W jego głosie było naraz słychać zmęczenie i przygnębienie, pogładził rękę ojca i rzucił mi szybkie, nieokreślone spojrzenie. - Klinkhammer mi to

wczoraj powiedział. Ale musiałeś się pomylić, ojciec. Westminster nie wybija godzin. To mógł być co najwyżej Big Ben.

Poczekaj, może mi się uda.

Jurgen wydał z siebie parę dźwięków, w których rozpoznałam określoną melodię. Ojciec zupełnie wychodził z siebie, lewa ręka gestykulowała w szaleńczym tańcu, kręcił głowę, jednocześnie kiwał nią i wyrzucił z siebie kilka sylab, które miały oznaczać albo „tylko”, albo „zegar”; albo i jedno, i drugie.

I nagle obraz nie był już martwy. Widziałam i słyszałam poniedziałkowy poranek we Frankfurcie. Rena i Nita są same w mikrobusie. Nita źle się czuje, jest na głodzie, pilnie potrzebuje nowej działki. Rena pociesza ją i uspokaja, próbuje jej pomóc, na ile potrafi.

Menke wraca. Razem z jakimś obcym. Obcy ogląda obie dziewczyny. Bez białego pudru i czerwonych obwódek wokół oczu może i Nita była ładna. Dostaje swoją działkę, a tamten dostaje ją. Ale potem nie odchodzi. Chce Reny.

Wtedy przyszła mi do głowy gorąca jak wrzątek myśl, że w momencie napadu rzeczywiście mogło jej nie być w mikrobusie. Musiała z niego wyjść razem z Menkem, zanim tamten obcy zaczął się zabawiać z Nitą. To była moja działka, kropelka LSD w szarym chaosie, moja iskierka nadziei. Nie było jeszcze niczego, o co mogłabym ją zaczepić, ale byłam pewna swego.

Rena i Menke czekają na zewnątrz! Rena boi się, że mogłaby być następna. Menke mówi:

- Zajrzę, jak długo to jeszcze potrwa.

Wchodzi do mikrobusu, a Rena korzysta z okazji. Ucieka! Na dworzec! Ale Nita tego nie wiedziała. Nita widziała tylko, jak obcy napada na Menkego i że Reny już nie było. I wtedy Nita pomyślała...

210

W poniedziałek Jiirgen obstawał przy tym, żebym pojechała z nim do gabinetu. Uważał, że powoli nadchodzi czas, abyśmy powrócili do normalnej codzienności. Sandra Erken nie rozdzieli się między laboratorium i asystowaniem przy fotelu i na stałe nie jest też gotowa pracować dodatkowo po południu.

Mieliśmy za sobą krótką noc, godzinami rozmawialiśmy, kłóciliśmy się i

przeklinaliśmy. Chciałam wiedzieć, czego dowiedział się w sobotę od Klinkhammera, czy było coś więcej niż te taśmy. Nie chciał mi powiedzieć. Dopytywałam się, co oznacza Westminster i Big Ben, czy istnieje możliwość, że Rena jest w Anglii. Jiirgen chciał we mnie wmusić pigułkę. Wytrąciłam mu ją z ręki i zamknęłam się w łazience. Walił w drzwi, wrzeszcząc:

- Wyjdź, Vero. Nie rób głupstw. Co ty tam robisz? Otwieraj te drzwi, do diabła, albo wywalę je kopniakiem!

Tak długo się awanturował, aż pojawiła się Anna i bojaźliwie spytała, co się dzieje. Jurgen powiedział:

- Teraz to już jej całkiem odbiło. Chce jechać do Londynu.

Ty z nią pomów. Ja już nie wiem, co jeszcze jej powiedzieć.

Anna też nie wiedziała. Stali tak pod drzwiami rozmawiając szeptem o tym, co mogłam przypadkiem zasłyszeć i co mi naturalnie znowu wpadło nie tam, gdzie trzeba. Że jest szaleństwem żądać od kogoś dochowania sekretu, podczas gdy ci, co tak rozkazują, sami rozpuszczają jadaczkę.

Nie wszystko rozumiałam. A z tej odrobiny nie dało się zorientować, o kim mówili. Po półgodzinie Jurgen wysłał Annę z powrotem do łóżka. Owinęłam się w jego i swój płaszcz kąpielowy i płacząc zasnąłam na dywaniku przed wanną.

Wkrótce po szóstej Jurgen znowu zapukał do drzwi, tym razem łagodnie i bez wydzierania się.

- Otwórz, Vero. Wpuść mnie, muszę się załatwić.

Dwie godziny później siedzieliśmy w samochodzie.

Jak zwykle przed południem, wzięliśmy bmw. O wpół do dziewiątej byliśmy w gabinecie. W poczekalni siedziały dwie

211

kobiety, Jaśmin w rejestracji wypełniała jakiś formularz, a Sandra Erken była zajęta w laboratorium próbką moczu. Jurgen wysłał mnie, żebym jej patrzyła na ręce, co było całkiem zbyteczne. Sam poszedł do pokoju przyjęć.

W laboratorium nie było czego doglądać. Sandra знаła się na tej robocie lepiej ode mnie. Pozytywny! Odczytała wynik testu i powiedziała:

- Z tego na pewno będą kłopoty. W zeszłym roku mąż tej Jankowik dał się wysterylizować. A teraz ona jest w ciąży.

Założę się, że będzie chciała usunąć.

Freda Jankowik nic mnie nie obchodziła, a jej wysterylizowany mąż jeszcze mniej. Ale tego było dla mnie za wiele, sprawy zbyt osobiste. Ze zmartwiałą twarzą zdołałam dojść do pokoju przyjęć. Jurgen nie siedział za swoim biurkiem. Stał przed nim, odwrócony plecami do drzwi, tak że nie od razu mnie zauważył.

Rozmawiał przez telefon i powiedział akurat:

- Pan to ma nerwy, człowieku! A dlaczego się to opóźnia?

Tak, naturalnie, zajmę się tym, co mi innego pozostaje?

Wzdrygnął się, i odwrócił do mnie gwałtownie, kiedy powiedziałam:

- Nie wystawisz jej świadectwa dopuszczalności.

-Co?

- Freda Jankowik jest w ciąży. Nie dopuścisz do skrobanki.

- Czyś ty się z choinki urwała? - Jurgen niechętnie pokręcił głową, i powiedział do słuchawki: - Przepraszam, właśnie weszła moja żona. - Tak, przekażę.

Odłożył słuchawkę i powiedział:

- Piękne ukłony od Klinkhammera. Nie powinnaś tyle rozmyślać.

Uważałam, że moje rozmyślenia nic nie powinny obchodzić Klinkhammera.

- Daj mi z nią porozmawiać, jeśli ona go nie chce.

Jurgen kiwnął głową.

- Dobrze. Czy będziesz teraz tak miła i usiądziesz w reje-stracji? Przyślij tu Jaśmin, żeby mi pomogła.

- Nie! Ja to zrobię. Zawsze to robiłam, to teraz też.
- Mylisz się - sprzeciwił się spokojnie. - Wyjdź teraz, Vero, i usiądź tam, na zewnątrz. A jak zadzwoni telefon, podnieś słuchawkę, a jak ktoś przyjdzie, przygotuj kartę. W żadnym razie nie będziesz stała obok, kiedy ja będę badał Fredę Jankowik. A już w żadnym razie nie będziesz jej opowiadała o dziecku, którego nie chciałaś, a które ci się urodziło mimo to. Które cię teraz pozbawia rozumu. No idź już.

Nacisnął guzik głośnika do wywoływania pacjentów i powiedział swoim uprzejmie neutralnym głosem lekarza:

- Pani Jankowik.

Potem wręcz wypchnął mnie wzrokiem za drzwi. I choć Freda Jankowik zamknęła drzwi za sobą, pchał mnie dalej aż za kontuar rejestracji. A więc usiadłam tam i myślałam: Big Ben, to jest Londyn! Swoją drogą, Rena była zawsze małą zmijką. Jeśli chciała się czegoś dowiedzieć, to nikt tego nie mógł przed nią ukryć. Jakoś zawsze się dowiedziała. Bardzo jej było na rękę, że Nita i Menke chcieli nawiać w tym samym czasie. Poprosiła ich, żeby ją zabrali na dworzec. Potem przy wysiadaniu zapomniała zabrać z mikrobusu torbę z brudnymi rzeczami. A rower nie był jej już potrzebny. Tak mogłoby być. Z pięciuset markami i paszportem w woreczku na szyi. Ile kosztuje bilet z Kolonii do Hamburga? Ile kosztuje bilet na samolot z Hamburga do Londynu? Nonsens, Vero, pomyśl logicznie i na skróty. Z Kolonii - Bonn do Londynu.

Krótko po jedenastej Jiirgen wezwał mnie do pokoju przyjęć. Sandra Erken wyszła mi naprzeciw z zakłopotaną miną

1 szepnęła przechodząc:

- Przykro mi, pani Zardiss, gdybym przeczuwała...

Jiirgen dał jej w czwartek czek, żeby zapłacić za nadgodziny. W piątek poszła do banku. Bank nie zrealizował czeku. Było jej bardzo przykro, że Jiirgen w jej obecności telefoniował, bo nie umiał tego zrozumieć.

Siedział za swoim biurkiem jak boski sędzia. Palcami bębnił po blacie biurka. I ledwie zamknęłam drzwi za sobą, a już grzmotnęła pięść.

- Czyś ty całkiem postradała rozum? - musieli go słyszeć na ulicy. - Gdzie są pieniądze? Coś ty z nimi zrobiła?

Tylko zatankowałam. Reszta czekała w mojej torebce, aż będę mogła ją wcisnąć w ręce godnemu zaufania człowieko-wi. Nie mogłam się przecież rozdzielić. Jeszcze w samym Frankfurcie dałabym sobie radę i dowiodła Gretchen, że mogę dłużej niż dwa dni babrać się w brudach. Ale Londyn i Frankfurt... Chciałam więc wysłać do rynsztoka człowieka o żelaznych nerwach, a sama odwiedzić okolicę Big Bena.

Jurgen zabrał mi pieniądze. Kiedy w południe jechaliśmy do domu, powiedziałam:

- Niech ci się nie zdaje, że w ten sposób przeszkodzisz mi działać. Dosyć długo czekałam i przyglądałam się, jak policja nas wodzi na nos. Jutro jadę do Frankfurtu. Nie muszę zaczynać od rynsztoka. Najpierw spróbuję w zoo.

Jurgen nie mógł nadążyć za mną, a ja za nim. Jego drogi biegły prosto. Każdą przeszkodę brał frontalnie; czasami roz-bijał sobie kolana, ale nie dawał sobie rozdrapać duszy. Spytał, czy wolę zjeść na obiad ragout z kury z ryżem czy żeberka z kiszoną kapustą. Anny jeszcze nie było w domu. Padała mżawka.

- Jesteś jak moja matka - powiedziałam. - Jak ci coś nie pasuje, po prostu odsuwasz to na bok. Dopóki dzieci nie przysparzają kłopotów, jest miło je mieć. Ale biada, jeśli któreś się wyłamie, to fora ze dwora. Po kim to masz, po Gretchen czy po twoim ojcu?

Nie odpowiedział, rozerwał pierwsze z brzegu opakowanie i wstawił tackę do kuchenki mikrofalowej.

- Chcę z powrotem dostać pieniądze! To nie znaczy, że wszystko wydam. Chcę je mieć tylko po to, żeby móc kogoś wynająć, jeśli sama nie dam już rady. Jeśli mi ich nie oddasz,

pójdę jutro do banku, a wtedy podejmę dwadzieścia tysięcy.

- Ani złamanego szeląga, Vero. Oni już nie zrealizują żadnego czeku, jaki wystawisz. Przykro mi, ale nie mogę dopuścić, żebyś mnie wpędziła w tarapaty.

- Kto tu jest w tarapatach? Ty siedzisz w cieple i wygodzie. Nie musisz się bać, że jakiś wszarz złapie cię między nogami.

214

- Ty też nie - powiedział, patrząc na kuchenkę mikrofalową. - Nie musisz się tego bać dla Reny. - Odetchnął głęboko. - Vero, jej nie ma we Frankfurcie, nie ma jej też w Londynie. Powinienem ci to powiedzieć już w sobotę. Ale myślałem... Ach, do diabła z tym! I tak wszystko jedno! Ona nie wsiadła z nimi, Vero. Ona jest gdzieś tu - w pobliżu, tak uważa Klinkhammer.

Gdyby tylko nie był taki spokojny, albo taki zimny.

- Tu w pobliżu?! - zawołałam. - Za jak głupią ty mnie właściwie masz? Co próbujesz mi wmówić? Ciebie przecież nigdy nie obchodziło, co z niej wyrośnie. Ona cię błagała o uznanie, a ty jej celowo nie dostrzegałeś. Ona była tylko naszym trudnym dzieckiem. Załatwienie jej korepetycji kosztowało by parę marek. Jej one były pilnie potrzebne i chciała je otrzymać. I nie byłoby to - do wszystkich diabłów - tak drogie, żebyś się musiał wyrzec tego bmw. Ja chcę tych pieniędzy. Oddaj mi te pieniądze.

- Vero! - To był całkiem nowy ton. Potem przez chwilę panowała cisza. Próbował złowić moje spojrzenie. Patrzyłam w okno kuchenne. - Ostrzegam cię, Vero. Weź się w garść. Jeśli będziesz tak postępować nadal, to spytam Jankowik przy następnej wizycie, czy może mi polecić swojego adwokata.

Anna przejechała na rowerze przez podwórko, wjechała do stodoły, po chwili znowu się pojawiła. Rzuciła okiem na zaciągnięte chmurami niebo, zmarszczyła nos i ruszyła przed siebie.

- Ty? - spytałam. - Do adwokata? Uwierzę dopiero, gdy dostanę to na piśmie. Ale proszę bardzo. Policzymy, jak w końcu stoimy. Gospodarstwo należy do mojego ojca, bmw należy do banku. Fiesta należy do mnie. Dla ciebie zostaje gabinet. Jeśli mam nadal dla ciebie pracować, na pewno dojdziemy do porozumienia co do płacy. Nie będę drobiazgowa. Dostanę dwa-
dzieścia tysięcy za te dwa lata. Wiem, że więcej niż trzy razy tyle odpisałeś od podatku. A przecież na pewno nie chcesz mieć kłopotów z urzędem finansowym.

Jiirgen wydał wargi i kiwał głową w zamyśleniu. Drzwi wejściowe otworzyły się, zanim zdołał coś odpowiedzieć. Już w sieni popłynął potok wymowy Anny.

215

- Dobrze, że jesteście. Tato, musisz mi wyświadczyć przysługę. Niedawno spotkałam Udo von Wirtha w mieście. To już ponad tydzień temu. To było w ten piątek, kiedy tak padało. Opowiadałam to mamie. Spytał, czy może mnie podwieźć. Nic sobie przy tym nie pomyślałam i wsiadłam. Ale myślę, że to był błąd. Od tej pory...

W środku kuchni wodospad słów wysechł. Anna stanęła zdziwiona, wędrowała wzrokiem od jego twarzy do mojej.

- Co się stało? Wyglądacie tak dziwnie.

Jiirgen uśmiechnął się bez wesołości.

- To przez to dziwne życie. To była przecież wesoła noc. -

Trochę spokojniej dodał: - Myślałem, że Udo rozwalił swój samochód.

Anna zawahała się chwilę, zanim wyjaśniła:

- On chwilowo jeździ samochodem swojego szwagra. Niebieskim kombi. Powiedział, że jest tam dość miejsca na mój rower, a jego szwagier na pewno nie miałby nic przeciw temu.

Jiirgen dalej szczerzył się w uśmiechu.

- Trudno spodziewać się czegoś innego. Kuhlmann to człowiek z gestem. Może później i mnie pożyczy samochód.

Anna nie wiedziała, jak rozumieć tę uwagę; stwierdziła:

- Nie bierzesz mnie na serio. - I pośpiesznie zapewniła - Dla mnie to się staje problemem, tato. Żałuję, że w tamten piątek z nim pojechałam. Dla niego prawdopodobnie to już znaczy, że jesteśmy w dużej zażyłości. Ale jak ci się zdaje, co powie Patrick, jak będę stale z innym jeździć do domu?

- Szczerze mówiąc - powiedział Jiirgen - w tej chwili guzik mnie obchodzi, co mógłby ci powiedzieć Patrick. Nie wydaje ci się, że mamy dość innych zmartwień?

Anna rzuciła na mnie niepewne spojrzenie, ale tak szybko nie dawała za wygraną.

- Wiem. I nie zawracałabym ci tym głowy, gdybym sama sobie z tym poradziła. Ale Udo nie zostawia mnie w spokoju.

Dzisiaj był pod szkołą, i nie był to drugi raz. A że w tamten piątek to był przypadek, też już nie wierzę. Myślę, że jeśli jechał ze szpitala, jak mi opowiadał, to wcale by nie prze-

216

jeźdzał obok szkoły. Żał mi go, naprawdę, tato. Rozumiem, że szuka kogoś, z kim mógłby pogadać. Ale ja nie jestem Reną. I nie chcę z nim o niej rozmawiać. Ani o jego siostrze, ani szwagrze. Jeśli ty mu powiesz, żeby mnie zostawił w spokoju, to on tak zrobi. Ja próbowałam, ale on po prostu nie chce się odczepić. Właśnie teraz długo jechał przede mną, i wciąż się zatrzymywał. Za każdym razem musiałam zsiadać z roweru. Raz omal się nie wywróciłam.

- Nie rób teraz z tego dramatu - ofuknął ją Jurgen. - Udo miał dobre intencje. Może przy okazji pomyślisz, jak on się czuje. We wsi na każdym rogu słyszy, że Rena chciała iść do niego. Ile razy ten biedak musiał sobie wyobrażać, jak byśmy teraz tu siedzieli, gdyby on wtedy był w domu?

Zanim Anna zdążyła mu odpowiedzieć, Jurgen wypadł do sieni i z hałasem pobiegł po schodach na górę. U góry trzasnęły drzwi. Anna wytrzeszczyła zdziwiona oczy, patrząc w ślad za nim, wydeła policzki, powoli wypuściła oddech i załpytała z wahaniem:

- Czy wy... dowiedzieliście się czegoś nowego od policji?

Pokręciłam tylko głową. Trudno mi było uwierzyć, żeby

Udo von Wirth już sobie wyobrażał, jak byśmy tu siedzieli. To mogły być myśli Jiirgena. Sposób, w jaki je wypowiadał, świadczył o tym, jak się czuł.

Anna odkryła ragout z kury. Jej głos brzmiał jeszcze ochryple i niepewnie.

- Czy ty to dla siebie wyjęłaś z lodówki?

Jeszcze raz pokręciłam głową.

- Mogę to zjeść?

Menu w opakowaniu było niskokaloryczne.

- Tak - powiedziałam.

Nikt nie zwrócił uwagi, że kuchenka mikrofalowa dawno się wyłączyła. Anna otworzyła ją, wyjęła tackę z żeberkami i kiszoną kapustą, wstawiła swoje ragout i z przesadną uwagą studiowała informacje na opakowaniu.

Jeszcze nie zdążyła zdjąć kurtki ani butów. A na kurtce miała pelerynę przeciwdeszczową! Tę neonowożółtą opończę z kap-

217

turem ze sztucznego tworzywa, dającą się poskładać w małeńki pakiecik i bez problemu zmieścić w szkolnej torbie.

Zapomniałam o myślach Jiirgena i tej jednej chwili, w której jakby szóstym zmysłem odgadłam, że on się czuje równie parszywie jak ja, tylko stara się utrzymać w ryzach nasze życie. Moje serce urosło do potrójnej wielkości. Znalazłam ko-twicę, o którą mogłam zaczepić swoje nadzieje.

Peleryna Reny! Musiało padać tego ranka w poniedziałek we Frankfurcie, kiedy Menke przyszedł z obcym do mikro-busu. Rena miała na sobie swoje okrycie, kiedy wyszła ze stajni. Ale policja nie znalazła go w mikrobusie. A w torbie peleryny także nie było.

Chwyciłam tackę z podgrzany daniem i poszłam na górę. Jurgen stał w naszej sypialni przy oknie, po prostu tylko stał i patrzył na ponury dzień za oknem.

- Masz - powiedziałam - zjedz coś.

- Daj mi spokój, Vero.

- Musisz mi oddać pieniądze, proszę. Są mi potrzebne.

Pokręcił głową.

- To nie wchodzi w rachubę.

- Jurgen, proszę. Musimy coś przedsięwziąć.

Wreszcie odwrócił się do mnie i roześmiał krótko.

- Wiesz, ile razy w ostatnich dniach żałowałem, że ci wtedy nie wyświadczyłem tej przysługi? Piękna, czysta skroban-

ka i byłby święty spokój. Odeszłabyś ode mnie, wiem. Ale dzisiaj moglibyśmy być najlepszymi przyjaciółmi. I bylibyśmy oboje dumni z Anny.

Byłam w stanie tylko wytrzeszczyć na niego oczy. Zrobił grymas, jakby chciał się uśmiechnąć.

- A wiesz, czego bym pragnął w tej chwili? Żebyśmy ją znaleźli na polnej drodze. Niechby i zaszlachtowaną, jak tamta klacz. W pierwszej chwili oboje byśmy oszaleli. Ty byś się załamała przy zwłokach. Do pogrzebu leżałabyś w łóżku z napadami płaczu. Potem potrzebowałabyś paru tygodni, żeby znowu stanąć na nogach. Ale to byśmy przetrwali. Za to tego, co się tu dzieje, Vero, tego nie przetrwamy.

8.

S.

'ą takie minuty, które najchętniej wymazałabym z czasu. Należą do nich tamte minuty z Jiirgenem w sypialni. Wiedzia-łam, że nie myślał naprawdę tak, jak powiedział. Że chciał tylko wyrazić, jak bardzo ciąży mu ta niepewność. Ta szarpa-nina, to miotanie się tam i z powrotem, dzisiaj to, a jutro zno-wu coś całkiem innego.

Klinkhamner i Olgert zwalili na niego o wiele większy ciężar, niż na mnie. Ja byłam dla nich osobą nieobliczalną, ko-bietą skłoną do działań przedwczesnych, nieprzemyślanych i destrukcyjnych. Choć jak do tej pory, nie zrobiłam niczego, co byłoby przedwczesne albo destrukcyjne.

Zgoda, poszłam do Hennesena. Ale można było zrozumieć, że matka traci nerwy. Natomiast ojciec powinien być opano-wany. W końcu był potrzebny ktoś, komu można było bez ogródek powiedzieć: „Mamy nowe informacje! Przypuszcza-my, że ona jest gdzieś w pobliżu”.

Właściwie nie powinnam się dziwić, że Jiirgen w pewnym momencie skapitulował przed ich coraz to nowymi informa-cjami i wyszukał sobie takie rozwiązanie, które mu pozwala-ło przeciągnąć końcową kreskę. I nie dziwiłam się, w gruncie rzeczy. Po

dwudziestu latach zna się granice wytrzymałości mężczyzny. Potrafi się rozpoznawać sygnały.

- Dotąd, Vero, i ani kroku dalej.

Wiedziałam, że Jiirgen dotarł do swojej granicy. Mimo to miałam chęć rzucić się na niego z pięściami, kiedy mówił o poźniej drodze i szlachtowaniu. Rzuciłam w niego tylko tacką. Trafiłam go. Nie próbował się uchylić.

Ostra plastikowa krawędź wyłobiła mu maleńką szramę na czole. Żeberka pozostawiły tłustą plamę na jego koszuli i spadły na ziemię. Puree z kartofli i kiszona kapusta rozma-

219

zały się na jego rzadkich włosach i jego ramionach. To musiało wyglądać jak gag ze starej burleski.

Ale nikt się nie śmiał. Z początku tylko tak się wydawało. Parę zduszonych dźwięków dobiegło z galerii. Nie zauważyłam, że Anna poszła za mną. Dopiero, kiedy przemknęła obok, zdałam sobie sprawę z jej obecności. Szeroko otwarte oczy, ręka, którą zakrywała sobie usta, drgające ramiona.

Jiirgen pewnie też pomyślał, że ona się bawi.

- Brawo - powiedział i drętwo zaklaskał w ręce. - Przynajmniej jeden członek rodziny ma uratowane popołudnie. - Po tym zawołał w kierunku drzwi:

- Może przyniesiesz wideokamerę taty, skarbie, żeby uwiecznić ten niezwykły widok dla potomności! Jestem pewien, że drogi Patrick wybaczy ci trzy przejażdżki z Udo, kiedy mu zademonstrujesz, jak krytyczne położenie cementuje więź twoich rodziców.

Na galerii panowała nadal cisza - prawie - były tylko jeszcze te dziwaczne dźwięki. Jiirgen powoli ruszył w moją stronę, omiął mnie idąc do drzwi i zatrzymał się zdziwiony. Potem jednym susem znikł mi z pola widzenia. Słyszałam już tylko jego głos. Mówił tonem ciepłym, łagodnym i na siłę rozweselonym.

- No, no! Przecież nie damy się wytrącić z równowagi przez tę odrobinę kiszonej kapusty. Coś ci powiem: my oboje założymy nasze własne stowarzyszenie. I będziemy przyjmować tylko takich członków, którzy mają równie grubą skórę jak my i nerwy ze stali. No chodź, od płakania się brzydnie. Gdzie moja ładna dziewczynka? Uśmiechnij się do mnie, potrzebuję tego. Jak się uśmiechniesz, pozwolę ci przyglądać mi się przy myciu głowy.

Ona faktycznie spróbowała. Widziałam to idąc do schodów. Widziałam także łzy, które spływały jej po policzkach. I jej palce, które się trzymały, żeby wydłubać nitki kiszonej kapusty z jego włosów. Widziałam jego ramiona, które ją obejmują, i jego twarz przy jej ramionach. A wewnątrz mojej głowy jego głos jeszcze raz mówił: „Jeśli będziesz tak postępować nadal...”.

Nie przetrwamy tego!

220

Nie wiem, jak znalazłam się w stodole, po prostu nagle byłam w środku. I silnik już pracował. Miałam jeszcze w uszach głos Anny:

- Tato, na litość boską, nie pozwól jej odjechać. Ona nie może prowadzić w takim stanie.

I jego odpowiedź:

- Wszystko będzie dobrze. A jeśli nie, to i ja nic na to nie poradzę.

Potem byłam na szosie. Pierwszy zakręt, drugi, trzeci, czwarty, szło dobrze. Minęłam miejsce, w którym zginęła Annegret Kuhlmann i dwójka jej dzieci. Pomyślałam o tym, żeby zawrócić i wziąć z nocnego stolika czek ojca. Panicznie się bałam, że Jurgen mógłby go znaleźć i zabrać. Lecz na tej wąskiej drodze zbyt trudno było zawrócić. Mogłam tylko jechać przed siebie i myśleć: Klinkhammer przypuszcza, że ona jest gdzieś w pobliżu.

Nieco później zaparkowałam obok radiowozu policyjnego. Klinkhammera nie było w biurze. Także Olgert był gdzieś w terenie. Ale miałam czas. Po raz pierwszy czekanie nie do-prowadzało mnie do obłądu. Wyobrażałam sobie, jak Jurgen myje głowę i Anna mu się przy tym przygląda. Jak zakładają swoje własne stowarzyszenie. Jak są zadowoleni, oboje w ten sam sposób.

Zawsze myślałam, że Anna jest podobna do mnie, a Rena do niego. Nie zewnętrznie, tylko z charakteru. Zewnętrznie było na odwrót. Teraz pojęłam, że się pomyliłam. Także Anna była ulepiona z tej samej gliny, co on. Widziałam, jak razem stali na galerii; dwoje ludzi, którzy znali swój stopień inteli-gencji i granice swojej wytrzymałości. Którzy nie okazywali zdenerwowania, mając przed sobą egzamin, podczas którego badana byłaby wiedza i umiejętności. Ale kiedy chodziło o coś innego, podnosili krzyk albo odpychali to od siebie. Można ich było uważać za powierzchownych i egoistycznych, lecz nie byli pozbawieni uczuć. Byli tylko inni.

Wreszcie zameldowali się Klinkhammer i Olgert przez ra-dio lub telefon w samochodzie. Przekazano im wiadomość,

221

że czekam w ich biurze. Kwadrans później Olgert siedział na-przeciwko mnie, spokojny i pełen rezerwy, bardziej manekin niż policjant, w swoim nie pogniecionym ubraniu, nienagan-nej koszuli i dyskretnym krawacie. Wolałabym mieć do czy-nienia z Klinkhammerem, z jego niesforną grzywą i zdradza-jącymi go gestami, łatwiej by mi było go przejrzeć. Z Olger-tem nie mogłam się zorientować, co on właściwie myśli.

Nie uszło jego uwagi, że byłam dość rozstrojona. Nie wie-działam, jak mam zacząć, nie mogłam się uwolnić od głosu Jiirgena. „Gdzieś w pobliżu!” Niewiele brakowało, a opowie-działabym mu o kiszonej kapuście zamiast o pelerynie desz-czowej i frankfurckim zoo. Jakoś udało mi się formułować jedno zdanie po drugim i nie budzić przy tym wrażenia chorej umysłowo. Olgert uznał moje przemyślenia za nadzwyczaj interesujące.

- Nie pamiętam, kiedy dokładnie Rena rozmawiała ze mną

na temat posady praktykanta w zoo.

- Osiemnastego marca - powiedział z nieznacznym uśmie-

chem. - Był to piątek. Trzy dni później, w poniedziałek, była

z Udo von Wirthem w Kolonii. Nie dostała tej posady i była bardzo rozczarowana. Chciała później starać się o miejsce ucznia w stadninie, ponieważ uważała, że nie uda jej się skończyć szkoły, a koniuszy to optymalny dla niej zawód. Czy to zrobiła, niestety nie wiem.

- Ja też nie.

Znowu skinął głową.

- Bardzo niewielu rodziców wie, co planują ich dzieci. A jeśli realizacja planów im nie wychodzi, to nie dowiadują się niczego.

Nie wiem, czy chciał mnie w ten sposób pocieszyć. Mówił dalej.

- Ale jeśli tu jej się nie udało, mogło się przecież udać we Frankfurcie. Zoo w każdym razie jest warte zastanowienia. Może jest tam też w pobliżu taka czy inna stadnina. Zbadamy tę sprawę. A jeśli pani coś się jeszcze przypomni, pani Zardiss...

222

Ostatnie zdanie nie pozostawiało wątpliwości: chciał się mnie pozbyć.

- A co z Londynem? Mój ojciec uważa...

- Tym już się zajęliśmy. Scotland Yard jest powiadomiony.

Słowa uwięzły mi prawie w gardle. Dziwiłam się, że zdołałam je z siebie wydobyć, i to jeszcze w lekko rozbawionym tonie.

- Ale to przecież bardzo dużo zachodu, skoro pan przypuszcza, że moja córka jest gdzieś tu, w pobliżu.

Olgert uśmiechnął się łagodnie i bynajmniej nie z poczuciem winy.

- Sprawdzamy każdą poszlakę. A to, co pani ojciec podobno usłyszał przez telefon... - Lekkie westchnienie wchłonęło resztę zdania. - Jest wprawdzie wiele zegarów z takim kura-tem - oświadczył zamiast tego. - Ale nie powinno się wykluczać oryginału.

Jeszcze jedno westchnienie, przy którym znikł uśmiech.

- Tylko że ogier nie został sprzedany do Londynu. To trochę komplikuje sprawę. W Wielkiej Brytanii nie istnieje obowiązek meldowania się taki, jaki my znamy.

- Ten Anglik nocował raz w gospodzie Schwingera. Może zostawił tam swój adres.

Znowu pojawił się jego uśmiech.

- Już go mamy. Gdyby pani córka tam się pojawiła, zaraz nas poinformują. I panią oczywiście też.

Oczywiście, pomyślałam. Jestem przecież o wszystkim informowana.

- Chętnie bym posłuchała tych nagrań, które pan prezentował mojemu mężowi i moim rodzicom.

Nadzwyczaj żałował. Chwilowo nie dysponował tymi nagraniami. A zdania: „Konik nie chciał tego robić” przy naj-lepszych chęciach nie mógł sobie przypomnieć. Musiałam coś źle zrozumieć.

Dobrze zrozumiałam, można to było poznać po czubku jego nosa, mimo że zadawał sobie wiele trudu i miał dużą wprawę w ukrywaniu swoich myśli za twarzą pokerzysty. Zadawał

sobie za wiele trudu i w ten sposób się zdradzał. Na czole miał wypisane, że nie dostanę uczciwej odpowiedzi, wszystko jedno, o co bym zapytała.

Nie miało sensu dłużej u niego siedzieć. Spytałam o rower Reny. On wstał i chciał wyjść ze mną na zewnątrz.

- Czy mogę także zabrać resztę dzienników? A może jeszcze są panu potrzebne?

- Tak - powiedział, a ponieważ z tego jednego słowa nie można się było zorientować, czy ma na myśli odpowiedź na pierwszą czy drugą część mego pytania, dodał po chwili:

- Jeszcze są nam potrzebne.

- Do czego?

- Zawierają parę interesujących wskazówek.

- W odniesieniu do czego?

Zwlekał, zaczął niepewnie:

- Trudno to tak po prostu wyjaśnić. Widzi pani - ponowny uśmiech odebrał nieco ostrości jego docinkowi - nikt nie lubi, kiedy go odgórnie dokąds posyłają na podstawie z góry przyjętego założenia. Będę szczery, pani Zardiss. Ja też miałem z góry przyjęte założenie i na początku uznałem, że się potwierdza. Teraz nie jestem już tego taki pewien. Tymczasem, sądzę, że znam dość dobrze pani córkę. W każdym razie wyobrażam sobie, że mogę sobie pozwolić na osąd.

Jego uśmiech zniknął tak nagle, jakby go ktoś kopnął w kostkę. W jednej chwili wydawało się, że uświadomił sobie, jakie wnioski mogłabym wyciągnąć z jego słów. A zabroniono mu dostarczać mi materiału do wnioskowania.

Olgert starał się naprawić swój błąd i udawał, że dzienniki Reny służyły mu tylko za studium charakterologiczne. Przez parę minut mówił o faktycznych zdarzeniach i świecie wyobrażeń dość nieskomplikowanej młodej dziewczyny. Która jednego dnia marzyła o tym, żeby ukochanemu Mattho założyć wieniec z wawrzynów na szyję, a samej odebrać puchar zwycięstwa.

Drugiego dnia dziewczyna marzyła o własnej ujeżdżalni, trzeciego o zawodzie koniuszego, czwartego zadowalała się

224

fokami w zoo. Piątego dnia posuwała się do bezsensownej nadziei, że uda jej się wyciągnąć na troję z matmy i może nawet pójść śladami dziadka i zacząć studia prawnicze! I zostawisz surową sędziną dać po łapach wszystkim tym, którzy robią coś złego koniom. A po ciężkim dniu w sądzie, wieczorem jechać na własnym ukochanym koniu, którego nikt nie biłby po nogach kijem, żeby wyżej skakał.

I wśród marzeń rozsypane krótkie notatki o rzeczywistości. O ciężkiej atmosferze między Hennesem i Udo:

Nie rozumiem tego. Zawsze się tak świetnie rozumieli. Udo raz powiedział, że z Hennesem łatwiej mu się dogadać, niż z własnym ojcem. A teraz w ogóle nie mówią ze sobą. Od trzech dni ani słowa.

W czwartek się pokłócili. Hennes tylko zapytał, czy Udo może zostać pół godziny dłużej, a on się zapienił. Musi jeszcze iść do swojej siostry. Musi koniecznie coś tam zrobić, co obiecał Annegret już parę tygodni temu i nigdy nie ma sposobności, bo Hennes go zatrzymuje.

Mógłby mu to przecież powiedzieć normalnym tonem. Po co w ogóle jeszcze przychodzi, jeśli czuje się wykorzystywany przez Hennesa?

Postanowiłam dzisiaj porozmawiać z Udo. Ale Armin powiedział, żeby go lepiej zostawić w spokoju, bo w tej chwili sam siebie nie może znieść. To wreszcie jakieś słowo prawdy. I ja nie mogłabym tego wyrazić lepiej.

O lęku Horsta przed nawrotem jego choroby, z którym próbował walczyć wskakując na grzbiet siwka:

Czasami tak mi go żal. On nie chce, żebyśmy to zauważyli. Ale trzeba by być ślepym. To przecież nic takiego, czego muśiałby się wstydzić. On tak cierpiał wtedy, więc to przecież normalne, że się teraz boi, że będzie musiał jeszcze raz przechodzić przez to wszystko. Katrin czytała coś o dawcach szpi-ku kostnego i uważa, że moglibyśmy się wszyscy dać przeba-dać. Czy rzeczywiście powinniśmy to zrobić, żeby mu poka-zać, że może na nas polegać?

Na temat ukradzonej pół godziny z Arminem w zagrodzie na tyłach. Nie po to, żeby wymieniać potajemne pocałunki,

tylko objaśnić parę wzorów z matematyki. O delikatnych próbach zbliżenia ze strony Horsta, zaproszeniu do kina albo na lody. O niemożliwości odmowy, która by nie raniła Horsta.

0 koleżance szkolnej, która na biologii podała Renie pod ławką zeszyt i dała jej spisać. O umówionym spotkaniu w pewne popołudnie, kiedy z Arminem, Tanią i Iloną pojechała do Kōlonii, zamiast spędzać czas w stajni. Hennes się zgodził i uważał, że to świetny pomysł. Katrin przełękała się swojej własnej odwagi, a Udo nie miał czasu albo ochoty, żeby im towarzyszyć. Ale przemienili szumny zamiar w czyn i w jakimś ambulansie, o którym Armin słyszał w telewizji, że obecnie w Kōlonii zbiera krew od dawców, dali sobie jej trochę odciągnąć.

1 byli dumni, wszyscy czworo, ze swojego bohaterstwa.

Może i Olgert znał coś takiego, jak bohaterstwo albo duma. Może mu się nie podobało przyjmowanie rozkazów, w których sens nie wierzył. Mogło to być również współczucie albo świadomość, że w ciągu niewielu godzin i tak muszą odkryć karty. Po rozwlekłym i nic nie mówiącym roztrząsaniu kilku fragmentów z dziennika powrócił do rzeczowego tonu i kilku zwięzłymi zdaniami zarysował sedno sprawy.

W tych trzech dziennikach, które zatrzymał, istniały liczne wskazówki dotyczące planów ucieczki Nity, a najważniejsze napisane były po angielsku. Olgert przypuszczał, że Rena się obawiała, że moglibyśmy węszyć w jej zapiskach. Nie ja, rzecz jasna, ale matka mogłaby je czytać, a angielskiego nie znała.

Dla Olgerta jasne było, że Rena znała motyw Nity, chociaż nie pochwałała całego tego przedsięwzięcia. Były tam zdania takie, jak: „Tak mi jej okropnie żal. Chętnie bym jej pomogła. Z jednej strony uważam jej zamiar za świetny, ale też bardzo podły”.

Starannie zanotowała, że Nita w ostatnich tygodniach przed zniknięciem prawie

codziennie prosiła, aby z niąjechała. Rena za każdym razem odrzucała prośbę. I Olgert powiedział:

- W żadnym razie nie wsiadłaby do mikrobusu dobrowolnie.
- Myśli pan, że ta dwójka zabrała ją wbrew jej woli?

Odczekał kilka sekund, zanim pokręcił głową.

226

- Nie. W tym przypadku Menke załadowałby ją do mikrobusu razem z rowerem. Dla takiego silnego młodego człowieka nie byłoby żadnego problemu, wziąć pod pachę taką drobną osóbkę.

- Ale nie wtedy, kiedy przejeżdża obok samochód.

Wzruszył ramionami.

- Ach, w dzisiejszych czasach to już nie jest żadne ryzyko, jeszcze przy takiej pogodzie! Nikt się nie zatrzyma zapytać, co się dzieje. Ale tutaj nie było przemocy. W każdym razie mógłbym sobie wyobrazić, że Nita próbowała jakichś podstępów, żeby skłonić pani córkę, by wsiadła.

Zanim zaczął mówić dalej, zrobił małą przerwę.

- Rower Reny stał w stajni, z przodu, przy wrotach. Wiemy, że Nita o szóstej była w stajni. Przy tej okazji mogła spuścić powietrze z obu kół i zabrać ze sobą pompkę. Przy rowerze była przecież pompka?

Cóż za doniosłe pytanie! Przypominało mi ono epizod z Jurgenem w gabinecie. Tamta ciężarna kobieta, jedna z tych przyszłych matek, które w trzecim miesiącu noszą już odzież ciążową i szykują kołyskę, które przy ultrasonografie rozplywają się ze wzruszenia i chcą, żeby im objaśniać każdy cień, każdy ruch. Czy to rączka? Czy

to główka? Gdzie jest serce? Nie mogłam tego znaleźć. Nie było też dźwięku, oprócz nerwowego bicia serca matki, kilku odgłosów pracy jelit i bulgotania przelewających się wód płodowych w macicy.

Zawołałam Jiirgena. I po jego twarzy poznałam, że nie popełniłam błędu. Kobieta zaczęła się denerwować. Jiirgen uspokoił ją paroma słowami, pytając:

- Czy dobrze pani znosi ten preparat żelazowy, który pani zapisałem ostatnim razem?

Kobieta wytrzeszczyła na niego oczy i mechanicznie kiwnęła głową.

Ja też kiwnęłam i zastanawiałam się, co Olgert powie mi teraz. Jiirgen wtedy zaczął obszernie wyjaśnienia na temat natury, która czasami sama sobie pomaga i na swój sposób zapobiega, żeby przeżyło coś, co nie jest zdolne do życia.

227

Czułam jak serce podchodzi mi do gardła. Olgert spojrział na mnie w zamyśleniu.

- Wyraźnie powtarzam: mogła, pani Zardiss. To nie znaczy, że tak było. Pompkę mogli też ukraść na dworcu. Często się zdarza ostatnio, że jacyś idioci wyzywają się na rowerach, które stoją na dworcu i nie są przymocowane łańcuchem.

Wypuszczają powietrze i wieszają je na latarni.

- Latarni? - więcej nie wydobyłam z siebie.

Olgert kiwnął głową.

- Tak koledzy znaleźli ten rower, pani Zardiss. Mógł być całkiem w porządku, kiedy go odstawiono. Uważam za całkiem możliwe, że pani córka tych oboje tylko prosiła, żeby zawieźli jej rower do domu, ponieważ zamierzała pójść do Udo von Wirtha i przy zalanej ulicy nie chciała sobie jeszcze dodawać kłopotu pchaniem roweru. Nita i Menke obiecali jej

to, ale pozwolili sobie na ostatni żart i zabrali rower ze sobą do miasta.

- A Reny nie zabrali?

Powściągliwie pokręcił głową. I nie wiedziałam już, do czego zmierza. Co on, u licha, próbuje mi łagodnie powiedzieć? Gdzieś tu, w pobliżu!

Nie, pomyślałam. Nie! Nie! Nie! Kiedy Nita coś wbiła so-bie do głowy, to wykonała, choćby nie wiem co. Nita nie przyjmowała odmowy do wiadomości.

- Ale ma pan przecież świadka, który...

- Nie widział niczego ważnego - przerwał Olgert.

- Widział przecież, że Menke zabrał mojej córce torbę.

Widział, że obu rękami waliła w drzwi od strony kierowcy, żeby dostać z powrotem swoje rzeczy. Kiedy przejeżdżał obok samochód, Menke nic nie mógł zrobić. Ale kiedy przejechał, mógł znowu otworzyć drzwi i wciągnąć Renę do środka.

Olgert jeszcze raz pokręcił głową i zaczął wyliczać na palcach. Kciuk, to kawałki słomy z bieżnika kół, które zostały znalezione w mikrobusie. Palec wskazujący - torba z ubraniami. Palec środkowy - trzy grupy krwi. Dla Reny nie było palca.

228

- Ale jest faktem - powiedziałam - że oni oboje cztery godziny czekali pod stajnią. Po co? Tylko po to, żeby zobaczyć, jak Rena wychodzi i wścieka się z powodu dwóch przebitych kół?

- Pani Zardiss - w jego tonie pojawił się wydźwięk mentorski. - Właśnie pani wyjaśniłem, że rower mógł zostać uszkodzony pod dworcem. Prawdopodobnie czekali tylko po to, żeby pożegnać się z Reną.

- Przecież to śmieszne! Mogli to zrobić na boisku szkol-

nym. Musieli się po coś umówić, inaczej nie przyjechaliby pod stajnię i nie siedzieliby tam przez cztery godziny. Zapomniał pan, co powiedziała Nita do pani... pani... - nie przypominałam sobie nazwiska. - Do siostry Hennessena? „Ile czasu potrzebuje takie bydlę, żeby zdechnąć?”

Czułam, że się za bardzo gorączkuję, żeby przekonać jego i siebie samą. Głos mi się prawie załamywał, ale nie mogłam się powstrzymać.

- Wie pan, co myślę? Przed południem na boisku szkolnym Nicie się udało. Rena wreszcie ustąpiła i powiedziała: „Do brze, jadę z wami”. Naturalnie tego już nie zapisała w swoim dzienniku. Nie miała na to czasu, chciała tylko szybko coś zjeść i pożegnać się z Mattho. Napisała tylko to jedno zdanie: „Gdybym mogła z nim pojechać”. Rozumie pan? Z nim, zamiast z Nitą. To miała na myśli.

Jego spojrzenie doprowadzało mnie do szału, tyle w nim było współczucia i ubolewania.

- Ale potem Mattho kopnął kasztankę w brzuch - ciągnęłam. - Klacz marnie się poczuła. I kiedy Nita przyjechała po Renę, ta oświadczyła: „Przykro mi, jednak nie mogę jechać z wami”. A Nita powiedziała: „Przecież to bydlę nie będzie zdychać bez końca. Poczekamy na ciebie”. Te łobuzy nie czekałyby czterech godzin, żeby zobaczyć, jak Rena się denerwuje z powodu dwóch przebitych kół. Ani po to, żeby się z nią pożegnać.

Olgert westchnął.

- Pani Zardiss, ta dwójka zaczęła pożegnania z przyjaciół-

mi już dwa tygodnie wcześniej. U Janet Abel byli trzy razy,

229

u Wiltrud Heister tylko raz przez dziesięć minut, u Uwe Lengriesa prawie codziennie, ostatnim razem dobre trzy godziny. Lengries był przyjacielem Menkego.

Opowiedział mi o znaczeniu miejsca zajmowanego w hierarchii takich band. Dla porównania podał przykład Reny i jej towarzystwa z ujeżdżalni. Każdy miał swoją rangę i miejsce na drabinie społecznej.

Udo odgrywał tu rolę smutnego często i mało mównego starszego brata, którego można było nieraz skłonić do uśmiechu koleżeńskim poklepaniem po ramieniu. Armin był tym mądrym, czyli mentorem, który swoim cierpkim humorem i niewyczerpaną wiedzą o genealogii koni umiał poprawić innym nastrój.

Horst był biedny, wzbudzał współczucie, oddawano dla niego krew. Ale niemożliwe było przyjęcie od niego zaproszenia na lody. Horst mógłby sobie zacząć robić nadzieje, których Rena nie chciała spełniać.

Katrin była tą pewną siebie, której wpadł w oko Armin, nie odwzajemniający jednak jej uczuć. Ilonie przypadła rola osoby zdystansowanej i czujnej, i dopiero ona musiała wyjaśnić Renie, że w zachowaniu Horsta kryje się coś więcej niż koleżeństwo. A Tania była małym głuptasem, lubiła dodawać sobie znaczenia bajdurząc o swych rzekomych odkryciach, jak np. o pocałunku między Hennesem i Udo.

W grupie Nity było podobnie. Tam Uwe Lengriesa można było postawić na tym samym szczeblu, co Armina. Od Uwe Lengriesa dowiedzieli się mnóstwa rzeczy. Olgert określił go jako dość rozsądnego młodego człowieka, który przyłączył się do szajki zgromadzonej wokół Nity tylko z jednego powodu, żeby przeszkodzić swojemu przyjacielowi Andre w ostatecznym stoczeniu się po równi pochyłej.

Olgert mówił o fatalnym wpływie Nity na Menkego i innych. Nita była zawsze motorem napędowym. A Rena, jeszcze dwa lata temu, była tylko tolerowaną współniczką, jak mała Tania, z której się wyśmiewano za jej plecami. Ranga Reny wzrosła dopiero wtedy, kiedy nie chciała już się zadawać z Nitą.

230

Kim odtąd stała się dla Nity, Olgert nie wiedział albo nie chciał mi powiedzieć.

Przyznał, że on sam nie znajduje dostatecznego wyjaśnienia dla tych czterech godzin. Ale gdzieś zawsze pozostaje zagadka. Nikt nie mógł wiedzieć, co się działo w głowie Nity. Natomiast myśli Reny z całą dosłownością leżały przed nim jak otwarta księga.

Jechałam do domu - zmuszona jechać powoli z rowerem z tyłu i otwartą klapą - i słyszałam wciąż jeszcze jego słowa:

- Musimy przyjąć, że nie wsiadła z nimi, pani Zardiss. Gdy-

by tamci oboje odwieźli ją tylko do pociągu do Hamburga, to

ktoś z kolejarzy albo jakiś podróżny musiałby ją pamiętać.

A gdyby przez trzy dni przebywała w tym mikrobusie, jak

Menke i Kolterówna, to koledzy we Frankfurcie musieliby zna-

leźć na to jednoznaczne dowody. Znaleźli całe mnóstwo rze-

czy: włosy, resztki jedzenia, używane chustki papierowe i czę-

ści ubrania, i każdy przedmiot może być przypisany do wła-

ściciela.

I słyszałam jak krzyczę:

- To czego pan teraz chce w zoo we Frankfurcie? Karmić

foki? Zatelefonuję do doktora Steinschneidera. Nie dam się

dłużej zwodzić.

Potem siedziałam w stodole, na zimnym klepisku, obmacywałam przebitą przednią oponę, przyglądałam się przebitej tylnej oponie i pustemu uchwyтови od pompki rowerowej, wydłubywałam małe kawałki słomy z bieżnika i czekałam na lzy. Czekałam, kiedy bąk w głowie przestanie wirować.

Oni znowu wrócili do początku, Vero! Zawsze tak robią, kiedy nie wiedzą, co robić dalej.

Nie było łez. Bąk wirował nieprzerwanie, wędrując w górę po zalanych wodą wiejskich ulicach, pokazywał mi samochód straży pożarnej przy kasie oszczędnościowo-pożyczkowej, ludzi z szuflami i workami piasku przy podmytym murze cmentarza. I kręcenie głową komendanta straży.

Jeśli znowu mieliśmy wrócić do początku, to zrobiliśmy wtedy błąd. Pytaliśmy tych mężczyzn o dziewczynę z rowerem.

231

Nie chciałam być znowu na początku. Chciałam zostawić wieś za sobą. Chciałam pojechać do Frankfurtu, grzebać się w brudach, znaleźć Nitę Kolter. I naturalnie Renę, która musiała być z nią! Renie nie wypadały włosy. Rena nie zostawiała resztek jedzenia. Rena nie rozrzucała dookoła chusteczek higienicznych. Czasem rzuciła sweter na łóżko, nic więcej. A potem chciałam obie sprowadzić z powrotem. Naprawdę obie!

Chciałam wysadzić Nitę przed własnościowym mieszkaniem jej matki i powiedzieć do Reginy Kolter: „Przywiąż ją do łóżka, podstaw jej miskę, naszykuj parę ścierek i każ jej wyrzygać to świństwo. Jak zostaniesz z nią i jej pomożesz, może jej się uda”.

A potem chciałam przywiązać Renę do łóżka, podstawić jej miskę i naszykować parę ścierek. Chciałam się zamknąć z nią w pokoju, dać jej lamentować i płakać, trzymać jej miskę, wycierać pot z czoła i zmieniać jej pościel. Chciałam ją trzymać w ramionach, kiedy będą nią wstrząsały skurcze.

Wiedziałam, co mnie czeka. Wiedziałam, że to by było piekło dla nas obu. Ale chciałam jej pomóc przejść przez to piekło. Chciałam wiele zrobić, tylko nie mogłam się podnieść z zimnego klepiska stodoły.

Gretchen mi w tym pomogła. Tego też się wstydzę - że dałam się jej chwycić pod pachami, że płakałam i lamentowałam na jej ramieniu. To ten jej głos, nie słowa, tylko brzmienie głosu. Miał na mnie takie samo działanie jak kilka zdań z Ballady kolejowej Reinharda Meya.

„I w pustce między jawą a snem widzę je raz jeszcze, jak z sapaniem jadą przede mną w noc: Orzeł, Latający Hamburczyk, Pruska P8 i legendarna Piątka”.

Nie mam pojęcia, co w tej wyliczance starych pociągów może człowieka doprowadzić do łez. Mnie się to zdarzało za każdym razem, kiedy słyszałam tę piosenkę. Być może dlatego, że Reinhard Mey śpiewał o wojnie, że kiedy go słuchałam, widziałam siebie siedzącą z ojcem w pokoju w wieku pięciu, sześciu, siedmiu lat, a przede mną mojego nienagan-

232

nego bohatera. Że musiałam sobie wyobrażać, że również ojciec miał kiedyś pięć, sześć, siedem lat. Był nieszkodliwym małym chłopcem, który bawił się drewnianą lokomotywą i marzył o zostaniu maszynistą. Gdyby nim został, matka nie mogłaby mi nigdy opowiadać, że pomagał w likwidacji getta w Warszawie. I nigdy nie musiałabym się wstydzić, że go Kocham.

Był mi potrzebny w tej stodole. On i jego przyjaźń z Heinzem Steinschneiderem i powiązania Steinschneidera z dyrektorem i radcami kryminalnymi i innymi wysoko postawionymi figurami, które mogłyby sprowadzić paru śledczych z powrotem na właściwą drogę. „Teraz rozejrzyjcie się we Frankfurcie, wy dumnie. Rozłóżcie jeszcze raz na części ten mikro-bus, tylko tym razem gruntownie. Coś tam musi być, co może dowieść obecności tej dziewczyny”.

Gretchen nie miała znajomości, tylko rękę, którą mnie klepała po plecach, i usta, którymi mruczała:

- Tak jest dobrze, wyrzuć to z siebie.
- Nie mogę. Już wtedy nie mogłam. Ona tak się krztusiła i zaplawała jako niemowlę. Musiałam wymiotować, kiedy widziałam, że zaczyna się dławić. Ile razy klęczałam przed sedesem. A ona leżała w łóżeczku. I myślałam, że powinnam ją przewrócić na brzuch. Ona się udusi, jeśli jej nie przewrócę na brzuch. Ale nie mogłam wstać. Nie mogłam pójść do pokoju dzieciennego i wytrzeć wymiotów. Posłałam Annę. Anna nie miała jeszcze dwóch lat, wcisnęłam jej do ręki wilgotną ścierkę i powiedziałam: „Idź i wytrzyj dziecko. Mama jest chora”.

Gretchen coś powiedziała. Nie rozumiałam jej. Wyjęła mi torebkę i szukała w niej kluczy. Przeprowadziła mnie przez podwórze, otworzyła drzwi wejściowe, wepchnęła mnie do sieni. Od razu dojrzałam dwójkę na liczniku automatycznej sekretarki. Dwa telefony! Tego już było dla mnie za wiele.

Kiedy przycisnęłam guzik, żeby przesłuchać taśmę, Gretchen powiedziała:

- Możesz sobie oszczędzić trudu. To byłam ja, dwa razy próbowałam. Ale do takiej maszyny nie wszystko da się po-

wiedzieć. Więc pomyślałam sobie, że lepiej będzie, kiedy sama do was zajrzę.

Myliła się. Jej niemych prób połączenia się urządzenie wcale nie zarejestrowało. Pierwszy telefon był od Patricka. Jak obiecywał producent, automatyczna sekretarka nagrywała dzielnie wszystko, także i wtedy jeszcze, kiedy jego monolog na temat filmu, który koniecznie trzeba obejrzeć, zmienił się już od dawna w dialog z Anną. Ona nie miała ochoty na Schwa-rzeneggera.

- Czy mogę przyjechać do ciebie na parę dni? Myślisz, że twoi rodzice by się zgodzili? Zapytaj ich, proszę. Muszę się stąd wydostać, inaczej zwariuję. Nie masz pojęcia, co się u nas dzieje. Moja mama świruje. Mój ojciec też chce się wynieść na parę dni. To byłabym tu sama z nią. Nie wytrzymam tego. Co mówi twoja matka? No to świetnie. Zaraz spakuję parę rzeczy. Do zobaczenia, skarbie.

Gretchen słuchała z nieporuszoną miną. Obok telefonu leżała kartka napisana przez Annę. „Droga mamo, pojechałam z Patrickiem do kina. Po filmie spotkamy się jeszcze z przyjaciółmi. Może się zdarzyć, że zanocuję u Patricka. A więc nie martw się, jeżeli nie wrócę do domu”.

Nie pojmowałam tego. Czy ona myślała, że nie przesłucham tej taśmy? Albo tak jak Olgert i Klinkhammer sądzi, że można mi wcisnąć każdy chłam?

Drugi telefon był od Jiirgena. Tylko kilka poleceń i przekleństwo:

- Vero, to ja. Podnieś słuchawkę, jeśli jesteś w domu. Uważam, że lepiej będzie, jeśli przez kilka dni będę spał w gabinecie. Oboje potrzebujemy trochę dystansu. Do jasnej cholery, Vero, podnieśże wreszcie tę słuchawkę, już od dawna powinniś być z powrotem. Co tam znowu? Jeszcze o tym porozmawiamy. Cholera, faktycznie jej nie ma.

- No - powiedziała Gretchen oschle - wygląda na to, że i on dał nogę. Najlepiej zrobię ci kawy.

Zaprowadziła mnie do kuchni. Wydała ciche gwizdnięcie i powiedziała:

234

- Ach, do jasnej Anielki!

Potem popchnęła mnie na krzesło i rozejrzała się sceptycznie.

- Masz tu coś takiego jak czajnik?

- Tam jest ekspres do kawy.

- Ja go nie ruszę.

- To ja zrobię kawy.

- Doszłaś do siebie?

Kiedy kiwnęłam głową, skierowała się w stronę drzwi.

- To przyniosę ci sznapsa. Gdzie wy go trzymacie?

- Nie chcę pić.

- Tylko jednego, nie musisz się zaraz schlać. Ale myślę, że przydałby ci się. Gdzie to masz?

- W dużym pokoju - powiedziałam i usłyszałam, jak przez chwilę brzękają tam butelki i kieliszki, zanim wróciła z kieliszkiem koniaku. Zwilżyła tylko dno i zatrzymała się przy drzwiach kuchennych. Z odcieniem uznania powiedziała:

- Wytwornie tu macie. Trzeba uważać, żeby wziąć odpowiedni kieliszek.

Napełniłam zbiornik wody w ekspresie, włożyłam filtr. Ona podeszła do stołu, postawiła kieliszek i usiadła.

- Powiesz mi, co się dzieje? Dlaczego cię wszyscy zosta-

wiają na lodzie?

Nie wiedziałam, czy chcę. Wiedziałam tylko, że nie mogę zrobić tego, co postanowiłam sobie w stodole. Gdybym mogła, to skończyłabym studia. Nigdy nie „zapomniałabym” o pi-gułce i nie oczekiwała, że pierwsza ciąża uwolni mnie od ba-senów i kaczek.

Dzbanek napełnił się kawą. Postawiłam naczynie na stole. Dobrze mi robiło krzątanie się tam i z powrotem i mówienie w tym samym czasie. Gretchen słuchała poważnie i z uwagą. Napełniłam filiżanki i usiadłam naprzeciw niej.

- A ja już myślałam - powiedziała - że byłaś we wsi, kiedy zobaczyłam jak siedzisz w stodole.

Sięgnęła przez stół do mojej ręki. Przelotny uśmiech prze-mknął po jej ustach, tak krótki, że mogło mi się tylko zdawać. Dalsze mówienie sprawiało jej trudność, ale mówiła.

235

- Ja tam nie lubię owijania w bawełnę.

Trzymała mnie mocno za rękę, a wolną ręką wsypywała cukier do filiżanki, zamieszała.

- Ci z policji myślą, że ona nie żyje.

Przecież wiedziałam! Co by innego mogło się z nią stać, jeżeli mikrobus odjechał i ona została na ulicy, ale nie wróciła do domu?

Gretchen wskazała kieliszek koniaku.

- Wypij to teraz, a potem wypijesz kawę. Nie musisz poja-wiać się we wsi zionąc alkoholem. Wprawdzie nie sędzę, żeby coś gadali, ale wiadomo to, czy im nie na rękę? Jak ci zabiorą prawo jazdy, nie będziesz mogła jeździć. Doktor by się pew-nie ucieszył.

Potem wyjaśniła mi, że we wsi przymierzają się do prze-szukania kanalizacji.

- Byłam dziś w południe tam na dole. Zieglerowa do mnie

zadzwoiła i powiedziała. Kupę ludzi postawili na nogi. Ster-
czało tam paru mundurowych i tych dwóch z kryminalnej.

Ludziom opowiadali, że to tylko rutynowa kontrola, bo ostat-
nio wszystko znowu było zalane. Może i prawda, że zatkało
się parę rur. Ale każdy wie, czego szukają. Gdyby to była ru-
tynowa kontrola, to ich by tam przecież nie było.

Kiedy zabrałam jej rękę i zerwałam się na równe nogi, rów-
nież ona podskoczyła z
miejsca.

-Czekaj, idę z tobą.

Była szybsza niż ja, jeszcze przede mną znalazła się w sto-dole. Potem siedziała obok
mnie, obserwując argusowymi oczami moje nieliczne czynności. Uruchomienie
silnika, bieg wsteczny. Odwróciła się i patrzyła, czy wrota stodoły okażą się
dostatecznie szerokie. Na podwórku odetchnęła z ulgą i po drodze w kierunku szosy
położyła rękę na dźwigni zmiany biegów. Byłam dopiero na drugim.

- To wystarczy - powiedziała. - Nie musimy wylądować
jak Annegret. Zieglerowa opowiadała, że Kuhlmann jeszcze
dwa razy próbował skończyć ze sobą - w szpitalu. Ja się już
dziwiłam, że go jeszcze nie wypuścili. Zieglerowa mówiła, że

236

raz nazbierał tabletek, a kiedy indziej prysnął do kotłowni i chciał się wieszać na
rurach. Teraz to go już nie spuszczają z oka. Stale ktoś z rodziny przy nim siedzi.

Czułam, że obserwuje mnie ukradkiem. I wiedziałam, co chce powiedzieć: „Weź się
w garść, Vero. Kuhlmann stał się ciężarem dla całej rodziny. Ale ty nie jesteś
Kuhlmannem”, choćby wyraziła to innymi słowami.

- To okropne, kiedy ktoś tak uzależnia swoje życie od in-
nych, że potem dla niego samego nic nie zostaje. Trzeba pa-
trzeć prawdzie w oczy; także i kostusze, jak przyjdzie.

Przez dwie sekundy nic nie mówiła. Tylko przez dwie se-kundy, jakby chciała mi umożliwić skoncentrowanie się na wykonaniu skrętu. Ledwie wyjechałam na prostą, mówiła dalej.

- Doktor przed laty powiedział, że takie studia mogą czło-wiekowi dać złudzenie wszechmocy. Kto ma do dyspozycji mnóstwo pigułek i różnych tam maszyn, temu się wydaje, że uda mu się nimi wyprowadzić kostuchę w pole. Ale ona nie daje się robić w konia. Jak się jej nie pozwala brać starych, to po prostu bierze młodych. Ale oni jeszcze nic nie znaleźli w tych rurach. I mogą przecież się mylić.

Teraz mogłabym twierdzić, że jestem spokojna i opanowa-na. I nikt by mi nie udowodnił, że jest inaczej, także i Gret-chen, chociaż siedziała obok mnie i nie spuszczała mnie z oka. Mogłabym też twierdzić, że najgorszym do tej pory momen-tem był ten, w którym zatrzymałam fiestę przy kasie oszczęd-nościowo-pożyczkowej i podeszłam do grupy mężczyzn sto-jących przy otwartym włączniku do kanału, a Gretchen podrepta-ła za mną. Klinkhammer i Olgert też tam byli. Olgert nie wie-dział, gdzie schować oczy, kiedy zobaczył, że się zbliżam.

To nie był najgorszy moment, był tylko zimny. Tak lodo-waty, że zamarzało powietrze w płucach, że ręka Gretchen na moim ramieniu była ostatnią iskrą ciepła.

Czysto rutynowa kontrola, powiedział Klinkhammer także do mnie i wyjaśnił trzeźwym urzędowym tonem, jakie czyn-ności są prowadzone pod nawierzchnią drogi. Jakby był pra-

237

cownikiem firmy specjalistycznej i chciał mi tylko zwrócić uwagę na zalety stosowanego przez nią urządzenia.

W rurach umieszczona została zdalnie sterowana kamera, która poruszała się do przodu za sprawą elektrycznego czy też elektronicznego, albo diabli wiedzajakiego tam, napędu. A bia-ły transit stojący na poboczu mieścił monitor kontrolny, przed którym siedział dyspozytor i obserwował, co przesuwają się przed obiektywem kamery. Jak dotąd niewiele znaleźli. Małe pęknięcie w górnej części rury, niewarte

wzmianki i nie wy-magające naprawy, parę szmat i innych śmieci.

Wciąż stało dookoła mnóstwo gapiów. I dzieci, cała chma-ra dzieci. Otwarte tylne drzwi transita były obleżone. Nawet gdybym chciała, nie dopchałabym się dostatecznie blisko, żeby móc rzucić okiem na monitor. Ale nie chciałam. Jak okrutna była sama tylko myśl o tym, że od prawie czterech tygodni ona mogłaby być w jednej z tych rur... Że mężczyzna przy monitorze na tym czy następnym odcinku zawoła: „Mamy coś!”.

W niektórych oczach widać było współczucie, w innych błyszczącą żądę sensacji. Rozpoznałam w tłumie twarz Sche-rera, siostry Hennessena i pani Zieglerowej, która od razu podeszła do nas. Coś powiedziała, co brzmiało jakby wyrazy współczucia, ale tak to tylko brzmiało. A Jiirgena tu nie było, Anny nie było, moich rodziców nie było.

Gretchen także zostawiła mnie samą, żeby odciągnąć panią Ziegler. Czułam wdzięczność, kiedy Klinkhammer wreszcie założył sobie włosy za uszy, zaprowadził mnie do swojego samochodu i wykrztusił dalsze wyjaśnienia. Gretchen i pani Ziegler znikły w tłumie, a ja słuchałam, że zdecydowali się na tę akcję już w zeszłym tygodniu.

Jeden ze strażaków opowiedział im o wypadku swojego kolegi sprzed kilku lat i zwrócił uwagę, że także tamtej nocy dwie pokrywy studzienek zostały wypchnięte. Dwa włazy były otwarte, niewidoczne w ciemnościach pod wodą.

Nie byłam ani spokojna, ani opanowana, tylko sparaliżo-wana, wewnątrz tak sztywna, jak Klinkhammer na zewnątrz.

238

Powiedział mi, że firma mogła zacząć pracę niestety dopiero od tego poniedziałku. Olgert przyszedł do samochodu, żeby powiedzieć, że już sprawdzili ten odcinek i że teraz przecho-dzą do następnego i kolejnych.

Klinkhammer machnął jak zwykle uspokajająco ręką, co mogło też znaczyć: To róbcie swoje, zamiast gadać. Nie wi-dzicie, że jestem zajęty drażliwą sprawą? Przeszukiwał oczami tłum. Prawdopodobnie rozglądał się za Gretchen. Nigdzie jej nie było widać. Odchrząknął.

- Wolałbym, żeby pani wróciła do domu, pani Zardiss.
- Nie, mam nie mniejsze prawo tu być, niż ci tam.

- Ci tam - powiedział - nie są osobiście zainteresowani.

Dla pani to niepotrzebne obciążenie. Pani mąż powiedział...

- Czy mój mąż wie o tej akcji?

Chciał kiwnąć głową, ale włosy spadły mu na twarz. Zno-wu je uporządkował i w skupieniu przez przednią szybę obserwowował transita, który powoli przejeżdżał w inne miejsce. Kierowca musiał dwa razy zatrzeć, zanim gapie się przed nim rozstąpili.

- Powiedzieliśmy mu w sobotę. Uważał, że lepiej będzie, jeśli na razie pani o niczym się nie dowie. Nie chciał pani niepotrzebnie denerwować. Chcieliśmy zacząć wcześniej i mieliśmy nadzieję, że około południa będziemy gotowi. Nie-
stety, sprawa się trochę opóźniła. Mamy jeszcze przed sobą trzy czy cztery włazy.

Spróbowałam nadać swojemu głosowi ton trzeźwy i rzeczowy.

- A co pana naprowadziło na myśl, że ona mogłaby tu być?

Obiema rękami przetarł oczy, na chwilę zatrzymał ręce przed twarzą, zanim je opuścił, i spojrzał na mnie. Patrzył na mnie bardzo długo, pół wieczności, nim zaczął mówić.

O Nicie i Menkem, o wściekłości, nienawiści i pogroźkach; o rozpacz Nity z powodu śmierci Menkego, którą, telefonu-jąc we Frankfurcie, określiła jako akt boskiej sprawiedliwości. To nie były słowa Nity, tylko opis Klinkhammera. Co dosłownie Nita powiedziała, tego nie chciał powtarzać. W zasa-

239

dzie chodziło też tylko o to, że Nita uważała boską sprawiedliwość za nadzwyczaj niesprawiedliwą. Jej zdaniem, to ona powinna była umrzeć, a nie Menke. Yellowman nic nie zrobił.

- A co Nita zrobiła, pana zdaniem?

Nie odpowiedział, bawił się kluczykiem do samochodu. Wsadził go nagle do stacyjki

i zapalił silnik. Ruszając powie-dział krótko:

- Zawiozę panią do domu.

Nie mogłam zaprotestować; nie dał mi czasu. Mówił na te-mat Uwe Lengriesa, na temat zapowiedzi Nity, że wytepi paru gnojów. Według Nity my zaliczaliśmy się do tych gnojów. A Rena od dwóch lat była jedną z nas. Nita była rozwścieczo-na, że nie wpuściliśmy jej na przyjęcie. Nita w poniedziałek się wściekała, a we wtorek oświadczyła, że nam odpłaci. Lecz Nita była silna tylko dopóty, dopóki miała przy sobie Yellow-mana. Kiedy go zobaczyła bezbronnego i krwawiącego na zie-mi, poczuła, że musi iść do najbliższego telefonu i ze wszyst-kiego się wypowiedzieć, nawet instytucji, na którą zawsze tyl-ko pluła. W trakcie tej spowiedzi padły słowa o Koniku.

A ja źle to rozumiałam albo nie rozumiałam wszystkie-go. Początek zdania, koniec i maleńki szczegół ze środka umknęły mojej uwadze. Końcówka słowa, którą prawie za-głuszyło mówienie z zatkanym nosem. Kiedy ją wstawić na miejsce, wtedy zdanie brzmiałoby: „Przykro mi za to z Koni-kiem, nie chciałam tego robić. Ale nie dało się inaczej”.

Klinkhammer mówił jeszcze, kiedy od dawna staliśmy już na podwórzu. Chciał ze mną wejść do domu. Olgert zadzwoni, kiedy akcja będzie już zakończona. Nie dał się spławić, a w dzbanku była jeszcze resztką kawy. Wrząca, ponieważ za-pomniałam wyłączyć kuchenki, czarna jak smoła, jak spodnie Reny. Musiała też smakować jak smoła. Klinkhammer wypił ją bez mrugnięcia choćby okiem.

Długie kosmyki włosów wisiały za jego uszami jak przy-klejone. Tak bardzo pragnęłam, żeby przynajmniej jeden spadł do przodu i nadał mu trochę ludzkiego charakteru. Ale nic takiego się nie stało, także wtedy, kiedy powiedział:

240

- Wolałbym pani tego oszczędzić, pani Zardiss. Dla rodziców jest to tortura, wiem. Nie mamy nic konkretnego. Jest tylko, jeśli mogę się tak wyrazić, parę zdań na taśmie i kawałek ulicy, na którym dokonano paru obserwacji. Wysuwamy hipotezę i pró-bujemy jej dowieść. Więcej w tej chwili nie możemy zrobić.

- A więc to tylko hipoteza, że moja córka nie żyje?

Wzruszył ramionami i kiwnął głową. I nawet przy tym nie poruszył się nawet jeden włos. Siedział ze mną dwie godziny. Na zewnątrz od dawna zaległa ciemność, kiedy zadzwonił telefon. Włączyła się automatyczna sekretarka. To był Olgert. Klinkhammer wypadł do sieni, gdy tylko rozpoznał głos swojego kolegi. Podniósł słuchawkę i wyłączył automatyczną sekretarkę.

Stałam w drzwiach kuchennych i próbowałam z jego miny wyczytać, co mówi do niego Olgert. Z samych odpowiedzi Klinkhammera nie można było nic zrozumieć. Dwa razy „tak”, raz „nie”, raz „w porządku”. Potem odłożył słuchawkę i odwrócił się do mnie. Nic nie znaleźli.

Klinkhammer zapytał, czy dam sobie radę sama. Kiwnęłam głową i odprowadziłam go do drzwi wejściowych.

- Czy zna pan jakiegoś godnego zaufania człowieka, którego mogłabym zatrudnić za pięć tysięcy marek?

Był szczerze zdumiony.

- Chce pani wynająć prywatnego detektywa?

- Zna pan takiego?

Pokręcił głową.

- Ale na pewno zna pan jakiegoś emerytowanego kolegę?

- Pani Zardiss, czego pani się po tym spodziewa?

- Nita - powiedziałam. - Chcę Nitę. Wygląda przecież na to, że tylko ona może podważyć pańską hipotezę.

Jeszcze raz pokręcił głową.

- Wyrzuci pani tylko niepotrzebnie pieniądze.

- To pieniądze mojego ojca. I takie miał życzenie.

Wzruszył ramionami i poszedł do swojego samochodu. Stałam jeszcze kilka minut w otwartych drzwiach i zastanawia-

łam się, czy wezwać taksówkę, żeby mnie zawiozła do wsi po mój samochód, czy lepiej pójść tam pieszo. Było zimno, wilgotno i wietrznie. Potem przyszło mi na myśl, że mój samochód nie jest mi koniecznie potrzebny. Mercedes ojca stał w stodole, a w nocnym stoliku ojca leżały zapasowe kluczyki. Dowód rejestracyjny samochodu znajdował się w jego portfelu, który miał przy sobie w szpitalu. Ale dowód rejestracyjny mnie nie interesował.

W książce telefonicznej znalazłam adres Uwe Lengriesa. Tyle zdołałam pojąć: informacje na temat wściekłości Nity i jej zamiarów pochodziły od Lengriesa. Uwe w książce nie figurował, tylko Peter. Pewnie ojciec.

Było kilka minut po dziewiątej, kiedy wyprowadziłam samochód ojca ze stodoły. Przejeżdżałam koło gabinetu. Samochód Jiirgena stał na parkingu, a w dwóch oknach paliło się światło. Przez chwilę czułam chęć, aby zatrzymać się i pójść na górę. Szybko minęła.

Cztery minuty później zatrzymałam się przy ulicy przed miejskim zakładem oczyszczania. Znajdował się on na parterze budynku. Nad nim były trzy piętra mieszkań. Z rozmieszczenia dzwonek obok prywatnego wejścia wywnioskowałam, że Uwe Lengries i jego rodzice mieszkali na drugim piętrze. Ktoś musiał być w domu, wszystkie okna od ulicy na drugim piętrze były oświetlone. Ale na kilkakrotny dzwonek nikt nie zareagował.

Chciałam nacisnąć na kilka innych dzwonek, żeby przy najmniej dostać się do środka domu. Ale nagle straciłam chęć na rozmowę z Uwe Lengriesem. Stałam na ulicy przy samochodzie ojca i byłam samotna. Bałam się jechać do domu. Nie było takiego domu, w którym człowiek mógł być sam, nie z takimi obrazami w głowie. Kawalek ulicy, szary mikrobus, dziewczyna na deszczu obok drzwi pasażera. A z mikrobusu uderza ręka trzymająca nóż...

Jeszcze raz naszła mnie myśl o Jurgenie. Ale żeby pomóc z jakimś człowiekiem, wystarczyło tylko zjechać kawałek ulicą w dół i jeden raz skrócić w lewo. Tam był szpital. Wsiadłam więc, pojechałam i skręciłam.

242

Na wielkim parkingu dla gości stały nieliczne samochody. Dochodziła dziesiąta, nieodpowiednia już pora na wizyty u chorych. Główne wejście było od dawna zamknięte. A nocny stróż ani myślał wyjść ze swojej oszklonej dyżurki i dowiedzieć się, czego chce jeszcze tak późno w nocy. Zrobił tylko wymowny gest, pukając w zegarek na lewym przegubie.

Od Jurgena wiedziałam, że izba przyjęć jest otwarta także w nocy. Tylko niezbyt wierzyłam, żeby mnie tam łatwo prze-puszczono. Miałam szczęście. W małym przedsiönku, który za dnia był wykorzystywany jako poczekalnia dla pacjentów z miasta, siedziała młodziutka kobieta za przeładowanym biurkiem. Jej biały kitel nie pozwalał się zorientować, czy była lekarką czy pielęgniar-ką. Była zajęta papierkową robotą, podniosła na krótko wzrok, kiedy weszłam, wskazała rząd zwy-czajnych plastikowych krzeseł i powiedziała:

- Niech pani usiądzie, zaraz będę mogła się panią zająć.

Przez chwilę mimo woli pomyślałam, że także Jurgen tak zaczynał, jako lekarz dyspozycyjny na telefon. Nabrałam po-wietrza, żeby złożyć długie wyjaśnienie, w żadnym razie nie chciałam dać się odesłać z kwitkiem. Musiałam zobaczyć się z ojcem.

Zaledwie wymieniłam jego nazwisko i powiedziałam, że niestety nie zdążyłam przyjść wcześniej, nacisnęła z obojętnym „Ach, tak” jakiś guzik z boku biurka. Zabrzęczał elektryczny zamek w drzwiach. Przeszkoda była pokonana. Nawet nie musiałam się wysilać.

Stałam w długim korytarzu, poszłam do windy i pojechałam na drugie piętro. Jeszcze jeden długi korytarz, zamknięte drzwi do pokojów. Szłam powoli i z nieczystym sumieniem. Weź się garść, Vero. Pozwól twoim rodzicom przespać spokojnie noc. Jeśli teraz uciekasz do swojego ojca jak czterolat-ka, żeby mu opowiedzieć, co dzisiaj się wydarzyło, to jesteś dokładnie taka, jaką cię wszyscy widzą: nie przy zdrowych zmysłach.

Tak też było. Moje myśli krążyły jeszcze wokół Klinkham-mera i szarego mikrobusu, w którym siedziało nie dwoje mło-

243 ' .

dodanych, ale zimna jak lód para morderców. Po dokonaniu morderstwa mieli dwie możliwości. Mogli zabrać zwłoki ze sobą i pozbyć się ich gdzieś po drodze albo wrzucić do jedne-go z otwartych włazów. Włazy zostały sprawdzone; a więc pozostała możliwość „gdzieś po drodze”.

Korytarz miał kształt litery T. Po lewej stronie jego długiej części znaj dowwały się pokój e o numerach 201 -207 dla pacj en-tów z kasy chorych. Po prawej stronie różne pomieszczenia dodatkowe: herbaciarnia, łazienka, pokój pielęgniarki oddzia-łowej.

Ojciec miał prywatne ubezpieczenie i jego pokój miał nu-mer 208, były to pierwsze

drzwi za zakrętem korytarza. Chciałam, żeby nocna pielęgniarka mnie zatrzymała i nie dopuściła, żebym załamała się przy jego łóżku, płacząc jak półtora nieszczęścia.

Pomóż mi, tato. Powiedz mi jeszcze raz: Przy telefonie był młody człowiek. Powiedz mi, że jesteś całkiem pewien, że to mężczyzna wypowiedział to okropne zdanie. To nie mógł być Menke. A jeśli i Nita to być nie mogła, to ja mogę Klinkham-merowi roześmiać się prosto w twarz. Pomóż mi, tato!

Szłam jak na szpilkach, lada chwila podłoga mogła zaskrzyścić przede mną. Lada chwila mogło mnie opuścić opanowanie, które ściśle biorąc było tylko chłodem. Gdzieś po drodze! W lesie przy autostradzie. W krzakach przy parkingu. W jakimś stawie. Było wiele możliwości.

W dyżurce siostry oddziałowej drzwi były otwarte. Nie wiedziałam, czy prześliznąć się niepostrzeżenie, czy iść człapiąc głośno jak słoń. Nie musiałam człapać. Nocna pielęgniarka siedziała przy biurku nad papierami i podniosła wzrok, kiedy przechodziłam. W tej samej chwili była już na nogach. Jej głos był przytłumiony. Nie znała mnie.

- Pani do Kuhlmana? To pokój 205.
- Nie - powiedziałam i spróbowałam po raz pierwszy jako wytrycha wykorzystać tytuł Jiirgena. Była to próba podjęta bez przekonania, coś pomiędzy zachowaniem bezradnej czerlatki i osoby dorosłej.

244

- Jestem doktorowa Zardiss i chcę zobaczyć mojego ojca, Dolfę Mertena, który leży w pokoju 208. Obiecałam jeszcze zajrzeć do niego. Niestety, nie dałam rady wcześniej.

Gdybym może mówiła głośniejszym i bardziej energicznym głosem; ale szeptanie odebrało słowu „doktor” wszelkie znaczenie. Z drugiej strony, sądzę, że nawet profesor nie zrobiłby na niej wrażenia. Była to mała, czujna osoba o oczach jak rentgen. Obejrzała mnie od stóp do głów.

- To niech to pani odłoży do jutra. Nie ma odwiedzin po

dwudziestej.

- Ale to ważne - upierałam się. - I jeśli Kuhlmann może teraz jeszcze mieć odwiedziny...

Przerwała mi z uśmiechem.

- Jeden pacjent potrzebuje troski ze strony rodziny, a drugi potrzebuje snu. Pani ojciec na szczęście należy do tej drugiej kategorii.

- Czy mogę przynajmniej na chwilę do niego zajrzeć? Proszę, nie będę go budzić. Chcę tylko zobaczyć, czy się dobrze czuje.

Zawahała się. Ustępowanie nie należało do jej zwyczajów. Ale w moim głosie wyraźnie dźwięczały łzy. A kto może płaczącemu dziecku odmówić spełnienia tak niewinnej prośby?

- No, dobrze - powiedziała i poszła przede mną za róg korytarza. Uchyliła drzwi odrobinę, akurat na tyle, żebym mogła zajrzeć do pokoju. Ojciec leżał w jednym łóżku, matka w drugim. Spali. Siostra odciągnęła mnie i zamknęła drzwi.

- Mam za sobą okropny dzień - powiedziałam.

Ona kiwnęła głową, jakby Klinkhammer najdokładniej ją poinformował. Potem chwyciła mnie za ramię, pociągnęła za róg korytarza i wepchnęła do dyżurki oddziałowej. Obowiązkowa filiżanka kawy pomogła mi przetrwać pierwsze sekundy.

Ona była tylko nocną pielęgniarką. Czasami jest łatwiej mówić do kogoś obcego. O Nicie i Klinkhammerze, o rurach kanalizacyjnych i dziennikach, o chcianych i niechcianych dzieciach, o kiszonej kapuście i bezsilności, o rowerach i ko-

245

niach, o teściowych i automatycznych sekretarkach, które nie rejestrują niczego,

kiedy ktoś bez słowa odkłada słuchawkę.

- Muszę koniecznie pomówić z ojcem. On rozmawiał wczoraj z moim mężem o tych taśmach z Frankfurtu. Siedziałam przy tym, ale miałam tyle w głowie, że nie wszystko do mnie dotarło. Tylko to, że mój ojciec słyszał w tle, jak bije Big Ben. Big Ben! To przecież Londyn! Założę się, że córka pojechała z nimi dwojgiem na dworzec. Nie musiała koniecznie wsiadać do pociągu do Hamburga, mogła polecieć samolotem z Bonn w Kolonii. A linii lotniczych nie sprawdzano, inaczej Olgert by mi to powiedział.

Pielęgniarka kiwała głową.

- Klinkhammer to idiota. Właśnie mi oświadczył, że dopiero rany odniesione przez Menkego sprawiły, że Nita poszła do telefonu. Ale my mieliśmy trzy takie telefony. Nie zaprzeczam, że Nita dzwoniła na policję we Frankfurcie. Ale po co miałyby dzwonić do nas? Ona nie mogła zabić mojej córki. Załóżmy, że zrobiła to i wyrzuciła zwłoki z samochodu gdzieś po drodze. To dlaczego nie wyrzucili w ślad za nią torby z ubraniami? Roweru przecież się pozbyli. Torba była dowodem obciążającym, o tym by nie zapomnieli.

Siostra kiwnęła głową raz jeszcze.

- Jestem pewna, że córka trzy razy telefonowała do domu. I że przy ostatnim telefonie mój ojciec źle ją zrozumiał. On czasem miewa problemy ze słuchem, ale nie lubi się do tego przyznawać.

Siostra kiwnęła głową po raz trzeci.

- Kiedy sobie pomyślę, ile razy ona jeszcze potem próbowała... Bardzo często nie było mnie w domu. Jeśli ona chce nam powiedzieć, gdzie przebywa i dlaczego odeszła, to na pewno chciałaby też usłyszeć, jak reagujemy, czy jesteśmy na nią zli. Nie będzie się nagrywać na taśmę. Jak tylko usłyszy, że urządzenie jest włączone, odłoży słuchawkę jak moja teściowa. Gdybym nie rozmawiała z nią dzisiaj po południu, nigdy bym nie doszła do tego, jak to piekielne urządzenie działa.

246

Siostra nie miała już okazji kiwnąć głową po raz czwarty. Na korytarzu rozległy się kroki, ktoś cicho zapukał do jednych drzwi. Zaraz potem usłyszałam męski głos. Co powiedział, tego nie można było zrozumieć.

- Chwileczkę - powiedziała siostra, wstała, podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. Ja też się podniosłam. Był już czas pojechać do domu, przeczytać instrukcję obsługi automatycznej sekretarki i nagrać na taśmę nowe powitanie. Nie tylko parę słów i liczb, jak zrobił Jiirgen, za to jedno jedyne słowo: Zardiss. I może była jakaś możliwość wyłączenia dziecka sygnału nagrywania.

Siostra kazała mi czekać i pospiesznie podeszła do drzwi z numerem 205, za którymi słychać było gniewne, przytłumione głosy. Choć nie rozumiałam, o czym była mowa, trudno było nie zauważyć, że za tymi drzwiami dwóch mężczyzn kłóciło się ze sobą.

Nie chciałam biec za siostrą. Wyglądałoby to na ciekawość, a mnie nie interesowała kłótnia w pokoju Kuhlmana. Stałam więc i czekałam, chociaż nagle zaczęło mi

się bardzo spieszyć do domu.

Siostra otworzyła drzwi i usłyszałam syczący męski głos:

- ...ty go całkiem wykończysz... nie masz tu już czego szukać, nie ty... się tu jeszcze raz pokażesz, to ja ci rozwalę...

Potem zamknęła drzwi i odcięła głos. Drzwi do pokoju nie były dźwiękoszczelne. Kiedy siostra zaczęła mówić, rozumiałam każde słowo.

- Tak naprawdę nie można. Tyle razy już panom mówiłam, że jak chcecie się kłócić, to róbcie to w domu, a nie tutaj. To naprawdę nie jest miejsce, żeby rozstrzygać wasze spory. Proszę teraz wyjść, obaj, w tej chwili! Już ja się postaram, żeby pan Kuhlmann miał spokojną noc.

Pospieszyłam do windy, żeby minąć pokój 205. Kabina jeszcze stała na tym piętrze, wystarczyło tylko otworzyć drzwi i wsiąść. I właśnie kiedy wsiadałam, drzwi 205 się otworzyły. Wszedł z nich Udo von Wirth i poszedł prosto w moim kierunku. Nie widział mnie, bo oglądał się przez ramię do tyłu.

247

Potem odwrócił się całkiem i dalej zbliżał się do mnie, idąc tyłem. Jeszcze nie nacisnęłam guzika.

- Pan też - powiedziała siostra. - Mam już dosyć tych hałasów.

Widziałam jak stoi w otwartych drzwiach, wyciągniętą ręką pokazując na korytarz.

Udo wsiadł tyłem do kabiny, gdzie stałam, i trzymał otwarte drzwi dla starszego mężczyzny, którego siostra wyrzuciła z pokoju Kuhlmann. Mężczyzna ten spojrzał ponuro na Udo i poszedł dalej. Ramiona Udo opadły w dół. Wydał z siebie dźwięk, który brzmiał jak łkanie. Potem chciał nacisnąć guzik na parter. W tym celu musiał się obrócić i w tej chwili zobaczył mnie. Wstrząsnął się, jak porażony prądem, i nie wiedział, gdzie podziać oczy.

Żeby rozładować tę przykrą dla nas obojga sytuację, zapytałam:

- Jak się czuje pana szwagier?

Wytrzeszczył na mnie oczy, jakby nie zrozumiał. Powtó-rzyłam pytanie. Wzruszył ramionami i mruknął:

- Rudi nie może się z tym uporać.

Kabina windy stała wciąż na drugim piętrze. Nacisnęłam guzik. Wewnętrzne drzwi się zamknęły. Udo musiał dwa razy odchrząknąć, zanim mógł mówić dalej.

- Mój ojciec chce go zamknąć do wariatkowa. Przecież nie mogą tego zrobić. Rudi nie jest wariatem, on tylko... Leży w łóżku i patrzy w sufit.

Nagle zaczął płakać.

- Wszystko się popsuło. Annegret nie powinna była umie-
rać.

Winda się zatrzymała. Wewnętrzne drzwi rozsunęły się. Udo popchnął drzwi zewnętrzne i zapytał:

- A jak się czuje pani ojciec?

-Lepiej.

Skinał głową z roztargnieniem.

- To dobrze, cieszę się. Z pani ojca równy gość. Często z nim rozmawiałem.

248

Przepuścił mnie, poszedł za mną jak zbity pies przez kory-tarz do dyżurki i na zewnątrz.

- Jak może stać się coś takiego? - spytał, gdy doszliśmy do parkingu. - Myślą i myślę, i myślę, ale nic nie rozumiem.

Jego oczy wędrowały po parkingu, jakby szukał swojego ojca. Ten albo dawno już poszedł, albo czekał gdzieś w cieniu budynku, aż Udo zniknie. Spojrzał nade mną i mówił dalej tak, jakby rozmawiał sam ze sobą.

- To ja powinienem prowadzić wtedy samochód. Annegret zapytała mnie, czy to zrobię. Nie dlatego, żeby nie miała odwagi jechać przy takiej pogodzie. Ona niczego się nie bała. Miała tylko jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Ale Henness mnie też pytał, czy mógłbym mu trochę pomóc, kiedy przyjadą po tę cholerną szkapę. Już mu obiecałem, kiedy Annegret mnie pytała. Potem siedziałem w tej stajni przez całe przedpołudnie i ten Anglik nie przyjechał. Bez sensu i potrzeby się działałem tam prawie do drugiej. Kiedy wreszcie wyszedłem, Annegret już pojechała z dziećmi. Myślę, że wtedy już nie żyli. I dlaczego musieli umrzeć? Dla jakiejś diabelnej szkapę!

Wciąż jeszcze patrzył ponad moją głowę, w dal. I nie zwracając na mnie uwagi podszedł do niebieskiego kombi, wsiadł i pojechał. I w tym momencie wiedziałam już, kto zabił zarodową klacz Hennessa.

9.

JVie

Wtedy to pojęłam, poczułam się, jakbym otrzymała cios w kark, tak gwałtowny, że poplątał mi nagle wszystkie myśli. Wszelkie rury kanalizacyjne i hipotezy Klinkhammera na pewien czas zeszły na plan dalszy. Istniała tylko myśl, że ten człowiek zbudowany jak tur rzucił się na bezbronne zwierzę...

Nawet jeśli był to tylko jeden z tych momentów, w których doznajemy olśnienia, to był triumf; zrozumiałam coś, co pozostawało ukryte przed skrzętną policją. Fakt, że jak do tej pory nie prowadzili dochodzenia w sprawie konia, w żaden sposób nie zmniejszał mojej euforii.

Dopiero po paru minutach pojawiło się wewnątrz drżenie, cienki głosik na dnie serca: „Musisz to komuś powiedzieć, Vero. Aż się wzdrygnęłaś. Można się założyć, że popatrzyłaś na niego z przerażeniem, i on to zauważył. Zatelefonuj do

Klinkhammera! Nie, do niego nie. Zatelefonuj do Hennessie-na! To dobra okazja. Poproś go o rozmowę w cztery oczy, żeby wyprostować tę sprawę. Nie musisz bezpośrednio obwiniać Udo. Zapytasz po prostu, czy on może sobie wyobrazić, żeby jeden z chłopców, którzy stale przychodzą do jego stajni...".

Może tylko dzień domagał się swojej daniny. Możliwe, że szukałam drogi ucieczki. Wypełnić głowę dla odmiany inną krwią. Krwią klaczy! Tak było dla mnie lepiej, powrót do domu i obraz opuszczenia wokół sprawiły, że tym bardziej o tym myślałam. Pusty ciemny dziedziniec, wielka ponura stodoła, opuszczony dom. A nad tym wszystkim wizja ociekającego krwią noża w ręku zrozpaczonego młodego człowieka. Mimo wszystko nie tak przykra, jak oglądanie noża w ręku Nity.

Czy Udo spostrzegł moje olśnienie? Czy patrząc wtedy w dal zobaczył to, co musi teraz zrobić? Wewnętrzny głosik stał się

250

głośniejszy i bardziej energiczny. „Wróć do miasta, Vero. Nie możesz spędzić sama nocy w tym gospodarstwie. Pojedź do gabinetu i porozmawiaj z Jurgenem. Nie o Udo, bo znowu będzie na ciebie patrzył jak na wariatkę. Zapytaj go, czy zbzi-kował albo co go ugryzło, że nie wraca do domu w taki dzień".

Już kilkaset metrów przed bramą widziałam, że faktycznie nie było go w domu. Tam, gdzie znajdowało się gospodarstwo, panował najgłębszy mrok. Otwarte na oścież wrota stodoły przyzywały mnie niczym palec Lucyfera u bram piekła. Gdy-bym przynajmniej miała tyle rozumu, żeby stanąć na podwórku. Ale to był mercedes ojca, na którego chuchano, dmucha-no i nigdy nie wystawiano go bez potrzeby na niepogodę. Wje-chałam nim do stodoły, zanim uświadomiłam sobie, co robię.

Dopóki jeszcze siedziałam w samochodzie i paliły się re-flektory, można było wytrzymać. Ale kiedy tylko wyłączyłam światła, wokół zaczął się taniec demonów. Okropne maszka-rony, które miały tylko dalekie podobieństwo do poczciwej twarzy Udo. Przypominały raczej Nitę i Andre Menkego. Jed-nak tych dwojga nie było w pobliżu. A Udo odjechał przede mną z parkingu przy szpitalu. Na szosie nie widziałam już nie-bieskiego kombi. Mógł tu być od dawna. Czułam, że nie mogę się uwolnić od tej myśli. I nie chciałam postąpić z Udo tak jak z Hennessenem.

Bądź rozsądna, Vero. Co on właściwie takiego powiedział? Przecież tylko tyle, że jego siostra i jej dzieciaki musiały umrzeć, ponieważ on siedział u Hennessena. Troszkę przekli-nał konie, nic więcej nie zrobił. Teraz weź się w garść i postaraj się dostać do domu. Jest jeszcze dużo do roboty.

Musiałam się przezwyciężyć, żeby wysiąść z samochodu, przejść przez absolutną ciemność w kierunku szarego prosto-kąta wrót, a potem przez ciemne jak wór podwórze. Przekli- nałam samą siebie, że wyjeżdżając z domu zapomniałam za- palić lampy na podwórzu.

To nie jest przyjemna myśl, że jest się oddalonym o ponad kilometr od najbliższego zamieszkanego budynku. Lecz ta myśl trzymała mnie w ryzach. Urojone zagrożenia dla wła-

251

snego życia są łatwiejsze do zniesienia niż śmierdzące rury kanalizacyjne albo wilgotne i zimne groby obok miejsc wy-poczynkowych przy autostradzie.

Pospiesznie weszłam do domu, zamknęłam drzwi za sobą i upewniłam się trzy razy, że zamek działa. Potem zapaliłam światło na całym parterze, na schodach i na galerii. Najchę-tniej zapaliłabym odświętne oświetlenie także we wszystkich pomieszczeniach na górze. Ale miałam jeszcze maleńką resztkę nadziei, że Jiirgen nie mówił poważnie albo że tapczan w ga-binecie będzie dla niego zbyt niewygodny. Nie chciałam ry-zykować, że mnie wyśmieje.

Było mi niedobrze ze strachu i od tego Klinkhammera, a od śniadania nic więcej nie jadłam. W jednej z kuchennych sza-fek znalazłam pudełko keksów. Do tego Remy Martin, a dla rozrywki i zabicia czasu instrukcja obsługi automatycznej se-kretarki. Kiedy wypiłam pierwszy łyk i przestudiowałam pierwsze zdania, ogarnął mnie dziwny spokój. Było w nim więcej hysterii niż czegokolwiek innego, ale i pewna nuta ko-mizmu. Nazywa się to chyba sarkazmem.

Fajrant! Daleko zaszłaś, Vero. W taki czy inny sposób po-zbyłaś się wszystkich z domu. Teraz masz marzenie Jurgena tylko dla siebie. A przecież byłaś ostatnią osobą, która chcia-łaby zamieszkać w gospodarstwie Reutherów. Nie, ostatnią była Rena. I ona opuściła je pierwsza. Tak to sprawdzają się słowa Biblii. Ostatni będą pierwszymi! I: pozwólcie dzieciom przyjść do mnie!

Wyobrażenie, że Udo jest zabójcą koni, zbladło. Ono speł-niło już swoje zadanie, sprowadziło mnie z powrotem do miej-sca, w którym powinnam się znaleźć. Jeśli poczciwy chłopski syn mógł zaszlachtować bezbronne zwierzę tylko dlatego, że stracił na próżno trochę czasu w stajni, to takie zwichrowane stworzenie jak Nita, mogło bez problemu zabić dziewczynę, która nie chciała jej więcej znać. Cóż ja właściwie mogłam wiedzieć o wściekłości Nity?

Znowu płynęłam w brudnej lodowatej wodzie w rurach kanalizacyjnych. A przekonanie ojca, że każdy funkcjonariusz

252

państwowy to porządny facet, pozbawiało mnie powietrza. Klinkhammer musiał być bardzo porządnym policjantem, inaczej pozwoliłby sobie w godzinach służbowych na wizytę u fryzjera. I musiał mieć coś więcej, niż to zdanie na taśmie, żeby zarządzić przeszukanie kanałów. To była większa akcja, niż pogonienie paru wieśniaków na pole albo rozpytanie paru młodocianych.

Co oni, u diabła, przemilczają przede mną? Co powiedział im ojciec? Czego dowiedzieli się od Uwe Lengriesa? Pomyślałam, żeby zadzwonić do Jiirgena, ale nie zrobiłam tego. Na pytania i tak by mi nie odpowiedział. A jeśli uważa, że musi na parę dni się wynieść, to proszę bardzo! Jak wróci, to może mnie z kolei nie będzie.

Bezsilność, bezradność, strach i pustka wewnątrz, ten gąszcz uczuć zbił się w jedno i przemienił się powoli w gniew. Obchodzą się ze mną jak z jajkiem i mydłami oczy! To było moje dziecko, do diabła! To była część mnie samej. Choćbym je nawet kiedyś tak chciała mieć, jak zapalenie wyrostka. Przez szesnaście lat należało do mnie. Było dokładnie tak, jakby mi odrąbali ramię, gdzieś je zakopali i nie chcieli mi powiedzieć, gdzie. A ja chciałam się tego dowiedzieć! Chciałam odzyskać moje ramię - za wszelką cenę!

Nie chcę twierdzić, że miałam jakiś plan. To było jeszcze zbyt mgliste, ale coś zaczynało mi świtać. Głos rozsądku albo pustego domu. Nie bujaj w obłokach, Vero, jesteś sama. Czy w tym domu, czy z powodu twych poglądów, to bez znaczenia. Nawet policjanci mogą wyciągać wnioski tylko z tego, co widzą i słyszą. Masz oczy i uszy Vero, otwórz je szeroko i usamodzielnij się.

Początki były niezbyt obiecujące. Na automatycznej sekretarce omal nie połamalam sobie zębów. Miałam do dyspozycji kilka sekund, które powinny być wypełnione nagraniem. Moje przyjacielsko-wyczekujące „Zardiss” zostawiało za dużą przerwę do momentu, w którym rozlegał się sygnał. A on nie dawał się niestety wykasować.

Próbowałam zastosować różne wybiegi, aby tak wypełnić wolne sekundy, żeby powstawało realistyczne wrażenie, że

253

naprawdę zgłasza się rozmówca. Tylko nie miałam możliwości sprawdzenia, jak to odbierają inni.

Szybko zarzuciłam pomysł, żeby poszukać budki telefonicznej dla oceny rezultatu moich starań z zewnątrz. Nie miałam ochoty jeszcze raz opuszczać jasno oświetlonego domu. Poza tym resztką rozsądku mówiła mi, że wlałam w siebie dość dużego drinka Remy Martin, a odpowiedzialny człowiek nie wsiada do mercedesa ojca po alkoholu. Poprosiłam więc Gretchen o telefoniczne wsparcie i opinię.

Nie zwracałam się do niej jak do zastępczej matki. Tak nie było. Aby zrewidować dwudziestoletnie poglądy nie wystarczy kilka kieliszków i parę bezceremonialnych zdań. Może Hennessen miał rację i Gretchen miała złote serce. Ale daleko mi jeszcze było do tego, żeby zobaczyć jego blask. Byłam tylko... nie wiem - sama.

Znajdowałam się na ostrzu noża. I był to piekielnie ostry nóż, który przy każdej myśli nieco głębiej ranił moją świadomość. Vera przeciwko reszcie świata? Nie łudź się, nie dasz rady. Zaakceptuj fakty, przyjmij je wreszcie do wiadomości. To było twoje własne przekonanie w pierwszych godzinach. Kiedy jeszcze nikt nie był gotów brać pod uwagę zbrodni, ty widziałaś ją już martwą w ostatnim boksie w stajni Hennessena. Czy to nie wszystko jedno, czy wpada w szal poczciwy właściciel ujeżdżalni, czy taka wykolejona istota jak Nita?

Gretchen bez ceregieli zgodziła się na to, o co ją poprosiłam. Moja prośba była dla niej równie oczywista, jak kopnięcie w kopiec kreta na grządce sałaty. Vera straciła głowę, musimy się postarać to jakoś zatrzymać. Do pomocy nasze telefony dzwoniły na przemian. Moje przedostatnie powitanie nagrane na taśmie Gretchen uznała za niezłe. Wypożyczyłam sobie w tym celu Pieśń Nibelungów ojca i puściłam w tle.

Powiedziałam: „Zardiss” i „Chwileczkę proszę...”. Potem odwróciłam twarz od mikrofonu i powiedziałam: „Czy ktoś może przyciszyć muzykę?”, i znowu do sekretarki: „Jeszcze chwileczkę”, i znów w kierunku drzwi: „Ojczy, przycisz wresz-

254

cie tę muzykę”. Od tego momentu do sygnału zostały jeszcze trzy sekundy. Dość czasu, żeby przyciszyć sprzęt stereofoniczny pilotem i jednocześnie zapytać: „Reno, czy to ty, skarbie?”.

Gretchen uznała, że może być. Otto, który również był ciekaw efektu, powiedział nawet, że brzmi prawie autentycznie. Mnie się nie podobało, ponieważ po „skarbie”

rozlegał się sygnał. A głos Gretchen zadziałał już równie skutecznie jak valium 10. Byłam znowu prawie normalna i całkiem wykończona.

Ostatnia próba: „Reno, chwilowo nie ma nas w domu. Za-telefonuj do gabinetu, skarbie, albo nagraj po sygnale kilka słów na taśmie. Proszę, Reno, powiedz nam, gdzie jesteś i czy wszystko w porządku. Tak się o ciebie martwimy”. Przy ostatnim zdaniu załamał mi się głos, co nie było zamierzone, tylko po prostu nie mogłam tego powstrzymać.

- Myślę - powiedziała Gretchen z namysłem - że tak będzie

najlepiej. - Jednym tchem spytała: - Czy doktor wrócił

do domu?

Zaprzeczyłam. Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza. Słyszałam w tle, jak tłucze się Otto. Gretchen spytała:

- Czy Otto ma zjawić się jutro rano i zawieźć cię do twojego samochodu?

- To nie będzie potrzebne. Mogę wziąć samochód mojego ojca.

- Ale nie powinnaś go zostawiać we wsi. Jeszcze dzieciaki coś popsują.

- W nim niewiele już da się popsuć.

- Słuchaj - powiedziała - jutro rano wyślę Ottona. Dasz mu kluczyki, to ja ci odstawię samochód pod dom.

- Będiesz prowadzić?

To był pierwszy raz, kiedy zwróciłam się do niej per „ty”. Do tego momentu starałam się omijać konieczność zwracania się do niej bezpośrednio. Zdziwiłam się, że tak gładko przeszło mi to przez gardło.

- Dlaczego nie - powiedziała. - Dawniej prowadziłam ciężarówkę. Po wojnie, przecież nie było mężczyzn. Już ja dam sobie

radę z taką małą blaszanką. Prowadzę też i volvo, jeżeli trzeba. We wsi przecież nie ma gliniarzy, którzy by pytali o papiery.

Miałam to zdanie jeszcze tak dobrze w pamięci. Włożyłam je w usta mojej matki. Rozmawialiśmy jeszcze prawie pół godziny o wszelkich możliwych sprawach, tylko nie o łzach, których nie dawało się powstrzymać. Nienawidziłam siebie samej za to siąkanie w telefon, ale tak było łatwiej i zdania przerywane w ten sposób nabierały większej wagi i mocy prze-konywania.

Rozmawialiśmy o pomyłce, którą popełnia policja, na pewno. Że spodziewałam się po Nicie wszystkiego najgorszego, ale nie zdolności do zabicia człowieka. Rozmawialiśmy też o Udo i o tym, co dotarło do mnie tam, na parkingu. Myślałam, że Gretchen będzie zdziwiona, ale nie była. Wydawało mi się wręcz, że słyszę przez telefon, jak kiwa głową.

- Prawie mnie samej przyszło to do głowy. Udo zawsze biegał do Hennesa, kiedy miał kłopoty. Teraz ma więcej kłopotów, niż może znieść, a nie pokazuje się już u niego. Coś tu chyba jest nie tak. A Otto mówi, że Hennesowi też już wyrwało się parę dziwnych uwag. Może być, że myśli tak samo, jak ty. Tylko na pewno nie będzie chciał zadzierać z von Wirthami. Tobie też bym tego nie radziła. Ale jeśli chcesz, żeby jutro wieczorem wszyscy wiedzieli, to najlepiej z rana idź do Zieglerowej.

- Nie mam zamiaru tego rozpowiadać.

- No i dobrze. Nie ma potrzeby zbytecznie przysparzać chłopakowi kłopotów. Stary by mu urwał głowę, gdyby doszło to do jego uszu. Udo nigdy nie miał lekko ze starym.

Niczym nie mógł go zadowolić. Zawsze to Annegret była lepsza od niego. Kiedy Udo zaczął jeszcze latać do Hennesa, wtedy już wszystko popsuło się z kretesem.

Opowiedziała trochę wiejskich plotek. Że kiedyś zaczęli gadać, że Udo to taki sam pedryl, jak Hennes. Że nie ma co się temu dziwić. Bo jak chłop w wieku Udo omija z daleka każdą kobietę i jak dotąd nie miał ani jednej przyjaciółki, to ludziom przychodzą zwariowane pomysły do głowy.

256

Ona nie bardzo wierzyła w skłonność Udo do własnej płci. Może i próbował. Równie dobrze mógł nie ruszać kobiet tylko dlatego, że miał przed oczami ideał w osobie Annegret i wyobrażał sobie, że żadna, którą by przyprowadził do ojcowskiego gospodarstwa, nie spotka się z przychylnym przyjęciem ze strony jego ojca.

Kiedy wspomniałam o kłótni w szpitalu, Gretchen westchnęła.

- Ach, Boże, ten stary ma nierówno pod sufitem. Słyszałam to już od paru osób i nie chciało mi się w to wierzyć. On ma kompletnego świra, żeby chłopaka winić za ten wypadek. Na pogrzebie - nie było mnie tam, oczywiście, i zresztą do brze, że nie. Już ja bym staremu powiedziała do słuchu, gdybym to widziała i słyszała. Podobno przegnał Udo spod grobu. Wyobraź sobie tylko! Morderca nie ma czego szukać przy grobie jego córki, tak podobno powiedział. Człowiekowi żal chłopaka. Pogadam z nim kiedyś, jak gdzieś go przydybię samego.

Potem życzyła mi dobrej nocy.

Taka dobra to ona nie była. O drugiej położyłam się do łóżka, a o piątej już znowu wstałam. O wpół do szóstej zdrzemnąłam się w telewizyjnym fotelu Jiirgena i śniły mi się rozprute końskie ciała i jakaś postać, która w ponurych zamierach pojawiła się w odludnym gospodarstwie, żeby poderżnąć jakiejś kobiecie gardło i wrzucić ją do kanału. Jednocześnie w tle jęczał i brzęczał automat do gry.

O siódmej dudnienie dochodzące z sieni poraziło mnie jak prąd. To nie była część mojego snu, to było równie realne jak przepelniony pecherz, który mnie na krótko przedtem ostatecznie rozbudził, ale jeszcze nie skłonił do otwarcia oczu. Do tego skłoniło mnie bębnienie. Przez ułamek sekundy zobaczyłam w oknie okropną maskarę.

To był tylko Otto, który rozplaszczwał nos o szybę. Gretchen waliła w drzwi domu pięściami. Wpuściłam ją do środka. Gretchen upierała się, żebym zjadła pożywne śniadanie. Kiedy je przygotowywała, Otto pojechał ze mną na wieś. Wołałam jed-

nak sama odprowadzić fiestę pod dom. Myślę, że i Gretchen tak wołała.

Przy śniadaniu oboje dotrzymani mi towarzystwa. Kilka razy wydawało mi się, że Gretchen chce mnie o coś zapytać. Za każdym razem rzucała pełne wątpliwości spojrzenie na Otto-na, a potem robiła jakąś niezręczną uwagę o kuchni albo o mer-cedesie ojca.

- Nie zaszkodzi, jak trochę nim pojeździsz. Taką bryką za-daje się szyku.

Jeśli nawet w tym zdaniu nie kryła się żadna określona in-tencja, to naprowadziła mnie nim na pewien pomysł. Stopnio-wo przybierał on konkretne kształty. Godny zaufania człowiek! Ile jego czasu mogłam kupić za pięć tysięcy marek? Potrze-bowałam nie tylko więcej pieniędzy, potrzebowałam też zdjęć. W domu było pod dostatkiem zdjęć Reny. Problem był z Nitą. Pomysł przeszkodzenia jej matce w trakcie działalności towa-rzyskiej nie był zbyt pociągający. Ale trudno, trzeba było tak zrobić.

Poprosiłam Gretchen, żeby została w domu, na co bez wa-hania przystała. Powiedziałam, że wrócę około południa. A gdyby telefon zadzwonił...

- Nie zawracaj sobie głowy automatyczną sekretarką. Pod-nieś słuchawkę i porozmawiaj z nią. Jestem pewna, że z tobą będzie mówić.

Otto chciał udać się do Hennessena. Wyszedł z domu ra-zem ze mną. Gretchen zawołała za nim:

- A trzymaj gębę na kłódkę! Doigrasz się, jeśli piśniesz choćby słówko Hennesowi o Udo!

Pocziwiec Otto rozwarł szeroko oczy i zapewnił:

- Ale gdzie tam!

Pojechał przede mną do szosy, skręcił w lewo, zatrafił i za-machał jeszcze raz ręką, jakbyśmy byli dobrymi kolegami. Pomyślałam o przyszłych niedzielnych popołudniach w zaży-łym kręgu rodzinnym. Czy Otto byłby w stanie docenić tort beżowy z agrestem? Mało prawdopodobne. Matka mi nigdy nie daruje, że ich wpuściłam do domu.

Dwadzieścia po dziewiątej zaparkowałam samochód ojca obok fikuśnego coupe Reginy Kolter. Byłam wciąż jeszcze w dziwnym stanie, w połowie wypełniona bezceremonialno-ścią Gretchen, a w drugiej połowie pusta.

Byłam przekonana, że dzwonkiem zerwę matkę Nity z łóżka i zdziwiłam się, kiedy mi otworzyła drzwi. Dziwne jest wrażenie, kiedy człowiek wyobrażając sobie w jakiś określony sposób spodziewaną sytuację i mając pewien pogląd na sprawę, układa sobie z góry przemowę, a potem nie jest w stanie wykrztusić ani słowa, bo nic nie jest takie, jak się spodziewaliśmy.

Ostatni raz widziałam Reginę Kolter trzy lata temu, a może jeszcze dawniej. Widziałam tylko, jak przejeżdża swoim samochodem. Mogłam rzucić przelotne spojrzenie na ocelota na jej ramionach i zachwycający nieład kręconych włosów. Możliwe, że zazdrościłam jej umiejętności noszenia fryzury, która ją odmładzała o dziesięć lat, a z którąją bym wyglądała, jakbym dopiero co wstała z łóżka. Szybko zrozumiałam, że nie chodzi o fryzurę. Ona była o dziesięć lat młodsza, niż sobie to wyliczyłam.

Pociągła blada twarz, podkrążone z niewyspania oczy, ciemnoblonde włosy zwieszające się do ramion i w żadnej mierze nie robiące ekscytującego czy odmładzającego wrażenia, tylko jakby nie zdążyła jeszcze ich uczesać. Miała na sobie wypłowiałe dzinsy ze specjalnie zrobioną dziurą na prawym kolanie i workowaty sweter, była bez pończoch i butów. Boso stała w drzwiach, w prawym ręku trzymając po-obgryzane jabłko.

Chciałam powiedzieć: „Przepraszam, że budzę panią tak wcześnie”. I chciałam to powiedzieć w całkiem określony sposób, trochę drwiąco, bardzo energicznie, dodając między wierszami niewypowiedziane słowa: W przeciwieństwie do ciebie, ja troszczę się o moją córkę i uważam, że powinniśmy coś zrobić.

Zamiast tego powiedziałam:

- Nie znamy się, pani Kolter. Jestem matką Reny. Muszę koniecznie z panią pomówić. Nie wiem, czy pani wiadomo, jakie są domysły policji, ale...

Nie dokończyłam.

Ręka trzymająca jabłko wykonała gest zapraszający mnie do jasnego przedpokoju. Nie wyglądało tam jak w prywatnym burdelu, tylko jak w przytulnym, miłym mieszkaniu. Z jednym wyjątkiem wszystkie drzwi do pokoiów stały otworem. Mogłam bez przeszkód widzieć bukiet kwiatów w dużym pokoju, nakryty do śniadania stół w kuchni, ręcznik na brzegu umywalki w łazience i nie posłane łóżko w sypialni. Zamurowało mnie, kiedy ujrzałam ogromne zdjęcie nad łóżkiem. Było tak wielkie jak plakat.

Czego można się spodziewać w sypialni kobiety, o której wiadomo, że zarabia pieniądze „działalnością towarzyską”? Nagiej Carmen, pary kochanków splecionej w czułym uścisku, w każdym razie jakiegoś erotycznego motywu. Trudno było natomiast sobie wyobrazić, żeby jakiegokolwiek stymulującego działanie emanowało ze zdjęcia wiszącego nad jej łóżkiem. Było na nim widać drobne dziecko w białej koronkowej sukience, z białym wiankiem na ciemnych włosach, trzymające w jednej ręce białą świecę ze złotym ornamentem, a w drugiej książeczkę do nabożeństwa. To była Nita w stroju od pierwszej komunii.

Ręka trzymająca jabłko wskazała kuchnię. Jej właścicielka nie powiedziała jeszcze słowa, a na jej twarzy też nic się jeszcze nie pojawiło, ani pełen pogardy grymas, ani obojętny uśmiech. Wskazała krzesło przy stole. Były tylko dwa krzesła. Usiadła na drugim i odłożyła jabłko na talerz śniadaniowy.

Na stole stał mały mikser ze szklanym dzbankiem. Dzbanek był do połowy napełniony jakąś mętną cieczą. Nalała jej sobie do szklanki. Nie spytała, czy ja się też napiję. Wypiła łyk, odchrząknęła. W jej głosie słychać było niezliczone papierosy albo przeplakane noce.

-1 jakie są te domysły policji?

Byłoby łatwiej jej to wyjaśnić, gdyby mi się tak nie przypaływała w czasie mojej przemowy, nie odrywając wzroku.

260

Spojrzenie jakby zmęczonej lalki, bez mrugania, bez drgania w kącikach ust, bez falowania pod swetrem. Nie było żadnych oznak, że żyje i mnie słucha.

W pewnym momencie zrobiła wydech i stuliła usta.

- Fantastycznie - mruknęła, wypiła jeszcze łyk mętnej, gęstej brei, opuściła głowę i znowu wzięła jabłko do ręki. Obróciła

cała je, przyglądając się śladom zębów.

- I co my teraz zrobimy? Będziemy razem wymyślać głupim gliniarzom? Albo popłaczymy się razem? A może mam panią przeproszać, że wydałam na świat potwora?

Nie podnosząc oczu wskazała wolną ręką w kierunku otwartych drzwi, przez przedpokój do jej sypialni. Ze swego miejsca widziałyby wielkie zdjęcie w całości, gdyby tam patrzyła. Ale nie robiła tego. A ja widziałam tylko brzeg, kawałek białej sukienki i świecy.

- Czy tak wygląda potwór?

Jej ręka cofnęła się, odgarnęła kosmyk włosów z twarzy. Głęboki oddech uniósł sweter.

- Była milutkim niemowlakiem, także w wieku dziesięciu czy dwunastu lat była jeszcze milutka. Była zawsze bardzo mała i drobna. Ale zdrowa jak ryba! I głowę miała nie od parady. W szkole podstawowej mówili, że musi iść do gimnazjum. Przez dwa pierwsze lata szło jej wspaniale. Mogłoby z niej coś wyrosnąć, mogłaby studiować, zdobyć świetną pracę. Ja jej nie zrujnowałam, nie ja! To sprawka kolegi pani męża. Jakiś gnój ją potracił. Miesiącami leżała w szpitalu, musiała powtarzać klasę. Ale to nie byłoby jeszcze takie tragiczne. Nagle cisnęła jabłkiem przez kuchnię i zakryła twarz obu rękami.

- Cholera, jasna cholera! Nie było mnie w domu. Pewien przyjaciel zaprosił mnie na swoją łódź i potrzebowałam paru dni urlopu. W ostatnich miesiącach sytuacja z nią była dość stresująca. Powiedziałam jej, rób co chcesz, bierz sobie, co możesz dostać. Czasami przesadzała. Nieraz myślałam, że już z nianie wytrzymam. Ale chciałam ją wziąć ze sobą. Pomy-

ślałam, że parę dni tylko z wiatrem i wodą na pewno dobrze

261

jej zrobi. Ona nie chciała. Powiedziała: „Nie mogę opuszczać szkoły”. Ja powiedziałam: „Sraj na szkołę. Oni się tylko ucie-szą, jak nie przyjdiesz”. Zaśmiała się. „Właśnie dlatego tak tam lubię chodzić” - tak powiedziała. Odjęła ręce od twarzy i spojrzała na mnie.

- Nie pisnęła ani słówkiem, jakie ma zamiary. Ledwie we-szłam w drzwi, jeszcze nie rozpakowałam walizki, a przycho-dzi ten gliniarz i pyta mnie, gdzie ona jest. Miał frajdę, delek-tował się, że może sobie z góry popatrzeć na kurwę. Ja wie-działam, co on myśli. Umiem czytać w cudzych myślach, w tym fachu trzeba to umieć. Pomyślałam: „A pocałuj mnie w dupę, ty kutafonie. Jak masz chęć oglądać kurwę, to mogę ci zrobić tę grzeczność, nie ma problemu”.

Nie chciałam słuchać o jej bólu. Miałam mieszane uczucia. Jedna część mnie uważała, że ona nie ma do tego prawa. A dru-ga część odkryła już poczucie wspólnoty. Ale nie chciałam mieć nic wspólnego z Reginą Kolter. Chciałam stąd wyjść najszybciej, jak to możliwe.

- Czy ma pani nowe zdjęcie pani córki?

Przez chwilę wpatrywała się we mnie, jakby nie rozumiała, co mówię. Później roześmiała się. Jej śmiech miał brzmienie niskie i gardłowe. Wydeła drwiąco wargi.

- Nie! Ja przecież nie mam córki. Miałam czternaście lat, kiedy zaszłam w ciążę, mój najmłodszy brat jest o trzy mie-siące starszy od Nity. Ona była moją lalką, tak mówi gość, który badał sprawę. Dwa lata temu posłałam ją do psycholo-ga. Myślałam, że może jej pomóc. Ale on tylko trochę anali-zował i zaraz doszedł do wniosku, że ona była moją zabawką.

Wzruszyła ramionami i schyliła się po jabłko. Uderzyło w ścianę nad zlewozmywakiem, odbiło się i potoczyło przed jej stopy. Podniosła je i podeszła z nim do okna. Odwrócona do mnie tyłem mówiła dalej.

- Nigdy nie traktowałam jej jak zabawki. Ona oddychała i śmiała się. Byłam dumna z siebie, że byłam w stanie wydać na świat coś tak wspaniałego. W nocy zabierałam ją do mojego łóżka i cieszyłam się, kiedy na mnie patrzyła i kiedy coś

262

mi opowiadała: he, he albo re, re, jak to niemowlaki. Nie chciałam, żeby musiała nosić używane ubranka. Chciałam, żeby była ładna.

Kiedy raz zaczęła, nie umiała skończyć. Nie mogłam po prostu wstać i wyjść. Ta część we mnie, która odkryła poczucie wspólnoty, przeważyła. Naprawdę nie chciałam, ale odczuwałam współczucie i sympatię. Patrzyłam na nią i widziałam samą siebie. Od czasu do czasu potrzebuje się kogoś, kto nas słucha. Nie mogłam robić nic innego, niż słuchać. Ani odpowiadać, ani zadawać pytań, ani uwierzyć na słowo, że Nita była miłym berbeciem.

Regina Kolter opowiadała o ładnych sukieneczkach z pierwszych lat, o kłótni z jej rodzicami, którzy nie chcieli płacić bez mrugnięcia okiem za wszystkie fanaberie. O dziecinnie naiwnej przygodzie z synem sąsiadów, której owocem była Nita, i o tym, jak przyjemnie było spać z tym chłopcem. O spojrzaniach innych mężczyzn i jak w pewnym momencie pojęła, w jaki sposób bez problemu dałoby się sfinansować lakiery i koronkowe sukienki dla Nity.

Brzmiało to tak, jakby tylko przez wzgląd na swoje dziecko wybrała tę profesję. Nie chciała uwierzyć, żeby to Nicie w jakikolwiek sposób mogło zaszkodzić. Nita cieszyła się, że jej matka ma wielu przyjaciół. To byli zawsze tylko przyjaciele, nie żadni tam zalotnicy. Byli to wybrańcy, i to starannie wyselekcjonowani. To byli mężczyźni z pieniędzmi, władzą i wpływami. Mężczyźni, którzy za jeden miły dyskretny wieczór płacili małą fortunę i także pod innymi względami umieli się rewanżować.

Wystarczyłoby, żeby Regina Kolter pstryknęła palcami, a dwóch czy trzech z tych jej przyjaciół gwałtownie zakończyłoby karierę zawodową Klinkhammera. Dotąd unikała na puszczenia któregoś z swoich przyjaciół na tego idio-tycznego

gliniarza. Teraz też nie miała zamiaru tego robić. Niech tam ten głupkowaty pies myśli sobie, co chce. Ona zgaǳa się na wszystko. Reszta to sprawy prywatne, które obchoǳą tylko ją i Nitę.

263

Po ponadgodzinnej przemowie, w czasie której obracała brą-zowiejące jabłko w ręce i mówiła głosem, którego ton wahał się między melancholią i wrogością, doszła znowu do gnoǳów, którzy im to zrobili. Było ich dwóch, pijany kierowca i bezmózgi lekarz.

Otworzyła szafkę obok zlewozmywaka. Wysunęło się z niej wiadro na śmieci. Zdjęła pokrywkę i odsłoniła stos zmiętych papierowych chustek, łupin od marchwi i jajek. Rzuciła na to jabłko i popatrzyła na mnie w zamyśleniu.

- Po co pani zdjęcie Nity?

Wyjaśniłam jej. Ona pokręciła głową.

- Nawet gdybym miała jakieś zdjęcie, które by się nadawało, w tym celu bym go nie dała. Odejście z domu było decyzją Nity. Jeśli zdecyduje się wrócić, niech to zrobi dobrowolnie.

A nie dlatego, że jakiś szpicel będzie ją do tego nakłaniał.

- Nie chcę jej namawiać do powrotu. Chcę tylko, żeby mi odpowiedziała na parę pytań.

- To mogę równie dobrze zrobić ja. Ten gliniarz bredzi.

A jeśli pani wierzy w to, co on opowiada, to i pani brak piątej klepki. Naturalnie, Nita była wściekła, ale nie na panią ani na Renę. Nie dziwię się, że tak to przedstawiła Lengriesowi. Temu dupkowi nigdy by nie powiedziała prawdy. Prawda, pani Zardiss, jest taka: Nita lubiła być z Reną. Po waszej przeprowadzce była dość zdołowana, bo Rena się od niej oddaliła. Ja jej powiedziałam: „Daj spokój tej małej. Masz dosyć innych

przyjaciół. Taka córeczka z dobrego domu przecież wcale nie pasuje do ciebie". I wie pani, co mi odpowiedziała? „Ja na nią patrzę, Regino, a potem spoglądam przez okno i widzę samą siebie, jak przechodzę ulicą. A kiedy widzę, jak tak przechodzę, jestem taka jak ona. Mogłabym przecież być taka sama, prawda?" Jasne, że mogłaby być taka sama.

Uśmiechnęła się prawie płaczliwie.

- Niech się pani nie martwi. Jeśli Rena jest z Nitą, to dostanie ją pani z powrotem bez jednego zadrapania. Nita nie pozwoli, żeby ktoś jej okienko obrzucił błotem czy zarysował. A jak Nita jej nie będzie już potrzebować, to odeśle Renę do domu.

264

- Kiedy?

Wzruszyła ramionami, odwróciła twarz na bok.

- Za parą tygodni, za parę miesięcy. Wszystko jedno, kiedy. Nita jej teraz potrzebuje. Ktoś przecież musi z nią być, kiedy Andre już nie ma.

Podniosłam się. Jeszcze dwa pytania.

- Jeśli Nita odezwie się do pani, da mi pani znać? I czy zapyta ją pani, czy Rena z nią jest i jak się czuje?

- Ona się do mnie nie odezwie. Nie zrobi mi tego.

Zawahała się, popatrzyła na mnie sceptycznie.

- Ale mam pewne możliwości. Mogę się dowiedzieć, czy one są razem i co się z nimi dzieje. Jeśli to panią interesuje.

Pomyślałam o wpływowych przyjaciółach i kiwnęłam głową.

- Dobrze - powiedziała i również kiwnęła głową. - Zadzwo-
nię do pani, jeśli czegoś się dowiem. Ale nie powiem pani,
gdzie one obie są. Niech pani sobie nie robi nadziei. Jeśli mówię
nie, to znaczy, że nie.

Kiedy wreszcie z powrotem znalazłam się w samochodzie, głowa pękała mi z żalu.
Nie ma na to innego określenia. Może Regina Kolter widziała niektóre sprawy w
krzywym zwierciadle albo w przesadnie jasnych kolorach, może nawet wiele spraw
tak widziała. Ale ona i mnie również dała coś zobaczyć. Ujrzałam to z tym samym
uczuciem pewności, którego doświadczyłam w obecności Udo von Wirtha na
parkingu przed szpitalem. Nie tylko to widziałam, również słyszałam za
pośrednictwem głosu Olgerta, który cytował zdania z dziennika Reny. „Tak
okropnie mi jej szkoda!”

Nita była chora. Ona odeszła, żeby umrzeć. Nie chciała, żeby jej matka na to
patrzyła. „Ona mi tego nie zrobi”. To była odpowiedź. Nita Kolter kochała swoją
matkę i nie chciała widzieć jej cierpienia. Wybrała się ostatnią drogę tylko w to-
warzystwie dwójki dobrych przyjaciół. Z których jedno, być może, pojechało nie
całkiem dobrowolnie. Ale to nie było już takie ważne.

265

Jeśli zdecydowałabym się uwierzyć choćby w ułamek tego, co opowiedziała Regina
Kolter, obraz przybierał inne barwy. Stawał się jaśniejszy, jego kontury ostrzejsze, a
jednocześnie łagodniejsze. Było jeszcze wiele zamazanych miejsc. Pijany kierowca i
bezmózgi lekarz? Nigdy jeszcze nie słyszałam o obrażeniach odniesionych w
wypadku, które dopiero po latach dawałyby poważne następstwa. Rena nigdy też nie
wspominała, żeby Nita w jakikolwiek sposób była upośledzona. Ale Rena o wielu
rzeczach nie wspominała. A ja nie miałam na tyle wiedzy medycznej, żeby móc sobie
wyrobić jakiś pogląd.

Przypominałam sobie jej chwiejność pod naszym domem i ramię Menkego wokół jej
talii. Można to było widzieć na sposób Jiirgena albo jak Regina Kolter. Była naćpana
lub osłabiona. Gdybym się zdecydowała przyjąć tę ostatnią możliwość, to wszystko
miało wyjaśnienie. Nawet to zdanie Nity, które policja we Frankfurcie nagrała na
taśmę.

Naturalnie, rodziło to nadzieję. Więcej, pewność. Rena wróci, kiedyś wróci. Ta pewność czyniła zbyteczną wizytę u Uwe Lengriesa. Lecz zdecydowałam się postępować systematycznie i iść za przykładem policji. Nie zadowolę się opowieścią matki, która widzi tylko to, co chce widzieć. Trzeba też posłuchać, jak inni zapatrują się na te sprawy. Może przy tej okazji da się dostrzec przyczynę błędu w myśleniu, który przytrafił się policji.

O wpół do dwunastej przejechałam po raz pierwszy obok zakładu oczyszczania miasta. Nie było wolnego miejsca do zaparkowania w bliskiej okolicy. Wprawdzie czułam się silniejsza niż w nocy, ale nie na tyle silna, żeby wykazać bezczelność Klinkhammera i zaparkować w drugim szeregu. Zrobiłam kółko po ulicach, jedno, drugie i wreszcie znalazłam wolne miejsce. Nie na tyle długie, żeby zaparkować mercedesa jak należy. Jego tył wystawał na jezdnię. Było mi to obojętne.

Natomiast nie było mi obojętne, że znowu nie było żadnej reakcji, kiedy nacisnęłam dzwonek. Nacisnęłam dwa inne przyciski i w domofonie coś zaskrzeczało. Rozległo się metaliczne: „Słucham”. Głos wydawał się należeć do starszej kobiety.

266

- Chciałam się dostać do Lengriesa - powiedziałam - ale nikt nie otwiera. Czy może mnie pani wpuścić? Wtedy będę mogła zostawić kartkę w drzwiach mieszkania. To ważne.

W drzwiach odezwał się brzęczyk i po chwili stałam na wykładanej płytkami klatce schodowej. Już na pierwszym półpiętrze zorientowałam się, że na drugim piętrze ktoś na mnie czeka. Wrażenie mnie nie myliło, głos należał do kobiety po sześćdziesiątce. Wyglądała przez poręcz i patrzyła jak wchodzi po schodach. Wyciągnęłam z torebki notatnik i długopis.

Kiedy doszłam do drugiego piętra, kobieta pokazała jedne z drzwi i powiedziała:

- Oni wyjechali na urlop. Ale chłopak jest. Tylko jak słycha muzyki, to nie słyszy dzwonka. Trzeba porządnie łomotać w drzwi.

Chciałam to zrobić, ale wtedy powiedziała:

- Teraz go nie ma. Godzinę temu zszedł na dół. Pewnie do

garażu. Musi znowu coś tam dłubać przy samochodzie. Ci przecież nie mają nic innego w głowie, tylko muzykę i samochody. Niech pani zejdzie do piwnicy, a potem pójdzie przez drzwi naprzeciwko schodów. Tamtędy się idzie do garażu.

Kiedy tylko zobaczyłam tego chłopaka, rozpoznałam go od razu. Uwe Lengries to był ten, który na naszym podwórku odwrócił się, kiedy Nita wyprawiała swoje brewerie. Klęczał teraz na tylnym siedzeniu swojego samochodu i manipulował przy dwóch głośnikach na tylnej półce.

Rozpoznał mnie również i jego twarz skrzywiła się niechętnie. Nie chciał ze mną rozmawiać. Ani o Nicie, ani o Andre Menkem, ani o Renie, ani o tym, co opowiedział Klinkham-merowi i Olgertowi.

- Niech ich pani zapyta. Nie mam chęci po raz trzeci znowu tego wszystkiego przeżywać.

Potem jednak zaczął mówić, utykając, z niechęcią i przelatykając z trudem łyzy. Nita ma jego przyjaciela na sumieniu, co tu jeszcze gadać! Nita to nędzna wywłoka, ździra, szmata, po trzykroć przeklęta ćpunka. Nita była na dnie i nie mogła spościć dopóty, dopóki inni też tam nie trafiają.

267

- Czy ona jest chora?

Siedziałam na fotelu kierowcy, a Uwe Lengries na tylnym siedzeniu, z głową odchyloną daleko do tyłu i zamkniętymi oczami. Plasnął się dłonią w czoło.

- Tak, tutaj. A to jest piekielnie zaraźliwa choroba.

Widziałam przed sobą zdjęcie nad łóżkiem Reginy Kolter,

podczas kiedy on przeklinał, siąkał nosem i wygłaszał nekrolog Andre Menkego. Świetny kumpel, przyjaciel jakich mało. Byli nierozłączni od pierwszego dnia w szkole, także wtedy jeszcze, kiedy mieli pierwsze dziewczyny, zanim nie pojawiła się Nita. A za nią Wiltrud Heister i Henrik Emmersen. Andre był w tym czasie z Janet Abel. A Janet była zaprzyjaźniona ze Stefanią Burk. Stefania dała się Nicie omotać w jednej chwili. Przez Stefanię Janet dostała się pod fatalny wpływ Nity, a razem z nią Andre.

To było coś, czego Uwe Lengries nie mógł zrozumieć. Że Andre, który na pewno nie był półgłówkiem, dał się wziąć na lep takiego trującego ziółka, że nagle rzucił wszystko, co przedtem było dla niego ważne, i brał udział w perwersyjnych grach Nity.

W swojej opowieści Uwe sięgnął daleko wstecz. Tak dokładnie nie chciałam tego wszystkiego wiedzieć. Ale nie chciałam też przerywać jego monologu, z obawy, że zgubi wątek albo przypomni sobie, że nie chciał ze mną rozmawiać. Miałam czas i nadzieję, że stopniowo zacznie mówić też o Renie.

Po półgodzinie wiedziałam, że nigdy nie było seksu z Nitą. Tylko czcze obietnice na początku, a później nawet i to nie. Wtedy jednak Andre przylgnął już tak do tego jadowego gruczołu, że byłby zdolny łykać gwoździe i stąpać po rozżarzonych kamieniach dla tego zakłamanego ścierwa.

Setki razy Uwe Lengries ostrzegał przyjaciela:

- Dla niej i ty jesteś tylko gnojem, choćbyś i tuzin kolczyków wkłuł sobie w policzki. Ona cię doprowadzi do zguby.

I dokładnie tak się stało, teraz Andre był umarlakiem. A Uwe Lengries życzył Nicie okropnego i pełnego udręki końca, ja-kiego się nie życzy najgorszemu wrogowi.

268

Naprowadziłam go z powrotem na właściwy temat, mówiąc, że w przypadku Reny my też zawsze się zastanawialiśmy, co ją tak magicznie ciągnęło do Nity. I że poczuliśmy ulgę, kiedy nam się wydało, że z tym koniec.

- Bo tak też było - mruknął - dla Reny. Nie dla Nity. Ona chce sama decydować, kiedy z czymś jest koniec. Jak zauważyła, że ktoś się jej zaczyna wymykać, to nagle się robiła cholernie przyjacielska i brała go na litość. Większość dawała się na to nabrać. Rena też. I to biedne stworzenie jeszcze się parszywie czuło.

Z zamkniętymi oczami opowiedział o ostatnich godzinach z Nitą i Menkem. Że Nita dosłownie powiedziała:

- Wezmę Konika ze sobą, teraz dla odmiany to na niej będą jeździli.

Że powiedział do Nity:

- Chyba nie myślisz, że pojedzie dobrowolnie!

Że Nita się roześmiała:

-Jeszcze jak! Już wiem nawet, jak ją namówić. Niech gno-je majajeszcz ubaw, zanim ich wyślę do piachu. A jak Konik będzie stawać dęba, to ona będzie pierwsza. Dla mnie tam bez różnicy.

W żargonie prawników to się nazywa: zeznanie przeciwko zeznaniu. Regina Kolter przeciwko Uwe Lengriesowi. Roz-mawiałam z nim jeszcze przez chwilę, przede wszystkim na temat zdrowia Nity. Przyznał, że czasami dość parszywie się czuła. Ale jego to wcale nie dziwiło. Jak ktoś zre speed na kilogramy i codziennie musi dziabnąć sobie w żyłę, to nie ma co marzyć o dobrym zdrowiu. O jakimś wypadku w dawniej-szych latach albo poważnej chorobie nic nie wiedział. Za to doskonale wiedział, że lekarze byli dla Nity ostatnim gów-nem. To właśnie sprawiało, że Rena była dla Nity tak cennym nabytkiem. Jej tato był wujkiem doktorem, któremu Nita ko-niecznie chciała pokazać, gdzie raki zimują.

Nie potrzebowałam się dłużej zastanawiać nad tym, co Klin-khammera naprowadziło na jego wydumaną teorię morder-stwa. Regina Kolter nie czuła potrzeby wyjaśniać idiotyczne-

269

mu gliniarzowi, co jej leży na sercu i jakim człowiekiem była jej córka. A od Uwe Lengriesa wystarczyło posłuchać tylko trzech zdań, aby Nita jawiła się jako diablica. Można było w to wierzyć albo nie.

Ja nie wierzyłam. Już nie. Nie bez zastrzeżeń. Biała twarz i czarna opończa, ale nic na świecie nie jest tylko czarne albo białe. Każdy potrzebuje jakiejś fasady.

Byłam spokojna i silna i dostatecznie odważna, żeby wpaść do gabinetu. Moment był sprzyjający. Przerwa obiadowa. Ja-śmin była w domu, a Sandra Erken pewnie też już od dawna zajęta swoim synkiem.

Pomyślałam, że mielibyśmy trochę czasu dla siebie. Czasu na przeprosiny. Czasu na to, żeby powiedzieć: „Nie rób tego sobie, jeszcze jedna noc na tapczanie. Nie bądź

głupi i wróc do domu. Zrozumiałam, że się zachowywałam niemożliwie. Ale jeśli my oboje w tej okropnej sytuacji będziemy mieć dla siebie troszkę względów...".

Jego bmw stało na parkingu przed gabinetem. Zaparkowałam mercedesa obok, wyjęłam klucze z torebki, wysiadając zastanawiałam się, czy mu opowiedzieć, czym się zajmowałam przed południem. Lepiej nie! Na razie nie ruszać tematu Reny, najwyżej zapytać, czy go powiadomili o wynikach po-szukiwań w kanałach.

Drzwi wejściowe były uchylone. Na schodach spotkałam starego mężczyznę i młodą kobietę z niemowlęciem na ręku. W budynku mieściło się kilka gabinetów lekarskich. Internista, dentysta, pediatra, ortopeda, urolog i Jiirgen na pierwszym piętrze.

Otworzyłam drzwi, weszłam do środka. Jak się spodziewałam, rejestracja, laboratorium i poczekalnia były puste. Drzwi do herbaciarni stały otworem. W zlewie zobaczyłam używane naczynia, a z wiadra na śmieci wystawało opakowanie po pizzy. Pewnie zamówił ją wieczorem.

To tekturowe pudełko opowiadało więcej niż tysiąc słów. Jiirgen brzydził się pizzą. Ale co zrobić, jak się siedzi same-mu i jest się głodnym w gabinecie lekarskim? Gdy nie można

270

się zebrać w sobie, żeby pójść między ludzi. Jeśli tylko Włoch dostarcza jedzenie do domu. Zrobiło mi się żal, że wieczorem przejechałam obok nie zatrzymując się. Musiał się czuć bar-dzo marnie.

Zapomniałam, jak ja się marnie czułam i wybaczyłam mu, że go nie było. Musiał być gdzieś w pobliżu, w jednej z oko-licznych restauracji. Na dalszą trasę wzięłby samochód.

Trzy restauracje mogły wchodzić w rachubę. Włoch, który dostarczył pizzę, Chińczyk i lokal z tak zwaną dobrą kuchnią mieszczańską, lecz nie wiedziałam, czy dają tam obiady. Włoch-a mogłam sobie darować, bo więcej niż jedna pizza na pewno nie przeszłaby Jiirgenowi przez gardło. Nie był też miłośnikiem makaronów. Spróbowałam najpierw u Chińczyka, lecz tam go nie było. Wciąż jeszcze miałam ochotę z nim poroz-mawiać, spokojnie, rzeczowo i przekonująco. Nie znalazłam go także w lokalu oferującym dobrą kuchnię mieszczańską.

Wróciłam pod gabinet, wzięłam samochód i pojechałam do szpitala. Zapomniałam, że obiecałam Gretchen wrócić około południa. Chyba zapomniałam nawet o

Gretchen.

Byłam pełna nowych myśli, nowych planów i nadziei. I chciałam się nimi troszkę podzielić z tymi, którzy ich po-trzebowali tak samo, jak ja.

Moi rodzice siedzieli już przy kawie i kawałku ciasta mar-murkowego. Ojciec oddał mi swoją porcję, twierdząc, że dla niego ciasto jest za suche, a obiad był nadzwyczaj obfity. Matka wyszła poprosić o kawę dla mnie.

Zanim wróciła, w ogólnych zarysach opowiedziałam ojcu o poniedziałku, zaczynając od przerwania bezskutecznych poszukiwań, żeby się niepotrzebnie nie denerwował. Potem kilka słów na temat Reginy Kolter i Uwe Lengriesa, o nowych poglądach, zmienionych opiniach i pełnych nadziei wnioskach.

Ojciec słuchał mnie uważnie. Czuł się lepiej. Mówił powo-łli, ale zrozumiałe. Nie chciał wydawać osądów, ponieważ ni-gdy nie znał Nity osobiście, tylko słyszał od czasu do czasu, jak o niej mówimy. Powiedział, że w miarę upływu czasu na-

271

prawdę już nie wiadomo, co myśleć i w co wierzyć. On sam też już nie wiedział, czy faktycznie usłyszał to, co mi podyk-tował do notatnika, czy tylko sobie to wyobraził.

- Co się tyczy zegara, Vero, jestem pewien. W tym mo-
mencie byłem jeszcze spokojny. Ale potem...

Spojrzał na mnie, jakby chciał mnie prosić o przebaczenie.

- Nie nasz pojęcia, jak taki płacz zniekształca głos. Klin-
khammerowi też to powiedziałem, kiedy nam puszczał te ta-
śmy z Frankfurtu.

Zanim zdołałam go jeszcze o coś w związku z tym zapy-tać, wróciła matka z filiżanką kawy. Była tylko letnia i przez nieuwagę wlała do niej mleko. Przeprosiła, spytała, ile mam czasu i pogłaskała się po włosach.

- Jeśli mogłabyś mnie tu zastąpić, to chętnie bym się zapi-
sała do panny Giseli. W zeszłym tygodniu nie mogłam prze-
cież do niej przyjść w umówionym terminie.

Panna Gisela była jej fryzjerką. A ja miałam czas, cały czas świata. Mogłam przez całe popołudnie siedzieć u ojca i w spokoju rozmawiać o zniekształconych głosach. Matka uśmiechnęła się łagodnie.

- To ja pójdę do telefonu. Może będę miała szczęście i przyjmie mnie od razu.

Zrozumiałam dopiero, kiedy wyszła z pokoju.

- Dokąd ona idzie?

Ojciec uśmiechnął się pod nosem. Zrobił to naprawdę i uśmiech nie był ani krzywy, ani zniekształcony.

- Przecież słyszałaś.

- A co ty słyszałaś? Proszę, tato, nie okłamuj mnie. Czy w poniedziałek to był ten sam głos, który Klinkhammer puszczał ci z taśmy? Czy to była Nita?

Spojrzał na mnie bardzo poważnie i z głębokim namysłem, a potem powoli pokręcił głową.

- Nie, Vero, w żadnym przypadku. Jestem raczej pewien, że to był mężczyzna. Ale nie pytaj mnie, co dokładnie powiedział. To mogło być coś całkiem niewinnego. Przykro mi, że ci podyktowałem te bzdury. Byłem przekonany, że tak to usły-

272

szalem. Może słyszałem tylko moje własne myśli. Całymi dniami myślałem tylko o tym jednym: Jeśli temu dziecku coś się stało, to z mojej winy. Rozumiesz, co mam na myśli?

Naturalnie, rozumiałam. Tego dnia rozumiałam wszystko. To był dobry dzień! Matka telefonowała do fryzjerkki. Ojciec powiedział to, co chciałam usłyszeć, i jeszcze troszkę więcej. Mięśnie twarzy znów były posłuszne jego woli. Regina Kol-ter naprowadziła mnie na nową drogę. Widziałam dwie dziewczyny, z których jedna była chora i potrzebowała pomocy. A Rena robiła, co mogła, dopóki było to

konieczne. Kilka tygodni, kilka miesięcy.

Ojciec przypomniał mi z poważną miną, że Regina Kolter powiedziała: „Jeśli...”. Po „jeśli” trzeba było postawić znak zapytania.

- Nie muszę ci mówić, jak byłbym szczęśliwy, gdybyś miała rację, Vero. Ale wyświadcź sobie samej tę przysługę i zachowaj trzeźwe spojrzenie, nie przyswajaj sobie od razu nowego światopoglądu pod wpływem tej kobiety. Przede wszystkim nie spodziewaj się, że ona dowie się czegoś na temat dziewczyn dzięki swoim rzekomym znajomościom. Wpływowi mężczyźni, którzy regularnie uczęszczają do takich kobiet, są zazwyczaj zbyt tchórzliwi, żeby się w jakikolwiek sposób do tego przyznać. Dlaczego nie wynajmiesz wreszcie kogoś?

- Kogo?

Pomyślałam i zaproponowałam, żebym zadzwoniła do Heinza Steinschneidera. Steinschneider kilka lat temu miał do czynienia z pewnym młodym policjantem, który musiał odejść ze służby. W gruncie rzeczy był to człowiek godny zaufania, tylko niestety zbyt mało konwencjonalny, jak na tę profesję. Miał jedno postępowanie dyscyplinarne po drugim. Steinschneider bardzo nad tym ubolewał, później wspominał kiedyś, że ów młody człowiek usamodzielniał się jako prywatny detektyw.

- Wolałabym, żebyś to ty zadzwonił do Steinschneidera - poprosiłam. - Przecież ja go prawie nie znam.

- Ale on zna ciebie, Vero. Jak ja miałbym do niego dzwonić?

273

Pokazałam stojący bez pożytku przy jego łóżku telefon.

- Wystarczy, żebyś powiedział tylko jedno słowo, a siostrę go podłączy i już możesz dzwonić do kogo chcesz. A ja też

. mogłabym dzwonić do ciebie. Ojciec uśmiechnął się.

- Już o tym myślałem, ale na to chyba jeszcze za wcześnie.

Wiesz, to nie to samo, czy się chce podnieść słuchawkę, żeby się umówić z fryzjerką, czy jest się zmuszonym to zrobić, bo ktoś telefonuje. Do tego jeszcze twoja matka nie dojrzała, daj jej trochę czasu.

Matka wróciła o szóstej ze świeżo zrobioną trwałą ondulacją i włączyła się trochę do rozmowy. Ten parszywy telefon. Ojciec chętnie odfajkowałby już tę sprawę. Kilka razy próbował nakazać jej milczenie. Ale nie było sposobu odciągnąć ją od tego tematu. Wprawdzie nie miała skłonności do przesady, nie leżało też w jej charakterze przechwalanie się. Ale nie była od tego, żeby trochę nadsztukować swoją nowo nabytą zdolność i wmówić mi, że zwieszającą się słuchawkę miała tuż przy uchu. Dla niej nie miało znaczenia, czy ten telefon był dla nas ważny, czy nie. Rzekomo dyskretny gwar głosów w tle coś jej przypominał. Teraz łamała sobie głowę, gdzie słyszała już kiedyś coś podobnego. Nie na dworcu, to pewne. Także knajpę i automat do gry matka zdecydowanie odrzuciła. W takich instytucjach nigdy nie przebywała. A potem to wołanie: „Gdzie ty się podziewasz?” albo „Co ty tam robisz?”. To „ty” słyszała na pewno.

Ojciec nie pamiętał już dokładnie, jakie padły słowa. Za to tym lepiej pamiętała wszystko matka, która mogła polegać na swoim słuchu. W przeciwieństwie do ojca, który energicznie zaprzeczał, że się starzeje, ona absolutnie nie miała żadnych problemów ze swoimi pięcioma zmysłami. To prawda, że potrzebowała okularów do czytania, ale tylko rzadko, w końcu niewiele czytała. A jej uszy? Słyszała doskonale. Wołanie pochodziło od kobiety! Na to matka gotowa była przysiąc. Jakaś nieśmiała kobieta, być może już starsza. A pan Klin-khammer był bardzo zainteresowany tą informacją.

274

O siódmej pożegnałam się. Był to wciąż jeszcze dobry dzień. Zainteresowanie Klinkhammera kobiecym głosem nie było powodem do trosk. Fakt, że policjant powstrzymał się od złośliwego uśmiechu, kiedy stara kobieta jakąś błahostką próbowała dodać sobie znaczenia, tylko dobrze świadczył o jego charakterze.

Chciałam pojechać do domu, ale nie sama. Zdecydowałam się więc jeszcze raz

złożyć wizytę w gabinecie. Samochód Jurgena stał w tym samym miejscu, co w południe. Drzwi wejściowe były jeszcze otwarte. Obok windy stał damski rower, na który nie zwróciłam wcale uwagi.

Weszłam po schodach i włożyłam klucz do zamka. Było krótko po siódmej, Sandra Erken i Jaśmin dawno wyszły, a poczekalnia świeciła pustkami. Poszłam do gabinetu przyjąć i otworzyłam drzwi. Nikogo nie było widać.

Na biurku stała popielniczka. Stała tam zawsze. To był piękny, ciężki przedmiot z granitu. Jiirgen trzymał w niej spinacze biurowe i podobne drobiazgi. Teraz to wszystko leżało na blacie stołu. A w popielniczce znajdował się niedopałek papierosa spalonego do filtra. W pierwszym momencie przyszedł mi na myśl Klinkhammer. To się samo nasuwało. Na pewno nie próżnował tego dnia i pojawił się osobiście, żeby poinformować Jurgena o nowych rezultatach śledztwa. Czułam już głucho bicie serca. I wtedy zobaczyłam na filtrze ślad innego za-barwienia.

To był tylko słaby odcisk, który bardziej pozwalał się do-myślać niż dostrzec, że pochodził od ciemnoczerwonej szminki. Narastające napięcie znikło. Niektóre pacjentki były nerwowe. Kiedy Jurgen musiał im zakomunikować coś niemiłego, nie protestował, jeśli chciały zapalić papierosa. Wysypywał wtedy rupiecie z popielniczki i podawał ją przez stół.

Podeszłam do drzwi prowadzących do pokoju badań. I usłyszałam ten odgłos - przypominający cichy, zmysłowy śmiech. Zaraz potem usłyszałam słowa.

- No, nie certol się tak. Musisz się wyłączyć. Wiem, to w tej chwili nie takie proste dla ciebie. Ale kiedy miałaś z nią ła-

275

two? Dawniej sam przecież powiedziałaś, że z nosem na kwintę nie robi się lżej na sercu. No chodź, już ja ci ulżę.

Znałam ten głos, chociaż nigdy go nie słyszałam w takim brzmieniu. Kiedy odzywał się w mojej obecności, kojarzył się nie tyle z alkową, co raczej z koszarami. „Chcę rozmawiać z doktorem osobiście, ale to już!” Eva Kettler! A to, co powiedziała, sugerowało długoletnią zażyłość. Nie musiała do-dawać:

- Potraktuj to jak pamiątkę po dawnych czasach. Już ja cię postawię na nogi, przynajmniej częściowo.

Takie więc było uwieńczenie obiecującego dnia! W takiej chwili człowiek nie snuje refleksji. Po prostu brak czasu na rachunki. W sumie dwadzieścia lat, z czego dziewiętnaście małżeństwa. Nie każdy dzień był szczęśliwy. Ale właśnie dla-tego zostawało jeszcze dosyć pod kreską, żeby ciągnąć to da-lej. O ile się człowiek akurat nie potknie o jakieś czułe tete-a--tete z inną. Jeśli nie zacznie się myśleć o tych wszystkich wie-rczorach, kiedy nas wysyłano do domu, żeby przynajmniej jed-no z dwojga mogło punktualnie kończyć pracę.

- Nie potrzebujesz przy tym być, Vero. Ona chce tylko po-
gadać.

Nie, to on chciał pogadać. Ona nie mogła, z pełnymi usta-mi. Chciałam szeroko otworzyć drzwi i wpaść do pokoju ba-dań. Ale kiedy szum w moich uszach się zmniejszył i zrozu-miałam, co on mówi, ręce i nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

- On bardziej się zdenerwował tym, że jej to powiedział,
niż tym, co tamten gość powiedział. On się z nią zawsze ob-
chodził jak z jajkiem. Teraz leży tam i łamie sobie głowę, skąd
zna ten głos. A ja myślę przez cały czas, że jeśli on zna tego
faceta, to i ja go prawdopodobnie znam.

Przez chwilę było cicho, potem ciągnął dalej głosem tak ciężkim, jakby był obciążony toną ołowiu.

- Próbowałem mu przetłumaczyć, że trzeba z nią porozma-
wiać otwarcie. Ona zasłyszysz tutaj jedno, tam drugie i przez to
wariuje, bo wyobraza sobie wszystko, co tylko jest możliwe

276

i co nie jest możliwe. Ale gdybym jej powiedział, jak napraw-dę sprawy stoją, to wyfrunąłbym na ulicę. On ma mnie w gar-ści. I całkiem serio mi zagroził, że wykorzysta hipotekę. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby cokolwiek bąknąć. A więc zwia-łem jak jakaś tchórzliwa świnia.

Znowu na parę sekund za drzwiami zaległa cisza. We mnie również. Serce przestało mi bić. „On!” Nie było cienia wą-pliwości, że miał na myśli mojego ojca.

Jiirgen powiedział niechętnie:

- Przestań!

Potem mówił dalej tym ciężkim jak ołów głosem.

- Najgorsze jest dla mnie to, jak on o tym mówi. Wtedy czuje się w nim sędziego. On analizuje jak prawnik, a nie jak dziadek. Powiedział, że widział już niejednego mordercę w chwili załamania. Słyszał, jak płaczą i skomlą. I to właśnie było wtedy. Możesz to sobie wyobrazić? Taka świnia zabija moją córkę, a potem jeszcze się kaja i chce nas prosić o przebaczenie. Szuka u nas zrozumienia, tak powiedział mój teść.

A Klinkhammer uważa, że on ma rację.

- Ale przecież Klinkhammer mówił - mruknęła niewyraźnie Eva Kettler - że ta Kolterówna coś jej zrobiła. Przecież ona też tak powiedziała na taśmie, nie?

Jiirgen wydał z siebie ochrypy śmiech.

- Tak. Diabli wiedzą, co miała na myśli. Pewnie pieniądze, które Rena dostała od mojej matki na urodziny. Prawdopodobnie opowiadała im o tym na przerwie i w ten sposób naprowadziła ich na ten pomysł. Nie na darmo stali wtedy cztery godziny na szosie. Klinkhammer też uważa, że to możliwe. Bo książeczka oszczędnościowa rodziców Menkego była zabezpieczona hasłem. Nie mogli się więc do niej dostać. A Nita miała tylko dwie stowy na koncie, za to nie wyżyłaby nawet jednego dnia, przy jej potrzebach.

Jiirgen zrobił małą przerwę, za krótką, żeby choćby odetchnąć.

- Ale cała reszta to tylko wersja dla zestresowanej córki. Trzeba to sobie wyobrazić. Mój teść ledwie może patrzeć

277

na oczy, ale ma w kieszeni głównego komisarza. Doradzał nam wszystkim najusilniej pozostać przy wersji Kolterówny, żeby jego jedynaczka nie rozniosła połowy wsi. Uświadomienie jej bierze na siebie. Ciekaw jestem, kiedy się za to weźmie? Eva Kettler powiedziała:

- Teraz zapomnij o tym na kwadrans.

- Nie mogę - powiedział Jiirgen i mówił o moim stanie i jego nerwach. Że czuje się jak gnój. To był najgorzej wybrany moment na opuszczanie domu. Ale gdyby tego nie zrobił, to musiałby mnie udusić, żebym wreszcie się zamknęła.

Opowiadał jej o moim wrednym charakterze, który uze-wnętrzniał się zawsze wtedy, kiedy nie wiedziałam, jak inaczej sobie poradzić. Że z czasem wziął ode mnie niezłe ciągi. Najpierw był dostatecznie dobry, żeby mi zrobić dziecko, żeby miałam alibi pozwalające mi wykręcić się od drugiego egzaminu państwowego i pracy zawodowej. Potem przekonałam się, że i z jednym dzieckiem jest robota, i najchętniej popełzłabym z powrotem do tatusia.

- Nie masz pojęcia, co ona wyprawiała, kiedy zaszła w ciążę z Reną. Gdyby umiała, wydarłaby sobie ten płód z ciała.

Po porodzie kilka razy byłem bliski tego, żeby odstawić ją pod drzwi jej rodziców.

Jego głos był zdławiony.

- Rozluźnij się - powiedziała Eva Kettler.

- Przestańże wreszcie. Naprawdę nie mogę - powiedział. -

Mnie ona zarzuca, że nie troszczyłem się o Renę. A jak ona

się o nią troszczyła? Wiesz, ile razy wracałem do domu, a nie

mowlak leżał tak opaskudzony w swoim łóżeczku, że ledwo go było można dotknąć? A Anna leżała przed nim na podłodze i spała ze ścierką w ręku. Kiedy ją budziłem, mówiła: „Muszę wytrzeć dziecko”. A madame rozwalala się na tapczanie i oglądała sobie show z Rudim Carrellem.

Wreszcie zamilkł. Gdyby mi się udało przez zamknięte drzwi zobaczyć głowę Ewy Kettler między jego kolanami; gdybym przynajmniej mogła sobie powiedzieć: „To musiało się zdarzyć, Vero. Od tygodni go nie dopuszczalas do siebie. A on od

278

czasu do czasu tego po prostu potrzebuje”. Może zrobiliby mi się lżej. Ale nie mogłam tak sobie powiedzieć, bo on rzekł: „Nie mogę”. A jeśli on nie chciał albo nie mógł, to wszystko było na nic. Po urodzeniu Reny prawie przez rok żyliśmy jak brat z siostrą.

To bolało, tak przerażająco bolało. Nie to, że od dawna mnie zdradzał z tądzirą, tylko to, co przed nią ujawniał. To doprowadzało mnie do szału, czułam, że zaraz zwariuję i że jestem bezsilna. Bo było to prawdą. A to, co przedtem powiedział

0 moim ojcu i facecie, który się kajał i szukał u nas zrozumienia i wybaczenia...

Nie wiem, jak zesłam na dół do samochodu i wróciłam do domu. Nie widziałam ani jednego drzewa przy drodze, ani jednego zakrętu nie wzięłam świadomie. W mieście nie widziałam świateł na skrzyżowaniach, przejść dla pieszych, a na szosie innych pojazdów. Nie widziałam także słupków przy bramie ani wrót stodoły. Tylko Renę w jego ramionach.

Jak wtedy przyszedł z nią do dużego pokoju. Jak zatrzymał się przy drzwiach, jak jego wzrok błędził między telewizorem

1 moją twarzą. Potem popatrzył na Renę i powiedział:

- To ja ją wykąpię. Może przy okazji od razu ją utopić? Czy raczej jutro jakoś sobie poradzisz, kiedy znowu będzie się zapluwać?

Weszłam do domu. Gretchen siedziała w kuchni nad filiżanką kawy i czasopismem. Podniosła oczy i pokazała eks-pres do kawy.

- Spróbowałam tego użyć. Mam nadzieję, nie masz nic przeciw temu, że się obsłużyłam... - urwała i spytała: - Co się stało? Wyglądasz jak upiór.

- On mnie zdradza! Z pacjentką.
Jeszcze jedno słowo i bym się udusiła.

Potrzebowała dobrej chwili, żeby dotarł do niej sens moich słów. Potem powiedziała oschle:

- To niech lepiej uważa, żeby go pewnego dnia nie wpakowała. Pacjentka! Myślałam, że ma więcej rozumu.

Żadnego ubolewania, żadnej pociechy, ani słowa o zranionych uczuciach, tylko czysto praktyczna strona i obowiązko-

279

wy sznaps. Golnęłam sobie i poszłam do sieni, żeby zadzwonić do Heinza Steinschneidera. O niczym innym nie byłam w stanie myśleć.

Coś w moim mózgu się wyłączyło. Byłam pusta, okłamana, oszukana, traktowana jak jajko i pozostawiona samej sobie. Dotarłam do punktu, o którym nie wiedziałam nawet, że taki istnieje.

Sięgnęłam po słuchawkę. Gretchen powstrzymała mnie, chwytając za ramię.

- Chwileczkę! Posłuchaj lepiej najpierw tej maszyny.

W jej spojrzeniu i głosie wyczuwało się napięcie i jakby obawę.

- Dzwonił tu jeden taki. Podniosłam słuchawkę, tak jak mówiłaś. Ale kiedy się odezwałam, niewiele już z siebie wydo był.

10.

ie mogłam natychmiast przesłuchać tej taśmy. Musiałam najpierw zatelefonować. „Jeden taki”, powiedziała Gretchen. A ojciec powiedział: „Jestem raczej pewien, że to był mężczyzna”. Jiirgen mówił o facecie. Matka wspomniała o zainteresowaniu Klinkhammera nieśmiałym głosem starszej kobiety. I ta nieśmiała starsza kobieta wołała: „Gdzie ty się podziewasz?” albo „Co ty tam robisz?”. A młody człowiek powiedział: „Przykro mi. Przykro mi. Nie chciałem jej zabijać”.

Czułam strach. Szaleńczy strach! Okrutny strach! Był jak kamień w płucach. Heinz Steinschneider powiedział z wyraźną rezerwą:

- Miło mi to słyszeć.

A ja nawet nie wiedziałam, że mu właśnie opowiadałam o ojcu.

Gretchen stała w drzwiach kuchni i obserwowała mnie z miłą bez wyrazu. W jej oczach nic już nie migotało, ani napięcie, ani obawa. Jej spojrzenie było już tylko jak siatka pod trapezem.

„Skocz wreszcie na dół. Wiesz przecież, że nie utrzymasz się już długo na drążku, tam, u góry. Przez dwadzieścia lat próbowałaś ułatwić sobie życie. Tu troszkę oszukać, tam odrobine spartolić, jeszcze gdzie indziej zamydlić oczy. I myślałaś, że tak może być. Ale nikomu się nie uda przejść przez całe życie na kłamstwie. Kiedyś prawda każdego dopadnie”.

Moje zdania padały automatycznie, tak jak powiedział je do mnie ojciec. Powtórzyłam prawie dosłownie historię obie-cującego policjanta, który był zbyt niekonwencjonalny jak na swoją profesję.

281

Heinz Steinschneider przypomniał sobie po chwili.

- Ach, już wiem, kogo Dolf ma na myśli. Kemnicha. Skąd ten mu akurat przyszedł do głowy? To przecież już wieki temu.

Z tym jego biurem detektywistycznym to też nie było nic na dłużej. Kemnich nie dał rady zarobić na masło do chleba. Od

czasu do czasu jakaś zdrada małżeńska, z tego nikt nie wyżyje. Dostyc szybko się stoczył. Zaczął pić, rzuciła go żona. Tak, dostał się na równię pochyłą. Tragiczna sprawa.

Ostatnim, co Steinschneider słyszał w związku z Kemni-chem, czy raczej czytał, była pocztówka z zakładu karnego.

- Dostał dwa lata za wielokrotną kradzież z włamaniem, a od tej pory - niech się zastanowię - minęły już cztery lata.

Nie udawało mi się w pełni skoncentrować na jego głosie. Część tego, co mówił, przepływała z szumem obok mnie, jak woda na wiejskiej ulicy. I tak samo znikало w studziencie ka-nału. W duchu siedziałam przy łóżku ojca i ojciec mówił: „Dlaczego nie wynajmiesz wreszcie kogoś? Dałem ci czek, Vero, teraz mądrze to rozegraj. Zadbaj, żebyśmy mogli w spokoju zrobić wszystko, co konieczne”.

W oczach Gretchen odbiło się znowu napięcie, do którego dołączyła się czujność. Nie miałam świadomości, że tymcza-sem dalej mówiłam do telefonu. Gretchen powiedziała póź-niej, że mówiłam bardzo energicznie.

Heinz Steinschneider obiecał po chwili z wyraźną rezerwą:

- Mogę spróbować, jeśli tak pani na tym zależy. Ale nie wydaje mi się, żeby to miało sens. W tym się zgadzam z panem Klinkhammerem, że to wyrzucanie pieniędzy. Kemnich przehula za nie parę dni. O ile w ogóle uda mi się go odnaleźć.

- Niech pan zrobi, co w pańskiej mocy - powiedziałam i na reszcie odłożyłam słuchawkę.

Zrób, co w twojej mocy, Vero. Zrób, ile możesz, tylko się dłużej nie migaj. Naciśnij klawisz. Spojrzałam na Gretchen. Pod jej lewym okiem drgał jakiś mięsień. Zastanawiałam się, jak ten mięsień się nazywa. Nie przypominałam sobie. Nie byłam też pewna, czy kiedykolwiek to wiedziałam.

- Jesteś nerwowa - stwierdziłam.

Uniosła ramiona, wskazała automatyczną sekretarkę.

-Nie wiedziałam, co robić. Powiedziałaś, że wrócisz w południe. On dzwonił o jedenastej.

-On?!

Jeszcze raz wzruszyła ramionami. A ja wreszcie nacisnęłam mały czarny plastikowy guzik. Taśma przewinęła się do tyłu. A potem rozległ się ten głos. On albo ona, nie potrafiła bym powiedzieć na pewno. Nie umiałabym też powiedzieć, czy głos załamywał się od płaczu, czy od czegoś innego. Nie słyszałam płaczu, tylko brak tchu i udrękę.

Pierwsze słowa brzmiały przeciągle, wypowiedane drżącym głosem i tak, jakby ktoś tylko reagował na hiobową wiadomość.

- O mój Boże. - Przerwa. - Nie mów czegoś takiego. Nie
zniosę tego. - Przerwa. - Ja już nie mogę.

Gretchen dała znak, że teraz trzeba szczególnie uważać. Usłyszałam jej głos nagrany na taśmie, spokojny i powolny.

- Już dobrze. Uspokój się.

Cisza. Potem znowu ten głos, nadal tak samo łamiący się i bez tchu, ale teraz z ostrym, histerycznym brzmieniem.

-Kto tam jest?

Przy pierwszej sylabie wydał mi się znajomy. Wydało mi się, że mam już nazwisko jego właściciela na końcu języka. Kolejne sylaby zostały wyrzucone tak szybko, że brzmiały jak jedno słowo. Ktotajes, usłyszałam. I w ciągu tej sekundy, która była mi potrzebna, żeby rozłożyć to „Ktotajes” na trzy części, zdążyło się rozwiać wrażenie, że znam ten głos.

- Ja - powiedziała Gretchen z taśmy. - Co się stało? Zrobi-
łeś głupstwo, co? A teraz żałujesz. Chcesz o tym pogadać?

Mnie możesz spokojnie powiedzieć. Nie ty jeden tak się czu-
jesz, wierz mi. Robi się w życiu wiele błędów, i nie wszystko
da się naprostować. Ale czasem robi się lżej, kiedy się o tym
pogada.

Nastąpiły dwie sekundy wypełnione szumem, w czasie których wydawało mi się, że słyszę głębokie westchnienie. Cze-kałam jeszcze na kilka słów. Byłam prawie pewna, że nazwi-

283

sko z powrotem wśliźnie mi się na język, że nawet przejdzie mi przez usta, kiedy usłyszę jeszcze kilka zdań. Ale nastąpiło klaknięcie i usłyszałam, jak Patrick mówi o filmie ze Schwa-rzeneggerem.

Na twarzy Gretchen było widać pełne napięcia oczekiwa-nie i nieco poczucia winy.

- Słyszałaś?

Pewnie, że słyszałam, każde słowo. Ale ona nie miała na myśli słów, tylko coś, co zagłuszył jej głos. Przesłuchałam nagranie raz jeszcze, wolałabym się przy tym skoncentrować na pozbawionym tchu głosie, wyłącznie na nim. Gretchen mi nie dała. W miejscu, gdzie powiedziała: „Zrobiłeś głupstwo, co?“, wyciągnęła palec wskazujący kłując powietrze.

Przy trzecim przesłuchaniu wiedziałam, na co zwracać uwa-gę. Tylko niewiele mi to dało. „Zrobiłeś głupstwo, co?“, mó-wiła Gretchen, a razem z jej słowami słychać było ciche pu-kanie. Gretchen mówiła: „A teraz żałujesz“. I jej głos prawie całkiem zagłuszał drugi głos. Nie rozumiałam, co tamten dru-gi mówi.

Próbowałyśmy dziesięć, dwanaście razy, bez skutku. Z każ-dym przesłuchaniem ten ważny głos stawał się bardziej obcy, a zarazem bardziej znajomy.

Gretchen kłęła:

- Gdybym się zamknęła. Ale myślałam, że skłonię go do mówienia.

- Dlaczego jesteś taka pewna, że to był on? To mogła też być stara kobieta. Im częściej tego słucham, tym bardziej wy-daje mi się, że to stara kobieta.

Pokręciła niechętnie głową.

- Tak ci się tylko zdaje. Kiedy ktoś lamentuje, to właśnie przypomina babę. Ale to na pewno nie była stara kobieta. Sta-

re kobiety nie telefonują po całej okolicy, bo czegoś nie mogą już wytrzymać. Idą na cmentarz, do kościoła albo do sąsiadów. Albo siedzą w swojej kuchni i gapią się w ściany. Musisz zadzwonić do kryminalnej.

Był kwadrans po ósmej. Nie chciałam dzwonić do nikogo. Chciałam coś zjeść i zapomnieć o tym „O mój Boże”. I wie-

284

działam, że mogę to zapomnieć tylko wtedy, jeśli nie będę musiała już tego słuchać. Jeszcze jeden raz, tylko jeden jedyny raz, a te słowa wypalą się na wieki w moim mózgu.

- Już ich chyba nie ma biurze. Zatelefonuję do nich jutro rano.

- Lubię coś takiego! - prychnęła Gretchen. - Jutro rano! Myślisz, że jutro rano będzie to słyszeć inaczej? Nie udawaj, że nie rozumiałaś, co tamten powiedział. Twoje powitanie ugodziło go w czuły punkt. Kto mógłby mieć powód, żeby tak na to zareagować? To mu poszło w pięty.

Wiedziałam o tym. Chciałam tylko, żeby nie musiała tego wiedzieć. Jeden taki! On! Jemu! Morderca mojej córki!

Najpierw myślałam, że Gretchen jest tak samo wprowadzona we wszystko, jak Jiirgen, mój ojciec, a ostatnio także Eva Kettler. Ale kiedy mówiła dalej, pojęłam, że była równie nieświadoma, jak ja. Także jej nie uznano za godną poznania prawdy.

- Teraz posłuchaj mnie uważnie - zaczęła. - Jeśli ty chcesz udawać głupią, to ja nie chcę i głupia nie jestem. Nie zawsze umiem się tak wyrazić, jak wy, ale myśleć potrafię. A jeśli ci się zdaje, że nie mam tu nic do gadania, bo to nie moja sprawa, to mylisz się. To właśnie moja sprawa. Przez całe lata nie

miałam z wami nic do czynienia. Miałam się zamartwiać, że doktor woli udawać, że przyniósł go bocian? Takie jest życie. Wydaje się dzieci na świat i zdaje się człowiekowi, że teraz będzie coś mieć na stare lata. Ale czasem dzieci idą swoją drogą, trafiają na coś lepszego i zapominają, skąd się wzięły. Trzeba się z tym pogodzić. Ja nigdy nie należałam do tych, co to się kładą w kacie i lamentują.

Nawet nie nabierała powietrza, mówiła coraz gwałtowniej jak karabin maszynowy, który pluje pociskami dookoła, bo nie może dłużej znieść ich obecności w swoim wnętrzu.

- A potem pewnego dnia ona przyszła sama z siebie. Nie było mi to w smak. Pomyślałam, że będzie z tego tylko draka, jak dojdzie do doktora i Very, że ich mała mnie odwiedza. Ale ona lubiła przychodzić, a i ja lubiłam, kiedy przychodziła. I po-

285

myślałam, że dziecko przecież niewinne, że starzy mają fioła. A teraz jej nie ma. I, do jasnej cholery, chcę wiedzieć, co się z nią stało. Chcę to wiedzieć, bo to moja wnuczka. Nie mam takiej dużej rodziny, żebym mogła sobie pozwolić na olewanie każdego.

- Przykro mi, ja...

- Ach, co tam - machnęła ręką i uspokoiła się znowu. - Na przepraszenie jest za późno. Nie chcę też o tym słyszeć. Po prostu trzeba to było powiedzieć. Może cię to zdziwi, ale i ja mam jakieś uczucia. I powiedzieć ci, co jeszcze mam? Strach, że jej nigdy więcej nie zobaczę. I ty czujesz dokładnie to samo. Powinnaś siebie zobaczyć, w chwili jak weszłaś. Biała

jak kreda! Tylko nie zaczynaj mi znowu opowiadać, że to tylko dlatego, że przydybałaś doktora z inną. Gdyby tylko o to chodziło, byłabyś rozjuszona albo po prostu trzymałabyś gębę na kłódkę. Przecież taki u was zwyczaj, przełknąć w milczeniu i z głowy. Mnie tam niczego nie wmówisz, mała. Już ja dobrze widzę, kiedy komuś rozum uciekł z głowy gdzie indziej. Pomyślałam sobie, do jasnej Anielki, ona ci tu jeszcze fiknie, i co wtedy z nią zrobisz? W tej budzie nawet nie wiesz, jaki guzik nadusić.

Mówiąc, znowu doprowadziła się do furii. Zauważyłam, że jej głos przy tym coraz bardziej się upodabnia do głosu nie-znanego rozmówcy. Nie chodziło o brzmienie, tylko o sposób połykania końcówek. To wrażenie nasilało się proporcjonalnie do jej wzburzenia.

- Nie wiedziałam przecież nawet, czy wolno mi zatelefonować, kiedy to jest włączone. I nie miałam odwagi próbować. Nie chciałam niczego popsuć. Jak nie chcesz dzwonić do kryminalnych, zadzwoń do doktora, inaczej ja to zrobię. To jego dziecko tak samo jak twoje. I jeszcze jedno; to, że się zadał z inną, to możecie później załatwić między sobą. Teraz nie czas na to, więc jak on przyjdzie, ani pary z gęby.

Jurgen przyjechał od razu, kiedy go poinformowała. Chciałam to zrobić, ale kiedy zaczęłam się jąkać, wyjęła mi słuchawkę z ręki i powiedziała:

286

- Dosyć tych ceregieli. Jesteś tu potrzebny. Był znowu taki telefon.

Kiedy wszedł do domu, siedziałyśmy w kuchni. Opowiedziałam jej całe mnóstwo

rzeczy, na wrywki z całego dnia. Tym razem nie pomogło, że przysłuchiwała się uważnie, bo w pewnym momencie powiedziała:

- Kiedy człowiek latami się oszukuje, to nie powinien się dziwić, kiedy inni myślą, że nie jest stworzony do prawdy.

Podniosła się i poszła do sieni, kiedy Jiirgen zamknął za sobą drzwi wejściowe. Ja zostałam. Nie mogłam go teraz oglądać. Niewiele ze sobą mówili. Zwięzłe „tak” Gretchen. Jiirgen coś mruknął, potem oboje skoncentrowali się na nagraniu.

Przesłuchali je trzy, cztery razy, aż miałam poczucie, że zaraz z krzykiem wybiegnę z domu. Z każdym przesłuchaniem bardziej przemożna i nieodparta stawała się myśl: To mówił morderca Reny!

Jiirgen zdecydował:

- Dzwonię do Klinkhammera.

Gretchen powiedziała:

- Vera uważa, że on...

Jiirgen przerwał:

- To, co uważa Vera, mam w dupie, na samym dnie. Gdzie ona w ogóle jest?

Nie było odpowiedzi. Przypuszczalnie pokazała tylko na drzwi do kuchni. Jiirgen zawołał:

- Zrób kawy, Vero, ale mocnej!

Wybierał numer dwa razy, z czego wywnioskowałam, że nie zastał Klinkhammera w biurze i podjął próbę połączenia się z jego numerem prywatnym. Po chwili usłyszałam jak mówi, trzeźwo i rzeczowo, podając tylko fakty.

Kiedy rozmowa była skończona, rzucił się od nowa na automatyczną sekretarkę. Nie wiem, ile razy do przybycia Klin-khammera słuchał nagrania, ile razy oświadczał Gretchen, że moja matka ma rację, i że głos w tle należy do starszej kobie-ty. Że ta kobieta powiedziała:

- Wiem, że tam jesteś.

Jak długo perorował na temat rytmiki sylab i głosek syczących. Ile razy zestawiał „żałujesz” Gretchen z „tam jesteś” kobiety, ponieważ w tym miejscu było szczególnie wyraźnie słycać.

Gretchen powiedziała oschle:

- To słyszysz więcej niż ja. Ja nie słyszę żadnego „tam jesteś”.

„Ty tam”, przypomniało mi się. I pomyślałam, że straciłam rozum. Było tego za wiele, moja granica dawno była przekroczona. Że moją granicą był sarkazm, wiedziałam od dawna. Jiirgen dostatecznie często mi to mówił. A za nim nie następowało już nic więcej. Mogłam robić postanowienia, jakie tylko chciałam. Moje rezerwy były wyczerpane.

Przyjechał Klinkhammer. Zrobiłam mocnej kawy. Po głowie krążyła mi przy tym myśl, jak pętla bez końca. To ktoś ze wsi. Oni tu nie dbają o staranną wymowę. Połowę połykają. To ktoś ze wsi. Oni tu...

Zaniosłam Jiirgenowi filiżankę do sieni. Wziął ją, nie zaszczyciwszy mnie ani jednym spojrzeniem. Klinkhammer przywitał się tylko lekkim skinieniem głowy, nie chciał kawy. I miał najlepszy słuch. Może dlatego, że nie był tak zaangażowany emocjonalnie.

Kiedy wróciłam do kuchni, zwrócił Jurgenowi uwagę na coś, z czego w kuchni nic nie rozumiałam. Jiirgen powiedział:

- Faktycznie, ma pan rację. Teraz i ja to słyszę.

Część mojej istoty podniosła się z miejsca i powędrowała do sieni. Ciało astralne albo dusza, bo moje ciało z krwi i kości zostało na kuchennym krześle. Ciało rozlało trochę kawy z filiżanki na blat stołu i rysowało końcem kości gwiazdę w kałuży. Niewidoczną gwiazdę, równie niewidoczną jak ta część mnie, która poszła do sieni i powiedziała:

- Ja też chcę to usłyszeć. Co tam jeszcze jest? Dajcie mi też posłuchać.

Nie mogli mi dać posłuchać, bo mnie nie słyszeli. Kość rysowała trójkąt i czworokąt w kałuży kawy. Drugiej części mnie zaczęło się nudzić w sieni, poszła na podwórze, do bramy,

wzdłuż polnej drogi do ujeżdżalni. Byłam moim własnym wehikułem czasu.

Był znowu czwartek, ósmego września, kilka minut po dziesiątej. Przy bramie stał szary mikrobus. Nita i Andre Menke byli nie do rozpoznania przez zaparowane szyby. Mikrobus odjechał i Rena stała w deszczu na ulicy. Woda chlupotała wokół jej stóp. Wicher wył jak stado wilków.

Zawołałam ją, ale ona mnie nie słyszała. Nikt mnie nie słyszał. I przestałam wołać, bić wokół siebie rękami, rysować koła i linie w kałuży kawy. Był wciąż jeszcze czwartek, ósmego września. Było ciemno i deszcz chlastał mnie po twarzy jak mokra ścierka.

To była mokra ścierka. Gretchen wycierała mi nią czoło, policzki i brodę. Cienkie strumyki ściekały mi za uszami przez włosy na kark. Leżałam na tapczanie w pokoju, broniłam się przed wynurzeniem na powierzchnię, ale ścierka była nieubłagana.

- Ona przychodzi do siebie - powiedziała Gretchen, chwyciła mnie za kark, uniosła mi głowę, przystawiła mi coś do ust i powiedziała:

-No, łyknij to, za jednym zamachem.

Coś wlało mi się do ust, zimne jak lód i palące ogniem. Przełknęłam i musiałam zakasłać. Gretchen klepnęła mnie po plecach, co jeszcze wzmogło kasłanie i ostatecznie przywróciło mi przytomność.

Klinkhammer siedział na jednym fotelu i uśmiechał się do mnie. Jurgen siedział na drugim i nie uśmiechał się. Przypuszczam, że o czymś rozmawiali, kiedy ja odbywałam moją podróż w czasie. Klinkhammer nie wiedział, czy może kontynuować, kiedy znowu siedziałam z nimi w tej samej łodzi. Jurgen uwolnił go od konieczności decydowania.

- Przyniosę panu tę taśmę, kiedy tylko ją wymienię na inną.

Zajmę się tym od razu jutro rano. - Popatrzył na mnie, spytał neutralnym głosem, w którego tonie był odcień uznania: - Kto cię naprowadził na pomysł, żeby zmienić powitanie?

W duchu słyszałam, jak mówi o poglądach ojca i o moim wrednym charakterze, o cięgach, jakie wziął ode mnie z czasem.

289

- Powitanie jest dobre - oświadczył. - Nie tylko ja tak mówię. Pan Klinkhammer jest tego samego zdania. Nieprawdaż, panie Klinkhammer?

Klinkhammer potwierdził jego opinię krótkim skinieniem głowy i jednocześnie oznajmił:

- Tak, wydaje się, że nerwy mu puszczają.
- Komu? - spytałam. - I proszę przestać mnie okłamywać.

Niech pan na dwie minuty zapomni, że sędzia w stanie spoczynku ma jeszcze znaczne wpływy. Chcę wiedzieć, kim on jest.

Klinkhammer powiedział szybko:

- Tego jeszcze nie wiemy, pani Zardiss. Ale wkrótce będziemy wiedzieć, mam nadzieję.

Spojrzał na Jurgena, podniósł się i poszedł do drzwi.

- Zobaczymy się jutro rano.

Jiirgen odprowadził go do wyjścia. W sieni zamienili jeszcze parę słów. Jiirgen zastanawiał się głośno, czy nie lepiej kupić drugie urządzenie, zamiast wymieniać taśmę. Klinkhammer uznał, że nie ma takiej potrzeby. Technicy mają swoje możliwości przesłuchania nagrania. Ale Jiirgen nie myślał o technikach, tylko o ojcu.

- Powinniśmy dać mu możliwość posłuchania tego.

- Naturalnie - zgodził się Klinkhammer. - Ale uważam za zbyt kosztowne kupować w tym celu drugie urządzenie. To nie potrwa długo. Weźmie je pan ze sobą, pojedzie z tym do szpitala

la, a godzinę później będzie tu pan z nim z powrotem. To najlepiej będzie, jak się spotkamy w szpitalu. O ósmej, czy to panu odpowiada?

- Tak - powiedział Jurgen i zamknął drzwi. Wrócił do dużego pokoju, spojrzał na Gretchen.

- Czy mam cię odwiedzić na wieś, matko?

Wykonała odmowny gest.

- Mogę pójść, cały dzień przesiedziałam.

- Ale już jest późno.

Roześmiała się.

- No i co z tego? Chyba nie myślisz, że boję się chochoła?

290

- Nie - powiedział Jurgen i uśmiechnął się w zakłopotaniu.

- Ale nigdy nie wiadomo, kto się tam włóczy po nocy. Mógłby szybko się połapać, kto z nim rozmawiał.

Skrzywiła się w złym uśmiechu.

- No, właśnie mam nadzieję. Byłoby mi szczególnie miło.

Wtedy i ja nie wrócę.

I zostaliśmy sami.

Jurgen powiedział, żebyśmy poszli do łóżka. Zachowywał się nie inaczej, niż zwykle, tylko był przy tym całkiem inny. Nie obcy, tylko zimny. Chciałam coś powiedzieć, ale on rzekł:

- To chyba już nie ma sensu.

- Byłam w gabinecie.

- Wiem. Usłyszałem, jak trzaskają drzwi, i wyrząłem przez okno.

- Musimy o tym porozmawiać. Nie mogę teraz spać.

Wzruszył ramionami.

- To twój problem, Vero. Ja jestem pewien, że mogę. Do-
branoc.

Poszedł na górę. Na górze zamknęły się za nim drzwi. Le-żałam dalej na tapczanie. W jakimś momencie zapadłam w niespokojny sen, z którego często budziłam się ze strachem. Mój wewnętrzny wehikuł czasu ściągał mi z gwiazd jeden obraz po drugim. I za każdym razem kiedy mi nasta-wił ostrość, potrząsał mnie za ramię albo gwałtem podnosił mi powieki, żebym sobie obejrzała ten obraz. Blednąca twarz Hennessena, jego przerażenie moim oskarżeniem. Zagubio-
ne spojrzenie Udo von Wirtha na parkingu przed szpitalem. Uśmiezek Olgerta nad dziennikami Reny i jego wykład o re-alizmie i myśleniu życzeniowym dochodzącym do głosu w tych zapisach. Referat Klinkhammera o Frankfurcie i ska-mieniała mina Jiirgena.

Widziałam, jak Jurgen stoi przy rejestracji w gabinecie i spo-
gląda na przygotowane karty pacjentów. Słyszałam jak mówi:

- Możesz jechać do domu, Vero. Została już tylko Kettlero-
wa, z którą sam sobie poradzę.

291

Widziałam go opartego o futrynę drzwi kuchennych i z ra-mionami skrzyżowanymi na piersiach czekającego na telefon od jego pacjentki z zaburzeniami psychicznymi.

Widziałam nas w urzędzie stanu cywilnego. Rejestrowali-śmy się, i on powiedział: „Ojciec nieznany”.

Widziałam nas przed ołtarzem, obiecywali-śmy się nawza-jem szanować, kochać i wspierać w dobrym, jak i złym. Wi-działam, jak leżę na sali porodowej przy narodzinach Anny. On był przy mnie i próbował mi jak najbardziej to ułatwić.

Nie doszedł jeszcze do tego etapu specjalizacji, żeby mógł sam odbierać swoje dziecko. Ale tak długo przekonywał dy-żurnego lekarza, aż ten skapitulował i dał mu wolną rękę. A on mi to tak ulżył, że później często myślałam, że poród nie jest gorszy

niż rozstrój kiszek.

Zabawne, że zawsze pojmujemy, co mieliśmy, dopiero wtedy, kiedy już tego nie mamy. Dziecko stracone, małżeństwo zrujnowane, ojciec wrzucony do jednego worka z kłamcami i oszustami.

Na to, co stało się z moim dzieckiem, nie miałam już wpływu. Pozostało mi tylko wierzyć i kiedyś pogodzić się z faktami. O ile kiedyś pojawią się fakty. Ale reszta...

Była to jedna z tych nocy, po których człowiek czuje się jak z krzyża zdjęty. Ja czułam się, dziwnym trafem, bardziej wypoczęta, od razu wróciłam do jawy, kiedy krótko po szóstej obudził mnie szum wody w kuchni. Tak, jakbym właśnie na to czekała, jak na wystrzał startera.

I byłam gotowa walczyć o moje małżeństwo, moją wiarę, poważanie ojca w moich oczach i moją nową opinię o Nicie Kolter. Chociaż się zastanawiałam, co mi jeszcze może dać poprawianie opinii Jiirgena o Nicie. Skoro przecież Nita była tylko wersją dla zestresowanej córki.

Jeszcze jeden taki zimny moment, dwie, trzy sekundy pełnej wiary w śmierć! Nie chciałam dopuścić, żeby ta wiara się rozszerzyła poza te dwie, trzy sekundy. Ale przeszkodzić temu nie mogłam. Ona była jak ohydnie mętny i gorzki osad na dnie, a na tym piętrzyły się skorupy małżeństwa. Ale może jeszcze dałoby się coś skleić.

292

Poszłam do kuchni pełna dobrych zamiarów. Jiirgen napełnił ekspres do kawy. Dolał wody, kiedy wyjęłam z szafki dwa nakrycia. Villeroy & Boch, seria Nankin, tylko te zwyczajne z kwiatkami na co dzień. Mała salaterka od serwisu obiadowego kosztowała prawie sto marek. Urządziliśmy się naprawdę wytwornie. Tylko nie mieliśmy sobie już nic do powiedzenia.

Spróbowałam zacząć od wypadku, w którym ranna została ładna, mądra, drobna dwunastoletnia dziewczynka. Tak ciężko ranna, że pięć lat później musiała wskutek tego umrzeć.

- Nie ma czegoś takiego - powiedział Jiirgen opryskliwie.
- Może jednak, nie jesteś wszechwiedzący. Niewykluczone, że na przykład jej nerki...
- Niewykluczone jest też - przerwał mi - że działasz mi na

nerwy. Skorzystaj ze swojego rozumu, zanim coś powiesz.

Pacjenci dializowani żyją z konieczności z pewnymi ograniczeniami. Oni nie wyruszają ot tak sobie w siną dal. Nie zaczynają także ćpać. Na to są za bardzo przywiązani do życia.

Dolał sobie kawy, napełnił też jeszcze raz swoją filiżankę.

- A jeśli dobrze pamiętam, to kilka dni temu powiedziałem, że nie chcę więcej słyszeć imienia Nita.

Świadomie udawał, że nie widzi, iż tylko z trudem udawało mi się zachować opanowanie i rozsądek. Może i nie było tak łatwo, jak bym chciała. Nasza córka mogła od dawna być martwa! Teraz powinniśmy się postarać, żebyśmy przynajmniej my oboje przeżyli względnie cało. A więc nie mówmy o Evie Kettler, zapomnijmy, co się zdarzyło. Może za wiele się zdarzyło. „Weź pigułkę, Vero” już nie wystarczało.

- Jeśli zależy ci na wykonywaniu jeszcze przez parę lat swojego zawodu - powiedziałam - to zacznij teraz mówić innym tonem.

Uśmiechnął się z przekąsem.

- Nie zrobisz tego.

- To spróbuj.

- Jak sobie życzysz - powiedział od niechcienia. - To najlepiej zacznę obliczenia, co? A może poczekaś z tym, aż to przetrwamy?

! 293

- Nie przetrwamy tego! - powiedziałam. - To twoje słowa. Ale obliczenia możesz pozostawić mnie, zawsze tak przecież robiłeś.

Nie było czasu na rachunki. A dwadzieścia lat zważyć w jeden kwadrans przy śniadaniowym stole było niepodobieństwem. Niezależnie od tego, było na to za późno. Razem schodziliśmy i wchodziliśmy po drabinie, przy tym tyle razy

dep-taliśmy sobie nawzajem po palcach, że nie odgrywało już roli, które z nas w jakim momencie było na samej górze, na sa-mym dole albo w połowie wysokości.

I nie chodziło o jego błędy i moje zaniedbania. Chodziło tylko o Renę, o której wszyscy myśleli, że już nie żyje. Ja też - w zakamarku mózgu, do którego jeszcze nie chciałam zaj-rzeć!

Chodziło o dziecko, którego nie chciałam urodzić, a które było takie, jakimi my oboje chcielibyśmy być. Silne i odważ-ne, wrażliwe, ładne, uczynne i uczciwe. Z gruntu uczciwe. I nie mogła mieć tego po nas. Czasami natura dokonuje cudów. Czasami dziecko więcej się uczy z tego, co przed nim ukry-wano, niż z przykładu rodziców. A ci, którzy byli niechciani, wyrastają czasem na lepszych ludzi.

Nie oponował, kiedy to powiedziałam. Patrzył w okno, a je-go głowa poruszyła się, jakby chciał nią kiwnąć. Wyszalałam się. A on pojął, że byłam gotowa rzetelnie się podzielić cięża-rem. Nie było pojednania, tylko zawieszenie broni, które może kiedyś będziemy mogli zaakceptować jako pokój.

O wpół do ósmej odłączył automatyczną sekretarkę. Zrobił to niechętnie. Ale nie nalegał też, żebym została przy telefo-nie. Powiedział, że tamten tak szybko nie spróbuje znowu dzwonić. Między pierwszymi telefonami było też kilka dni. Od piątku do poniedziałku.

Oboje bardzo dobrze zdawaliśmy sobie sprawę, że w po-niedziałek były dwa telefony, jeden w nocy i jeden w połu-dnie. Tylko unikaliśmy wypowiedania tego głośno. Nie czu-łam się też na siłach zostać w domu, podnieść słuchawkę, kie-dy zadzwoni, i tak zareagować jak Gretchen. Jeśli nawet ona

294

swoją próbą poplątała szyki sobie samej i policji i sprawiła, że nie padły dalsze, może bardziej treściwe zdania, to jednak spisała się na medal.

Spytałam Jurgena, co jeszcze Klinkhammer usłyszał na ta-śmie. Nie wahał się z udzieleniem odpowiedzi. Głos Gretchen na planie pierwszym, a w tle pukanie. A oprócz pukania zda-nie: „Chłopcze, otwórz”. Potem jeszcze resztę: „Wiem, że tam jesteś”.

Sta-nęło mi przed oczami, jak zapisuję w notatniku: MEŻ-CZYŻNA, MŁODY, PŁACZE.

Poszliśmy do stodoły. Jiirgen otworzył bmw. Może spodzie-wał się, że wsiądę.

Zdziwił się, kiedy podeszłam do mercedesa ojca. Przez chwilę skrzywił się w przelotnym uśmiechu, potem wsiadł i ruszył. Trzymałam się tuż za nim. Kiedy podjechaliśmy pod szpital, Klinkhammer czekał już na parkingu. Niecierpliwił się, nie mógł się doczekać, kiedy pójdziemy do ojca.

W pokojach były jeszcze sprzątaczkі. Matka rozmawiała z kobietą po czterdziestce o zaletach płynu do czyszczenia. Ojciec siedział w łóżku, mając przed sobą wyciągnięty blat nocnego stolika, na którym podawane były posiłki. Przestraszył się, kiedy w trójkę weszliśmy do pokoju. Przez chwilę jego spojrzenie zawisło na mojej twarzy, jakby z mojego czoła chciał wyczytać, co myślę i czuję.

- Bez obawy - powiedział Jiirgen zamiast powitania. - Vera wie.

Ojciec kiwnął głową. Jego prawa ręka ścisnęła tak mocno kubek z jogurtem, że plastik się wgniałał. Lewa zanurzała w nim łyżkę i niezgrabnie prowadziła do ust. Trochę jogurtu skapnęło na gruby frotowy ręcznik, którym ktoś przykrył pościel.

Byłam przepelniona wściekłością na niego, a mimo to nie mogłam powstrzymać odruchu pomocy. Chciałam go wyręczyć. Matka powiedziała surowo:

- Zostaw, Vero. On musi się tego nauczyć.

295

Ojciec uśmiechnął się jak uczeń, który zapomniał ważnej lekcji. Na nowo zanurzył łyżkę i zostawił ją w jogurcie. Po tem przy pomocy lewej ręki oderwał prawą od kubka, zmiał poplamiony ręcznik frotowy i w napięciu wędrował wzrokiem od Jiirgena do Klinkhammera i z powrotem.

Sprzątaczką zabrała się do wycierania parapetu ścierką. Nikomu nie przyszło do głowy wyprosić ją z pokoju. Jiirgen włączył automatyczną sekretarkę do gniazdka. Matka zajęła miejsce na drugim łóżku. Trwało to kilka sekund.

- O mój Boże.

Ojciec przełknął gwałtownie ślinę i kiwał głową jeszcze wtedy, kiedy Patrick zaczął mówić o filmie ze Schwarzeneggerem i Jurgen wyłączył urządzenie.

- Żadnych wątpliwości? - spytał Klinkhammer lakonicznie.

Ojciec pokręcił głową. Sprzątaczką ze zmarszczonym czołem spojrzęła na automatyczną sekretarkę i mruknęła: „O mój Boże”. Niechętne spojrzenie Klinkhammera sprawiło, że zamilkła.

Matka dopytywała się nieufnie, kim jest kobieta, która mówi do telefonu.

- To moja matka - powiedział Jurgen. - Uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli ktoś będzie w domu. A ponieważ Vera miała coś ważnego do załatwienia... - dalej nie zdołał dopowiedzieć.

- Coś ważnego? - spytała matka kąśliwie. - A co takiego ważnego było w przesiadywaniu tu przez całe popołudnie?

Czy twoja matka teraz też jest w domu?

- Tak - skłamał Jurgen. - Ale zabroniłem jej czyszczenia okien. Nie będzie też ruszać odkurzacza. A kawę przyniosła ze sobą z domu.

- Tylko zapytałam - obraziła się matka.

- Ale dość głupio - powiedział Jurgen. - W tej sytuacji powinniśmy zostawić za drzwiami subtelne różnice klasowe.

Klinkhammer podrażniony wydał z siebie chrząknięcie, którym dawał nam do zrozumienia, że możemy się kłócić, kiedy nie będziemy mieli nic lepszego do roboty. Zażądał taśmy od

296

Jiirgena i pożegnał się pospiesznie. Jiirgen zlecił mi zadanie zdobycia nowej i nagrania jeszcze raz takiego samego powitania; jeśli to możliwe, z nieco większym ogniem.

Pożegnaliśmy się z ojcem, który znowu zacisnął prawą rękę wokół kubka jogurtu, i z matką, która na nowo przykryła pościel frotowym ręcznikiem i przy tej okazji zwróciła sprzątaczkę uwagę na kurze w kącie pokoju.

Po drodze na dół Jiirgen wcisnął mi w rękę automatyczną sekretarkę, nie wyjaśniając, jak mam ją podłączyć. Zakładał, że dam sobie radę albo sama się dowiem, jak to

działa. Myślał mi był już przy piątej rozmowie telefonicznej.

- On jest u kresu wytrzymałości - powiedział, kiedy szliśmy przez parking. - To musi zwrócić uwagę ludzi w jego otoczeniu, na przykład tej kobiety. Powinniśmy spróbować go trochę podrażnić, skoro już nam daje okazję po temu. Może uda nam się tym przyspieszyć sprawę. Dla nas wszystkich byłoby wybawieniem, jak sądzę, gdybyśmy wreszcie zdobyli pewność.

Otworzył swój samochód, stał jeszcze przy drzwiczkach i spojrzał na mnie w zamyśleniu.

- Dasz radę?

Podrażnić mordercę? To było zbyt abstrakcyjne, dlatego mogłam kiwnąć głową.

- Wiem, że mi nie uwierzysz - powiedział Jurgen. - Ale łatwiej jest przez piekło przejść niż się przeczłgać.

W pewnej odległości od nas zatrzymało się zielone audi. Wsiadła z niego starsza kobieta i patrzyła w naszą stronę. Pozdrowiła nas skinieniem głowy, Jurgen odpowiedział tym samym. Wydawało się, że jązna, ja jej nie znałam. Ale poznałam mężczyznę przy kierownicy, chociaż widziałam go tylko raz przez bardzo krótką chwilę. To był ojciec Udo von Wirtha. Audi odjechało. Kobieta poszła ze zwieszonymi ramionami i spuszczoną głową w kierunku szpitala.

Chciałam wsiadać, kiedy Jurgen powiedział:

- Ach, Vero, jeszcze chwilę. Czy zdołasz dziś zostać w domu?

297

Kiedy znowu kiwnęłam głową, powiedział:

- Postaram się być o wpół do drugiej. Wiesz, co bym chętnie zjadł? Omlet po chłopsku.

Kiwnęłam głową po raz trzeci, wsiadłam i pojechałam do małego sklepu, w którym on kupił automatyczną sekretarkę. Potem wróciłam do domu.

Przedpołudnie minęło szybciej, niż się spodziewałam. Na krótko przed dziesiątą weszłam do domu. Automatyczna sekretarka zabrała mi piętnaście minut, ale tylko dlatego, że chciałam zintensyfikować efekt mojego powitania i nagrywałam je kilkakrotnie.

- Reno, wróć do domu, skarbie. Nie każ nam dłużej czekać.

Tak za tobą tęsknimy. Jeśli nie możesz zaraz wrócić do domu,

powiedz nam, dlaczego. Zadzwoń do gabinetu albo zostaw

nam wiadomość po sygnale.

Za pierwszym razem powitanie wydało mi się za słabe, za drugim za patetyczne, a za trzecim, jakbym chciała sprawę załatwić mimochodem. Dopiero za czwartym razem wypadło doskonale. Głos odmawiał mi posłuszeństwa dokładnie tam, gdzie trzeba, ponieważ wyobrażałam sobie, jak to musi brzmieć w uszach mordercy, kiedy matka jego ofiary błaga ją w ten sposób o wiadomość.

Kiedy z tym się uporałam, dostrzegłam, jakie zaniedbanie zakradło się tymczasem do domu. Nie tylko oknom brakowało skrzętnych rąk matki; jeszcze gorzej wyglądały szafki i podłogi. A nikt mi przecież nie zabronił czyszczenia ani odkurzania.

O wpół do dwunastej zadzwieczał telefon. Oczekałam, aż dobiegnie końca moje powitanie i ze zdętwiałym sercem nasłuchiwałam pierwszych słów nieznajomego.

Ale to był tylko Heinz Steinschneider, który chciał mi powiedzieć, że wbrew oczekiwaniu już zdążył wytropić Kemni-cha. I oczywiście, Kemnich nie był od tego, żeby zarobić parę marek. Steinschneider napominał mnie usilnie, żebym jeszcze raz się zastanowiła.

Nie było nad czym się zastanawiać. Wiedziałam, że to absolutnie zbędna i bezsensowna akcja. Nie chcę się posuwać

298

do twierdzenia, że matka czuje, kiedy jej dziecko już nie żyje. Nie czułam niczego w tym rodzaju, także niczego przeciwnego. Ja w ogóle nie czułam już niczego. Byłam jak jakaś maszyna. Główny generator uległ awarii, a zasilanie awaryjne podtrzymywało funkcje ważne dla życia; oddychanie, jedzenie, spanie, myślenie,

gromadzenie faktów i poddawanie ich logicznemu osądowi. Odczuwanie było już balastem; a ja nie mogłam sobie pozwolić na nadmierne przeciążanie małego pomocniczego silnika.

Kiedy Steinschneider się zorientował, że nie ma ze mną co rozmawiać, poradził mi zaoferować Kemnichowi tylko stawkę dzienną w wysokości stu marek, niezależnie od tego, ile by zażądał.

- Dla niego to mnóstwo pieniędzy. A pani ma wtedy nad nim kontrolę. Weźmie sprawę za stówę, jestem pewien.

- Plus wydatki?

- Tak, chyba tak. To zależy od tego, gdzie ma prowadzić poszukiwania.

- We Frankfurcie.

- To niech mu pani da sto pięćdziesiąt. Sto jako honorarium, a pięćdziesiąt na wydatki. Nie zakwateruje się w hotelu, tylko będzie spać w samochodzie. Teraz też tak robi.

Steinschneider odnalazł Kemnicha przez numer samochodu. Opisałam mu, jak ma do nas trafić ten były policjant. Obiecał mi go przysłać po południu. Dokładnej godziny nie potrafił podać, Kemnich nie wydawał się należeć do osób najbarziej solidnych.

Anna nie pokazała się po szkole. Jurgen dostał na obiad swój omlet po chłopsku. W czasie rozmowy ze Steinschneiderem wyłączyłam automatyczną sekretarkę, a następnie wyzerowałam licznik rozmów. Nie było powodu informować Jiirgena o moich zamiarach. Po naszej szczegółowej rozmowie przy śniadaniu nie było też innego tematu. Jedliśmy w milczeniu. O wpół do trzeciej wrócił do miasta. I już pół godziny później na podwórzu zajechał mieszkalny samochód z kolońską rejestracją.

299

Kemnich! Kiedy mu otworzyłam, byłam zaskoczona tym, co widzę. Po tym, co powiedział Steinschneider na temat jego pobytu w więzieniu, spania w samochodzie i finansowej sytuacji spodziewałam się obrazu zaniedbania i miałam mieszane uczucia przed tym spotkaniem. Tymczasem była to przyjemna niespodzianka.

Kemnich był czysto ubrany, świeżo ogolony, porządnie uczesany i już tylko przez to robił bardziej poważne wrażenie niż Klinkhammer. Oceńłam go na trochę ponad trzydzieści lat. Miał nieco więcej, jak się później okazało; typ chłopięcy, który dobrze by pasował do reklamówki. Z jednej strony sprawiało to, że był sympatyczny, ale z drugiej rodziło wątpliwości co do jego kompetencji.

Ale ledwie zamieniliśmy pierwsze zdania, wykazał się taką kompetencją, jakiej bym sobie tylko mogła życzyć u Olgerta i Klinkhammera. I zachował ją przez dobre pół godziny.

Starłam się prezentować mu tylko fakty, nie wplatając w to własnej opinii ani moich pobożnych życzeń. Kilka razy mi przerwał.

- A więc ostatnim, co ten świadek widział, była pani córka stojąca na ulicy obok drzwi kierowcy?

-Tak.

- A jak daleko jest stamtąd do von Wirthów?

- Pięćset czy sześćset metrów. Może być i więcej. Nie umiem tego ocenić.

- Ta peleryna przeciwdeszczowa miała kaptur, jak przypuszczam?

- Naturalnie.

Kiwnął głową w zamyśleniu, mruknął jakby do siebie.

- Ale w samochodzie by ją zdjęła. Chyba że chciała przejechać z nimi tylko krótki odcinek...

W tym miejscu urwał, ale zaraz mówił dalej:

- Jeśli to nawet tylko kilkaset metrów, to nikt dobrowolnie nie chodzi po takiej pogodzie. A kiedy jest pod ręką akurat samochód starych przyjaciół, to łatwo zapomnieć, że nie można im na sto procent ufać. Wtedy się pyta: Czy możecie mnie

podwieźć kawałek? Potem znalazła się w środku. Pytanie te-raz, jak poważny był zamiar Nity Kolter, żeby ją zabrać?

Nadzieja! Konieczne są te małe niebieskie płomyki, pełga-jące wokół serca. Łatwo je zdmuchnąć, ale równie łatwo pojawiają się znowu. A wtedy wszystko zaczyna się od po-czątku. Przecież nie można wciąż siedzieć w takiej ciemnej dziurze. Potrzebne są małe niebieskie płomyki, żeby było trosz-kę światła w ciemności.

Chciałam się od Kemnicha dowiedzieć, czy uważa za moż-liwe, aby Rena była jednak w mikrobusie, pomimo że nie zna-leziono tam jej śladów. Wzruszył ramionami.

- Ślady - powiedział i skrzywił się wieloznacznie. - Waż-ne są nie tyle same ślady, tylko jak je potraktowali ludzie od zabezpieczania śladów. Pomijając już, że kiedy znaleźli ten mikrobus, nie mieli jeszcze pojęcia, kto w nim był i co się sta-ło z Menkem, to oni często łązą tak, jakby jeszcze nigdy nie widzieli, że sami mają błoto pod podszwami. A jeśli nawet to wiedzą, czasami są po prostu ślepi. Kilka lat temu na przy-kład w Kolonii została zamordowana młoda kobieta. Morder-ca popełnił samobójstwo, a przedtem złożył obszernie zezna-nie. Wtedy wywrócili mieszkanie tej kobiety do góry nogami. I z początku nic nie mogli znaleźć. A zwłoki były w szafce na balkonie. Było też zaginięcie małego chłopca, który rzekomo uciekł, kiedy zastępcza matka była w klozecie. Dopiero kiedy po paru dniach odkryli zwłoki, stwierdzili, że w łazience od-była się istna jatka. Rozumie pani, co mam na myśli?

Naturalnie! Nie byłam przecież głupia. Rozumiałam nawet i to, że musi we mnie podsycać nadzieję, jeśli chce na mnie zarobić.

Kemnich paru zdaniem wyjaśnił mi, że nie zależy mu na wytykaniu błędów czy zaniedbań jego byłym kolegom. Nie był też zainteresowany wtrącaniem się w pracę policji czy pro-wadzeniem dochodzenia równoległego do kryminalnej. Nie miał takich możliwości. Nie miał do dyspozycji ogromnego arsenału technicznych i innych środków pomocniczych. Mógł

zrobić wiele, ale tylko tam, gdzie chodziło o upór i wytrwa-łość, gdzie łatwiej było otrzymać odpowiedź, kiedy nie mu-siało się zadawać pytań według regulaminu.

- Właśnie tego potrzebuję - powiedziałam.

Kiwnął głową.

- To jesteśmy tego samego zdania. Nie będę się czołgał z lupą po mikrobusie. Zajmę się tylko NitąKolter. Całą resztę pozostawimy policji kryminalnej.

Zaprowadziłam go do dużego pokoju. Rozglądał się uważnie. Na jego twarzy pojawił się pełen ubolewania uśmiech.

- Szkoda, że nie ma pani kopii nagrań z Frankfurtu. Ja też bym ich chętnie posłuchał. Wprawdzie przeważnie we wszystkich knajpach panuje podobny gwar, ale bywają drobne różnice. A kiedy się raz słyszało... Mogę spytać, czy Klinkhammer da mi szansę. Czasami oni bywają uczynni. Ale najpierw wystaram się o zdjęcie Nity.

- Wątpię, żeby pan u jej matki wskórał więcej niż ja.

Roześmiał się z rozbawieniem.

- A kto tu mówi o jej matce?

Śmiał się jeszcze, kiedy przeszedł do omawiania warunków. Trzysta marek dziennie, plus wydatki. To była najkorzystniejsza stawka, oferta po znajomości, mniej już się nie da. Mogę się zorientować, ile żądają inni. Nie chciał mnie naciągać, naprawdę. Ale o stu nie ma co dyskutować. Zapłata za trzy pierwsze dni z góry, taki jest zwyczaj. Koszty, które miałyby przez te trzy dni, rozliczyłby ze mną później, oczywiście za pokwitowaniem.

Dziewięćset marek gotówką! Tyle nie miałam. Czek ojca leżał jeszcze w moim nocnym stoliku. I ledwie o nim wspomniałam, a Kemnich przedstawił mi inną propozycję, która zrodziła we mnie poczucie, że powinnam go raczej wyrzucić.

Chciał całe pięć tysięcy. Za to mogłam mieć tyle jego czasu, ile było potrzeba.

- Wytropienie dziewczyny w takim mieście, jak Frankfurt,

może trwać miesiącami - powiedziałam. - A kto zaręczy, że

Nita w ogóle jest jeszcze we Frankfurcie?

- Nikt - przyznał. - Naturalnie, że może to trwać miesiąca-mi. Może potrwać i rok, czy chce pani za to płacić? Dla pani to bajeczna okazja. Reszta to mój problem. Wystarczy, że powie pani tylko „tak” i da mi czek. A ja pani gwarantuję, że znajdę tę dziewczynę. A jeśli pani córka jest z Nitą Kolter, to znajdę obie.

Powiedziałam „tak” i dałam mu czek. Schował go, to był czek gotówkowy. Poza tym chciał jeszcze tylko nazwisk członków szajki Nity. Uwe Lengries, Henrik Emmersen, Janet Abel, Stefanie Burk, Wiltrud Heister. Moja pamięć funkcjonowała także z awaryjnym zasilaniem.

Kemnich wyszukał adresy w książce telefonicznej i oświadczył przy tej okazji, że nie ma zwyczaju tracić czasu na pisemne raporty. Nie widzi też sensu w regularnym meldowaniu się, jeśli nie ma o czym meldować. Kiedy tylko dowie się o coś ważnym, poinformuje mnie.

Umówiliśmy się, że nie będzie nagrywał wiadomości na taśmę, tylko będzie się zgłaszał, podając datę i godzinę, a następnie powoli liczył do dwudziestu. Jeśli do tej chwili nie podniosę słuchawki, to ma się rozłączyć. Miał to zrobić także wtedy, gdyby telefon odebrał Jurgen.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Jeśli tak będzie dla pani bardziej zabawnie”. Potem odjechał z podwórza, a ja miałam wrażenie, że równie dobrze mogłam wrzucić czek ojca do klozetu i spuścić wodę.

Poszłam na górę, siedziałam pół godziny na łóżku Reny i rozmawiałam z nią, jakby mogła mnie słyszeć. Opowiadałam jej o rozdarciu, o okropnej niepewności i że ją kocham. Może troszkę bardziej niż Annę. Tę, o którą trzeba się martwić, kocha się zawsze troszkę bardziej niż tę, z której można tylko być dumnym. Choćby się tego nie okazywało.

Jeszcze dłużej bym tam siedziała i jeszcze więcej jej opowiadała, gdyby mnie telefon nie wezwał z powrotem do sieni. Znowu to samo: odczekać aż skończy się powitanie, a potem w narastającym napięciu nasłuchiwać, kto się odezwie. Osiemnaście sekund może trwać przerażająco długo.

Potem wybawienie, ulga. To była Regina Kolter, która mi zawile klarowała, że

zapomniałam jej dać nasz numer telefo-nu, że informacja odmówiła jej udostępnienia go, że pół go-dziny szukała, zanim znalazła nasz numer w notatniku Nity.

Jej głos brzmiał tak, jakby była pijana. I telefonowała tylko po to, aby mi powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że jej się udało. Pomogła jej dobra znajoma. Regina Kolter wiedzia-ła teraz, że Rena jest z Nitą i że obie dziewczyny mają się do-brze.

Nie czułam bicia serca ani pękania w mózgu, kiedy prze-rwała się tama, kiedy wszystko, co się za nią spiętrzyło, nagle przelało się w członki. Małe niebieskie płomyki rozrosły się w ogromne kule ogniste, zanim się zapadły w siebie i zgasły.

To były tylko dwie sekundy, w czasie których myślałam o czeku w kieszeni Kemnicha, przeklinałam się za upór, któ-ry mi nie pozwolił posłuchać Heinza Steinschneidera. Teraz te pieniądze były mi pilnie potrzebne, żeby zapłacić za Belle.

Właśnie tyle czasu potrzebowała Regina Kolter, żeby za-czerpnąć tchu. Potem mówiła dalej, a ja z tym całym świń-stwem w kościach ledwie mogłam unieść ramię.

- Niestety, połączenie się zerwało - powiedziała Regina

Kolter - zanim zdołałam zapytać, gdzie one są.

To sugerowało rozmowę telefoniczną. Następne słowa su-gerowały obłąd. Roześmiała się cicho.

- Chociaż nie powiedziałabym pani tego, sama chciałabym

to wiedzieć. Ale spróbujemy jeszcze raz dziś wieczorem.

Ma już umówiony termin. Jeśli mam ochotę, mogę wziąć udział w tym seansie i sama się przekonać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Jej znajoma pracuje przy wykorzy-staniu najróżniejszych metod i może się poszczycić wspania-łymi sukcesami. Najlepsze wyniki ma z kartami tarota, ale bar-dzo przydatne mogą być także stolik na trzech nogach i plan-sza z literami. Przede wszystkim wtedy, kiedy chodzi o na-wiązanie kontaktu ze zmarłymi. Regina Kolter była przeko-nana, że dowiedzą się jeszcze wielu ważnych rzeczy od Andre Menkego.

304

Waliłam pięścią w ścianę sieni, nie czując tego. Dopiero kiedy odłożyłam słuchawkę, poczułam ból. Otarłam sobie skór-ę o chropawy tynk.

Anna nie pokazała się ani nie telefonowała przez cały dzień. Jiirgen wrócił do domu

krótko po siódmej. Był inny niż rano i w południe. Wydawało się, jakby już tylko kij w plecach utrzymywał go w prostej pozycji. Załatwił parę sprawunków, kupił chleb, kiełbasę, świeże jajka, kilka konserw i butelkę Grand Marnier. Remy się skończył, a jak się zdaje, on uznał, że jest za drogi. Także inne zakupy świadczyły o tym, że porównywał ceny różnych artykułów.

Zjedliśmy kolację. On był w szpitalu, wspomniał o tym paru mimochodem wypowiedzianymi zdaniami i spytał, czy ktoś telefonował. Zanim mogłam mu odpowiedzieć, oświadczył:

- Próbowałem o piątej zadzwonić do ciebie, ale było zajęte.

Nie chciałam mówić o Reginie Kolter i powiedziałam tylko:

- Rozmawiałam ze znajomą.

- Ach tak - w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie i wydawało się, jakby chciał jeszcze coś dodać. Ale nie nastąpiło to od razu. Podniósł się i sprzątnął ze stołu.

- Po co chciałeś do mnie telefonować?

Nie odpowiedział. Kiedy załadował naczynia do zmywarki, poszedł do dużego pokoju, nalał dwa kieliszki Grand Marnier, postawił oba na stole i usiadł w swoim fotelu. Poszłam za nim, usiadłam w drugim fotelu i starałam się zrobić głęboki oddech. Jego zachowanie sygnalizowało, że jest wykończony.

Wziął kieliszek ze stołu, zakołysał go w ręku i obserwował przelewanie się jego zawartości.

- Już myślałem - powiedział wreszcie — że twoja matka skorzystała ze swojej nowo nabytej umiejętności, żeby cię poinformować o wszystkim. Klinkhammer do mnie dzwonił, na krótko przed piątą. Przypominasz sobie tę sprzątaczkę, która dziś rano była w pokoju?

- Tak. - Siedziałam na sprężynie, która lada chwila mogła mnie katapultować pod sam sufit i przetrącić mi kark.

- Ona mówi, że poznała ten głos - powiedział Jiirgen. Był przy tym całkiem spokojny.

Wzięłam kieliszek ze stołu. Nie chciałam pić, tylko trzymać coś w ręku. Myślałam, że pomoże na drżenie. Nie pomogło. Płyn w szkle wibrował tak samo jak mój głos.

-Kto to jest?

- Klinkhammer mi nie powiedział.

Nagle Jiirgen uderzył się pięścią po nodze.

- Ta durna baba! Nie mogła otworzyć gęby, dopóki tam staliśmy? Powiedziała to twojej matce dopiero wtedy, kiedy nas już nie było.

Zerwałam się z fotela. Jurgen powiedział:

- Usiądź z powrotem, Vero. Właśnie rozmawiałem z twoją matką. Ona nie wie więcej nad to, co ci powiem. Sprzątaczką nie podała jej nazwiska. Nie chce na nikogo ściągać kłopotów i tak dalej. Wiesz przecież, jacy ci ludzie są. Może chciała tylko dodać sobie ważności. Mnie się to wydaje dość śmieszne. Popatrz, twój ojciec nie umie zidentyfikować tego głosu. Ja słuchałem tego dwadzieścia razy i przy najlepszych chęciach też nie umiem powiedzieć, kto to jest. A ta kobieta słyszy tylko raz kilka zdań i... Ale wszystko jedno, twoja matka wysłała ją do Klinkhammera. A on wydaje się brać ją serio.

- Czy aresztował kogoś?

- Nie wiem. Naturalnie spytałem go, ale uchylił się od odpowiedzi. Może nie mają jeszcze dostatecznych dowodów,

żeby dokonać aresztowania.

Kiedy poszliśmy do łóżka, było po północy. Przedtem rozmawialiśmy do upadłego. Kto to jest? To musi być ktoś, kogo znamy. Ktoś obcy nie czułby potrzeby prosić nas o wy-baczenie. Ktoś obcy w ogóle nie miałby możliwości dzwonić do nas.

Także w łóżku jeszcze rozmawialiśmy przez chwilę. W pewnym momencie przestaliśmy mówić, bo kręciliśmy się tylko w kółko. Leżałam nie śpiąc, patrzyłam w ciemność. Jurgen też nie spał, przewracał się z boku na bok, z pleców na brzuch. Dwa razy wstał i wyszedł do łazienki.

306

Kiedy za drugim razem wrócił, usiadł na brzegu łóżka, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Myślał zapewne, że zasnęłam.

Na zewnątrz księżyc w pełni na niebie lekko tylko zasnuł tym chmurami spowił wszystko bladą poświatą. Wewnątrz podkreślił kontury mebli i sylwetkę Jurgena na brzegu łóżka. Nie opuściłam żaluzji, a wpadający blask wystarczał, żeby całkiem wyraźnie dostrzec, jak jego ramiona zaczęły drgać.

Nigdy jeszcze nie widziałam, jak płacze, ani nie słyszałam, jak szlocha. I nie był to szloch. To było łkanie, żalosne i pi-skliwe jak u niemowlaka. Przez parę chwil słuchałam, chcia-łam coś zrobić i ani nie mogłam otworzyć ust, ani podnieść ręki. Potem udało mi się położyć mu rękę na plecach.

Nie zareagował, a łkanie trwało. Jego głos był równie cien-ki i żalosny.

- Jak dostanę tego gnoja w swoje ręce, to skręcę mu kark.

A ja go dostanę w swoje ręce, obiecuję ci. On mi za to zapłaci.

Drogo zapłaci. Może mu jest i przykro. Ale ja już zadbam o to, żeby mu było naprawdę przykro, tak przykro, że zacznie zacząć łowić, że nie odrąbał sobie rąk, zanim je na nią podniósł. Ona przecież nic nikomu nie zrobiła.

- Połóż się i przykryj. Jest za zimno, żeby tak siedzieć.

Nie miał na sobie piżamy, a okno było otwarte. Jego skóra była wilgotna w dotyku. Posłuchał, wpełzł pod kołdrę, ukrył twarz w poduszce i

zdusił w ten sposób piskliwe dźwięki. Wreszcie, po ponad godzinie, umilkły. Płacząc zasnął.

A ja leżałam wciąż jeszcze bez snu i czułam się tak samo jak noc - żadnego strachu, żadnej niewiary, żadnego bólu, żadnej pustki, tylko szara ciemność. W czworokątne okna obserwowałam twarze mężczyzn, których znaleźliśmy.

Było ich tak wielu. Zaczęłam ich sortować. Starych odsuwałam z powrotem w noc. Z młodych zostawiłam tylko tych, którzy znali także Renę. Wtedy nagle zostało bardzo niewiele. Armin, Horst i Udo. A co gorsza, naraz zaczęłam rozumieć, że Olgert właśnie to chciał powiedzieć wygłaszając swój referat o powiązaniach w grupach młodzieży.

307

Ta sprzątaczką mieszkała i pracowała w mieście. Armin i Horst mieszkali i pracowali w mieście. Na urodzinowym przyjęciu Reny Horst opowiadał, że często wieczorem wsiada do samochodu i jeździ bez celu.

- To dobra metoda, żeby się wyłączyć. W czasie jazdy znikają myśli, od których trudno się inaczej uwolnić. Jak już nic nie pomaga, to jadę do stajni, ona jest przecież zawsze otwarta.

Później spytałam Renę:

- Od jakich myśli on musi się uwalniać?

I ona mi opowiedziała o jego chorobie. O konieczności regularnych badań krwi, których Horst tak panicznie się bał. Dawniej musiał w tym celu jeździć do Kolonii. Dopiero od dwóch lat chodził do szpitala miejskiego.

Szpital miejski! To był ten związek. Naraz wyjaśnienie było takie proste; osobliwe wrażenie, że znamy ten głos, które miał zarówno ojciec, jak i ja. Naturalnie, był nam dobrze znany. Tylko dawniej nie słyszeliśmy go w takim brzmieniu, zatarłym i pełnym rozpacz. Dlatego go nie poznaliśmy. Widziałam to jasno, a mimo to nie mogłam doprowadzić myśli do końca. Młody człowiek owładnięty przemożnym lękiem przed nawrotem śmiertelnej choroby wsiada do samochodu i jeździ bez celu. Po jakimś czasie ciągnie go do miejsca, gdzie czuje się silny i zdrowy. Ale nie może się potajemnie wśliznąć, jak zwykle. Hennessen jest jeszcze przy koniach, a obok bramy stoi szary mikrobus. Kiedy mikrobus odjeżdża, widzi Renę stojącą w deszczu

i...

Był w niej zakochany. Wiedziałam to na pewno! Zakocha-nie to wspaniałe uczucie. Rozczarowanie to także wielkie uczucie; świadomość, że dla tej młodej, zdrowej dziewczyny będzie zawsze tylko chorym, słabowitym, pożałowania godnym Horstem...

Nie czułam, kiedy zasnęłam. Obudziłam się, gdy Jiirgen obok mnie zerwał się z przekleństwem na równe nogi.

- Do diabła, zaspaliśmy. Wstawaj, Vero, wstawaj.

Był już w drodze do łazienki.

- Zrób mi tylko szybko kawy. Nie ma już czasu na śniadanie.

308

Był kwadrans po ósmej. Budzik z radiem musiał się włączyć o szóstej. Jedno z nas chyba przez sen nacisnęło niewłaściwy guzik i wyłączyło go.

Czułam się, jakbym miała kamienie w głowie i nogach. Horst! Ten niepozorny, wąły facecik mordercą? To było nie-wyobrażalne. Człowiek, który boi się śmierci, nie może przecież zabić. Naturalnie, że może! Wiadomo przecież, jak coś takiego się odbywa. Dziewczyna wsiada, nie przeczuwając niczego, do samochodu przyjaciela. On zaczyna być natarczywy. Ona się broni. On staje się gwałtowny. On krzyczy albo grozi konsekwencjami. On zmusza ją do milczenia ze strachu, żeby go nie wydała.

Każda czynność była jak coś, co robię po raz pierwszy. Zrobić kawy! Rutyna, całymi latami robiłam to tysiące razy, w ostatnim czasie rzadziej. Mimo to nie zapomina się takich umiejętności, a tu nagle okazuje się, że już nie potrafię. Nie widziałam naszej kuchni, pojemnika na wodę w ekspresie do kawy. Widziałam tylko twarz sprzątaczkę w pokoju ojca, jak wybałusza oczy na automatyczną sekretarkę, marszczy czoło, jak wzdycha: „O mój Boże”.

I widziałam Horsta, jak siedzi w naszej piwnicy, słyszałam, jak rozmawia z Reną o jej prezencie urodzinowym.

- Jutro będę najszcześniejszym z ludzi.

- Czasem nachodzi mnie chęćka - powiedział Horst - że

bym i ja mógł raz się przejechać na tym diable. Ale wolę nie ryzykować. Jak Mattho mnie zrzuci...

Wylałam połowę wody obok ekspresu. Kiedy Jiirgen zszedł na dół, dopiero zakładałam filtr.

- Zostaw - powiedział. - Idź na górę i ubierz się, ja zajmę się kawą.

Było wpół do dziewiątej. Stałam przed moją szafą i nie wiedziałam, w co się ubrać. Dotąd nigdy nie było to problemem, wystarczyło sięgnąć do szafy. A teraz wyrósł niewidzialny mur. Koniec! Wszystko skończone! Dostyc czekałaś, Vero! Czas niepewności przetrwany.

A ja chciałam, żeby ten czas wrócił. Wszystko było lepsze niż to! Kiedy policjant kryminalny zaczyna służbę? O ósmej

309

czy o dziewiątej? A może Klinkhammer i Olgert pracowali w nocy? Z Horstem? Usłyszeli od kobiety jego nazwisko. Musieli je usłyszeć. I naturalnie od razu wybrali się w drogę, żeby mu zadać kilka nieprzyjemnych pytań. Dlaczego jeszcze nie dzwonił?

- Zatelefonuj do Klinkhammera! - zawołałam w stronę galerii - teraz, zaraz, nie wytrzymam tego dłużej.

Co się zakłada w taki dzień? Nie można wyjąć z szafy ja-kiejkolwiek spódnicy i jakiejkolwiek bluzki, jak robi się za-zwyczaj. Może bluzka w kwiatki albo w prążki, a może jest za jaskrawa. Słyszałam, jak Jiirgen w sieni manipuluje przy telefonie. Ale kiedy przemówił...

- Jaśmin, trochę się spóźnimy. Musimy jeszcze iść na policję. Kto jest zapisany jako pierwszy?

Potem powiedział jeszcze:

- Nie, w żadnym razie, sam to zrobię. Muszę to jeszcze raz bardzo dokładnie obejrzeć. Myślę, że coś tu nie gra. Powiedz

pani Jankowik, dlaczego się spóźnimy, ona to zrozumie.

Odłożył słuchawkę i zawołał do góry:

- Nie będę do niego dzwonił, Vero, pójdę do niego. Nie dam się teraz zbywać byle czym przez telefon. Rusz się.

- To Horst - powiedziałam. Nie znalazłam jeszcze niczego odpowiedniego do ubrania. Tak jak stałam wyszłam na galerię i spojrzałam przez poręcz. Jurgen sterczał z otwartymi ustami w sieni i energicznie kręcił głową.

-Powtórz to!

Ja również pokręciłam głową i powtórzyłam:

- To Horst. Przypuszczam, że sprzątaczką zna go ze szpitala.

- To... - powiedział Jurgen, urwał i zaczął od początku: -

To przecież niemożliwe. Nie, Vero! Nie ta koszulka! To niemożliwe. Mylisz się. - Uspokoił się. - Teraz ubierz się, to pojedziemy. Potem zobaczymy.

Wróciłam do sypialni, i kiedy właśnie myślałam, że mogła-bym założyć jasnoszarą bluzkę i czarną spódnicę, na dole za-dzwonił telefon. Jednym skokiem znowu dopadłam poręczy. Jurgen miał już słuchawkę przy uchu. Zawołał:

310

Co?

Tylko to jedno słowo. Potem odłożył słuchawkę. Zwiesił ramiona. Spojrzał ku mnie do góry, zobaczyłam, że gwałtownie przęłyka ślinę.

- To była Anna. Kilka minut temu w gimnazjum był radio-wóz. Zabrali Armina z lekcji. Anna widziała, jak go wypro-wadzają.

11.

Armin! Ten miły młody człowiek w okularach i z głową profesora gimnazjum, z którym Jiirgenowi tak świetnie się rozmawiało, który dla Reny opuszczał nakazane przez ojca lekcje jazdy konnej, żeby ją uczyć matematyki. Wyprowadzony przez załogę radiowozu! To brzmiało tak, jakby został porwany przez zielone ludziki z UFO.

Nie pojmowałam tego. Jiirgen też tego nie pojmował. Do-piero co z ciężkim sercem zdobyłam się na wyobrazenie sobie Horsta w tej roli i Jiirgen uważał, że to niemożliwe. Ale żeby Armin, to było całkiem wykluczone. I tak też faktycznie było.

Może w oczach Anny to wyglądało jak aresztowanie. Anna powiedziała później, że Armin ze spuszczoną głową i zwieszonymi ramionami człapał między mundurowymi do radio-wozu. Jego rąk nie widziała. Trzymał je przed sobą i dlatego Anna podejrzewała, że był skuty kajdankami.

Na pewno tak nie było. Dwaj mundurowi zabrali Armina tylko dlatego, że Klinkhammer nie miał czasu. Klinkhammer i Olgert prowadzili przesłuchanie i mieli mizerne wyniki. Mężczyzna, któremu zadawali pytania, uporczywie odmawiał odpowiedzi na choćby jedno z nich.

Mogę tylko zgadywać, ile razy puścili mu taśmę z tym „O Boże”, ile razy go pytali, czy wypowiedział te zdania, ile razy mu powiedzieli w twarz, że to był on. Wiedzą doskonale, bo mają świadka, który słyszał, jak mówi właśnie te zdania z dokładną taką samą rozpaczą.

Nie potrzeba wiele fantazji, żeby sobie wyobrazić, jak mu dopiekali. A on i tak był u kresu sił, własny ojciec wymyślał mu od morderców, obwiniał się o śmierć swojej siostry i jej dzieci. Przepuszczali go przez całą noc przez wyżymaczkę,

312

próbowali ostro i po dobroci. Obrabiali go do rana - jak się wyraził Klinkhammer.

W czasie, kiedy my gadaliśmy do upadłego, oni próbowali coś z niego wydobyć. Kiedy Jurgen usypiał płacząc, on siedział w ich biurze - aresztowany jako podejrzany o popełnienie czynu. A zabawne było w tym wszystkim, że nie mieli w ręku nic, absolutnie nic.

Mieli tylko zeznanie sprzątaczkii, która krótko po siódmej rano 9 września weszła do sali chorych o numerze 205, aby wykonać swoją pracę. Widziała nowego pacjenta leżącego w łóżku przy oknie. Rudiego Kuhlmana, który dzień wcześniej stracił żonę i dzieci!

A przy nim siedział pewien młody człowiek. Poza tym w pokoju nie było nikogo. Młody człowiek przyciskał głowę do piersi pacjenta. Płakał i prosił:

- Rudi, powiedz coś! Rudi, powiedz coś!

Wybełkotał:

- Nic na to nie mogłem poradzić, Rudi. Chciałem przecież pojechać, ale Hennes mnie zatrzymał.

Rudi Kuhlmann nieruchomo wpatrywał się w sufit, nie reagował. Dopiero kiedy młody człowiek ujął oburącz jego twarz, mruknął bezgłośnie:

- Zjeżdżaj, ty niedojdo.

I wtedy ta kobieta usłyszała to pozbawione tchu łkanie, usłyszała dokładnie te słowa, które my wszyscy słyszeliśmy niezliczoną ilość razy:

- O mój Boże. Nie mów czegoś takiego. Nie wytrzymam tego. Ja już nie mogę.

Udo von Wirth przy łóżku swojego szwagra.

O szóstej rano dali mu krótką przerwę i śniadanie. Potem od nowa rzucili się na niego. Milczał przez dwie godziny, patrzył w okno, kiedy Klinkhammer i Olgert się zmieniali, żeby go skłonić do przyznania się. Parę minut po ósmej Udo powiedział:

- Chcę rozmawiać z Arminem. Muszę mu coś powiedzieć.

I będę mówił tylko z nim.

313

Dlatego Armina zabrano ze szkoły. Siedział jeszcze z Udo w biurze Klinkhammera, kiedy przybyliśmy. Olgert był w boczny pomieszczeniu, przez szczelinę w drzwiach oddzielających pomieszczenia miał oko na wszystko. Klinkhammer stał na korytarzu pod drzwiami, z twarzą na pół zakrytą włosami.

Robił wrażenie niewyspanego, trzymał papierosa w lewej i plastikowy kubek z kawą w prawej ręce. Kiedy zobaczył, że idziemy, spróbował gwałtownymi ruchami głowy zarzucić swoją rozczochraną grzywę za uszy. Wyglądało to tak, jakby miał nerwowe drgawki. Wzniósł oczy do nieba, wrzucił papierosa do kawy, postawił kubek na podłodze i powiedział:

- Tego mi jeszcze brakowało.

Przez parę sekund staliśmy w milczeniu. Jurgen patrzył na drzwi. Słysząc było rozmowę za nimi, ale zrozumieć nie można było niczego. Jurgen upierał się, że chce rozmawiać z Armi-nem.

- Będzie pan miał okazję, jak stąd wyjdzie - powiedział

Klinkhammer. W jego głosie było słychać wyczerpanie, spoj-
rzał na zegarek. - Dajmy mu jeszcze dziesięć minut.

Podniósł plastikowy kubek i zapytał:

- Chcą państwo także kawy?

Jurgen kiwnął głową w imieniu nas obojga. Klinkhammer otworzył drzwi do bocznego pomieszczenia i kazał Olgerto-wi przynieść trzy kubki, po uprzednim zapytaniu:

-I jak?

- On coś kręci - powiedział Olgert.

Klinkhammer wściekły zacisnął usta.

- Chyba nie myśli pan na serio, że to Udo - powiedział

Jurgen. - Mogę sobie różne rzeczy wyobrazić, ale nie to. Co
ma pan w ręku na tego chłopaka?

Klinkhammer kołysał głową, uporządkował wreszcie swoje włosy i spojrzał w kierunku Olgerta.

- Niewiele. Ale to, co mamy, pasuje. Mamy ten zegar; wisi
w pokoju jego rodziców. Mamy dojarkę; ona wytwarza takie
odgłosy, jak te, które państwa córka słyszała przy pierwszym
telefonie i opisała nam. Państwa córka powinna tego posłuchać.

314

- Dojarkę? - spytał poirytowany Jiirgen.

Nieporozumienie szybko się wyjaśniło. Kiedy Klinkham-

mer wspomniał o telefonie komórkowym i wyraził przypuszczenie, że za pierwszym razem nazajutrz rano po zniknięciu Reny rozmówca mógł telefonować z obory, oboje już wiedzieliśmy, co miał na myśli.

Jiirgen zapadł się w sobie jak przekłuty balon. Zakrył twarz rękami i jęknął:

- O mój Boże.

- To też mamy - powiedział Klinkhammer z westchnieniem.

- A potem jeszcze to wykwintne towarzystwo. Mogli to być goście zebrani w domu rodziców Udo na pogrzeb jego siostry bliźniaczki i jej dzieci.

Spojrzał na mnie, jakby chciał mnie przeprosić.

- Dyskretny gwar, tam na pewno nikt nie wrzeszczał. Ale kiedy ktoś zostaje w pokoju, żeby jeszcze szybko zatelefonować, może się zdarzyć, że jakaś kobieta zawoła: „Gdzie ty się podziewasz?” albo „Co ty tam robisz?”. Przykro mi. Powiniennem to zrozumieć wcześniej, o wiele wcześniej. Powiniennem to zrozumieć już w piątek. Hennessen upierał się, że Rena chciała iść do Udo. Gdybym mu zadał właściwe pytania... On wtedy naprawdę był na dnie. Do tej pory zdążył się już pozbierać.

Olgert wrócił z tacą, na której stały trzy kubki z kawą.

- Ostrożnie - powiedział - gorące.

Jurgen pokręcił głową, z twarzą wciąż jeszcze ukrytą w dłoniach. Kiedy wreszcie odjął ręce, wytarł palcami ślady łez pod oczami.

Mnie nie było do płaczu. Miałam kluskę w gardle i myślałam, że gorąca kawa ją spłucze. Tak się nie stało, także odchrząknięcie nie pomogło mi odzyskać głosu.

Plastikowych kubków rzeczywiście nie dało się prawie utrzymać w rękach. Dziwiłam

się, że się nie topią albo przy-najmniej nie deformują.

- Niech pani weźmie przez chustkę - poradził Olgert, widząc, że przekładam kubek z ręki do ręki. Pomruk za drzwia-

315

mi to narastał, to cichł. Klinkhammer znowu spojrział na zegarek. Tych dziesięć minut, o których wspomniał, dawno minęło.

To było nierealistyczne. Staliśmy oto w czwórce przed biurkiem policyjnym. Dwóch kryminalnych piło kawę. Olgert wziął trzeci kubek, bo Jurgen go nie chciał. A w ich biurze siedziało dwóch młodych ludzi, z których jeden miał się przyznać do morderstwa. Uważałam to za coś niezwykłego, że wykorzystują osiemnastolatka, żeby tego wysłuchiwał. Przecież za wiele oczekiwali od takiego chłopca.

Klinkhammer skrzywił się w zmęczonym uśmiechu.

- Profesor zniesie niemało, o niego niech się pani nie martwi. Nie mówiąc o tym, że von Wirth jest daleki od przyznania się. On dobrze wie, że niewiele możemy mu udowodnić. Jeśli tak na to spojrzeć, to siedzą tam tylko dwaj młodzi ludzie, którzy się dobrze znają, i rozmawiają. Na coś innego nie moglibyśmy też pozwolić.

- To po co ten cały cyrk? - obruszył się Jurgen. - Czego pan się po tym spodziewa? Nic z tego nie rozumiem. Udo! To jest... To obłąd. - Potem coś mu się przypomniało. - Przecież jego wcale nie było we wsi. Tego wieczora i w nocy był u Kuhlmanna.

- Nie przez całą noc - powiedział Klinkhammer. - Nocna pielęgniarka wyrzuciła go około dziesiątej. Dokładnej godziny niestety się nie dowiemy. Mogła być za pięć dziesiąta, dzie-

sięć po, albo i za kwadrans dziesiąta.

Jurgen pokręcił głową, jednocześnie wykonał obronny gest rękami.

- Niech pan o tym zapomni. To na nic, nawet gdyby była za kwadrans dziesiąta. W nocy potrzebował co najmniej pół godziny na dotarcie do wsi.

- Niekoniecznie - zaproponował Klinkhammer spokojnie. - Mógł cisnąć gaz do dechy, może mając podświadomą nadzieję, że pojedzie tak samo, jak jego siostra.

Był tak poważny, a przy tym tak przygnębiony, co jeszcze bardziej podkreślało następne słowa.

316

- Panie Zardiss, von Wirth był tego wieczora w okropnym stanie. Wtedy wystarczyłoby jedno fałszywe słowo. Załóżmy, że pana córka zaczęła lamentować nad ranną klaczą albo sprze-
danym ogierem. A von Wirth stracił człowieka, od którego zależała jego równowaga psychiczna.

- Moja córka o tym wiedziała - powiedział Jiirgen.

Klinkhammer pokręcił powoli i z naciskiem głową.

- Wiedziała, że stracił siostrę i że był bardzo do niej przywiązany. Ale jakie znaczenie Annegret faktycznie miała dla brata, tego pańska córka nie mogła się nawet domyślać.

- Mimo to nie opowiadałaby mu o koniach w takiej sytuacji - upierał się Jurgen.

Klinkhammer wzruszył ramionami i spojrział na drzwi, za którymi siedział Udo z Arminem.

- On twierdzi, że o czwartej w nocy miał poważny wypadek. Uwierzyłbym mu, gdyby to się stało gdzieś na drodze. Ale jeśli ktoś jeździ krętymi ścieżkami po terenie żwirowni, mozolnie wspina się samochodem na krawędź wyrobiska, a potem spada dziesięć metrów w dół, to nie wierzę w wypadek, a w usiłowanie samobójstwa. Tylko dziwne, że wyszedł z tego bez szwanku. Nawet się nie podrapał. Może pan sobie wyobrazić, jak wygląda samochód, który spada do żwirowni z wysokości dziesięciu metrów? A ma pan pojęcie, jak wyglądają jego pasażerowie?

Jurgen wybałuszył na niego oczy. Wypiłam łyk kawy, była wciąż jeszcze za gorąca. Ale oparzenie języka sprawiało rze-czywisty ból, a to, co mówił Klinkhammer, powodowało tyl-ko szum w głowie.

- Sądzę - powiedział z namysłem - że to nie był ani wypadek, ani próba samobójstwa. Chodziło jedynie o pozbycie się samochodu, w którym moglibyśmy odkryć ślady. Jego auto zresztą już następnego dnia powędrowało do zgniatacza złomu. Nawet poniósł pewne koszty, żeby nie było najpierw składowane na hałdzie. Tak więc dla mnie sprawa jest jasna.

Jurgen jeszcze raz bezradnie pokręcił głową i spojrzął na drzwi biura. Otworzyły się. Armin wyszedł na korytarz. W tym

317

samym momencie Olgert wszedł do biura i zamknął za sobą drzwi.

Armin wyglądał, jakby w ostatnich minutach zrobiło mu się niedobrze. Klinkhammer lustrował go w pełnym napięcia oczekiwaniu.

- On... - zaczął Armin, spróbował przełknąć ślinę i pożą-

dliwie spojrział na kubek w moim ręku. - Czy ja też mogę dostać coli? Zaszło mi w gardle.

- Co on? - dociekał Klinkhammer.

Podalam Arminowi mój kubek. - To kawa i już upiłam. Ale jest jeszcze gorąca.

Armin odmówił ruchem głowy. Kiedy na nowo zaczął mówić, słowa wyrzucał tak szybko, jakby chciał to już tylko mieć wreszcie za sobą.

- On powiedział, że ją rozpruł. Ale nie chciał tego. On sam nie rozumie i nie pamięta wszystkiego. Pamięta tylko, że chciał ją pogłaskać. A potem nagle wszędzie było pełno krwi. I flaki wisiały z niej na zewnątrz.

Grdyka Armina zadrgała, wydał z siebie dźwięk jakby w ostatniej chwili powstrzymał mdłości, zatkał usta dłonią i po-gnął korytarzem w dół.

W moim mózgu coś zrobiło „klak”, po prostu tylko „klak”.

- To koń - powiedziałam. Klinkhammer spojrział na mnie nie rozumiejąc.

- Kobyła - powiedziałam. - To ją ma na myśli. Udo von Wirth zarznął zarodową klacz Hennessena. O tym to ja wiem już od dawna.

Klinkhammer popatrzył na mnie ze zmarszczonym czołem. W jego głosie pobrzmiwał sceptycyzm.

- A skąd pani to wie?

- On sam mi to powiedział. To znaczy, domyśliłam się z tego, co mi powiedział.

- Później porozmawiamy o tym spokojnie - powiedział Klinkhammer.

Chciał powiedzieć coś jeszcze. Uprzedziłam go, chwyciłam ramię Jurgena.

- Chodź, idziemy. Musimy iść do gabinetu. Udo zabił tylko konia.

Jiirgen odsunął moją rękę od swojego ramienia, wyciągnął kluczyki do samochodu z kieszeni kurtki i podał mi. Patrzył na Klinkhammera.

- Ja tu zostanę. Możesz pojechać sama do gabinetu? Freda Jankowik była pierwsza w kolejce, na USG. Jeśli jeszcze tam jest, zbadaj ją gruntownie, dasz sobie przecież radę, prawda?

- Naturalnie - powiedziałam. - Kto jest drugi w kolejce?

- Nie wiem. W tej chwili to bez znaczenia. Jeśli sobie nie poradzisz, wyrzuć ją. Wyrzuć wszystkich. Ja dzisiaj nie mogę. Ja naprawdę nie mogę.

- Czy mam w południe przyjechać tu po ciebie?

Pokręcił głową i odwrócił twarz w bok.

- Nie troszcz się o mnie, Vero. W razie konieczności wezmę taksówkę. Ale zostanę tu, aż będę wiedział, co się dzieje.

Byłam sama z Fredą Jankowik w małym pomieszczeniu. Ona nie spuszczała oka z monitora, była jedną z tych przy-szłych matek, co to już w trzecim miesiącu...

Myślami byłam jeszcze na tamtym korytarzu pod drzwiami, za którymi siedział Udo. A Klinkhammer mówił o samochodzie, który spadł z wysokości, i zgniataczu złomu. Freda Jankowik opowiadała mi o swoim przyjacielu, i że zawsze chciała mieć dziecko, ale jej mąż nie, i tak dalej. Uśmiechałam się i widziałam uśmiechającego się Udo, widziałam go, jak siedzi pochylony do przodu w naszej piwnicy, widziałam, jak stoi na parkingu pod szpitalem: istny niedźwiedź, a nie mężczyzna!

Sandra Erken była zajęta w laboratorium próbką krwi i moczu. „Zbadaj ją gruntownie”, tak powiedział Jiirgen. Chciałam zrobić to badanie bardzo gruntownie. Sandrze kazałam pobrać od niej krew i powiedziałam:

- Przebadać na wszystko, co tam potrzeba. - Nie wiedziałam

łam, co było potrzeba.

Słuchałam Fredy Jankowik, ale nie rozumiałam ani słowa. Nie wierzyłam jej, że się naprawdę cieszy. Nikt nie umiał się

319

już naprawdę cieszyć. Rena umiała, tryskająca radością, prze-sadna, nadmiernie szczęśliwa Rena. Ona zabrała prawdziwą radość ze sobą.

Tylko ta sprawa z rozwodem jest kroplą goryczy, twierdzi-ła Freda Jankowik, kiedy nakładałam na jej ciało więcej żelu, a na ekran ściągnęłam jej własne serce.

Za wysoko, Vero. Spokojnie, zrób to gruntownie.

Wymagany przez prawo rok separacji to istny kretynizm, mówiła. Wiedziałam. Każda rozłaka była kretynizmem i czymś okropnym. Przy takim stanie prawnym jej dziecko urodziłoby się jako ślubne, powiedziała. Jej aktualny mąż musi wyprzeć się ojcostwa. A jak dotąd on tylko złośliwie się uśmiechał w od-powiedzi.

- On coś kręci, ten kutafon!

To były prawie słowa Olgerta. A ja już nie wiedziałam, co myśleć. Klacz! Udo mógł mieć na myśli tylko klacz. Widzia-łam go, jak siedzi w naszej piwnicy. Nazywał Renę Pchelką.

- Czego ty chcesz, Pchelko, od tego gniadego diabła? Jak ci się zdaje, dokąd on pójdzie z tobą za rok? Teraz ma dwa lata, poczekaj, aż dorośnie.

- Hennes mówi, że on już nie będzie wiele większy.

- Co on tam wie. Hennes plecie trzy po trzy.

Freda Jankowik też coś powiedziała i wskazała monitor. Zrozumiałam dopiero, kiedy powtórzyła.

- Czy to jeszcze główka?

Zmieniła pozycję, żeby mi pokazać określone miejsce na monitorze. Roześmiała się przy tym z zakłopotaniem.

- To byłaby dopiero niespodzianka, co?

Jej poruszenie spowodowało zmianę perspektywy. I nie widziałam tak dobrze w tej chwili, wszystko było rozmazane, rozmyte i nieostre. Cienie wśród zielonego migotania, których interpretacja kiedy indziej nie sprawiała mi trudności. Ramię, rączka, główka, plecy, nóżka, serce.

Serce odnalazłam szybko znowu, maleńkie, drgające coś, to było łatwe. Ale reszta... Płód był jeszcze taki mały, w tym stadium nie zawsze od razu rozpoznaje się wszystkie szcze-

320

goły. A kiedy się jednocześnie widzi zagrodę, nerwowo tań-czącego młodego ogiera i silnego młodego człowieka, który chwyta za cugle. I śmieją się młodą dziewczynę, która głasz-cze gniadą szyję i przy wsiadaniu odrzuca głowę do tyłu...

Główkę znajduje się zawsze, ona dominuje. Znalazłam zno-wu także to, co Freda Jankowik uważała za drugą głowę. To musiały być plecy. To mogły być tylko plecy. Było przecież tylko jedno serce.

Zrobiłam wydruk i chciałam posłać Fredę Jankowik do Ja-śmin, żeby się zapisała na następną wizytę. Wyniki badań la-boratoryjnych powinien wpisać do karty ciążyowej sam Jiirgen, on umiał je ocenić, a ja nie.

Zanim wyszła z pokoju, zapytała z wahaniem:

- A więc wszystko w porządku z maluszkiem?
- Naturalnie, co miałoby nie być w porządku?

Pomyślałam, że ona się martwi, bo nic jej nie wpisałam,

i chciałam jej to wyjaśnić. Ale zanim zdążyłam, powiedziała cicho:

- Sama nie wiem. Mam takie dziwne przeczucie. Jak mam to pani opisać? Ja tak się cieszę z tego dziecka. A jak się ktoś za bardzo cieszy, to przeważnie coś źle wychodzi. U mnie zawsze tak było.

- Tym razem na pewno nie - powiedziałam i udało mi się uśmiechnąć. - Nie ma powodu do zmartwienia.

Ona też się uśmiechnęła, nieśmiało i niepewnie.

- Ale doktor powiedział przy ostatnim badaniu, że musi za parę tygodni jeszcze raz to sobie dokładnie obejrzeć. Że jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

- Na pewno go pani pytała, czy to dziewczynka, czy chłopiec.

Kiwnęła głową.

- No widzi pani - powiedziałam - na to jeszcze naprawdę było za wcześnie. Będzie można powiedzieć następnym razem.

Kiedy za Fredą Jankowik zamknęły się drzwi, siedziałam przez kilka minut i próbowałam sobie przypomnieć, co jesz-

321

cze zlecił mi Jiirgen. Nic nie przychodziło mi do głowy. Do-piero kiedy weszła Jaśmin i zapytała:

-1 co my teraz zrobimy z panią Scheller? Trzeba by zrobić półroczne badanie do wystawienia nowej recepty.

Wtedy mi się przypomniało. Wyrzucić ich wszystkich, tak powiedział.

- Ja się tym zajmę - powiedziałam. - Na pewno uda się też bez badania.

- Czy podpisze pani receptę?

- Co za różnica, czy ja na niej postawię zakrętas, czy mój mąż? Tak dokładnie przecież nikt nie będzie sprawdzał.

Jaśmin też była tego zdania. A pani Scheller była ucieszona, że dostała swoją receptę i nie musiała jeszcze raz przychodzić. Rena też się cieszyła, kiedy krótko po przeprowadzce wcisnęłam jej opakowanie w rękę.

- Masz, ale nie pokazuj tacie. On utnie mi głowę, jeśli się dowie.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Ale tato przecież powiedział, że moje narządy nie są jeszcze całkiem dojrzałe.

- Za to pryszczki są bardziej niż dojrzałe.

- Dziękuję, mamó. To świetnie z twojej strony. Dobrze to schowam, obiecuję ci. On przecież nigdy nie wchodzi do mojego pokoju.

Po pani Scheller była jeszcze pacjentka z grzybicą. Dosta-tecznie często stałam obok fotela i przypatrywałam się, jak się pobiera wymaz. Dlatego nie było to problemem, a badaniem mikroskopowym zajęła się Sandra Erken. Musiałam tylko wystawić kolejną receptę, mogłam się w karcie pacjenta zorientować, co Jiirgen zapisywał przy wcześniejszych infek-cjach tego rodzaju.

Nie było kłopotów także ze starszą kobietą, która przyszła do kontroli po usunięciu macicy. Czuła się dość dobrze, nie miała bólów, tylko trochę kręciło jej się w głowie. Przepisa-łam jej preparat żelazowy i udzieliłam zwykłych porad doty-czących oszczędnego trybu życia.

322

Kiedy Jiirgen przyszedł na krótko przed pierwszą, Sandra Erken była dawno w drodze do przedszkola, poczekalnia była pusta, i wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Tak jak Rena, kie-dy pierwsze opakowanie było zużyte i załatwiłam jej następ-ne z niewyczerpanych zapasów Jurgena.

- To naprawdę pomaga, mamó, popatrz tylko, moje czoło wygląda już lepiej.

Jiirgen nie był zadowolony.

- Czyś ty oszalała? Przecież nie możesz zaczynać występo-wać tu jako lekarz.

W jego głosie nie było słycać wyrzutu, tylko zmęczenie i przygnębiecie. Uspokoił się znowu. Jego przedpołudnie dało się streścić jednym słowem: nic.

Pojechaliśmy do domu. Puścił mnie za kierownicę, czego normalnie nigdy nie robił. Nie miał nic przeciw temu, żebym poprowadziła bmw. Tylko kiedy on był w formie, to był jego samochód. A teraz... Był zmęczony w taki ostateczny sposób. Był stary i chory. Ojciec nie wydawał się taki stary i chory nawet w pierwszych dniach po wylewie.

Przeświadczenie Klinkhammera pozbawiło go tego, czego czasami nienawidziłam, często podziwiałam, a zawsze potrze-bowałam, jego nastawienia do życia. Umiejętności żartowa-nia w trudnych sytuacjach, co można łatwo uznać za powierzchowność. Tego „a odczepcie się wszyscy ode mnie”, co się szybko odfajkowuje jako obojętność. Tego własnego wyobra-żenia o szczęściu, które szybko określa się mianem egoizmu.

Ja zaznałam już wielu odczuć, odkąd Reny nie było w do-mu: ból, bezsilność, lęk, wściekłość, rozpacz, smutek i samot-ność. Nic z tego nie dawało się porównać z tym, co czułam w czasie podróży do domu; skóra Jurgena, w którą mnie wsadzili, bo nie mógł jej już wypełnić. Miał tylko trochę ponad metr sześćdziesiąt, ale nigdy nie był mały. Był za gruby, ale tłuszcz dawał mu siłę. A teraz był złamany.

Weszliśmy do domu i on się bał przejść przez sień, obok automatycznej sekretarki. Na liczniku rozmów było zero. Zro-

323

bił się jeszcze odrobinę mniejszy. Jakby to zero było dowo-dem popierającym podejrzenia Klinkhammera przeciw Udo. Jak ktoś jest aresztowany przez policję, to już nie może telefo-nować. Wszedł do kuchni, usiadł przy stole i przyglądał się, jak robię jedzenie.

- On się wypiera - powiedział.
- Nie może wypierać się czegoś, czego nie zrobił.
- On to zrobił, Vero.
- Dziś rano sam mówiłeś, że to niemożliwe ze względu na czas.
- Klinkhammer uważa, że ona czekała na niego pod bramą.

Wtedy nie ma znaczenia, ile czasu potrzebował na dojazd.

- Klinkhammer uważa! Klinkhammer po prostu sam nie wie, co myśleć. - Ja także nie wiedziałam, ale mówiłam dalej.

- Klinkhammer uważał też, że pojechała z Nitą i Menkem do Frankfurtu. A potem Klinkhammer uważał, że nie mogła być w mikrobusie, bo nie zgubiła w nim włosów. Ona miała plastikową pelerynę z kapturem. I na pewno jej nie zdjęła na krótkim odcinku do dworca.

Kiedy wyliczałam jeszcze kilka pomyłek Klinkhammera i tuzin własnych przypuszczeń, widziałam siebie jak zjeżdżam w dół zalaną główną ulicą, mijając wylot bocznej ulicy, przy której leżało gospodarstwo von Wirthów. Było ono zaledwie dwadzieścia metrów od wylotu, tylko w takiej odległości, jak nasza stodoła od drzwi domu. Można było widzieć bramę, kiedy się przejeżdżało główną ulicą.

Czekała pod bramą! Ta myśl prawie odbierała mi rozum. Gdybym spojrzała w bok, musiałabym ją zobaczyć. Gdybym, musiałabym, jeśli! Mój ojciec kiedyś powiedział:

- Słowo „jeśli” nie ma racji bytu w postępowaniu. Wszystko zostaje podane w wątpliwość, gdy adwokat zaczyna argumentację od „jeśli”. Jeśli mój klient w danym czasie leżał w swoim łóżku, to nie mógł i tak dalej. Czy to może dowodzi, że klient leżał w swoim łóżku? Nie, tak nie jest!

- Czy z Fredą Jankowik wszystko było w porządku? - spytał Jiirgen.

324

- Tak. Ona cieszy się, że będzie miała dziecko.

- Czy to jedno dziecko?

- Nie widziałam drugiego.

- Czy zbadałaś ją gruntownie?
- Naturalnie.

Kiwnął głową sam do siebie i zamilkł.

O trzeciej na podwórzu zajechał samochód. To był Patrick; nie wysiadł z niego. Anna weszła sama do domu, bojaźliwa, niedowierzająca, oszołomiona, z głową pełną Armina.

- Jeszcze wczoraj z nim rozmawiałam. Był całkiem normalny i...

Wyjaśniłam jej, po co naprawdę dwaj policjanci z patrolu wyprowadzili Armina. Anna wybałuszyła na mnie oczy i wybełkotała:

- Udo? A ja wsiadałam do jego samochodu.

Jurgen po obiedzie położył się na tapczanie. Nie spał, tylko leżał i patrzył w jeden punkt na ścianie. Anna podeszła do niego, usiadła w fotelu. Ja zostałam w kuchni i słyszałam, jak Anna mówi. O worku śmieci, który Udo niósł po polu, kiedy rolnicy szukali Reny; o jego wizycie u nas, kiedy przyszedł z pogrzebu swojej siostry i nie wytrzymał już między gośćmi. O innych dziwnych sprawach, które z biegiem czasu zasłyszała od Reny. Dziwnych wydarzeniach w ujeżdżalni.

- Bądź cicho - prosił Jurgen.

Anna zignorowała go. Po raz czwarty wyszorowałam powierzchnię ociekową zlewozmywaka, podczas gdy ona opowiadała o tym wieczorze, kiedy Rena po kolacji, jak nieraz robiła, jeszcze wyjechała na rowerze. Przyjechała do stajni i zastała Hennesena i Udo w jednoznacznej sytuacji.

Dla Anny sytuacja była jednoznaczna, dla Reny nie. Że starszy mężczyzna brał młodego w ramiona, uważała za przejaw ojcowskiej przyjaźni. Kiedy przecież Udo miał w domu za-wsze tyle utarczek, a z Hennesem mógł mówić o wszystkim lepiej niż z własnym ojcem. To, że także Tania miała zaobserwować intymności między tymi dwoma mężczyznami, Rena uważała za kłamstwo. Dziwiła się tylko, że Udo jakby

w ucieczce i czerwony jak burak opuścił stajnię, kiedy tam przyjechała.

- Bądź cicho - zażądał Jiirgen.
- Ona była taka naiwna - powiedziała Anna - i taka ufna.
Dla niej wszyscy ludzie byli mili i przyjaźni. Nie mogła sobie w ogóle wyobrazić, że komuś może kiedyś odbić i...

- Bądź cicho! - ryknął Jurgen i Anna zamilkła wreszcie.
Kilka minut później przyszła do mnie do kuchni. Po raz szósty szorowałam powierzchnię ociekową zlewozmywaka.

Anna podeszła do lodówki.

- Nie ma dla mnie soku? - Jej głos podejrzenie się załamał.
- Przecież cię nie było.
- Przykro mi, mamó, aleja...ja...-Siąknęłamnosemi skrzywiła twarz, jakby bolały ją zęby. - Przestań wreszcie z tym szorowaniem, to jest nie do zniesienia. Co... Co on z nią zrobił, mamó?

Nie odpowiedziałam jej, podeszłam do kuchenki, żeby wy-szorować płytę grzejną. Wszędzie było pełno krwi. A flaki z niej wisały. Ten obraz po prostu nie znikał, i nie był to już nieżywy koń. Jeśli czekała pod bramą - jeśli! Dlaczego to słowo dawno nie zostało wykreślone z naszego języka? Czy jeszcze nikt nie pojął, jakie jest okrutne?

Krótko po ósmej zobaczyłam reflektory na drodze, najpierw tylko światło, potem ciemny cień samochodu, który wjechał w bramę. Spędziłam popołudnie na sprzątanii i myciu szafek kuchennych, aby utrzymać w kupie mój rozum, żeby na nowo nie zacząć krzyczeć i bić ramionami wokół siebie.

Na podłodze piętrzyły się stosy naczyń, garnki i patelnie, brytfanny i zapasy artykułów żywnościowych, komplety sztuków i inne rzeczy. W kuchni nie mógł przebywać nikt oprócz mnie. I nikt nie mógł do mnie wejść.

Nie byłam głodna ani o szóstej, ani o siódmej i nikt mnie nie prosił o zrobienie kolacji. Jurgen zasnął na tapczanie. Anna wycofała się do swojego pokoju.

Samochód zatrzymał się przed domem, szum silnika ucichł, a reflektory zgasły. Widziałam, jak wysiadły z niego dwa cie-

nie i podeszły do drzwi domu. Odezwał się dzwonek. Między mną i drzwiami kuchni nie było przejścia do sieni. Dzwonek odezwał się znowu, trzy, cztery razy. Ktoś pukał w okno kuchni. Olgert! Wołał coś, gestykulował, żeby mu otworzyć. Pokazałam na stopy talerzy, filiżanek i garnków.

Olgert znikł z okna. Czyjaś pięść waliła w drzwi domu. Wreszcie zbudził się Jurgen. Jednym susem zerwał się na nogi, pognął do sieni, wołając po drodze:

- Dlaczego nie otwierasz?

I otworzył drzwi wejściowe.

Klinkhammer podszedł do drzwi kuchni, skinął mi głową, spojrzał na chaos. Potem znikł z mojego pola widzenia. Olgert po prostu przeszedł tylko obok. Jurgen zawołał w kierunku schodów:

- Anno, zjedź na dół i pomóż mamie przy sprzątanii.

Potem spytał Klinkhammera:

- Chce pan kawy?

Do mnie powiedział:

- Vero, bądź taka miła i zrób kawę!

To nie była prośba, tylko rozkaz. Godziny spędzone na tapczanie na nowo naprostowały mu grzbiet.

Anna zeszła z góry i w milczeniu zabrała się za układanie zawartości w szafkach kuchennych. Jej twarz była zapuchnięta i zaczerwieniona; powieki grube i ciężkie, białka oczu pokryte spękanyymi naczyńkami. Nos miała czerwony jak alkohol. Jej oddech był ciągłym sapaniem i siąkaniem, a kieszenie džinsów miała wypchane zużytymi chusteczkami higienicznymi. Zaparzyłam kawę, podniosłam z podłogi kilka filiżanek i spodków, wyjęłam kilka łyżek z pudełka sztucców przy drzwiach kuchni.

Kiedy weszłam do dużego pokoju, siedzieli już przy stole, ale jeszcze nikt nic nie mówił. Klinkhammer wyglądał jak stary człowiek nad grobem. Olgert siedział pochylony do przodu i obracał w palcach plakietkę ze świętym Krzysztofem przy swoich kluczykach. Anna przyniosła mleko, cukier i kawę, i trzymała przy tym

zmiętą chusteczkę w rękę.

327

Drobiazgi! Błahostki! Nic z tego nie zasługuje na wzmiankowanie. Ale to była nasza godzina zero. To był moment Sądu Ostatecznego. Nie miało już znaczenia, w jakiego Boga dotąd wierzyliśmy. Teraz siedzieliśmy przed Jednym, przed jedynie Prawdziwym. Jedna osoba Trójcy Świętej miała szare ubranie, druga dzinsy i kraciastą koszulę, której kołnierz zniknął pod za długą grzywą włosów. Trzecią była kartka papieru w kieszeni Klinkhammera.

- Mamy przyznanie się do winy - powiedział Klinkhammer.

Olgert przyglądał się uważnie plakietce między jego palcami i zeszkrobywał paznokciem nieistniejącą plamę na brzegu. Ramiona Anny skurczyły się, a jej szyja znikła w kołnierzu bluzki. Jiirgen zacisnął pięści i wypuścił zatrzymany oddech z przeciągłym, dobrze słyszalnym odgłosem. Co ja robiłam, nie wiem, pewnie nic. Nie było już nic więcej do zrobienia.

Po zdaniu wypowiedzianym przez Klinkhammera zaległa cisza. Czekał na nasze pytania. Co on z nią zrobił? Dokąd ją zawiózł? Można by sądzić, że będziemy czuli potrzebę pytania go o to. Może i czuliśmy, tylko mieliśmy pewność, że i tak nam powie bez zadawania pytań.

Było łatwiej nie zadawać pytań, nie dowiadywać się, jak zginęła, czy cierpiała. Naturalnie, że cierpiała, tysiąc razy umierała ze strachu, bólu, przerażenia i okropnego lęku, zanim wreszcie zabrała ją ta jedna i ostatnia śmierć.

Dlaczego nie wsiadła do mikrobusu? Przecież Nita chciała ją zabrać! Mogłaby być we Frankfurcie i dobrze by się miała. Nita by nie pozwoliła, żeby jej Konikowi spadł włos z głowy.

Jest wiele rodzajów walki; te, które się rozgrywają we-wnątrz, są najkrwawsze i najokrutniejsze. Każde włókno się jeży, zanim się zerwie; każdy nerw drży, zanim zostanie przecięty; każda żyłka wije się, zanim pęknie. A mózg rejestruje to wszystko i odpowiada uderzeniami młotka.

Klinkhammer wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. Była złożona we dwoje. Trzymał ją między kciukiem i palcem wskaźującym, jakby była brudna, jakby nie wiedział, czy może ją podać Jurgenowi, czy nie.

- Myślałem - powiedział z przerwami - że powinien pan to przeczytać, zanim zaczniemy o tym mówić.

Jiirgen zawahał się przed wzięciem papieru. Tylko jedna kartka! Niepojęte, że zniszczenie pełnego nadziei życia dało się stłoczyć na tak ciasnej przestrzeni. Jiirgen przeczytał i poszarzał na twarzy. Bez słowa podał mi papier, odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Ja też wolałabym je zamknąć, niż utkwic wzrok w czysto wypisanych na maszynie literach.

Zabiłem Renatę Zardiss 8 września o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści.

O wpół do jedenastej! Wtedy akurat przyjechałam do Hen-nessena i patrzyłam na zegarek. Trudno sobie wyobrazić, że on także miałby patrzeć wtedy na zegarek. Czy tak się robi, kiedy się zabija? I dlaczego Renatę? Ona zawsze była Reną. Tylko w dokumentach urzędowych była Renatą.

Wyszedłem ze szpitala i byłem bardzo wzburzony. Renata Zardiss czekała na mnie przed domem moich rodziców. Prosiła mnie, żebym ją odwiózł do domu, ponieważ mocno padał deszcz. Dałem jej wsiąść do mojego samochodu.

W czasie jazdy Renata Zardiss wyraziła żal, że moja siostra z obojgiem dzieci zginęła wczesnym popołudniem. Potem opowiedziała mi o zranieniach, które odniosła po południu kaszanka. Renata Zardiss martwiła się o klacz i nienarodzone źrebię. Poza tym płakała, bo po południu został sprzedany ogier, którego bardzo kochała.

Położyłem jej rękę na ustach. Chciałem tylko, żeby zamilkła. Nagle zobaczyłem, że już nie oddycha.

Wróciłem z nią do domu rodziców, wyciągnąłem ją na podwórzu z samochodu, ułożyłem na ziemi i podjąłem zabiegi reanimacyjne. Przyszedł ojciec i stwierdził, że Renata Zardiss nie żyje.

Ojciec odesłał mnie do mojego mieszkania. Tam siedziałem około dwóch godzin, potem wyszedłem przez okno na dwór. Mój samochód stał na podwórzu. Mojego ojca i Renaty Zardiss już nie było.

Udo von Wirth

W pierwszej chwili widziałam tylko rękę na ustach. Jedną z jego dużych rąk na jej

małej, ładnej twarzy. Złożyłam kartkę i oddałam ją Klinkhammerowi. Potem wstałam, poszłam do sieni i uderzałam obiema pięściami w ścianę, aż przyszedł Jiirgen i przytrzymał mi ręce. Przyciągnął mnie do siebie i przycisnął swoją twarz do moich ramion. Moja bluzka zrobiła się wilgotna. Staliśmy tak przez kilka minut. Ja objęłam go ramionami, a on mnie. Potem wróciliśmy.

W drzwiach Jiirgen spytał:

- Czy to wszystko?

Wcisnął mnie obok Anny na tapczan, zatrzymał się przed Klinkhammerem.

- To przecież nie może być wszystko! On dał jej wsiąść, chciał ją odwieźć do domu. Czy położył jej rękę na ustach w czasie jazdy, czy się zatrzymał? Czy ona się nie broniła?

Musiała się przecież bronić! Dlaczego go nie ugryzła albo nie podrapała? Powiedział pan dzisiaj rano, że z rzekomego wypadku wyszedł bez jednego draśnięcia. Ale moja córka na pewno nie dała się zabić bez obrony. On musiał przy tym odnieść jakieś zranienia... Ja... Ja nie umiem sobie wyobrazić, żeby się nie broniła. Przecież nie zabija się dziewczyny tylko przez to, że się jej położy rękę na ustach.

- Nie - powiedział Klinkhammer zmęczonym głosem. - Może powie nam jutro, co faktycznie z nią zrobił. Mając to przyznanie się możemy go dopiero zatrzymać.

- A starego? - spytał Jiirgen. - Czy jego też zatrzymaliście?

Klinkhammer pokręcił głową.

- To, co opowiedział nam jego syn, nie wystarcza do aresztowania. To może być twierdzenie obronne. Stary nas wyśmiał. On nic nie wie o żadnych zwłokach. W ogóle nie widział swo-

jego syna tamtej nocy, jak powiada. Dopiero następnego dnia rano, krótko po szóstej, kiedy Udo wjechał na podwórze kombi Kuhlmana. Wtedy też dowiedział się o wypadku Udo. Powiedział, że jego syn od śmierci siostry nie jest całkiem przy zdrowych zmysłach.

330

Obok mnie Anna zaczęła cicho płakać. Jiirgen kiwnął głową, jakby nie oczekiwał niczego innego.

- A jego żona, matka Udo, co ona na to?
- Ona dostała po południu od lekarza silny środek uspokajający i spała do następnego dnia rano. Obudziła ją dopiero kłótnia między jej mężem a synem. Poza tym w gospodarstwie nie było nikogo. Pamięta pan może, jak stary powiedział panu przez telefon, że wcześniej wieczorem zamknął bramę, bo nie chcieli, żeby im przeszkadzano.

Jiirgen znowu kiwnął głową i na moment zacisnął usta.

- A co pan sądzi?
- Powiedziałem panu dzisiaj rano, co sądzę. Von Wirth celowo zniszczył swój samochód. Może nawet za radą swojego ojca.
- Ten stary to sukinsyn zimny jak lód - powiedział Jiirgen
- i kuty na cztery nogi. To do niego podobne.
- Tak - powiedział tylko Klinkhammer i wyjaśnił po chwili milczenia:
- Jeśli Udo ją zabił w samochodzie, to przypuszczalnie były

w nim jednoznaczne ślady, z których dałby się zrekonstruować przebieg wydarzenia. Gdyby chodziło o kilka włosów i włókien z jej odzieży, dałoby się znaleźć prosty wykręt. Niejeden raz zabierał ją swoim samochodem. Gdyby to się tak rozegrało, jak on nam chce wmówić, nie moglibyśmy znaleźć nic więcej niż kilka włosów i włókien. A musiało być więcej, o wiele więcej. On miał ten samochód dopiero od kilku miesięcy. Nikt bez ważnego powodu nie pakuje trzydziestu tysięcy marek w zginiatacz złomu.

Placz Anny wzmógł się do tego stopnia, że tapczan przenosił drganie jej ciała na mnie. Jiirgen usiadł obok niej, przyciągnął do siebie i pogłaskał po włosach. Chrząknął.

-1 co teraz?

Klinkhammer wzruszył tylko ramionami.

Olgert wsadził kluczyki do kieszeni i powiedział:

- To zależy od tego, czy Udo von Wirth uzupełni swoje zeznanie, albo czy znajdziemy niepodważalny dowód na to,

: 331

że jego ojciec wywiózł zwłoki. Nie musiał do tego koniecznie brać samochodu Udo. Jeszcze raz porozmawiamy ze strażakami. I będziemy szukać wszystkimi środkami, jakie mamy do dyspozycji.

Jiirgen kiwnął głową ociężale.

- A jak znajdziecie moją córkę, stwierdzicie, dlaczego nie chce wam powiedzieć, co z nią zrobił. Ja mogę to wam powiedzieć już teraz. Bo to było tak, jak opowiedział Arminowi dziś rano. O mój Boże! On ją...

Urwał, spojrzał na mnie i zaczął bełkotać.

- Przykro mi, Vero, tak mi przykro. Nie chciałem wtedy tego mówić. Nie to miałem na myśli, naprawdę. Musisz mi wierzyć. To było... Po prostu wysiadły mi nerwy. Już nie mogłem.

O drugiej w nocy przypomniało mi się, o co chciałam za-pytać Annę, kiedy Klinkhammer i Olgert odjechali. Kiedy od-prowadziłam ich do drzwi, wydawało mi się, jakbym coś mia-ła w ręku. Tylko nie mogłam tego dobrze uchwycić ani pomy-śleć o tym, bo nagle przemknęło mi przez głowę to pytanie. Ale kiedy wróciłam do pokoju, musiałam najpierw zająć się Jurgenem.

On klęczał przed stolikiem od tapczanu i bił głową o jego krawędź, tak jak matka Ursuli Bost przed laty tłukła głową o krawężnik. Krzyczał coś o worku ze śmieciami i że to nie były puszki od konserw ani kartony po mleku albo sokach, tylko coś innego, coś zupełnie innego, coś takiego, jak części ubrania i plastikowe torby. A on nie sprawdził zawartości. On dał tej świni możliwość pozbycia się obciążającego materiału dowodowego.

Anna stała obok, obie pięści przyciskała do ust i jęczała, zamiast coś zrobić. Kiedy chciałam go przytrzymać, wymie-rzył cios w moją stronę, a potem dalej krzyczał i wyprawiał szaleństwa. Anna przyniosła dwie tabletki i szklankę wody. Ale zanim go odciągnęliśmy od stolika i ułożyliśmy na ple-cach...

332

Anna usiadła na jego nogach, pochyliła się do przodu i rę-kami przyciskała jego ramiona do podłogi, skomlać i jęcząc:

- Przestań, tato, przestań. Nie wytrzymam tego.

Zacisnęłam mu nos, wcisnęłam obie tabletki między wargi i wlałam pół szklanki wody. Myślałam, że się udusi. Kaszał, dławił się, a ślad uderzeń na jego czole posiniał. Potem stop-niowo się uspokoił.

Nie potrzebowałam już pomocy Anny, żeby go zaprowa-dzić na górę. Rozebrałam go i położyłam do łóżka jak dziec-ko. I był nim w tej chwili, bezbronny jak niemowlę z kolką. Kiedy potem zesłam na dół, Anna przez telefon opowiadała Patrickowi, że Udo von Wirth jest mordercą jej jedynej sio-stry. Telefonowała prawie przez pół

godziny, a potem nie nadała się do rozmowy.

Tak więc najpierw rozmawiałam z Gretchen, bo... Poza nią przecież nie było z kim. Gretchen wiedziała już o wszystkim. Wszechwiedząca pani Ziegler poinformowała ją, że późnym popołudniem setka policjantów zaczęła przekopywać całą ziemię von Wirthów. Zajęli samochód starego, przewrócili dom i przybudówkę do góry nogami, przeszukali stodołę i budynki inwentarskie, jakąś maszynę rozebrali na części. To wszystko Gretchen chętnie opowiadała. Poza tym była bardzo powściągliwa, nie wypowiedziała się ani za, ani przeciw, powiedziała tylko, że nie można nikomu zajrzeć do wnętrza głowy.

Potem Jiirgen mnie zawołał, żeby jeszcze raz przeprosić i zapewnić, że nie myślał tak, jak wtedy powiedział, o polnej drodze i zaszlachtowaniu. Opowiedział mi, że po wsi krążyły plotki, iż kiedy Annegret urodziła pierwsze dziecko, Udo próbował coś zrobić niemowlęciu. Co dokładnie, tego nikt nie wiedział. Annegret zawsze wypraszała sobie wszelkie spekulacje na ten temat.

Potem nareszcie zasnął, a ja wzięłam kąpiel, bo pomyślałam, że w ciepłej wodzie lepiej mi się uda uporządkować myśli. Wciąż jeszcze miałam wrażenie, jakbym coś trzymała w ręku. Koniec cienkiej nitki. Tak cienkiej, że prawie jej nie czułam. Prawie też nie czułam wody. Najpierw była za gorąca, potem za zimna. Poszłam więc do łóżka, żeby się rozgrzać.

333

Jiirgen chrapał z otwartymi ustami. Ja drżałam i dzwoniłam zębami. Zęby! To o to chciałam zapytać Annę. Wstałam, poszłam do jej pokoju i obudziłam ją.

- Widziałaś ręce Udo, czy były w porządku?

-A co?

- W piątek rano! Spotkałaś go na polu, kiedy podniósł i taszczył ze sobą worek ze śmieciami. Jakie miał ręce?

- Nie wiem.

- To pomyśl.

Zamrugła w stronę budzika.

- Mamo, jest druga godzina.
- Będzie jeszcze późniejsza.

Westchnęła.

- Mamo, ja naprawdę nie wiem. Nie zwracałam uwagi na jego ręce.

- Jeśli widziałaś worek, widziałaś też jego ręce. Ja je widziałam, ale w poniedziałek. Do tego czasu drobne skaleczenia mogły się zagoić. Zamknij oczy.

Zamknęła oczy.

- Teraz stoisz przed nim na polnej drodze - powiedziałam.
- A teraz przyjrzyj się uważnie.

Rozwarła szeroko oczy.

- Mamo, daj spokój z tymi głupotami. Jestem zmęczona.
- Ja też. Wszyscy jesteśmy.
- To idź do łóżka, mamo. Porozmawiamy jutro rano.
- Porozmawiamy teraz.
- Mamo, proszę! Nie ma o czym rozmawiać. Rena nie żyje.

A ja nie zauważyłam niczego niezwykłego w rękach Udo.

- No widzisz - powiedziałam. - To właśnie chciałam usłyszeć. Gdyby były podrapane albo pogryzione, to byś zwróciła uwagę. Nie mam racji?

- Może i tak - przyznała.
- To śpij teraz. Dobranoc.
- Dobranoc - mruknęła.

Zeszłam na dół, wzięłam notatnik i długopis od telefonu, i usiadłam w jadalni. Żadnych widocznych śladów walki na

334

rękach! Pierwsze zdanie w notatniku. Teraz trzymałam nić mocno i powoli ją ciągnęłam.

Przyznanie się Udo do winy było funta kłaków niewarte. Czterdzieści dwa lata z sędzią nie mijają bez śladu. Dzięki-wałam ojcu za te wszystkie godziny, w których mi opowiadał

0 nikczemności świata, o mordercach i złodziejach, o dobrych

1 nieudolnych policjantach. Także o takich, którzy w dążeniu

do wyjaśnienia sprawy trafiali jak kulą w płot i wkładali po-

dejrzanemu w usta to, co sami chcieli usłyszeć.

Że też nie zwróciłam na to od razu uwagi w czasie lektury zeznania! Renata Zardiss! Także reszta - to były słowa Klin-khammera. Czekala pod bramą. Opowiadała o koniach. Na-wet kolejność się zgadzała, najpierw klacz, potem ogier.

Krótko po szóstej miałam pięć stron pełnych sprzeczności. Przeczytałam wszystko jeszcze raz i przy tym wpadło mi do głowy, że Udo nie musiał koniecznie mieć ran drapanych i gryzionych na rękach, jeśli ją zabił w inny sposób. A jeśli nie chciał powiedzieć, w jaki sposób, to może tylko dlatego paplał byle co, powtarzając po Klinkhammerze.

Jeśli! A potem przypomniało mi się, że Fred Kónig widział starego von Wirtha w nocy dwa razy w samochodzie; raz

0 dwunastej i raz o czwartej! W takim razie pewnie o dwuna-

stej ją wywiózł, a o czwartej pojechał po Udo do zwirowni.

Nie mogłam już myśleć, zrobiłam kawy, zbudziłam Jiirge-na i Annę. Zjedliśmy śniadanie, nikt nic nie mówił. Jiirgen spoglądał tylko na mnie zranionym spojrzeniem.

Anna poprosiła:

- Zawieziesz mnie do szkoły, tato?

- Nie musisz dzisiaj tam iść - powiedział.
- Ale ja chcę, tato. Jak będę tu siedzieć, oszaleję. Ja tylko nie chcę jechać na rowerze ani iść przez wieś.

O wpół do ósmej wyszli z domu. Jiirgen chciał jeszcze na krótko zajrzeć do Klinkhammera, a potem udać się do gabi-netu. Ja trochę posprzątałam i pojechałam do szpitala.

Kiedy weszłam do pokoju, matka siedziała na łóżku ojca

1 czytała mu z gazety o aresztowaniu podejrzanego w sprawie

335

Renaty Z. Kiedy zaczęłam mówić, stanęła przy oknie i nie odwracała się. Stała tylko i wyglądała na zewnątrz.

Szary dzień i szara twarz na poduszkach. Ojciec przysłu-chiwał się, na początku jeszcze z nieporuszonąminą, zbyt za-szokowany, żeby choć zamrunąć. W pewnym momencie po-wiedział cicho:

- Jeśli nie znajdą zwłok, to przyznanie się do winy nie ma żadnej wartości.

Wiedziałam o tym przecież. A Klinkhammer też wiedział, dlatego był tak przygnębiony.

- Powinam powiedzieć Klinkhammerowi, co widział ko-mendant straży pożarnej w nocy, nie sądzisz?

Ojciec wprawdzie kiwnął głową, ale jeszcze kiedy to robił, powiedział:

- Czy komendant widział, dokąd stary jedzie? Czy zaob-serwował, czy jest sam w samochodzie? Czy widział, że tym samochodem były przewożone zwłoki? Nie! Komendant przy-puszczał, że stary jedzie szukać Udo. I tak właśnie powiedzą von Wirthowie.

Nie zostałam długo. Było jeszcze wiele do roboty w domu, i chciałam tam być, kiedy

Anna wróci ze szkoły. W sieni przywitała mnie jedynka na liczniku-automatycznej sekretarki.

Regina Kolter żałowała, że nie może mi tego powiedzieć osobiście. Drugi seans u jej znajomej zakończył się ogromnym sukcesem. Karty tarota pokazały, że nasze córki żyją w pokoju i harmonii w małym domku na skraju miasta, wśród zieleni i błękitu. Ten błękit to mógł być mały staw albo mały strumyk. Dobrze się mają, są szczęśliwe. Co prawda, karty wskazały zagrożające niebezpieczeństwo. Wysoki brunet zbliżał się z prawa albo z lewa. Regina Kolter spytała, czy wysłałam szpicla. Prosiła o pilne oddzwonienie. Oddałam jej tę przysługę.

- Proszę mi dać spokój z tymi idiotyzmami. Moja córka nie żyje.

Sprzeciwiła się gwałtownie.

-Nie, pani Zardiss, to nieprawda. Nie wolno pani w to wierzyć. Nie wolno pani się poddawać negatywnym wibracjom,

336

w ten sposób blokuje pani pozytywne fluktuacje. Moja znajoma widzi także przed panią wielkie niebezpieczeństwo. Śmierć jest w pani pobliżu. Proszę mi wierzyć, pani Zardiss, to nie idiotyzmy.

Przez parę minut próbowała mnie przekonać, że moje poglądy na jej metody wynikają tylko z mojego braku doświadczenia z kartami, stolikami i temu podobnymi rzeczami. Aby mi tego dowiedzieć, opisała dokładnie wysokiego bruneta. Opis odpowiadał tak samo Kennichowi, jak Klinkhammerowi i tyśięcowi innych ciemnowłosych mężczyzn. Także Udo miał ciemne włosy.

I podczas gdy spierałam się z Reginalą Kolter, Udo siedział w biurze Klinkhammera - z adwokatem, którego mu załatwił ojciec - i odwoływał swoje przyznanie się do winy.

Na krótko przed ósmą pojawili się Klinkhammer i Olgert, aby odnieść ostatnie trzy dzienniki i powiadomić nas o zwrocie w sprawie.

To był piątkowy wieczór, trzydziestego września. Olgert zaczął od tego, że rewizja w obejściu von Wirthów i dokładne zbadanie zielonego audi nie dały niestety żadnego rezultatu. Potem wyjaśnił, co Udo w obecności adwokata podał do protokołu.

Udo wcale nie widział Reny tamtego wieczora. Do około dziesiątej był u szwagra.

Potem pojechał do domu, chciał za-grzebać się w swoim małym mieszkaniu w przybudówce i wy-plakać oczy. Jego ojciec mu na to nie pozwolił.

Ojciec wyszedł z domu, kiedy Udo akurat odstawiał swój samochód. Wygnał go z obejścia. Udo ma na sumieniu siostrę i siostrzenice, a morderca nie ma czego szukać na jego ziemi. Jeśli się ośmieli jeszcze raz przestąpić bramę, stary go zastrzeli jak parszywego psa.

Udo wsiadł znowu do samochodu i wyjechał, krążąc bez-ładnie po okolicy. Na krótko przed dwunastą znalazł się pod bramą Hennessena. Hennessen był jeszcze w stajni. Udo pro-sił go o pistolet. Chciał się zastrzelić. Hennessen uznał, że Udo

337

zbnikował. Doszło do gwałtownej kłótni, w trakcie której Hennessen powiedział, że jeśli Udo chce się zabić, to niech to zrobi swoim samochodem. Jest dość drzew przy drodze.

Udo jeszcze raz pojechał, tym razem do miejsca, w którym zginęła jego siostra. Przez chwilę pęłzał w błocie. Potem wsiadł znowu do samochodu i wrócił do ujeżdżalni. Było to krótko przed trzecią w nocy. U Hennessena wszystko było ciemne. Udo był zmęczony i w poszukiwaniu ciepłego kąta i współ-czującej duszy ukrył się u rannej klaczy. Chciał ją tylko po-głaskać, ale nagle trzymał nóż w ręku i w ślepej wściekłości wbił go w zwierzę.

Kiedy zobaczył, czego narobił, wsiadł znowu do samocho-du i pojechał do żwirowni, tym razem zdecydowany pozba-wić się życia. Ale diabeł nie chce tych, którzy przychodzą do niego dobrowolnie.

Przekradł się do domu swojej siostry, ukrył się tam na nie-całą godzinę, obrządził bydło i pojechał do domu samocho-dem Kuhlmana. Doszło do gwałtownej kłótni z ojcem, który przez pół nocy jeździł szukać Udo.

Pilna potrzeba porozmawiania z kimś, kto by go rozumiał, kazała Udo o siódmej w oborze chwycić za telefon komórko-wy. Zadzwoił do nas, bo kilkakrotnie przekonał się, że dzia-dek Reny jest człowiekiem pełnym zrozumienia. A dotąd prze-ważnie to dziadek Reny odbierał telefon, kiedy Udo do nas dzwoił.

Tym razem stało się inaczej, odezwał się młody, kobiecy głos. Udo pomyślał, że to Rena, i tak się do niej zwrócił. Kie-dy zrozumiał, że to siostra Reny, po kilku sekundach odłożył słuchawkę bez dalszych słów.

Pojechał do szpitala, krótko po dziewiątej pielęgniarka od-działowa prosiła go o opuszczenie pokoju, ponieważ tylko niepotrzebnie denerwował swojego szwagra lamentowaniem i płaczem. Wrócił do domu, rozmawiał z matką o wypadku w żwirowni i o tym, co mu zarzucił ojciec w nocy i czym za-groził. Matka obiecała porozmawiać z ojcem. Potem przyszedł Klinkhammer i Udo dowiedział się, że Rena znikła.

338

W nocy przed pogrzebem jego siostry spróbował na nowo porozmawiać z dziadkiem Reny o klaczy i wszystkim innym. Tym razem słuchawkę podniósł ojciec Reny i Udo tak samo jak za pierwszym razem rozłączył się bez słowa. Dopiero na-stępnego dnia trzecia próba się powiodła, niestety z okrop-nym skutkiem.

Było wytłumaczenie także na to, że dzwonił do nas jeszcze po raz czwarty, chociaż miał pewność, że pełen zrozumienia stary człowiek leży w szpitalu. Chciał rozmawiać ze mną i wy-źnać mi, że jest odpowiedzialny za wylew mojego ojca i po-wiedzieć, jak bardzo jest mu przykro. Tego, co nagrałam na taśmie, było dla niego za wiele.

Było nawet wytłumaczenie sprzeczności w zachowaniu jego ojca, który mu najpierw wymyślał od morderców i wygnał z domu, a potem przez pół nocy jeździł go szukać. Tacy to już są ojcowie! W swoim bólu mówią rzeczy, których wkrótce potem żałują. A wtedy robią wszystko, żeby wspomóc jedy-nego syna.

-1 co teraz? - spytał Jurgen, kiedy Olgert skończył.

Klinkhammer uniósł ramiona, opuścił je z powrotem. Ol-gert oglądał swoje ręce.

- Chyba pan w to nie wierzy? - spytał Jurgen.

Klinkhammer pokręcił głową. Olgert odchrząknął.

- Sędzia śledczy uznał, że materiał dowodowy w tej chwili jeszcze nie jest wystarczający. Musieliśmy go wypuścić.

- Wypuścić... - mruknął Jurgen i po chwili dodał: - Do-
brze! Może tak będzie lepiej. Resztą zajmę sieja.

Rzucił mi spojrzenie. Nie wiem, czy w tym spojrzeniu była czułość, czy rozpacz.

- Obiecałem to mojej żonie.

- Niech pan nie robi głupstw, panie Zardiss - upomniał go Olgert.

- Ja? Głupstw? - spytał Jurgen zdumiony i roześmiał się cicho. - Spodziewa się pan po mnie głupstw? To bardzo mnie pan nie docenia. Ja nie tknę Udo von Wirtha. Powiem panu, co teraz będę robił. Od zaraz będę zapisywał każdy krok, jaki

339

zrobię, każdą minutę każdego dnia. Będę przebywał już tylko tam, gdzie w pobliżu będą inne osoby, aby później miał kto zaświadczyć, że w danym czasie byłem widziany daleko od zdarzenia. - Uśmiechnął się do Olgerta, spojrzawszy na Klinkhammera. - Czy to panów zadowala?

Klinkhammer popatrzył na ślad uderzeń na czole Jurgena. Wyżłobienie napuchło i zsiniało.

- Panie Zardiss, niech pan będzie rozsądny. Mogę sobie wyobrazić, jak się pan czuje. Ale gdyby von Wirthowi miało coś się stać...

Jurgen przerwał mu niedbałym ruchem ręki.

- Czy zamierza pan może pociągnąć mnie do odpowiedzialności, jeśli on się powiesi? Albo jeśli weźmie pistolet od Hennesa i jednak palnie sobie w łeb?

Jurgen nauczał jak profesor na uniwersytecie.

- Kiedy pogrążony w ciężkiej depresji i zagrożony samobójstwem człowiek, który już raz próbował wszystkiego, żeby rozstać się z tym światem, w końcu osiągnie swój cel, można co najwyżej czynić wyrzuty jego lekarzom albo rodzinie, że nie zauważyli sygnałów alarmowych.

Klinkhammer kiwał głową w zamyśleniu. Olgert dłubał w swoich paznokciach. Jurgen powiedział:

- Proszę go wprowadzić w tajniki psychiatrii, jeśli pan chce zapobiec, żeby mu się coś przytrafiło. On podyktował wam swój zamiar samobójczy do protokołu, czego panu jeszcze potrzeba? Potem mamy też jeszcze szkodę rzeczową lub dręczenie zwierząt. A co właściwie Hennessen na to? On przecież na pewno złoży doniesienie. Ile się dostaje za bestialsko zaszlachtowanąakobyłę? No, niech pan da spokój, bez pół roku się nie obejdzie. Zwierzę było żrebne.

Olgert podniósł się, a Klinkhammer powiedział:

- Chyba będzie lepiej, jeśli już pójdziemy. Czy wolno mi panu coś doradzić? Niech pan się urżnie. Ja też tak zrobię.

Potem siedzieliśmy tam. Jurgen nie zabierał się do upijania. Nie było zresztą już wiele alkoholu w domu, tylko Grand Marnier i resztką Steinhagera w lodówce. Ponad pół godziny

340

siedział bez ruchu z zamkniętymi oczami w fotelu. Potem wróciła do domu Anna, która spędziła popołudnie u Patricka. Jiirgen wstał, kiedy weszła do pokoju, a ona przywitała się z nami tak, jak zawsze to robiła.

- Cześć, tato. -1 chwilę później: - Cześć, mamó.

Jiirgen wziął trzy dzienniki ze stołu i wyszedł z pokoju. Słyszałam jego kroki na schodach. Na górze zamknęły się drzwi, potem zaległa cisza. Anna spojrzała na mnie i poruszyła nie-swojo ramionami.

- Czy z nim dalej jest tak źle? Myślałam, że przyszedł już do siebie. Dziś rano był przecież w normie.

- Udo odwołał swoje przyznanie do winy - powiedziałam

i poszłam do kuchni. Anna poszła za mną.

- I co teraz będzie?

- Nic - wzięłam kieliszek, podstawiłam pod kran, napełniłam do niego wody, wylałam, napełniłam go na nowo, wylałam, napełniłam raz jeszcze... Głowa mi puchła od myśli o ojcu, który swojego syna w pierwszym bólu nazywa mordercą, który wkrótce tego załuje, który jeździ przez pół nocy...

Anna stała jeszcze kilka minut za mną, potem poszła do swojego pokoju. Wyszłam do sieni i zatelefonowałam do "Gret-chen. Ona już wiedziała.

Pani Ziegler poinformowała ją, że Udo jest znowu we wsi i zabarykadował się w gospodarstwie Kuhlmana. W domu nie wolno mu się już pokazywać. Stary ma śrutówkę. Więcej Gret-chen nie powiedziała. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Zadzwoiłam do Hennessena. Już przy pierwszym dzwonku podniósł słuchawkę. Ale on naturalnie też już wiedział. A przepraszać go... Nie było już potrzeba. Rozmawiał ze mną jak zawsze. Odwołanie zeznania przez Udo nie dziwiło go, dla niego taka była prawda. A jego klacz...

- O to pewnie sam siebie muszę troszkę winić - powiedział. - Nie powinienem go tak zbesztać, kiedy się u mnie pojawił i pytał o pistolet.

- A więc rzeczywiście był u pana? Kiedy?

- O jakiejś dwunastej. Nie patrzyłem na zegarek. Zresztą zaraz się wyniósł. A krótko po nim pojawił się stary i dopyty-

341

wał się, czy się u mnie schował i co mi opowiadał. Chciał mi rozbierać budę. No to proszę, powiedziałem i poszedłem do Friedla, to było o wpół do pierwszej.

- A ubranie Udo?

Hennessen nie zrozumiał pytania. Musiałam wyrazić się jaśniej.

- Neeee - powiedział - krwi na nim nie było. Jego ręce też były w porządku.

Mógł się umyć i przebrać, w czasie gdy jego ojciec usuwał zwłoki.

Kiedy później poszłam na górę - Anna zamknęła się w swoim pokoju, a Jiirgen w naszej łazience z dziennikami Reny - usłyszałam jego płacz przez zamknięte drzwi. On coś mówił, nie zrozumiałam wszystkiego, ale jednak dostatecznie wiele.

Dwa razy użył wyrażenia „Myszką”. Raz powiedział:

- Nie chcę cię teraz okłamywać. Byłem po prostu zawsze bardzo zajęty sobą.

Potem powiedział:

- Ale będzie prawidłowe postępowanie sądowe, obiecuję ci. Sędzia będzie przewodniczył, ja będę oskarżycielem, a potem zostanie wykonany wyrok.

Dotąd poznałam wszystkie odmiany lęku. Teraz po raz pierwszy czułam, co to jest panika, prawdziwa panika, przerażenie przed nadejściem czegoś, czego nie możemy powstrzymać.

Zapukałam do drzwi.

- Jurgen, otwórz, muszę skorzystać.

Chyba mnie wcale nie usłyszał. Wyjaśniał jej zalety kary śmierci dla delikwenta. Nie chciał być aż taki mściwy, żeby wsadzać poczciwego chłopskiego syna do więzienia z groźnymi przestępcami, gdzie ze swoim sumieniem i swoim skrytym pociąganiem do własnej płci byłby sam i stałby się pożadaną zdobyczą, gdzie musiał marnie zejść na psy. Trzeba też pomyśleć o kosztach. Chwast trzeba wyrwać z ziemi i spalić.

- Jurgen, otwórz, chcę umyć zęby i iść do łóżka.

Równie dobrze mogłabym kazać mojej szczotce do zębów, żeby sama do mnie przyszła. Czekałam jeszcze kilka minut,

aż już nie mogłam wytrzymać słuchania go. Potem wyczyściłam okno w jadalni, w nocy można to zrobić o wiele lepiej niż za dnia. W ciemności widać każdą smugę. Kiedy to stwierdziłam, wyczyściłam też inne okna. Następnie odkurzyłam dywany, wytarłam się i kuchnię, wypolerowałam do połysku stoły, szafki i telefon.

Kiedy Jurgen w sobotę rano zszedł na dół, parter błyszczał jakby matka wróciła do domu.

- Tak jest dobrze - powiedział. - Trzeba się czymś zająć.

Dopóki ręce są w ruchu, z głową można wytrzymać.

- Co zamierzasz?

- Zjeść śniadanie - powiedział i usiadł przy stole. - Chętnie bym zjadł dwa jajka na twardo, chciałbym je pokroić do chleba.

Ugotowałam cztery jajka. Kiedy on dwa z nich pokroił na chleb, Anna chciała zrobić to samo.

- A co zrobisz po śniadaniu?

- Zobaczymy - powiedział.

- Ty wcale nie spałeś.

- Ty też nie - powiedział. - A ja miałem całe mnóstwo do czytania. Wiesz, Klinkhammer miał rację. Ja naprawdę nie wiedziałem, co się dzieje w jej głowie. Teraz wiem. A ten bydlak pozbawił mnie szansy, żeby jej powiedzieć: Dziewczyno, jesteś świetna. Jesteś w porządku, zostań taka, jaka jesteś.

Przez chwilę wydawało się, jakby miał na nowo wybuchnąć płaczem. Obracał swój talerz ze śniadaniem jednym palcem wspartym na brzegu. Wargi miał wciągnięte między zęby. Poruszał ramionami, jakby chciał rozluźnić napięte mięśnie.

- Wiesz, dlaczego nie pojechała z Nitą? Uważała, że nie może nam tego zrobić. Uważała, że ją przecież jakoś tam Kochamy. Jakoś tam - tak napisała.

Kroki Anny na schodach sprawiły, że zamilkł. Spojrzał ku niej, uśmiechnął się do niej.

- Jeśli mnie zniesiesz, możesz dzisiaj jeszcze raz ze mną pojechać do miasta. Ale w takim razie musisz się pośpieszyć. Zaczynam wyjeżdżać. Chcę jeszcze wstąpić na chwilę do szpitala i...

343

Urwał. Anna spojrzała na niego nie rozumiejąc.

- Ja dzisiaj nie jadę do szkoły, tato.

Uśmiechnął się protekcyjnie.

- No tak, ty możesz sobie pozwolić, żeby przez jeden dzień poleniuchować.

- Dzisiaj jest sobota, tato.

- Ach tak, naturalnie - powiedział, podniósł się i znowu się uśmiechnął, jakoś dziwnie nieobecny duchem.

- Ale do szpitala pojedę i tak.

12.

O

wpół do ósmej Jurgen wyszedł z domu. Wtedy jeszcze myślałam, że chce tylko poinformować ojca o wszystkim. Anna też tak sądziła, ale powiedziała:

- Jest dosyć wzburzony, nie?

Jurgen nie czekał na śniadanie. Ja też nie miałam apetytu. Anna wzięła jajko na twardo i pokroiła, żeby położyć na kromkę chleba. Kiedy zjadła, zapytała, czy może mi w coś pomóc. Nie wiedziałam, w czym mogłaby mi pomagać.

- To położę się jeszcze na godzinę - powiedziała i poszła na górę.

Sprzątnęłam ze stołu. Poszłam również na górę, żeby po-słać łóżka. Były rozkopane, ponieważ nie słałam ich w piątek. Nie byłam zmęczona, tylko trochę oszołomiona i odrętwiała. Pomyślałam, że gorący prysznic dobrze mi zrobi.

W łazience zobaczyłam trzy zeszyty. Otworzyłam je i kartkowałam. Większość stron była pognieciona, niektóre wilgotne, a pismo rozmazane. Nie mogłam czytać. Już od samego widoku jej pisma piekły mnie oczy. I te myśli...

Jurgen go zabije! To nie było ani przypuszczenie, ani przeczucie, ja to wiedziałam. On nie pójdzie do ojca. Jeśli rzeczywiście pojedzie do szpitala, to tylko po to, żeby się w coś zaopatrzyć, może w środek odurzający albo jakieś silne lekarstwo. Znają go tam dobrze, zawsze go lubili. Dadzą mu, czego będzie chciał! Ponieważ wiedzą, że jego córka...

Zrezygnowałam z prysznica, przyczesalam tylko grzebieniem włosy i popędziłam do stodoły. Dwadzieścia minut później stałam przy łóżku ojca. Matki nie było w pokoju, Jurgena także nie.

- Czy Jurgen był u ciebie?

345

- Nie dalej jak kilka minut temu - powiedział ojciec. - Nie siedział długo, tylko mnie w skrócie poinformował o wszystkim. Mówiłem ci przecież, że tak się to skończy.

- Czy Jurgen mówił coś jeszcze?

- Nie - ojciec wydawał się zdziwiony. - Co miałby jeszcze powiedzieć?

- On chce zabić Udo.

Ojciec uśmiechnął się jak mądry, stary, pełen zrozumienia człowiek.

- Vero, proszę cię. Wiesz przecież, jak to jest. W takiej sytuacji dużo się mówi. Przypomnij sobie, co ty sama robiłaś, kiedy wydawało ci się, że Hennessen zrobił coś Renie.

Jego uśmiech stał się szerszy.

- Jurgen nic nieprzemyślanego nie zrobi, nie martw się o niego.

Aleja się martwiłam. Nic nieprzemyślanego! Mnie chodziło po głowie raczej coś szczególnie dobrze przemyślanego.

- Czy on ci powiedział, dokąd się wybiera?

- Wraca do domu, jak sędzę. Ale wyraźnie nie powiedział.

- To musiałabym go napotkać. Nie widziałam go po drodze.

Niepokój nie pozwalał mi dłużej usiedzieć u ojca, spytałam go tylko jeszcze:

- Gdzie matka?

Wciąż jeszcze się uśmiechał, rozluźniony i zadowolony.

- Wysłałem ją, żeby mi przyniosła porządne śniadaniowe bułki i gazetę. Tutejszy chleb jest jak tektura, nie ma żadnego smaku. A twoja matka potrzebuje trochę ruchu i świeżego powietrza. Jednak dobrowolnie przecież nie pójdzie.

Zaledwie w kwadrans później byłam znów w domu. Jurgen siedział w jadalni nad stosem kart pacjentów. Był spokojny, wydawał się równie rozluźniony i zadowolony jak ojciec.

- Gdzie byłeś?

- U ojca. Przecież ci mówiłem. Potem jeszcze wpadłem na chwilę do gabinetu po te papiery. Pomyślałem, że zrobię to tutaj, w spokoju.

-Co?

346

- Rozliczenie, Veró. Wczoraj był koniec kwartału. Przygotuję wszystko tak, żeby Jaśmin mogła to szybko w poniedziałku

łek wprowadzić do komputera.

- Ale przecież to wszystko jest w komputerze.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie wszystko, Vero. Pozwól mi popracować. Ty przecież na pewno też masz jeszcze coś do zrobienia. Może byś wybrała się na zakupy?

- Nie mam zamiaru - powiedziałam.

Pozostałam przez całą sobotę w jego pobliżu, nie spuszcza-jąc go z oka. Koniecznymi zakupami zajęli się Anna i Patrick. Także w niedzielę nie odstępowałam go ani na krok. W nocy z niedzieli na poniedziałek powiedział mi, że w przyszłym tygodniu ojca przeniosą do kliniki rehabilitacyjnej. Leżeliśmy już od jakiegoś czasu w łóżku, kiedy mu się to przypomniało.

- To już niedługo oboje będą tu znowu. Myślę, że powinie-
nem zająć się ogrodem, nie sądzisz? Chyba będę umiał powy-
rywać te trochę chwastów. A może zatrudnię Ottona na dzień
lub dwa. Inaczej ojciec drugi raz dostanie wylewu, kiedy wró-
ci i zobaczy, jak tu wygląda.

W poniedziałek udaliśmy się razem do gabinetu. Anna po-jechała rowerem na wieś, zostawiła swój pojazd przypięty łań-cuchem na przystanku i wsiadła do szkolnego autobusu. Przy obiedzie opowiadała nam o Arminie, który słuchając przyzna-nia się Udo doznał największego szoku w życiu. Ojciec Ar-mina chciał teraz skarżyć policję.

Popołudnie minęło spokojnie, chociaż w gabinecie było wiele do roboty. Ale i moje myśli były też bardziej spokojne. Mogłam zawsze myśleć tylko o następnych dwóch, trzech minutach. Kiedy próbowałam dalej wybiegać myślą naprzód, lądowałam nieuchronnie w czarnej dziurze, pośrodku nicości, pośrodku śmierci.

Wieczór był jeszcze spokojniejszy. Anna pojechała z Pa-trickiem do kina. Wróciła krótko po jedenastej, kiedy wychy-liliśmy właśnie nasz napój nasenny i szliśmy na górę.

We wtorek Rudi Kuhlmann został wypisany ze szpitala. To był czwarty października. Gretchen zatelefonowała do nas

wieczorem, żeby nam opowiedzieć, że Kuhlmann jest znowu w domu. Z Udo pod jednym dachem!

- Żeby to wszystko tylko dobrze się skończyło - powie-
działa. - Dawniej Kuhlmann był rozsądnym człowiekiem.

Dopóki była Annegret, wiedział zawsze, co jest dobre i słusz-
ne. Jak on sam tego nie wiedział, to ona mu już wyklarowała.

Ale teraz... Stary po prostu nie da spokoju.

A w czwartek do gabinetu przyszedł Klinkhammer. Dziw-
ne, że katastrofy zdarzały się zawsze w czwartki.

Było już późno, po szóstej. Sandra Erken powróciła do swojego rytmu pracy i o
dwunastej poszła do domu. Większą część popołudnia spędziłam w laboratorium.
Chciałam iść do Jurgena do pokoju badań i zobaczyłam Klinkhammera, jak stoi koło
Jaśmin przy rejestracji.

Pierwsze, co mnie uderzyło, to była jego fryzura. Ściął włosy. Były teraz tak krótkie,
że wystarczała mu już tylko gąbka, żeby się uczesać. Kiedy usłyszał moje kroki,
odwrócił się ku mnie. Z odsłoniętą twarzą wyglądał, jakby podano mu na obiad
przecier z selera i marchwi. Jego głos brzmiał tak, jakby wciąż jeszcze dławił się tą
mazią.

- Można mówić z pani mężem?

Zaprowadziłam go do pokoju przyjęć i powiedziałam Jiirge-
nowi, że jest. Przyszedł po kilku minutach. W tym czasie Klin-
khammer zlustrował mnie paru spojrzeciami,
z których nie mogłam niczego wyczytać, a które tylko napędzały mi strachu.

Jiirgen usiadł za biurkiem, wskazał Klinkhammerowi krze-
sło stojące przed nim. On
wolał stać, wpatrywał się w Jurgena.

- Rudi Kuhlmann nie żyje!

Zaległa taka cisza, że słyszałam przez zamknięte drzwi od-
dech Jaśmin. Jiirgen siedział nieruchomo jak woskowa figura. Uważałam, że
powinnam coś powiedzieć, ale nic nie miałam w głowie, oprócz umarłych.
Annegret nie żyje, jej dwójka dzieci nie żyje, Kuhlmann nie żyje,
klacz nie żyje, Andre Menke nie żyje, Rena...

- Biedaczysko - powiedział Jiirgen po nieskończeniu długim czasie.

348

Spojrzenie Klinkhammera przywarło do twarzy Jiirgena. Głos policjanta był suchy jak wiór.

- Tragiczna sprawa! Powiesił się w swojej stodole. A przecież już wyglądało, że się pozbierał. Inaczej nie zwolniliby go przecież ze szpitala. Słyszałem, że był pan u niego w sobotę?

Jiirgen kiwnął głową.

- Tylko parę minut. Znam... Znałem przecież dobrze Rudiego Kuhlmana. Byłem akurat u mego teścia, więc pomyślałem sobie, że zajrzę i do niego, powiedzieć Rudiemu dzień dobry.

- A poza tym nic więcej mu pan nie powiedział?

Jiirgen wzruszył ramionami.

- No, pewnie to, co zwykle. Że jest mi przykro z powodu jego żony i dzieci. Że mogę zrozumieć, jak on się czuje, ale że życie jednak toczy się dalej. Coś w tym guście.

Klinkhammer kiwał głową z zaciśniętymi wargami.

- A więc nie rozmawiał pan z nim o jego szwagrze?

Jiirgen pokręcił głową.

Klinkhammer uśmiechnął się zjadliwie, jak pies szczerzący zęby.

- Czy aby na pewno? Jesteśmy tu sami sami, panie Zardiss.

A ja bym zrozumiał, gdyby pan na przykład powiedział: „Czy

to nie jest skandal? Ten facet ma cztery życia ludzkie na sumieniu i chodzi wolny".

Jiirgen znowu pokręcił głową, i to bardzo zdecydowanie.

- Nie! Na pewno mu tego nie powiedziałem.

Klinkhammer głęboko westchnął i spojrzał w okno.

- To jednak dziwne - powiedział, jakby zatopiony w swych myślach. - Gość leży tygodniami na wznak, gapi się w sufit i w ogóle nie odpowiada, gdy się do niego mówi. Aż tu naraz po pana wizycie powiada do pielęgniarce: „Czas wracać do domu. Muszę się zatroszczyć o bydło. Przecież nie mogę tego pozostawić tej świni. Czy to nie jest skandal? Ten facet ma cztery życia ludzkie na sumieniu i chodzi wolny. Już się u mnie zadomowił".

349

Zrobiło mi się niedobrze. Zamiast wszystkich tych martwych osób nagle zagrzały mi w głowie słowa Jiirgena o prawidłowym postępowaniu sądowym: „...wykonany wyrok". Nie mogłam przestać o tym myśleć.

Jurgen uśmiechnął się zimno.

- Trafił pan pod niewłaściwy adres, panie Klinkhammer.

Niech pan lepiej pogada ze starym von Wirthem albo niech pan posłucha, co gadają we wsi. Niech pan przepytą parę osób, które były na pogrzebie Annegret Kuhlmann. Tam padały całkiem inne wyrażenia niż „facet" i „świnia". Stary nazwał swojego syna mordercą.

- Wiem - powiedział Klinkhammer. - Ale on mówił tylko

o jednym życiu ludzkim, a nie o czterech.

Jurgen dalej się uśmiechał i w zamyśleniu kiwał głową. Tak jak Klinkhammer, powiedział:

- Wiem! I nieraz się zastanawiałem, czy to dotyczy jego, czy mojej córki. Myślę, że gdyby chodziło o Annegret, to starzy musiałyby mówić o trzech życiach ludzkich. W końcu w tym wypadku zginęły też jego wnuki. Stary jest ohydny, ale nigdy nie był wariatem i do trzech zliczyć umiał zawsze. Pomijając to, myślę, że nawet gdyby śmierć Annegret do żywego go ubodła, to wciąż jeszcze byłby w stanie odróżnić wypadek samochodowy od morderstwa. A gdyby w razie morderstwa na niego spadło zadanie pozbycia się zwłok, to morderca tak że i dla niego mógłby być niebezpieczny. Może źle to widzę?

- Nie - powiedział Klinkhammer i uśmiechnął się tak samo zimno jak Jurgen.

Zrobiło mi się gorąco, kiedy oni przewiercali się na wylot wzrokiem. W umyśle kołatały mi się już nie martwe osoby ani wykonane wyroki, tylko prośba: „Bądź cicho! Na litość boską, bądź cicho! Klinkhammer nie mówił nic o Udo. On tylko powiedział: Kuhlmann nie żyje. A więc bądź cicho. Sam sobie zakładasz stryczek na szyję”.

- Widzi to pan całkowicie prawidłowo - powiedział Klinkhammer i ruszył do drzwi. Zanim je otworzył, powiedział odwrócony plecami:

350

- Ach, omal nie zapomniałem. Dla starego nikt już nie będzie niebezpieczny. Zanim Rudi Kuhlmann się powiesił, roz-

łupał swojemu szwagrowi czaszkę.

Odwrócił się jeszcze raz do Jiirgena. Jego twarz była jak wykuta z granitu.

- Siekierą, czymże by innym. On go przywiązał do pieńka do rąbania. Nie wygląda na to, żeby Udo von Wirth za bardzo się bronił. To była egzekucja, panie doktorze. A ja się zastanawiam, kto ją zlecił. Życzę miłego dnia.

Jiirgen popatrzył na drzwi, które się zamknęły za Klinkham-merem.

- No pewnie - powiedział cicho. Potem spojrzał na mnie.

- Więc w końcu diabeł musiał porwać Udo, co? On przecież nie przyszedł dobrowolnie.

- Teraz nigdy się nie dowiemy, co zrobił z Reną i gdzie ona jest.

Jiirgen uśmiechnął się łagodnie, żałośnie i ostatecznie.

- Co on z nią zrobił, tego wcale nie chcę wiedzieć. A gdzie ona może być, Vero? W niebie, razem z latającymi końmi.

Jakoś wszystko potoczyło się dalej - tylko jakoś. Jak może się toczyć, jeżeli w życiu jest dziura? Były takie dni, kiedy między wstaniem z łóżka i pójściem spać czułam się jak auto-mat. Były inne dni, kiedy wieczorem brakowało mi kilku go-dzin.

Zawsze wiedziałam dokładnie, gdzie spędziłam ten braku-jący czas. W dzielnicy parlamentarnej w Londynie albo na dworcu we Frankfurcie, czasami też w porcie w Hamburgu, ale tam rzadko.

Były takie noce, kiedy zapadałam się jak kamień w wodę, ledwie zamknęłam oczy. Były też inne, kiedy podróżowałam. Mimo że leżałam obok Jiirgena w łóżku, siedziałam w samo-chodzie i jechałam dokądś.

Nic już nie było takie jak dawniej, ale wszystko uległo normalizacji. Rano gabinet, w południe gotowanie, po południu gabinet, wieczorem trochę prac domowych. Podzieliliśmy

się robotą uczciwie: zakupy dla Jurgena albo Anny, odkuŕzacz i pralka dla mnie. Wiele zostawiliśmy do zrobienia, żeby matka, kiedy wróci, od razu zobaczyła jak jest nam nie-zbędna.

Rudi Kuhlmann i Udo von Wirth zostali pochowani. To musiał być ubogi pochówek. Mowę nad trumną wygłosił człoŕwiek z zakładu pogrzebowego, stary proboszcz nie chciał godŕnie złoŕżyć do ziemi samobójcy i mordercy. Czy mówiąc o morŕdery miał na myśli Rudiego Kuhlmana, czy Udo von Wir-tha, tego się nie dowiedzieliśmy.

Przy grobie stali tylko Hennesen, Scherer i Otto. Gretchen mówiła wieczorem przez telefon, że matka Udo w odległości kilku metrów od grobu kryła się w krzakach. Otto tak opo-wiadał.

Ojciec został przeniesiony do kliniki rehabilitacyjnej i uczył się chodzić o lasce. Nie chciał, żebyśmy go odwiedzali.

- Udawajcie, że jesteŕmy na urlopie - powiedział. - Po-trzebujemy wszyscy troche spokoju i dystansu.

Matka zakwaterowała się w hotelu w jego pobliŕzu.

Anna znowu wykręcała się przygotowaniami do matury, kiedy nie miała ochoty sama prasować swoich bluzek. Prze-ważnie była u Patricka, kiedy wracaliśmy wcześnie wieczorem. Czasami znajdowaliśmy kartkę z wiadomością przy te-lefonie, czasami nie. Nieraz na liczniku automatycznej sekre-tarki widniała jedyńka. Jiirgen znowu zmienił powitanie. Cza-sami telefonowała Gretchen i nagrywała nam wiadomości o tym, co rozpowiada po wsi Zieglerowa.

Œe stary Wirth grozi połowie wsi oskarŕzeniami o oszczer-stwo. Œe matka Udo trzy razy dziennie siedzi w koŕciele i modli się do upadłego. Œe gospodarstwo Kuhlmannów jest na sprzeŕdaŕ. Œe Hennesen nosi się z zamiarem kupienia ich ziemi, moŕe i budynku mieszkalnego i gospodarczych. Chce otwoŕzyć oŕrodek jeŕdziecki.

Czasami nagrany był głos Reginy Kolter, która dostarczała mi nowin na temat dziewczyn pędzących pełne zadowolenia życie w zieleni i błękiecie. Na początku Jiirgen dostawał jesz-

cze napadów szału, kiedy przesłuchiwałam wiadomości od niej, a później nie dbał już o te bzdury.

Pewnego razu Regina Kolter opowiadała, że podjęli próbę z wykorzystaniem planszy literowej. Skończyła się naturalnie wielkim sukcesem. Udało im się przeprowadzić wywiad z Andre Menkem. Teraz wiedzieli dokładnie, co się stało.

Poniedziałek rano we Frankfurcie. Pada deszcz. Nita bar-dzo źle się czuje. Rena zakłada swoją pelerynę przeciwdeszczową i idzie kupić lekarstwo. Trochę później ktoś puka w tyl-ne drzwi mikrobusu. Menke otwiera, ponieważ przypuszcza, że Rena wróciła. Ale przed nim stojątrzej skinheadzi. Od razu rzucają się na niego.

Andre Menke jest zmuszony wyjść ze swego ciała i musi bezradnie szybując pod sufitem przyglądać się, jak Nita zo-staje zgwałcona przez jednego z tamtych, a następnie wyrzu-cona z mikrobusu. Bezużyteczne ciało Menkego wylatuje za nią na ulicę.

Jego ciało astralne pozostało, rzecz jasna, z Nitą, strzegło jej niczym dobry duch, dbając o to, żeby dotarła do cieplej izby i telefonu, i znowu spotkała się z Reną.

Cóż powiedzieć na takie kretynizmy? Jeśli Reginie Kolter pomagało to uporać się z jej bólem, mnie tylko męczyło. Bądź rozsądna, Vero! Rozsądek nie wierzy w bzdury. Rozsądek żałuje tych biednych stworzeń, które czepiają się stoliczków z trzema nogami, kart tarota, plansz z literami i innych idio-tycznych pomocy, żeby zapanować nad swoim życiem. Roz-sądek panuje nad nim w inny sposób, rozpoznaje w bólu dzi-kie zwierzę i broni się przed nim ze wszystkich sił, by nie dać się mu rozszarpać.

Od czasu do czasu pojawiał się Klinkhammer, aby się wy-gadać i pozbyć trochę frustracji oraz zapewnić, że są nadal przy piłce. Zawsze się zastanawiałam, przy której piłce. Oskarżeń przeciwko Jiirgenowi już nie podnosił. Skoncen-trował się na ojcu Udo. Ale stary von Wirth był twardym sukinsynem. Od niego nigdy się nie dowiedzą, co się stało z Reną.

353

W tygodniach do połowy listopada nie wiedziałam, co my-sleć. Raz myślałam tak, kiedy indziej inaczej. Czasem myśla-łam, że von Wirthowie mieli swoją katastrofę, a my swoją. I że obie nie miały ze sobą nic wspólnego. Nie miały też żad-nego podobieństwa. W końcu von Wirthowie znali przyczynę ruiny swego życia. My nie. Nasze kwiaty więdły w ciepłym pokoju, zamiast na grobie.

Nic się nie wydarzyło, absolutnie nic ważnego. Jeśli pominąć to, że raz pokłóciłam się z Jurgenem. Już nie pamiętam, którego dnia to było. Pamiętam tylko, że tego ranka musiałam załatwić sprawunki i dopiero około jedenastej pojawiłam się w gabinecie.

Sandra Erken była w laboratorium. Jaśmin siedziała przy rejestracji i telefonowała. Wskazała na małe pomieszczenie do badań. To znaczyło, że Jiirgen przeprowadza akurat badania ultrasonograficzne. Stałam przez kilka minut koło Jaśmin, rozmawiałam z nią. Ale mimo najlepszych chęci nie mogę sobie przypomnieć, o czym. Pewnie o dwóch kobietach w poczekalni, których karty przygotowała. A może o Fredzie Jan-kowik, która była właśnie u Jtirgena. Od tego momentu już pamiętam, co się działo.

Jaśmin powiedziała:

- Wizytę trzy tygodnie temu opuściła. Wołała wyjechać ze swoim przyjacielem i kazała się zapisać na następny tydzień.

A teraz stoi tutaj i płacze. Że nic do pani nie ma, ale ma takie niedobre przeczucia. Jej przyjaciel obejrzał zdjęcie USG i mówi, że coś jest nie tak. Ona musi koniecznie rozmawiać z doktorem. Założę się, że teraz tak długo go będzie molestować, aż da jej zielone światło i adres. Lecz teraz już trochę za późno, to przecież czwarty miesiąc.

Jaśmin uśmiechnęła się złośliwie.

- Sandra też powiedziała, że ona chce się go pozbyć. Mnie się zdaje, że za tą całą gadaniną o przyjacielu coś się kryje. Bo on jest jeszcze żonaty. I nie sądzę, żeby się rozwiódł. Znam go, to znaczy, znam jego żonę i dzieci. On ma ich już dwoje, a są jeszcze bardzo małe. On się trzy razy zastanowi, gdzie wyjdzie mu taniej utrzymanie.

To brzmiało tak normalnie, zwyczajnie. To było też normalne, po prostu życie codzienne toczyło się dalej - dla innych. Dla mnie nie. Ja często miałam wrażenie, jakbym na kolanach obsuwała się kawałek do tyłu. Tylko w głębi duszy, lecz to też sprawiało mi ból, kiedy nagle znajdowałam się przed drzwiami jej pokoju albo przy telefonie w sieni. Sygnał prze-wiercał mi ucho, ale nikt nie podnosił słuchawki, i mówiłam do Jiirgena: „Oni są na pewno jeszcze w stajni. Zaraz tam jadę”. A potem mrugałam i stałam znowu w laboratorium albo obok fotela do badań, albo koło Jaśmin przy rejestracji.

Po kilku minutach z pokoju badań wyszła Freda Jankowik, a za nią Jurgen. Wyglądała tak, jakby właśnie dostała jakąś okropną wiadomość. Kiedy mnie zobaczyła, odwróciła twarz w bok i zaczęła płakać. Jurgen położył jej rękę na ramieniu.

- Niech się pani jeszcze raz spokojnie zastanowi nad tym, co pani powiedziałam. Zobaczymy się za tydzień. A jeśli się pani zdecyduje, zaraz się zatroszczę o miejsce w klinice.

Potem skinął na mnie, żebym weszła do pokoju przyjąć. Zaczął jak Klinkhammer wtedy, kiedy razem z Olgertem rzucił nam dzienniki Reny na stół. Tak samo on teraz rzucił na stół odbitkę zdjęcia USG, którą wręczyłam Fredzie Jankowik.

- Jedno dziecko, tak?

Jego palec pukał w zdjęcie, jak dziecko w drzewo.

- A to co takiego?

- Tylko się nie denerwuj - powiedziałam, kiedy rozpoznałam małą główkę, którą tamtego ranka uznałam za plecy. - To tylko podnosi jej szansę na ślub. Jak będzie dwa do dwóch, to jej przyjacielowi może łatwiej przyjdzie się zdecydować.

Jurgen wybałuszył na mnie oczy.

- Dwa do dwóch?

- Jej przyjaciel jest żonaty i ma dwoje dzieci. Jaśmin mi to właśnie powiedziała. Jeśli Freda Jankowik będzie miała bliźniaki...

Jurgen wciąż jeszcze wpatrywał się we mnie, ale teraz jego spojrzenie miało inny wyraz.

- A więc ty tego nie widziałaś. Bliźnięta!

355

Zrobił głośny wydech i pokręcił głową.

- Od jak dawna już się tym zajmujesz? Ze dwa lata! I przecież na pewno przypominasz sobie jeszcze panią Terjung. Pamiętasz, jak skakałaś z radości: To bliźniaki. A nie zapomniałaś, co cię do tego skłoniło?

Naturalnie, pamiętałam. Bicie drugiego serca. Ale nie rozumiałam jeszcze, dlaczego Jiirgen tak się wścieka.

- Nie chcę szukać wykrętów - powiedziałam - ale może ci przypomnieć, że tego dnia nie czułeś się w stanie pojechać do gabinetu. Ja pojechałam i wykonałam robotę za siebie i za ciebie! Przykro mi, jeśli mi umknęło coś ważnego. Nie widziałam drugiego serca.

- Nie mogłaś go widzieć - odpowiedział Jiirgen zimno. - Bo jest tylko jedno. Ale powinnaś widzieć drugą głowę, gdybyś się dobrze przyjrzała. Ona ci przecież zwracała na nią uwagę. Tak w każdym razie powiedziała. Proszę, sama popatrz. Wyraźnie widać.

- Przykro mi... - zaczęłam.

- Powinno ci być przykro - przerwał mi. - Myślałaś, że ona chce zrobić skrobankę. To Sandra ci tak nagadała, już ja się z nią rozprawię. Ale, do wszystkich diabłów, Vero, jeśli ci

jutro ktoś powie, że ziemia jest płaska, w to też uwierzysz?

-Przykro mi ja...

- Mam w dupie, że ci przykro! - przerwał mi na nowo. -

To się na nic nikomu nie zda. A teraz ja ci coś opowiem. I mo-

żesz mi wierzyć na słowo. Freda Jankowik nie chce skroban-

ki. Ona chce wydać to stworzenie na świat. Jeszcze kilka ty-

godni temu może by się zgodziła, ale teraz już czuje życie.

I myśli, że może chociaż jedno z nich będzie zdolne do samo-

dzielnej egzystencji. Ja sobie tego nie wyobrażam, to prak-

tycznie tylko dwie głowy na jednym ciele z czterema rękami

i czterema nogami. Czy ty wiesz, co ona mi powiedziała? Że

przecież muszę dobrze wiedzieć, co ona czuje. Nie można prze-

cież dobrowolnie oddać dziecka.

Było mi przykro, naprawdę, ale nie chciałam się zmuszać do powtórzenia tego kolejny raz.

356

- Myślałam, że to plecy.

- Myślałaś! Do jasnej cholery, Vero. Jeśli nie byłaś pewna,

dlaczego nic nie powiedziałaś?

Byłam pewna! Tego dnia byłam; miałam pewność, że Fre-da Jankowik będzie miała tylko jedno dziecko i że Udo von Wirth nie mógł zabić mojej córki, że jego przyznanie się do winy dotyczyło tylko kasztanki. Teraz jedno okazało się po-myłką.

Później w pierwszym tygodniu grudnia siedzieliśmy pewnego wieczora razem w dużym pokoju. Jiirgen i ja. Anna po-jechała z Patrickiem do kina i powiedziała, że może wrócić późno, żebyśmy się nie martwili. Nie martwiliśmy się, o An-nę nigdy poważnie się nie martwiliśmy. O Renę też już nie.

Po trzech miesiącach człowiek się przyzwyczaił do pustki, do pytań i bólu, do tego

tępego, stale obecnego wiercenia w śród-ku. Po trzech miesiącach prawie już się nie pamięta, że był kiedyś taki czas, w którym w ogóle się nie czuło swojego wnętrza.

Popijaliśmy nasz napój nasenny, którym był wciąż jeszcze Grand Marnier. Jiirgen zażartował, że powinniśmy się rozkoszować ostatnimi czternastoma dniami wieczornego spokoju, korzystając z nich do ostatniej sekundy. W połowie grudnia ojciec chciał wracać do domu. Lekarze zapatrywali się na to inaczej, ale nie znali ojca.

Na krótko przed jedenastą zadzwonił telefon. Jurgen ze zmarszczonym czołem spojrział w kierunku sieni. Oboje spodziewaliśmy się usłyszeć głos Reginy Kolter. W ciągu dnia już nie dzwoniła. W ostatnim tygodniu listopada próbowała trzy razy wieczorem, mając mocne przekonanie, że jesteśmy w domu. Byliśmy, tylko nie podeszliśmy do telefonu, choć za każdym razem usilnie o to prosiła. Ale ja nie mogłam już słuchać o stolikach, kartach i planszach. Tylko z tego powodu automatyczna sekretarka wciąż jeszcze była podłączona do aparatu.

Urządzenie się włączyło. Najpierw słychać było nagrane przez Jiirgena zwężle powitanie. Potem odezwał się inny głos.

357

- Jest szósty grudnia, dwudziesta druga pięćdziesiąt trzy.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

W pierwszej chwili Jiirgen pobladł. Widziałam jak się wstrząsnął, kiedy usłyszał głos męski. Potem się zapienił.

- Co to znowu za kretynizmy?

Zerwał się z fotela. Ja byłam szybsza, przemknęłam koło niego do sieni, poderwałam słuchawkę.

- Vera Zardiss.

- Kemnich - powiedział tamten. - Mam szczęście. Nie byłam pewien, czy pani już nie śpi.

Prawie o nim zapomniałam. Nie, nieprawda. Tylko myślałam, że nigdy więcej o nim nie usłyszę.

- Myślałem - powiedział - że czas złożyć mały wstępny

raport. Jeszcze jej nie mam, powiem od razu. Ale depczę jej po piętach.

Jurgen stał obok mnie ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi oczami. Nie wyłączyłam urządzenia. Słyszał każde słowo.

- Jeszcze parę dni temu koczowała w czymś w rodzaju komunicy - powiedział Kemnich. - To był projekt socjalny, integracja i tak dalej, ale nic z tego nie wyszło. Urządzili sobie starą szopę, nawet całkiem przyjemnie. Teraz już znowu wygląda tam, jak po wojnie. Z pierwotnej załogi nie ma już nikogo. Ci, co tam teraz przebywają, to są, powiedzmy, szumowiny, ale jeszcze starające się mieć dach nad głową.

-1 ona tam była?

- Tak, to pewne - powiedział Kemnich. - Ona już chyba nie wygląda tak, jak na tych zdjęciach, które zdobyłem od jej przyjaciół. Ale to była ona, na pewno. Tylko jeszcze nie wiem, gdzie ona teraz jest. Dostałem kilka sprzecznych informacji. Nieszczególnie jej się wiodło. A jeśli te typki mówią człowiekowi, że nieszczególnie, to znaczy po prostu, że całkiem do dupy. Jakaś dziewczyna powiedziała, że ona wróciła do domu. Ale na pewno tak nie zrobiła, bo już sprawdziłem. Inna dziewczyna powiedziała, że Blacky chciała ją zawieźć do szpitala. Tym się zajmę jutro rano. Odezwę się znowu pod wieczór.

358

Nie miałam możliwości zadać jakiegokolwiek pytania ani pożegnać się z Kemniczem. Jiirgen przycisnął widelki i wyjął mi słuchawkę z ręki. Odłożył ją, jakby trzymał w palcach surowe jajko. Potem chwycił mnie za ramię, zaprowadził z po-

wrotem do pokoju i wcisnął w mój fotel. Stał nade mną. Nie chciał wyjaśnić.

Nie tracił też czasu na pytania takie jak: „Kim jest Kem-nich? Komu depcze po piętach? Co cię naprowadziło na ten zwariowany pomysł, żeby włączyć do sprawy prywatnego detektywa? Skąd wzięłaś pieniądze?”. Od razu przeszedł do ataku.

- Czyś ty całkiem postradała zmysły? Co to za idiotyzmy?

Dlaczego wyrządzasz to sobie, Vero?

Mówił tak, jakby był przy tym, gdy zlecałam Kemnichowi poszukiwanie Nity. Ani przez moment nie brał pod uwagę tego, że lapidarne „ona” wypowiedziane przez Kemnicha mogłoby oznaczać Renę.

- Co ci to da, jeśli on wytropi Kolterównę? Czy to dlatego ta Kolterowa wciąż do nas wydzwania? Jej to chyba nie całkiem w smak, co? Nie dziwię się jej. Była już szczęśliwa, że się pozbyła tego skarbu, a ty...

- Nie masz o niczym zielonego pojęcia - przerwałam mu. Jego twarz wykrzywił zły uśmiech.

- I nie chcę mieć, wystarczy, że ty masz, i Kolterowa też. Coś ci powiem, Vero. Jeśli znowu zaczniesz z Frankfurtem i Londynem, to możemy oboje zrobić konkurs. Kto szybciej spakuje walizki. Ja go wygram, gwarantuję ci to.

Zanim zdołałam coś powiedzieć, wypadł na zewnątrz, po-gnał po schodach na górę i trzasnął drzwiami. I pomyślałam, że ma rację. Co mi z tego przyjdzie? Mojego dziecka nie ma we Frankfurcie ani w Londynie. Gdyby była z Nitą, Kemnich by coś o tym wspomniał. Zrobiłby przynajmniej jakąś aluzję, choćby tylko po to, żeby mi uprzytomnić, że chce więcej for-sy.

Poszłam za Jiirgenem, chciałam z nim spokojnie pomówić, wyjaśnić mu, że Kemnich pojawił się w okresie niepewności,

usług. Chciałam przeprosić i powie-dzieć, że było to też trochę jego winą. Bo mnie okłamywał i zdradzał. Bo swoje myśli, lęki, problemy i stan śledztwa wolał omawiać z Evą Kettler, a nie ze mną. Ale gdybym wprowa-dziła Evę Kettler do gry... Kiedy weszłam do sypialni, stał przy oknie i powiedział:

- Nic nie mów, Vero. Po prostu zamknij się, tak będzie le-
piej, uwierz mi.

Środa była jednym wielkim fiaskiem. Przy śniadaniu Jiirgen zabarykadował się za gazetą. Anna powiedziała krótko, że po szkole nie wróci do domu, tylko pójdzie do Patricka i tak da-lej. Jiirgen domagał się, żebym już rano pojechała swoim sa-mochodem. Nawet w czasie krótkiej podróży do miasta nie chciał się narażać na ryzyko rozmowy.

Przed południem nie zamienił ze mną nawet trzech słów. Po południu miał rzekomo ważne papierkowe sprawy do za-łatwienia i dlatego chciał mieć spokój. Pojechał do gabinetu, a ja zostałam w domu. I przyszedł moment, w którym najchę-tniej wyciągnęłabym wtyczkę telefonu ze ściany.

Żeby sobie to uniemożliwić, przez pół godziny telefo-owałam do ojca, także kilka minut rozmawiałam przez telefon z matką. Ojciec był pełen rezerwy, ale gotów wziąć winę na siebie. Gdyby Jiirgen miał mi robić jeszcze sceny z powodu Kemnicha, mogłam powiedzieć, że działałam na rozkaz z gó-ry. Potem przekazał słuchawkę matce.

Matka powiedziała:

- Nie rozumiem, dlaczego Jiirgen się tak denerwuje, Vero.

Jeśli się dowiemy, gdzie jest ta Kolterówna, to będziemy mo-
gli ją przynajmniej zapytać, dlaczego zawieźli rower Reny na
dworzec. Mnie by to interesowało, czyj to był pomysł.

- Mnie także - powiedziałam.

Jej głos był wyraźnie przytłumiony, kiedy mówiła dalej.

- Powinniśmy też spytać tę dziewczynę, na co czekali cztery
godziny pod obejściem Hennessena. Dla mnie to wszystko nie
jest tak jasne, jak dla twojego ojca, twojego męża i dla policji.

- Dla mnie też nie - powiedziałam i pomyślałam sobie: jakże to dziwne, że po trzydziestu latach zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać, i to jeszcze przez telefon.

- Jesteś tam jeszcze, Vero? - spytała matka.

-Tak.

- Jak się dobrze zastanowić - teraz prawie szeptała - to my nic nie wiemy. A jeśli jest coś, czego nienawidzę, to pytań pozostawionych bez odpowiedzi. Powiadomisz nas, gdyby zaszło coś nowego?

- Oczywiście.

Odłożyłam słuchawkę; najwcześniej za dwie godziny można będzie mówić, że jest już wieczór. Szósta godzina! Nie byłam w stanie wybiec myślą poza ten moment. Nie chciałam mieć nadziei, lecz mimo to w uszach dźwięczały mi głosy. Najpierw Kemnich: „Mam Nitę Kolter. I jeszcze kogoś. Dziewczynę, która ją odwiozła do szpitala. Nie chciałem robić pani wczoraj przedwczesnych i nieuzasadnionych nadziei, dlatego byłem ostrożny. Ale teraz stoi obok mnie i chciałaby z panią mówić”.

Potem jej zakłopotane, pełne wahania: „Halo, mam...”.

Naprawdę nie chciałam sobie tego wyobrażać. Ale słyszałam ten jej głos i szum silnika. Widziałam oczyma duszy, jak na podwórko zajeżdża samochód mieszkalny Kemnicha. To był tylko Jiirgen. Wszedł do domu, balansując tacą z kawałkami ciasta. Przy kawie i torcie ze śmietaną chciał ze mną pomówić jak z rozumnym człowiekiem.

- Jak ten Kemnich się zamelduje, powiedz mu, że sprawa jest dla nas załatwiona. Nie jesteśmy już zainteresowani Nitą Kolter, a jeszcze mniej tym, co mogłaby nam opowiedzieć.

- Czego ty się właściwie boisz? Że Rena jednak była z nami? Że kazałeś stracić niewinnego? To przecież ty poszczułeś

Kuhlmana na Udo.

Uśmiechnął się.

- Vero, boję się tylko tego, że stracisz rozum, jak wszystko zacznie się od początku. A zacznie się, jeśli podasz temu Kemnichowi choćby mały palec. W zasadzie już to zrobiłaś. Przy-

361

puszczam, że poinformowałaś go szczegółowo o stanie rzeczy, a on tymczasem miał okazję gruntownie się tu rozejrzeć. Na pewno myśli, że tu można się obłowić. A jedyne, co musi zrobić w tym celu, to tylko utrzymywać cię w odpowiednim nastroju.

- Nie - powiedziałam i wyjaśniłam, jak się umówiłam z Kemnichem i co on sam mi zaproponował. Tyle czasu, ile potrzeba, za jeden czek.

Jurgen westchnął.

- No dobrze, a więc uczciwie zarobił te pieniądze, niech mu będzie. Ale nic więcej nie chcemy od niego. A ja chcę, żebyś mu to powiedziała.

Kemnich zadzwonił za piętnaście ósma. Poinformował mnie, że wytropił Nitę w szpitalu, że jest z nią kiepsko. Lekarze dają jej jeszcze parę tygodni, co najwyżej dwa miesiące.

- A cóż u licha jej dolega?

- Jest pozytywna - powiedział Kemnich.

- Co to znaczy?

Jurgen stał obok mnie, żeby w razie czego interweniować i osobiście powiedzieć, czego chce od Kemnicha - już niczego więcej. Po moim pytaniu wywrócił oczy i szepnął:

- Na jakim ty świecie właściwie żyjesz? Ona ćpała! Czego można się nabawić od brudnych igieł?

Kemnich powiedział:

- AIDS. Za słaba, żeby na dobre otworzyć oczy, ale jeszcze się stawia. Zadałem jej parę pytań i jedyne, co od niej usłyszałem, to „Spadaj, gnoju”. Matka Nity jest powiadomiona już od ostatniego czwartku. Ale jak dotąd owa dama nie uznała za konieczne pojawić się przy łóżku własnej córki. Zostanę jeszcze do jutra. Może wtedy Nita będzie bardziej skora do mówienia. Albo będę miał szczęście i dopadnę Blacky.

-Kim jest Blacky?

- To jakaś dziewczyna - powiedział Kemnich z wahaniem.

- Ludzie z komuny jej nie znają. Od nich usłyszałem tylko, że ta Blacky odstawiła Nitę do tamtej wytwornej szopy i co kilka dni do niej zaglądała. Za każdym razem zostawiała trochę pie-

362

niędzy, żeby Nita coś miała. Tydzień temu zabrała Nitę do szpitala. Ale to już opowiadałem pani wczoraj. Rozmawiałem tutaj z lekarzem, on wiedział tylko, że Nita została dostarczona na izbę przyjęć wieczorem, zeszłej środy, jako nagły przypadek. W izbie przyjęć praktycznie nic nie pamiętają. Ale jest pewne, że ktoś przedstawił dokumenty Nity. Sama Nita już nie byłaby w stanie tego zrobić. Tak sobie myślę, że skoro Blacky tak troszczy się o Nitę, to może pojawi się kiedyś przy jej łóżku.

- Może - powiedział Jiirgen drwiąco i zrobił głośny wydech.

Blacky! To imię klaczy arabskiej, która musiała zostać uspiołona. I inna nazwa nadziei. Ktoś o złotym sercu. Ktoś, kto się troszczył o tych, którzy stracili wiarę w świat. Ktoś taki jak Rena?

Chociaż Jiirgen prawie przygwoździł mnie spojrzeniami do ściany, nie ośmielił się odebrać mi słuchawki. Poprosiłam Kemnicha, aby zorientował się w tamtejszym półświatku nar-kotykowym, czy Blacky była znana komuś jeszcze. I naturalnie miał

jeszcze raz spróbować pomówić z Nitą. Podałam mu pytania, które miał jej zadać.

Kemnich nie miał pytań, także i we wtorek. Pewnie od dawna wiedział, jak u nas mają się sprawy. Nie można było wykluczyć, że miał kontakt z Klinkhammerem i był poinformowany o przyznaniu się Udo i o całej reszcie. Wystrzegając się bodaj najsłabszej aluzji, że Blacky i Rena mogłyby być tą samą osobą.

Jiirgen nazwał go wyrafinowanym sukinsynem, który dobrze wiedział, co robi, i umiał przynęcić ludzi. Kemnich z pewnością taki nie był. Wobec mnie nie stosował żadnej przynęty. Wprost przeciwnie, był nadzwyczaj powściągliwy.

Kiedy zatelefonował w czwartek, mówił najpierw tylko o Reginie Kolter. Był przed południem w szpitalu, spotkał ją przy łóżku Nity i rozmawiał z nią. Był zadziwiony i pod wrażeniem. Powiedział, że inaczej sobie wyobrażał kobietę tego fachu.

363

Regina Kolter dowiadywała się u lekarzy, czyjej córka nadaje się do transportu i czy istnieje możliwość pielęgnacji w domu.

- Nie sądziłem - powiedział Kemnich - że ona bierze to tak piekielnie poważnie. Chce ją faktycznie zabrać do domu. Lekarze jej odradzali, ale ona się upiera.

- No, a co z Blacky? Czy dowiedział się pan czegoś jeszcze?

Kemnich uchylił się od odpowiedzi.

- Niewiele i nic ważnego. Myślę, że taka ważna to ona nie jest. Nita Kolter będzie mogła na pewno więcej pani opowiedzieć, kiedy znajdzie się znowu w domu. To będzie za dwa albo trzy dni, jeśli dobrze zrozumiałem panią Kolter. I tak sobie myślę, że jeśli ona należycie przemówi swojej córce do rozsądku, to wskóra na pewno więcej niż ja.

- Niech mi pan powie, co pan wie.

Jurgen wydał usta i pokręcił głową. Kemnich wahał się.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Blacky nosi kapelusz z miękkim rondem. Czy to panią interesuje? Czarny kapelusz z miękkim rondem, reszta też czarna. Nawet włosy, krótkie, rozczochrane i czarne jak smoła. Pewnie stąd jej ksywa. Myślałem, że ona należy do tych czarnych punków. Pani Zardiss, tutaj się kręci całe mnóstwo takich figur. One mają swój własny kult i niewiele je łączy z półświatkiem narkotykowym. Pojawiają się przez czysty przypadek, natrafiają na taką kupkę nieszczęścia jak Nita i przejawiają instynkty macierzyńskie. Ona ma coś w sobie, ta Nita. Ona jest jak jeź, którego można dotykać tylko z największą ostrożnością, właściwie wcale nie powinno się tego robić, ale stale czuje się taką potrzebę.

- Ile mniej więcej lat ma Blacky?

- Nie mam pojęcia - powiedział Kemnich.

- Czy to mogłaby być moja córka? Czy pokazywał pan zdjęcia mojej córki ludziom, którzy mieli z Blacky do czynienia?

- Wystarczy, Vero - powiedział Jurgen i wyjął mi słuchawkę z ręki. Do telefonu powiedział: - Dziękujemy panu ser-

364

decznie za pańskie starania, panie Kemnich. Jak słyszałem, został pan już wynagrodzony za swoje usługi. I... No tak, to wszystko. Nie chcielibyśmy dłużej korzystać z pańskiego czasu. Odłożył słuchawkę, zanim zdołałam mu przeszkodzić. Rzucałam się na niego z pięściami.

- Dlaczego to robisz? Słyszałeś, jak on ją opisał.

Przytrzymał moje ręce.

- Tak! Słyszałem, Vero. Czarny kapelusz z miękkim rondem, czarne włosy. Czekałem, kiedy powie o czarnych obszernych spodniach.

- Nie powiedziałam mu o tym ani słowa.

- Nie musiałaś, Vero. Wyobrażam sobie, że nie zadowolili się tylko informacjami od ciebie. Wystarczyło mu pogadać z Lengriesem albo z jednym z pozostałych, żeby wiedzieć, jak Rena wtedy chodziła ubrana.

- Ale Lengries i inni nic nie wiedzą o Blacky. Nie sądzę, żeby Rena rozmawiała z nimi na temat tej klaczy. Kemnich nie mógł sobie tego imienia wyssać po prostu z palca.

Jiirgen objął mnie ramieniem.

- Bądź rozsądna, Vero, proszę. Kemnich miał tysiąc możliwości, żeby dowiedzieć się o tej klaczy arabskiej. Nie zauważyłaś, do czego on zmierza? Znalazł Nitę. To znaczy, że pierwsze pięć tysięcy już sobie zarobił. Jak chce zarobić więcej, musi zarzucić przynętę. I to właśnie zrobił. Ale tutaj nie ma już nic do zarobienia, Vero. Ani dla pana Kemnicha, ani dla nikogo innego. A więc zapomnij o tym.

Jak mogłabym zapomnieć? Nie mogłam przecież zapomnieć o moim dziecku i czekałam na następny telefon od Kemnicha. Dostał zlecenie i honorarium ode mnie. Jiirgen nie mógł mu więc rozkazywać, kiedy ma zakończyć sprawę. Czekałam w piątek, sobotę, niedzielę. W poniedziałek po raz pierwszy zatelefonowałam do Reginy Kolter.

Automatyczna sekretarka nagrała moją prośbę o oddzwonienie. We wtorek spróbowałam po raz drugi, a w środę trzeci. Regina Kolter nie odezwała się. Od Kemnicha nie przysłała również żadna wiadomość.

Dwa razy rozmawiałam przez telefon z ojcem. Dwa razy wysłuchałam pouczeń, że muszę być rozsądna.

- Nie dręcz się, Vero. Jest źle, wiem, ale nic się nie da zrobić. Gdybym mógł cofnąć czas, Vero...

W czwartek skorzystałam z długiej przerwy obiadowej, żeby pojechać do mieszkania Reginy Kolter. Jiirgenowi powiedziałam, że muszę pilnie załatwić parę sprawunków. Stałam przed zamkniętymi drzwiami. Miejsce zajmowane przez samochód Reginy Kolter było puste. Sąsiadka oświadczyła, że od ponad tygodnia nie widziała pani Kolter. A Kemnich nie powiedział mi, w którym szpitalu we Frankfurcie znalazł Nitę.

Wróciłam do domu o wpół do czwartej bez zakupów. W sieni przywitał mnie pogodny głos Jurgena:

- Nie spieszyło ci się. Musiałaś sama bić śmietanę?

Siedzieli przy kawie w jadalni - Jiirgen, Anna, Patrick, ojciec i matka - i czekali na tort. Kiedy weszłam z pustymi rękami, Jiirgen zmarszczył czoło. Był przekonany, że mam zamiar kupić ciasto. Był 15 grudnia, a ja zapomniałam. Miałam tylko czas na łyk kawy, a potem Jiirgen powłókł mnie do sto-doły.

O siódmej powiedział, że jeśli chcę, to mogę wrócić do domu i trochę pomóc matce. W poczekalni siedziała jeszcze jedna pacjentka. Wyszłam z gabinetu. Kiedy otwierałam mój samochód, przejechała za mną jakaś kobieta na rowerze, zsiadła, wprowadziła rower do sieni domu. Eva Kettler. Czekałam pięć minut, dziesięć minut, kwadrans. Najpierw z domu wyszła pacjentka, nieco później Jaśmin.

Wysiadłam znowu i wróciłam. Jak złodziej podkradłam się na palcach pod drzwi pokoju badań. Liczyłam się z tym, że drzwi będą zamknięte od środka. Ale nie były i pomieszczenie było puste.

Oni siedzieli w pokoju przyjęć. Drzwi były uchylone. Jiirgen mówił o telefonach Kemnicha i o powrocie do domu swoich teściów. Miał nadzieję, że pod wpływem ojca przyjdę znowu do siebie, nie chciał wywoływać dalszych kłótni i polecił Evie Kettler, żeby poszukała sobie innego lekarza.

- Po co? - spytała. - Ani mi to w głowie. Ty jesteś moim lekarzem i na tym koniec.

- Wyświadczyć mi tę przysługę - poprosił. - Ona oszaleje, jak cię tu jeszcze raz zobaczy.

- To byłoby jakieś urozmaicenie - drwiła Eva Kettler.

Jurgen zachował spokój.

- Masz pojęcie, co to znaczy stracić dziecko w taki sposób? Nie, skąd ty możesz mieć o tym pojęcie. Ty masz akurat tyle instynktu macierzyńskiego, co kukulka.

- Ach, daj spokój - powiedziała Eva Kettler. - Nie odgrzewaj teraz starych historii. Gdyby to tylko ode mnie zależało, miałabym dziecko. Wiesz przecież. Czy mam ci przypomnieć, kto był za skrobanką? Kto mi wmawiał, że to najlepsze rozwiązanie? Jak ty ze mną tak, to uważaj, bo mogę też inaczej.

Usłyszałam dosyć. Jeśli mam być szczerą, to Eva Kettler nie interesowała mnie już. Było mi wszystko jedno, od kiedy i czy Jurgen mnie jeszcze z nią zdradzał, czy też go czymś szantażowała.

Dwadzieścia minut później byłam w domu. Matka stała w kuchni i obierała kartofle. Na kuchence coś skwierczało. Pachniało jak za dawnych czasów dobrą pieczenia. Ojciec siedział przed telewizorem i dźwięk był za głośno nastawiony. Anna była w swoim pokoju, siedziała nad kopią artykułu z fachowego czasopisma leżącą na jej biurku. „Rola histonów w regulacji genetycznej”. Nadzwyczaj interesująca sprawa dla Anny, ale nie dla mnie. Drzwi do pokoju Reny były zamknięte.

Omówiłam nie zapukałam, podniosłam już rękę. Opadła w dół, jakby sama z siebie. Potem siedziałam na jej łóżku. Z pustymi rękami. Półka w jej nocnym stoliku była pusta, nie było na niej ani jednego dziennika. Przeszukałam wszystko, w jej pokoju i w naszym. Na strychu, w piwnicy, w stodole. Pytałam Anny, matki i ojca, także Jiirgena, kiedy wrócił do domu.

- Wyrzuciłem te dzienniki - powiedział.
- Dlaczego?
- Bo nie chciałem sobie tego jeszcze raz robić. Ani tobie.
- Jeszcze nie przeczytałam trzech ostatnich.

367

- Miałem nadzieję - powiedział.
- Chcę wiedzieć, co zawierały!
- Przecież ci opowiadałem - powiedział i wyjrzał przez okno. - Że myją chyba kochamy -jakoś tam. Kiedy przeczytałem to „jakoś tam”, prawie się udławiłem. Wciąż jeszcze stoi mi to kością w gardle, Vero. Może mi zostanie na całe życie, jak kamień na żołądku. Ale to mój problem. Powtarzam sobie co rano po obudzeniu się i co wieczór przed zaśnięciem: Może nie byliśmy dla niej najlepszymi rodzicami, ale nie byliśmy też najgorszymi. Niektóre zdania trzeba sobie powtórzyć tysiąc razy, zanim się w nie uwierzy. A teraz daj spokój, Vero. Wyświadcz nam wszystkim tę przysługę i daj spokój. Ona nie żyje! Pojmij to wreszcie. Nie przywrócisz jej z powrotem do życia, jeśli się rzucisz na jej dzienniki i będziesz nam wyliczać, co zrobiliśmy źle. To było wczoraj, Vero. Podniósł rękę i pokazał na tapczan.
- A dzisiaj siedzi tam twój ojciec, który chciałby mieć spokój. A tam siedzi twoja matka, która chciałaby mieć spokój. A tam siedzi Anna, która może chciałaby sobie przypomnieć,

jak to jest mieć matkę. O sobie w ogóle nie chcę wspominać.

Pojmij to wreszcie, Vero! Ona nie żyje! Nigdzie to nie jest napisane.

Pięć dni później zatelefonowała Regina Kolter. To był wto-rek. Nie zabrała swojej córki do domu, do swojego jasnego własnościowego mieszkania. Była z nią w Kolonii, w Klinice Merheim. Jeden z jej licznych i wpływowych przyjaciół za-troszczył się o to, żeby Nita dostała tam łóżko. Prawdopodobnie w Merheim nikt nie bił się o to, żeby ją przyjąć.

Niestety, Regina Kolter zadzwoniła późnym wieczorem. Wprowadzie automatyczna sekretarka nie była włączona, ale Jurgen mimo to domyślił się, z kim rozmawiam. Regina Kolter powiedziała, że wszystkie przepowiednie jej znajomej zo-stały potwierdzone przez Nitę. Jeśli zależy mi na tym, żeby porozmawiać z jej córką osobiście, to mogę przyjść. Ale nie powinnam za bardzo z tym zwlekać.

368

- Przyjdę jutro po południu - powiedziałam.

Jurgen próbował mi to wyperswadować.

- Jeśli koniecznie chcesz słuchać tych głupot, proszę bar-dzo, to twoja sprawa. Ale bądź w takim razie tak miła i pocze-kaj, aż Kolterowa będzie z powrotem w domu. Słyszałaś prze-cież, że to nie potrwa już długo.

- Nie chcę rozmawiać z Reginalą Kolter, tylko z Nitą.

- Vero, ona ma AIDS.

- To przecież nie odebrało jej głosu. Nie martw się. Nie mam zamiaru z nią spać. Nie będę też używać jej strzykawek.

Ojciec powiedział:

- Sądzę, że nie o to martwi się Jurgen, Vero. On martwi się o siebie i o swój gabinet. Nie żyjemy w wielkim mieście. Jak się rozniesie, na co ta dziewczyna umiera, i jeśli się dowie-

dzą, że byłaś u niej...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej. Matka zniecka wyrz-nęła pięścią w stół, nie mówiła, nie krzyczała. Zapiszczała:

- Bądźcie teraz obaj cicho. Co takiego się stanie, jak Vera zobaczy się z tą dziewczyną? Dajcie jej spokojnie pojechać, dopóki jeszcze jest możliwość uzyskania paru odpowiedzi. Jak ta dziewczyna znajdzie się w ziemi, będzie już za późno, nie rozumiecie? Trzeba rozmawiać z ludźmi, dopóki jeszcze mogą mówić i słuchać. Przyjdzie dzień, kiedy nie będą już mogli. I wtedy dopiero człowiek rozumie, ile jeszcze miał im do powiedzenia. Ja wiem, jak to jest. Jedź do Kolonii, dziecko. Nie troszcz się o to, co oni mówią i co inni mogą pomyśleć. Jeśli tego nie zrobisz, to pewnego dnia będziesz żałować.

Pojechałam. Ta, którą odwiedziłam, to nie była już Nita. To była już tylko kupka kości obciągniętych pergaminową skórą. Nie sądziłam, że jest z nią tak źle. Widok był okropny. Wrzo-dy na czole, policzkach, brodzie, nosie, cała twarz jak jedna ropiejąca rana.

- Niespodzianka, niespodzianka. Cóż za dostojny gość - powiedziała Nita, kiedy weszłam do jej pokoju. Wydawała z siebie tylko syk i rżenie, ale zrozumiałam, co mówi.

369

- Nie wysilaj się, skarbie - szepnęła Regina Kolter. Się- działa przy łóżku, do połowy pochylona nad Nitą.

Nita nie poruszała głową, tylko oczami.

- Idź napić się kawy, Regino. Zasłużyłaś sobie na przerwę.

Przez ten czas nie wykorkuję, obiecuję ci to.

Regina Kolter podniosła się niechętnie. Kiedy wyszła z po-koju, Nita wskazała krzesło. Kiedy się zawahałam, spytała:

- Boisz się za bardzo do mnie zbliżyć? Nie ma obawy, teraz już nie kąsam. Zęby mi się ruszają. Jakiś tam gówniany grzyb wszystko mi w środku zżera. Chcesz zajrzeć?

Otworzyła usta, nie bardzo szeroko. I zanim mogłam zaj-rzeć do środka, zakryła ręką usta i zaczęła kasłać. To trwało przerażająco długo, nim atak minął, i na tyle przyszła do sie-bie, że mogła znowu nabrać powietrza.

- Siadajże wreszcie, mamuśko! Inaczej zasnę i odejdiesz z kwitkiem. Bo mogłabym się już nie obudzić.

Usiadłam na krześle. W jej oczach pojawiło się coś w ro-dzaju zadowolenia. Trudno było ją zrozumieć. Musiałam się nad nią nisko pochylać.

- Nie jesteś pierwszym dostojnym gościem - zaczęła - ale temu gliniarzowi nagadałam bzdur. Umiem to fantastycznie.

Chcesz jeszcze posłuchać kasłania? Nie masz nic przeciw temu, że mówię do ciebie „ty”, co? Tak teraz mówię do wszystkich.

Muszę się do tego przyzwyczaić. W niebie też wszyscy mó-wią „ty” do siebie. A może myślisz, że nie pójdę do nieba?

- Nie wiem.

- Aleja wiem. Ja się wykupiłam. Przynajmniej pięciu gno-jów wyprawiłam w drogę do piekła. Niestety nie było ich tylu, ilu sobie wyobrażałam. Za późno nawiałam, wiesz? A wiesz czyja to wina? Twoja!

Zamknęła oczy, przez chwilę była cicho. Myślałam już, że zasnęła, kiedy zapytała:

- Ty też chcesz zawrzeć pakt z diabłem? Otwórz nocny sto-lik, tam leży kartka z numerem telefonu.

Wyciągnęłam szufladę i wzięłam kartkę. Nita nie była w stanie śledzić moich ruchów oczami. -Masz ją?

370

Pokazałam jej kawałek papieru. Znowu zamknęła oczy.

- Zadzwoń tam dzisiaj wieczorem, ale dopiero po ósmej.

Wszystko jedno, kto podniesie słuchawkę, powiesz tylko, że chcesz mówić z Paulem. Z Paulem, zapamiętaj! A potem powiesz Paulowi, że ma stąd zabrać Reginę. On się nią zajmie.

Może się nawet z nią ożeni, jak mnie już nie będzie.

Znowu przez chwilę była cicho, tylko powieki kilka razy jej zatrzepotały. Jak się zdawało, nie miała już dość siły, żeby jeszcze raz otworzyć oczy. Kiedy mówiła dalej - szeptała - pozostały zamknięte.

- Teraz chciałam ci właściwie powiedzieć, że możesz wrócić, kiedy załatwisz, co do ciebie należy. Jak Paul tu będzie, coś ci opowiem. Ale Regina powiedziała, że ty też jesteś tylko biedną świnką i że mam być miła dla ciebie. I chyba nie mam już dużo czasu.

Jeszcze jedna maleńka przerwa.

- Czy mam być całkiem podła - szepnęła - i opowiedzieć ci, że zostawiliśmy twojego Konika na deszczu?

Musiałam również zamknąć oczy.

- Zostawiliście ją. Jest świadek, który to widział.

Zdołała wydobyć z siebie coś w rodzaju uśmiechu.

- Ten typ w czerwonym kadecie? On zeznał, że to widział?

Taki dupek! Nic w ogóle nie mógł zobaczyć. Andre wysłał ją na moją stronę, bo po jego stronie było zbyt niebezpiecznie.

Ona nie chciała jechać z nami, wiesz, w ogóle nie chciała.

Tygodniami znajdowała jedną wymówkę po drugiej. Ostatnio wymyśliła, że nie może wynieść paru ciuchów z domu bez zwracania uwagi, bo Lenka jej ciągle patrzy na ręce. Obiecałam jej, że spakuję dla niej walizkę. Że włożę do niej wszystkie moje rzeczy, które tak chciała mieć. Pokazaliśmy jej tę walizkę rano w szkole. Zapakowałam jej nawet szczoteczkę do zębów, nowiutką, naturalnie. Była jeszcze w folii.

- Czy zapakowałaś dla niej także twój kapelusz z miękkim rondem?

Od razu pożałowałam tego pytania. Zbiłam ją nim z panta-łyku. Zamrugła oczami i zamilkła. Przez kilka minut słyszą-

371

łam tylko jej rzeżący oddech. Potem lekko uniosła rękę i pokazała na nocny stolik. Tam stał kubek z herbatą i słomką. Uniosłam jej głowę i dałam jej pić. Trwało jakiś czas, zanim zaczęła mówić dalej.

- Nienawidzę kapeluszy, nienawidzę głupich pytań. I nienawidzę, kiedy ktoś próbuje mnie rolować. Właściwie w tej chwili nienawidzę wszystkiego. Nie prosiłam, żebyś przyszła. To był twój pomysł.

- Dobrze - powiedziałam. - Nie będę zadawać więcej pytań. Opowiadaj dalej.

- Powiedz najpierw: proszę.

-Proszę, opowiadaj dalej.

- Popatrzyła na te rzeczy i powiedziała, że się namysli.

Mogłam sobie na dwóch palcach wyliczyć, że mnie wystawi

do wiatru, skoro teraz ma szkapę. Powiedziałam do Andre, że spróbujemy wieczorem pod stajnią. Jak wyjdzie, po prostu ją capniemy. Załatwiłam sobie trochę eteru. Możesz sprawdzić, jak mi nie wierzysz. Posługiwaliśmy się nim na biologii. Topiliśmy w nim *Drosophila melanogaster*, całymi kilogramami. Nie wiedziałam, ile potrzeba na człowieka. Trochę przesadziłam. Naprawdę mi przykro. Odjechała na całą noc. Już myślałam, że ją zabiłam. Andre prawie nasrał w spodnie. Sprawa nie była czysta. Bo ten eter nie był przeznaczony dla ludzi. Ale skutek był. Następnego dnia miała piekielne bóle głowy i rzygała tak, że myślałam, że już nie przestanie nigdy.

Nita opowiadała dalej, przerywając z powodu wyczerpania, ataków kaszlu, sapiąc i rżąc głosem, który stawał się coraz słabszy - w środę w grudniu, na trzy dni przed Bożym Narodzeniem. O pójździe dziewczynki, do domu, już czas...*

* Nieco zmieniony początek kolędy z końca XVIII w. *Ihr Kinderle-in, kommet, o kommet doch all!* autorstwa Johanna Abrahama Petera Schulza ze słowami Christopha von Schmida (przyp. tłum.)

372

Słyszę jeszcze dzisiaj, jak szepcze, stęka i chrypi. Jak mówi o bólu głowy i mdłościach Reny. I słyszę słowa Olgerta: „Gdyby trzy dni przebywała w tym mikrobusie, jak Menke i Kol-ter..”.

Nita powiedziała, że to był tylko jeden dzień i Rena spędziła go wyłącznie na drugim wełnianym kocu, jaki mieli przy sobie, który potem musieli wyrzucić, taki był zaświniony. Rena nie miała też okazji zdjąć swojej peleryny przeciwdeszczowej ani butów. W piątek wieczorem Rena opuściła mikrobus -w tym samym ubraniu, które miała na sobie, kiedy została do niego wciągnięta. Rzekomo chciała zaczerpnąć tylko trochę świeżego powietrza i zdobyć gdzieś suchą bułkę, żeby wrzucić coś do zmaltretowanego żołądka.

W tym momencie wyglądało na to, że poddała się losowi. Zanim wysiadła, opowiadała o Mattho, któremu w czasie rej-su promem na pewno również zrobiło się niedobrze. I że nie-stety nie wie więcej na temat celu jego podróży, jak tylko to, że pojechał do Anglii. Ponieważ Udo powiedział kiedyś, żeby nauczyła tego diabła paru angielskich słów.

Nim odeszła od mikrobusu, Rena zapytała jeszcze, czy ma coś przynieść dla Nity i Andre Menkego. Porcję frytek albo kiełbasę? Do serdelków dawali na pewno suche bułki. Już nie wróciła.

Czekali przez całą noc. A rano Andre Menke powiedział:

- Już jej nie zobaczymy więcej, założę się, że następnym pociągiem wróciła do domu.

A Nita odpowiedziała:

- Albo pojechała za tą głupią szkapą, teraz, kiedy jej pokazaliśmy, jak się to robi.

Ubrana w swą żółtą pelerynę, wyposażona w pięćset ma-rek i paszport w woreczku na szyi.

Słuchałam tego na trzy dni przed świętami Bożego Narodzenia.

Były to dla nas beznadziejne święta. Chyba Regina Kolter przy łóżku umierającej córki zaznała więcej miłości. Kiedy to

373

sobie przypominam, czuję ból. Nigdy nie widziałam tyle uczucia między dwojgiem ludzi. A ja myślałam, że to nasz świat jest lepszy, czysty.

No i był czysty. Matka wypolerowała dom znowu na wysoki połysk i jako jedyna była gotowa rozmawiać ze mną. O eterze z lekcji biologii. Klinkhammer oczywiście to sprawdził. *Drosophila melanogaster* to mała muszka owocowa. Sprowadzono je do zajęć z jakiegoś instytutu w Kolonii. Muszki były zmienione genetycznie i dlatego nie wolno było dopuścić do ich swobodnego rozmnażania się. Były topione w eterze, tak jak opowiadała mi Nita.

W gimnazjum zginęła wielka butla eteru. Policjanci z Frankfurtu znaleźli ją w mikrobusie, a dokładnie skorupy szkła po niej. Sądząc po śladach, potłukła się w

czasie walki Menkego z nieznanym albo nieznanymi. Czy była przed walką opróżniona całkiem, w połowie, czy wcale nie była opróżnio-na, nie dało się już ustalić. W mikrobusie nie było żadnych pozostałości eteru.

To była jedyna rzecz, która dała się jeszcze sprawdzić. Klin-khammer przypuszczał, że zawartość butelki została wylana na zewnątrz. To, co mi poza tym jeszcze opowiedziała Nita, miało taką samą wartość, jak przyznanie się do winy Udo von Wirtha.

Jiirgen poczuł się utwierdzony w swych przekonaniach. Ojciec i Anna zgadzali się z nim. Ich zdaniem Nita na polecenie swojej matki opowiedziała mi bajkę na Boże Narodzenie. A Kemnich z Blacky dodał swoją.

Czasami myślę, że mają rację. Lecz czasami myślę tak: Jeśli Nita Kolter okłamała mnie tylko po to, żeby oddać przysługę swojej matce, żeby umieścić na solidnej podstawie trój-nożny stoliczek, kilka kart tarota i planszę literową, to dlaczego Nita nie potwierdziła napadu trzech skinheadów ani miłego małego domku w zieleni i błękitach?

Roześmiała się słysząc o tym. Nie było żadnych skinheadów. Był tylko parszywy skurczysyn, który im obiecał dostarczyć towar. Ale to, co przyniósł, nie wystarczyłoby nawet, żeby

374

rozweselić komara. Kiedy Andre zaprotestował i zażądał zwrotu pieniędzy, stracił życie. A Nita omal nie straciła swojego, gdyby nie było tam Blacky, która się nią zajęła.

Wpływ Kemnicha? Mało prawdopodobne! Nita nic nie wiedziała o Blacky, nie pamiętała ani komuny, ani jej dostarczenia do szpitala. Nie pamiętała już nawet, że dzwoniła na policję we Frankfurcie. Szok spowodowany śmiercią Andre Menkego spowodował wielką lukę w jej pamięci, może jeszcze wzmocnioną przez jej chorobę i nałóg.

Nita Kolter została pochowana 16 stycznia. Byłam na jej pogrzebie. Byłam też przedtem jeszcze dwa razy w klinice. Chciałam jej powiedzieć, że zniosę prawdę. Że nie musi mnie okłamywać na prośbę swojej matki. Że może być podła i powiedzieć mi, że zostawili mojego Konika na deszczu, jeśli tak było. Tylko Nita nie mogła mi już odpowiedzieć na żadne pytanie.

A Paul, znam tylko jego imię - wysoki, silny mężczyzna, o jasnobłond włosach,

którego sprowadziłam do jej łóżka -wyprowadził mnie z pokoju. Wyszedł ze mną na zewnątrz. Za drzwiami powiedział, że Regina Kolter ma jeszcze tylko kilka dni, by być ze swoją lalką, więc powinnam jej je podarować. Ja mimo wszystko mam jeszcze nadzieję.

Nie wiem, czy mam jeszcze nadzieję. Ale czasami, przede wszystkim nocą, kiedy nie mogę zasnąć, kiedy obrazy w mózgu stają się stopniowo wszechpotężne i przytłaczające, kiedy Jurgen jeszcze raz kładzie mi ją na brzuchu - taką małą - taką bezbronną, tak zależną ode mnie - w takich chwilach wyobrażam sobie, że ona żyje gdzieś tam, daleko. I że pewnego dnia wyruszę w drogę. Do Frankfurtu albo Hamburga, do Londynu, wzdłuż i wszerz Anglii, jeśli zajdzie taka potrzeba. Że ją odnajdę. Że jej powiem, że jej nie chciałam, ale ją kochałam, nie tylko jakoś tam. Że ją sprowadzę z powrotem.

I że zrobię dla niej to wszystko, czego nie zrobiłam, dopóki była jeszcze na to pora.